

« Wszystko dla pań »

Najnowszy  
bestseller

KATHERINE  
STONE

ZMIENNOŚĆ UCUĆ

  
AMBER



« Wszystko dla pań »

# KATHERINE STONE

Międzynarodowa gwiazda współczesnej literatury kobiecej,  
porównywana z Norą Roberts

Katherine Stone, lekarka i powieściopisarka, jest autorką świetnych powieści o ogromnym ładunku emocjonalnym, wydanych w ponad 10 000 000 egzemplarzy. Książki: *Złodziej serc*, *Happy end*, *Nareszcie w domu*, *Usłane różami*, *Północ o poranku*, *Melodie miłości*, *Królestwo tęczy*, *Miłość w Bel Air*, *Wymyślona miłość* zajmowały wysokie miejsca na listach bestsellerów. Od roku 1999, który w USA okrzyknięty został „rokiem Katherine Stone”, autorka została oficjalnie włączona do grona największych, po Danielle Steel i Norze Roberts.

## ZMIENNOŚĆ Uczuć

Mark. Wybitny chirurg, całą duszą oddany swojej jedynej pasji.

Dopóki nie spotka pewnej kobiety...

Kathleen. Piękna i bogata. I wcale nie tak szczęśliwa, jak się wydaje...

Leslie. Znakomita lekarka, która ciągle wybiera niewłaściwego mężczyznę. Ale jeszcze nigdy nie wybrała aż tak źle...

I Janet. Gwiazda sceny i powiernica mrocznego sekretu.

Jedyna, która może zapobiec tragedii...

*Ta porywająca powieść odkrywa oszałamiający świat,  
gdzie bogactwo i kariera dają wszystko... oprócz szczęścia.*

„Woman”

*Wielka miłość, wielkie kłamstwo i wielkie emocje  
we wspaniałej powieści niezrównanej Katherine Stone.*

„Romantic Times”

Cena det. zł 29,80

  
AMBER

ISBN 83-7245-863-4



9 788372 458636 >

« Wszystko dla pań »

# S KATHERINE STONE

## ZMIENNOŚĆ Uczuć

Przekład  
Karolina Bober



# Część 1

# Rozdział 1

*San Francisco, Kalifornia  
Listopad 1980*

**D**oktor Leslie Adams wyglądała przez wielkie okno z jedenastego piętra Szpitala Uniwersyteckiego oczarowana panoramą San Francisco o brzasku. Patrzyła, jak perłowszare niebo powoli staje się bladożółte. Pastelowe barwy świtu zwiastowały pogodny dzień. Ale słońce będzie świeciło słabo, a jego ciepła wystarczy zaledwie na rozproszenie gęstej mgły, okrywającej zatokę San Francisco jak pluszowa zasłona.

Leslie wiedziała, że zapowiada się rześki, wesoły dzień. Ciepłe promienie słońca. Wiatr chłodny, lecz nie zimny. Dzień lekkich wełnianych szalików, zaróżowionych policzków i gorącej czekolady. Uwielbiała takie dni. Wiązały się z nimi cudowne, odległe wspomnienia... Spacer po łące owianej zapachem sosen... Porywisty wiatr podczas przeprawy promem przez pokrytą krą wodę.

Ściskając w dłoniach kubek wystygłej czarnej kawy, zatęskniła za wspaniałym smakiem gorącej czekolady. Westchnęła z żalem. Dziś nie potrafiła się cieszyć jesiennym chłodem, była zbyt zmęczona.

Spędziła długą pracowitą bezsenłą noc. Ale ona i pacjenci dotrwali do rana. Wszyscy przeżyli. Teraz, gdy chłodna ciemność nocy rozprasała się w ciepłych promieniach wschodzącego słońca, w szpitalu panowała cisza. Spokój. Sen.

Mark zapewne powiedziałby, że powinna się przespać chociaż godzinę.

Mark. Miał nadzieję, że to nie będzie trudna noc. Powiedział tak przed dziesięcioma godzinami.

- Mam przeczucie, że noc będzie spokojna - oświadczył, wchodząc do rejestracji.

- Mark! Cześć! - zdziwiła się, podnosząc wzrok znad karty, którą właśnie przeglądała. - Co...

- Mam przeczucie, że noc będzie spokojna - powtórzył, sadowiąc się w fotelu naprzeciwko Leslie. - Bardzo spokojna. Żadnych przyjęć. Żadnych badań o północy, żadnych bólów w klatce piersiowej...

- Marzenia! - zaśmiała się.

- To wyjątkowo silne przeczucie - upierał się. Spojrzał na nią swymi piwnymi oczami i dodał z powagą: - To znaczy, że doktor Leslie Adams, bardzo sumienna stażystka, będzie mogła się przespać.

Przez krótką chwilę Leslie patrzyła mu w oczy, ale zakłopotana nie mogła wytrzymać jego spojrzenia. Oboje wiedzieli, że nawet jeśli noc będzie spokojna, Leslie nie zmruży oka. Nie będzie nawet próbować. Nie mogą spać w szpitalu, tłumaczyła każdemu, kto pytał, dlaczego podczas dyżuru czuwa całą noc.

Nie kłamała. W szpitalu naprawdę trudno było spać. Wciąż ktoś przychodził, a godziny, podczas których mogłaby się zdrzemnąć, zdarzały się bardzo rzadko. Ale nie to było prawdziwym powodem. Prawdziwy powód był zbyt osobisty, za głupi i graniczący z przesądem, żeby go komuś wyjawiać.

Leslie wierzyła, że jeśli będzie czuwać nad pacjentami całą noc, nie stanie się im nic złego. Jej uwaga ochroni ich przed nieprzewidywalną katastrofą, która mogłaby się zdarzyć i która przecież czasem się zdarza.

Więc Leslie nie spała. Patrolowała szpital. Była cichym, uważnym zwiadowcą. Dobrze wyszkolonym owczarkiem. Nikomu nie przeszkadzała, ale wciąż czuwała. To było nielogiczne. Głupie. Ale sprawdzało się. Uważała więc swoje postępowanie za słuszne.

A Leslie zawsze robiła to, co uważała za słuszne. Właśnie dlatego w liceum imienia Jerzego Waszyngtona w Seattle otrzymała nagrodę dla „najlepiej zapowiadającego się ucznia”. I dlatego dokuczali jej koledzy, mówiąc, że jest zbyt dobra, zbyt doskonała: przewidywalna Leslie, na której zawsze można polegać. Dokuczano jej też w Radcliffe, bo wołała biologię od sobotniej potańcówki albo doświadczenie z chemii organicznej od wyścigu Harvard-Yale.

Ale te docinki nie były przykre. Leslie miała wielu kolegów, którzy szanowali jej zasady. Zresztą nie próbowała ich nikomu narzucać, nie oczekiwała, że wszyscy będą się do nich stosować. Znajomi wiedzieli, że zasady Leslie dotyczą wyłącznie Leslie. Ona po prostu tak musiała żyć.

Teraz, jako stażystka, musiała czuwać całą noc. Tylko to uważała za słuszne. Wiedziała, że to nie ma sensu, ale czuła, że tak trzeba.

Z wyjątkiem chwil, gdy drażnił się z nią Mark. Wtedy czuła się głupio. A jeśli Mark odkrył prawdziwą przyczynę, ten bezsensowny przesąd? Mark był racjonalny i logiczny. Uznałby to za śmieszne. Uznałby ją za śmieszna. I to właśnie Mark...

- Nie zamierzasz spać? - zapytał w końcu Mark, przerywając ciszę. Było mu przykro, że wprowadził Leslie w zakłopotanie.

Leslie odrzuciła znad czoła kasztanowate loki, zasłaniające jej szafirowe oczy, i odparła z uśmiechem:

- Żadnego spania. Ja z kolei mam przecucie, że ta noc będzie pracowita.

Mark się uśmiechnął. Była taka wrażliwa. I taka dumna.

- Masz jakieś kłopoty z pacjentami? - zapytał.

- Nie. Pacjent z ostrą astmą którego właśnie przyjąłem, dochodzi do siebie. Przeglądam jego starą kartę. A potem będę bardzo zajęta - powiedziała. Była gotowa zarówno na ciężką pracę, jak i na spokojne czuwanie.

- A więc chyba pójdę do domu - rzekł Mark, nagle wstając.

Do domu. Słowa te zaskoczyły Leslie. Była dopiero siódma wieczorem. Od miesiąca Mark nie miał powodu wychodzić - przecież nie miał domu - często więc brał dodatkowe godziny w szpitalu. Ale nawet gdy mógł wyjść, bo dyżur mieli inni lekarze, zostawał, żeby pomóc Leslie. Przeglądał karty pacjentów, czytał gazety.

Widać to lepsze niż samotność, myślała Leslie, obserwując Marka. Lepiej, że jest tutaj, zamiast borykać się z pytaniami bez odpowiedzi, które z pewnością go dręczą. Ale szpital też nie dawał mu ukojenia. Choć próbował kryć swoje uczucia, Leslie dostrzegała ból i smutek w jego ciemnych oczach. Nie mówił o nich nikomu, nawet jej.

Ona oczywiście wiedziała, bo Janet była jej koleżanką. Często o tym rozmawiały.

Ale nigdy nie mówiła o tym z Markiem.

- Do domu - powtórzyła cicho.

- Jeśli nie potrzebujesz...

- Nie - przerwała Leslie. - Poradzę sobie.

Gdy oparł się o framugę, czekając, aż powie mu „dobranoc”, czuła emanującą z niego energię. Energię, zadowolenie, dreszczyk emocji. Widziała iskierkę nadziei w ciemnych oczach, w których od dawna nie lśniło nic. Czyżby Mark śpieszył się na spotkanie z Janet?

Nie. Leslie by o tym wiedziała.

Mark wychodził, pełen nadziei, na spotkanie z jakąś kobietą. Na myśl o niej jego oczy skrzyły się życiem i szczęściem.

- Miłego wieczoru - odrzekła Leslie z łagodnym uśmiechem, mimo że w sercu poczuła ukłucie.

- Nawzajem - Mark również się uśmiechnął. - Spróbuj się trochę przespać.

Kazałby jej spać i teraz, dziesięć godzin później. Doradzałby, żeby przespała się choć godzinę.

Czy on spał? - zastanawiała się Leslie, pijąc letnią gorzką kawę. Gdzie spał? I z kim...

Przestań o nim myśleć, nakazała sobie surowo. Postanowiła myśleć o pięknym, zaczynającym się dniu. Gdy wyjrzała przez okno, jej uwagę przykuła spowijająca miasto warstwa gęstej mgły pod bladej żółtym, jesiennym niebem.

Mgła. Nie powinno jej być, przecież to listopad. Taka mgła - gęsta, nieprzejrzysta, dusząca - występowała latem. Leslie usłyszała o słynnej letniej mgle San Francisco cztery miesiące temu, w dniu rozpoczęcia stażu. Cztery miesiące. Wydawało się jej, że upłynęło znacznie więcej czasu.

Ordynator przywitał stażystów z roku akademickiego 1980-1981, mówiąc, że bardzo się cieszy, widząc ich na swoim oddziale. Naprawdę się cieszył. Patrzył na stojących przed nim pełnych zapału, młodych lekarzy. Wiedział, że są najlepsi w kraju. Grupa stażystów, uważnie słuchająca słów ordynatora tego czerwcowego dnia, składała się z osób wybranych podczas surowej selekcji.

Wszyscy skończyli studia z wyróżnieniem. Wszystkich wybrano do klubu Alpha Omega Alpha, będącego odpowiednikiem Phi Beta Kappa. Jedyne pytanie, które najambitniejszy z nich mógłby zadać koledze, brzmiało: Kiedy wybrano cię do Alpha Omega Alpha? Na pierwszym roku? Na początku ostatniego? A może dopiero pod sam koniec?

Po ukończeniu studiów mieli miesiąc na przygotowanie się do stażu. Jedni po prostu odpoczywali, bo wiedzieli z plotek - choć wcale w to nie wierzyli - że to będzie bardzo wyczerpujący rok (ale przecież nie dla



nich). Inni podróżowali. Niektórzy pozawierali związki małżeńskie. Znaleźli się też i tacy, którzy wertowali książki medyczne lub studiowali specjalne podręczniki dla stażystów.

Wszyscy oprawili w ramki świeżo zdobyte dyplomy. Nikt jednak ani przez chwilę nie obawiał się nadchodzącego roku. Wszyscy chcieli odbyć staż w Szpitalu Uniwersyteckim w San Francisco. To była największa nagroda za ich ciężką pracę. Ten staż był najlepszy.

Oni byli najlepsi.

Tego czerwcowego dnia, gdy rozpoczął się staż, wszyscy byli pełni zapału. Gotowi. Ordynator przyglądał się im uważnie. Z wieloletniego doświadczenia wiedział, że chociaż są doskonale przygotowani, inteligentni, pełni zapału i pewności siebie, wcale nie są gotowi. Nie mogli być odpowiednio przygotowani do czekającego ich trudnego roku.

Próbował im to powiedzieć. Wiedział, że usłyszą słowa, lecz ich nie zrozumieją. Jeżeli powiedziałyby to za miesiąc, wtedy spojrzeliby na niego podkrążonymi oczami i mądrze pokiwali głowami. Za miesiąc zrozumieliby. Zastanawiał się, czy którekolwiek z nich zapamięta jego słowa, wypowiedziane tego dnia.

- Wasz staż będzie przypominał pogodę w San Francisco - stwierdził, patrząc na nich poważnie szarymi oczami.

Słuchali, uśmiechając się uprzejmie. Był przecież znanym lekarzem. To, że trafili na jego oddział, stanowiło dla nich najwyższe wyróżnienie.

- Latem mamy tu mgłę. Oczywiście, czasem błyska słońce, ale na ogół jest szaro i ponuro. I to w lecie, gdy powinno być odwrotnie. Takie będą letnie miesiące waszego stażu. Mgliste, mętne i ponure.

Stażysty patrzyli na niego zdumieni. To żart?

- Będziecie sobie stawiać pytania, na które nie znajdziecie odpowiedzi - wyjaśnił. - Napotkacie problemy, których nie zdołacie rozwiązać. Pacjentów, których nie będziecie mogli uratować. To nie są testy komisji państwowej. Testy te zawierają jasne pytania i prawidłowe odpowiedzi. Wiem z waszych zgłoszeń, jak dobrze się na nich spisaliście...

Śmieszek ulgi. Wie, jacy jesteśmy dobrzy. Ale o czym on mówi?

- Ale lekarze - ciągnął - zajmują się prawdziwymi pacjentami i zmagają się z wieloma mglistymi pytaniami bez wyraźnych odpowiedzi. Nadejdą dni, gdy szarość będzie się wam wydawać nieprzenikniona, tak jak mgła. A przecież latem oczekujemy słońca, nie mgły. Rozpoczynając staż, wy, najlepsi studenci, spodziewacie się, że zawsze znajdziecie prawidłową odpowiedź na każde pytanie.

Patrzył na nich, wiedząc, co myśli każdy z nich: „Ja znam prawidłowe odpowiedzi. Będę znać. Zawsze znałem”.

- Ale - przybrał ton żartobliwy - mgła waszego stażu podniesie się tak samo, jak letnia mgła w San Francisco. W połowie września zaczną wiać świeże, chłodne wiatry, a niebo stanie się czyste i błękitne. Poprawi się wam nastrój. Odzyskacie pewność siebie. Zrozumiecie, że odcienie szarości są nieodłącznym elementem medycyny. Od września wszystko będzie szło gładko.

Stało się tak, jak przepowiedział. Na początku było im bardzo trudno dostosować się do nowej pracy. Pozbyli się złudzeń. Ale ordynator obiecywał im przecież coś jeszcze. We wrześniu, gdy zaświeciło słońce, mgła znikła, niebo stało się niebieskie, a oni oswoili się ze szpitalem. Wiedzieli już, że dadzą sobie radę. Wprawdzie wyczerpanie, napięcie i ciągły wysiłek nie zmieniły się ani trochę. Ale mgła się podniosła.

Teraz, po jakichś dwóch miesiącach, mgła znów się pojawiła.

Jak by to wytłumaczył ordynator? Co mógł oznaczać powrót mgły? Stażyści stali się zbyt pewni siebie. Niech więc pojawi się mgła! Niech im przypomni.

Zastanawiając się nad znaczeniem i symboliką mgły, Leslie pomyślała ciepło o swoich rodzicach w Seattle. Matka, dziennikarka, i ojciec, profesor literatury angielskiej na Uniwersytecie Waszyngtona, spędzali całe godziny na analizowaniu symboli, metafor i ukrytego sensu w swoich ulubionych książkach i wierszach. Leslie, ich jedyna, ukochana córeczka, mimo genów, które powinny z niej uczynić pisarkę lub poetkę, miała duszę naukowca. Susan i Matthew Adams obserwowali jej rozwój z dumą miłością i zdumieniem. Jak to możliwe, że ich córka wołała Galileusza od Faulknera, pracę wolontariuszki w szpitalu od przedstawienia *Man and Superman*, projekty naukowe od powieści i fizykę od poezji?

Leslie, jako nieodrodna córka swoich uzdolnionych literacko rodziców, uznała w końcu, że listopadowa mgła nie jest mgłą zawodową. To nie sygnał, że nie opanowała należycie lekcji odcieni szarości i niepewności, więc powinna jeszcze popracować. Doszła do wniosku, że jeśli w ogóle jest to jakiś symbol, dotyczy jej spraw osobistych.

Do uszu Leslie dobiegały odgłosy budzącego się szpitala, przygotowującego się do nowego dnia. Windy, ciche i nieruchome przez całą noc, teraz jeździły bez ustanku, dowożąc na górę na stanowiska wypoczętą dzienną zmianę i zwożąc w dół wyczerpaną zmianę nocną. Leslie słyszała szcęk wózków ze śniadaniem przepychanych z sali do sali, stukanie wag przy łóżkach, ciche głosy pielęgniarek, zdających raport leka-

rzom, i prawie bezszelestne w butach na gumowych podszewkach kroki sanitariuszy, którzy co rano pobierali pacjentom krew.

Chociaż znajome odgłosy, niezaprzeczalnie obwieszczające koniec kolejnego nocnego dyżuru, napawały Leslie pewnością, jej myśli nie były całkiem spokojne. Wciąż zastanawiała się nad mgłą. Nad tą zaskakującą, gęstą mgłą za oknem. I nad mgłą w sobie samej - osobistą, spowijającą na dobre. Znowu.

Znowu. Ta mgła dręczyła ją całe lato. Ale tak jak mgła San Francisco, zniknęła - za sprawą silnej woli Leslie - we wrześniu. Teraz wróciła, spowijając ją od nowa, bo wszystko się zmieniło. Bo może nie było to już niemożliwe. Bo mogła ośmielić się o tym pomyśleć. O nim.

To nie było skomplikowane. Nie trzeba było kończyć studiów literackich, żeby rozszyfrować znaczenie tajemniczej mgły. Nawet naukowiec może postawić właściwą diagnozę, pomyślała Leslie. Nawet stażystka...

Diagnoza była prosta: lekarz Mark David Taylor.

## Rozdział 2

**Z**adzwoił budzik, zbyt gwałtownie przerywając przyjemny, choć niezapamiętany sen. Mark jęknął, przewrócił się na bok i wyłączył budzik. I w tej właśnie chwili uświadomił sobie dwie rzeczy. Po pierwsze, był ogromnie zmęczony, nawet bardziej niż wtedy, gdy nie spał. To drugie było jeszcze bardziej niezwykle. I zadziwiające. Pojął, że nie jest nieszczęśliwy. Pierwszym uczuciem po przebudzeniu, o kilka chwil wyprzedzającym świadomość, nie był znajomy smutek, który towarzyszył mu od miesiąca.

Tego ranka czuł się szczęśliwy, pełen zapału i energii, która prawie pokonała zmęczenie. Całkiem nowe uczucie. Mark nigdy go nie zaznał. Nawet przy Janet. Nawet na początku. Nigdy.

Gdy uświadomił sobie uczucie, z którym się obudził, przypomniał sobie jego przyczynę: Kathleen. Wiedział już, dlaczego jest jeszcze bardziej niewyspany niż zwykle. Kathleen wyszła o trzeciej w nocy. Jeszcze cztery godziny temu leżała w jego łóżku i wprawiała go w taki stan, że uczucie to pozostało nawet po jej wyjściu.

Kathleen. Myślał o niej, biorąc prysznic. Przypominał sobie minioną noc, dziwiąc się, że zna tę dziewczynę dopiero od tygodnia.

Myśląc o wydarzeniach zeszłego tygodnia, starał się nie przywiązywać do nich żadnego znaczenia. Wciąż dochodził do siebie po gniewnych słowach Janet, wciąż próbował zrozumieć, dlaczego tak ostro krytykowała ich małżeństwo. Dlaczego krytykowała jego. Od miesiąca nie mógł spać, choć był zmęczony; leżał w łóżku, zastanawiając się, jak ratować swoje małżeństwo, i myśląc, co by zrobił, gdyby się okazało, że tego związku nie da się uratować.

Od miesiąca żył z dnia na dzień. W rzadkich chwilach, gdy nie musiał się skupiać na pacjentach, próbował dociec, co się stało. Chciał zrozumieć gorzkie słowa Janet.

Z dnia na dzień.

A teraz była Kathleen i cudowne uczucie, które, przynajmniej na razie, odsunęło na bok przykrości związane z Janet.

Z dnia na dzień.

Kathleen.

Z nocy na noc.

Mark poznał Kathleen w Halloween. Miał wtedy dyżur.

- Zawsze masz dyżur w Halloween - powiedziałaaby Janet, gdyby nie rozstali się trzy tygodnie wcześniej.

Tak jak narzekała, że Mark zawsze ma dyżur w Święto Dziękczynienia lub w Boże Narodzenie (kiedy miała urodziny), w rocznicę ślubu lub w swoje urodziny. Oczywiście nie była to prawda. Tak się po prostu pechowo składało. Miał dyżur co trzecią noc, czasami co drugą. Zdarzało się, że dyżury kolidowały z wydarzeniami z prawdziwego świata, takimi jak święta, urodziny i rocznice.

- A co byśmy robili - zapytałaby Janet - gdybym w Halloween nie miał dyżuru? Poszlibyśmy na przyjęcie do moich przyjaciół, których większości nie cierpisz?

Swój stosunek do jego przyjaciół i do medycyny Janet też wykrzyczała mu przed trzema tygodniami.

- Nie cierpię twoich znajomych i nie cierpię medycyny - rzekła. I dodała cicho: - Myślę, że ty też.

W Halloween nie było już Janet, a Mark nie dbał o to, czy ma dyżur, czy nie. Zresztą dotyczyło to wszystkich innych dni. Tylko że Halloween oznaczało szaleństwo. Było jak pełnia księżyca, tylko gorsze. Ale ponieważ Mark miał dyżur na oddziale intensywnej terapii w Szpitalu Uniwersyteckim, wiedział, że Halloween niespecjalnie da mu się we znaki.

Atmosferą Halloween odczują najsilniej izby przyjęć, szczególnie ta w Szpitalu Głównym San Francisco. Lekarze będą opatrywać długie, głębokie rany, paskudne z powodu poziomu alkoholu we krwi ofiar. Będą nastawiać połamane kości, wynik nieuniknionych konfliktów podczas tradycyjnej Parady Gejów, przemierzającej się ulicą Castro wśród docinków „hetero”. Zobaczą pacjentów odurzonych narkotykami, na przykład anielskim pyłem (PCP), cierpiących na wywołane kokainą bóle głowy i palpacje oraz mających stare jak świat paranoiczne objawy po zażyciu marihuany.

O Halloween w izbie przyjęć krążyły dowcipy. Dowcipy te opowiadało się na przyjęciach. Kolegom. Medyczne dowcipy dla kolegów-lekarzy. Wszystko, czego nie cierpiała Janet.

Mark ucieszył się, że ma dyżur na oddziale intensywnej terapii, a nie w izbie przyjęć. Jego pacjenci będą chorzy. Ale nie będą dziwacznie poprzebierani ani odurzeni narkotykami, ani upojeni do nieprzytomności szaloną atmosferą Halloween.

Marka wezwano do izby przyjęć w Halloween o dziesiątej wieczorem.

- Mamy pięćdziesięciosześcioletnią kobietę z zamostkowymi bólami klatki - powiedział mu lekarz - promieniującymi do lewego ramienia, trwającymi około pięciu minut. Zareagowała na nitro. Cierpi na przewlekłą anginę, ale to trwało dłużej. Żadnych zmian w EKG. Teraz nie czuje bólu. Prawdopodobnie to tylko angina, ale chciałbym ją przyjąć jako podejrzenie. To lekki przypadek - dodał przeprasząc.

Przypadkiem nazywali przyjęcie pacjenta. Każde. Noc bez przyjęć była nocą bez przypadków. Lekki przypadek oznaczał, że pacjenta można by było odesłać do domu, ale...

Mark lubił lekkie przypadki. Wolał się mylić na korzyść pacjenta. Bezpieczniej będzie przyjąć tę kobietę. Na wszelki wypadek.

- Zgadzam się. Zaraz po nią zejdę. Macie tam niezły cyrk?
- Nieprawdopodobny.
- Przyjmę ją. Jeśli tutaj będzie spokój, chętnie przyjdę wam pomóc.
- Dzięki, Mark. Byłoby świetnie.

Mark stwierdził, że jego pacjentka, chociaż chora, przytomna i niebędąca pod wpływem narkotyków, ma na sobie kostium. Wprawdzie przebrano ją już w szpitalną koszulę, lecz jej głowę zdobiła biała peruka z pięknymi lokami oraz brylantowa tiara. Maria Antonina lub inna postać tego rodzaju, pomyślał Mark. Jednocześnie zauważył, że pacjentka wygląda pięknie, jest wytworna i pełna uroku. Wyciągnęła do niego zadbana, upierścienioną dłoń.



- Witam, doktorze Taylor - rzekła takim tonem, jakby właśnie spotkali się na przyjęciu.

- Dobry wieczór, pani Jenkins. Jak się pani czuje?

- Teraz dobrze. Naprawdę. Nie boli. Chyba mogłabym iść... - Nagle przerwała. Dla Marka było oczywiste, że ta elegancka, pełna wdzięku pacjentka wolałaby nie wracać do domu. Lekki przypadek stał się ciężki. Niepokoiła się. Czuła się gorzej, niż można było wnioskować z jej wyglądu. Ból musiał być silniejszy, niż opisała. Przyjąć. Przyjąć.

- Wolelibyśmy, żeby pani tu została - rzekł zdecydowanie Mark. - Czy teraz nie czuje pani żadnego bólu?

Skinęła głową z uśmiechem. W tym momencie oboje usłyszeli, że ktoś obok nich mówi:

- Mamo, rozmawiałam właśnie z ojcem. Och, dobry wieczór. Przepraszam! - wykrzyknęła z zakłopotaniem kobieta, gdy odsunawszy parawan zasłaniający łóżko i aparaturę medyczną stwierdziła, że matka nie jest sama.

Była przebrana. Miała na sobie aksamitną suknię do ziemi, w kolorze szarym i fioletoworóżowym, obszywaną perełkami, z głębokim dekoltem, odsłaniającym krągłe, pełne piersi. Czarne włosy upięte w kok i ozdobione perełkami. Na widok Marka w jej okolonych ciemnymi rzęsami fioletowych oczach pojawił się błysk miłego zaskoczenia.

- Kathleen, to jest doktor Taylor z kardiologii. Doktorze, oto moja córka Kathleen.

- Witam - powiedział Mark. Jest piękna, pomyślał.

- Witam - odrzekła Kathleen. Rzuciła okiem na matkę. Wyraźnie jej ulżyło, gdy zobaczyła, że pacjentka wygląda dobrze. Przez chwilę przyglądała się lekarzowi matki.

Stereotypy, myślała Kathleen, wysoki brunet, przystojny. Stereotypy. Wysoki. To było stwierdzenie faktu. Kathleen nieco je upiększyła. Mark miał doskonałą sylwetkę. Brunet. To określenie absolutnie nie oddawało uroku ciemnokasztanowych włosów, wijących się zmysłowo nad uszami i na karku, i myślących, poważnych, piwnych oczu, które, podkrążone, wydawały się jeszcze ciemniejsze. Przystojny. Niesamowicie, wyjątkowo przystojny, stwierdziła Kathleen. Cały zestaw: ciemnowłosy, poważny, silny i romantyczny.

Wysoki, przystojny brunet. Te słowa nie oddawały wszystkiego.

- Co z mamą? - zapytała po chwili Kathleen.

- Wszystko w porządku - odpowiedzieli jednogłośnie Mark i Virginia Jenkins.

- Wygląda na to, że nie stało się nic groźnego, ale dla pewności zatrzymamy panią na dwa, trzy dni - wyjaśnił Mark.

- Jako „podejrzanie” - wytłumaczyła córce Virginia Jenkins.

Mark spojrział na piękną matkę i na piękną córkę, unosząc brew. „Podejrzanie” było żargonowym określeniem medycznym, skrótem od „podejrzania zawału mięśnia sercowego”. W niektórych szpitalach takiego pacjenta nazywano PZMS. Tam podczas porannej odprawy lekarz powiedziałby: „W nocy przyjęliśmy dwóch PZMS-ów”. Natomiast w Szpitalu Uniwersyteckim San Francisco lekarz oświadczyłby: „Przyjęliśmy dwa podejrzania”.

Najwyraźniej Virginia i Kathleen Jenkins bywały w szpitalach, w których preferowano sformułowanie „podejrzanie” i dobrze je znały.

- Doktor Taylor wszedł chwilę przed tobą więc nie zdążyłam mu opowiedzieć o swoich dolegliwościach. Mam chorobę wieńcową - wyjaśniła Markowi - potwierdzoną angiogramem. Nie jest jeszcze tak źle, żeby trzeba było wszczepiać by-passy. Ale lecę się w Klinice Atherton, u doktora Browna. Od czasu do czasu odzywa się moja chroniczna angina pectoris, więc przyjmują mnie do szpitala jako „podejrzanie”. Na szczęście zawsze na tym się kończy - dodała zdecydowanie, ale w jej głosie pobrzmiwał niepokój.

Dzisiejszy ból był inny, pomyślał Mark. Tylko ona się do tego nie przyznaje. Nawet przed sobą.

- Dobrze, że pani mi to powiedziała, pani Jenkins. Gdy tylko umieścimy panią na górze, zadzwonię do doktora Browna.

- Byłyśmy na balu w Fairmont - wtrąciła Kathleen. - Pomyślałyśmy, że lepiej zgłosić się tutaj, niż jechać aż do Palo Alto. Mama zwykle leczy się w szpitalu Stanforda. - Uprzejmością i wdziękiem Kathleen dorównywała matce. Kobiety nie chciały urazić ani lekarza Virginii, ani Marka.

- Postąpiły panie bardzo słusznie. Będziemy o wszystkim informować doktora Browna i jeśli pani zechce, za dzień lub dwa przewieziemy panią do Stanforda.

- Jeśli poziomy enzymów są w normie, to i tak za dwa dni wrócę do domu. Mogę więc zostać tutaj.

Mark pracował w szpitalu już drugi rok. Był o rok wyżej niż Leslie i nadzorował jej staż. Leslie zajmowała się wszystkimi pacjentami przyjętymi przez Marka podczas nocnych dyżurów. Potem leczyli ich razem, Leslie jako stażystka, Mark jako jej opiekun.

Następnego dnia po Halloween Leslie od rana zajęła się Virginią Jenkins. Po południu poziom enzymów wskaźnikowych u pacjentki był nieco

podwyższony, a elektrokardiogram wykazywał drobne zmiany odcinka ST bez załamek Q.

- Miała lekki zawał. Prawdopodobnie bolało ją dłużej, chociaż upierała się, że to trwało tylko pięć minut. W nocy nie przyznała się do wszystkiego. Na pewno dziś ci to opowie, Leslie - rzekł Mark. - Nie trzeba naciskać, bo mamy diagnozę. Ale pacjentka musi rozumieć, że to, co czuła, a o czym nam nie mówi, to ważny sygnał ostrzegawczy.

Virginia Jenkins opowiedziała Leslie wszystko. To nie było wyznanie. Kobieta dziwiła się, że słabość, którą odczuwała przez cały dzień - słabość i poczucie ciężkości bez bólu - wynikała z choroby serca.

Kathleen przebywała w pokoju matki tak długo, jak pozwalały godziny wizyt. Pomiędzy wizytami czytała coś w poczekalni. Na wieść o przyjęciu żony do szpitala William Jenkins natychmiast wrócił z Nowego Jorku. Odwiedzał Virginie głównie wieczorami.

Mark uznał, że w świetle dziennym Kathleen wygląda jeszcze piękniej, w miękkich, jedwabnych bluzkach i dopasowanych spódnicach, z rozpuszczonymi, długimi włosami. Spokojna, niepodkreślana, elegancka piękność.

Mark i Kathleen widywali się kilka razy dziennie. Czasami tylko do siebie machali, gdy ona siedziała w poczekalni, a on biegł na obchód, do izby przyjęć, na oddział intensywnej terapii lub na radiologię. Gdy tylko mógł, zatrzymywał się choćby na chwilę, żeby zamienić z nią kilka słów. Mark, Kathleen i jej rodzice codziennie rozmawiali o stanie zdrowia pacjentki i o planie leczenia. Jenkinsowie spokojnie przyjęli wiadomość o lekkim ataku serca Virginii.

- To ostrzeżenie, mamó - rzekła Kathleen lekko drżącym głosem. - Za bardzo się nadwerężasz.

Ustalono, że Virginia spędzi kilka dni na kardiologii Szpitala Uniwersyteckiego San Francisco. Potem, jeśli pozwoli na to jej stan, po dziesięciodniowej hospitalizacji zostanie przewieziona do Stanforda na rekonwalescencję.

W tym czasie Mark i Kathleen niewiele się o sobie dowiedzieli, ale rozmowy, a nawet spojrzenia sprawiały obojgu przyjemność. Przy każdym spotkaniu ciepłe uczucie stawało się coraz silniejsze.

O ósmej wieczorem w przeddzień przewiezienia Virginii do Stanforda Mark zastał Kathleen w poczekalni dla odwiedzających. Znow miał dyżur, ale nie był zbyt zajęty - nie na tyle, żeby się na chwilę nie zatrzymać.

- Cześć - uśmiechnęła się Kathleen. Przez jej fiołkowe oczy przemknął cień niepokoju. - Czy mama...

- Wszystko w porządku. Stabilna. Chciałem się tylko przywitać. I pożegnać. Możemy się nie zobaczyć rano.

- Och - mruknęła Kathleen, lekko marszcząc brwi. Potem dodała: - Na pewno ciężko pracujesz. Spędzasz tu cały czas. Twojej żonie musi być z tym ciężko.

Wzrok Kathleen padł na obrączkę Marka. Była to gładka, solidna obrączka z osiemnastokaratowego złota. Bardzo tradycyjna. Bardzo żonaty.

Ale nie zachowuje się jak bardzo żonaty, pomyślała Kathleen.

Mark spojrzał na obrączkę. Wciąż ją nosił. Przecież jego małżeństwo nie przestało istnieć, tylko były kłopoty. Mark nie wiedział, czy on i Janet kiedykolwiek zdołają zapomnieć o gniewnych, gorzkich słowach. Było jeszcze za wcześnie, żeby to wiedzieć, za wcześnie, żeby coś przewidywać. Tkwili w zawieszaniu. Od tamtego październikowego popołudnia kilkakrotnie rozmawiał z Janet przez telefon. Rozmowy były ciężkie, przerywane trudnymi chwilami milczenia i słowami, które sprawiały jeszcze większy ból. Mark i Janet ustalili, że przez jakiś czas muszą być osobno, żeby gniew i emocje opadły, żeby wszystko przemyśleć. Potem może spróbują coś naprawić.

Mark nie uważał, że jego małżeństwo się skończyło. Nie rozumiał nawet, dlaczego Janet uznała je za złe. Chociaż przeprowadził się do malutkiego mieszkania w pobliżu szpitala, kupił nową, niezbyt drogą wieżę stereo i otworzył własne konto, nie zdjął obrączki. Nie przeszło mu to nawet przez myśl.

Przeniósłszy wzrok z roziskrzonych, fiołkowych oczu Kathleen na podniszczony krążek z miękkiego złota, wręczony mu przed pięcioma laty przez kobietę, z którą prawie nie mógł już rozmawiać, Mark zastanawiał się, dlaczego wciąż ma obrączkę na palcu.

- My, żona i ja, jesteśmy w separacji - powiedział Mark fiołkowym oczom, które natychmiast otworzyły się szerzej. Kathleen była pierwszą osobą, której to powiedział. Zakładał, że wiedziała o tym Leslie, bo przyjaźniła się z Janet. Ale Leslie nie mówiła o tym, bo to nie było w jej stylu. Nikt inny nie wiedział. Do teraz.

- W separacji? - powtórzyła cicho Kathleen.

- Od około miesiąca.

- Próbną separacją? - zapytała Kathleen.

- Ciekawe, co to znaczy - zastanawiał się głośno Mark. Dopóki nie wymówił słowa „separacja”, nie określał tego, co stało się z nim i z Janet. Z ich małżeństwem. - Próbną separacją. To znaczy spróbujemy, a jeśli się nam spodoba, będziemy się rozstawać częściej. Albo...

Kathleen się zaśmiała. Był to cichy, uroczy śmiech uznania.

Mark wzruszył ramionami i uśmiechnął się. Od jakiegoś czasu nikt go nie doceniał. Nikt nie doceniał Marka-osoby. Marka-mężczyzny. A ostatnio Janet nie doceniała nawet jego niekwestionowanego osiągnięcia: Marka-lekarza.

- Czy to oznacza - zapytała w końcu Kathleen, gdy ich roześmiane oczy spotkały się na chwilę - że mógłbyś pójść ze mną na przyjęcie?

- Och! - Mark był zaskoczony, zadowolony. Teraz, gdy to, co działo się z nim i Janet, miało nazwę - separacja - potrzebna też była definicja.

Myśl ta zajęła mu tylko chwilę, ale Kathleen dodała szybko:

- Czy też byłoby to nieetyczne ze względu na mamę?

- Nie - rzekł zdecydowanie. - I tak. Jasne. Bardzo chętnie.

Kathleen kiwnęła głową z uśmiechem.

- Ale nie mam żadnego stroju w stylu Henryka VIII.

- Ludwika XIV!

- Racja. Wiedziałem. Myślałem, że jesteś Marią Antoniną.

- To były tylko stroje z epoki Ludwika XIV. Nie chcę nawet udawać kogoś, kogo zgilotynowano.

- Nie. - Mark zadrżał.

- Ojej - powiedziała nagle Kathleen.

- Co? - Czy obmyśla wdzięczny sposób na wycofanie zaproszenia?, pomyślał z przykrością Mark.

- Cóż, nie obowiązują specjalne stroje, ale - zmarszczyła nos - to przyjęcie zaręczynowe. Mojej najlepszej przyjaciółki. Czy nie będzie ci przykro?

- Nie - powiedział Mark z ulgą, że nie wycofała zaproszenia. Ale, pomyślał, może być trudno. Nie wiem. Sprawdzę. Wtedy przypomniał sobie prawdziwą przeszkodę. - Kiedy jest to przyjęcie? Mogę mieć dyżur.

- Nie masz! Przynajmniej tak wynika z moich obliczeń. Przyjęcie jest w najbliższy czwartek. Pojutrze. Masz dyżur dziś, a skoro jesteś w szpitalu co trzecią noc, to następny raz przypada w piątek. Zgadza się? Możesz przyjść?

- Tak. Mogę - powiedział Mark, mile połączony faktem, że zadała sobie trud, by poznać ten drobny szczegół z jego życia.

W czwartek wieczorem, myślał Mark. Przyjęcie w czwartek wieczorem. Czwartkowy wieczór to wieczór szkolny - przynajmniej taki był dla Marka od przedszkola aż do studiów medycznych. Przez dwadzieścia lat. Potem, przez ostatnie dwa lata, jako stażysta i lekarz, Mark czuł, że czwartkowy wieczór jest wieczorem w pracy. Albo wieczorem przed długim dniem pracy. Na pewno nie wieczorem zabawy.



Kto wydaje przyjęcia - i to zaręczynowe - w czwartkowy wieczór?  
Dowiem się.

Kathleen podała mu numer telefonu swoich rodziców w Atherton. Następnego wieczoru uzgodnili telefonicznie, że Kathleen przyjedzie po Marka o wpół do ósmej. Przyjęcie zaręczynowe miało się odbyć w prywatnym domu w pobliżu Presidio o ósmej.

W czwartek wieczorem Mark wyszedł ze szpitala o siódmej, pobiegł do mieszkania, wziął prysznic, ogolił się i właśnie zawiązywał krawat, gdy przysła Kathleen, punktualnie o wpół do ósmej.

- Cześć - powiedział, jak zwykle olśniony jej wyglądem. Dziś upięła czarne włosy w miękkie loki, opadające na długą, kremową szyję. Mark wziął jej płaszcz z wielbłądziej wełny i w milczeniu podziwiał fioletową, jedwabną suknię koktajlową.

- Cześć. Przyszłam za wcześniej?

- Nie, akurat. Jestem prawie gotowy. Wyszedłem ze szpitala dopiero o siódmej.

- Mogłeś wyjść?

- Tak. Oczywiście. - Inaczej bym nie wyszedł, pomyślał Mark. Janet to wiedziała. Może Kathleen nie. Tylko że Kathleen zrozumiałaby to, powinna, bo jej matka leżała w szpitalu. Kathleen-byłaby oburzona, gdyby lekarz zostawił jej matkę w potrzebie tylko dlatego, że był umówiony z nią.

Kathleen usłyszała ostrą nutkę w głosie Marka, rozejrzała się więc po mieszkaniu, próbując zmienić temat rozmowy. Wyglądało okropnie. Było malutkie. Salon, jadalnia i kuchnia znajdowały się w jednym pomieszczeniu. Na podłodze stało mnóstwo nie rozpakowanych, tekturowych pudeł. W mieszkaniu było czysto, aż sterylnie. Jediną oznakę życia stanowiła wieża stereo ustawiona na podstawie, dwa głośniki i półka z płytami.

Kathleen nie przychodziła do głowy ani jedna pozytywna uwaga na temat mieszkania, a Mark był niezadowolony z jej ostatniego pytania. Może gdyby obejrzała płyty...

- Paskudnie, co? - zapytał.

Jego głos zatrzymał ją, gdy zrobiła pierwszy krok w stronę wieży.

Kathleen odwróciła się powoli i uśmiechnęła do niego. Spojrzeli sobie w oczy.

- To odzwierciedla pojęcie „próbne rozstanie”, prawda? - zapytała swobodnie, z roziskrzonymi oczami.

Oboje się roześmieli.

## Rozdział 3

Janet byłaby zachwycona przyjęciem zaręczynowym, pomyślał Mark. Był tu jedynym lekarzem. Pozostali, jak się domyślał, stanowili intrygujące zbiorowisko prawników, maklerów giełdowych, specjalistów od analizy rynku, pracowników reklamy i dyrektorów. Powyżej yuppie, uznał Mark. Ludzie ci, znajomi Kathleen, nie walczyli o to, żeby dotrzeć na szczyt. Mimo że nikt z obecnych nie przekroczył trzydziestego piątego roku życia, było jasne, że wszyscy już tam dotarli. Mieli władzę, bogactwo i pewność siebie.

Nikogo nie obchodziło, że Mark jest lekarzem, za to wszystkich, że przyszedł z Kathleen. To ich interesowało. Mężczyźni przyglądali mu się z ciekawością kobiety ze szczerym podziwem.

- Mój Boże, Katie, skąd go wytrzasnęłaś? - pytały w jego obecności piękne kobiety, przyjaciółki Kathleen.

A za jego plecami szeptały: „Kiedy z nim skończysz, daj mi jego numer telefonu, proszę!” - i - „Czy jest żonaty?”

Obrączka! Wciąż miał ją na palcu. Zamierzał ją zdjąć, przynajmniej na ten wieczór. Albo tego wieczoru. Nie był pewien. Ale gdy przyszła Kathleen, zapomniał. Bezwładność? Ambiwalentne uczucia? A może wyjaśnienie było mniej znaczące? Może po prostu zapomniał z przepracowania?

Mark z zainteresowaniem przysłuchiwał się rozmowom przyjaciół Kathleen. Mówili o książkach, polityce, teatrze, giełdzie papierów wartościowych, sporcie, restauracjach, wakacjach i nieruchomościach. Mark nie miał wiele do dodania. Ostatni raz był w kinie na *Gwiazdnych wojnach*. Wiedział za to, że Forty Niners wreszcie mieli udany sezon. Po rozstaniu z Janet zaczął oglądać wieczorne i poranne wiadomości, zarówno dla towarzystwa, jak i dla informacji. Przynajmniej wiedział, co się dzieje. Oczywiście dużo czytał, ale wszystkie niemedyczne książki, po które sięgnął w ciągu ostatniego roku, napisano przed stu laty.

Dla nikogo nie miało znaczenia, że Mark niewiele mówi. I tak pasował do towarzystwa. Uśmiechał się w odpowiednich momentach i był dobrym słuchaczem. Ale był mile widziany przede wszystkim dlatego, że przyszedł z Kathleen. Kathleen była królową pszczoł. To była jej grupa. Jej przyjaciele. Kochali ją i szanowali. Polubili mężczyznę, z którym przyszła, może jej go zazdrościli.

Mark uświadomił sobie, jak niewiele o niej wie.

Ile ma lat? Gdy poznał ją przy łóżku jej chorej, lecz żywej matki, uznał, że jest młoda. Mogła mieć dwadzieścia lat. Jednak teraz, kiedy ze

znawstwem wypowiadała się o *Joannie*, nowym musicalu przygotowanym przez teatr Union Square, wydawała się starsza. Mogła mieć dwadzieścia lat. Albo trzydzieści. Albo więcej.

Z wyglądu Kathleen nie można było niczego wywnioskować. Jej ożywiona twarz bez zmarszczek zmieniała wiek w zależności od nastroju. Kathleen wydawała się starsza, gdy rozmowa dotyczyła poważnych tematów, młodsza, gdy się śmiała albo żartem dokuczała przyszłej panie młodej.

Czym się zajmuje Kathleen? Jeśli ma dwadzieścia lat, zapewne studiuje. Ale to są jej przyjaciele. Nie mają dwudziestu lat i nie są studentami. Mają ważną, odpowiedzialną pracę. Mark wiedział, że Kathleen łączy coś z teatrem Union Square, ale odnosił wrażenie, że nie jest to praca.

Mark zauważył, że nikt jej nie zapytał: „Jak tam w pracy?”

Nie zadawano Kathleen wielu osobistych pytań, z wyjątkiem „Jak się czuje matka?” i z gestem w stronę Marka, „Kto to jest?”, a potem, szeptem: „Co się stało z Billem? Myślałam...”

Kathleen wyraźnie drażniły osobiste pytania o Marka zadawane w jego obecności. Fiołkowe oczy spoglądały groźnie na ciekawskie przyjaciółki, które natychmiast odbierały sygnał. Mark był inny. Kathleen na nim zależało. Przyproceedziła go na przyjęcie, bo chciała z nim być. To była randka, ich randka. Mark nie był tylko kimś, kogo pokazuje się znajomym.

Tak, uświadamiali sobie przyjaciele Kathleen, Mark jest zupełnie inny.

Wieczór trwał. Ośmielona szampanem albo uśmiechami Marka Kathleen odważyła się go dotknąć. Niepewnie położyła mu na ramieniu swoją szczupłą, białą dłoń, poznaczoną delikatnymi, błękitnymi żyłkami. Doskonale zadbane, wypolerowane paznokcie lekko dotknęły jego przedramienia.

Mark położył na jej dłoni swoją dłoń. Po kilku chwilach splełli palce. Duża dłoń Marka z krótko obciętyimi paznokciami - do bezbolesnego opukiwania klatki piersiowej i badania brzucha - przykryła jej delikatną, wytworną rączkę. Kathleen nie nosiła pierścionków, a jej dłoń była biała i czysta. Dłoń Marka, dłoń, która odwzajemniała uścisk, dłoń, która pragnęła dotykać więcej, nie była tak czysta. Tę dłoń zdobiła złota obrączka.

- Wyjdźmy na taras. Jest chłodno, za to cudowny widok - szepnęła Kathleen po chwili, gdy już mieli dość rozmowy z jej ciekawskimi przyjaciółmi.

Okazało się jednak, że nie ma żadnego widoku. Gdy byli w domu, opadła mgła. Gęsta, ciężka, nieprzejrzysta mgła. Za balustradą tarasu nie widzieli niczego.

- Wieczorna mgła! - wykrzyknęła Kathleen. - To niezwykle w listopadzie!

- Och, cóż - mruknął Mark, obejmując ją. - Zimno ci?

- Nie, gdy mnie obejmujesz - odpowiedziała cicho, przysuwając się bliżej. - Chcesz wyjść? Jest prawie dziesiąta.

- Cóż, to... - Mark przerwał.

- Szkolny wieczór? - zapytała szybko Kathleen.

- Szkolny wieczór. Nie chciałbym cię odciągać od znajomych.

- To pierwsza z miliona przedślubnych imprez Betsey i Jeffa. Oczywiście musiałam się pokazać, ale teraz możemy już sobie iść.

Mark chciał wyjść, ale nie dlatego, żeby się wyspać. Chciał po prostu być sam z Kathleen. Był z nią sam teraz, na tarasie, a ta chwilą gdy ją do siebie tulił i z nią rozmawiał, była doskonała. Zbyt doskonała, żeby ją przerywać.

- Czyj to dom? - zapytał Mark.

- Rodziców Jeffa. Powiedzieliśmy im, że przyjęcie jest tylko dla młodzieży. Spędzą noc w Stanford Court. Przyjęcie potrwa do rana.

Mark zastanawiał się, czy Kathleen tu wróci, kiedy się rozstaną.

- To twój dobry znajomi, prawda? - zapytał Mark. Przygotowywał się do zadawania trudniejszych pytań. Ile masz lat? Czym się zajmujesz? Kim jesteś?

- Moi najlepsi przyjaciele. Z dzieciństwa. Moi najstarsi, najdrożsi przyjaciele. Znamy się od...

- Od czasów Katie? - zapytał Mark, zastanawiając się nad mężczyznami. Ilu z nich było chłopakami Kathleen? Z iloma z nich spała? Czy z którymś z nich sypia teraz? Kim jest Bill?

Kathleen mogłaby mu powiedzieć, gdyby zapytał. Sześciu. Sześciu było jej chłopakami. Prawdziwymi chłopakami. Męskimi przyjaciółmi. Mogła mu powiedzieć. Ale może nie.

Kathleen zaśmiała się, kiwając głową.

- Tak, od czasów Katie. To były dobre czasy. Miałam długie czarne warkoczki i byłam śliczną grzeczną Katie. Potem skończyliśmy szkołę średnią. Porozjeżdżaliśmy się po kraju, spotykaliśmy się tylko w święta i wakacje. Wtedy nazywano mnie Kit albo Kit-Kat. - Kathleen zawahała się, potem dodała: - I Kitz! Okropność.

- Wolisz Kathleen.

- Tak.

- Ja też - powiedział Mark. Po chwili zapytał: - Porozjeżdżaliście się skąd?

- Co? Och, przeważnie z Atherton. Niektórzy, jak Jeff, z samego San Francisco. Byliśmy... nie, jesteśmy Dziećmi Klubu Carlton. To klub

w Atherton. Wyższa klasa, wiesz - powiedziała, chichocząc i z brytyjskim akcentem. - W każdym razie poznaliśmy się tam jako dzieci, spędzaliśmy tam każde lato, jeździliśmy konno, pływaliliśmy, graliśmy w tenisa, bawiliśmy się na przyjęciach i potańcówkach. Niektórzy z nas chodzili razem do szkoły, ale raczej byliśmy rozproszeni po prywatnych szkołach w Stanach Zjednoczonych i Szwajcarii.

- Bogate dzieci.

- O tak - stwierdziła wesoło Kathleen. - Rozpoznałbyś nazwiska co najmniej połowy ludzi w tym domu. Większość z nich pracuje w... Nazwijmy rzecz po imieniu, kieruje firmami noszącymi te nazwy. Niektórzy całkowicie zerwali z rodziną i zaczęli wszystko od nowa. Niektórzy nie robią nic.

Mark miał nieodparte wrażenie, że Kathleen należy do ostatniej grupy. Ale zapytał:

- Czy ty pracujesz w firmie rodzinnej?

- Znasz jakąś firmę z „Jenkins” w nazwie? - zapytała lekko, odwracając się w jego ramionach tak, żeby na niego spojrzeć. Popatrzyła mu w oczy. Jej oczy były roziskrzone, uśmiechnięte. Zaczepne.

- Nie - odpowiedział, pragnąc ją pocałować.

- Chcesz wiedzieć, czym się zajmuje mój ojciec? - zapytała. Jej twarz była blisko jego twarzy.

- Jasne - westchnął, czując, że jej ciało przytula się mocniej do jego ciała.

- Jest prezesem międzynarodowej firmy komputerowej, o której, założę się, słyszałeś.

- Och? - Marka to nie obchodziło. Pocałuje ją. Dzięki mgłę wszystko jest dozwolone. A Janet go rzuciła.

Kathleen powiedziała mu nazwę firmy, gdy ich usta się spotkały. Mark znał tę nazwę.

Teraz obchodziły go tylko jej miękkie, ciepłe i spragnione usta. I jego własne. I cudowne ciało, które tuliło się do niego. I miękkie, jedwabiste włosy, które opadły jej na plecy, gdy się całowali. Mark objął ją i całował, zachwycony delikatnością jej skóry, lekkim dotykiem jej dłoni na swoim karku, ciepłem jej ust.

Kathleen zadrżała.

Mark się odsunął.

- Zimno? - zapytał. Oczywiście, że jej zimno, pomyślał, w cieniutkiej jedwabnej sukni, przy tej listopadowej mgłę. Mimo jego ciepłych pocałunków i obejmujących ją ramion, było jej zimno.

- Nie wiem - powiedziała. To chłód albo zdenerwowanie, pomyślała. Jestem zdenerwowana? Niespokojna?



- Drżysz.
- Pewnie z zimna.
- Wejźmy do środka.
- Wejźmy i wyjdźmy.
- Dobrze.

W milczeniu jechali do mieszkania Marka. Trzymał jej rękę, puszczając ją tylko po to, żeby zmieniać biegi w swoim starym volkswagenie garbusie. Mglisty nastrój rozproszyło ostre światło w domu i znaczące spojrzenia najlepszych przyjaciółek Kathleen. Znaczące, lekko zazdrosne spojrzenia na piękną kobietę z włosami opadającymi zmysłowo na plecy i zarumienionymi policzkami. Wiedziały, dlaczego Kathleen i jej wysoki, przystojny brunet wychodzą tak wcześnie. I były odrobinę zazdrosne.

Przyjaciółki Kathleen wiedziały, bo znały Kathleen. Wiedziały, że Kathleen zawsze dostaje to, czego chce. Bez wysiłku. I wiedziały, jak bardzo mężczyźni pragną Kathleen. Od zawsze.

Ale gdy Mark i Kathleen jechali w milczeniu, trzymając się za ręce, Kathleen nie wiedziała. Mark też nie wiedział.

Wiedział, że jej pragnie. Wiedział, że pragnie przytulić do siebie jej nagie ciało, całować ją, kochać się z nią.

W jego uszach brzmiały słowa Janet:

- Nawet nie chcesz się już ze mną kochać. Może nie możesz.

Mark chciał się kochać z Kathleen. Od dawna niczego tak nie pragnął.

A Kathleen chciała się kochać z Markiem, ale ją to przerażało. Przebrażało, bo Mark nie był Dzieckiem Klubu Carlton. Podchodził do wszystkiego bardzo poważnie. Dnie i noce ratował ludzi albo patrzył, jak umierają. Nie był jeszcze gotów odejść od swojej żony, mógł ją zranić.

Tego, co czuła do niego, nie czuła - nie całkiem - do nikogo przedtem.

- Masz ochotę wejść? - zapytał, parkując garbusa za jej bmw. Mogłaby wsiąść do samochodu i wrócić na przyjęcie albo pojechać do domu, albo tam, gdzie chodzą Dzieci Klubu Carlton o dziesiątej trzydzieści, gdy ludzie pracujący już śpią.

- Jasne - powiedziała, drżąc w swoim płaszczu z wielbłądziej wełny.

Mieszkanie Marka znajdowało się na drugim piętrze starej, wiktoriańskiej kamienicy, którą przebudowano na czynszówkę. Mieszkali tu głównie lekarze, bo do Szpitala Uniwersyteckiego szło się stąd zaledwie pięć minut - chociaż pod górę.

Mark trzymał Kathleen za rękę, prowadząc ją po schodach. Nie podjął żadnej decyzji z wyjątkiem tego, że nie chce, żeby odeszła. Gdy zbliżali

się do drzwi, usłyszał dzwonek telefonu. To pewnie Janet. Nie odzywała się od tygodnia. Nie dzwoniła, uświadomił sobie, odkąd poznałem Kathleen. To mogła być tylko Janet. Leslie miała dyżur, ale nie dzwoniłaby do niego w jego wolny wieczór. W szpitalu byli doświadczeni lekarze, którzy zawsze by jej pomogli. To mogła być tylko Janet. Niech dzwoni.

Mark zwolnił. Otworzył drzwi dopiero wtedy, gdy telefon umilkł. W mieszkaniu Mark od razu wyłączył telefon i odwrócił się, żeby spojrzeć na Kathleen.

- Pewnie Janet powiedziała, bo nie przychodziło jej do głowy nic innego. Bo Janet była bardzo ważna, czy dzwoniła, czy nie.

- Pewnie tak. Wie, że często wyłączam telefon, gdy nie jestem na dyżurze - powiedział. - Napijesz się czegoś?

- Nie, dziękuję.

Mark ułożył cztery płyty w podajniku wieży. Potem włączył.

Żadne z nich nie wypowiedziało słowa ani się nie poruszyło, dopóki igła nie dotknęła płyty i dopóki nie zaczęła się muzyka. W takich chwilach Kathleen próbowała zgadywać. Co to będzie? Jazz? Blues? Rock and roli? Waylon Jennings czy Neil Diamond? Barbra Streisand czy Beverly Sills? Mozart czy Bee Gees?

Te cztery płyty, najwyraźniej ulubione, wciąż odtwarzane, powiedzą jej coś nowego, coś innego o nim.

Mark wysłuchał pierwszych kilku taktów, ustawił głośność i spojrział na nią pytająco.

- *Szeherazada* - powiedziała Kathleen, uśmiechając się i patrząc mu w oczy.

- Bardzo dobrze - pochwalił, podchodząc do niej. - Chcesz zdjąć płaszcz?

Kathleen spojrzała na niego i powiedziała cicho, odważnie:

- Chcę, żebyś ty zdjął mi płaszcz.

I sukienkę, pomyślała, znów drząc.

Mark się uśmiechnął. Całował ją odpinając obciążane skórą guziki płaszcza. Gdy go zdjął, przytulił ją do siebie, wciąż całując, i sięgnął do maleńkich, obciążanych jedwabiem guziczków sukienki. Zaczął je cierpliwie odpinać jedną ręką drugą wsuwając w jej miękkie, splecione czarne włosy, przytrzymując jej głowę, przysuwając jej usta do swoich.

W końcu cierpliwość zaczęła go zawodzić.

- Ile jest tych guzików? - zapytał.

- Zbyt wiele - odpowiedziała. - Szykowna sukienka, ale niepraktyczna.

- Może za bardzo się spieszę?

- Chyba oboje się spieszymy - rzekła Kathleen. - Nie mam czasu o tym myśleć.

- Ja już to przemyślałem - powiedział Mark. Podjął decyzję.

- Tak?

- Tak. Ale czy pomożesz mi przy tych cholernych guzikach?

- Z przyjemnością.

Łóżko Marka stanowił podwójny materac bez stelaża, leżący na podłodze. Pościel uszyto z szorstkawej bawełny, poduszki były nierówne.

To nie miało znaczenia.

Przytulał jej śliczne, nagie ciało do swojego, szczupłego i silnego, całując ją, dotykając językiem, poruszając nią, poruszając się z nią w rytm muzyki, którą uwielbiał, szepcząc jej imię.

- Kathleen.

- Mark.

Uśmiechnęli się do siebie z otwartymi oczami i zamkniętymi ustami, aż pożądanie, które dostrzegli w swoich oczach, kazało im je zamknąć i otworzyć usta. Poruszali się razem, zagubieni w ciepłe swoich ciał, nastroju muzyki i namiętności.

- Och, Mark! - szepnęła, gdy cudowne uczucie zaczęło się nasilać.

- Kathleen. - Czuł jej coraz krótszy oddech, bicie serca i rytm jej bioder. Pod jej chłodną, jedwabistą skórą pulsowało pożądanie. Pragnęła go tak bardzo, jak on jej.

Gdy przestali się kochać po raz pierwszy, oddech Marka uspokoił się. Mark z ociąganiem zsunął się z Kathleen, żeby też mogła swobodnie oddychać.

Szepnął:

- Kitzy.

- Zapłacisz za to!

- Naprawdę? Jak?

- Zaraz ci pokażę. Tylko dojdę do siebie. - Przynęła się do niego i dotknęła jego włosów. - A może powinnam już iść? Jest późno.

- Nie chcę, żebyś wychodziła. Nigdy.

- Kiedyś będę musiała. Moi rodzice martwią się, jeśli nie wracam do domu przed świtem - powiedziała, uśmiechając się do jego myślących, piwnych oczu. - Sprawdźmy, jak się spisałam.

- Przecież wiesz. Sensacyjnie.

- Nie. Z tytułami. *Szeherazada*. Potem *Śpiąca królewna*. I *Jezioro labędzie*. Potem to, co jest teraz. Znam, ale nie pamiętam tytułu.

- *Giselle*. To muzyka baletowa. Stare przeboje, ale moje ulubione... - Zamilkł, po czym dodał: - Wprost nie do wiary, że zwracałaś na to uwagę.

- Słuchałam. Podświadomie. Ale nie zwracałam uwagi. Jakże bym mogła? Całą uwagę skupiałam na tobie. - I wciąż tak jest. Chcę to robić jeszcze raz. I jeszcze.

- Jeśli powiesz, że to prawda, zmienię płytę.

- To prawda. Ta muzyka jest miła. Zmysłowa. - Dzięki niemu zmysłowy stałby się nawet hymn narodowy, pomyślała, patrząc, jak wychodzi nago do drugiego pokoju. Wysoki. Brunet. Przystojny. Nagi. Brakujący konieczny przymiotnik. Dopełniał doskonałego obrazu.

Gdy wrócił, powiedziała:

- A to za Kitzy. Nie ruszaj się i baw się dobrze.

- Czym?

- Zmysłowym przeładowaniem.

- To będzie kara.

- Zobaczysz. Nie wolno ci się ruszać, chociaż będziesz chciał. Będziesz chciał mnie dotknąć.

- A ty mi nie pozwolisz?

- Nie. Nigdy. To za Kitzy.

- Dobrze.

Kathleen zrobiła to, co on robił jej. Całowała całe jego ciało, zataczając małe kręgi swoim ciepłym, wilgotnym językiem i aksamitnymi, delikatnymi palcami wokół jego sutków, po udach, między nogami. Nie dotykała go swoim ciałem, ale jej jedwabiste włosy głaskały jego twarz, piersi, brzuch i nogi, gdy poruszała się powoli, z miłością. Całowała go w miejsca, w które nigdy nie całowała go Janet. Tak, jak nigdy nie robiła tego Janet.

Gdy pragnienie stało się nie do zniesienia, Kathleen przytuliła się do niego, stała się jego częścią zapalczywie, chętnie. Ona też go pragnęła. Nie chciała żadnych gier. Nie z nim.

O trzeciej powiedziała:

- Tym razem naprawdę wychodzę.

Próbowała, niechętnie, o pierwszej. I o drugiej. Za każdym razem dochodziła tylko do wieży stereo, zmieniała płytę i ponaglana przez Marka wracała do łóżka.

- Nie chcę.

- Ja też nie, ale muszę. Poza tym masz dziś dyżur, prawda?

- Uhm.

- Zatem wychodzę.

- Dobrze. Nie całkiem, ale niech będzie. - Gdy się ubierała, zapytała: - Ile masz lat, Kathleen?

- Dwadzieścia siedem. A ty?

- Dwadzieścia siedem.
- Pocałowała go. Był to długi pocałunek na pożegnanie.  
Gdy zbliżała się do wyjścia, zapytał:
- Co robisz w życiu?
  - Jak to? Za co mi płacą?
  - Tak.
  - Nic - powiedziała. - Absolutnie nic.

Mark nagle uświadomił się, że z prysznicza płynie lodowata woda. To wyrwało go z rozmarzenia.

Przekłete mieszkanie, pomyślał. Chociaż, mimo wielu różnych usterek, dotąd nie miał kłopotów z gorącą wodą z bojlera.

Drżąc z zimna, wrócił do sypialni. Spojrzał na zegarek i zorientował się, dlaczego zabrakło ciepłej wody. Kąpał się pół godziny, rozpamiętując cudowne chwile spędzone z Kathleen.

Lodowata woda, wyłączony telefon, fakt, że spóźni się na obchód - czego nie tolerował u innych - brutalnie przywróciły Marka do rzeczywistości.

Gdy pośpiesznie przygotowywał się do wyjścia, pomyślał o Janet. Teraz był jej niewierny - można to dodać do listy, jej listy rzeczy, które zrobił, żeby zniszczyć ich małżeństwo.

Nigdy przedtem jej nie zdradził. Do ostatniej nocy nie kochał się z nikim poza Janet. Mark pocałował tylko kilka dziewcząt - i były to tylko dziewczęta. Miał szesnaście lat, gdy poznał Janet. A potem nie było już nikogo innego.

Do teraz. Teraz ją zdradził. Ale czy niewierność ma jakiegokolwiek znaczenie podczas separacji? Czy jest równie wielkim przestępstwem? Coraz więcej nowych terminów i definicji. Coraz większy chaos.

Coraz więcej mgły, pomyślał, biegnąc przez niezwykłą o tej porze roku gęstą mgłę, która spowijała okolicę. Wreszcie dotarł, spóźniony, do Szpitala Uniwersyteckiego.

Gdy wpadł do głównego holu, przestał myśleć o Janet i Kathleen. Nauczył się tego. To było konieczne. W pracy musiał być skupiony, nic nie mogło odciągać jego uwagi od pacjentów. Problemy osobiste trzeba było odsunąć na bok, wygnać z myśli. Na to też skarżyła się Janet - na jego zdolność włączania i wyłączania emocji. Na jego chłodny obiektywizm.

Ale właśnie to sprawiało, że był dobrym lekarzem. Dzięki temu mógł poświęcać pacjentom całą swoją uwagę. Mark był pewien, że Leslie Adams

ma identyczną zdolność oddzielania życia osobistego od zawodowego. Profesjonalistka Leslie zawsze była doskonała w tym, co robiła.

Leslie Adams była jedyną kobietą, o której mógł myśleć w szpitalu. Myśl o Leslie wywołała uśmiech na twarzy Marka. Uśmiechał się więc mimo dwudziestominutowego spóźnienia, wbiegając po dwa stopnie na jedenaste piętro. Nigdy nie korzystał ze szpitalnych wind. Niecierpliwiła go ich powolność, poza tym wiedział, że chodzenie po schodach, jedyna gimnastyka, jaką uprawiał, bardzo mu służy. Podczas trzydziesto-sześciogodzinnego dyżuru Mark biegał wciąż po schodach z kardiologii na jedenastym piętrze na intensywną terapię na siódmym, do izby przyjęć na parterze i do kostnicy w piwnicy, do laboratorium na czwartym piętrze i na radiologię na trzecim. Te ćwiczenia naprawdę dobrze robiły Markowi. To było widać. Mark był w dobrej formie.

Doktor Leslie Adams, myślał Mark.

Była wspaniałą stażystką. Najlepszą. W każdym innym zawodzie można by było uznać Leslie za zbyt obowiązkową, ale nie w medycynie. W medycynie cecha ta była kluczem do sukcesu - obowiązkowość połączona z dobrą oceną sytuacji, zdolność skupienia się na najważniejszym i niepodkreślania, ale nigdy ignorowania, tego, co wydaje się trywialne.

Zbyt wielu stażystom drzewo zasłaniało las. Ale nie Leslie. Ona widziała cały obraz, a jednocześnie zwracała uwagę na szczegóły.

A gdy nie wiedziała, co oznacza jakiś szczegół, gdy nie potrafiła wytłumaczyć nieznacznie odbiegającego od normy wyniku badań albo skargi pacjenta, która wydawała się nie pasować do diagnozy, prosiła o pomoc. O opinię innego lekarza. O opinię Marka.

- Mark - mawiała w takich przypadkach z powagą mrużąc błyszczące niebieskie oczy nad wynikami badań laboratoryjnych pacjenta. - LDH pana Rolfa jest wciąż podwyższone. To nie ma sensu. Nie występuje hemoliza, pozostałe enzymy w normie. Sprawdziłam wszystkie jego lekarstwa, ale żadne nie może powodować takiej reakcji. Pod każdym innym względem jego stan się poprawia...

- Jaki masz plan? - pytał wtedy Mark, wiedząc, że Leslie ma plan. Ale widział też, że chociaż jest świetna, doskonale ocenia sytuację i ma wspaniały instynkt, brak jej pewności siebie. To była kolejna cecha, która czyniła ją dobrym lekarzem. Leslie słuchała, uczyła się i pytała, gdy czegoś nie wiedziała.

Leslie Adams nie bała się wypowiadać dwóch słów, zakazanych podczas studiów medycznych: nie wiem.

Leslie popełniała błędy. Wszystkim się zdarzało. Na tym polega złożoność i nieprzewidywalność medycyny. Ale Leslie nie popełniała

nigdy błędów poważnych czy też wpływających z zaniedbania. Jej błędy były drobnymi pomyłkami w ocenie stanu chorego, wynikającymi z braku doświadczenia albo pojawiającymi się dlatego, że coś ją zmyliło: jakiś objaw lub wynik badań laboratoryjnych, który nie pasował do diagnozy, a okazywał się istotny. Błędy Leslie nigdy nie szkodziły pacjentom. Były to omyłki, które podważały jej pewność siebie, kazały jej podchodzić do siebie jeszcze bardziej krytycznie i przypominały, choć nie zawsze chciała to przyznać, że przecież ona też jest człowiekiem.

Obowiązkowość i dbałość o szczegóły ochraniają prawdopodobnie przed popełnieniem błędu na tyle poważnego, że musiałaby zrezygnować z medycyny. Nawet gdyby wiedziała o nim tylko ona.

Dobiegając do szóstego piętra, Mark trochę zwolnił.

Spóźnił się, ale na pewno wszystko jest w porządku. Dyżur miała Leslie. Wszyscy pacjenci na pewno są bezpieczni.

Mark potrząsnął głową, myśląc o Leslie, szpitalnym owczarku, przemierzającym przez całą noc korytarz, odpędzającym kłopoty. Domyślał się, że to był prawdziwy powód jej bezsenności: Leslie wierzyła, że to pomoże. Musiała to robić. Tak nakazywała jej obowiązkowa natura.

Mark wiedział również, że wiecznie dobry humor Leslie, czasami niemal przesadny, stanowił tylko fasadę. W rzeczywistości Leslie była kłębkim nerwów; niepokój i zmęczenie dręczyły ją tak samo, jak wszystkich innych lekarzy. Podobnie jak pozostali lekarze, Leslie musiała myśleć krytycznie o swoich kolegach, pielęgniarkach, rozkładzie dyżurów i skomplikowanych przypadkach. Lecz powstrzymywała się od komentarzy. Wszyscy w szpitalu byli krytyczni, bardzo krytyczni, w stosunku do siebie samych i siebie nawzajem. Wszyscy byli perfekcjonistami, których nagle skonfrontowano z niedoskonałą, nieprecyzyjną, nienaukową rzeczywistością praktyki medycznej.

Leslie i Janet przyjaźniły się. Mark zastanawiał się, co Leslie o nim myśli. Oczywiście wiedziała, co zaszło między nim i Janet. I dlaczego. Leslie prawdopodobnie знаła jego małżeństwo lepiej niż on sam. Czy tak jak Janet uważała, że zasługuje na pogardę? Prawdopodobnie. Obowiązkowa, krytyczna Leslie nie tolerowałaby zachowania, o jakie oskarżała go Janet.

Ale nawet jeśli Leslie gardziła nim jako człowiekiem, nie okazywała tego. Właściwie w ciągu ostatniego miesiąca okazywała mu niemal współczucie, jakby wiedziała, rozumiała i nie osądzała. A może po prostu przesadnie grała tę rolę, bo czuła się winna z powodu własnych, naprawdę krytycznych odczuć?

Prawdopodobnie wcale o tym - o mnie - nie myśli, powiedział sobie Mark. Leslie, prawdziwa profesjonalistka.

Wchodząc na oddział, zobaczył swój zespół - dwoje studentów medycyny i dwoje stażystów, Leslie i Grega - przy wózku z kartami. Leslie jeszcze go nie zauważyła. Marszcząc brwi, patrzyła na zegarek. Była zaniepokojona, ale nie rozdrażniona.

Wtedy Greg dostrzegł Marka i zawołał:

- Hej, szefie!

Leslie podniosła wzrok i uśmiechnęła się z ulgą. W jej szafirowoniebieskich oczach, podkrążonych po nieprzespanej nocy, pojawił się błysk.

## Rozdział 4

**J**anet Louise Wells urodziła się w południe pierwszego dnia świąt Bożego Narodzenia 1953 roku. Przyszła na świat w małym domku swoich rodziców, osiem kilometrów na zachód od Keamey w Nebrasce i prawie dwieście kilometrów na zachód od Lincoln, gdzie sześć miesięcy wcześniej, gorącego, wilgotnego, lipcowego dnia urodził się jej przyszły mąż, Mark David Taylor.

Janet była idealnym niemowlęciem, potem idealnym dzieckiem, potem idealną nastolatką. Jej wesołość i pogoda ducha były szczerze i nieustające. Wszyscy ją lubili. Nie można było nie lubić tej ładnej dziewczyny o kręconych, złotych włosach, czystych, szarych oczach i szczerym uśmiechu. Janet szybko nawiązywała przyjaźnie, bo uśmiechała się i była bardzo ładna.

I dlatego, że dzieliła się swoimi zabawkami. Zaborczość nie leżała w jej naturze. Była w niej za to hojność. Janet nie miała zmysłu współzawodnictwa. Nie zagrażała nikomu. Spędziła pierwsze szesnaście lat życia w stanie szczerego zadowolenia z mieszkania na małej farmie, uczęszczania do niewielkiej, wiejskiej szkoły, pieczenia ciast z matką sżycia z babcią i zabaw z koleżankami.

I ze śpiewu.

Janet uwielbiała śpiewać. Nikt nie wiedział, jak bardzo. Jej śpiew słyszano w kościelnym chórze i podziwiano czysty, śliczny głos. W jej szkole nie prowadzono lekcji muzyki, chóru, żadnego zespołu.

Dla Janet nie miało to znaczenia. I tak wołała śpiewać sama. Nie potrzebowała słuchaczy, nie zależało jej na nich. Późnymi popołudniami, po szkole, przed kolacją biegła daleko, na skraj ojcowskiego pola kukurydzy i śpiewała.



Śpiewała wszystko. Uczyla się piosenek, słuchając płyt i radia. Bardzo szybko zapamiętywała melodię i słowa. Janet lubiła musicale. Śpiewała wszystkie piosenki po kolei. Opowiadała historię. Przeżywała ją.

Jeśli była zaborcza pod jakimkolwiek względem, dotyczyło to tylko chwil spędzanych samotnie na polu kukurydzy. Bez tego nie byłaby tak zadowolona z życia. Tak hojna. Tak szczęśliwa.

Gdy Mark David Taylor obchodził szesnaste urodziny 11 lipca 1969 roku, Harold Wells powiedział swojej piętnastoipółletniej córce i swoim trzynastoletnim synom-bliźniakom, że jest zmuszony sprzedać farmę i że cała rodzina przenosi się do Lincoln.

Tej jesieni Janet zaczęła chodzić do szkoły średniej w Lincoln. W Kerney zostawiła swoją szesnastoosobową klasę i najlepsze przyjaciółki. Znalazła się w trzystuosobowej społeczności uczniów, w której grupki i kliki ustaliły się już zimą pierwszego roku nauki.

Janet trzymała się z boku - przyszła do szkoły później, ponadto była większą dziewczyną w mieście.

Nie przeszkadzałyby jej jednak samotność, gdyby tylko miała odrobinę prywatności. Ale teraz nie mieszkała w domu, tylko w mieszkaniu bez ogrodu. Nie miała swego pola kukurydzy. Nie miała dokąd uciec.

Nie miała gdzie śpiewać.

Janet poznała Marka pierwszego dnia w szkole. Gdyby nie był przewodniczącym samorządu młodszych klas i gdyby nie zgłosił się do opieki nad nowymi uczniami, nigdy by się nie poznali. Obracał się w grupie dążących za wszelką cenę do sukcesu sportowców i ich agresywnych, pewnych siebie koleżanek. Janet nie dążyła do zawarcia takich znajomości. Zapewne nigdy by ich nie poznała.

Do szkoły przyszło dwadzieścioro nowych uczniów. Mark oprowadził ich po trzypiętrowym budynku z cegły, pokazał stołówkę, czytelnię, salę gimnastyczną, świetlicę i bibliotekę. Prowadził wycieczkę wesoło, z entuzjazmem, starając się, by wszyscy nowi poczuli, że są tu mile widziani. Ale myślał tylko o Janet.

Nigdy jeszcze nie widział tak wielkich i szarych oczu. I tak jasnych i jedwabistych włosów. I tak skromnego i pięknego uśmiechu.

- Zaprowadzę cię do klasy - powiedział do niej, gdy wycieczka się skończyła.

- Och. Dobrze. Dziękuję - odrzekła cicho, bez zażenowania patrząc mu w oczy.

Janet szła w milczeniu obok Marka, nie kręcąc się, nie denerwując, nawet nie próbując wymyślić czegoś, co mogłaby powiedzieć. Mark uznał, że milczenie Janet jest przepojone dziwnym spokojem.

Chciał się czegoś o niej dowiedzieć.

- Pochodzisz z Kearney?
- Z okolic Kearney.
- Podoba ci się w Lincoln?
- Nie. Nie bardzo - stwierdziła spokojnie.

Słyszając te słowa, Mark stanął jak wryty. Lincoln było jego domem. Uwielbiał Lincoln.

- Nie? Dlaczego?

Janet również się zatrzymała i spojrzała na Marka swoimi szarymi oczami.

- Nie ma pól kukurydzy - powiedziała. - Brak mi pól kukurydzy.
- Ależ Lincoln otaczają pola kukurydzy!
- Tęsknię za naszym - odpowiedziała po prostu Janet.

Nie minęły dwa miesiące, a Mark odebrał swój klasowy znaczek - symbol przyjaźni - Sarze, bystrej, ładnej czirliderce, i zaczął umawiać się z Janet. Mark nie miał pojęcia, co czuje do niego Janet. Był przyzwyczajony do dziewcząt, które z nim flirtowały, drażniły się z nim i wysyłały mu oczywiste, łatwe do zinterpretowania sygnały.

Janet nie wysyłała sygnałów, ale zawsze się zgadzała, gdy gdzieś ją zapraszał, i zawsze wyglądała na zadowoloną gdy byli razem. Janet mówiła niewiele, uśmiechała się często i słuchała uważnie, gdy Mark coś opowiadał.

Bycie z Janet uświadomiło Markowi, że on i jego przyjaciele wciąż bardzo się o coś starają. Wszyscy starali się udowodnić, ponad wszelką wątpliwość, że są tym, za kogo się uważają: najlepszym uczniem, najlepszym rozgrywającym, najlepszą aktorką najprzystojniejszym chłopakiem, najciekawszą osobowością.

Są najlepsi.

Janet o nic się nie starała. Nie zależało jej na byciu najlepszą. Janet była Janet. Mark uwielbiał z nią być.

Po jakimś czasie przestał próbować jej zaimponować. Nie musiał. Wiedziała, kim jest, i podobał się jej.

Janet robiła dla niego różne rzeczy. Znajdował w szafce czekoladowe ciasteczka. Albo zrobiony na drutach szalik. Albo ślicznie ozdobioną kartkę, podziękowanie za wyjątkową randkę. Mark uwielbiał prezenty od Janet. Przypominały mu ją spokój i szczęście, które czuł, kiedy z nią był. Ten spokój w jej towarzystwie równoważył napięcie reszty jego życia.

Napięcie. Konieczność bycia najlepszym. Bycia lekarzem - najlepszym lekarzem. Mark nie mógł rozczarować nikogo, szczególnie ojca, musiał mu dorównać.

Janet, która nagle wpadła w wir życia w wyniku przeprowadzki do Lincoln, uspokoiła się dzięki Markowi. I dzięki muzyce. Odkryła, że chociaż nie ma już swojej prywatnej sceny, pola kukurydzy, to wielkie miasto daje niezwykle możliwości.

Były na przykład lekcje muzyki. Janet zapisała się na tyle kursów, na ile pozwalał jej rozkład zajęć. Były też chóry - wstąpiła do wszystkich. Nauczyciele muzyki natychmiast poznali się na jej surowym, niewyszkolonym talencie. Intrygowała ich ładna blondynka o ślicznym, fascynującym głosie.

Inne uczennice, które śpiewały, chodziły na warsztaty aktorskie i ostrzyły sobie zęby na solowe partie w chórach oraz główne role w wystawianych w szkole musicalach, szybko uznały Janet za wroga. Była kolejną rywalką w licznej już rywalizującej grupie, w której każdy chciał być najlepszy.

Janet nie chciała rywalizować, tylko śpiewać. Nie onieśmiała jej publiczność, nie robiły na niej wrażenia pochwały nauczycieli.

Jej mocny, cudowny głos - bogaty, zmysłowy, wzruszający - zadziwił Marka, gdy w końcu w styczniu ją usłyszał. Dotąd jej występy zawsze kolidowały z jego napiętym planem zajęć.

Mark pocałował ją tego wieczora po przedstawieniu. Był to ich pierwszy pocałunek, chociaż spotykali się od prawie czterech miesięcy. Gdy Mark ją pocałował, Janet zarzuciła mu ręce na szyję, wsunęła palce w jego ciemne włosy i mocno przytuliła go do siebie.

Potem całowali się często. Były to długie, przeciągłe, namiętne pocałunki, które przepełniały Marka poczuciem spokoju i sprawiały, że na chwilę zapominał o swoim pełnym napięcia życiu.

Mark chciał, żeby Janet śpiewała dla niego, gdy byli sami.

- Znajdź mi pole kukurydzy, a będę ci śpiewać zawsze.

Mark znalazł pole kukurydzy osiem kilometrów za Lincoln. Wybrali sobie odległy zakątek, gdzie mogli razem leżeć, tulić się i całować i gdzie Janet mogła śpiewać tylko dla niego.

Skłonność do rywalizacji i pragnienie bycia najlepszym były tak silnie zakorzenione w Marku, że nie potrafił zaakceptować nikogo, kto nie wykorzystywał sposobności odniesienia sukcesu. Szansy bycia najlepszym. Bycia gwiazdą. Pod jego wpływem Janet zgłosiła się wiosną na przesłuchanie do głównej roli w wystawianym w liceum *South Pacific*. Jej talent sprawił, że zdobyła tę rolę. Jako Nellie musiała „zmyć tego faceta ze swoich włosów”, być „tak ostrą, jak Kansas w sierpniu” i śpiewać cudowny, romantyczny, wzruszający duet o „pewnym zaczarowanym wieczorze”.

Janet wzbudziła sensację. Owacja na stojąco, entuzjastyczne recenzje w gazetach Lincoln, wyprzedane bilety na wszystkie przedstawienia świadczyły o jej cudownym, urzekającym talencie.

Ale sukces Janet nie wszystkim się spodobał. Za kogo ona się uważa, do cholery? - zastanawiały się dziewczęta, które umawiały się z kolegami Marka i uważały go za jednego ze swoich. Dziwne było już to, że przez tę cichą dziewczynę ze wsi Mark rzucił żywą, przedsiębiorczą Sarę. „Pewnie jest puszczańska” - syczały. A teraz Janet dosłownie zabrała rolę jednej z nich.

To było zbyt nachalne. Po prostu bezczelne. Czy ta wiejska dziewczucha nie zna swojego miejsca?

Sukces Janet nie spodobał się również rodzicom Marka. Od początku mieli nadzieję, że ten niefortunny związek wkrótce się skończy, że Marka znudzi wiejska naiwność Janet albo jej bierność. Ale gdy mijaly kolejne miesiące, zaczęli się obawiać, że wcale się tak nie stanie. Po raz pierwszy w życiu Mark burzył plany, jakie snuli co do jego przyszłości - miał własne.

- Czyż nie byłoby cudowne, gdybyś wrócił tu po stażu i prowadził wspólną praktykę z ojcem? Mógłbyś zamieszkać w pobliżu. Może w klubie.

Mark słyszał to od lat. Nie komentował, w milczeniu przyjmując słowa rodziców i kwitując je skinieniem głowy. Teraz jednak, z powodu Janet, miał własne plany, które zdecydowanie nie spodobały się rodzicom.

- Janet i ja zamieszkamy poza miastem. Na wsi. Będę dojeżdżał do pracy.

To zdenerwowało rodziców. A oglądając swoją ewentualną przyszłą synową, skaczącą po scenie w skąpych strojach, denerwowali się jeszcze bardziej. Wszystko było takie niegodne. Takie niewłaściwe.

Oczywiście nie przeszkadzało im oglądanie Sary Johnston, córki najlepszego chirurga w Lincoln, podskakującej z pomponami na meczach futbolowych i koszykarskich. Nie mieliby nic przeciwko temu, żeby Sara została ich synową. W zasadzie to właśnie planowali.

Janet prawie natychmiast wyczuła, że państwo Taylor jej nie aprobują.

- Dlaczego twoi starzy mnie nie lubią? - zapytała. Nie powiedziała: „Twoi starzy chyba za mną nie przepadają”, albo: „Zastanawiam się, czy...” Zapytała po prostu, dlaczego jej nie lubią.

- Chcieli mnie skojarzyć z Sarą - powiedział Mark. - Córka najlepszego chirurga i syn najlepszego internisty, sam wkrótce mający zostać świetnym internistą. Takie tam.

Najlepsza z najlepszym, pomyślała Janet.

Janet również nie lubiła rodziców Marka. Wiedziała, chociaż nigdy nie rozmawiała o tym z Markiem, że to doktor Taylor jest siłą napędową obsesji syna, jego żądzy sukcesu. Janet miała mu to za złe. Gniewało ją że ojciec wywiera na Marka taką presję.

Mark był zachwycony występem Janet w *South Pacific*. Janet też była zachwycona. Uświadomiła sobie, że jest coś, co kocha bardziej od samego śpiewania. Uwielbiała występować. Uwielbiała publiczność. Uwielbiała dzielić się swoim talentem i radością.

W ostatnim miesiącu ich pierwszego roku spędzonego razem w liceum Mark został wybrany na przewodniczącego samorządu szkolnego i wręczył Janet swój znaczek. I po raz pierwszy pocałował jej piersi.

Pewnej pachnącej, wiosennej nocy leżeli na swoim polu kukurydzy, w bladym świetle księżyca. Całowali się, nic nie mówiąc, przez godzinę. Mark powoli przesunął dłonią po jej bluzce, potem delikatnie wsunął palce między guziki, dotykając jedwabistej skóry. Ostrożnie odpiął jeden guzik, w nadziei, że Janet nie będzie się opierać, bo musiałby cofnąć dłoń.

Janet się nie opierała. Przysunęła się bliżej. Pomogła mu rozpiąć bluzkę i stanik. Potem ułożyła się pod nim. Mark patrzył na jej piękne, kremowe piersi - młode i świeże - spragnione pocałunków, delikatnych i gwałtownych, trwających godzinami. Janet bez słowa przyciągnęła bliżej jego miękkie usta do swoich krągłych, ciepłych piersi.

Po roku, gdy oboje zostali przyjęci na Uniwersytet Stanu Nebraska w Lincoln, gdy Mark wygłosił mowę pożegnalną w imieniu wszystkich absolwentów, a Janet zatryumfowała jako Maria w szkolnym spektaklu *The Sound of Music*, kochali się po raz pierwszy.

Nigdy przedtem o tym nie mówili. Spotykali się przez cały rok, przytulając się i całując. Obnażeni do pasa. Nic więcej. Ale tej nocy na ich odludziu, na polu kukurydzy, w blasku księżyca, Mark rozebrał Janet. Potem siebie. Patrzył na czyste, szare oczy, które przymknęły się na chwilę, gdy w nią wszedł, i otworzyły, uśmiechnięte, gdy Janet oplótła go nogami i w milczeniu poruszała się z nim coraz szybciej.

- Kocham cię - powiedział jej potem. Wyznał jej to pierwszy raz. Powtórzył radośnie:

- Kocham cię, Janet.
- Ja też cię kocham, Mark.

Przez cztery lata na Uniwersytecie Stanu Nebraska - siedzibie Cornhuskers „Łuskaczy kukurydzy” - w Lincoln Mark mieszkał w domu bractwa Phi Delta Theta. Do tego samego bractwa należał niegdyś jego oj-

cięć. Mark zbierał piątki ze wszystkich przedmiotów. Przerobił kurs przygotowujący do medycyny, na który składały się: biologia, fizyka, chemia fizyczna i organiczna oraz matematyka. Ale na przedmiot kierunkowy wybrał literaturę angielską, która ciekawiła go najbardziej.

Janet mieszkała w domu. Grała we wszystkich musicalach wystawianych na uniwersytecie. Dostawała piątki - nawet jedną z plusem - z muzyki, tańca i aktorstwa, oraz czwórki i trójki z pozostałych przedmiotów. Wybrała kursy maszynopisania i kursy przygotowawcze dla sekretarek, bo wydawały się jej praktyczne. Zajęcia muzyczne niewiele mogły dodać do jej wrodzonego talentu - prócz możliwości eksponowania go - za to lekcje tańca nauczyły ją czegoś nowego, co musiała umieć, żeby zdobywać role, które pragnęła grać. Janet miała wiele lat opóźnienia w stosunku do studentów, którzy zaczęli zajęcia baletowe w wieku pięciu lat, ale braki nadrabiała zdolnościami i energią.

Mark i Janet kochali się często, przynajmniej trzy lub cztery razy w tygodniu. Ponad osiemset razy przed ślubem, jak wyliczyła Janet podczas wykładu ze stenografii wiosną ostatniego roku studiów. Nie eksperymentowali w miłości. Kochali się zawsze w ten sam, tradycyjny sposób, spokojnie i namiętnie. Nigdy o tym nie mówili. Nie było o czym mówić. Satisfakcjonowało to ich oboje.

Pobrali się dwa tygodnie po skończeniu studiów. Rodzice Marka zapłacili za całą uroczystość weselną, ponieważ musiała się odbyć w klubie Riverwoods i ponieważ musieli zaprosić czterysta osób. Rodzice Janet nie należeli do klubu Riverwoods, zresztą w ogóle nie byłoby ich stać na zorganizowanie wesela.

Janet omal się nie wycofała.

- Co będziemy winni twoim rodzicom w zamian za zorganizowanie wesela? - zapytała.

Mark już jej powiedział, że nie przyjmie propozycji ojca, który zofiarował się opłacić jego studia medyczne na dowolnej uczelni w kraju. Ojciec chciał, żeby studiował w Akademii Medycznej na Harvardzie, ale Mark ubiegał się o miejsce w innej szkole - tam, gdzie studia były najtańsze ze względu na miejsce zamieszkania, na Uniwersytecie Stanu Nebraska w Omaha. Nie chciał, żeby ojciec pokrywał koszty jego studiów, bo co by się stało, gdyby on - z nią - zrezygnował z planów powrotu do Lincoln i prowadzenia tam praktyki?

- Będziemy musieli zaciągnąć pożyczkę. Przez pierwsze dwa lata mogę pracować w wakacje - powiedział.

- I ja będę pracować. Poradzimy sobie. Ja też nie chcę, żebyś brał pieniądze od ojca.

W odpowiedzi na pytanie Janet o wesele Mark odrzekł:

- To my wyświadczamy im przysługę. Pragną wydarzenia towarzyskiego, a my zgadzamy się w nim uczestniczyć. Mam nadzieję, że cię to za bardzo nie drażni. Ani twoich rodziców.

- To straszliwe marnotrawstwo, ale jeśli się sprzeciwię, zaczną mną gardzić jeszcze bardziej. O ile to możliwe. Ja chcę tylko wyjść za ciebie i wyjechać z Lincoln.

Przez kilka tygodni przed ślubem Janet w obecności matki Marka zachowywała się tak, by unikać scen i nieprzyjemności. Odbyły już nie-miłą rozmowę na temat obrączek. Janet upierała się w niewielu kwestiach, bo naprawdę zależało jej tylko na Marku. Reszta była po prostu środkiem prowadzącym do celu.

Ale miała swoje zdanie co do obrączek.

- Chcę, żeby obrączki były z osiemnastokaratowego złota. Proste i bez ozdób - wyjaśniła przyszej teściowej.

- Osiemnastokaratowe złoto jest miękkie! Szybko traci blask.

- Wiem, pani Taylor. Dlatego mi się podoba. Obrączka dojrzewa, starzeje się wraz z małżeństwem.

Rodzice Janet mieli obrączki z osiemnastokaratowego złota. Były matowe i starte, ale wciąż złote jak ich małżeństwo, które przeżyło różne trudy i radości podczas dwudziestu pięciu lat pożycia. Janet miała nadzieję, że jej związek z Markiem będzie równie trwałe i cudowne - mimo ciężkich chwil - jak małżeństwo jej rodziców. Chciała mieć takie obrączki, jak oni. Na szczęście.

Janet wygrała tę bitwę i przypieczętowała zwycięstwo, szybko zamawiając obrączki. Wygrawerowano na nich ich inicjały, datę i jedno słowo: „Zawsze”.

Pani Taylor jednak nie zamierzała się poddać. Byłaby skłonna zaakceptować obrączki z osiemnastokaratowego złota, gdyby Janet przynajmniej miała odpowiedni pierścionek zaręczynowy z brylantem.

- Czy ty i Mark wybraliście już brylant? Powinien być przynajmniej jednokaratowy.

- Brylanty są takie drogie! -1 frywolne, pomyślała Janet, zwłaszcza teraz, gdy będziemy musieli zaciągnąć długi. Nawet gdyby nie chodziło o pieniądze, też nie chciałaby takiego pierścionka.

- Kupimy ci go. Albo pożyczymy Markowi pieniądze, a wy zwróciacie je nam w swoją dwudziestą rocznicę ślubu. Albo - Janet widziała, jak pani Taylor omal się nie zakrztusiła przy następnym słowie - mo-

żesz wziąć pierścionek mojej matki. Na pewno by chciała, żeby dostała go żona Marka. Prawie dwukaratowy, szmaragdowy szlif bez...

- Nie, dziękuję. Żadnego brylantu. Naprawdę, to nie mój styl.

Racja, to nie jej styl, pomyślała pani Taylor. Ona nie jest w stylu Marka. Nie jest w naszym stylu. I nie pozwoli zrobić z siebie kogoś lepszego.

- Przez te dwie zwykłe obrączki - upierała się matka Marka - to będzie wyglądało jak wymuszony ślub. Rozumiesz, moja droga, tak jakbyście musieli się pobrać.

- Ależ my musimy się pobrać, pani Taylor - rzekła Janet, podnosząc swoje stalowoszare, poważne oczy na mrugającą przerażenia przyszlą teściową. I dodała cicho, ostrożnie: - Musimy się pobrać, bo się kochamy.

## Rozdział 5

**P**rzez pierwsze dwa lata medycznych studiów Marka Janet pracowała jako sekretarka-recepcjonistka w gabinecie neurochirurgicznym. Pracowała cały dzień i gotowała obiad dla Marka, który wracał do domu z popołudniowych zajęć. Większość wieczorów spędzał w bibliotece albo w laboratorium anatomicznym, a ona występowała w amatorskim teatrze. Do domu wracali około północy. Kochali się i zasypiali.

Na trzecim i czwartym roku studiów, gdy Mark odbywał praktyki na oddziale, ślęcząc nad papierkami i dyżurując ze swoim zespołem, jego plan zajęć stał się chaotyczny i nieprzewidywalny. Jeśli Janet grała w wieczornych przedstawieniach, czasem nie widywali się przez kilka dni. Postanowiła więc zrezygnować z występów. To była łatwa decyzja. Janet chciała być z Markiem, gdy tylko mogła. Ale brakowało jej teatru.

Piętnastego marca, podczas czwartego roku studiów, Mark dowiedział się, że przyjęto go na staż internistyczny na Uniwersytet Kalifornia w San Francisco. Tego właśnie pragnął. Dwa miesiące później wiedział już, że skończy akademię medyczną z najlepszymi ocenami.

Dwa tygodnie przed końcem studiów po raz pierwszy pojawiły się u Marka nieprzyjemne nastroje, które później miały odsunąć ich od siebie.

Janet dostrzegała ich przebłyski już w szkole średniej, gdy napięcie było zbyt wielkie, a ojciec Marka narzekał, że syn mu nie dorównuje,



oraz wtedy, gdy Mark powiedział jej, jak bardzo lubi zajęcia z literatury angielskiej.

Ale w szkole średniej i na studiach, do ostatnich tygodni, te nastroje dopadały Marka rzadko i dość łatwo je było rozproszyć. Przynajmniej Janet to potrafiła. Mark przychodził do niej, całował ją, przytulał się do niej i kochał się z nią. Od razu czuł się lepiej.

Ale te nastroje, które pojawiły się sześć tygodni przed rozpoczęciem stażu, okazały się inne. Nie ustępowały tak szybko. I były chyba bardziej odporne na jej miłość. W ciągu szesnastu miesięcy pomiędzy końcem studiów Marka a dniem, gdy Janet powiedziała, że musi od niego odejść, przeszły w stan chroniczny. Pogłębiły je zmęczenie, ciągłe napięcie i pragnienie bycia najlepszym.

Mark pogrążył się w medycynie.

Mimo że tego nie znosił, jak stwierdziła Janet po długich miesiącach patrzenia na jego cierpienie.

Była przekonana, że Mark nienawidzi medycyny, chociaż spisywał się bardzo dobrze, chociaż był najlepszy. Gdy bardzo delikatnie próbowała zasugerować, że on chyba jednak nie lubi tego, co robi, wpadł we wściekłość. „Uwielbiam medycynę” - odparł szybko. Czyżby tego nie wiedziała?

Nie. Wiedziała, że jest wręcz przeciwnie.

Zatem Janet znienawidziła medycynę za niego. Nie cierpiała wszystkiego, co się z nią wiązało: pacjentów, napiętego planu dyżurów, aroganckich, rywalizujących ze sobą lekarzy (jego „przyjaciół”), kompulsywnych osobowości. Nienawidziła tego wszystkiego za nich oboje. I stopniowo, ponieważ Mark był po drugiej stronie, ponieważ był jednym z nich, ponieważ bronił ich i medycyny, Janet zaczęła nienawidzić też jego.

Niszczyło to ich związek, ponieważ oboje nienawidzili medycyny, tylko Mark nie chciał się do tego przyznać.

I ponieważ Janet nie potrafiła go już pocieszać i leczyć miłością ze złych nastrojów.

Tego niedzielnego popołudnia, piątego października, piętnaście miesięcy po rozpoczęciu stażu, Mark wrócił do domu o szesnastej. Nie miał dyżuru. Od wczesnego ranka był w szpitalu, uczestnicząc w obchodach ze swoim zespołem. Poprzedniej nocy spał osiem godzin. Janet wiedziała. Patrzyła na śpiącego Marka, sama nie mogąc zasnąć. Pełna niepokoju, zastanawiała się, co robić.

Zdecydowała, że musi z nim porozmawiać, gdy będzie wypoczęty. Patrzyła, jak śpi. Będzie wypoczęty.

Janet krążyła po mieszkaniu, była wyczerpana. Wreszcie usłyszała, że wraca.

- Cześć - powiedział machinalnie Mark, wchodząc przez drzwi i mijając ją. Jak zwykle, zaprzątnięty własnymi myślami.

- Mark?

- Co? - warknął zdumiony.

Od dłuższego czasu dawała mu spokój.

- Musimy porozmawiać.

- O czym? - zapytał podejrzliwie.

Uzgodnił z nią, że nie będą rozmawiać o tym, czy naprawdę lubi medycynę. To było sześć miesięcy temu. Od tej pory o tym nie dyskutowali.

- O naszym małżeństwie.

- O naszym małżeństwie?

To był nowy temat. Nigdy nie rozmawiali o swoim małżeństwie. O czym tu rozmawiać?

- Dobrze - odparł niepewnie.

- Jest zagrożone, Mark - rzekła ostrożnie Janet. Przestało istnieć, pomyślała. Ale może się myliła. Może Mark potrafi zmienić jej stosunek do ich małżeństwa. Jeśli naprawdę mu zależy. Jeśli naprawdę ją kocha.

- Co masz na myśli?

- To, że nic już nas nie łączy.

- Daj spokój. Spędzamy razem każdą sekundę, gdy nie jestem w szpitalu.

- Jesteśmy w jednym domu. Nie razem.

- To śmieszne. Nie mam pojęcia, o czym mówisz. Jestem zbyt zmęczony. .. - Mark chciał wyjść z pokoju.

- Niech cię szlag! - krzyknęła Janet.

- Janet!

- Posłuchaj mnie, proszę. Nienawidzę tego. Nienawidzę naszego życia. Jestem zła, że już mnie nie przytulasz. Nienawidzę twoich przyjaciół i medycyny. I wiem, że ty też. - Janet uniosła dłoń, żeby jej nie przerywał. - Tylko się do tego nie przyznajesz. Nie mogę tak żyć.

- Jak?

- Nienawidząc własnego męża. Nie znając cię. Nie mogąc cię dotykać. Patrząc, jak się odsuwasz, gdy próbuję się zbliżyć. Nie mogąc z tobą rozmawiać. Nie mogąc cię pocieszyć.

- Pocieszyć?

- Och, Mark - szepnęła Janet, a jej szare oczy wypełniły łzy. - Nie masz pojęcia, o czym mówię, prawda?

- Nie - wyznał zmęczonym głosem. - Nie. Nie mogę uwierzyć, że mnie nienawidzisz.

- Tak, Mark. Obawiam się, że tak - powiedziała Janet. Po jej policzkach płynęły gorące łzy. - Kocham mężczyznę, którego poślubiłam. Ale tego drugiego nie znam...

- Kocham cię, Janet - rzekł słabo, prawie mechanicznie.

- Tak? Kiedy ostatni raz mnie pocałowałeś? Na pewno nie wiesz. To było cztery miesiące temu. Kiedyś wciąż się ze mną kochałeś. Teraz, jak ci się wydaje, zależy ci tylko na medycynie. Nawet nie chcesz się ze mną kochać. Może już nie możesz.

- Janet! - Zdumienie zastąpił gniew. - Wiedziałaś, że nie będzie ła-two. Wiedziałaś, że czekają nas ciężkie, bardzo ciężkie lata. Ze będę zmęczony. Że nie będę chciał się z tobą kochać co noc.

- Cztery miesiące, Mark.

- Ale poza tym nic się nie zmieniło.

- Wszystko się zmieniło. Mogłabym być z tobą i w ogóle się z tobą nie kochać, gdybym wierzyła, że coś dla ciebie znaczę. Że jestem czę-ścią twojego życia.

- Jesteś.

- Nie. Byłam. Ale już nie jestem. Odsunąłeś mnie. Wciąż masz zły humor, jesteś wściekły i nieszczęśliwy, ale nie chcesz o tym mówić.

- Nieprawda.

- Nawet tego nie wiesz - powiedziała smutno Janet, pokonana.

- Jestem zmęczony. Ciężko pracuję. To wszystko.

- Nie.

- Tak - westchnął Mark. - Janet, to typowe. Z tego powodu rozpa-dają się małżeństwa lekarzy. Tak się właśnie dzieje. Nie pozwól, żeby to stało się z nami.

- Nie skarżę się na twoje dyżury ani na to, że zasypiasz podczas kolacji albo pracujesz w Boże Narodzenie. Nie o to chodzi.

- Ale narzekasz na to.

- Zauważam te sytuacje. Są irytujące, ale nie kończą małżeństw. Przynajmniej nie skończyłyby mojego.

- Nie skończyłyby?

- Skończyły, Mark. Nie słuchasz mnie. Sądzę, że już mnie nie ko-chasz.

- Kocham.

Janet westchnęła. Mark nie cierpiał medycyny, ale mówił, że ją ko-cha. Co miał na myśli, mówiąc, że kocha Janet? Prawdopodobnie sam nie wiedział.

- Nie czuję się kochana.
- To twój problem - rzekł chłodno.
- Może. Gdy człowiek nie czuje się kochany, gdy ja nie czuję się kochana, zaczynam stopniowo nienawidzić siebie samej. Spójrz na mnie. Jestem gruba. W ciągu ostatnich sześciu miesięcy utylam dziesięć kilogramów.

Janet miała smukłą, wysportowaną sylwetkę. Gdy tańczyła, nie miała grama tłuszczu na swoim szczupłym ciele. Dziesięć kilogramów nie ujęło jej urody, ale ona sama czuła się paskudnie. Przytłaczał ją ciężar, który wciąż przypominał jej, jaka jest nieszczęśliwa.

- Dobrze wyglądasz. - W głosie Marka pobrzmiewała irytacja. Był zmęczony tą rozmową. Miał na głowie inne zmartwienia. O co mogło chodzić Janet?

- Mark - powiedziała wreszcie, stając przed nim, drżąc z wściekłości i frustracji. - Posłuchaj mnie, do cholery. Odchodzę od ciebie. Nie wytrzymam z tobą ani chwili dłużej. Nie mogę znieść tego, że nienawidzę ciebie i siebie samej.

- Nie wierzę ci.

- Uwierz.

Janet poszła do sypialni i po krótkiej chwili wróciła z dwiema ciężkimi, najwyraźniej już wcześniej spakowanymi walizkami.

- Janet... - Mark wstał.

- Muszę odejść, Mark. Duszę się.

- Dokąd pójdziesz?

- Zarezerwowałam na dzisiejszą noc pokój w motelu. To niedaleko. Wezmę taksówkę. Jutro znajdę sobie mieszkanie niedaleko biura albo na trasie autobusu. Będzie ci potrzebny samochód.

Ich wynajęty dom na Twin Peaks znajdował się w pobliżu przystanku autobusowego. Janet było wygodnie dojeżdżać do agencji nieruchomości, gdzie pracowała jako recepcjonistka.

- Janet, nie odchodź. Możemy o tym porozmawiać?

- Przed chwilą o tym rozmawialiśmy i jest dla mnie oczywiste, że nie umiemy o tym rozmawiać. Nie potrafimy się porozumieć. Nie możemy się nawet zgodzić co do tego, co się z nami stało.

- Nic się z nami nie stało - stwierdził zdecydowanie Mark.

- Widzisz! - krzyknęła sfrustrowana Janet. - Nie stało się nic oprócz tego, że nienawidzę siebie i ciebie i że odchodzę.

Przez chwilę patrzyli na siebie gniewnie.

- Ja odejdę - rzekł w końcu Mark.

- Nie, dlaczego?

- Bo to twój dom. Ty go urządziłaś. Nie mógłbym tu mieszkać bez ciebie. I nie chcę, żebyś mówiła, że wyrzuciłem cię z twojego domu - dodał kwaśno.

- Z naszego domu.

- Chyba już nie. Czy kiedyś nim będzie?

- Nie wiem, Mark. Mam nadzieję.

Rzucił jej kluczyki do samochodu - za mocno i za szybko. Uderzyły ją w rękę i spadły na podłogę.

- Wyjdź na godzinę, żebym mógł się spokojnie spakować. Potem przyprowadź samochód, wyjadę.

Tego wieczora Janet zadzwoniła do Leslie.

- On odszedł, Les - powiedziała. Po jej policzkach spływały strumienie łez.

- Odszedł?

- Ja chciałam się wyprowadzić, ale nalegał.

- Och, Janet, bardzo mi przykro.

- Obawiałam się tego.

- Wiem. Ale... - Leslie zawahała się. - Chcesz, żebym do ciebie teraz przyjechała?

- Tak. Jeśli nie jesteś zbyt zmęczona...

Leslie poznała Janet na przyjęciu Wydziału Medycyny, które odbyło się w połowie lipca w jachtklubie. Wtedy, trzy tygodnie po rozpoczęciu stażu, Leslie pracowała codziennie - dwadzieścia cztery godziny na dobę - z Markiem. Pracowała z nim, rozmawiała z nim, śmiała się z nim i już zdążyła się w nim zakochać.

Leslie była ciekawa kobiety, którą Mark wybrał sobie na żonę, kobiety, którą kochał. Nie spodziewała się, że ją polubi. Ale gdy tego wieczoru rozmawiała z Janet, gdy latem spędzały razem czas, bo Mark był na dyżurze, zostały przyjaciółkami. Dobrymi przyjaciółkami, troszczącymi się o siebie przyjaciółkami, mimo że Janet była żoną Marka... Bo choć Leslie przyjaźniła się z Janet, jej uczucia wobec Marka nie uległy zmianie. Schowane głęboko, aby ich nikt nie odkrył. Tam, gdzie było ich miejsce.

- Macie wspaniały dom! - powiedziała pewnego wieczoru Leslie, pierwszy raz wchodząc do wynajętego domu Marka i Janet na Twin Peaks. Mark tego dnia pracował.

Z zewnątrz domek wyglądał jak pudełeczko - zwykły sześcian z gipsową elewacją - ale wewnątrz był wesoły, przytulny i jedyny w swoim

rodzaju. Sprawiała to Janet, ozdabiając pokoje ładnymi obrazkami przedstawiającymi wiejskie scenki oraz kolorowymi poduszkami i dywanikami, które sama zrobiła na szydelku.

- Jak tu przytulnie! - stwierdziła Leslie ze szczerym zachwytem. Mark pewnie z radością wraca codziennie do domu, pomyślała. Obejrzała wszystkie pięć pokoi. Najdłużej przyglądała się gabinetowi Marka, drugiej sypialni. Wisiały tu jego dyplomy, świadectwo Alpha Omega Alpha, ogromny czerwono-biały proporzec Nebraska Cornhuskers, zdjęcie ślubne i sporo innych zdjęć z ich wspólnego życia, ułożonych w piękny, barwny kolaż.

- Mark David Taylor, lekarz medycyny - rzekła Leslie, przyglądając się dyplomowi Marka z akademii medycznej. - MDT, MD (doktor medycyny). Dobrze. Mark nie używa środkowego inicjału. To brzmi doskonale.

- Pewnie nie chce o nim pamiętać - powiedziała Janet z zaskakującym chłodem. - Jestem pewna, że ojciec Marka, doktor Taylor, myślał o „doktorze medycyny” już w chwili, gdy okazało się, że urodził mu się syn.

- Och!

- Ojciec Marka nie jest miłym człowiekiem - powiedziała Janet, zastanawiając się, czy ojciec Marka ma wpływ na jego złe nastroje i rozpad ich małżeństwa.

- Och.

Leslie zwiedzała San Francisco z Janet, gdy Mark miał dyżur. Ale w pracy była z Markiem. Podziwiała go...

Pewnej sierpniowej nocy powiedziała mu cicho, prawie tracąc oddech:

- Tak dużo wiesz. To cudowne.

Równie dobrze mogła powiedzieć: „Jesteś cudowny”.

Mark się zaśmiał.

- Leslie Adams, cierpisz na syndrom stażystki zakochanej w lekarzu prowadzącym! - odrzekł przyjaźnie.

Leslie obląła się rumieńcem. I zbladła na myśl o tym, że Mark mógł poznać, co do niego czuje.

- Hej, Leslie, to mi pochlebia - szybko zareagował Mark, wyczuwając jej zakłopotanie, nie mając jednak pojęcia o przyczynie. - Mało kto uważa, że potrafię chodzić po wodzie. To miłe. Będę się cieszyć, dopóki to trwa. W przyszłym tygodniu, gdy zaczniesz pracować z Adamem Russellem, zaczniesz się podkochiwać w nim - w całej jego wiedzy, i zapomnisz o mnie.

Przez chwilę Mark miał ochotę potargać jej kasztanowe loki, aby zakłopotanie znikło z wielkich, poważnych, niebieskich oczu. Ale tylko się uśmiechnął. Zadziałało. Leslie też się uśmiechnęła. Trochę sztucznie, ale się uśmiechnęła.

Och Mark, pomyślała. Nie podkochuję się w twojej wiedzy medycznej, chociaż jest ogromna. Podkochuję się w tobie. I to wcale nie jest podkochiwanie.

Leslie marzyła o Marku, pragnęła go, śniła o nim, wiedząc, że jest szczęśliwym mężem kobiety, która stawiała się jej najbliższą przyjaciółką. Czasami Leslie kusiło, żeby powiedzieć o tym Janet. Śmiałyby się obie. Janet odparłaby wesoło, że choć bardzo lubi Leslie, nie odda jej Marka. Bo Mark jest zajęty.

Ale Leslie o tym nie wspomniała. Nie mogła z tego żartować. Jeszcze nie.

A Janet wcale by się nie uśmieła. Ona też cierpiała. Wiedziała, że jej małżeństwo, które rozpadało się od ponad roku, teraz już dogorywa.

W połowie września, gdy podniosła się letnia mgła, Leslie otrzeźwiała. Pogodziła się z faktem, że nigdy nie będzie z Markiem, zrozumiała, że jej uczucie jest nedoręczne. Mark był cudownym mężczyzną. Był mężem cudownej kobiety, którą przecież kochał.

Wszystko było jasne. Mgła się podniosła. Może teraz potrafiłaby o tym opowiedzieć Janet. I mogłyby się śmiać.

Dwunastego września Janet upiekła tort - wspinały tort udekorowany choinkami i ośnieżonymi szczytami gór, mający przypominać Seattle, rodzinne miasto Leslie - na jej dwudzieste szóste urodziny. Gdy Leslie patrzyła na tort, tak piękny, że aż szkoda go było jeść, kusiło ją żeby powiedzieć Janet, co czuje - co czuła - do Marka.

Ale Janet zaczęła pierwsza. Opowiedziała Leslie o swoim małżeństwie z Markiem. O małżeństwie, które jej zdaniem było skończone.

Leslie słuchała w milczeniu, z bijącym sercem, w głowie miała zamęt. Nie proś mnie o radę, Janet. Nie wiem nawet, czy potrafię być bezstronna. Za bardzo mi na nim zależy.

Mark wcale się nianie interesował. Chwalił ją. Mówił, że jest wspinałą stażystką i pozwalał sobie na delikatne docinki z powodu jej obojętności. Traktował Leslie jak starszy, mądrzejszy brat. Drażnił się z nią był dla niej miły, odrobinę protekcyjny.

Nawet gdyby był wolny, gdyby jego małżeństwo z Janet rzeczywiście miało się rozpaść, nie oznaczałoby to wcale, że zakocha się w Leslie.

Leslie zadrzała. Janet była jej przyjaciółką. Taka była rzeczywistość. Reszta to fantazje.

Leslie musiała pomóc Janet. Musiała jej pomóc ocalić małżeństwo. Słuchała z niedowierzaniem.

Janet powiedziała jej, że Mark nienawidzi medycyny.

- O, nie, Janet. Mark nie nienawidzi medycyny. Nie bardziej niż my wszyscy. My tylko nie cierpimy przemęczenia i poczucia, że życie przechodzi obok nas. Czujemy, że tracimy coś przez te wszystkie godziny, które spędzamy w szpitalu. To naturalne uczucie. Rozmawiamy o tym.

- Moim zdaniem, Mark nienawidzi medycyny bardziej niż pozostali.

- Nie wydaje mi się, Janet. Naprawdę. A przecież z nim pracuję. Mark jest cudownym lekarzem. Najlepszym.

Najlepszy. To słowo ugodziło Janet jak nóż. Oczywiście, że Mark jest najlepszy.

- Ma złe nastroje i jest rozdrażniony - ciągnęła Janet.

- Mark? Nie w pracy. Och, denerwuje się, jak my wszyscy, gdy ktoś przyjmuje pacjenta, którego nie powinno się przyjmować, albo gdy pielęgniarka nie może znaleźć żyły, albo gdy radiolog ominie na zdjęciu chory obszar. W pracy jesteśmy narażeni na ciągłe frustracje.

- Nie uważasz, że jest ponury lub zagniewany?

- Nie. Ale nie pracowałam z nim, w tym samym zespole, od połowy sierpnia. Może coś się stało...

- Nie. To nie jest nowa sytuacja. Tylko się pogarsza. Tak dzieje się od ponad roku. - Janet zaczęła płakać. - Może wcale nie chodzi o medycynę. Może Mark po prostu nienawidzi wracania do domu, do mnie.

- Nie, Janet. Mark cały czas o tobie mówi. Na przykład: „Janet upiekła ciasteczka dla całego zespołu” albo „Janet mówi, że wszyscy powinniśmy przeczytać *Heartsounds*” lub „Obiecałem Janet, że wrócę na ósmą. Postaram się”.

Janet potrząsnęła głową wciąż płacząc. Wiedziała, jaki jest Mark, gdy wraca do domu. Nie przynosiło jej ulgi, że w pracy zachowywał się tak, jak zwykle. To tylko pogarszało sytuację.

- Nie mogę już z nim być, Leslie. Nie gdy czuję się tak, jak teraz. Nie gdy żyję tak, jak teraz.

- Porozmawiaj z nim, Janet. Mark jest rozsądnym, delikatnym, miłym mężczyzną - powiedziała cicho Leslie.

Szare oczy Janet otworzyły się szeroko.

- Przyznaję to. Moim zdaniem Mark jest wspaniały - odparła szczerze Leslie. I dodała: - Uważam, że oboje jesteście wspaniali.



Dwa i pół tygodnia później, gdy Janet i Mark porozmawiali ze sobą i Mark się wyprowadził, Leslie znów siedziała w kuchni przyjaciółki.

- Jak to rozwiążecie?
  - Co? Och. Zastanawiamy się przez tydzień. W przyszłą niedzielę porozmawiamy. I zobaczymy.
  - Prawdopodobnie wszystko będzie dobrze.
  - Nie, chyba że nagle coś go oświeci. Dzieli nas miliony kilometrów. A może ja po prostu zwariowałam - powiedziała ponuro Janet.
  - Nie zwariowałaś. Nie wymyślasz tego nieszczęścia. Jest prawdziwe. Mam nadzieję, że dojdziecie do porozumienia - powiedziała Leslie, uświadamiając sobie, z jaką powagą to mówi.
- Mark i Janet należeli do siebie.

## Rozdział 6

**L**istopadowa mgła trwała cały weekend, gęsta rano i wieczorem, rzadsza w ciągu dnia. Opadła, gdy Mark wyszedł ze szpitala w sobotę o osiemnastej. Świat zewnętrzny wyglądał tak samo jak trzydzieści cztery godziny wcześniej, gdy Mark przybiegł spóźniony do pracy.

Gdy wchodził do mieszkania, dzwonił telefon. To była Janet.

- Cześć, Mark.
- Cześć.
- Uważam, że powinniśmy się spotkać i porozmawiać. - Po raz pierwszy w czasie ich pięcioletniej separacji Janet zasugerowała, żeby się zobaczyli.

- Dobrze.
- Możesz przyjść na obiad jutro po południu?
- Nie na obiad. Później. O siódmej. Dobrze?
- Tak.

Skończywszy tę rozmowę, Mark zadzwonił do Kathleen. Słuchawkę podniósł jej ojciec.

- Witam, panie Jenkins - Prezes... Nie do wiary, pomyślał. - Mówi Mark Taylor. Jak się czuje pani Jenkins?
- Bardzo dobrze, dziękuję. Uwolnią ją, jak mówi Kathleen, w przyszły czwartek.
- Świetnie. Czy zastałem Kathleen?

- Nie, przykro mi. Wyjechała na weekend. Wróci w poniedziałek wieczorem. Jak się panu podobało czwartkowe przyjęcie?

- Bardzo. Nie znałem nikogo z tego towarzystwa, wszyscy byli bardzo mili. - Najprzyjemniej było się kochać z pańską córką, pomyślał Mark.

- Dzieci Klubu Carlton mają własny styl. Ale Kathleen mówiła, że pan również.

- Tak powiedziała? Cóż...

- Przekazać jej, że pan dzwonił?

- Proszę. I żeby zadzwoniła, jeśli będzie chciała.

- Będzie chciała.

- Serdeczne pozdrowienia dla pani Jenkins.

- Przekażę. Dziękuję, Mark.

To miły, bezpretensjonalny człowiek, pomyślał Mark. Miły, bezpretensjonalny prezes jednej z największych i najpotężniejszych na świecie korporacji.

Mark przyszedł do Janet, do domu swojego i Janet, punktualnie o siódmej.

Na jej widok wziął głęboki wdech. Wyglądała tak samo jak wtedy, gdy się poznali przed jedenastu laty: szczupła, o szeroko otwartych oczach, młoda, ufna. W ciągu pięciu tygodni Janet schudła do normalnej wagi. Może bardziej. Jej ogromne, szare oczy wydawały się jeszcze większe w szczupłej twarzy. Zapadnięte policzki sprawiły, że wyglądała fascynująco.

- Świetnie wyglądasz - stwierdził.

- Dziękuję. - Uśmiechnęła się. - Wejdz.

- Dzięki.

- Napijesz się kawy?

- Jasne. Proszę.

Jak długo wytrzymamy?, zastanawiała się. Ostrożna uprzejmość.

Usiedli w salonie, który nie zmienił się ani trochę. Janet nie usunęła z domu żadnych śladów Marka. Jego rzeczy i jej rzeczy. Ich rzeczy. Zauważył ze zdziwieniem, że Janet nie nosi obrączki. On wciąż miał swoją, chociaż mógłby ją zdjąć, zdjąłby ją przed randką z Kathleen. Gdyby pamiętał.

Zastanawiał się, czy Janet z kimś się umawia. Czy ona też kochała się z kimś innym?

- Wyglądasz tak samo jak w dniu naszego poznania - rzekł w końcu łagodnie.

- Tak? Jestem zadowolona. Z własnego wyglądu.
- A ze wszystkiego innego?
- Nie wiem. A ty?
- Wciąż nie rozumiem - powiedział powoli. - Może rzeczywiście trochę się oddaliłem i byłem zajęty. Nie zdawałem sobie sprawy, że nie kochaliśmy się od czterech miesięcy.
- W domu byłeś taki rozdrażniony. Leslie mówi, że w pracy się tak nie zachowujesz.
- Leslie? Nie powinniśmy jej w to mieszać - rzucił dość ostro Mark.
- Wiem. Zgadza się.
- Nie wydaje mi się, żebym był rozdrażniony w pracy albo w domu.
- Czasami wracałeś do domu i nawet się do mnie nie odzywałeś. Ani słowem. A kiedy próbowałam cię dotknąć, odsuwałeś się.
- To zdarzało się rzadko.
- Bardzo, bardzo często. Dzień po dniu. Noc po nocy.
- Przez dłuższy czas siedzieli w milczeniu. Było to jak wieczność - myśli, wspomnień i pytań bez odpowiedzi.
- Mógłby do niej podejść, przytulić ją i kochać się z nią, ale tego nie zrobił. Nie mógł. Nie wiedział, kim jest. Była kobietą, która wydierała się na niego przed miesiącem, ale wyglądała jak szesnastolatka, w której zakochał się przed jedenastu laty. Była kobietą, nie dziewczyną. Nie znał jej.
- Musiał odnaleźć dawną Janet. Wrócić po własnych śladach. Wtedy mógłby do niej podejść. Pragnął tego. Pragnął Janet. Swojej Janet.
- Pamiętasz pierwszy raz, gdy się kochaliśmy? - zapytał, unikając jej wzroku.
- Oczywiście - odparła ze łzami w oczach.
- Mark spojrzał na nią. Jego oczy też lśniły.
- Co myślałaś?
- Co?
- Co myślałaś, gdy się kochaliśmy? To był ważny krok, ale nigdy o nim nie rozmawialiśmy. Co myślałaś?
- To, co zawsze, gdy mnie dotykałeś - powiedziała bardzo cicho. - Myślałam: „kocham cię”. Kocham cię.
- Janet - powiedział czule. Ale wciąż nie mógł do niej podejść. Spojrzał na swoją dłoń i na zmatowiałą obrączkę z osiemnastokaratowego złota, którą nosił przez ostatnich pięć lat. - Dlaczego nie nosisz obrączki?
- Bo obrączka jest symbolem ciebie, nas. Oznacza, że jesteśmy razem. A ja muszę wiedzieć, że nie jestem z tobą. Odczuć stratę.

- Jakie to uczucie?
- Okropne. Pustka. Smutek. - Ale i pewna ulga, pomyślała. Nie chciała tak myśleć, ale ulga naprawdę się pojawiła. W jej umyśle. W jej sercu. Ulga była częścią jej uczuć.
- Powinniśmy więc spróbować jeszcze raz.
- Janet pokiwała głową, płacząc.
- Nie? - zapytał, zdziwiony.
- Tak. Ale jest jeszcze za wcześnie. Jesteśmy tu i płaczemy, bo pamiętamy, jak bardzo się kochaliśmy jedenaście lat temu, ale teraz nie możemy się nawet dotknąć.
- Ale oboje chcemy spróbować, prawda? Ja tak - rzekł Mark.
- Tak.
- W grudniu jestem w klinice.
- W klinice?
- To nowy pomysł. Żeby wszyscy odpoczęli. Od dziewiątej do siedemnastej w dni robocze. Żadnych dyżurów. Żadnych weekendów. Żadnych świąt. Będę wolny w święta, w twoje urodziny. Czy mam się wtedy wprowadzić? Za trzy tygodnie? - zapytał ostrożnie Mark.
- Dobrze - powiedziała Janet, wiedząc, że nic z tego nie będzie. Nie teraz. Nie za trzy tygodnie. Nigdy. Ale musieli spróbować. Ona musiała spróbować. Może się myliła.

Kathleen zadzwoniła we wtorek wieczorem.

- Dowiedziałam się czegoś o tobie - zaczęła.
- Kathleen!
- Tak.
- Czego się dowiedziałas?
- Powiedziałaś, że studiowałaś na Uniwersytecie Stanu Nebraska w Lincoln, tak?
- Tak.
- W takim razie dowiedziałam się, że jesteś Ziarnkiem kukurydzy.
- Łuskaczem!
- Nie, to ci drudzy. Ty jesteś Ziarnkiem. Albo masz kolbę...
- Kathleen, nie masz pojęcia, o czym mówisz.
- Wiem, ale tak powinno to wyglądać, prawda?
- O takich rzeczach nie powinno się rozmawiać przez publiczne środki komunikacji.
- Telefony.
- Wszystko jedno.

Cisza.

- Czyli dzwoniłeś? - zapytała w końcu.
- Tak. Żeby podziękować za czwartek.
- Nie ma za co.
- I - Mark się zawahał - miałem zamiar gdzieś cię zaprosić...
- Ale? - zapytała rozczarowana.
- Nowa sytuacja w separacji.
- Och.
- Próbne połączenie.
- Ona tam jest?
- Nie. Zaczynamy pierwszego grudnia.
- Och. Dziwne. A tymczasem?
- Tymczasem muszę to przemyśleć. - Nie mogę się z tobą zobaczyć, Kathleen, pomyślał Mark. Nie mogę.
- A co myślisz?
- Myślę, że to jedenastoletni związek. Pięć lat temu ślubowaliśmy sobie, że będziemy razem na dobre i na złe. Musimy wykorzystać każdą szansę. Tak sądzę. I tego właśnie chcę.
- Och - powiedziała cicho Kathleen lekko drżącym głosem, z którego znikła pewność siebie. Cholera. Żona Marka to szczęściara. - Daj mi znać.
- Jeśli się nie odezwę, będziesz wiedziała.

Piętnastego grudnia zarówno Mark, jak i Janet wiedzieli, że ich małżeństwo się skończyło. Oboje wiedzieli, że próbują, może nawet za bardzo, wskrzesić coś, co już umarło.

Żadne z nich nie rozumiało do końca tego, co się stało. Każde rozumiało swój punkt widzenia, ale nie mogli się ze sobą zgodzić. Nie mogli dojść do wspólnego wniosku. Próbowali rozmawiać, cierpliwie i spokojnie, ale wciąż doprowadzali do impasu.

Z początku frustracja przeradzała się w gniew.

Później zastąpił ją smutek i żal.

Godzinami wspominali, przywołując początki, szczęśliwe czasy. Gdy rozmawiali, wspomnienia ożywały, ale Mark i Janet nie czuli już tamtej radości i miłości.

Kochali się raz. Potem tulili się do siebie i płakali. Oplakiwali miłość, która zginęła już na zawsze.

- Jak to mogło się z nami stać, Janet? - zapytał, nie mogąc niczego pojąć.

Janet potrząsnęła głową przyszły jej na myśl słowa piosenki, które podsumowywały tą sytuację. Chciała mu zaśpiewać, ale to by go tylko rozgniewało, bo nie wierzył w jej interpretację sytuacji. A ją rozgniewałoby to, że on jej nie wierzy.

Ale ona tak czuła, zawsze tak czuła. Dla niej prawdziwe było każde słowo.

Jeśli potrafię sprawić, że się uśmiechniesz...

Jeśli zdołam wypełnić twe oczy przyjemnością tylko cię tuląc...

Ach, to mi wystarczy,

Tylko taka muszę być.

Wiedziała, że to wystarczało, bo kiedyś potrafiła go uszczęśliwić i przepelnić spokojem, głaszcząc go albo całując. To jej wystarczało; nie pragnęłaby niczego więcej. Ale z niewiadomych przyczyn straciła zdolność pocieszania go. Jej obecność nie miała już znaczenia.

Janet nigdy się nie dowie, czy Mark przestał ją kochać, czy też jego własny chaos, któremu wciąż zaprzeczał, przerósł jej miłość.

Nie pozostały im żadne uczucia. Ani iskierki miłości. Tylko odrętwienie, ból i smutek z powodu cudownych wspomnień - wspomnień miłości, namiętności i uczuć, które odeszły.

Drugi tydzień, ostatni wspólny tydzień, spędzili na przygotowywaniu się do rozwodu i podziale majątku. Dzielenie rzeczy było zbyt bolesne, żeby mogli to robić razem. Wszystko przywoływało wspomnienia: zdjęcia ślubne, ręcznie dziergane szaliki, kapa na łóżko, pamiątki szczęśliwych czasów.

Janet obiecała spakować wszystko, gdy Mark się wyprowadzi, ale musiała wiedzieć, co pragnie zachować.

- Wolisz porcelanę elegancką czy codzienną? - Owocem wesela z czterystu gośćmi były porcelanowe zastawy, które kazała im wybierać pani Taylor.

- Wszystko jedno.

- Nierdzewna stal czy srebro?

- Wszystko jedno - warknął Mark, potem powtórzył łagodniej: - Naprawdę wszystko mi jedno, Janet.

- Czy jest coś, czego naprawdę chcesz? - zapytała w końcu.

- Proporzec Cornhuskers - powiedział impulsywnie. Potem zastanowił się: „Czyja naprawdę myślę o Kathleen?” Z pewnością nie robił tego świadomie. Skupił się tylko na Janet, na nich. Bardzo się starał.

Ale coś w jego podświadomości chciało mieć ten proporzec. Nie dla siebie. Chciał go pokazać Kathleen.

To wszystko bardzo go zasmuciło.

Gdy po raz pierwszy od wielu lat Mark mógłby obchodzić urodziny żony w Boże Narodzenie, Janet poleciała sama do domu, do pokrytej śniegiem Nebraski. Oboje wiedzieli, że dobrze naoliwione tryby maszyny rozwodowej w Kalifornii poruszają się sprawnie i że skutecznie i nieodwołalnie rozwiążą małżeństwo Janet Wells Taylor i Marka Davida Taylora.

Dwudziestego trzeciego grudnia Mark, który był sam w San Francisco, postanowił zadzwonić do Kathleen.

- Tu Mark.  
- Poznaję po głosie - powiedziała, prawie nie mogąc złapać tchu. Jeśli się nie odezwę, będziesz wiedziała, mówił kiedyś. A teraz się odezwał.

- Słodka Kitzy.  
- Zatem?  
- Rozwiedzimy się.  
- Dobrze się czujesz? - W jego głosie Kathleen słyszała przygnębienie.

- Tak. To trudne. I przykre.  
- Chcesz porozmawiać?  
- Raczej nie. Nie ma o czym mówić. To koniec.

Dobrze, pomyślała Kathleen. Wcale nie miała ochoty niańczyć Marka teraz, gdy dochodził do siebie po nieudanym małżeństwie. Nie chciała omawiać każdego wydarzenia. Nieraz widziała, jak jej przyjaciółki pomagały i współczuły tylko po to, żeby wreszcie ozdrowiały były mąż rozwinął wzmocnione skrzydła i znalazł sobie kogoś nowego, kogoś, kto nie wiedział o jego słabościach i błędach przeszłości.

Kathleen wiedziała również, że zwykle rozwodnicy muszą przejść przez etap romansów z wieloma kobietami - wręcz seksualnego rozpamiętania - zanim zaczną się zastanawiać nad poważnym związkiem. Kathleen sypiała z kilkoma świeżo uwolnionymi mężami. To była banda przeżających maniaków.

Omam nie powiedziała Markowi, żeby zadzwonił do niej za sześć lub osiem miesięcy, kiedy będzie gotów do poważnego związku, ale nie mogła. Może z Markiem będzie inaczej. Przecież tak bardzo się różnił od wszystkich innych mężczyzn.

- Kathleen, jesteś tam?  
- Tak. Moja kolej?  
- Uhm.  
- Dobrze. Cześć. Już. Teraz ty.  
- Chcę ci coś pokazać.

- Wiem. To jest coś.

Cisza.

- Przepraszam - powiedziała Kathleen. To nie było w jej stylu. Nie podobało jej się to. Ani jemu. Kathleen, doskonała dama. Ale przy Marku stawała się głupiotka i rozchichotana. I seksowna.

- Kiedy się zobaczymy?

- Kiedy chcesz. Ale teraz są święta, prawda? Masz plany na Boże Narodzenie?

- Nie mam chęci na rodzinne święta, Kathleen - powiedział szybko, przepraszając Marka. - Miło z twojej strony. Jak się czuje matka?

- Dobrze. W stu procentach. Spokojnie. Nie chodziło mi o rodzinne święta, chociaż byłbyś mile widziany. Miałam na myśli przyjęcie świąteczne Dzieci Klubu Carlton.

- Chyba nie przyjęcie świąteczne Dzieci Klubu Carlton organizowane przez Kathleen? - zakpił Mark.

- Słyszałeś o tym! - odparła tym samym tonem Kathleen.

- Oczywiście. Kto nie słyszał? - Mark czuł Kathleen w swoim ciele. Chciał się z nią zobaczyć. - Co to jest?

- Cóż, niedaleko, Gang z Atherton...

- Gang z Atherton?

- To starsi. Nie są tacy, jak Dzieci. W każdym razie Gang świętuje w wigilię, a prezenty otwiera się wczesnym rankiem pierwszego dnia świąt. Reszta dnia i wieczór są nudne. Jako dzieci nienawidziliśmy tego wieczora. Więc wymyśliliśmy Przyjęcie. To nasza największa impreza w roku. Rozwijała się wraz z nami. Teraz odbywa się na ostatnim piętrze Fairmont.

- I nie masz z kim iść?

- Nie, jeśli odmówisz.

- Tam będzie luksusowo, prawda?

- Tak - przyznała Kathleen. - Bardzo. Czarne krawaty. Smokingi.

Komplet.

- Nie miałem na sobie smokingu od... - Mark przerwał.

- Od własnego ślubu.

- Zgadza się.

- Pewnie nie masz czasu iść do wypożyczalni?

- Nie... Posłuchaj, może zobaczymy się...

- Nie, proszę, Mark. Bardzo chcę, żebyś przyszedł. Wszyscy się o ciebie dopytują. Podaj mi swój rozmiar, a ja skombinuję smoking ze wszystkimi dodatkami i przyniosę ci go.

- Tylko żadnego wariactwa, Kathleen.



- Nie! Podczas przyjęcia wszyscy próbujemy prześcignąć się nawzajem. To świetna zabawa. Fotografowie cykają pamiątkowe zdjęcia, które zwykle trafiają na stronę wydarzeń towarzyskich w „Chronicie”.

- Nie - powiedział zdecydowanie Mark. Nie chciał tego.

- Dobrze. Nie damy się opisać w prasie. Może chociaż prywatne zdjęcie? Na pamiątkę?

- Dobrze.

- Kiedy mam do ciebie przyjść? Pracujesz w święta?

- Nie, mam cały dzień wolny. - To było miłe, że Kathleen rozumiała, iż lekarze pracują w Boże Narodzenie i że to jej chyba nie przeszkadzało.

- Och. Nie wpadłbyś na lunch? Moi rodzice bardzo chętnie by się z tobą zobaczyli.

- Nie. Dziękuję.

- Cóż. Wszystko uspokaja się około południa. Mogę przyjść o drugiej. Przyniosę indyka i sos żurawinowy... Czy to nie za wcześnie?

- Nie. - Teraz byłoby doskonale. Nie możesz przyjść teraz? - Świetnie. Kiedy jest impreza? Hm... Przyjęcie?

- Zaczyna się o ósmej, ale lepiej nie przychodzić przed wpół do dziesiątej.

Odłożywszy słuchawkę, Mark zaczął myśleć o tym, ile razy mogliby przesłuchać jego cztery płyty z muzyką baletową w łóżku, między drugą a wpół do dziesiątej. Indyka miał gdzieś.

Odłożywszy słuchawkę, Kathleen pomyślała o tym samym. *Szeherazada, Śpiąca Królowna, Jezioro łabędzie, Giselle*. A potem *Giselle, Jezioro łabędzie, Śpiąca Królowna, Szeherazada*. A potem...

## Rozdział 7

W połowie stycznia Mark odebrał pudła, które starannie spakowała Janet. Swoją połowę pamiątek. Nie potrzebował mebli. Rozwód stał się faktem, czekali tylko, aż minie określony czas.

Kathleen spotykała się z Markiem co trzecią noc. Zawsze umawiali się na wieczór przed jego dyżurem. Wtedy był najbardziej wypoczęty. Takiej nocy również najbardziej potrzebował snu. Kathleen zawsze czekała w jego mieszkaniu, gdy wracał, i zmuszała się do wyjścia z jego łóżka o drugiej nad ranem.

Czasami, gdy nie był zbyt zmęczony po dyżurze, gdy wcześniej wracał do domu, dzwonił do niej, a ona przychodziła.

- Chyba powinnam sobie znaleźć mieszkanie w mieście - oświadczyła Kathleen rodzicom pewnego ranka przy śniadaniu. W tym momencie Mark prowadził drugą akcję ratunkową tego dnia, reanimując pacjenta z zatrzymaniem czynności serca.

- Zamieszkas z nim, moja droga? - zapytał bezbarwnym tonem ojciec.

- Nie. - Bo Mark jej o to nie poprosił. Było za wcześnie. Mark potrzebował prywatności. Czasu dla siebie.

- Więc dlaczego?

- Chcę móc z nim spędzać noce. Całe noce - powiedziała. Zasnąć i obudzić się w jego ramionach. Nie opuszczać go w środku nocy. - Nie chcę, żebyście się martwili, że rozbiję się gdzieś w drodze do domu.

Nie rozmawiali o moralności Kathleen. Tylko o jej bezpieczeństwie i szczęściu. Miała dwadzieścia siedem lat i od dzieciństwa mieszkała w swoim pokoju, we własnym skrzydle domu, ponieważ czuła się tam cudownie. I ponieważ lubiła przebywać ze swoimi rodzicami.

Kathleen miała całkowitą swobodę, ale nigdy dotąd nie chciała spędzać całych nocy z mężczyzną. Nie całych nocy, nie co noc. Ale z Markiem było inaczej.

- Zawiadom nas tylko, gdzie będziesz, kochanie. Zostaw nam jego numer telefonu. Wiemy, że przy nim jesteś bezpieczna.

Od wyjścia matki Kathleen ze szpitala państwo Jenkins nie widzieli Marka, ale doskonale pamiętali, jaki jest miły i dobry.

Pod koniec stycznia, za zgodą Marka, Kathleen kupiła stelaż do materaca, cztery puchowe poduszki w miejsce poprzednich, zniszczonych, oraz dwa komplety pościeli Laury Ashley z dopasowanymi jaškami. Nabyła też pięć kwiatów doniczkowych do salonu i powiesiła nad łóżkiem czerwono-biały proporzec Cornhuskers, chociaż trochę gryzł się z delikatnymi wzorami pościeli Laury Ashley.

Mark schował pudła z pamiątkami na strychu.

Dzięki Kathleen mieszkanie zaczynało wyglądać coraz lepiej. Stało się ładniejsze, większe, wygodne. Ich.

- Ale trzeba wszystko trochę odświeżyć - stwierdziła pewnego wieczora Kathleen. - Przydałoby się pomalować salon. Trochę obrazów...

- Kto pomaluje?

- Ja. Jeśli ci to nie przeszkadza. Gdy będziesz na dyżurze, żeby zdążyło się wywietrzyć. Dobrze?

- Jasne - powiedział Mark, obejmując ją ramieniem. - Jeśli masz ochotę.

O dziesiątej rano piątego lutego Janet weszła po schodach do mieszkania Marka. Mark podał jej adres, ale jeszcze tam nie była. Przyniosła pudło, zawierające resztą pamiątek, i pocztą, której nie przesłano pod nowy adres. Nie miało to wielkiej wartości. Mogła zostawić pudło na wycieraczkę pod drzwiami.

Ostatni szczegół. Janet wyprowadzała się z domu - z ich domu - za tydzień.

Nie zadzwoniła nawet, żeby mu powiedzieć. Nie chciała z nim rozmawiać. To było zbyt bolesne. Nie miała nic do powiedzenia. Wybrała taką porą, godziną dziesiątą rano w czwartek, żeby mieć pewność, że nie będzie go w domu. Wiedziała, że Mark pracuje wtedy z Leslie w Szpitalu Głównym San Francisco.

Janet zdziwiło, że drzwi mieszkania Marka stoją otworem. Zobaczyła pokrowce na meblach i poczuła zapach farby. Założyła, że w środku jest właściciel. Weszła do mieszkania. Skoro drzwi były otwarte, mogła zostawić pudło w środku.

- Halo? - zawołała.

- Halo! - odpowiedział zaskoczony damski głos.

Janet weszła dalej i omal nie zderzyła się z Kathleen. Kathleen spodziewała się Betsey, która zamierzała przyjść i tylko popatrzeć na malowanie.

- Witam - rzekła Kathleen. Nie wiedziała, że kiedyś ujrzy byłą żonę Marka. Ale rozpoznała twarz.

- Jestem Janet. Przyniosłam pudło z rzeczami Marka.

- Mam na imię Kathleen. Jestem przyjaciółką Marka. Zaoferowałam się pomalować mu mieszkanie.

Kathleen natychmiast rozpoznała twarz Janet. Jak mogła ją zapomnieć? To była ona. Miała nadzieję, że Janet jej nie pozna. Była na to szansa. Dziś, w stroju roboczym, Kathleen wyglądała inaczej niż poprzedniego dnia.

Ale Janet ją rozpoznała.

- Czyż nie jesteś... Czy...

- Tak.

Poprzedniego dnia zarząd Teatru Union Square przeprowadził przesłuchanie finalistek ubiegających się o rolę Joanny. Finalistki wybrano po dwóch tygodniach przesłuchań w obecności choreografów, reżyserów i producentów. Kathleen była członkiem komisji, a komisja miała prawo głosu podczas ostatecznej selekcji.

*Joanna* była bardzo ważnym spektaklem. Podejmowano ogromne ryzyko. Był to pierwszy oryginalny musical, który zamierzał wystawić Teatr Union Square - a premiera miała się odbyć nie w Nowym Jorku,

na Broadwayu, ale w San Francisco, na Geary. W wielkim napięciu oczekiwano na to ważne dla teatru wydarzenie. Wszyscy wiedzieli, że *Joanna* ma potencjał, wielki potencjał.

Należało zadbać o odpowiednią obsadę.

Janet była finalistką. Do finału doszła jako jedyna amatorka.

J. Wells. Kathleen zapamiętała nazwisko na plakietce, nazwisko kobiety o urzekającej urodzie i cudownym, czystym, pełnym uczucia głosie.

To Kathleen zasugerowała, żeby przesłuchali J. Wells do roli głównej, a nie tylko drugoplanowej. Janet słyszała tę sugestię. Wiedziała, czyj to był pomysł. Teraz dowiedziała się więcej o wytwornej młodej kobiecie z kruczoczarnymi włosami i fiołkowymi oczami.

- Jesteś żoną Marka?
- Byłą żoną. Prawie. Zapewne wiesz.
- Wczoraj nie wiedziałam, kim jesteś. Inne...
- Używam panińskiego nazwiska.

Inne nazwisko. Inna kobieta.

Mark nigdy nie opowiadał o Janet, ale Kathleen wyobraziła sobie dużą, nieelegancką wieśniaczkę. Ładną, pulchną, nieciekawą. To był pocieszający obraz.

Wychodząc z przesłuchania, Kathleen myślała o niezwyklej aktorce, która ich zauroczyła i która, mieli nadzieję, oczaruje publiczność w San Francisco, a może nawet w Nowym Jorku. Kim jest ta intrygująca, piękna kobieta o wyjątkowym talencie i ogromnych, szarych oczach? - zastanawiała się.

Teraz wiedziała.

- Byłaś cudowna - stwierdziła Kathleen.
- Dziękuję.
- Słyszałaś, prawda? O decyzji.
- Nie. Mam zostać zawiadomiona telefonicznie, dzisiaj - odparła Janet. Chciała jak najszybciej stąd wyjść. Nie mogła znieść widoku Kathleen w mieszkaniu Marka. To oczywiście był dom Kathleen. Janet była z zewnątrz. Musiała wyjść. To było zbyt bolesne.

Ale Kathleen miała jej coś do powiedzenia.

- Mieli do ciebie zadzwonić o dziewiątej. Dostałaś główną rolę, Janet. Sprzątnęłaś ją sprzed nosa wszystkim doświadczonym profesjonalistkom. Zaslugujesz na nią. Byłaś najlepsza.

Najlepsza. Janet nienawidziła tego słowa. Ale pragnęła tej roli - pragnęła zresztą jakiegokolwiek roli - w musicalu. Musiała znów zacząć śpiewać i występować. Zależało od tego jej zdrowie psychiczne. Sceptycznie przyglądała się Kathleen. Główną rolę?

Jej sceptycyzm był uzasadniony. Wydawało się zupełnie nieprawdopodobne, żeby nieznaną osobą została wybrana do głównej roli. Sam pomysł wystawienia musicalu był dość odważny. Ale nieznaną musical z nieznaną artystką? To by było bardzo ryzykowne. Zbyt ryzykowne. Janet nie wyobrażała sobie, żeby ktokolwiek był skłonny podjąć aż takie ryzyko.

Ale Janet nie знаła Rossa MacMillana. Ross często podejmował ryzyko i dzięki temu odnosił fenomenalne sukcesy. Gdy w 1976 roku założył Teatr Union Square, wszyscy przepowiadali mu klęskę. San Francisco nie potrzebowało jeszcze jednego teatru. Teraz zaś bywalcy kupowali bilety abonamentowe na cały sezon i niecierpliwie czekali na nowe spektakle. Nigdy nie byli rozczarowani.

Ross MacMillan podejmował ryzyko. Dla niego nie było to ryzyko, lecz wykorzystywanie okazji, pole do popisu dla własnej kreatywności. Znał swoje możliwości.

Miał trzydzieści trzy lata i doskonale prezentowałby się na scenie. Ludzie odwracali się za nim na ulicy („Czy to nie Robert Redford?“). A jego reżyserski geniusz i zdolność oczarowania publiczności przewyższały nawet jego wygląd.

Ross MacMillan był Dzieckiem Klubu Carlton.

I właśnie on miał decydujący głos w sprawie obsadzenia Janet Wells w głównej roli *Joanny*. Komisja mogła tylko doradzać. Decyzja należała do niego.

- Gdzie mieli do ciebie zadzwonić? - zapytała Kathleen.  
- Do pracy. Ale w czwartki zaczynam w południe.  
- Zadzwoń i sprawdź. Od razu. Gdy wczoraj wychodziłam z teatru, miałaś tę rolę. Najlepiej, jeśli zadzwonisz przed wyjściem. - Bo to najlepszy z możliwych scenariuszy, pomyślała.

Kathleen wskazała ręką telefon, za późno uświadamiając sobie, że obok aparatu stoi ładnie oprawione zdjęcie Marka i Kathleen z przyjęcia. Wspaniałe, romantyczne zdjęcie. Ich prywatna pamiątka.

Janet zobaczyła zdjęcie, zawahała się na chwilę, ale wykręciła numer do pracy. Przekazano jej, że ma zadzwonić do Rossa MacMillana do Teatru Union Square. Janet zapamiętała numer i zatelefonowała.

- Naprawdę? Dostałam Joannę? - Rola. Rola, która uświetni lub pogroży eksperyment teatru. Serce Janet waliło jak młotem. - Tak, przyjdę w poniedziałek o ósmej rano. Tak. Dziękuję, panie MacMillan.

Odłożywszy słuchawkę, Janet przez chwilę przyglądała się fotografii. Gdy odwróciła się do Kathleen, jej zwykle spokojne, szare oczy były zamglone z emocji. Próbowwała się uśmiechnąć.

- Nie zajęło mu to dużo czasu, prawda? A może... - Janet przerwała. Czy patrzyła na przyczynę? Na prawdziwą przyczynę? Czy to Kathleen była powodem złych nastrojów i odejścia Marka? Czy to przez nią Mark oddalił się od Janet? Od jak dawna są razem? Od roku? Od piętnastu miesięcy?

- Janet - powiedziała Kathleen, mrugając, żeby ukryć łzy. Uświadomiła sobie, jak wielką stratę przeżyli oboje. Wiedziała teraz, dlaczego Mark powiedział, że rozpad małżeństwa z Janet napawa go smutkiem. Dlaczego wciąż po cichu żałuje. - Mark i ja poznaliśmy się, kiedy wszystko się między wami skończyło i długo nie mógł dojść do siebie. Jeszcze długo nie będzie mógł dojść do siebie. Uwierz mi, Janet.

- Muszę już iść - stwierdziła Janet, ruszając w stronę drzwi. Stała w progu i zwróciła się do Kathleen. Po jej twarzy płynęły łzy.

- Zobaczymy się jeszcze podczas produkcji?

- Będzie kilka przyjęć.

- Nie... Czy zechciałabyś... Czy on musi przychodzić z tobą?

- Nie. Przyjdę sama. Albo wcale. To twoje przedstawienie. Ty jesteś gwiazdą.

- Dziękuję - Janet pociągnęła nosem. - Już myślałam, że naprawdę mi lepiej.

- Nie może być chyba nic gorszego niż to, przez co przechodzisz - powiedziała Kathleen.

- Nie. - Janet uśmiechnęła się blado. - Och. Czy mogłabyś... dopilnować, żeby zobaczył przedstawienie?

- Oczywiście, że zobaczy - powiedziała Kathleen. Jej fiołkowe oczy lśniły.

Mark będzie dumny z Janet.

Po wyjściu Janet Kathleen przez godzinę siedziała odrętwiała i nieruchoma, zastanawiając się po raz tysięczny, czy nie powinna po prostu zostawić go w spokoju, pozwolić mu dojść do siebie. Zostawić go i mieć nadzieję, że po pewnym czasie wróci do niej.

Mark nigdy nie mówił o Janet. Ani o swoim żalu. Prawie go nie okazywał. Tylko wtedy, gdy myślał, że Kathleen nie widzi. Ale co się dzieje, gdy mnie przy nim nie ma? Gdy jest sam? - zastanawiała się.

Jak opowiedzieć Markowi o dzisiejszym dniu, o spotkaniu z Janet?

Betsey zastała Kathleen w kuchni. Kathleen nie powiedziała, co się wydarzyło. Spędziły popołudnie, gawędząc o niczym i słuchając płyt, podczas gdy Kathleen malowała salon.

Mark nie zadzwonił następnego wieczoru. Pewnie za późno wrócił do domu, uznała Kathleen. Ale pytania kołatały się jej w mózgu. A jeśli Janet do niego zadzwoniła i powiedziała, co się stało? Jeśli wrócili do siebie?

Mark by mi powiedział, pomyślała Kathleen.

Nazajutrz, tej trzeciej nocy, która należała do nich, Kathleen przysłała do mieszkania, niosąc trzy oprawione obrazy na świeżo pomalowane ściany. Dwa z nich były ulubionymi plakatami Kathleen, przedstawiającymi San Francisco. Pierwszy, w jasnych kolorach, przedstawiał smukłą, lśniącą łódź żaglową z wielobarwnym spinakerem, tnącą roziskrzoną, błękitną zatokę. Drugi, miły i romantyczny, pokazywał zarys miasta w mroku, z księżycem i jedną gwiazdą. Trzeci obrazek był oryginalny. Wykonany tylko dla Marka.

Była to fotografia - powiększona do rozmiaru 30 na 60 cm, doskonałej jakości - budynku z cegły, z białymi marmurowymi kolumnami, otoczonego starannie utrzymanymi, szmaragdowozielonymi trawnikami i cudownymi, wytwornymi ogrodami pełnymi róż, bzów i azalii. Budynek i jego wspaniałe otoczenie ucieleśniały niezaprzeczalnie bogactwo, dobry smak, dziedzictwo i przywileje. W pobliżu wejścia w marmurze i cegle wyryto słowa: „Klub Carlton”.

Kathleen uśmiechnęła się, wieszając ostatni obrazek. Był doskonały. Zdjęcie, passe-partout, rama.

Miała nadzieję, że mu się spodoba.

Miała nadzieję, że ona mu się podoba. Jeszcze.

Mark zadzwonił o szóstej. Miał zmęczony głos, ale brzmiący normalnie.

- Przewidywany czas przybycia jedna godzina. Dobrze?

- Jasne. Zły dzień?

- Jak zwykle. Ale zaczyna się uspokajać. Jeden chory z krwotokiem wewnętrznym, ale dyżur ma dziś Leslie. Panuje nad sytuacją - powiedział swobodnie Mark.

Kathleen odniosła wrażenie, że Leslie jest w pobliżu Marka. Kathleen lubiła Leslie. Lekarka bardzo troskliwie opiekowała się jej matką. Podobnie jak Mark.

Mark przyszedł po godzinie. Wyraźnie ucieszył się na jej widok.

- Chcę wziąć prysznic, zanim cię pocałuję. A chcę cię pocałować. Teraz idę się kąpać, dobrze?

- Dobrze - odpowiedziała Kathleen, krótko całując go w usta, gdy przechodził obok niej.

- Świetnie się spisałaś z malowaniem.

Kathleen szła za nim od drzwi do łazienki. Odległość była niewielka.

- Dzięki. Zaraz zobaczysz, co ulepszyłam dzisiaj.

- Nie mogę się doczekać. Chcesz się przyłączyć? Gdy zmyję z siebie krew i bakterie...

- Nie, dziękuję - powiedziała Kathleen, patrząc, jak się rozbiera. - Muszę mieć oko na kolację.

Spojrzała na jego białe lekarskie spodnie, naprawdę poplamione krwią, i zapytała:

- Uważasz, prawda? Mark? Na krew. Zapalenie wątroby? I ta nowa choroba, AIDS?

Marka zdziwiło trochę, że Kathleen wiedziała o przenoszeniu przez krew zapalenia wątroby, a jeszcze bardziej to, że słyszała o AIDS. AIDS, zespół nabytego braku odporności, był nową chorobą, niedawno odkrytą w Ameryce Północnej. W San Francisco zanotowano sporo przypadków. Dopiero zaczynały się plotki, że choroba może się przenosić również przez krew, a nie tylko drogą płciową.

- Plamy z krwi na ubraniu są niegroźne. Gorsze są ukłucia igłą i kontakt krwi z okiem lub z błonami śluzowymi. Ale na to uważamy - Mark mówił o przenoszeniu zapalenia wątroby.

- Czy zajmowałeś się pacjentami z AIDS? - zapytała.

- Oczywiście - odrzekł. Miał na swoim oddziale dwóch takich, obu umierających.

- Czy to cię niepokoi? Zdjęcia, które widziałam... To wygląda okropnie.

- To jest okropne. - Najgorsze, pomyślał. - Nie niepokoi mnie zajmowanie się nimi. Niepokoi mnie to, że choroba zabija młodych ludzi, w moim wieku, a my nie wiemy, co ją wywołuje, nie potrafimy jej leczyć. - Głos Marka na tle szumu prysznicza brzmiał gniewnie.

- Ale skoro tak mało wiecie o tej groźnej chorobie, czy nie boisz się zarażenia? - drażyla Kathleen.

- Jestem lekarzem - powiedział ostro Mark. - Całymi dniami zajmuję się chorymi. Nie mamy podstaw, żeby sądzić, że podczas opieki nad pacjentami można się zarazić AIDS. Jeśli oczywiście zachowa się ostrożność. Jeśli pamięta się o podstawowych zasadach. A ja jestem ostrożny.

- Zobaczę, co z kolacją - rzekła Kathleen, uświadamiając sobie nagle, że ostry ton jego głosu wyprowadzają z równowagi.

Gdy Kathleen wyszła z łazienki, Mark namydlił się po raz trzeci i zaczął myśleć o swoich pacjentach z AIDS. Młodych mężczyznach, których czekała śmierć. Walczyli o życie, bo byli tacy młodzi, do niedawna



zdrowi, mający przed sobą przyszłość - ale musieli umrzeć na śmiertelną, tajemniczą chorobę. Mark zastanawiał się, czy istnieje jakiś lepszy sposób umierania. Ciepła, spokojna, cicha śmierć.

Nie umiał powiedzieć, jaka śmierć jest najlepsza, ale zdawał sobie sprawę, że umieranie na AIDS jest chyba najgorsze. Wszyscy to wiedzieli. Nikt nie chciał się zarazić tą chorobą.

Byli bardzo ostrożni.

Gdy Mark wyszedł spod prysznica, wyglądał na odświeżonego i spokojnego. Miał na sobie spodenki khaki i oksfordzką koszulę z rozpiętym kołnierzykiem i rękawami podwiniętymi do połowy nieopalonych, ale pięknie umięśnionych przedramion.

Natychmiast zauważył obrazki.

- Są śliczne, Kathleen - powiedział. Potem, przyglądając się fotografii przedstawiającej ceglana budowlę, zapytał: - Co to jest?

- Przyjrzyj się. Kolumna po lewej stronie.

Mark pochylił się nad zdjęciem i przeczytał na głos:

- Klub Carlton.

- Musiałam znaleźć coś, aby zrównoważyć efekt proporca Cornhuskers.

- Może powinniśmy go powiesić nad naszym łóżkiem. O wiele lepiej pasuje do puchowych poduszek i pościeli od Laury jak jej tam.

Nad naszym łóżkiem, pomyślała Kathleen, czując, jak pulsuje w niej radość. Dodała łagodnie:

- Ashley.

Chciała dodać: „Nie, porządek Cornhuskers oddaje ducha łóżka, naszego łóżka”. Ale to nie była prawda. Ich miłość była wszystkim, wszystkimi nastrojami, od Cornhuskers po Laurę Ashley, od niepohamowanego sportu po stosowny pod każdym względem klub Carlton. Była śmiechem i spokojną czułością. Żądzą i romantyzmem. Przygodą i tradycją. Wszystkim.

Podczas kolacji Kathleen opowiedziała mu o swoim spotkaniu z Janet.

- Myślałem, że zostawiła pudło pod drzwiami, a tyje wniosłaś, gdy przyszedłaś malować.

- Nie.

- Och.

Cisza.

- Mark, pamiętasz, co ci mówiłam o tej amatorki, którą przesłuchiwałam w środę do roli Joanny?

- O tej, którą uznałaś za sensację? Która dostała rolę, pokonując profesjonalistki? Jasne. Pamiętam. Dlaczego? - zapytał obojętnie.

- To Janet - wyjaśniła spokojnie Kathleen.

- Janet? - powtórzył jak echo Mark. Oczywiście, Janet. To właśnie robiła w liceum i na studiach. Zabierała główne role zawodowcom. Nie dlatego, że zależało jej na sukcesie. Ona po prostu musiała śpiewać.

Mark zamrugał powiekami, czując, że łzy napływają mu do oczu. Potem powiedział chrapliwym głosem:

- To dobrze dla niej. - Po dłuższej chwili zapytał: - Wiedziałaś to już w środę?

- Nie. Dowiedziałam się dopiero w czwartek. Używała, używa swojego... - Kathleen się zawahała.

- Nazwiska panińskiego?

- Tak.

- Czy była podekscytowana? - Wiedział, że była, lecz mogła tego nie okazać.

Kathleen zapamiętała tylko łzy i nieszczęśliwy wyraz twarzy Janet, patrzącej na zdjęcie Kathleen i Marka.

- Na pewno - powiedziała Kathleen.

Zmienił temat. Nie mówili o niczym ważnym. Mówili mniej niż zazwyczaj. Mark był milczący.

Później, gdy przygotowywali się do snu, zapytał od niechcienia:

- Czy podczas produkcji będą się odbywać przyjęcia? Takie, na których powinnaś być?

- Tak. Powiedziałam jej, że nie przyjdiesz na żadne z nich. Ja prawdopodobnie też. To jej przedstawienie. Dobrze?

- Tak. - Po chwili dodał: - Chciałbym jednak zobaczyć to przedstawienie.

- Wiem. Ona tego chce.

Tej nocy kochali się w nowy sposób. W najstarszy sposób. Najczystszy. Najpierw bardzo długo się całowali. Tylko się całowali, tylko w usta. Ich dłonie były spokojne. Potem wszedł w nią i poruszali się razem, połączeni, spleceni uściskiem. Powolna, rytmiczna, przyjemna miłość. Cudowna, romantyczna miłość.

Kathleen nie miała pojęcia, że właśnie tak Mark kochał się z Janet. Tylko tak. Zawsze. Setki razy.

W ciągu następnych dwóch tygodni Mark często był zaprzątnięty własnymi myślami. Kathleen nie wiedziała, dlaczego tak się dzieje. Przyczyną mogła być Janet. To by miało sens. Albo śmierć obu pacjentów z AIDS, którzy zmarli w odstępie kilku godzin. Mark przy nich

był. Patrzył, jak umierają. Bezradny. Nie mógł zapobiec temu, co nieuniknione.

Przyczyną złego nastroju mogła też być długa rozmowa telefoniczna z ojcem. Mark poprosił Kathleen, żeby wyszła do sypialni, ale i tam dobiegały do niej strzępy zdań, gniewny ton, jakiego nigdy dotąd nie słyszała u Marka. W sąsiednim pomieszczeniu zapanowała cisza, więc uznała, że widać rozmowa się skończyła, i poszła do niego. Mark nawet nie zauważył jej obecności. Zaszły się w kącie salonu i czytał *Przygody Sherlocka Holmesa*. Kathleen podniosła leżącą na stoliku książkę, *Ulissesa* Jamesa Joyce'a, i też próbowała czytać.

Nie mogła się jednak skupić. W końcu dała za wygraną i po prostu patrzyła na Marka, zatopionego w lekturze, niezauważającego jej spojrzeń.

- Nie jest dobrze - szepnęła po prawie godzinie milczenia.

Mark podniósł wzrok, oszołomiony, niemal zdezorientowany.

- Co powiedziałaś?

- Powiedziałam, że nie jest dobrze.

- Co takiego?

- Że mnie tak odsuwasz.

Odsuwasz mnie. Słowa Janet. Teraz słowa Kathleen.

Mark odłożył książkę i podszedł do Kathleen.

- Co masz na myśli? - zapytał łagodnie, z troską w głosie.

- Odbyłeś bardzo przykrą, jak przypuszczam, rozmowę z ojcem, po której całkowicie zamknąłeś się w sobie i zacząłeś się zachowywać tak, jakby mnie tu nie było i jakbym wcale nie istniała.

- Przepraszam. Nie zdawałem sobie sprawy - powiedział Mark. - Co powinienem zrobić?

- Nie wiem. Może powiedzieć: „Mój ojciec to drań. Kathleen, czy pogniewasz się, jeśli wymknę się na chwilę z Holmesem na ulice Londynu”?

- To chyba nic trudnego - odetchnął Mark z ulgą.

- Ale ty chyba robisz to nieświadomie.

- To się już zdarzało? - Mark delikatnie przyciągnął ją do siebie, zaniepokojony.

- W ciągu ostatnich paru tygodni kilka razy. W ciągu ostatnich dwóch miesięcy raczej rzadko.

- Naprawdę nie wiedziałem.

- Wiem. - Kathleen mu wierzyła. Wiedziała, gdyby zwracał na to uwagę. To prawdopodobnie stary, zły nawyk. Kathleen zastanawiała się, co wówczas robiła Janet - jeśli oczywiście zły nastrój nie pojawiał się właśnie z jej powodu.

- Co więc powinienem robić?
- Uważać. Nie muszę wiedzieć, co cię dręczy, chyba że sam będziesz chciał mi to powiedzieć. Muszę tylko wiedzieć, że nie chodzi o mnie.
- Nigdy nie chodzi o ciebie - powiedział, całując ją.
- A więc mogę ci to wytykać? Na wypadek, gdybyś nie wiedział? - Wtedy się nauczysz, pomyślała.
- Tak! Kathleen. Nie chcę cię odsuwać.
- I nie będziesz warczał? - zapytała, odwzajemniając pocałunek.
- Nie warczę - odparł łagodnie.
- O, tak. Warczysz.

Następny tydzień był lepszy. Mark wprawdzie nadal zatapiał się w lekturze albo pogrążał w ponurych rozmyśleniach, ale uprzejmie informował o swoim samopoczuciu i zamiarach. Kathleen szanowała jego prywatność i zmagala się z *Ulissesem*, czekając, aż zły nastrój minie. Zawsze mijał. Zawsze, zanim szli do łóżka.

- Ty pewnie rozumiesz *Ulissesa*, prawda? - drażniła się z nim pewnej nocy, leżąc u jego boku. - Ja nie rozumiałam, gdy czytaliśmy go w Vassar, chociaż dostałam piątkę z pracy, którą napisałam na ten temat. Wciąż nie rozumiem.

- To jedna z moich ulubionych książek. Majstersztyk.
- Czy możemy się przez nią kiedyś przegryźć? Słowo po słowie?
- Jasne. Ale nie teraz - powiedział, pocierając nosem jej miękkie, krągłe piersi.
- Nie - westchnęła. - Nie teraz.

W trzecim tygodniu lutego Kathleen zrozumiała, że mimo nowych zasad, które pozwalały jej nie przejmować się tak bardzo złymi nastrojami Marka, wciąż coś go dręczy. Miał zbyt wiele problemów do rozwiązania: Janet, nieudane małżeństwo i jakieś nieporozumienie z ojcem.

Mark nie zbuduje nowego związku, dopóki nie poradzi sobie z uczuciami i emocjami łączącymi się z małżeństwem. A na to trzeba mu czasu. I samotności.

Kathleen nie mogła mu pomóc. On nie był tym typem mężczyzny, ona nie była tym typem kobiety.

Problemy dotyczące ich obojga mogli rozwiązywać wspólnie, ale ona nie chciała mu pomagać w borykaniu się ze starymi. Nie chciała brać na siebie brzemienia problemów Marka i Janet.

Pod koniec lutego Kathleen podjęła decyzję.

- Betsey i ja wybieramy się na wycieczkę.
- Bez Jeffa? Bez przyszłego pana młodego?
- Przeżyje.
- Dokąd jedziecie?
- Na Hawaje. Do hotelu Mauna Kea na wielkiej wyspie. To nasz ulubiony. Betsey i ja jeździmy tam co sześć, osiem miesięcy we dwie, żeby pogadać, zapomnieć o kłopotach i poleżeć na słońcu. Robimy to od lat.

- Kiedy wyjeżdżacie?
- Pojutrze.
- Kiedy wracacie?
- Betsey za tydzień - odparła Kathleen. Po chwili wahania oświadczyła: - A ja za cztery miesiące.

- Cztery miesiące!
- Warczysz.
- To nie było warczenie. To coś więcej. Co ty wyprawiasz, Kathleen?
- Daję ci, jak to się teraz mówi, przestrzeń.
- O Boże. Dlaczego?
- Ponieważ tego potrzebujesz.
- Naprawdę? A więc ty wiesz, czego potrzebuję, a czego nie?
- Nie gniewaj się, Mark - błagała Kathleen. - Masz rację. Nie wiem, czego potrzebujesz. Wiem, czego ja potrzebuję i czego chyba potrzebujesz ty.

- Czyli?
- Sądzę, że musisz dojść do siebie po małżeństwie i potrzebujesz czasu.

- Moje małżeństwo się skończyło. Sprawa rozwiązana - powiedział beznamiętnym tonem Mark. Spojrzał w fiołkowe oczy i powtórzył łagodnie: - Skończyło się, Kathleen.

- Nie myślisz o tym? O tym, co było źle?
- Tak, oczywiście. Ale głównie po to, żeby nie popełniać tych samych błędów z tobą. Z nami.

Och Mark, pomyślała Kathleen, chyba jednak zostaną.  
Ale decyzja została już podjęta.

- Poza tym - dodała lekko - trzeba ci panienek.
- Panienek? Robisz ze mnie szesnastoletniego...
- Sportowca.
- Mam dwadzieścia siedem lat, jestem chronicznie zmęczony i całkowicie, delirycznie szczęśliwy z tobą - Mark przerwał, potem zapytał: - Naprawdę chcesz, żebym spał z innymi kobietami, gdy cię nie będzie?

- Tak! - Nie, raczej nie, pomyślała Kathleen, czując skurcz w żołądku. Czy warto tak ryzykować? Śpij z nimi, Mark, tylko się nie zakochuj. Dowiedz się, jak bardzo jesteśmy oboje wyjątkowi.

- To śmieszne.

Kathleen wzruszyła ramionami.

- Kiedy po raz ostatni spałeś z kimś innym niż ja lub Janet?

- Nigdy.

- O nie! Spotkamy się za rok. Albo za dwa.

- Kathleen, robisz ze mnie bezmyślne, nieczule zwierzę o niezaspokojonych instynktach. To pochlebia mi tylko trochę. Bardziej mi ubliża.

- Mark - zaczęła. Kocham cię, pomyślała. Pragnę cię. Na zawsze. To jedyny sposób. Powiedziała: - Cztery miesiące to niedługo.

- Przez cztery miesiące wiele może się zdarzyć - stwierdził ponuro Mark, wspominając ostatnie cztery miesiące własnego życia. Stracił kobietę, z którą chciał zostać na zawsze. Pokoch... zaczęło mu bardzo zależeć na innej kobiecie. Wszystko działało się tak szybko, że nie zdążył pomyśleć...

Kathleen ma rację, uświadomił sobie. Cztery miesiące to niedługo, a wiele może się zmienić. Przez ten czas mogę, możemy, zyskać pewność.

- Gdzie będziesz? - Przycisnął usta do jej lśniących czarnych włosów.

- W wielu miejscach. Zero kontaktu. - Kathleen zamierzała zostać w Atherton i tylko robić krótkie wypadki, takie jak ten na Hawaje, ale Mark nie powinien wiedzieć.

- Ach, zero kontaktu. Cudownie - powiedział przekornie. Potem dodał poważnie: - Czyli zasada tego próbnego rozstania jest taka, że się nie komunikujemy? I ja kocham się z każdą kobietą którą napotkam?

- Coś w tym stylu.

- Kiedy się ponownie zmaterializujesz?

- Po Wimbledonie.

- Wimbledon? Mistrzostwa tenisowe? Jedziesz?

- Oczywiście - powiedziała lekko Kathleen głosem Dziecka Klubu Carlton, oznajmiającym: „Czyż nie jadą wszyscy?” - Zawsze tam jeżdżę. Z rodzicami. Prezesi zawsze mają najlepsze miejsca.

- Kiedy wrócisz?

- Dzień lub dwa po finałach, ósmego albo dziewiątego lipca.

- Zdasz na moje urodziny?

- Które przypadają...

- Jedenastego lipca.

- Jeśli chcesz.

- Chcę.
- A gdybyś nie chciał?
- Dam ci znać.

## Rozdział 8

Jean Watson została przyjęta do szpitala na salę Leslie w Szpitalu Uniwersyteckim piętnastego kwietnia. Przed pierwszą wizytą u nowej pacjentki Leslie zapytała o szczegóły jej skomplikowanej historii choroby doktora Jacka Samuela, specjalistę hematologa-onkologa.

- To najmiłsza kobieta pod słońcem, Leslie. Śmiertelnie chora. To prawdopodobnie jej ostatnia hospitalizacja. Rok temu zdiagnozowaliśmy raka piersi, guz, negatywne receptory estrogenów. Zastosowaliśmy ostrą chemię i nie odnotowaliśmy przerzutów. Czowała się bardzo dobrze, ale miesiąc temu zaczęła się skarżyć na zmęczenie i krwawienie z dziąseł. Zbadałem szpik... Martwica.

- Nie ma komórek rakowych? - zapytała Leslie.

- Nie. Martwica. Nic.

- Może wróci.

- Leslie, ona nie ma komórek. Jej szpik nie funkcjonuje. Od miesiąca podajemy jej erytrocyty, leukocyty i trombocyty.

- A przeszczep szpiku? Może jednocześnie udałoby się nam zwalczyć raka. Wyleczyć wszystko.

- Bardzo bym chciał, ale nie możemy dobrać krwi do transfuzji. Pochłania płytki krwi od razu, gdy je podajemy. Z punktu widzenia immunologii taki przeszczep byłby rozwiązaniem nie do przyjęcia. Pacjentka by go nie przeżyła.

- Zatem trwa również proces autoimmunizacji? Rak piersi, martwica szpiku i jeszcze autoimmunizacja?

- Mhm.

- Może guz wydziela jakąś substancję niszczącą szpik i powoduje tworzenie autoprzeciwciał... - zastanawiała się Leslie.

Doktor Samuels przyglądał się jej przez chwilę. Słyszał o niej. Koledzy zachwycali się jej błyskotliwością. Mówili też, że jest miła. I obojętna. Ale nigdy dotąd z nią nie pracował. Oczywiście, zwrócił na nią uwagę. Trudno było nie zauważyć szczupłej, pociągłej twarzy okolonej kasztanowymi lokami, szafirowych oczu i smukłej, zgrabnej syl-

wetki pod białym fartuchem. I uśmiechu, czasami zmęczonego, czasami bladego. Uśmiechu, który często pojawiał się na jej twarzy.

Zauważali ją wszyscy lekarze. Rozmawiali o niej i zastanawiali się, kim jest, co robi po wyjściu ze szpitala, czy ktoś na nią czeka, czy jest szczęśliwa.

Mieli nadzieję, że tak. Lubili ją.

Teraz, rozmawiając z nią, oczarowany jej świeżą, naturalną urodą oraz wielkimi, uważnymi i pełnymi troski niebieskimi oczami, Jack Samuels wiedział, czuł, o czym mówili.

Potem Leslie zasugerowała, że guz może wydzielać jakąś substancję. ... On też o tym myślał. Byłoby to niezwykle. Wyjątkowe. Większość stażystów, a nawet lekarzy, nie wzięłaby pod uwagę takiej możliwości.

- Ja też się nad tym zastanawiałem, Leslie - powiedział.

- Czy to znaczy, że będziemy kontynuować chemioterapię? - zapytała.

- Może. Jeszcze nie podjąłem decyzji. Bardzo trudno stosować chemioterapię, która niszczy szpik, komuś, czyj szpik próbuje się pobudzić. Nie mówiąc o kłopotach z transfuzją krwi.

- Z kolei jeśli to wszystko powoduje guz, a my tego nie leczymy... - powiedziała cicho Leslie.

- Wiem. Trudna sprawa. Omówimy ją, gdy zbadasz pacjentkę i zapoznasz się z historią choroby. Zawiadom mnie, co o tym myślisz - rzekł, prawie nie wierząc we własne słowa. Jack Samuels w tak poważnych przypadkach nigdy nie pytał o zdanie stażysty. Oczywiście, jako wykładowca hołdował przyjętym rytuałom wprowadzania stażystów w pracę, angażowania ich w sokratesowski dialog. Nawet słuchał, co mają do powiedzenia.

Ale nigdy dotąd nie pytał żadnego z nich o zdanie.

Leslie po prostu kiwnęła głową i powiedziała:

- Dobrze.

- Chyba jeszcze nie ma jej na oddziale. Zamierzałem cię przedstawić.

- Pójdę do niej, gdy tylko ją przywiozą. Wtedy do pana zadzwonić?

- Tak.

- Dobrze. Dziękuję, doktorze Samuels.

- Jack - odparł ku własnemu zdumieniu, jednocześnie śmiejąc się w duchu. Jego żona, również lekarz, zdiagnozowałaby to zachowanie jako ostry kryzys wieku średniego.

Po rozmowie z Jackiem Samuelsem Leslie wyobraziła sobie panią Watson: kruchą, wyczerpaną, umierającą.



- Pani Watson? - upewniła się, zaskoczona widokiem kobiety siedzącej na łóżku przeznaczonym dla Jean Watson.

Pacjentka siedziała po turecku, ubrana w puszysty, jasnożółty szlafrok. Miała ciemnorude włosy, piegowatą twarz i wesołe, roziskrzone spojrzenie. Uśmiechała się szeroko. Z twarzy pięćdziesięcioośmioletniej kobiety, pomarszczonej i pełnej charakteru, na pierwszy rzut oka można było wyczytać, że jej życie było bogate, ciekawe i szczęśliwe.

- Tak? - zaświergotała.

- Pani Watson, jestem Leslie Adams, stażystka. Będę się panią opiekować.

Leslie zwykle przedstawiała się jako Leslie Adams, stażystka, a nie jako doktor Adams. To zmniejszało dystans.

Czasami Leslie musiała zdecydowanie okazywać, kim jest i jaką ma władzę. Wtedy była doktor Adams. Lekarzem. Zwykle zdarzało się to w izbie przyjęć Szpitala Ogólnego San Francisco, gdy trafiała na alkoholików, narkomanów i psychotyków, zbyt otumanionych, nieprzytomnych lub agresywnych, żeby zwracać uwagę na cokolwiek poza jej wzrostem, urodą i płcią. Leslie wtedy podkreślała, że jest lekarzem. I że ona tu rządzi.

Ale w przypadku pani Watson nie było to konieczne.

- Jest pani lekarzem!

- Tak - odrzekła cierpliwie Leslie. - Stażyści są lekarzami.

- Moja droga, dobrze o tym wiem. Zareagowałam tak na twój wiek, nie na stanowisko. Wyglądasz tak młodo! Od roku tak często przebywam w szpitalach, że znam całą hierarchię. Wiem nawet o zmianie nazwy. Czy nie jesteś teraz R-1?

Leslie się uśmiechnęła. To była prawda. Nazwa „stażysta” została oficjalnie zniesiona. Wszyscy byli lekarzami: pierwszy rok - R-1, drugi rok - jak Mark - R-2 i tak dalej. Nazwa „stażysta” mogła zniknąć, ale charakter pracy i trudy pierwszego roku w szpitalu na pewno się nie zmieniły.

- Jak zwał, tak zwał - uśmiechnęła się Leslie.

- Ach, tak. Rozumiem.

Leslie zdziwiły słowa pani Watson, która powiedziała jej, że młodo wygląda. Przed rozpoczęciem stażu Leslie rzeczywiście wyglądała młodo, ale miała wrażenie, że w ciągu ostatnich dziewięciu miesięcy bardzo spoważniała. Czuła się starzej. Dostrzegła zmarszczki na twarzy, wokół oczu, zmarszczki, których nigdy przedtem nie widziała. Wiedziała, że cerę ma suchą i przemęczoną. Czuła napięcie własnej skóry.

Pani Watson prezentowała się jak okaz zdrowia. Jakby miała długowieczność zaprogramowaną genetycznie. Leslie dowiedziała się z karty,

że jej rodzice zmarli w wieku dziewięćdziesięciu dwóch i dziewięćdziesięciu czterech lat.

- I przez te wszystkie lata zachowali doskonałą pamięć i sprawność umysłową - poinformowała z dumą Jean Watson.

Dopiero gdy pacjentka zdjęła puchaty szlafrok, Leslie ujrzała, jakich zniszczeń dokonała choroba. Ciało było chude, pomarszczone, bez jednej piersi, skóra pokryta sinymi plamami, bo z powodu niskiego poziomu trombocytów krew nie krzepła należycie.

- Okropnie wyglądam, prawda? - zapytała, uśmiechając się prze-kornie.

Leslie odwzajemniła uśmiech, nie wiedząc, co powiedzieć. Osłupiała na widok przypominającego zwłoki ciała tej żywotnej, pełnej radości kobiety.

- Przydałby się port, żeby jak najmniej kłuć panią zastrzykami - powiedziała w końcu.

- Hickman? Miałam kilka. Nie wytrzymują długo; zatykają się mimo niskiego poziomu trombocytów!

Świetnie, pomyślała Leslie. Jack Samuels nie wspomniał o tym problemie.

- Dobrze. W takim razie musi mi pani pomóc znaleźć żyły - powiedziała swobodnie, wiedząc, jakie to będzie trudne, jak kruche i poharatane muszą być jej żyły.

- Są w paskudnym stanie - stwierdziła Jean Watson.

- Jestem niezła we wkłuwaniu się w delikatne żyły - rzekła wesoło Leslie. Wiedziała, że dla pani Watson będzie to przykre, częste nakłuwanie sprawia ból, w dodatku jest to frustrujące. Wciąż przypomina pacjentce, że własne ciało ją zdradziło. Ciało zdradziło umysł i ducha. Ciało stało się chore, słabe. Ciało miało umrzeć.

Leslie przez następne tygodnie patrzyła, jak ciało Jean Watson umiera mimo chemioterapii, plazmaferezy i transfuzji leukocytów, erytrocytów i trombocytów. Wiele się dowiedziała o żywotnym, kochającym umyśle, który nie chciał umierać. Jeszcze nie. Nigdy.

Spędziła wiele godzin z Jean, opiekując się nią i rozmawiając z nią. Codziennie szukała żył, cierpliwie i najdelikatniej, jak umiała. Podawała kroplówki do koniecznych transfuzji i leków, pobierała krew do badania. Leslie obserwowała pierwszych kilka chwil każdej transfuzji. Immunologicznie pobudzone ciało Jean mogło wykazać poważną reakcję alergiczną na produkty krwi.

Rozmawiały ze sobą. Czasem o zyle, w którą można byłoby się wkłuć, rzadziej o stanie Jean, głównie zaś o życiu.

- Następnym razem. W przyszłym życiu będę miała córkę - powiedziała pewnego dnia Jean.

- Masz cudownych synów - powiedziała Leslie, lekko klepiąc miejsce, w którym powinna pojawić się żyla.

- Mam. Wiem. Ale pięciu chłopaków i żadnej córki! - zaśmiała się.

Leslie poznała wszystkich pięciu synów - rudowłosych, piegawatych, podobnych do matki. Wszyscy mieli wesole oczy i jej uśmiech. Leslie wyobrażała sobie, że pan Watson też ma rude włosy.

Ale tak nie było. Miał gęste, kędzierzawe, ciemne włosy i ciemne oczy. Może jego rudowłosi synowie spłodzą dzieci o czarnych lokach. Wnuki, może wnuczki, których jednak nigdy nie ujrzy Jean.

Carl Watson był miłym, kochającym człowiekiem. On i „chłopcy”, jak Watsonowie czule nazywali synów, odwiedzali Jean codziennie. Chłopcy mieli od szesnastu do trzydziestu lat. Podczas ich wizyt Leslie zawsze słyszała śmiech dobiegający z pokoju Jean - wysoki, kobiecy śmiech i chór niskich, męskich głosów.

Widok Watsonów, roześmianych, kochających, rozmawiających, przypominał Leslie jej własnych rodziców. Cotygodniowe rozmowy telefoniczne z Seattle zaczęły się wydłużać. Czasami Leslie dzwoniła dwa razy w tygodniu. Czerpała otuchę z rozmów z rodzicami, z dźwięku ich głosów, z pytań matki o jej wagę, zdrowie i mężczyzn.

Watsonowie bardzo przypominali rodzinę Leslie. Byli sobie bliscy i ogromnie się kochali. Tylko jej rodzina miała szczęście. Przynajmniej do tej pory, pomyślała Leslie, zastanawiając się, jak sprawić, żeby szczęście trwało wiecznie. Watsonowie nie zrobili nic złego. Choroba Jean była po prostu tragedią. Niewytlumaczalną. Bolesną. Nikt nie ponosił za nią winy. Nikt nie mógł temu zapobiec.

Szczęście. Przeznaczenie. Wola boska...

Mark przez chwilę przyglądał się kopercie. Nazwisko i adres napisało ręcznie, adres zwrotny wydrukowano ciemnogranatowym atramentem. Teatr Union Square. Na Geary. Odręczne pismo przypominało charakter Kathleen.

Mark szybko otworzył kopertę. Kathleen nie było od sześciu tygodni. Wydawało się, że minęło o wiele więcej czasu.

Poznał pismo Kathleen. W kopercie znalazł liścik napisany dwudziestego siódmego lutego, w przeddzień jej wyjazdu na Hawaje, dwa bilety do teatru i drukowane zaproszenie.

Mark przeczytał najpierw liścik.

*Cześć! Ten list powinien być dołączony do dwóch biletów na premierę Joanny (które mają zostać wydrukowane) oraz zaproszenie na przyjęcie po próbie generalnej (które również ma zostać wydrukowane) i wysłany do Ciebie na czas. Mam nadzieję, że wszystko poszło zgodnie z planem. Zrób, jak uważasz.*

*Czekam na Twoje urodziny.*

*Aloha,  
Kathleen*

Mark uśmiechnął się, czytając list, z którego emanowały energia i humor Kathleen. Nie musiał sobie o tym przypominać. Wciąż o niej myślał. Tęsknił za nią. Pragnął jej.

Ale wiedział, że miała rację w kwestii rozstania.

Potrzebował czasu i samotności. Musiał rozwiązać swoje problemy, poznać prawdziwe uczucia po odejściu Janet. Smutek. Żal. Ale nie chęć powrotu, rozpoczęcia wszystkiego od nowa. Nie było dokąd wracać. Czas, gdy miłość Janet i Marka kwitła istniał jedynie w ich umysłach, w pamięci oraz w ich zboliałych sercach wypełnionych poczuciem straty.

Ich związek dobiegł końca. Mark musiał się z niego czegoś nauczyć i iść dalej, starając się nie powtarzać własnych błędów. Z Kathleen już popełnił ów błąd, ale Kathleen mu o tym powiedziała. Na czas.

Mark potrzebował samotności, żeby przemyśleć błędy, które popełnił, które mógł powtórzyć, których mógł uniknąć. Ale co z błędami, których nie dostrzegał? A jeśli Kathleen też je dostrzeże, podobnie jak Janet, dopiero gdy będzie już za późno?

Mark wiedział, że zawsze istnieje ryzyko błędu, odsunięcia się od ukochanej osoby z powodu jego złych nastrojów i tego drugiego problemu. Wielkiego, nie rozwiązanego problemu, który Janet zauważyła i któremu on w gniewie zapalczywie zaprzeczył.

Dopiero teraz, gdy podczas samotnych nocy zmuszał się do myślenia, uświadomił sobie, że Janet miała rację. Nie lubił być lekarzem. To takie proste i zarazem skomplikowane. Przecież to było jego przeznaczenie. Narzucone mu przez ojca. Przez jego własny, wewnętrzny pęd. Przez to, co kazało mu być najlepszym.

Ale Mark tego nie lubił. A nawet więcej. Janet miała rację. On tego nienawidził.

Co miał teraz robić?

Nie wiedział. Trudno podejmować decyzje w czasie męczącego drugiego roku w szpitalu, mówił sobie. Może kiedyś będzie lepiej. Tak wszyscy mówili. Jest lepiej.

Ale dotąd nic się nie zmieniło.  
A medycyna zniszczyła już jedno małżeństwo.

Mark spojrzął na zaproszenie na przyjęcie po próbie generalnej i sprawdził datę w kieszonkowym kalendarzyku. Nie będzie mógł iść. Ma dyżur. To oznaczało, że będzie wolny w następny wieczór, wieczór premiery. Może więc iść na przedstawienie.

Mark spojrzął na bilety. Dwa bilety.

Kathleen, uśmiechnął się. Przypominała mu, żeby się z kimś umówił.

Kathleen miała rację nawet co do tego, że powinien się umawiać z innymi kobietami.

W czasie jej nieobecności, wiedząc, że Kathleen tego od niego oczekuje, Mark przestał odrzucać awanse, które zaczęły się w dniu, w którym zdjął obrączkę.

Mógł to porównać tylko do czasów szkoły średniej. Wtedy był na randce po raz ostatni. W pewnym sensie było podobnie. Ale teraz sygnały były silniejsze, wyraźniejsze, bardziej konkretne. Te kobiety chciały z nim spać.

Chyba żadna z nich nie upatrywała w nim kandydata na męża. Kobiety, które go zaczepiały, najwyraźniej podziwiały pogląd Kathleen, że nowi rozwodnicy są straszliwymi mężami, ale pełnymi entuzjazmu kochankami.

Te kobiety chciały się bawić. Chciały mu pokazać wszystko, czego brakowało mu w czasie małżeństwa. Nie miały iluzji co do uczuć. Te, które robiły sobie nadzieję, które potajemnie podziwiały Marka przez dwa lata i które wiedziały, jakim jest mężczyzną, trzymały się z dala. Może za rok. Gdy będzie emocjonalnie gotowy, żeby spróbować jeszcze raz.

Mark z łatwością podjął tę grę. Była bardzo prosta. Stawka nie była wysoka. Nikomu nie działa się krzywda, nie zagrażało to też jego związkowi z Kathleen; przeciwnie, wzmacniało go. Gdy wróci, zanim wróci, on przestanie. Bez żalu.

Do jej powrotu będzie grał. To przyjemna ucieczka przed nękającymi go problemami, ciekawa, ekscytująca rozrywka, gdy napięcie staje się zbyt duże, gdy piętrzą się pytania bez odpowiedzi.

Mark rzadko umawiał się z kimś więcej niż trzy razy.

Z wyjątkiem Gail.

Gail podrywała go od pierwszego dnia jego stażu. Widziała obrączkę z osiemnastokaratowego złota, ale wcale się tym nie przejmowała.

Wiedziała, że spośród lekarskich małżeństw utrzymuje się około pięćdziesięciu procent, a poza tym nie obchodził jej stan cywilny Marka.

Jako siostra przełożona na oddziale chorób naczyń wieńcowych, znała się na odczytywaniu elektrokardiogramów, interpretowaniu arytmii i wydawaniu leków nasercowych. Robiła to od dziesięciu lat.

Dwa tygodnie po wyjeździe Kathleen Gail zawołała do Marka z pokoju pielęgniarek. Trzymała w dłoni wydruk EKG. Zmarszczyła brwi nad zielonymi oczami.

- Mark, możesz podejść na chwilę?

- Jasne, o co chodzi?

- Spójrz na ten wykres. PVC czy APC? Nie mam pewności.

Mark rzucił okiem na wykres i spojrzał ze zdziwieniem na Gail.

- APC, Gail - powiedział. Nie mógł wprost uwierzyć, że miała z tym jakikolwiek kłopot.

- Tak właśnie myślałam. Dzięki. - Jej zielone oczy wciąż się w niego wpatrywały. - Jak się czujesz, Mark?

- Dobrze.

- Tylko dobrze?

- Z każdym dniem lepiej.

Gail podeszła bliżej i dotknęła paska podtrzymującego jego luźne białe spodnie.

- Nikt cię nie karmi - zamruczała, nie zdejmując dłoni.

- Gail! - wykrzyknął, odsuwając jej dłoń, ale nie odchodząc, jak zrobiłby przedtem. Był nieco zaintrygowany. Po wyjeździe Kathleen schudł. Jeszcze bardziej. I nie był na żadnej randce.

- Co? - zapytała z roziskrzonymi oczami, udając niewinne zaskoczenie.

- Co?

- Może byś wpadł na kolację?

Tej nocy w łóżku, zanim zaczęli się kochać po raz drugi, Gail powiedziała:

- Wiedziałam, że to APC.

- Co?

- Chciałam tylko zwrócić twoją uwagę.

- Pod fałszywym pretekstem?

- Jakkolwiek. Poza tym przecież tego chciałeś.

Odpowiedział pocałunkiem.

Tak, pomyślał, chyba tak.

## Rozdział 9

**M**ark postanowił pójść na premierę sam. Nie powinien zabierać innej kobiety na przedstawienie Janet. To zepsułoby wrażenie.

Uznał, że powinien uprzedzić Janet.

Nie rozmawiali ze sobą od początku stycznia, gdy zadzwoniła, żeby mu powiedzieć, że może przyjechać po swoją część pamiątek, starannie zapakowanych w tekturowe pudła. Mark wykręcił ich stary numer telefonu. Został odłączony. Operator podał nowy numer. Mark nie rozpoznał początku. To był numer zamiejskowy. Janet wyprowadziła się z miasta.

- Janet. Tu Mark - powiedział cicho, gdy podniosła słuchawkę.  
- Cześć. - Jej głos brzmiał spokojnie.  
- Jak się czujesz?  
- W porządku. Dobrze.  
- Gdzie mieszkasz?  
- Na północ od miasta, przy wybrzeżu. Wynajmuję domek. Jest częścią dużej posiadłości - powiedziała z entuzjazmem. Podobał jej się nowy dom i cała okolica.

- Pewnie jest tam bardzo miło.  
- Jest.  
- A jak przedstawienie?  
- Świetnie. - Jej głos złagodniał. - Jest wspaniale. Bardzo dużo się nauczyłam.

- Różni się od teatryku liceum Lincolna i amatorskiego teatru w Omaha?

- Pod każdym względem.  
- Wybieram się na premierę... - Zawiesił głos, jakby zamierzał dodać: „Mam nadzieję, że ci to nie przeszkadza”.

- Dobrze. Kathleen wzięła bilety. Nie widziałam jej ani razu. Myślałam, że wpadnie na którąś próbę.

- Wyjechała, wróci w lipcu.

- Och.

- Przyjdę sam, ale mam dwa bilety, więc od razu mnie zauważysz. Będę siedział obok jedyne pustego miejsca w teatrze.

- Nie wiem, czy rozpoznam kogoś na widowni.

- To już nie liceum, prawda?

Janet zawsze znajdowała go wzrokiem na widowni. Czasami patrzyła tak, jakby grała tylko dla niego.

- Nie - odparła w zamyśleniu. Potem zapytała: - Naprawdę przyjdiesz sam?

- Tak.

- Może zabierz Leslie? Chciałabym, żeby zobaczyła to przedstawienie. Nie wiem, czy przyszłaby sama.

- Zaproszę ją z przyjemnością - odparł bez wahania Mark. Leslie nie zakłóci jego prywatności. Pójdzie do teatru z tego samego powodu, co on. Z powodu Janet. Dla Janet.

- Zadzwoń do niej zaraz. Wiem, że jest w domu, bo przed chwilą rozmawialiśmy. Cały czas próbuję ją przekonać, żeby przyszła na premierę. Chyba chce.

- Zadzwonię. Podasz mi jej numer?

Zanim odłożył słuchawkę, Janet powiedziała szybko - mogła to powiedzieć albo szybko, albo wcale:

- Może po przedstawieniu wpadniesz z Leslie za kulisy? Podam wasze nazwiska inspicjentowi.

W pracy Mark i Leslie dzwonili do siebie, wzywali się pagerami, często rozmawiali przez telefon.

- Mark, jestem na erce. Z tym facetem jest o wiele gorzej, niż sądziłiśmy. Możesz zejść?

- Leslie, czas, żebyś wracała do domu. Ja muszę tu siedzieć całą noc. Daj mi listę i zmykaj.

- Mark, właśnie zmarł pan Simpson.

- Leslie, zespół spotyka się w kafejce za pięć minut. Przyjdź.

W szpitalu o każdej porze dnia i nocy Mark i Leslie często rozmawiali przez telefon. Bez skrepowania. W szpitalu. Ale wykręcając domowy numer Leslie, Mark poczuł się dziwnie. Nie znał Leslie z domowym numerem telefonu, Leslie spoza szpitala.

Leslie prawdopodobnie znała każdy szczegół jego nieudanego małżeństwa. Prawie na pewno wiedziała o spotkaniu Janet z Kathleen. Znała Kathleen, bo opiekowała się jej matką. Nie ulegało wątpliwości, że dużo wiedziała o życiu osobistym Marka, ale nigdy o tym nie mówiła.

Jednak postanowił do niej zatelefonować, tak jak sugerowała Janet.

- Halo?

- Leslie, tu Mark. - Nigdy się nie przedstawiał, gdy dzwonił do niej w pracy. Znała jego głos. Ale teraz omal nie powiedział: „Tu Mark Taylor”.

- Cześć.

- Rozmawiałem właśnie z Janet i oboje uznaliśmy, że ty i ja powinniśmy iść na premierę, a potem spotkać się z nią za kulisami. - Mark przerwał, nieco zdyszany. Śmieszne! W pracy nigdy nie tracił tchu, wydając



jej o wiele dłuższe polecenia: „Leslie, dwie próbki krwi, trzy, jeśli możesz, badanie moczu i płwociny, OB, potem daj go na kardiologię, niech go zbadają, potem, w trakcie albo przedtem, jeśli będzie to trwało za długo, zaczniemy badać dalej...

- Masz bilety? - Leslie przed chwilą dzwoniła do teatru. Wszystkie bilety były wyprzedane.

- Doskonałe miejsca. Kathleen wyjechała, ale zostawiła mi bilety - rzekł. Dlaczego nie miałyby przyznać się do wszystkiego? Oboje zdawali sobie sprawę, że Leslie wie o przesłuchaniu, o Kathleen, o wszystkim. Było łatwiej. Ale czuł się dziwnie.

- Chętnie pójdę. Trzydziestego kwietnia, prawda? - Zaledwie za tydzień.

- Tak. A następnego dnia wracam do Szpitala Uniwersyteckiego ze Szpitala Ogólnego San Francisco. Chyba będę z tobą na hematologii i na onkologii.

- Tak.

- Jak ci idzie? - zapytał.

Leslie opowiedziała mu szczegółowo o Jean Watson. Odkładając słuchawki po typowej szpitalnej rozmowie, oboje byli zaskoczeni tym, że znajdują się we własnych mieszkaniach, a nie na oddziale.

Mark i Leslie zjedli kolację, lekką zupę i kanapkę w restauracji Le Soucon, naprzeciwko Teatru Union Square na Geary, gdzie bywano przed spektaklem.

- Wyglądasz oszałamiająco - powiedział Mark dumnym tonem starszego brata.

Leslie była ubrana w czarną suknię z przezroczystymi rękawami, dopasowaną w talii, z lekko rozszerzaną spódnicą. Suknia była trochę za luźna. Leslie zeszczupiała, zrobiła się chuda. Z wyjątkiem piersi. Były wciąż pełne i krągłe, ich miękkość kontrastowała z kościstą sylwetką.

Leslie upięła kasztanowe loki na czubku głowy, luźno przytrzymując je dużą, złotą spinką. Podkreśliła oczy tuszem i odrobiną niebieskiego cienia, pełne usta musnęła jasnorożową szminką.

Ty też wyglądasz oszałamiająco, pomyślała Leslie. Mark w ciemnym garniturze.

- Inaczej niż w białym fartuchu poplamionym jodyną, ze stetoskopem - mruknęła.

- Bardzo ładnie wyglądasz - powtórzył.

Przy kolacji Leslie zapytała:

- Z radością myślisz o przyszłym roku?

- O przyszłym roku?

- Będziesz R-3! Powinno się zrobić przyjemniej.

Harmonogram dla lekarzy trzeciego roku był o wiele lepszy. Konsultacje, mniej dyżurów, żadnej najgorszej roboty.

- Powinno - powiedział Mark nieobecny tonem i zamilkł.

Leslie osłupiała. Nigdy dotąd tego nie widziała, ale rozpoznała, co się dzieje, bo Janet doskonale to opisała.

- Przepraszam - powiedział, szybko dochodząc do siebie, rozumiejąc, co się stało. Próbuje, Kathleen, pomyślał. Uczę się.

- Mark - zaczęła powoli Leslie - gdyby ktoś ci teraz powiedział, że w Stanach Zjednoczonych nie możesz być lekarzem, gdyby prawo zakazywało leczenia wszystkim Markom, co byś robił?

Widząc jego reakcję, Leslie zrozumiała, że Janet ma całkowitą rację. Mark nie chciał być lekarzem. Hipotetyczne pytanie - sama myśl o porzuceniu medycyny - sprawiło, że się uśmiechnął, przeniósł się w inne, szczęśliwsze miejsce.

- Wróciłbym do szkoły. Skończyłbym studia literackie. Uczyłbym angielskiego. Może bym pisał.

Odpowiedź Marka była szybka, pewna. Myślał o tym. Wiedział, co by robił. Wiedział, co chciałby robić.

- Tym zajmuje się mój ojciec. Właściwie oboje rodziców.

- Naprawdę?

- Tak. Matka jest dziennikarką. Dużo pisze. Ojciec wykłada literaturę angielską na Uniwersytecie Waszyngtona. - Leslie przyglądała się przez chwilę Markowi, potem bardzo ostrożnie dodała: - Wiem, że ojciec przyjąłby cię do siebie na studia. Wiem.

Mark otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale natychmiast je zamknął. Wyraz jego twarzy się zmienił.

- To tylko głupie marzenie, Leslie. Może w przyszłym życiu. - Mark wzruszył ramionami.

- To jedyne życie, na jakie możesz liczyć, Mark - powiedziała szybko tonem, który zaskoczył ich oboje.

Uśmiechnął się. Po bratersku. Trochę smutno. Potem zapytał:

- A ty co byś zrobiła? Gdyby żadna Leslie nie mogła być lekarzem?

- Nie wiem - odparła. Kłamała. Doskonale wiedziała, co by zrobiła. Przeniosłaby się do najbliższego kraju, gdzie kobiety o imieniu Leslie mogły leczyć chorych. Nawet gdyby to było gdzieś bardzo daleko.

Ale nie mogła tego powiedzieć Markowi.

Och, Mark, pomyślała. Nie rób sobie tego. Zawód lekarza jest dość trudny, nawet gdy pragnie się go zdobyć. Ale jeśli ty nawet nie chcesz... Odbyłeś staż i jesteś lekarzem, chociaż nie chciałeś leczyć, chociaż zawsze marzyłeś o czymś innym...

To zasmuciło Leslie.

Upewniła się, że Janet mówiła prawdę. To prawdopodobnie zniszczyło jego małżeństwo i chyba powoli, konsekwentnie niszczyło jego samego. Nie cierpiał swojej pracy i nie chciał o tym mówić. Nie chciał nawet przyznać się do tego przed sobą.

Mark był najlepszym lekarzem, jakiego знаła Leslie. Najlepszym. Janet nienawidziła tego słowa. Mark nienawidził swojej pracy, ale coś kazało mu ją wykonywać i być najlepszym.

- Hej, Leslie! O czym myślisz?

- Myślałam o tobie - odparła szczerze, patrząc w jego ciemne oczy, przejęta wewnętrznym drżeniem. - Martwiłam się o ciebie.

- Nie martw się o mnie - powiedział. - Chodźmy do teatru.

Leslie i Mark oglądali *Joannę* z najlepszych miejsc na widowni. Miejsca starannie wybrała Kathleen, która świetnie znała akustykę i oświetlenie sali, wiedziała, skąd najlepiej widać scenę. Leslie nie patrzyła na Marka. Nie śmiała. Bała się, że zobaczy w jego oczach emocje - żal, dumę, miłość, smutek - wywołane wspaniałą magiczną grą Janet.

Janet była wspaniała. Spektakl był znakomity i odniósł oszałamiający sukces, tak jak zaplanował Ross MacMillan.

Podczas antraktu Mark i Leslie zeszli do foyer. Otaczał ich entuzjastyczny gwar zachwyconych widzów, ale wśród tej ogólnej wesołości Mark milczał ponuro.

- Czy to dla ciebie zbyt bolesne, Mark? Możemy wyjść - powiedziała w końcu Leslie.

- Jedyne, co sprawia mi ból - odparł szczerze - to myśl, że przez cztery lata nie grała, że rzuciła sztukę, boja potrzebowałam jej w domu.

- Ona chciała tam być - rzekła Leslie. W przeciwieństwie do ciebie, pomyślała. Ty nie jesteś tam, gdzie byś chciał.

- Tylko że mnie w domu nie było. Nie byłem taki, jak powinienem. Zmarnowałem cztery lata jej życia. Pozbawiłem ją tego, co kochała.

- Jestem pewna, że Janet nie ma ci tego za złe. - Leslie wiedziała, że tak jest.

- Ale ja to sobie wyrzucam - powiedział Mark. Nagle przerwał i zmarszczył brwi.

Gdy na chwilę uchyliły się drzwi dla personelu teatru, Mark dostrzegł kątem oka kobietę ładną podobną do Kathleen.

Jestem gotów na jej powrót, pomyślał pamiętając, że zostało im jeszcze dwa miesiące.

Po przedstawieniu i owacji na stojąco dla Janet i całego zespołu, Leslie i Mark poszli za kulisy.

Janet otaczał tłum. Nie mogli nawet do niej podejść. Leslie pomachała ręką, uśmiechnęła się i wzruszyła ramionami, pokazując, że nie zdołają się do niej dopchać. Mark uśmiechnął się i wytrzymał spojrzenie Janet przez krótką chwilę.

Janet odwzajemniła uśmiech i odwróciła wzrok. Ucieszyła się, że przyszedł, ale też poczuła ulgę, widząc, jak wychodzi.

Nie mogła na niego patrzeć i rozmawiać z nim bez bólu. On czuł się podobnie.

Mark i Leslie w milczeniu pojechali do domu Leslie. Mark odprowadził ją do drzwi.

- Dzięki, Mark - powiedziała.

- Nie ma za co. Do zobaczenia o ósmej, na obchodzie.

Kathleen była w teatrze, ale nie miała pojęcia, że Mark ją widział. Często bywała w mieście: podróżowała z Hawajów do Atherton, z Bermudów do Atherton, z Nowego Jorku do Atherton. Nie mogła wytrzymać długo poza domem, chociaż wiedziała, że nic się nie stało - ale nie mogła też siedzieć w domu i czekać, aż minie wyznaczony czas, bo nie ufała sobie, że sama do niego nie zadzwoni.

Nie mogła opuścić premiery *Joanny*. Odkąd Ross MacMillan - jej przyjaciel i czasami kochanek - zaprosił ją do Komisji Teatru Union Square, Kathleen spędziła w teatrze wiele pracowitych godzin.

Dwa lata wcześniej Ross i Kathleen wpadli na pomysł wystawienia broadwayowskiego musicalu na Geary. Pracowali ciężko, przekonując komisję, szukając poparcia, czytając kolejne scenariusze, aż znaleźli *Joannę*, a potem zebrali doskonały zespół.

*Joanna* była ich dzieckiem.

Kathleen nie opuściłaby premiery.

Oczywiście chciała też zobaczyć Marka. Chociaż z daleka. I chciała zobaczyć, kto będzie siedział obok niego.

- To szaleństwo, Katie - powiedział Ross, gdy wyjaśniła, dlaczego zamierza oglądać przedstawienie zza sceny.

- Może. Ale muszę się trzymać planu. I nie mogę opuścić premiery.

Kathleen wiedziała, gdzie będzie siedział Mark. Sama wybrała miejsca. Z ulgą w jego towarzystwie rozpoznała Leslie. Patrząc na wzajemny stosunek Marka i Leslie - nie było wzajemnego stosunku - zrozumiała, że ich związek jest platoniczny. Leslie była po prostu przyjaciółką rodziny. Rodziny, którą byli kiedyś Mark i Janet. To ją uspokoiło.

Z zachwytem oglądała wspaniałe przedstawienie. Po zakończeniu spektaklu czekała w pomieszczeniu przeznaczonym dla pracowników teatru, gdy Ross, który wyprodukował i wyreżyserował *Joannę*, udał się za kulisy, żeby pogratulować swojemu tryumfującemu zespołowi. Kathleen poprosiła go, żeby zobaczył, czy jest tam Mark i jak się zachowuje wobec Janet.

- Nie jesteś już w trzeciej klasie, Katie - powiedział z dobrodusznym uśmiechem i wyszedł.

Kathleen przechadzała się nerwowo, czekając na powrót Rossa.

- I? - zapytała, gdy po czterdziestu pięciu minutach pojawił się w drzwiach.

- Wszyscy szaleją, także krytycy. To wielki sukces, Katie. Udało się.

- Co z Markiem? Był?

- Jezu!

- Ross - powiedziała błagalnie.

- Był tam przez niecałe dwie minuty. Kiwnęli sobie głowami bo oczywiście Janet otaczał tłum wielbicieli, z przeciwległych rogów, pomieszczenia. Wyglądali na zakłopotanych. Nie na zakochanych.

- Dziękuję.

- Nie ma za co. Niepokoiłbym się raczej kobietą, która była z Markiem. Jest wspaniała.

- Nie martwię się nią.

- Dobrze. Chodźmy do mnie, uczcijmy nasz sukces.

- Nie mogę - powiedziała Kathleen. Nie sypiała z nikim od dwóch miesięcy, bo nie mogła. Nie chciała.

Kochankowie Kathleen nigdy nie zakłócali jej seksualnego związku z Rossem.

- Szkoda, że mnie nie uprzedziłaś - powiedział przyjacielsko Ross. Bardzo się lubili.

- Do tej pory nie wiedziałam.

- Jesteś kopnięta, Katie. Naprawdę kopnięta.

## Rozdział 10

W pierwszym tygodniu maja stan Jean Watson gwałtownie się pogorszył. Mark, Leslie i Jack Samuels omawiali możliwości - nowe, eksperymentalne metody, inna chemioterapia, przeszczep - ale niczego nie wymyślili. Nie mogli już nic zdziałać.

Szpic kostny Jean nie zaczął lepiej funkcjonować. Transfuzje krwi stały się prawie niemożliwe. Zaczęły się poważne reakcje alergiczne na krew i produkty krwi. Z powodu niedoboru trombocytów pacjentka obficie krwawiła. Z powodu niedoboru erytrocytów była słaba i anemiczna. A z powodu niedoboru leukocytów, obrony przeciwko bakteriom, zapadała na infekcje.

Jednak jej umysł i duch wciąż żyły.

Podczas porannego obchodu pierwszego maja, dzień po premierze *Joanny*, Leslie zastała Jean siedzącą na łóżku, czytającą „San Francisco Chronicle”.

- W życiu nie widziałam takich recenzji. Nie tych krytyków. Twoja przyjaciółka Janet! Po prostu zabrakło im superlatywów i miejsca. Dziwię się, że nie napisali o niej na pierwszej stronie. Zasluguje na to!

Leslie się zaśmiała.

- Było naprawdę cudownie. Janet była naprawdę sensacyjna. Żałuję... - Leslie przerwała.

- Żałujesz, że tego nie widziałam. Ja też, moja droga - odparła ze swobodą. Nie chciała się użalać nad sobą. - Ale możesz mi wszystko opowiedzieć.

- Opowiem. Nie martw się. Jak się czujesz?

- Bakteriemia. - powiedziała po prostu Jean. Znała terminologię medyczną. Termin „bakteriemia” oznaczał obecność bakterii we krwi. Nie powinno ich tam być, ale były, bo białe ciała nie broniły przed nimi organizmu. Jean czuła, kiedy w jej krwi znajdowały się bakterie. Czuła to w nieopisany, lecz rozpoznawalny sposób. Spytała najspokojniej, jak mogła:

- Kogo mam dziś we krwi?

- *Klebsiella*.

- A *E.coli*)\xz nie ma?

- Na razie.

Pięć dni później we krwi Jean wykryto dwie inne bakterie, *Serratia marcesans* i *Pseudomonas aeruginosa* oraz grzyb *Candida albicans*.

Mimo antybiotyków ciśnienie krwi spadało. Jean była w stanie wstrząsu z powodu mikroorganizmów we krwi.

Lekarze mogli już tylko dbać o jej wygodę.

Mark i Leslie byli oboje w szpitalu w nocy, gdy Jean doznała wstrząsu. Wprowadzono nowy system dyżurów. Lekarze R-1 i R-2 z tego samego zespołu dyżurowali razem, a nie po kolei. To, jak twierdzili inicjatorzy zmiany, zapewniało lepszą ciągłość opieki.

Leslie podobał się nowy system, ponieważ oprócz tego, że była z Markiem i widywała go jeszcze częściej, ufała mu najbardziej ze wszystkich lekarzy.

O szóstej po południu Leslie weszła do pokoju Jean. Przy łóżku siedział Carl. Chłopcy już poszli. Wszyscy wiedzieli, że matka umrze tej nocy. Już się z nią pożegnali.

Carl Watson trzymał kruchą, purpurową dłoń żony.

Oczy Jean otworzyły się, gdy weszła Leslie.

- Leslie - szepnęła Jean, uśmiechając się lekko.

- Cześć - powiedziała Leslie i usiadła.

Oczy Jean znów się zamknęły. Po kilku chwilach oddech stał się szybszy. Była to fizjologiczna reakcja na wstrząs anafilaktyczny.

Leslie i Carl patrzyli na Jean.

- Dobrze się pan czuje? - zapytała Leslie przez ściśnięte gardło.

Oczy Carla załśniły.

- Chcę być przy niej, trzymać ją za rękę, gdy będzie odchodzić - powiedział drżącym głosem. - Ale trochę się boję.

- Czy chce pan, żebym została? - zapytał.

- Jeśli ma pani czas.

Czas? - pomyślała Leslie. Czy mam czas, żeby być przy śmierci tej cudownej, kochanej kobiety?

Przełączyła pager na tryb wibrowania. Będzie wiedziała, gdy ktoś ją wezwie, ale urządzenie nie zacznie piszczeć.

Wzięła drugą dłoń Jean. Czy tylko jej się wydawało, czy naprawdę poczuła lekki uścisk?

Siedzieli w milczeniu, patrząc, czekając.

Leslie nigdy nie widziałaś czyjejś śmierci. Widziała umierających pacjentów, ale zawsze wtedy próbowała zapobiec śmierci. Do ostatniej chwili.

Nigdy nie czekała na czyjąś śmierć tak jak teraz.

Po dwudziestu minutach oddech Jean znów się zmienił. Powolne, głębokie wdechy. Ostatnie wdechy.

To nie potrwa długo.

Leslie wzięła Carla za rękę.

Stworzyli w ten sposób krąg. Dłonie Jean spoczywały w dłoniach ukochanego męża i drogiej Leslie, zastępczej córki. Krąg zamknął się, gdy Leslie wzięła za rękę Carla.

Jean umarła spokojnie. Po prostu przestała oddychać. Dopiero po chwili Leslie uświadomiła sobie, że już po wszystkim.

Leslie i Carl nie drgnęli, gdy Jean umarła. Wciąż trzymali jej dłonie w swoich.

Leslie poczuła, że z dłoni Jean uchodzi ciepło. Ogarnęła ją straszliwa pustka i smutek.

Nie chciała, żeby poczuł to Carl. Powinien zapamiętać ciepło. Nie może poczuć, jak ciepło, ostatni ślad życia, ulatuje z dłoni jego żony.

- Panie Watson - zwróciła się do niego zdecydowanym tonem. Dla niej też było to za wiele.

Carl spojrział na nią. Po jego policzkach płynęły łzy.

- Odeszła - szepnęła Leslie, z trudem się opanowując - Pójdziemy?

Lekko pociągnęła go za rękę. Carl poszedł za nią, nie opierając się.

Lampy paliły się w holu zbyt jasno. Wychodząc ze słabo oświetlonego pomieszczenia, Carl i Leslie zmrużyli oczy. Leslie znacząco skinęła przełożonej pielęgniarek, żeby poinformować ją o śmierci Jean Watson.

Wszystko załatwiono. Wydajna, bezosobowa machina produkująca papierki, towarzyszące śmierci, zostanie wprawiona w ruch dopiero po wyjściu Carla Watsona.

Odprowadziła go do poczekalni dla odwiedzających. Byli tam chłopcy. Leslie sądziła, że już poszli.

Ale oni oczywiście czekali na ojca. Chcieli z nim być. Zabrać go do domu.

Leslie szybko wyszła z poczekalni. Carl Watson był tam, gdzie być powinien. Przed pięcioma minutami zawibrował jej pager. Na ekraniku pojawił się numer izby przyjęć.

Leslie zadzwoniła. Odebrał Mark.

- Coś się stało? - zapytał. Leslie zwykle oddzwaniała natychmiast. Nawet to małe opóźnienie zaskoczyło Marka.

- Pani Watson właśnie zmarła. Byłam z panem Watsonem.

- Och. Wszystko w porządku? - Mark powinien był zapytać o to, o czym pomyślał: „Jak się czujesz?”

- Tak. Co mamy? - To oznaczało: „Co jest nie tak z przyjętym pacjentem, że mnie wzywasz?”



- Pięćdziesięcioletniego pacjenta - pana Petersona - z rakiem wątroby i encefalopatia - poinformował Mark.

Przecież byli na oddziale hematologiczno-onkologicznym.

- Już idę.

Sześć godzin i dwa przyjęcia pacjentów później, o północy, Mark znalazł Leslie skuloną w pokoiku lekarskim, patrzącą przez okno w ciemność. Zamknął za sobą drzwi.

Martwił się o nią.

- Leslie?

Odrzuciła się zaskoczona. W jej niebieskich oczach lśniły łzy.

- Dlaczego ona musiała umrzeć, Mark? - zapytała słabym głosem. Gorące łzy płynęły jej po policzkach.

Momentalnie znalazł się przy niej. Bez wahania objął ją i przytulił, kołyszając ją lekko, głaszcząc jej ciemne loki.

- To było takie smutne - powiedziała w końcu z twarzą wtuloną w jego pierś. - Takie okropne patrzeć, jak umiera. Nie móc tego powstrzymać.

Leslie potrząsnęła głową i znów zaczęła płakać. Mark zamrugał, żeby powstrzymać własne łzy i szepnął:

- Wiem, kochanie. Wiem.

Gdy to mówił, jego usta ocierały się o jej miękkie, kasztanowate loki.

Pod koniec maja, w noc ich przedostatniego wspólnego dyżuru, Mark zobaczył Leslie siedzącą przy wielkim oknie na jedenastym piętrze.

Była piąta rano.

- A więc tutaj czai się Nocny Łowca - powiedział, zaskakując ją.

Leslie odwróciła się gwałtownie, tłumiąc krzyk.

Jaki przystojny, pomyślała.

Mark stał przed nią. Jego ciemne włosy były potargane, luźne, białe spodnie przytrzymał w talii stary, skórzany pasek. Zamiast zwykłej oksfordzkiej koszuli i krawata miał na sobie niebieską koszulkę chirurgiczną. Głębokie wycięcie w kształcie litery V odsłaniało ciemne, proste włosy na jego nagiej, bladej piersi. Z krótkich, szerokich rękawów wyłaniały się silne, umięśnione przedramiona. Białe fartuch, koszula, krawat i sprzęt medyczny, z wyjątkiem przyczepionego do paska pagera, były gdzie indziej - prawdopodobnie starannie ułożone w jego pokoju.

Stał przed nią prawie jak nagi. Był to po prostu Mark. Miał tylko to, co konieczne.

- Tutaj się czai, gdy może przestać nasłuchiwać. Gdy wstaje słońce - rzekła Leslie. Potem zapytała: - A może mamy coś do roboty?

- Nie. Dzięki tobie spałem nieprzerwanie przez sześć godzin. Jestem całkowicie przytomny. Wypoczęty. Postanowiłem sprawdzić, czy w plotkach kryje się prawda. Czy w jedenastym miesiącu stażu wciąż jeszcze chodzisz po szpitalu.

- Robię to dla tego widoku - odrzekła nieco chłodniej Leslie. Wskazała ręką słońce wschodzące nad Golden Gate Park, zatoką i mostem. - Jest taki piękny.

- Nie chciałem cię krytykować, Leslie - powiedział szybko Mark, siadając naprzeciwko niej. Spojrzał na północny wschód, w stronę Pacific Heights i eleganckich budynków lśniących w blasku nowego dnia.

- Chyba jestem dziś trochę przewrażliwiona - powiedziała Leslie.

- Dlaczego?

- Bo wczoraj w południe Greg powiedział mi, że idzie pobiegać. Wśród jego tak zwanych stabilnych pacjentów jest dwóch z krwotokiem wewnętrznym i leukemik z temperaturą czterdzieści stopni.

- To podobne do Grega - mruknął z niezadowoleniem Mark.

- Tak czy inaczej, niewerbalnie okazałam irytację - powiedziała Leslie i zawahała się. Może wcale nie chciała o tym opowiadać Markowi.

Mark spojrzał w jej niebieskie oczy. Oczy, które, jak się dowiedział w ciągu ostatnich jedenastu miesięcy, potrafiły przekazywać jasne, konkretne wiadomości. Oczy, które potrafiły wymierzać ciosy. Piękne, ciemnoniebieskie oczy, które nie zawsze były radosne i wesołe. Od czasu do czasu fasada pogody Leslie pękała pod naporem zmęczenia i rzeczywistości, frustracji i poczucia niedoskonałości. Leslie nigdy nic nie mówiła, nigdy nie traciła panowania nad sobą ale jej oczy wymownie informowały o irytacji, zniecierpliwieniu, gniewie, a nawet chęci udzielenia nagany.

Leslie nigdy nie patrzyła tak na Marka, ale on widział te jej spojrzenia - zimne, nieprzejednane, bezkompromisowe. Potrafiłaby zmrozić każdego.

Mark miał nadzieję, że nigdy tak na niego nie spojrzy. Miał nadzieję, że nigdy nie będzie miała powodu.

- Nie wątpię - rzekł. - Co na to powiedział Greg?

- Powiedział - zaczęła powoli, wyglądając przez okno zakłopotana - że jestem tak spięta, że podskoczyłabym, gdyby mnie tylko dotknął.

Mark zaczął się śmiać, ale przestał, widząc nieśmiały, niemal zbolaly wyraz jej oczu.

- To urocza uwaga, zwłaszcza w ustach takiego idioty jak Greg.
- To więcej niż idiota.
- Co się stało z jego pacjentami?
- Nic, oczywiście. Biegał przez dwie godziny, a ja zajęłam się wszystkim.

- Czyli nie jest jednak aż takim idiotą, prawda?

- Uważam, że to niemiła uwaga - stwierdziła Leslie.

- I nieprawdziwa - dodał Mark, wahając się przez chwilę. Potem dodał ostrożnie: - Kiedy cię dotknąłem, wcale nie podskoczyłaś.

Była taka miła! Jak mały kotek, tulący się do niego w poszukiwaniu ochrony. Mark pamiętał jej kościste żebra, pełne kobiece piersi, miękką, ciepłą skórę i szybkie, silne uderzenia serca.

Kiedy mnie dotknąłeś, myślała, wpatrzona w roziskrzoną słońcem lazurową zatokę, gdy objąłeś mnie ramionami, chciałam w nich zostać na zawsze.

Mark i Leslie długo siedzieli w milczeniu, patrząc, jak zaczyna się nowy dzień.

W końcu Leslie postanowiła zadać pytanie. To było ryzykowne. Jej pytanie mogło go rozżłościć, ale ona pamiętała bliskość tamtej nocy, nocy śmierci Jean Watson, nocy, gdy ją przytulił. Bardzo jej na nim zależało - obchodził ją jego los - nawet jeśli on nie chciał mieć z nią nic wspólnego.

- Postanowiłeś? - zapytała.

- Postanowiłem?

- Rzucić medycynę - powiedziała cicho. Już. Powiedziała to.

- Rzucić medycynę? - powtórzył Mark, zaskoczony, ale nie rozgniewany.

„Rzucić” było słowem tak samo naładowanym emocjami, jak „najlepszy”. „Rzucić” - nigdy tego nie robiłeś. „Najlepszy” - zawsze taki byłeś.

- Tak. Rzucić.

- Dlaczego pytasz?

- Tego wieczoru, gdy byliśmy na *Joannie*, powiedziałeś, że nie chcesz być lekarzem - rzekła beznamiętnie Leslie, jakby to był fakt. Oboje wiedzieli, że tego nie powiedział.

- Nie powiedziałem, że nie chcę być lekarzem - odparł zdziwiony, zamyślony, ale wciąż niezagniewany.

- Nie. Ale ja to usłyszałam.

- Och. Cóż... - zaczął, ale przerwał. Gdy odezwał się znowu, wymawiał słowa powoli, jakby samo ich wypowiedzenie mogło spowodować katastrofą. - Może nie chcę być lekarzem.

Słowa zostały wypowiedziane i nie stało się nic straszego. Leslie, uśmiechnięta, wcale nie wstrząśnięta, spojrzała w jego oczy.

- Może nie chcę - powtórzył Mark silniejszym głosem. - Nigdy dotąd nie powiedziałem tego głośno. Dopiero od kilku miesięcy zaczynam przyznawać to przed samym sobą.

- Zatem odejdziesz? - zapytała znowu.

- Mówisz tak, jakby to było proste.

- Bo to jest proste. Daj swój pager. Zwróć go.

- Technicznie to może proste, ale niełatwo podjąć decyzję... Wiele czynników komplikuje sprawę. Zresztą nie wiem, czy chcę odejść. Wiele w medycynie bardzo mi się podoba, nie chciałbym tego rzucać. Brakowałoby mi tego. Może znajdę sobie jakąś niszę, dzięki której będę mógł być lekarzem i... - Mark zamilkł.

- I robić to, na co naprawdę masz ochotę? - dodała szybko Leslie.

- I mieć czas na czytanie. Może na pisanie.

- Ale myślisz, że mógłbyś kiedyś odejść, prawda? - naciskała Leslie. Mark musiał się przyzwyczaić do słowa „odejść”. Powie mu je w gniewie wiele osób.

- Dopiero zaczynam myśleć o tym, co mogę robić. Co powinienem robić.

- Możesz robić wszystko. Powinieneś odejść. Od razu - powiedziała zdecydowanie Leslie.

Mark był zaskoczony jej tonem, ale patrzył na nią z uśmiechem. W ciągu ostatniego miesiąca, gdy razem pracowali, podejmowali decyzje i opiekowali się pacjentami, gdy widział jej entuzjazm, rzadko myślał o rzuceniu medycyny. Praca z Leslie była taka przyjemna.

- Czy to właśnie kryształowoniebieskie oczy widzą dla mnie w przyszłości?

- Nie przepowiadam, kim będziesz - powiedziała. Pewnie przewodniczącym Wydziału Medycyny na Harvardzie, pomyślała. Najlepszy. - Tylko to, co moim zdaniem powinieneś zrobić.

- Bo wiesz, że jestem kiepskim lekarzem? - zapytał, drażniąc się z nią. Nie rozumiał, dlaczego Leslie jest taka zdecydowana.

- Wiesz, co o tobie myślę. Jesteś... - Leslie przerwała. Nie było wyboru. To była prawda i musiała ją wypowiedzieć: - Najlepszy.

Trzy dni po ich ostatnim wspólnym dyżurze Mark czekał na nią przy oknie na jedenastym piętrze. Przyszła o wpół do szóstej rano.

- Myślałam, że położyłeś się spać o jedenastej - powiedziała z bijącym sercem. Dlaczego tu przyszedł?

- Tak było. Jestem wypoczęty. Chciałem z tobą porozmawiać - powiedział, robiąc jej miejsce obok siebie na obitej turkusowym skajem kanapce z jasnymi, drewnianymi oparciami.

Leslie usiadła jednak na fotelu naprzeciw niego.

- Mogłeś ze mną porozmawiać w dzień - powiedziała.

- Raczej nie.

Leslie wiedziała, co miał na myśli. Gdy pracowali, nie można było rozmawiać o niczym poza medycyną. Ale teraz, o świcie, gdy wszędzie panował spokój, gdy większość pracowników szpitala spała, było inaczej.

Leslie czekała.

- Chciałem ci powiedzieć, że moim zdaniem jesteś dobrym lekarzem - rzekł Mark. Zabrzmiało to niezręcznie. - Tutaj nikt nikogo nie chwali. Tylko wytyka się błędy. Dobrze wiesz, że myślałem tak o tobie już na początku stażu, ale teraz chciałem to powtórzyć.

- To brzmi jak pożegnanie - powiedziała cicho Leslie.

- Nie. Widziałem rozkład zajęć. W lipcu oboje będziemy w Szpitalu Ogólnym San Francisco.

- Och! Cóż, w takim razie dziękuję. To wspa...

Mark podniósł rękę.

- Dość! Żadne z nas się do tego nie nadaje.

Leslie się uśmiechnęła. Potem powiedziała poważnie, ale z nutką wesołości:

- Wiem, dlaczego tak dobrze ci się ze mną pracowało w tym miesiącu.

- Dlaczego?

- Bo mogłeś się wysypiać.

- Racja. Ale nie dlatego...

- A potrzebujesz snu - ciągnęła Leslie - z powodu twojego nowego, czynnego życia towarzyskiego. Które, sądząc po opiniach pielęgniarek, jest... hm... bujne.

- Och. Chyba o tym nie rozmawiają? - zapytał szczerze zdziwiony Mark.

- To się stało częścią ich porannych raportów!

Mark zmarszczył brwi. Nie podobało mu się, że ktoś o nim mówi.

- Nie krytykuję cię! - szybko wyjaśniła Leslie. - Nikt cię nie krytykuje. One wszystkie cię lubią. I szanują.

- Wszystkie? - zapytał chłodno Mark.
  - Gail. Julie. Gail. Chris...
  - To nie w porządku - powiedział. Nikt nie powinien się tym interesować i o tym mówić. O jego życiu i Bóg wie o czym jeszcze.
  - Nie przejmuj się. To nieszkodliwe. Prawdopodobnie przy mnie rozmawiają o tobie więcej niż przy kimkolwiek innym.
  - Dlaczego?
  - Ponieważ co drugi miesiąc jestem twoim cieniem, więc sądzą że coś wiem. Co oczywiście nie jest prawdą - dodała Leslie.
  - Co takiego miałabyś wiedzieć?
  - Że je wykorzystujesz.
  - To one wykorzystują mnie.
  - Wiedzą o tym - powiedziała spokojnie Leslie. Słyszała więcej, niż by chciała, o Marku w ich łózkach. Leslie miała tego dość, ale one próbowały od niej wyciągnąć informacje, których nie miała. Leslie dodała: - Chyba czują że gdzieś jest jakaś Kathleen i że kiedy wróci, zabawa się skończy.
  - I słusznie - odrzekł po prostu Mark, uznając, że zabawa już się skończyła.
  - Och.
  - Lubisz ją prawda? Widywałaś się z nią często, gdy leżała tu jej matka.
  - Jasne. Kiedy wraca? Janet wspomniała coś o lipcu.
- Janet.
- Czy to misja mająca na celu ustalenie faktów? - zapytał.
  - Nie! - zjeżyła się Leslie.
  - Wraca w lipcu. Przed jedenastym - odpowiedział szybko Mark miłym tonem, bo było mu przykro, że ją uraził. Drażniło go, że pielęgniarki rozmawiały o nim, że wplątały w to Leslie i że Leslie wiedziała o nim i o nich.
  - Uważasz pewnie, że to wszystko dziwne... Wstrętne... Prawda? - zapytał tępo.
- Leslie powoli potrząsnęła głową. Jej oczy, smutne, zamyślonе i niebieskie, spojrzały na niego. Powiedziała spokojnie:
- To był dla ciebie bardzo trudny okres. Dla ciebie i Janet. Nie ma dobrego czy złego sposobu na załatwienie tej sprawy. Po prostu trzeba to przeżyć. Przeżyć.
- Tak, uważała, że to wstrętne - może nie to, co robił, ale fakt, że plotkowały o tym kobiety.
- Jak się ma Janet? - zapytał po dłuższej chwili.

- Zajęta przedstawieniem. Rozmawiamy przez telefon, ale nie widziałam się z nią od premiery. Wydaje mi się, że wszystko u niej w porządku.

## Rozdział 11

**D**ziewiątego lipca o dziewiątej rano Mark wykręcił numer telefonu do domu Kathleen w Atherton.

Odebrała Kathleen.

- Wróciłaś.

- Dopiero godzinę temu. - W ciągu tej godziny Kathleen dowiedziała się, że nie było od niego żadnych wiadomości, żadnych listów. Nic nie wskazywało na to, że plany się zmieniły albo że Mark nie chce się z nią widzieć. - Postanowiliśmy nie zostawać na ślub.

- Ślub?

- Karola i Diany. Wiesz. Przyszłej pary królewskiej. Ale królewski węzeł ma się zawiązać dopiero dwudziestego dziewiątego lipca, a ja wybieram się na przyjęcie urodzinowe.

- Chyba nie byliście zaproszeni?

- Nie - przyznała Kathleen. - I oczywiście nawet się nie staraliśmy.

- Zatem - powiedział łagodnie - jak było?

Miał na myśli ostatnich kilka miesięcy. Kathleen wiedziała, o co mu chodzi, ale była w euforii. Słyszając jego głos, wiedziała, że Mark bardzo pragnie się z nią zobaczyć. Mogła się więc odrobinę podrażnić.

- Cudownie! Oglądałeś? Półfinał Connors-Borg był najwspanialszym pojedynkiem tenisowym, jaki widziałam. To na pewno dlatego Borg przegrał z McEnroe w finale. Wyglądał na wyczerpanego. McEnroe jest oczywiście świetny. Pewnie będziemy go często oglądać przez najbliższe lata. I wygrała Chris Evert Lloyd. To wspaniałe zwycięstwo dla dwudziestosiedmiolatki.

- Kathleen - rzekł surowo, wiedząc, że się z nim drażni. - Jak było?

- To były najdłuższe i najbardziej samotne cztery miesiące w moim życiu. A ty co powiesz?

- To samo. Ale to był dobry pomysł. Miałaś rację.

- Co do wszystkiego?

- Co do wszystkiego.

- Hmm. Podobała ci się premiera?

- Jak... Byłaś tam, prawda?  
- Nie mogłam tego opuścić. Nie widziałeś mnie...  
- Przez chwilę. A mówiłaś, że nie będzie cię przez cztery miesiące.  
- Ton głosu Marka stał się ostrzejszy.  
- Nie było mnie przy tobie. Na ogół byłam poza miastem. Ale nie cały czas. Nie.

- Szpiegowałaś mnie? - naciskał ostro.  
- Nie, Mark. Widziałam cię na premierze. Koniec, kropka. Betsey wie, jaka jestem ciekawska. Nie mogła uwierzyć, że nie jeżdżę obok twojego domu, żeby rozglądać się za obcymi samochodami. Powiedziałam jej, że wszystkie samochody pod twoim domem są obce - powiedziała swobodnie Kathleen. Potem dodała z powagą: - Ale oczywiście nie o to chodzi. Chodziło o czas i prywatność dla ciebie. Nie chcę wiedzieć, co robiłeś. Albo z kim.

Jeśli tylko do mnie wrócisz, pomyślała.

- Dobrze - odrzekł, wciąż trochę napięty.  
Kathleen milczała, powstrzymując łzy.  
- Kitzy, jesteś tam? - zapytał w końcu łagodniejszym głosem.  
- Tak.  
- Więc?  
- Możemy na to spojrzeć z dystansem? Poczynając od czterech najdłuższych, naj samotniej szych miesięcy?  
- Jasne. Może powinniśmy kontynuować osobiście?  
- Czy zobaczą cię przed urodzinami?  
- Mam nadzieję. W urodziny mam dyżur.  
- Nie. Mark, nie awansowałaś na R-3? - dokuczała mu żartobliwie.  
- Udało się. Ale wciąż mam dyżury, teraz co szóstą noc. Jedna z tych nocy przypada właśnie jedenastego lipca.  
- Co szóstą noc. Jak to ładnie brzmi - zamruczała Kathleen.  
- Jest o wiele lepiej. Wszystko jest lepiej. To będzie dla mnie dobry rok - powiedział. I dodał łagodnie: - To będzie dla nas dobry rok.  
- Dobrze - westchnęła.

Kathleen przyszła do mieszkania Marka następnego wieczoru, obładowana pakunkami.

- Co to jest? - zapytał, biorąc od niej paczki, zamykając je w ramionach zamiast niej.

- Prezenty urodzinowe i tort - powiedziała, idąc za nim do salonu. Zauważyła szampan chłodzący się w lodzie oraz tacę z serem i krakersami.



Kathleen się uśmiechnęła. Mark zaplanował to, co ona: dojrzałe, wyrafinowane spotkanie, szampan z przekąskami, cicha rozmowa. Spędzą wiele godzin na opowiadaniu sobie o minionych czterech miesiącach. I dopiero potem...

Mark położył paczki i odwrócił się do niej.

- Cześć - powiedział, zaglądając w jej fiołkowe oczy. Chciał z nią rozmawiać, śmiać się z nią tulić ją i kochać się z nią. Wszystko naraz. Był jej spragniony. Całej.

- Cześć - westchnęła. Ależ się za tobą stęskniłam.

- Napijesz się szampana?

- Jasne - szepnęła. Wszystko jedno. Zrobię to, na co masz ochotę.

- Niekoniecznie? - zapytał. Podszedł do niej, uśmiechając się z miłością.

Kathleen drżała, gdy się do niej zbliżał. Tak długo marzyła o tej chwili. O tym, że Mark wciąż będzie jej pragnął. Serce zabiło jej szybciej, gdy zobaczyła pożądanie w jego oczach.

Tyle z dojrzałego, wyrafinowanego spotkania.

Całowali się, rozbierając się szybko, pragnąc jak najszybciej być jak najbliżej siebie. Pragnąc znów czuć się całością.

- Cześć - szepnął w jej lśniące, czarne włosy.

- Cześć - westchnęła w jego umięśnioną bladą pierś.

- Tęskniłem za tobą. Za bardzo.

- Za bardzo?

- Potrzebuję cię. - Teraz.

- Ja ciebie też - szepnęła, gdy położył ją na kanapie. Powitała go na sobie i w sobie. Tam, gdzie było jego miejsce.

- Kathleen - szepnął. - Kathleen.

- Sądzisz, że nasz związek jest czysto seksualny? - zapytała wy-czerpana, chichocząc.

- Nie - odpowiedział zdecydowanie. - Wiem, że nie jest.

Mark wiedział, bo w ciągu ostatnich czterech miesięcy zaliczył kilka czysto seksualnych związków. Kathleen wiedziała, dlaczego Mark jest tego tak bardzo pewien i była z tego zadowolona, ale nie chciała wyobrazić go sobie z inną kobietą. Nigdy.

- Dobrze.

- Wprowadzisz się do mnie? Zamieszkasz ze mną? - zapytał, gdy mijała czwarta godzina ich spotkania.

- Mam się czuć zaproszona?

- Tak.
- W takim razie się wprowadzę.
- Czy będzie nam potrzebne większe mieszkanie? - zapytał, głaszcząc jej czarne, jedwabiste włosy, podczas gdy ona wtulała nos w jego szyję. - Sama twoja garderoba...
  - Nie sądzę, żebym przeniosła cały swój ziemski dobytek - odparła. Jeszcze nie. Może kiedyś. Miała taką nadzieję. - Poza tym do Atherton łatwo dojechać. Mam czas jeździć w tę i z powrotem w ciągu dnia. Będę odwiedzać rodziców, gdy ty będziesz w pracy. To przytulne mieszkanie dla dwojga.
  - Ty sprawiłaś, że jest przytulne. Co będziesz robić całymi dniami, Kathleen? Nie zanudzisz się?
  - Gdy skończą się obowiązki domowe, będę robić to, co zwykle. Mnóstwo różnych rzeczy. Nie zanudzę się.
  - Co robisz zwykle?
  - Spotkania, zakupy, przyjaciele, komitety, projekty... Jestem bardzo zajęta.
  - Wyglądasz na taką. Och, w sobotę wieczorem jest przyjęcie w jacht klubie. Nie tak luksusowe jak przyjęcie świąteczne czy inne przyjęcia Dzieci Klubu Carlton, ale to tradycja wydziału medycyny. Muszę tam iść.
- Kathleen czekała, co powie.
  - Dobrze? - zapytał wreszcie.
  - Ja też pójdę? Z tobą? - zapytała słabym głosem, nie wiedząc, czy Mark chce, żeby poszli tam razem.
  - Kathleen! Oczywiście. Oczywiście.

- Twoja koleżanka Leslie mnie nie lubi - szepnęła Kathleen Markowi do ucha, dotykając go na moment językiem. Tańczyli, powoli poruszając się razem. Ich wysokie, smukłe ciała kołysały się w rytm muzyki. Nie przytulali się do siebie mocno. Nie musieli. Leniwy rytm ich ciał pokazywał ich prawdziwą zażyłość każdemu, kto patrzył. Ich ciała dobrze się znały.

Ludzie patrzyli. Wielu ludzi. Gail, Julie i Chris przyglądały się z dużym zaciekawieniem. Zatem to ciemnowłose, urocze stworzenie o fiołkowych oczach i arystokratycznym wdzięku było ich rywalką?

Zegnaj, Mark. *Adieu.*

Leslie również rzuciła na nich okiem. Nie chciała się przyglądać, ale nie mogła ich nie widzieć.

- Oczywiście, że cię lubi - odszepnął Mark.
- Nie, patrzy na mnie gniewnie. Nie, właściwie nie. To za mocne sformułowanie. Tylko strzela we mnie niebieskimi soplekami.
- Nadinterpretujesz - orzekł Mark, ale zaczął się zastanawiać. Wiadomości z oczu Leslie zawsze były wyraźnymi, konkretnymi komunikatami, a Kathleen miała dar obserwacji. Obie zawsze doskonale wiedziały, o co im chodzi. Dodał: - Nie ma powodu cię nie lubić.

Kathleen nie odpowiedziała. Wiedziała, że Mark sienie myli. Stwierdziła, że chyba zna przyczynę chłodu Leslie. Nie chodziło o to, że Leslie nie lubi Kathleen. Nie o to. Leslie ogromnie zależało na Marku.

Kathleen zastanawiała się, czy Mark o tym wie.

Nie, uznała, patrząc, jak Mark rozmawia z Leslie pod koniec przyjęcia. Nie wie.

- Chyba powinnam podjąć pracę - powiedziała Kathleen do Betsey, gdy dziesięć dni później jadły razem lunch. Był ostatni tydzień lipca. Spędziły poranek w San Francisco, kupując ostatnie ozdoby do ślubnego stroju Betsey, a potem wróciły do Atherton, do Klubu Carlton.

Betsey, która za trzy tygodnie wychodziła za mąż, a musiała jeszcze schudnąć o jeden rozmiar, skubała kanapkę z rukwią wodną podczas gdy Kathleen objadała się owocami morza.

- Pracę! - wykrzyknęła Betsey. - Na miłość boską dlaczego?
- Myślę, że Marka denerwuje fakt, że nie pracuję.
- Ależ pracujesz. Jesteś członkiem wielu komitetów, zarządów, stowarzyszeń charytatywnych...

- Wiem. Ale on uważa to za kaprys.

- Kathleen, droga przyjaciółko, ty jesteś kapryśna i frywolna. Chyba że... -1 dodała po zastanowieniu się: - Chyba że chodzi o Marka.

- Zależy mi na nim - stwierdziła łagodnie Kathleen.

- Wiem. Czy on wie, jaka jesteś bogata? Co robi twój ojciec? Czy zna nazwisko panieńskie twojej matki? To by mu otworzyło oczy: ile ulic, budynków, placów, budowli i mostów w okolicy zatoki ma tę samą nazwę?

- Nie wie. Wie tylko, co robi tata. Masz pojęcie, że same odsetki z funduszu powierniczego dziadków dają mi miesięcznie więcej, niż Mark zarabia rocznie?

- Żartujesz. Myślałam, że lekarze...

- Są bogaci? Ja też. Ale teraz wiem, że stażyści i lekarze zarabiają bardzo niewiele. Zwłaszcza w przeliczeniu na przepracowane godziny.

Doktorzy mają wyższe pensje. Niektórzy chirurdzy, chyba głównie neurochirurdzy, zarabiają bardzo dużo, ale też ciężko pracują. Nie mogę wprost uwierzyć, jak ciężko pracują Mark i jego przyjaciele.

- Czyli nie ma wielu bogatych lekarzy? To tylko mit?

- Nie. Oczywiście powodzi im się dobrze w porównaniu z innymi ludźmi, którzy zarabiają na życie. Ale... - powiedziała poważnie Kathleen - to nic w porównaniu z naszym bogactwem. O lekarzach tyle się mówi, bo łatwo ich zauważyć. Bardzo łatwo. O nas nikt nie wie. Nasze nazwiska pojawiają się co roku na listach dziesięciu, dwudziestu czy trzydziestu najbogatszych rodzin w kraju, ale nikt naprawdę nie wie, że te rodziny składają się z nas, młodych multimilionerów. Jesteśmy ukryci. Gdyby ktoś się dowiedział o naszym istnieniu, natychmiast znaleźlibyśmy się na celowniku.

Betsey, Kathleen i ich przyjaciele starali się nie afiszować z bogactwem, bo pociągało to za sobą poważne ryzyko: porwania, żądania okupu, oszuści, handlarze narkotyków, łowcy posagu. Patrząc na Kathleen lub Betsey, nikt nie domyśliłby się, ile mają pieniędzy. Wyglądały jak dwie młode, pracujące zawodowo kobiety, jedzące lunch.

Tylko że jadły w Klubie Carlton. To była wskazówka. Ale tam były bezpieczne. Bezpieczne w swoim towarzystwie. Dlatego właśnie trzymały się razem. Dlatego wszystkie Dzieci Klubu Carlton łączyła przyjaźń.

- Chcesz pracować?

- Nie. Oczywiście, że nie! Jestem szczęśliwa i już zbyt zajęta.

- Co byś robiła, gdybyś nie była bogata, gdybyś nie miała z czego żyć?

Kathleen przez chwilę bawiła się widelczykiem. Potem jej fiołkowe oczy zaiskrzyły.

- Nie wiem. Pewnie gdybym nie mogła znaleźć sobie kogoś takiego, jak my, a nie mogłabym, bo nie wiedziałabym o naszym istnieniu, musiałabym poszukać jakiegoś bogatego lekarza.

## Rozdział 12

Cześć - powiedział Mark, wchodząc do malutkiego laboratorium na Coddziale intensywnej terapii w Szpitalu Ogólnym San Francisco.

Leslie odwróciła się zaskoczona.

Wszyscy byli zdenerwowani. Na oddziale leżał bardzo ważny i bardzo chory pacjent. Był informatorem policji. Nie mógł jeszcze złożyć zeznań. Ludzie, którzy chcieli go uciszyć na wiečność, już dokonali jednego - prawie udanego - zamachu na jego życie.

Wszyscy pracownicy oddziału stali się czujni. Chociaż pacjent był silnie strzeżony, policja obawiała się kolejnego zamachu. Policjanci kazali personelowi medycznemu zwracać uwagę na każdego, kto nie pasowałby do szpitala. Kogoś obcego.

Ale przecież był lipiec. Połowa lekarzy była nowa. Po oddziale chodzili stażyści, na których twarzach już zaczynały się pojawiać ślady napięcia i zmęczenia, oraz nowi lekarze, realizujący program szkolenia. Byli też lekarze z innych szpitali, którzy przyjechali do San Francisco, żeby robić specjalizację.

Leslie co dzień poznawała nowych ludzi. W drodze do laboratorium dostrzegła kolejną nową twarz. Był to przystojny blondyn o ładnych włosach, inteligentnych, niebieskich oczach, w długim, białym fartuchu, wskazującym na to, że lekarz robił tu specjalizację. To pewnie ten nowy z nefrologii, uznała Leslie. Wiedziała, że na oddział intensywnej terapii właśnie przywieziono pacjenta na hemodializę. Lekarz uśmiechnął się do niej, gdy go mijała. Odwzajemniła uśmiech, ale się nie zatrzymała. Niosła właśnie pobraną krew do badania gazometrycznego. Z lekarzem porozmawia później.

- Mark! Cześć! - zawołała. Uspokoiwszy oddech, zapytała przekornie: - Masz dyżur? Wpadłeś na chwilę, jak gwiazdor filmowy?

- Zaczekaj, a sama się przekonasz. Zdziwisz się, jak szybko przychodzi co szósta noc. To mój piąty dyżur w tym roku, a jest dopiero trzydziesty lipca.

- A mój dziesiąty, ale kto to liczy? - odparła wesoło Leslie. Potem, patrząc na jego lekko opaloną mniej zapadniętą twarz i spokojne, piwne oczy, dodała: - Dobrze wyglądasz. Jesteś wypoczęty.

Szczęśliwy, pomyślała. Uświadomiła sobie, że przedtem nie był szczęśliwy, ale ona o tym nie wiedziała. Stało się to oczywiście dopiero przy porównaniu.

- Tak. Status R-3 bardzo mi odpowiada.

- Jesteś na oddziale chorób zakaźnych, prawda? Dobra szkoła?

- Bardzo.

- Coś nowego o AIDS?

- Tylko to, że epidemia trwa, a liczba przypadków się podwaja. Zdaniem większości specjalistów, okaże się, że to wirus. Przekazywany prawdopodobnie tak, jak zapalenie wątroby typu B.

- Wiemy tylko o zarażaniu drogą płciową. Przez krew też?
- Prawdopodobnie. Tak głoszą plotki. Zanotowano już przypadki wśród hemofilików.
- Och.
- Oczywiście nikt nie ma pewności, ale lepiej unikać transfuzji krwi w Nowym Jorku czy w Los Angeles. Albo tutaj.
- To straszna choroba - powiedziała Leslie i skupiła się na aparacie do gazometrii i próbce krwi, którą przyniosła do laboratorium. Nagle krzyknęła: - Cholera!
- Co?
- Mam już dość ludzi, którzy korzystają z urządzenia, a potem nie przemywają go heparyną!
- Zatkano się? - zapytał Mark, stając obok niej i patrząc na stare urządzenie z cienkimi, plastikowymi rurkami.
- Da się naprawić, ale to takie denerwujące.
- Pozwól swojemu przyjacielowi R-3.
- Leslie się zaśmiała.
- Jestem trochę zgryźliwa, co? - zapytała.
- Trochę.
- Znasz mojego stażystę Hala? O, przepraszam, doktora Hala Rollinsa.
- Czyli Hal myśli, że zna odpowiedzi na kilka trudnych pytań - zaśmiał się Mark.
- Kilka?
- Wszystkie.
- Powiedziałeś mi prawie dokładnie rok temu, że kiedyś dostanę stażystę, który będzie się we mnie podkochał, dreptał za mną merdał ogonem i się ślinił. Zamiast tego dostałam Hala, który, zgodnie z własną skromną oceną jest darem Boga dla medycyny.
- Za miesiąc się w tobie zakocha. Kiedy zrozumie, jak mało naprawdę wie.
- Grr. Badam jego próbkę. Jego pacjenta. Hal nie pomyślał, żeby powtórzyć badanie, więc...
- Więc po cichutku robisz to sama? Niedobrze, Leslie. Musisz być twarda.
- Muszę dbać o pacjentów, prawda? To jest najważniejsze.
- Tak. Ale musisz być twarda wobec tych małych przemądrzalców - rzekł zdecydowanie Mark. - Daj strzykawkę. Już się odetkało.
- Mój bohaterze - powiedziała Leslie, wciąż krzywiąc się na myśl o swoim stażystcie. - Pewnie zatkało się przez Hala.

- Och - mruknął Mark, patrząc na naklejkę na strzykawce z krwią, którą podała mu Leslie. - To tego faceta, który złożył zeznania w sprawie państwowej.

- Próbował - poprawiła Leslie. - Postrzelono go, zanim przekazał kluczowe informacje.

- Jak się czuje?

- Chyba będzie mógł dokończyć zeznanie. Dziś o wiele lepiej.

- To dlatego na oddziale roi się od policjantów.

- Uhm. Co oni sobie myślą? Że ktoś wejdzie i zastrzeli go w biały dzień, na oddziale?

- Tak właśnie.

- To byłoby możliwe - rzekła zdecydowanie Leslie. Tego się obawiała ona i wszyscy inni. Dlatego się denerwowali i byli tacy czujni.

- Racja. Tutaj mógłby wejść każdy, byle w białym fartuchu. Żeby tylko nie miał na sobie wojskowego munduru polowego i nie niósł w rękach źle ukrytego karabinu maszynowego zamiast stetoskopu. Wystarczyłoby wybrać psychopatę niewyglądającego na łobuza...

- Albo i wyglądającego. I w mundurze polowym...

- Leslie, naprawdę jesteś dziś w uroczym nastroju. Nowoczesna medycyna nie upadła aż tak nisko. W tegorocznej grupie nie zauważyłem ani bandyty, ani stażysty w mundurze polowym. Może na początku lat siedemdziesiątych... Ale my żyjemy w konserwatywnych czasach. Nawet Hal.

- Zwłaszcza Hal. Ten jego krawacik... - roześmiała się Leslie, potrząsając głową. - Krawacik!

- W porządku. Masz wyniki - powiedział Mark, odczytując z monitora. - pH siedem...

Nagle rozległy się strzały. Potem wrzask. Krzyki. Odgłos kroków. Kolejne strzały.

Mark i Leslie zamarli.

- Nie ruszaj się stąd - powiedział Mark, podchodząc do drzwi.

Leslie chwyciła go za ramię.

- Ty też tu zostań, Mark.

Drzwi otworzyły się z hukiem. Do laboratorium wszedł blondyn w długim, białym fartuchu i z czarnym pistoletem w dłoni. Zatrzasnął za sobą drzwi.

Leslie i Mark stanęli w najdalszym kącie małego pomieszczenia.

- Ani słowa - syknął mężczyzna, stając przed nimi.

Gdy Leslie zobaczyła jego twarz, nie mogła złapać tchu z przerażenia. Był to ten sam człowiek - uznała go za nowego nefróloga - którego

widziała przed kilkoma minutami. Mężczyzna, który wyglądał jak lekarz, nie jak bandyta. Mężczyzna z inteligentnymi, niebieskimi oczami...

Te oczy wyglądały teraz inaczej. Były dzikie, błyszczące, nieprzytomne. Szalone. Były też trochę euforyczne, maniakalne, tryumfalne. Prawdopodobnie zabił swoją ofiarę, pacjenta Leslie. Teraz musiał tylko uciec.

Miał zamiar wziąć zakładników. Albo zostawić większą liczbę ofiar.

Oparł się plecami o drzwi i wycelował broń w Marka i Leslie. Zrozumiał, że z małego laboratorium można wyjść tylko przez drzwi, którymi wszedł.

Zamachowiec chwycił Leslie za ramię i przyciągnął ją do siebie.

- Chodź, siostrzyczko. Idziesz ze mną.

Szarpnął ją do siebie i ścisnął jej ramię, aż zabołało. Wcisnął zimną lufę w jej skroń i położył palec na spuście.

- Piśnij tylko, a już nie żyjesz.

W pomieszczeniu było cicho, nie licząc ich oddechów. Na zewnątrz, w holu, krzyki i odgłosy kroków wyraźnie się oddawały. Widocznie uznano, że zamachowiec uciekł ze szpitala.

Ale on był wciąż na oddziale intensywnej terapii.

On krwawi, uświadomił sobie Mark. Został postrzelony w nogę. Duże krople krwi spadały na pokrytą linoleum podłogę.

Na pewno, pomyślał Mark, zostawił krwawy ślad prowadzący do laboratorium.

Mimo ciszy po drugiej stronie drzwi - dziwnej ciszy, bo po takim wydarzeniu na oddziale powinno wybuchnąć wielkie zamieszanie - muszą tam być. Policja doskonale wie, gdzie jest morderca.

Prawdopodobnie policjanci stoją już w korytarzu, pomyślał Mark. Ile pistoletów jest wycelowanych w drzwi? Co będzie, jeśli policjanci otworzą ogień, myśląc, że zabójca jest sam w laboratorium? Jeśli zaczną strzelać, zabiją Leslie.

Mężczyzna trzymał Leslie przed sobą, oparty o drzwi. Wciąż celował w jej głowę. Palec nadal trzymał na spuście.

Mark nie mógł do tego dopuścić. Jeszcze dziesięć sekund ciszy, postanowił, mając nadzieję, że to nie będzie zbyt długo.

Liczył cierpliwie, równo.

Dziewięć. Dziewięć.

- Hej! - wrzasnął Mark i rzucił się na oszołomionego zabójcę, który gwałtownie się obrócił, a lufa pistoletu odsunęła się od skroni Leslie. Mężczyzna pociągnął za spust i wystrzelił w pierś Marka.



- Mark! - krzyknęła Leslie, rzucając się za mężczyznę, który skończył do drzwi, otworzył je i wypadł wprost w grupę policjantów. Widząc, że jest w pułapce, zaczął strzelać jak oszalały, raniąc jeszcze dwóch oficerów, zanim zginął.

- Mark, Mark - powtarzała Leslie, klęcząc przy nim.

Kula zrobiła ogromną dziurę w piersi Marka. Nie mógł złapać tchu. Mimo bólu leżał nieruchomo. Bał się. Był w szoku.

Jasnoczerwona krew trysnęła z rany na twarz i klatkę piersiową Leslie, która pochyliła się nad Markiem. Jasnoczerwona krew. Tętnicza. Krwotok był bardzo silny. Z każdym uderzeniem serca - a biło szybko - kolejna porcja krwi opuszczała ciało Marka.

Bardzo szybko się wykrwawi i umrze z upływu krwi. Silne, młode serce będzie pompować coraz mocniej. Każde uderzenie będzie przybliżać śmierć.

Chyba że tętnica zostanie zamknięta.

Leslie lewą ręką sięgnęła do rany w piersi Marka. Poczowała pulsowanie gorącej krwi. Czułymi opuszkami palców próbowała ustalić kierunek krwotoku, modląc się, żeby dosięgnąć do uszkodzonej tętnicy.

A jeśli jej nie znajdzie?

A jeśli nie dosięgnie palcami?

Gdy Leslie wciskała dłoń w pierś Marka coraz głębiej i głębiej, czuła, jak ostre końce połamanych żeber przecinają jej skórę. Czuła ciepło jego ciała, gorącą, pulsującą krew i delikatne jak koronka płuca, drżące przy jej dłoni.

- Leslie, zabierzmy go stąd. Na urazówkę.

W korytarzu przy maleńkim laboratorium tłoczyli się policjanci, pielęgniarki, pracownicy szpitala, kamerzyści i reporterzy. W laboratorium zmieściłyby się jeszcze co najwyżej dwie osoby. Tu nie można było się zająć Markiem. Należało go przenieść do dużej sali ze sprzętem, pod opiekę wyszkolonego zespołu.

- Muszę... - powiedziała Leslie, gdy jej palce wreszcie sięgnęły tętnicy, przez którą wykrwawiał się Mark. Pchnęła mocniej, wyciągając palce w kierunku pulsującego obszaru. Z całej siły zacisnęła je na gorącym, śliskim naczyniu krwionośnym.

Krwawienie zwolniło.

- Chodź, Les! - Ludzie stojący w korytarzu zaczęli się denerwować. Nie wiedzieli, dlaczego Leslie nie wychodzi z laboratorium. Dla czego nie odsuwa się od Marka i nie pozwala im go zabrać.

- Tamuję krwotok tętniczy - powiedziała. - Trzymam ręką tętnicę, więc możemy go przenieść. Ale nie mogę ruszyć dłonią.

Do tej pory widzieli ją z tyłu, pochyloną nad Markiem i robiącą coś gorączkowo. Mówiąc, Leslie odrobinę się odwróciła. Zobaczyli jej twarz, zbryzganą krwią Marka, i czerwoną plamę na piersi.

Natychmiast zrozumieli, że Leslie ma rację. Wszyscy widzieli, ile krwi stracił Mark. Jeśli zatrzymała krwotok, podczas transportu jej dłoń nie może puścić tętnicy.

- Możemy założyć zacisk tutaj, Leslie?

Gdy tylko będzie to możliwe, palce Leslie zastąpi metalowy zacisk. Odpowiednio umieszczony, zamknie tętnicę do czasu, aż przewiożą Marka na salę operacyjną.

- Nie wiem. Może. Trzymam. - Gdy tylko krwawienie zwolniło, ułożyła inaczej dłoń, opierając ją wnętrzem o ostre końce połamanych żeber. Mocno trzymała uszkodzoną tętnicę.

- Dobrze. Przenieśmy go więc. Trzeba go jak najszybciej zaintubować. ' .

Dziura w piersi Marka nie pozwalała mu dobrze oddychać. Przy każdym gwałtownym wdechu powietrze dostawało się przez ranę i uciskało płuco, nie pozwalając mu na normalne rozszerzenie, powodując, że się zapadało.

Mark był nieprzytomny. Było przy nim mnóstwo pracy. Potrzebna była rurka do intubacji, kroplówka, krew, tlen i operacja. Zaledwie półtorej minuty po tym, jak opuścili laboratorium na oddziale intensywnej terapii, Mark leżał w izbie przyjęć, zaintubowany, z dwiema kroplówkami. Wysłano krew do zbadania.

Szpital Ogólny San Francisco był jednym z pierwszych i najlepszych centrów traumatologicznych w kraju. Zespół wyszkolonych lekarzy, z których każdy dobrze znał swoje zadania, pracował szybko i skutecznie, żeby każdy pacjent miał jak największą szansę przeżycia.

Szefem zespołu był starszy chirurg. Przez pół roku prowadził zespół i przez pół roku dosłownie nie opuszczał szpitala. Gdy postrzelono Marka, doktor Ed Moore był w izbie przyjęć, gdzie zajmował się pacjentem, którego ktoś dźgnął nożem w udo. Ed musiał najpierw ustabilizować pacjenta, żeby móc całkowicie skoncentrować się na Marku, gdy tylko przewiożą go na salę.

Natychmiast stanął obok Leslie.

- Dobrze, Les - powiedział szybko. Oznaczało to: „Jestem gotów”.

Leslie spojrzała na Eda i powiedziała spokojnym, zdecydowanym głosem:

- Trzymam palce na uszkodzonej tętnicy.

Ed wziął głęboki wdech, widząc zakrwawioną Leslie.

- Trzymaj mocno, Les. Wezmą zacisk.

Ed wsunął długi, srebrny zacisk w ranę obok palca Leslie. Nic nie widzieli. Wszystko trzeba było robić na wycucie. Leslie musiała kierować ruchami Eda.

- Już - powiedziała, gdy poczuła chłodny zacisk obok końca swojego palca.

Ed otworzył i zamknął zacisk, szukając tętnicy na oślep.

- Dobrze. Puść.

Gdy tylko Leslie rozluźniła uchwyt, bryznęła na nich krew. Krew Marka.

- Cholera - warknął Ed.

Leslie szybko przycisnęła palce do tętnicy. Coraz trudniej było trzymać. Palce Leslie zdrętwiały. Bolało ją wewnątrz dłoni, poranione ostrymi połamanymi żebrami Marka. Po kolejnej fali gorącej krwi tętnica stała się jeszcze bardziej śliska, jeszcze trudniej było ją uciskać.

Spróbowali jeszcze raz.

I jeszcze raz.

Przy czwartej próbie zacisk zamknął się na tętnicy. Gdy Leslie cofnęła palce, nie było krwawienia.

- W sali operacyjnej za dwie minuty - krzyknął Ed. - Gdzie krew? Dwie jednostki - do środka! - zanim zaczniemy operację. A zaczynamy za dwie minuty.

Mark, zaintubowany, pod tlenem, nad którego podawaniem czuwał anestezjolog, odzyskał przytomność.

Leslie zobaczyła, że Mark kiwa głową do Eda. Gdy zamknęła tętnicę, cofnęła się w kąt sali. Energia i emocje, które pozwoliły jej na tak szybkie i sprawne działanie, ustąpiły miejsca wyczerpaniu i strachowi. Teraz, gdy nie uczestniczyła już czynnie w ratowaniu Marka, gdy nie wykonywała żadnego zadania, miała czas na myślenie. I na martwienie się.

Ale Mark był w dobrych rękach. Najlepszych.

I kontaktował się z otoczeniem! Leslie wstała, patrząc na Marka. Był przytomny, próbował się porozumieć z Edem. Nie mógł mówić z powodu rurki, ale wyraźnie miał coś do przekazania. Zobaczyła jego gest, po którym podano mu ołówek i kawałek papieru, widziała, jak pisze coś na kartce i daje ją Edowi.

Leslie patrzyła na Eda, czytającego to, co napisał Mark. Zobaczyła, jak Ed marszczy brwi i krzywi się. Lekarz mówił coś do Marka z złością, które przerodziło się w gniew.

Leslie nie słyszała słów. W pomieszczeniu panował zbyt wielki hałas. Otaczały ją głosy pielęgniarek, lekarzy i techników, którzy czuwali

nad Markiem, omawiali szczegóły natychmiastowego przewiezienia go na salę operacyjną i prosili o wyniki badań krwi.

- P02 w ostatnim badaniu wynosi 280.
- Dzięki! Jakie pH? - zapytał anestezjolog.
- 7.4.
- Świetnie.
- Hematokryt 28.

Wszyscy zamilkli jak na komendę.

- Słyszałeś, Mark? Twój kryt wynosi 28 i to przed rehydracją. Straciłeś mnóstwo krwi - krzyknął Ed Moore. W cichej sali jego głos zabrzmiał wyjątkowo donośnie.

Ed spojrzał na Leslie, na jej poplamioną krwią twarz i ubrania. W ten sposób oszacował z przerażeniem, ile krwi stracił Mark. A przecież nie widział kałuży krwi w laboratorium na oddziale intensywnej terapii.

Leslie zobaczyła, że głowa Marka porusza się lekko na boki. Wyrażnie czegoś zakazywał.

- Dobrze, Mark, stary przyjacielu. Zrobię, co w mojej mocy, do cholery jasnej.

Ed ruszył w stronę Leslie, pytając głośno każdego, kto słuchał:

- Gdzie doktor T?

Wszyscy słuchali. Wszyscy słyszeli, co Ed powiedział Markowi. Wszyscy zastanawiali się, co się stało.

- Myje się - powiedziała przełożona pielęgniarek, nagle zdając sobie sprawę, że doktor Moore zadał konkretne pytanie.

- Dobrze.

Doktor T, jak z sympatią nazywano doktora Jona Thomasa, był konsultantem chirurgiem-traumatologiem. Nie pomagał przy każdym przypadku. Nie było to konieczne. Szef zespołu traumatologicznego oraz inni chirurdzy byli doskonale wyszkoleni. Doktora T. proszono o pomoc w przypadkach krytycznych. Takich, jak przypadek Marka.

Leslie ucieszyła się, że przyjdzie na salę.

Ed zatrzymał się przed Leslie.

- Jeśli nie jest świadkiem Jehowy, to kim? - zapytał.

- Jak to? - odpowiedziała pytaniem zaniepokojona Leslie.

Ed pokazał jej pomiętą kartkę, którą trzymał w dłoni.

Było na niej napisane: „Nie tr. krwi”. Oznaczało to: żadnych transfuzji krwi. Tak napisał Mark.

- Mówi, że nie jest świadkiem Jehowy, więc dlaczego odmawia transfuzji?

Leslie wzruszyła ramionami. Nagle sobie przypomniała.

- AIDS - szepnęła cichutko.  
- AIDS? Chryste. Jakie są na to dowody?  
- Na razie niewiele, ale zdaje się, że jest coraz więcej danych.  
- Typowy niepokój lekarza, co by było, gdyby. Mam mnóstwo danych na temat obrażeń klatki piersiowej takich, jak rana Marka, nawet przy optymalnej opiece, uwzględniającej transfuzje krwi. Leslie, ta decyzja może go kosztować życie.

- Nie możecie zrobić transfuzji bez jego zgody? - zapytała z niepokojem Leslie, znając odpowiedź.

- Nie, bo to napisał. Wyraźnie zaznaczył, że nie chce krwi. Mark jest przytomny i zdrowy na umyśle, przynajmniej z punktu widzenia prawa. Gdyby szepnął mi to na ucho, mógłbym nie zrozumieć albo wcale nie usłyszeć. Ale na piśmie, przy świadkach... Nic z tego. Sama wiesz.

- Wiem - powiedziała słabym głosem. - Czy mogę z nim porozmawiać? Mogę mu oddać własną krew. Nasza krew i tak już się wymieszała. Jeśli jedno z nas ma AIDS, zarażenie już nastąpiło.

Mówiąc to, Leslie podniosła dłoń, pokazując Edowi jej wnętrze. Lekarz wiedział, że była narażona na kontakt z krwią Marka; krew ta była na jej skórze. Ale dopiero teraz uświadomił sobie, że Mark był narażony na kontakt z jej krwią Ed ujął poranioną dłoń Leslie i przyjrzał się jej uważnie.

- Okropnie poharatana, Leslie - powiedział cicho.

Leslie wzruszyła ramionami. O swoje rany będzie się martwić później.

- Widzisz więc, że Mark dostał już trochę mojej krwi - powiedziała. - Mogę z nim porozmawiać?

- Proszę bardzo. Ale chyba jest zdeterminowany. Co za głupiec!

- Ed - poprosiła łagodnie Leslie - nie gniewaj się na niego.

- Hej, Les. Jestem na niego wściekły jak cholera. Ale też go lubię. Jest moim kumplem. Znamy się od dwóch lat, przeżyliśmy razem wiele długich, ciężkich dyżurów. Zrobię, co w mojej mocy, żeby go uratować - powiedział Ed. I dodał szorstko: - Nawet gdybym nie znał drania, ratowałbym go za wszelką cenę.

- Teraz gniewasz się jeszcze na mnie - powiedziała ponuro Leslie, uświadamiając sobie, że go uraziła.

- Nie. Po prostu jestem zły. Ale nie martw się. Złość mnie napędza. Kiedy jestem wściekły, najlepiej operuję - powiedział Ed, dotykając jej ramienia w miejscu, gdzie fartuch był biały, a nie czerwony. - Hej, nie widziałas wściekłego McEnroe na korcie? Zawsze wygrywa.

Teraz ty musisz, pomyślała Leslie, patrząc na lekarza idącego na salę operacyjną. Musisz.

Po chwili podeszła do Marka. Miał zamknięte oczy.

- Mark?

Piwne oczy się otworzyły. Tyle bólu.

- To ja, Leslie. Potrzebujesz krwi.

Ból i strach. Mark powoli, lecz zdecydowanie poruszył głową.

- Z powodu AIDS?

Lekkie kiwnięcie głową, zamknięte oczy.

- Mark, to nonsens!

Otwarte oczy, gniew. Ale głównie ból i determinacja.

- A może ja dam ci swoją krew? My już...

Głowa Marka szybko przechyliła się w bok. Nie.

Ed miał rację. Mark podjął decyzję.

Tak jakby chciał, żebyśmy pozwolili mu umrzeć, pomyślała nagle Leslie. Mark rzucił się na zabójcę, wprost na jego broń. Teraz odmawiał przyjęcia krwi, która mogłaby mu uratować życie. Przestań, powiedziała sobie. To tylko ponury wytwór wyobraźni.

- Mark - powiedziała łagodnie Leslie. - Zawiadomić Kathleen?

Oczy Marka rozjaśniły się na chwilę i zgasły. Radość, potem zmartwienie. Kiwnął głową.

- I Janet?

Lekkie kiwnięcie.

- Rodziców?

Silne nie. Prawie tak silne, jak odmowa zgody na transfuzję.

- Musimy jechać, Leslie. Sala gotowa - oświadczył anestezjolog.

- Dobrze. Na razie, Mark - powiedziała.

- Przyłączysz się, Leslie? - zapytał ktoś.

- Co? Och... nie - odpowiedziała. - Nie.

## Rozdział 13

**L**eslie wyszła z sali za wózkiem Marka, prosto w oślepiające światło kamer telewizyjnych. Patrzyła w obiektyw szeroko otwartymi oczami, w których lśnił gniew i zdumienie. Twarz i włosy miała poplamione krwią.

Za reporterami zobaczyła swojego stażystę, Hala. Leslie nie potrafiła zinterpretować wyrazu jego twarzy, ale nagle wyraźnie poczuła, że stała mu się bliższa.

Mijając wszystkich, pobiegła do damskiej szatni. Zdjęła z siebie wszystko: biały fartuch, niebiesko-białą koszulkę w kwiaty, stanik, majtki i pończochy. Wszystko było czerwone, czerwono-brązowe, od krwi Marka. Leslie bezradnie przyglądała się ubraniom. Były zniszczone, ale nie mogła ich wyrzucić. Jeszcze nie. Nie mogła wyrzucić cennej krwi Marka, chociaż krew ta była beзуżyteczna.

Gdyby tylko mogła mu oddać trochę swojej krwi!

Leslie nie mogła wyrzucić krwi Marka. Czowała, że nie może jej nawet zmyć.

Powoli, ostrożnie złożyła ubrania i włożyła je do torby.

W końcu jednak postanowiła zmyć z siebie krew Marka. Jeśli tego nie zrobi, będzie jeszcze gorzej. Stała pod prysznicem i pozwoliła wodzie splukiwać krew. Zamknęła oczy, żeby nie patrzeć, jak jego cenna krew spływa z wodą. Nie myła się. Woda splukiwała krew Marka. W końcu otworzyła oczy i spojrzała pod stopy. Woda była czysta.

Dopiero wtedy sięgnęła po mydło i szampon, które wyjęła ze swojej torby, i umyła się, jak zwykle na dyżurze. W wolnych chwilach brała krótki prysznic. Tuż obok niej, na wyłożonej terakotą podłodze, leżał pager.

Leslie poczuła, że pieką ją skaleczenia na wewnętrznej stronie dłoni i palcach. Zaczęły krwawić podczas mycia. Tym razem była to jej krew.

Patrzyła jak urzeczona na własną krew wirującą z wodą. Po chwili obejrzała rany. Niektóre były głębokie, ale żadne ściętno nie zostało uszkodzone. Nie straciła czucia w dłoni i mogła nią swobodnie poruszać. Te głębokie, wąskie rany - rany punktowe - nie wymagały chyba szycia, ale należało je opatrzyć. Wróci na izbę przyjęć, starannie przeemyje je sterylnym roztworem i poprosi któregoś chirurga-ortopedę, żeby je zbadał.

Miała w torbie czyste majtki, pończochy i bluzkę, ale nie miała drugiego stanika, fartucha ani spódnicy. W szatni znalazła czysty fartuch chirurgiczny, niebieski, bawełniany, z głębokim wycięciem w kształcie litery V i krótkimi rękawami. Fartuch opadał luźno na jej wąskie biodra, ale napinał się na jej nagich piersiach.

Pożyczy od kogoś biały fartuch albo znajdzie gdzieś coś, żeby przysłonić ten nieskromny strój. Nie miało to znaczenia. Nie liczyło się nic poza Markiem.

Wyszła z szatni wprost przed kamery telewizyjne. Operatorzy poszli za nią i cierpliwie czekali.

- Doktor Adams - oderwał się jeden z reporterów. - Tylko słówko, proszę...

Leslie stanęła w miejscu. Była całkiem oszołomiona.

Wpatrywały się w nią kamery. Filmowały wilgotne, kasztanowe włosy, które przed wyjściem z szatni pośpiesznie przeczesła drżącymi palcami zdrowej ręki. Filmowały lśniące, niebieskie oczy i pełne, krągłe piersi, napinające za ciasny fartuch.

Wygląda jak mistrzyni pływacka, pomyślał reporter. Mokra, zdrowa, wysportowana, podekscytowana. Tylko jak na pływaczkę ma za duży biust.

- Doktor Adams, może nam pani powiedzieć, co się stało?

Leslie już otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale pytanie reportera przywołało wspomnienia. I przypomniało o tym, co najważniejsze. A dla niej najważniejsze było teraz sprawdzenie, jak się czuje Mark.

- Nie - powiedziała beznamiętnie do kamery. Spojrzała swymi czystymi, niebieskimi oczami na czerwone światelko na kamerze, które nie oślepiało tak, jak reflektory. - Nie, nie mogę.

Gdy odchodziła, wciąż filmowały ją kamery. Reporterzy nie uzyskali od doktor Leslie Adams zbyt wielu informacji, za to mieli sensacyjne, kolorowe zdjęcia, zdjęcia przed i po. Przed - zakrwawiona twarz i ubrania. Po - czysta, mokra, młoda kobieta, zmysłowa w za ciasnym fartuchu chirurgicznym. W obu materiałach występowały ogromne, szafirowoniebieskie oczy, przekazujące wyraźne niewerbalne komunikaty o smutku, bólu i gniewie.

Kanał Piąty miał najlepsze zdjęcia, ale reporterzy stacji lokalnych również filmowali w szpitalu. Wszyscy znali historię - zamordowany niedoszły informator, zabójca, ranni policjanci i ciężko ranny lekarz - ubarwioną dramatycznymi zdjęciami doktor Leslie Adams. Materiał pokazywano we wszystkich programach informacyjnych na wszystkich kanałach przez trzydzieści sześć godzin.

Do każdej ze stacji telewizyjnych zadzwoniła rekordowa liczba osób.

Wymknąwszy się reporterom, Leslie pobiegła na blok operacyjny, do pokoju pielęgniarek. Blok operacyjny Szpitala Ogólnego San Francisco był bardzo ruchliwym miejscem. Operowano tu pacjentów dwadzieścia cztery godziny na dobę, siedem dni w tygodniu.

W tym momencie Mark był jednym z czterech przypadków.

- Jak on się czuje? - zapytała Leslie przełożoną pielęgniarek, Gwen. Mimo pozostałych operacji, wszyscy najbardziej niepokoiли się o Marka. Był w najgorszym stanie.

- Na razie jako tako. Dopiero zaczęli - rzekła Gwen. Potem, patrząc na Leslie, zdjęła z wieszaka biały fartuch. - Proszę. Nie wiem, czyj jest. Wisi tu od trzech tygodni. Do kogokolwiek należy, ty potrzebujesz go bardziej.



- Dzięki, Gwen.  
- Opróżniliśmy jedną poczekalnię dla ciebie, jego przyjaciół i rodziny. To poczekalnia B.

- Dzięki. - Leslie wciągnęła powietrze. - Chyba zadzwonię do kilku osób.

Było piętnaście po dziesiątej. Leslie postanowiła, że zawiadomi Janet po przedstawieniu. Najpierw zadzwoniła do biura numerów, żeby dowiedzieć się o numer telefonu do rodziców Kathleen.

- Tak, doktor Adams. Oczywiście, że panią pamiętam - powiedziała Virginia Jenkins. - Tak dobrze się pani mną opiekowała.

- Jak się pani czuje, pani Jenkins?

- Dobrze. Bardzo dobrze. Ustąpiła nawet dusznica. Powiedziano mi, że w końcu odblokowała się część zwężonej tętnicy, która powodowała ból. Zatem czuję się nawet lepiej.

- Cieszę się. Czy zastałam Kathleen?

- Nie, moja droga. Kathleen mieszka w mieście. Z Markiem Taylorem. Podać pani ich numer?

- Tak, proszę. - Mieszka w mieście, z Markiem. Virginia Jenkins powiedziała to spokojnie. Kto by nie był spokojny? Leslie nie знаła domowego numeru telefonu Marka. Mogłaby znów zadzwonić do biura numerów, ale Virginia Jenkins podała numer z pamięci.

- Dziękuję - powiedziała Leslie.

- Cześć, kochanie - Kathleen odebrała po drugim dzwonku. Mark zawsze dzwonił o tej porze, jeśli tylko mógł. Czasami dzwonił tylko po to, żeby powiedzieć, że nie może rozmawiać.

- Kathleen, tu Leslie Adams.

- Och, Leslie. Marka nie ma.

- Wiem, Kathleen. Mark miał wypadek. - Głos Leslie się załamał. Po policzkach popłynęły jej gorące łzy.

- Leslie!

- Mark jest na sali operacyjnej. Został ranny.

- Ranny?

- Postrzelony.

- Postrzelony! Nie. Nie! To niemożliwe. Jak on się czuje... Czy...

- Operują go. Postrzelono go w klatkę piersiową. Przed operacją był przytomny. Niesparalizowany - powiedziała Leslie. Podała Kathleen wszystkie pozytywne informacje, które przyszły jej do głowy. Nie mówiła o krwi. Nie powiedziała, że jeśli Mark straci jeszcze jedną kroplę krwi, może umrzeć. - Przyjedź na chirurgię, poczekalnia B, dobrze? I weź taksówkę. Będzie bezpieczniej.

- Tak. Dobrze. Leslie, jesteś z nim? Będziesz?
- Jestem tutaj. Bardzo blisko. Na bloku operacyjnym.

Dwie godziny później Mark wciąż leżał na sali operacyjnej, wciąż żył. Janet, Leslie i Kathleen siedziały w poczekalni B. Reporterzy znaleźli je bez trudu. Już zainteresowali się niebieskooką bohaterką, która nie chciała z nimi rozmawiać. Potem ktoś rozpoznał Janet, gwiazdę *Johanny*, najpopularniejszej sztuki teatralnej w San Francisco, i zainteresowanie reporterów jeszcze wzrosło. Nikt nie rozpoznał Kathleen, ani nawet nie zapytał jej o nazwisko. To było szczęście.

Leslie musiała się przebijać przez tłum reporterów, żeby iść na blok operacyjny i sprawdzić, jak się czuje Mark. Za każdym razem była to trudna przeprawa.

Wszystkie trzy kobiety czuły się jak w pułapce. Siedziały, w milczeniu, na trzech kanapach, ustawionych pod kątem prostym do siebie, pod jasnożółtymi ścianami.

Z powodu natrętnych reporterów wiadomości o stanie Marka zaczęła przekazywać Gwen, żeby Leslie nie musiała wychodzić z poczekalni. Ale Leslie wciąż nie mogła sobie znaleźć miejsca. A jeśli coś się stanie, a Gwen nie będzie mogła wyjść? Przecież coś się stało.

- Nie krwawił już - powiedziała. - I zaszyli tętnicę. Musieli usunąć dolny prawy płat płuca.

Kathleen i Janet krzyknęły chórem.

- To nic groźnego - zapewniły Leslie i Gwen.

- Dlaczego jeszcze go operują? - zapytała Janet.

- Bo ma w ciele mnóstwo odłamków kości. Lekarze wyciągają je po kolei. I ponieważ rana została zainfekowana. Chcą ją dobrze oczyścić. Żeby go ponownie nie otwierać. Po prostu są bardzo ostrożni. Jego parametry życiowe są w porządku.

- A hematokryt, Gwen? - zapytała z ociąganiem Leslie.

- Jedenaście.

O mój Boże, pomyślała Leslie.

- Co to znaczy? - zapytała Kathleen, wyczuwając, że Leslie się denervuje, choć próbuje to ukryć.

- Mało - przyznała Leslie. Nie dodała, że Mark nie może już więcej krwawić. Ani trochę. Gdybym tylko szybciej dostała się do tętnicy, pomyślała, nieprzytomna z bólu. Gdybym tylko...

- Reporterzy dokuczają, co? Nie mogąc dotrzeć do ciebie, wypytują nawet mnie - powiedziała Gwen podczas swojej trzeciej wizyty

w poczekalni B. - Próbowałam ich wyrzucić, ale domyślają się, że nie mam tu żadnej władzy. Poza tym wyczuwam odrobinę szowinizmu, drogie panie.

- Tego się obawiam - powiedziała Leslie. - Potrzebny nam ważny lekarz. - Albo ktoś, kto za takiego się uważa, pomyślała. - Gwen, z tego telefonu nie ma wyjścia na zewnątrz?

- Nie.

- Ale tutaj można zadzwonić?

- Operator może połączyć.

- Wezwiesz pagerem doktora Hala Rollinsa? I poprosisz, żeby go tu przełączono?

- Jasne. Mam zaznaczyć, że to pilne?

- Nie trzeba. Hal szybko się odzywa. To jeden z jego mocnych punktów.

Czekając, Leslie przypomniała sobie, jak patrzył na nią Hal, gdy wyszła z urazówki. Co to była za mina? Z pewnością nigdy dotąd jej nie widziała.

Telefon w poczekalni zadzwonił po trzech minutach.

- Cześć, szefowo - powiedział Hal.

- Jak tam, Hal?

- Dobrze. Nic się nie dzieje. Chyba wszyscy, naprawdę wszyscy martwią się o Marka. Jest dziwnie. Cicho jak w grobie.

Jak w grobie. Radosny termin medyczny oznaczający spokój.

Ale nie najlepszy na dzisiejszy wieczór.

- To jest... eee... spokojnie - poprawił się szybko Hal. - Słyszałem, że hematokryt Marka wynosi jedenaście, ale nie można przeprowadzić transfuzji?

- Uhm. Posłuchaj, zrób coś dla mnie.

- Strze... - zaczął i ugryzł się w język. Zaczynał mówić „strzelaj, szefowo”, jak zwykle, ale przerwał, przerażony. W końcu odezwał się tonem, którego Leslie nigdy dotąd nie słyszała, pasującym do tamtej dziwnej miny.

- Czego tylko sobie życzysz, Leslie - powiedział poważnie. Zanim Leslie zdążyła się odezwać, dodał to, o czym cały czas myślał. - Byłaś naprawdę wspaniała. Uratowałaś mu życie. Wiedziałaś, co robić i to właśnie zrobiłaś.

Leslie przełknęła z trudem. Hal prawił jej komplementy. Podziwiała ją. To podziw dostrzegła w jego oczach. Uśmiechnęła się lekko.

- Dzięki, Hal. Powiem, o co chodzi. Zejść do poczekalni B. Przedstaw się reporterom jako ktoś reprezentujący władze szpitala. Kłam, je-

śli chcesz. Przekonaj ich, żeby opuścili ten obszar. Nie szpital, tylko ten obszar. Nie chcę, żebyś podważał ich prawa wynikające z Pierwszej Poprawki. Tylko ich stąd odciągnij. Dobrze?

- Jasne. Nie ma sprawy.

Leslie stała przy drzwiach i słuchała przemowy Hala. Zachwyciła się jego pewnością siebie.

- Proszę państwa reporterów, jestem doktor Hal Rollins. Reprezentuję Wydział Medycyny. Z przykrością muszę państwa poinformować, że mamy żelazne zasady co do tego, kto może przebywać w okolicy poczekalni. Zdaję sobie sprawę, że prawa wynikające z Pierwszej Poprawki kolidują z prawem pacjenta do poufności. Jestem jednak pewien, że rozumieją państwo, iż musimy chronić prawa naszych pacjentów. Zapewniam, że gdy tylko dowiem się czegoś o stanie doktora Taylora, natychmiast państwa poinformuję. A teraz, jeśli państwo pozwolą, doktor Rhodes zaprowadzi wszystkich do kawiarni. O tej porze jest zamknięta, ale Wydział Medycyny zapewnił specjalne przepustki dla wszystkich państwa. Bardzo proszę iść z doktorem Rhodesem.

Jakimś cudem poszli za doktorem Rhodesem, studentem trzeciego roku medycyny, który trzymał garść żółtych karteczek. Talony na obiady. Zapewne był to zapas Hala na cały miesiąc.

Myślałam się co do niego, pomyślała Leslie.

Hal kręcił się za drzwiami, dopóki reporterzy nie zniknęli mu z oczu, a potem wszedł do poczekalni B.

- Jak się spisałem, szefowo? - zapytał mniej pewnie, niż zwykle, bardziej niż kiedykolwiek przedtem pragnąc aprobaty Leslie.

- Cudownie, Hal. Naprawdę. Dopilnuję, żebyś odzyskał te talony na obiady. To było bardzo hojne z twojej strony.

- *Noproblemo*. Mogę ich zdobyć więcej. Sekretarka Wydziału Medycyny ma do mnie słabość. - Sekretarka była wyjątkowo nieprzejednanym strażnikiem talonów na posiłki.

Oczywiście, pomyślała Leslie. Typowy Hal. Ale dziś zobaczyła jego drugie oblicze. A on jej.

Ona była mu wdzięczna, on ją podziwiał.

Pięć minut po wyjściu reporterów Janet wstała.

- Idę do domu.

- Janet!

Leslie wyszła za nią na korytarz.

- Tu nie jest moje miejsce, Leslie. Nie pomagam mu, a przeze mnie Kathleen nie może mówić. Proszę, zadzwoń do mnie, gdy tylko będziesz coś wiedziała.

- Dobrze.

Janet miała rację. Kathleen potrzebowała rozmowy. Gdy tylko Leslie wróciła do poczekalni, zaczęła mówić, ale jej słowa zaskoczyły lekarke.

- Posłuchaj, Leslie. Wiem, że mnie nie lubisz. Wiem, jak bardzo zależy ci na Marku. Ale, wierz mi, kocham go z całego serca. Naprawdę.

- Kathleen, ja...

- A on kocha mnie, Leslie - ciągnęła zdecydowanie Kathleen.

- Wiem - odparła Leslie szczerze. Dowiedziała się tej nocy. Albo przynajmniej dopuściła do siebie tę myśl. Widziała wyraz oczu Marka, gdy wymówiła imię Kathleen.

Wtedy Kathleen zaczęła płakać.

- O, Boże. Chciałabym, żeby rzucił medycynę.

- Co? - Widocznie Mark jej powiedział i wcale się nie przejmowała. Dobrze. - Chciałabyś, żeby rzucił...

- Tak. Oczywiście nigdy tego nie zrobi. Kocha tę pracę. Jest jej oddany. - Kathleen westchnęła.

Czyli nie wiedziała. Może nie było już o czym wiedzieć. Może Mark pogodził się sam ze sobą. Leslie pamiętała, na jak szczęśliwego i odprężonego wyglądał tego wieczora. Zanim...

- Dlaczego chciałabyś, żeby rzucił medycynę? - zapytała Leslie.

- Z samolubstwa. Żeby był bezpieczny. Żeby nie groziły mu choroby. Strzały. Co takiego jest w tym zawodzie, co każe wam ryzykować, że was ktoś postrzeli? - zapytała.

Leslie nie potrafiła jej odpowiedzieć. Mark nie był pierwszym lekarzem, którego postrzelono. To się zdarzało. Rozzłoszczeni pacjenci, rodziny, pacjenci domagający się narkotyków, pacjenci chorzy psychicznie...

- Nie wiem, Kathleen - powiedziała Leslie. Potem zapytała z prawdziwym zaciekawieniem: - Nie zależy ci na tym, żeby Mark był lekarzem?

- Nie! Mam gdzieś, czy jest kimś, czy nikim. Chcę tylko być z nim. - Kathleen uśmiechnęła się przez łzy, przypominając sobie przeszłość lub wyobrażając sobie szczęście w przyszłości. - Gdyby nie był lekarzem, spędzilibyśmy więcej czasu razem. Egoistka. Jestem egoistką.

Ich rozmowę przerwało wejście Gwen, która oświadczyła, że operacja dobiega końca. Mark zostanie przewieziony na oddział intensywnej terapii za jakieś dwadzieścia minut.

Leslie i Kathleen przemknęły obok dziennikarzy zgromadzonych przed wejściem na oddział. Hal udzielał im informacji, obiecując wywiad z jednym z chirurgów, gdy tylko będzie mógł zostawić Marka.

W pokoju pielęgniarek na oddziale intensywnej terapii Leslie krótko przedstawiła Kathleen Edowi Moore'owi, który zapisywał pooperacyjne zalecenia dla Marka.

- Na razie wszystko jest w porządku - powiedział Ed. - Ale wciąż nie może krwawić. Nie ma żadnych rezerw. Podaliśmy mu dożylnie żelazo.

Żeby mógł wytwarzać, czy raczej odtwarzać, czerwone ciała krwi.

- Jesteś bohaterem, Ed!

- Nie, ale wszyscy zrobiliśmy, co w naszej mocy. Do tej pory szczęście nam sprzyja. - Potem wziął ją za rękę. Skaleczenia wciąż nie były zabandażowane. Leslie nie miała czasu wrócić do izby przyjęć. Ed powiedział łagodnie: - Ty jesteś bohaterem, Leslie. Uratowałaś mu życie.

- Nie - powiedziała Leslie, zakłopotana, że słyszy to Kathleen.

- Tak. Oto dowód - powiedział, oglądając jej dłoń. - Za pół godziny, gdy go tu już ulokujemy, spotkasz się ze mną w izbie przyjęć. Te rany trzeba opatrzyć.

- Dobrze. Dzięki.

Pielęgniarki nie chciały wpuścić Kathleen do Marka. Nie była członkiem rodziny.

Leslie szybko zainterweniowała.

- Kathleen jest jego rodziną. On jej potrzebuje. Po prostu nie mają aktu ślubu i nie zrobili badań krwi - powiedziała. Jeszcze nie, pomyślała.

- Byłabyś dobrym adwokatem, Leslie. Przekonującym - powiedziała pielęgniarka. Ale wpuściła Kathleen głównie z powodu Marka. Zrobiłaby wszystko, żeby mu pomóc.

- Dziękuję - powiedziała cicho Kathleen, gdy szły w stronę pokoju Marka na oddziale intensywnej terapii.

- Podaliśmy mu lekką narkozę. Nadal śpi, ale wkrótce powinien się wybudzić - powiedział anestezjolog do Leslie.

Leslie i Kathleen zatrzymały się w drzwiach pokoju Marka. W środku krzątały się pielęgniarki, ustawiając różne urządzenia medyczne, kroplówki, monitory, wentylatory.

Mark leżał nieruchomo. Taki blady. Bardzo niski wskaźnik hematokrytowy tłumaczył bladość jego skóry. Była niebiesko-biała.

Leslie nie weszła do środka, żeby nie przeszkadzać pielęgniarkom, które musiały skończyć swoją pracę. Nie weszła również dlatego, że zawsze, gdy widziała pacjentów na tym oddziale, leżących nieruchomo, z kroplówkami i rurkami, czuła ogromne przygnębienie.

Ale teraz pacjentem był Mark.

Kathleen weszła do pokoju. Bez chwili wahania ruszyła w stronę straszliwie bladej, straszliwie nieruchomej marionetki, którą był teraz Mark.

Uśmiechnęła się wdzięcznie, przechodząc między zaskoczonymi pielęgniarkami, uważając, żeby nikomu nie przeszkadzać, omijając rurki, przestępując nad przewodami. Szła niezachwianie w stronę wezglowia łóżka. Musiała dotknąć Marka, mówić do niego.

Gdy wreszcie znalazła się przy Marku, delikatnie przytuliła głowę do jego głowy i szepnęła mu do ucha:

- Kocham cię, Mark. Kocham cię.

Oczy Marka zamrugały, a dłoń, która do tej chwili wydawała się martwa, podniosła się i sięgnęła w stronę Kathleen.

Kathleen wzięła go za rękę. Szeptala wciąż to samo:

- Kocham cię, Mark. Kocham cię.

Leslie przez chwilę patrzyła ze łzami w oczach na Marka i Kathleen. Potem wyszła, żeby zadzwonić do Janet. Musiała też iść do Eda Moore, żeby opatrył jej rękę. Wychodząc, po raz pierwszy tego długiego, przeładowanego emocjami wieczora poczuła, że Mark przeżyje. Ma powód, żeby żyć.

Powodem tym jest Kathleen.

## Rozdział 14

**J**ames Stevenson włączył telewizor. W czasie nieobecności Lynne pił kawę i palił pierwszego papierosa, oglądając poranne wiadomości.

- Zamordowawszy ofiarę, zabójca ukrył się w niewielkim laboratorium, gdzie pracowało dwoje lekarzy z Wydziału Medycyny Uniwersytetu Kalifornii. Jeden z lekarzy, doktor Mark Taylor, został postrzelony. Doktor Leslie Adams, którą widzimy...

Słyszając nazwisko Leslie, James podniósł wzrok i zdążył zobaczyć zręcznie zmontowany dramatyczny materiał. Podeszedł do telewizora i zrobił głośniejsze. Z bijącym sercem i zawrotami głowy oglądał straszliwe, groteskowe zdjęcia jej poplamionej krwią twarzy, które cudownym sposobem zmieniły się w jej obraz po wyjściu z szatni. Świeżej, pięknej, zmysłowej.

Leslie.

Czyli jest tutaj. W San Francisco.

Wyglądała tak samo. James widział już ten oszołomiony, nieprzytomny wzrok - podobny obraz, lecz inny czas i miejsce. Tego wiosennego dnia, przed laty, miała mokre włosy i twarz zaróżowioną od szybkiego pływania w jeziorze. Niebieski kostium kąpielowy opinał jej ciało tak samo, jak niebieski fartuch chirurgiczny.

Surowa, naturalna uroda Leslie. Nie zdawała sobie z niej sprawy, przynajmniej wtedy, w liceum, gdy jej śliczną twarz okalały niesforne, kasztanowe loki, a jej kształtne ciało było starannie skrywane pod kardioganami i bluzami.

Jedwabiste, rozwichrzone loki. Kobieca figura. Błyszczące, niebieskie oczy. Pełne, uwodzicielskie usta.

Leslie.

Ile czasu minęło? James nie musiał się zastanawiać. Dziewięć lat, prawie co do dnia. To zdarzyło się w sierpniu, dwa miesiące po skończeniu szkoły średniej. Wtedy właśnie spotkali się przypadkowo przy fontannie w centrum handlowym Seattle. Leslie i jej koleżanki chichotały i plotkowały, bo tylko tym zajmowały się w tym beztroskim okresie. A James tulił do siebie Cheryl, całował ją, nieświadom obecności Leslie, do chwili, gdy Leslie na nich wpadła.

- Och! James! - Leslie szybko odzyskała równowagę. Zaczerwieniła się z zakłopotania, oddychała szybko.

- Leslie. Cześć - powiedział, odsuwając się trochę od Cheryl. Ale Cheryl go nie puściła. - To jest Cheryl. A to Leslie. I Joannę. I Berty. I...

Krótkie, niezręczne, ostatnie spotkanie. Nieprzyjemne zakończenie czegoś, co tak naprawdę wcale się nie zaczęło.

A może?

Po tygodniu Leslie wysłała do niego list. Przyszedł z listami od Cheryl. Z jakiegoś powodu James go nie zauważył. List od Leslie pozostał nieotwarty, w pudełku po butach, z pocztą od Cheryl. Dziesięć miesięcy później znalazł go przypadkiem. Otworzył. Przeczytał. Dla niego i Leslie było już za późno - ale dla niego samego nie. Mógł jeszcze odmienić swoje życie. Na zawsze. Na lepsze.

Ale Leslie o tym nie wiedziała. Wiedziała tylko, że wysłała list - a musiało jej być bardzo ciężko to zrobić - na który nie otrzymała odpowiedzi. Ani potwierdzenia.

James nie widział jej i nie rozmawiał z nią przez dziewięć lat.

Teraz wiedział, gdzie jest.

Doktor Leslie Adams. Wydział Medycyny. Uniwersytet Kalifornii w San Francisco.



James wyłączył telewizor, zapalił drugiego papierosa i usiadł. Siedział, nie ruszając się, poza zapalaniem kolejnych papierosów, przez wiele godzin.

- Hej, Nocny Łowco - zawołał Mark, gdy Leslie przechodziła obok jego szpitalnego pokoju. Drzwi były otwarte. Była piąta rano.

- Cześć! - szepnęła, zaglądając do jedyńki.

Mark siedział na łóżku. Światło było zapalone. Czytał.

Przeniesiono go tu z oddziału intensywnej terapii tydzień po wypadku. To był jego czwarty poranek na oddziale chorób wewnętrznych.

- Jesteś zajęta, czy tylko się kręcisz?

- Kręcę się. Stąd nie ma ładnego widoku. I nigdy nie czuje się tu spokojnie.

- Ani chwili ciszy między burzami?

- Nawet gdy myślisz, że wszystko się uspokoilo, od razu przypominasz sobie, że to tylko iluzja. Że jesteś w oku innego cyklonu.

Mark się uśmiechnął.

- Gdzie Hal?

Leslie usiadła na krześle obok łóżka Marka, nie odpowiadając.

- Leslie, gdzie jest Hal?

- Śpi.

- Twoje zachowanie było niewłaściwe, choć do przyjęcia, gdy sama byłaś stażystką. Ale teraz nie wolno ci czuwać całą noc, gdy twój stażysta się wysypia.

- Wiem - powiedziała potulnie. Ale ja tak robię.

- Jak się miewa Książę Hal?

- Co czytasz, *Henryka IV*?

- Bardzo dobrze.

- Wychowałam się na nich - powiedziała Leslie, wskazując książki, klasyczne dzieła literatury angielskiej, stojące obok łóżka Marka. - Albo przynajmniej w ich otoczeniu.

- Szczęściara - mruknął Mark. I zapytał ponownie: - Jak się sprawuje książę korony?

- Lepiej - powiedziała szczerze Leslie, nie oddając jednak w pełni tego, co myślała. Hal bił rekordy w konkurencji „podziw”. Leslie cieszyła się cichymi chwilami, gdy Hal spał, bo wtedy nie łąził za nią i nie gapił się na nią z zachwytem. - Spuścił z tonu. Zadaje pytania. Nawet trochę się we mnie podkochuje.

- To dobrze. Ja...

- Mówiłeś mi. Wiem. Miałeś rację. Jak się czujesz?

- Dobrze. Retykuloocyty szaleją.

Retykuloocyty to młode czerwone krwinki. Ich obecność we krwi świadczy o powstawaniu nowych czerwonych ciałek.

- A hematokryt?

- Dwadzieścia cztery - oświadczył z dumą Mark. - Mam nadzieję, że wkrótce wypuszczą mnie do domu na rekonwalescencję.

Do domu. Do Kathleen.

- Daleko jeszcze do pełnego sukcesu - powiedziała Leslie, patrząc na jego kredowobiałą skórę.

- Myślisz, że w ciągu następnych kilku dni znów mnie ktoś postrze-  
li? Bo ryzyko ponownego krwotoku minęło.

- Masz szczęście. To najspokojniejsza, pozbawiona komplikacji re-  
konwalescencja w historii.

- Mam szczęście, że ty tam byłeś. Przynajmniej tak mówią.

- To ja miałam szczęście, że ty tam byłeś. - Uratowałeś mi życie,  
Mark.

- Bzdura. Tak czy inaczej, nie pamiętam nic pomiędzy rzuceniem  
się na tego drania a przebudzeniem na urazówce. Powiesz mi kiedyś, co  
się naprawdę stało?

Mark pytał już przedtem, ale Leslie nie chciała podawać szczegó-  
łów. Nie mogła sobie tego przypominać. To było takie osobiste. Takie  
intymne, że włożyła dłoń w jego ciało, głęboko w jego pierś, a jedno-  
cześnie takie bezosobowe i anatomiczne. Jak w czasie sekcji zwłok.

- Mówiłam. Ucisnęłam krwawiące miejsce.

- Jednym paluszkiem? - zapytał Mark, kiwając ręką. Wiedział, co  
zrobiła. Widział jej dłoń. Widział blizny, duże i nierówne. Blizny, które  
pozostaną na zawsze.

- A kiedy powstrzymałam krwawienie - ciągnęła Leslie, ignorując  
jego słowa - postradałeś rozum i nie zgodziłeś się na transfuzję krwi.

- Moim zdaniem, decyzja ta nie była szaleństwem.

- Nie wiadomo. Wszystko dobrze się skończyło.

- Ale pewnego dnia możemy się dowiedzieć, że moja decyzja była  
słuszna.

Zadzwoił telefon Marka. Była szósta rano. Leslie wstała i powie-  
działa:

- Kathleen. Pójdę już.

- Zostań, Leslie. Tb nie Kathleen. Pewnie pomyłka. Poplątały się  
przewody czy coś takiego.

To nie była pomyłka. Dzwonił ojciec Marka, ze swojego gabinetu w Lincoln, gdzie była już ósma.

- Mark! - ryknął ojciec.
- Ojciec - odpowiedział beznamiętnie Mark.
- Dlaczego, do cholery, nic nam nie powiedziałeś?
- Nie chciałem was martwić - odrzekł Mark, krzywiąc się do Leslie. - To zwykła rana. Skąd wiecie?
- Sam Hall był na spotkaniu urologów w San Francisco. Oglądał wiadomości. Gdy wczoraj wpadłem na niego w szpitalu, zapytał, jak się czujesz, i był zdziwiony, że twoja matka i ja nie jesteśmy w San Francisco.
- Och. Cóż. Oszczędziliście sobie wycieczki.
- Nadal jesteś w szpitalu, po dziesięciu dniach? To nie jest lekka rana. Chcę, żeby cię tu przewieziono.
- Za dzień lub dwa wracam do domu.
- Janet będzie umiała się tobą zaopiekować? Nie byłoby lepiej, gdybyś przyjechał tutaj?

Leslie nie wiedziała, co mówi ojciec Marka, ale słyszała ton syna i wyczuwała atmosferę rozmowy. Domyślała się, na jakie pytania odpowiada Mark.

Mark spojrział na nią. Był trochę zakłopotany. Wstała, żeby wyjść, ale Mark potrząsnął głową, zasłonił słuchawkę ręką i szepnął:

- Nie wychodź, Leslie. Chyba że chcesz. Zaraz zrobi się paskudnie. W takim razie dlaczego nie miałabym wyjść?, zastanawiała się Leslie. Bo Mark chyba chce, żebyśmy została.
- Janet i ja nie jesteśmy już razem.

Leslie wzięła głęboki oddech. Od rozstania Marka i Janet minęło już sporo czasu. Rozwód dostali kilka miesięcy temu.

Mark uśmiechnął się do niej lekko.

- Nie?
- Rozwód.
- Kiedy to się stało?
- Niedawno.
- Kiedy zamierzałeś nam powiedzieć?

Gdyby Mark im nie powiedział, nie zrobiłby tego nikt inny. Z pewnością nie rodzice Janet. Od wesela Taylorowie nie kontaktowali się z rodzicami Janet.

- Kiedyś. Nie wydawało mi się to pilne.
- Nie? Nie wiesz, jak to uszczęśliwi matkę? Bardzo. Było jej, nam obojgu, ogromnie przykro, że jesteś mężem tej ubogiej wieśniaczki, która cię upolowała.

- Ojciec.

- Mark, doskonale wiesz, że nie dorastała ci do pięć. Nie była odpowiednia. Wszystko to było takie niezręczne. Cieszę się, że odzyskałeś rozum i wreszcie ją rzuciłeś.

- To ona mnie rzuciła. Gdyby to było możliwe, wciąż byłbym jej mężem. Ale tak nie jest.

- Cóż, nieważne, jak to się stało. To błogosławieństwo.

- To wielka szkoda, ojciec.

- Twoja matka będzie uszczęśliwiona.

Mark zamknął oczy i odchylił głowę do tyłu. Skóra na jego dłoni trzymającej słuchawkę była napięta. Na skroni zaczęła mu pulsować żyłka, szczęki aż drżały.

Leslie patrzyła na to z przerażeniem. Taka presja. Taka wściekłość. Taki wewnętrzny wir.

Trzeba mu tylko wrzodu, pomyślała, i to takiego, który otworzy się od stresów. Krwotok mógłby go zabić.

Dotknęła dłonią ramienia Marka. Spojrzał na nią, zaskoczony. Potem uśmiechnął się blado i poklepał ją po ręce.

- Wszystko gra - pokazał ustami.

Jego ojciec ciągnął:

- Zatem, synu, skończysz na czas?

- Tak. Dyrektor szpitala mówi, że nawet jeśli opuszczę cały miesiąc, i tak zdążę wypracować wszystkie godziny.

- To dobrze. Chyba zamówię dziś wizytówkę. Może chciałbyś zamieszkać w domu, skoro Janet odeszła...

- Ojciec - powiedział Mark, patrząc w niebieskie oczy Leslie, czerpiąc siłę z ich niekwestionowanego wsparcia. - Zaczynam specjalizację z kardiologii. Potrwa dwa lub trzy lata.

- Kiedy podjąłeś tę decyzję? - zasycał ojciec.

- Niedawno.

- Mark, nie potrzebujemy już kardiologów w Lincoln. W mieście jest ich pełno.

- W takim razie będę musiał pracować gdzie indziej.

- Nie zrobisz tego! -Zabrzmiało to jak „Nie ośmielisz się”. - Wszystkie nasze plany...

- Twoje plany, ojciec. Ja mam własne.

- Co takiego? Do diabła, Mark, to są twoje plany. Od lat.

- W takim razie się zmieniły. Wiele się zmieniło.

- Nie mogę w to uwierzyć.

- Uwierz.

- Ty mały draniu. Po tym wszystkim, co dla...

Poblady z wściekłości, spocony i spięty Mark rzucił słuchawkę na widełki.

Zapadła niezręczna cisza. Leslie czekała, aż Mark przypomni sobie ojej obecności. Zdjęła dłoń z jego ramienia. Myśłami był bardzo daleko.

Po kilku minutach spojrzął na nią i uśmiechnął się potulnie.

- Zaczynam poznawać komplikacje, o których wspomniałeś - powiedziała, przypominając sobie ich poranną rozmowę sprzed trzech miesięcy.

- Mhm.

- Chyba postawiłeś sprawę jasno.

- Możesz wierzyć lub nie, ale prowadzimy takie rozmowy od lat. On po prostu nie słyszy tego, co mówię, nawet jeśli ujmuję to w ten sposób. Do niedawna po każdej takiej uroczej pyskówce dzwoniłem do niego i przeproszałem. Robiłem to, czego chciałem.

- Och.

- Ale teraz już tak nie będzie.

Dobrze.

- Kiedy zdecydowałeś się na specjalizację z kardiologii?

- W zeszłym miesiącu. Zgłosiłem się trochę za późno, żeby zacząć w lipcu przyszłego roku.

- Wiem. Ja już zaczynam się rozglądać, chcę zacząć za dwa lata. Też kardiologię - dodała cicho.

Mark się uśmiechnął.

- A więc przez najbliższe lata będziemy się widywać na zjazdach kardiologicznych...

- Gdzie się zgłosisz? Tutaj na pewno daliby ci miejsce.

- Muszę wyjechać - odparł beznamiętnie. Zaproponowali, że znajdą tu dla niego miejsce albo nawet stworzą nowy etat. - Jak ogłaszają w „New England Journal of Medicine”, jest miejsce w szpitalu Peter Bent Brigham. A ty?

- Na razie myślę o Stanfordzie.

- Dostaniesz się wszędzie, gdzie zechcesz.

Ty też, pomyślała. Ale co z twoimi studiami literackimi? - zastanawiała się, patrząc na dzieła Szekspira, Faulknera, Joyce'a i Shawa, ułożone na stoliku obok jego łóżka.

Zapisał pager Leslie. Spojrzała na zegarek. Ósma piętnaście.

- Kwadrans po ósmej, Leslie. To pewnie Hal. Zastanawia się, dlaczego spóźniasz się na obchód.

- Nie spóźniam się na obchód.  
- Nie? - Poranny obchód zawsze zaczynał się o ósmej.  
- Nie - odrzekła spokojnie. - Po dyżurze zaczynamy o wpół do dziewiątej.

- Żeby Hal mógł jeszcze chwilę pospać?  
- Żeby Hal mógł spokojnie wypić drugą filiżankę kawy...  
- I obudzić się po dobrze przespanej nocy, bo lekarka nadzorująca jego staż czuwa do rana? - dokuczał jej Mark.

- Mniej więcej. Hal naprawdę bardzo się poprawił. Robię z niego lekarza. Moimi własnymi sposobami. Dzwonią z sekretariatu Wydziału Medycyny - powiedziała Leslie, marszcząc brwi na widok cyferek na pagerze. - Mogę od ciebie zatelefonować?

Obojętnie wykręciła numer. Telefony z sekretariatu były na porządku dziennym.

- Mam dla pani wiadomość - stwierdziła sekretarka. - Może pani notować?

Leslie wyjęła karteczkę i długopis z lewej kieszeni fartucha.

- Słucham.

Przygotowała się do pisania, ale gdy usłyszała wiadomość, jej dłoń znieruchomiała. Długopis zawisł nad kartką.

- ...w swoim biurze cały dzień - dokończyła sekretarka.

- Przepraszam. Może pani powtórzyć numer? - zapytała Leslie. Zakręciło jej się w głowie.

James Stevenson będzie w swoim biurze - w biurze z miejscowym numerem telefonu - przez cały dzień. Czy doktor Adams zechce zatelefonować?

- Ach - powiedziała, odłożywszy słuchawkę.

- Co się stało? - zapytał Mark.

- Głos z dalekiej, dalekiej przeszłości. Z liceum. Dawny chłó... przyjaciel - powiedziała nieprzytomnie, zanim wyszła, żeby spotkać się z Halem na obchodzie.

Przyjaciel. Chłopak. Kim był James?

Kim wtedy był?

# Część 2

## Rozdział 15

*Seattle w stanie Waszyngton  
Wrzesień 1969*

**D**o liceum im. Jerzego Waszyngtona, największej publicznej szkoły średniej w Seattle, przychodzili uczniowie z dwóch gimnazjów, im. Benjamina Franklina i Tomasza Edisona. Absolwenci tych szkół miesza­li się, ale nie stapiali. Powstawała dwuwarstwowa społeczność: bogatych i biednych, intelektualistów i głupków, dziewic i dziwek, skaza­nych na sukces i przegranych z góry.

Żadna linia kolejowa nie oddzielała okolicy, której nastolatki uczęsz­czały do Franklina, od tej, która wysyłała swoje dzieci do Edisona, ale różnica była wyraźna. Absolwenci gimnazjum Edisona mieszkali po nie­właściwej stronie tej fikcyjnej granicy.

Podział pomiędzy uczniami był w głównej mierze środowiskowy. Grupy te dzieliły warunki życia, nie zaś geny. Rodzice uczniów Frankli­na byli nauczycielami akademickimi, prawnikami, lekarzami, bankiera­mi, absolwentami wyższych uczelni. Wychowywali swoje dzieci, wie­rząc w ich zdolności i przygotowując je do odniesienia sukcesu. Chwalili je i nagradzali za osiągnięcia. Stwarzali im warunki sprzyjające rozwija­niu talentów, intelektu i kreatywności, pozwalając w ten sposób dzie­ciom uświadomić sobie własne możliwości.

Rodzice uczniów Edisona wcale nie byli mniej inteligentni od rodzi­ców dzieci z Franklina, ale mieli inny cel: zarobić dość pieniędzy na czynsz, jedzenie i ubrania. Pracowali ciężko, żeby przeżyć, ledwo wią­zali koniec z końcem. Zależało im tylko na tym, aby ich dzieci skończyły



szkołę średnią bez aresztowania, ciąży, uzależnienia od narkotyków lub śmierci. Ich jedyną nadzieją było to, że dziecko dotrwa, względnie nie-naruszone, do osiemnastego roku życia, kiedy osiągnie dojrzałość i zacznie radzić sobie samo.

Uczniowie Franklina nie mieli uprzedzeń wobec uczniów Edisona. Po prostu byli realistami. Podobieństwa się przyciągają. Wszyscy czuli się lepiej - a nastolatki lubią wygodę - w towarzystwie sobie podobnych.

Ale zdarzały się przejścia z grupy do grupy. Akademickie dziecko, buntujące się przeciw nastawionym na sukces rodzicom, szukało i znajdowało przyjaciół wśród pijących piwo i jeżdżących na motocyklach członków gangów z Edisona. Od czasu do czasu poważny, myślący, mający naukowe ambicje uczeń z Edisona pojawiał się na wyższych kursach. W grupie absolwentów Franklina spotykał się z miłym przyjęciem. Traktowano go jako ciekawostkę, ale i pokrewną duszę.

Jeśli wszystkim zainteresowanym przyświecał jeden cel, to przejścia takie tolerowano, a nawet przyjmowano z entuzjazmem. Zastryk nowej krwi sprawiał, że w grupie robiło się ciekawiej. Czasami wynikał z tego nawet nowy romans.

W tym wyraźnie dwuwarstwowym systemie James Stevenson znajdował się na ziemi niczyjej. Skończył Edisona, ale ponieważ wyśmienił, zdał egzamin kwalifikacyjny, skierowano go na wyższe kursy. Na zajęcia te chodzili prawie wyłącznie najlepsi absolwenci Franklina. Jamesowi nie przyświecały te same cele, co im, ale na sprawdzianach radził sobie równie dobrze, jak oni, a nawet lepiej. Dorównywał inteligencją dzieciom wykształconych rodziców, dzieciom z uprzywilejowanego środowiska.

Dorównywał Leslie Adams i jej kolegom.

Grupa Leslie natychmiast zaakceptowała Jamesa, ale wcale nie było jasne, czy on chce w niej być. James wyglądał inaczej: nosił stare wypłowiałe dzinsy, poprzecierane koszule i czarną skórzaną kurtkę.

James palił. I pił. I kłął. I jeździł na motocyklu. Krążyły nawet plotki, że ma dziewczynę, czternastolatkę wciąż uczącą się u Edisona, z którą sypia!

- To kryminalista - syczały koleżanki Leslie.

- Raczej nie - odpowiadali chłopcy z jej grupy. - James był najlepszy na ostatnim egzaminie z matmy i zgłosił swój udział w zbiórce butelek na rzecz sparaliżowanych.

W jakimś stopniu kryminalista. Ale brakowało dowodów na to, że James kiedykolwiek złamał prawo - prawdziwe prawo. Palił, pił i może

nawet uprawiał seks z nieletnią, ale nie kradł dekli ani sprzętu grającego. Chyba też nie był zamieszany w serię kradzieży maszyn do pisania ze szkolnej pracowni na trzecim piętrze.

W pewnym stopniu dobroczyńca. James włączał się w altruistyczne akcje absolwentów Franklina. Razem z nimi pracował społecznie. Razem z nimi zbierał pieniądze - myjąc samochody i sprzedając butelki - dla biednych i pokrzywdzonych. Pomagał w nauce innym uczniom, pracował w szpitalach i domach opieki.

James, jak chyba nikt dotąd, należał do obu grup, chociaż przez trzy lata nauki nie zaangażował się całkowicie po żadnej stronie. Mimo tej podzielnej przynależności grupy nie starały się go usunąć.

Koledzy Jamesa z gimnazjum Edisona przyjaźnili się z nim od podstawówki. Większość знаła go od dnia, gdy w wieku pięciu lat zmienił swoje imię z Jimmy na James. Od tej pory zawsze nazywano go Jamesem. Bardzo mu na tym zależało. Gdy chłopcy trochę podrośli, zorganizowali Gang Jamesa. Cieszyli się po cichu, że James, jeden z nich, wszedł do najbardziej elitarnej grupy z Franklina.

Chłopcy z Franklina, których James poznał na zajęciach, byli nim zaintrygowani. Oczywiście imponowała im jego inteligencja - był to najważniejszy czynnik - ale podziwiali też jego niezależność, brak strachu przed jakąkolwiek władzą, nonszalancję objawiającą się piciem i paleniem. Oraz jego seksualne sukcesy. Chłopcy weszli w wiek eksperymentowania, sprawdzania, jak do jakich granic można nagiąć zasady, by nie wpaść w kłopoty.

James nie przejmował się zasadami i był najlepszy na egzaminach z matematyki.

James chyba nie przejmował się niczym.

W przeciwieństwie do chłopców, którzy akceptowali Jamesa na jego warunkach, dziewczęta, z wyjątkiem Leslie, odrzucały go.

- Jest grubiański - mówiły koleżanki Leslie, marszcząc nosy. - I dziwnie wygląda. Na jego widok przeszywa mnie dreszcz!

- Moim zdaniem, jest interesujący - powiedziała powoli Leslie.

- Ty chyba żartujesz! - chichotały.

- Nie, naprawdę uważam, że jest interesujący.

Leslie uważała również, że James jest bardzo przystojny, ale nie śmiała tego powiedzieć koleżankom. To zresztą kwestia gustu. James nie był przystojny w potocznym rozumieniu. Nie miał w sobie nic arystokratycznego. Żadnych cech przynależności do lepszej, uprzywilejowanej klasy.

Przypominał Leslie kuguara. Jego ciemnozielone, szeroko rozstawione oczy patrzyły chłodno i taksująco. Wysokie kości policzkowe wyraźnie

rysowały się nad wgłębieniami policzków. Usta wąskie, zwykle bez konkretnego wyrazu, czasem wyginały się w półuśmiechu. Nieodłączny papieros zwisał nonszalancko i erotycznie, poruszając się przy mówieniu, jakby był częścią Jamesa.

Kuguar. Dziki. Wolny. Nieswojony. Niedający się oswoić.

Gęste, czarne włosy opadały na zielone oczy Jamesa, wiły się zmysłowo nad uszami i na karku.

Z początku James peszył Leslie. Jego zielone oczy z długimi, czarnymi rzęsami spokojnie ją obserwowały, mrużąc się lekko, gdy podrażnił je dym z papierosa. James nigdy nie wyglądał sympatycznie, jak pozostali chłopcy. Oni zawsze się uśmiechali, puszczała oczka i flirtowali, próbowali wyglądać seksownie i prowokująco. James nie starał się wyglądać seksownie.

Nie musiał się starać. Po prostu tak wyglądał.

Po jakimś czasie zaczął się do niej odzywać. Właściwie nie były to rozmowy, lecz tylko krótkie, niespodziewane wymiany zdań. James zwykle przekazywał jej jakąś wiadomość, ale nigdy nie robił tego wprost.

- The Macho Men grają na sobotniej potańcówce - mówił James. Było to ogłoszenie, nie zaproszenie, ale Leslie dowiadywała się, że James tam będzie. Czy chce, żeby i ona przyszła? Tego nie wiedziała.

Szła ze znajomymi, a on tam był, krążył od Gangu Jamesa do grupy z Franklina, spoglądając na nią kątem oka. Nie tańczył. Dopiero na końcu. Ostatni taniec. Wtedy ją prosił. Wolny taniec.

- „Rosemaiden”? - szepnął pewnego dnia, mijając ją w korytarzu. Była to nagroda, wręczana przez uczennice koleżance uznawanej za „najbardziej inspirującą”. Nagroda była doroczna. Leslie zdobywała ją przez wszystkie trzy lata nauki. Było to bezprecedensowe osiągnięcie.

- Tak - przytaknęła słabym głosem. Mówiła właściwie do jego pleców, bo James już ją minął i szedł dalej korytarzem.

Był całkowicie nieprzewidywalny. Wpadał na niektóre prywatki grupy z Franklina, na inne nie. Przychodził późno i wychodził wcześniej. Zawsze przychodził i wychodził sam. Na przyjęciach rozmawiał i żartował z chłopakami, a koleżankom Leslie dokuczał. Wiedział, że go nie lubiły.

James zawsze odzywał się do Leslie. Nigdy jej nie dokuczał. Czasami się z nią drażnił, ale nigdy nie dokuczał.

Przez dwa pierwsze lata nauki Leslie spotykała się z czterema chłopakami ze swojej grupy. Te nudne, niepewne, głupiutkie związki nie miały nic wspólnego z miłością ani seksem, były po prostu niewinnymi próbami doświadczenia.

I przez dwa pierwsze lata nauki Leslie zatańczyła dziesięć wolnych tańców z Jamesem, spędziła jedną część meczu futbolowego, stojąc obok niego - bo do niej podszedł - nie mówiąc ani słowa, myła z nim samochody w czasie akcji dobroczynnej, widywała go codziennie w szkole i jeśli zliczyć wszystko, rozmawiała z nim jakieś dwie godziny.

Ale myślała o nim nieustannie. Zawsze czuła jego obecność. Uczucie to budziło w niej niepokój i niepewność. A także jakieś niejasne pragnienie.

Pewnego sierpniowego dnia ostatniego roku szkoły James dogonił japo lekcjach. Było piątkowe popołudnie.

- Dużo polowałaś z łukiem i strzałami? - zapytał.
- Nie! - Ale zaciekawiona, nie chcąc, by była to kolejna niedokończona, niejasna wymiana słów, zapytała: - Dlaczego?
- Doskonała pogoda. Jutro jadę.
- Och.
- Ty też chcesz?
- Tak - szepnęła Leslie, nie wiedząc do końca, o co pytał i na co się zgodziła.
- Wpadnę po ciebie o dziewiątej rano. Wiem, gdzie mieszkasz. Randka? Z Jamesem? Polowanie z łukiem i strzałami?

Leslie czekała na przybycie Jamesa z rodzicami. Stali w pełnym niepokojem milczeniu, każde z nich zaprzątnięte własnymi obawami. Matthew Adams był przeciwny polowaniu dla sportu. Koniec, kropka. Bez dyskusji.

Wytrawne dziennikarskie oczy i uszy Susan Adams sporo już wydedukowały na temat tajemniczego Jamesa. W ciągu ostatnich dwóch lat Susan słyszała słowa takie jak „dziki”, „łobuz”, „przerażający” i „niecywilizowany”, wypowiedziane z pogardą przez koleżanki Leslie. Słyszała również ciche protesty córki. Susan i Leslie były najlepszymi przyjaciółkami. Ich przyjaźń przetrwała nawet okres buntu nastolatki.

Leslie nie opowiadała Susan o Jamesie. Nie mówiła jej przecież wszystkiego. Susan odgadła, że Leslie jest zaintrygowana Jamesem, ponieważ różni się od innych chłopców. Doszła do wniosku, że Leslie nie może o tym mówić, bo sama nie rozumie, co się z nią dzieje.

Susan czekała. Odrobinę zaniepokojona. Ale głównie zaciekawiona.

Leslie również czekała, z bijącym sercem, z uczuciem suchości w ustach, ćwicząc w myślach rozmowę, planując tematy. Nie miała wielkiego wyboru. Nie będą dużo rozmawiać, bo James nie rozmawia.

Wszystko, co przychodziło jej na myśl, szybko sprowadziłyby się do monologów na tematy, które na pewno nie zainteresują Jamesa. Albo to, albo milczenie.

Może wcale nie przyjedzie.

Za pięć dziewiąta usłyszeli Jamesa. Jego przybycie zwiastował ryk motocykla.

Matthew Adams westchnął z ulgą. Jego początkowe obawy się rozwiały, ale natychmiast zastąpiły je nowe, o wiele poważniejsze. James i jego córka nie pojedą na prawdziwe polowanie. Chociaż Matthew zauważył drewniany łuk z luźną cięciwą, starannie przywiązany do motocykla, wiedział, że wyprawa nie będzie poważna. Myśliwi jeździli dużymi samochodami, furgonetkami, nawet półciężarówkami. Dużymi, żeby zmieścić się w nich łup. Myśliwi nie jeździli na polowanie na motocyklu, z łukiem i strzałami.

Motocykl... Nowe zmartwienie natychmiast zaćmiło początkowe obawy. Matthew nie życzył sobie, żeby jego jedynaczka jeździła motocyklem. To nawet nie była zasada. Nigdy o tym nie rozmawiali. Nie było potrzeby. Żaden z przyjaciół Leslie nie miał motocykla. To nie było w ich stylu.

Susan i Matthew szcycili się tym, że są liberalnymi, rozsądnymi rodzicami. Ich związek z Leslie był bardzo ścisły a zarazem otwarty. W chwili, gdy przed dom zajechał James, oboje uświadomili sobie, że do tej pory rodzicielstwo było łatwe. Leslie nie miała żadnych wymagań. Nie zakochała się, nie chciała się z nikim kochać, nie chciała spędzać nocy poza domem, nie chciała pić alkoholu ani zażywać narkotyków. Leslie nie miała ochoty na nic, co mogłoby ich choć trochę zaniepokoić.

Susan i Matthew zastanawiali się nad tym już wcześniej. Mówili o tym, jak postąpią oni, dobrze wykształceni, inteligentni, rozsądni rodzice, gdy ich córka zacznie badać, eksperymentować i kwestionować. Nocą, leżąc w łóżku, spokojnie rozmawiali o tym, co by zrobili. Omawiali punkt po punkcie.

- A jeśli będzie chciała spróbować marihuany? Albo LSD?
- Porozmawiamy z nią. Jeśli się naprawdę uprze, nalegajmy, żeby zrobiła to w domu, wtedy będzie bezpieczna.
- A jeśli jej się to spodoba?
- Leslie nie ma skłonności do uzależnień - rzekł zdecydowanie Matthew.
- A seks? Wiele nastolatków uprawia seks. To prawie normalne.
- Nie w grupie Leslie.

- A jednak...

- Gdyby chciała, a nie będzie chciała, porozmawiamy z nią o miłości i seksie. Jeśli się uprze, dopilnujemy, żeby wiedziała, jak nie zająć w ciążę.

- Już wie.

- A jeśli będzie chciała z kimś zamieszkać?

- W szkole średniej?

- Kiedyś.

- W swoim czasie może to być dobry pomysł. Ale to nastąpi dopiero za kilka lat.

Wszystko było bardzo proste, gdy rozmawiali w swojej sypialni, a ich niewinna córka spała słodko dwa pokoje dalej. Zachowamy rozsądek, postanowili, mając pewność, że dadzą Leslie wolność, której będzie potrzebowała. Wtedy, gdy będzie jej potrzebowała.

Ale teraz, patrząc na motocykl Jamesa, oboje ogarnęły irracjonalne obawy. Rok wcześniej Susan napisała reportaż do magazynu największej gazety Seattle o niebezpieczeństwach związanych z jazdą na motocyklu. Susan dowiadywała się o kaski i poznawała szczegóły straszliwych, nie zawsze śmiertelnych wypadków...

- Mamo. Tato - powiedziała poważnie Leslie, patrząc na rodziców, zaskakując ich i siebie. '

- Może pojedziecie moim samochodem? - zaproponował Matthew.

- Nie - stwierdziła Leslie, patrząc na drzwi. Chciała wybiec na zakręt, ale zauważyła, że James już idzie w stronę domu. - Proszę!

Było to „proszę”, które zmusiło Matthewa i Susan do spojrzenia z szerokiej perspektywy, do dostrzeżenia dorastającej córki, która podejmuje konieczne ryzyko dorastania, choć się przy tym nie buntuje. Rodzice wymienili spojrzenia i bezradnie wzduszyli ramionami.

Zadzwoił dzwonek. Leslie otworzyła.

- Cześć, James - powiedziała.

- Cześć - odrzekł, patrząc na jej rodziców, czekając, aż okażą mu swoją dezaprobatę.

- James, to moi rodzice.

- Doktorze Adams - powiedział James, wyciągając szorstką dłoń do Matthewa.

Skąd wiedział, żeby nazwać go doktorem? Matthew miał doktorat z literatury angielskiej.

- Pani Adams - rzekł, kłaniając się, ale nie podając ręki.

Za pół roku Susan zrobi doktorat z dziennikarstwa. Wtedy wszyscy będą się do niej zwracać per „doktor Adams”. Leslie zastanawiała się,

czy James jakoś się o tym dowie, tak jak dowiedział się o stopniu naukowym jej ojca.

Matthew zaniemówił. Prawdziwie liberalny, intelektualny rodzic powiedziałyby: „Świetny dzień na polowanie” albo „Ładny motocykl”, albo „Zyczę miłego weekendu”. Ale Matthew mógłby powiedzieć tylko: „Nie ma mowy. Nie z moją córką”.

Susan zaniemówiła z innego powodu. Natychmiast zobaczyła, poczuła, dlaczego jej córka nie rozmawia o Jamesie. Od razu zrozumiała, że Leslie nie jest nim tylko zaintrygowana. To było coś o wiele silniejszego, niebezpieczniejszego.

- Mamy śliczny, jesienny dzień - wykrztusiła w końcu Susan.

James zmarszczył brwi, przyglądając się Leslie w lekkiej wiatrówce, szkolnej bluzie i swetrze w serek. Przynajmniej włożyła dzinsy.

- Masz cieplejszą kurtkę, Leslie? - zapytał.

- Narciarską.

- Będzie lepsza.

- Dobrze.

Cała rodzina odwróciła się do szafy, na szczęście stojącej obok, żeby wyjąć kurtkę Leslie. Susan zaśmiała się, rozładowując trochę napięcie.

James stał nieruchomo, uśmiechał się niezręcznie i zastanawiał się nad reakcją rodziców Leslie. Lekka dezaprobata, szczególnie ze strony ojca, ale głównie troska o cenną córkę.

Wiem, że jest cenna, pomyślał James. Myślicie, że nie wiem? Nie wiecie, że będę na nią bardzo uważał?

James zastanawiał się przez chwilę, czy ma im to powiedzieć, zapewnić ich. Postanowił tego nie robić. Czuł się trochę urażony, że tego nie wiedzieli.

- Bawcie się dobrze - mruknęła odruchowo Susan, gdy wychodzili.

- O rany - powiedział Matthew, patrząc, jak wsiadają na motocykl.

- Zostaniemy poddani próbie? - zapytała Susan.

- Mam nadzieję, że nie. Leslie nie może się nim naprawdę interesować - rzekł zdecydowanie Matthew.

- Ty też tego nie widzisz - rzekła cicho Susan. Matthew tego nie dostrzegął. Ani przyjaciółki Leslie.

- Czego?

- Tego, co jest w Jamesie.

- Nie ma w nim nic!

- Och, nie, kochanie. Jest wszystko - powiedziała, patrząc, jak James podaje Leslie kask.

- Włóż go - powiedział James.

- Dobrze - odparła, próbując sobie przypomnieć obowiązujące przepisy dotyczące noszenia kasków. Przepisy zmieniały się z roku na rok. Była to kwestia praw jednostki. Jednostka powinna mieć prawo do poważnego urazu głowy, jeśli ma ochotę. Od czasu do czasu jednak interweniowało państwo. To państwo musiało płacić za długotrwałą - większość ofiar to zdrowe nastolatki - hospitalizację i opiekę. Wszystko to było w artykule Susan. Leslie zauważyła, że James też ma kask.

Pewnie takie są przepisy.

Wsiadł. Usadowiła się za nim, gdy pokazał jej, gdzie oprzeć stopy.

- Gotowa? - zapytał.

Ale ona nie była gotowa. Ręce trzymała przy bokach.

- Trzymaj się, Leslie.

Leslie rozejrzała się wokoło.

- Gdzie? - zapytała w końcu.

- Złap mnie w pasie i trzymaj mocno. Pojedziemy drogą szybkiego ruchu. Musisz się trzymać. Dobrze?

Leslie kiwnęła głową i ostrożnie objęła go w talii. Gdy ruszyli, chwyciła mocniej. Musiała. W końcu musiała się przycisnąć do jego pleców.

Z twarzą smaganą wiatrem, przytulona do ciepłych, silnych pleców Jamesa, przypomniała sobie przeciwiczony dialog i planowane tematy. Uśmiechnęła się. Nie można było rozmawiać w ryku motocykla i wiatru. Na światłach przed wjazdem na drogę szybkiego ruchu zamienili kilka słów.

- Wszystko w porządku? - zapytał James, przekrzykując warkot silnika.

- Tak.

- Zimno?

- Nie.

- W razie czego mów.

- Dobrze - odparła. Jak? Powinna mu powiedzieć, że bardzo jej się podoba ta wyprawa. Że jest jej wesoło. Że cieszy ją rześkie, jesienne powietrze. Dotykanie go. Powinna powiedzieć, że jest zachwycona.

Ale nie powiedziała. Dostali się na drogę międzystanową i przez godzinę jechali w milczeniu.

Skierowali się na wschód, przez most nad jeziorem Waszyngtona i przez wyspę Mercer za jeziorem Sammamish. Nad jeziorem sceneria zmieniła się z miejskiej i podmiejskiej w typowo wiejską. Mijali teraz farmy, hektary zielonej trawy otaczające czerwone i białe domy, wokół których roilo się od krów, koni, psów i traktorów.

Gdy minęli wioskę Issaquah z domkami w szwajcarskim stylu stojącymi rzędem przy jedynej ulicy, krajobraz znów się zmienił. Wjechali



między zalesione wzgórza Gór Kaskadowych. Wspinali się coraz wyżej, zostawiając za sobą cywilizację, mając po obu stronach gęsty las i strzeliste górskie szczyty.

W Snoqualmie opuścili drogę numer 90, potem jakiś czas podskakiwali na bardzo wyboistych, wiejskich traktach aż wreszcie skręcili w piaszczystą drogę, zastawioną szlabanem i dużą tablicą z napisem: „Zakaz wjazdu”. James bez wahania objechał szlaban wąską ścieżką. Droga prowadziła głęboko w las. Po półtora kilometra zatrzymał się i wyłączył silnik. Zsiadł z motocykla. James wziął drewniany łuk oraz kołczan ze strzałami.

Leslie patrzyła w milczeniu, jak mocno napina łuk i umieszcza w nim strzałę.

- Chcesz poćwiczyć? - zapytał. - Tamto drzewo to dobry cel.  
- Byłeś tu już kiedyś? - zapytała Leslie. Oczywiście, że już tu był. Nie objeżdża się tak po prostu tablicy „Zakaz wjazdu”, jeśli nie zna się dobrze okolicy. Nie zrobiłby tego nawet James.

- Jasne. To - pokazał szerokim gestem - teren należący do firmy. Tutaj spędzam każde lato. Wycinka.

James zawsze zniknął na całe lato, żeby pracować. Dotąd Leslie nie wiedziała, co robi. Wycinał drzewa. Dla największej kompanii leśnej stanu Waszyngton. To doskonała praca dla Jamesa, pomyślała Leslie. Na powietrzu. Żadnych ograniczeń. Męska robota.

- Och.
- Strzelałaś kiedyś z łuku?
- Nie.
- Pokażę ci.

Leslie patrzyła, jak James wypuszcza strzałę za strzałą. Wszystkie trafiały w pień ogromnej sosny w odległości kilku centymetrów od siebie. Strzelał pozornie bez wysiłku. Ruch był płynny, prawie bezszelestny. Słysząc było tylko świst strzały wypuszczanej z łuku i cichy stuk grotu trafiającego w cel. To było piękne. Prymitywne. Naturalne.

- Chcesz spróbować? - zapytał w końcu.
- Tak!

Leslie podeszła z Jamesem bliżej drzewa.

- Zaczynj stąd - powiedział, podając jej łuk i strzałę.

Leslie niezdarnie zaczepiła strzałę o cięciwę i próbowała ją ustawić przy skórzanym pasku, owijającym środkową część łuku. Próbowała naśladować ruchy Jamesa, ale bez powodzenia. Strzała się chwiała. Leslie pociągnęła cięciwę, napotykając zaskakujący opór.

Po kilku chwilach spojrzała na Jamesa i zaczęła się śmiać.

- Dość! To bardzo trudne!
- Trzeba wprawy.
- I siły. I koordynacji. Gdy ty strzelałeś, wydawało mi się to łatwe.
- Spróbujmy razem - powiedział James. Stanął obok niej i objął ją ramionami. Lewą ręką chwycił jej dłoń i przytrzymał łuk. Prawą uspokoił strzałę i pociągnął cięciwę.

Leslie czuła jego siłę i bliskość, gdy pokazał jej płynny ruch, gdy strzelił razem z nią.

Strzała trafiła w pień, wbiła się między poprzednie strzały. James puścił Leslie i podszedł do drzewa.

Wyjął z pnia wszystkie strzały, włożył je do kołczana i spojrzał poważnie na Leslie, jakby chciał jej coś powiedzieć.

Chwila upłynęła w ciszy.

- Chodźmy - rzekł wreszcie. - Poszukajmy jelenia.

- James...

- Co?

- Czyja mogę strzelać? - W kwestii polowania Leslie podzielała zdanie ojca. Jeleń będzie bezpieczny, jeśli ona będzie niosła łuk i strzały.

- Jasne - powiedział z półśmiechem. I dodał zdecydowanie: - Ale ja też nie zabijam zwierząt dla sportu.

- To co będziemy robić?

- Polować. Myślałem, że jako córka wykładowcy literatury angielskiej rozumiesz znaczenie tego słowa. - James przerwał. Potem dodał: - Oznacza ono szukanie lub znajdowanie. Nie zabijanie.

- Jak polowanie na pisanki? - drażniła go Leslie, czując ogromną ulgę.

- Uhm - mruknął, ale się nie zaśmiał. Odwrócił się i ruszył ścieżką między drzewami. - Chodźmy.

Leslie poszła za nim bez słowa. Nagle zachichotała. James się odwrócił.

- Co?

- Nigdy nie polowałam na pisanki z łukiem i strzałami.

- Słodkie.

- Dziękuję. Więc?

- Lubię strzelać do pni, gdy poluję na jelenie. Jasne? - W głosie Jamesa po raz pierwszy usłyszała rozdrażnienie. Do tej pory droczył się z nią przyjaźnie i naturalnie.

Leslie natychmiast umilkła. Idąc za nim przez gęste poszycie, uświadomiła sobie, że zaczęła z nim żartować, jakby go dobrze знаła. Może nawet chciałaby objąć go w talii, jakby był jednym z jej szkolnych kolegów.

Ale była przecież z Jamesem. Gdy tak szli, jedno za drugim, w milczeniu, Leslie zastanawiała się, czy go przypadkiem nie rozgniewała. Czy tylko pomyślał, że jest głupia.

Oczywiście, że uważa mnie za głupią, myślała ponuro Leslie. Jestem głupia i trywialna. Zaczęła gorączkowo szukać w myślach tematów do rozmowy, ale nie znalazła żadnego.

Wąska ścieżka prowadziła do rozległej polany. Gdy się tam zbliżali, James zwolnił, odwrócił się do Leslie, kładąc palec na ustach. Leslie skinęła głową.

James pierwszy dostrzegł jelenie i dał znak Leslie. Nie zauważyła zwierząt od razu. Kryły się w zielono-brązowym poszyciu. Gdy wreszcie je dostrzegła, odróżniła od tła, omal nie krzyknęła z zachwytu.

Były takie piękne. Wolne. Trzy jelenie - dwa dorosłe i jeden młody - spokojnie skubały trawę, nie przeszkadzając sobie, nieświadome niczego, dopóki nie poczuły zapachu intruzów.

Dorosłe jelenie jednocześnie spojrzały w górę, wietrząc niebezpieczeństwo.

Leslie chciała je uspokoić: „Nie zrobimy wam krzywdy!” Przez chwilę zwierzęta i ludzie patrzyli na siebie, w bezruchu. Potem, jak w zwolnionym tempie, jelenie weszły w las, znikając w brunatno-zielonym labiryncie.

- Są takie piękne! Mają tyle wdzięku. I elegancji. Lubię polowanie na jelenie - stwierdziła Leslie. I pomyślała od razu: „Ależ głupia uwaga”.

- Jest wspaniale, nawet jeśli nie spotka się żadnego jelenia - powiedział James, usiadł na zwalonym pniu drzewa, odłożył łuk ze strzałami i zapalił papierosa.

- Tak - zgodziła się Leslie, głęboko wdychając jesienne powietrze. Spojrzała w górę, na piękny zarys koron drzew i bladoniebieskie niebo. Po kilku chwilach zapach sosen zmieszał się z zapachem dymu papierosowego.

- Czy to ma dobry smak? - zapytała Leslie.

- To coś więcej niż smak. To ciepło. Zwłaszcza tutaj. Tak, jakby paliło się w tobie własne ognisko.

- Przyznaję, że ten zapach mi się podoba. Bardziej tutaj niż w mieście. - Spojrzała na papieros, zwisający nonszalancko z kącika wąskich ust Jamesa. Lekko przmrużył zielone oczy. Widziała, jak jej koledzy próbowali palić w seksowny sposób, wdychając przez nos już wydmuchany dym, robiąc z niego kóleczka, nonszalancko trzymając papierosa w ustach, ćwicząc przed lustrem. Większości z nich nie udało się wyglądać seksownie, mimo usilnych starań.

Leslie była przekonana, że James nigdy nie ćwiczył palenia przed lustrem. Jego związek z papierosem był naturalny. I seksowny.

- Nigdy nie próbowałaś palić? - zapytał.

Potrząsnęła głową. Głupiutka, grzeczna dziewczynka.

- Chcesz?

- Jasne - odparła odważnie.

James wyjął papierosa z ust i podał go jej.

- Łatwiej, gdy jest już zapalony - wyjaśnił. - Wdychaj. Powoli i nie za głęboko.

Poczuła ciepło - było przyjemne - i nieznosne drapanie w gardle. A potem lekkie oszołomienie.

- Och. Och. No, no.

- Kręci ci się w głowie?

- Tak. Już mija. To było przyjemne. Dlaczego tak się dzieje?

- Twój mózg został pozbawiony tlenu.

- Nie!

- Nie. To chyba działanie nikotyny.

- Przyjemne. Dlatego właśnie palisz? - zapytała Leslie, postanawiając zaciągnąć się po raz drugi papierosem, którego zupełnie nieseksownie trzymała w dłoni.

- Nie. Już nawet tego nie czuję. Palę, bo palę. Chcesz go wypalić do końca?

- Uhm.

- Świetnie - powiedział James, zapalając nowego papierosa. - Dzięki temu twoi rodzice jeszcze bardziej mnie polubią.

- Lubią cię!

- Jasne. Tak samo, jak twoje koleżanki.

Chyba jednak bardziej, pomyślała Leslie. Złościło ją, że koleżanki nie próbowały nawet kryć pogardy. Miała nadzieję, że James tego nie zauważał, ale oczywiście zauważał i to ją martwiło.

- Po prostu cię nie rozumieją - powiedziała w końcu słabym głosem Leslie. Zastanawiała się, czy nie dodać: „Oczywiście ja też cię nie rozumiem”. Ale nie chciała go traktować z góry.

- Rozumieją, że nie należę do ich wyjątkowej, elitarnej grupy.

- Ależ należysz!

- Jako ciekawostka. Pasuję pod jednym, najważniejszym względem. Świetnie zdają egzaminy.

- Najlepiej - szepnęła Leslie. - Jesteś bardzo inteligentny.

- Na świecie jest wielu bardzo inteligentnych ludzi, którzy źle wypadają na sprawdzianach. I wielu ludzi, których inteligencji nie są w stanie

zbadać żadne egzaminy. Ale dla twoich kumpli stopnie są głównym kryterium, jedynym miernikiem wartości i sukcesu.

Leslie patrzyła na dym unoszący się z jej papierosa. Po drugim i trzecim zaciągnięciu poczuła takie samo oszołomienie. Miała lekkie zawroty głowy. A może kręci mi się w głowie, bo jestem z Jamesem? - zastanawiała się, słuchając go, mówiącego drugimi, złożonymi zdaniami, a nie krótkimi, jak w szkole. Który z nich jest prawdziwym Jamesem? - myślała. James, nieustraszony przywódca Gangu Jamesa? Czy James, oporny, lecz pełnoprawny członek jej grupy? Czy którykolwiek z nich jest prawdziwy?

- To nie jest jedyny miernik wartości i sukcesu - zaprotestowała w końcu bez przekonania, wiedząc, że jest to podstawowy wymóg. Wszystkie inne osiągnięcia, a przyjaciele mogli się poszczycić wieloma, były jedynie dodatkiem do sukcesów w nauce.

- Powiedzmy, że brak nam jedzenia, w lesie są jelenie, a my mamy tylko łuki i strzały...

- James, ja wcale nie uważam, że sukcesy w nauce są miarą wartości!

- Wiem. Emocjonalnie może trochę, racjonalnie na pewno nie. Ale twoi przyjaciele tak uważają.

- Są również twoimi przyjaciółmi. Przynajmniej chłopcy. Zazdroszczą ci. Podziwiają cię. Nie rozumieją, jak możesz dostawać takie dobre stopnie, skoro się nie uczysz.

- Uczę się - odparł poważnie James, myśląc o tym, jak się uczył albo próbował to robić, po szkole, przed kolacją. Przed powrotem ojca do domu. Przed rozpoczęciem picia i kłótni. Wtedy James nie mógł się już uczyć. Wychodził. Czasami szedł do biblioteki uniwersyteckiej, żeby poczytać w ciszy. Czasami krzyki rodziców tak bardzo wytrącały go z równowagi, że wcale nie mógł się uczyć. Wtedy szedł na imprezę albo spotykał się z jakąś dziewczyną. Albo jeździł na motocyklu, sto dwadzieścia kilometrów na godzinę.

James uczył się, gdy tylko mógł. To tłumaczyło jego późne przyjscia na imprezy. Wszyscy sądzili, że James był gdzieś wcześniej z innymi kolegami, ze swoim gangiem, ale on zwykle się uczył. Albo był z dziewczyną. Albo sam.

James czuł, że Leslie przygląda mu się badawczo. Spojrzał na nią swoimi oczami kuguara i powiedział:

- Tak czy inaczej, twoje koleżanki to hipokrytki. Gadają o słodyczy, świetle i dobroci, a nie potrafią zaakceptować nikogo, kto jest choć trochę inny. Starają się oddzielić mnie od ciebie.

Starają się oddzielić mnie od ciebie. Jego słowa odbijały się echem w jej oszołomionej głowie i sprawiały, że serce zaczynało bić szybciej.

- Coooo?

- Kiedy do ciebie podchodzę, natychmiast się zbiegają. Czuję się jak „Titanic”, wpływający między góry lodowe.

Leslie zachichotała.

- Dobrze. Byłyby zachwycone, że ktoś nazwał je górami lodowymi. Ale ty jesteś niezatapialny, prawda? - zapytała, wewnątrz wściekła na swoje koleżanki.

- Nie - powiedział James, wstając. - Chodźmy dalej. Półtora kilometra za polaną, jest bardzo ładny widok na góry. Daj swój niedopałek.

Leslie podała Jamesowi zgnieciony niedopałek papierosa. Wziął go i razem ze swoim schował do kieszeni, żeby go później wyrzucić, ale nie tutaj.

- Miś Smokey to mój kumpel - wyjaśnił potulnie James.

To miło, pomyślała Leslie. Dowiedziała się, że twardy, dziki James jest w rzeczywistości Jamesem miłym i wrażliwym. Ale to przecież zawsze wiedziała.

Przeszli trzy kilometry. James prowadził ją wąską, okoloną paprociami leśną ścieżką. Zatrzymali się raz, żeby obejrzeć tropy jeleni.

- Są dość świeże. Łania z młodymi. Pewnie szły w stronę jeziora - rzekł.

Leslie kiwnęła głową.

- Popatrz - powiedział. Zgiął palec wskazujący i środkowy i przycisnął je do ziemi, tworząc odcisk prawie identyczny ze śladami jeleni. - Odróżnisz?

Leslie przyjrzała się uważnie. Dostrzegła drobne różnice, ale gdyby patrzyła pobieżnie, prawdziwe i fałszywe tropy wyglądałyby tak samo.

- Robimy takie ślady, gdy polujemy z ludźmi, którym się wydaje, że wszystko wiedzą - powiedział James, uśmiechając się szelmowsko.

Jak moje koleżanki, pomyślała Leslie.

- Tak? Nabieracie ich celowo?

- Tak.

Miło, James.

Doszli do kolejnej polany, dużej łąki z widokiem na Góry Kaskadowe, poszarpane, zielone, brązowe, o granitowych, szczytach pokrytych śniegiem.

- O - powiedziała cicho Leslie. O. Głupie. Tu jest tak pięknie. Zbyt pięknie, żeby określić to słowami.

Zobaczyła, że James zapala papierosa, więc wyciągnęła rękę.

- Chcesz jeszcze jednego?  
- Tak! - odpowiedziała, patrząc, jak wysuwa papierosa z paczki. Spojrzał na nią z powątpiewaniem. Zinterpretowała to spojrzenie jako strach przed rodzicami i powiedziała: - Moja mama cię lubi.  
- Skąd wiesz?  
- Widzę. Mój ojciec też by cię polubił, gdyby cię poznał.  
- Nie, jeśli zrobię z jego córki nałogową palaczkę.  
- Ty jesteś nałogowym palaczem.  
- Wiem. To straszny nałóg - powiedział lekko. - Tak czy inaczej, nie jesteś typem palaczki.

James przytrzymał zapalną dla Leslie, która zaciągnęła się tak jak on, gdy zapalał papierosa. Natychmiast zakasłała, poczuła ciepło i zawroty głowy. Nagle przybyło jej odwagi.

- Twoja dziewczyna pali?  
- Moja dziewczyna? - zaskoczenie Jamesa było szczere. - Kogo masz na myśli?  
- Tę z drugiej klasy. Słyszałam plotki, że masz dziewczynę, która jeszcze chodzi do Edisona - powiedziała ostrożnie Leslie. Czternastoletką, z którą sypiasz.  
- Och. Nie była moją dziewczyną - rzekł. Potem dodał: - Nigdy nie miałem dziewczyny.

- Nigdy?  
- Nigdy.  
- A będziesz kiedyś miał?  
- Nie wiem, może. Jeśli tak, to nie będzie głupie przedstawienie dla publiczności. Ani gra.

Głupie. Znów to słowo.

- Nie takie, jak moje związki? I moich znajomych? O to ci chodzi? - Wiedziała, że to właśnie miał na myśli i że się nie mylił. Ale oni nie robili nic złego. Można było im zarzucić jedynie to, że chcieli się zakochać i często zmieniali partnerów, bo nie mogli znaleźć miłości. Bo brakowało magii. Bo wszyscy byli po prostu dobrymi kumplami.

Można było im zarzucić tylko głupotę. I pragnienie przeżycia czegoś więcej.

- Kto teraz jest twoim chłopakiem, Leslie? - zapytał James obojętnie.  
- Nikt - odrzekła wyzywająco i niezdarnie zaciągnęła się papierosem. Właściwie nie minęła się z prawdą. Jej związek z Davidem szybko się skończył. Nie mieli sobie nic do powiedzenia i, jak się okazało, nie pociągali się seksualnie. Ale kroilo się coś z Alanem. Był kapitanem drużyny pływackiej i oczywiście chodził na wyższe kursy.

- Uhm.

- Dlaczego nie chcesz mieć dziewczyny, James?

- To nie jest konieczne - odparł automatycznie. Nie miał kłopotu ze znalezieniem dziewcząt, gdy ich pragnął lub potrzebował. Uświadomił sobie, że zaszokował Leslie i pożałował tego. Dodał poważnie: - To nie w porządku angażować się w związek z kimś i wciągać go w swoje życie, kiedy samemu się nie wie, czego się chce.

Milczeli przez dłuższą chwilę. Leslie patrzyła na dym, powoli i elegancko unoszący się z jej papierosa. Kręciło jej się trochę w głowie, ale myślała jasno. Własne myśli ją oszałamiały.

Myślała o wszystkich swoich chłopakach. Ona wykorzystywała ich, a oni ją. Wszyscy szukali czegoś ekscytującego. Chcieli czegoś, ale sami nie dawali. Byli chciwi. Kierowały nimi wyrafinowane umysły, a nie serca. Wiedzieli, że miłość istnieje. Słyszeli o niej, czytali o niej, rozmawiali o niej i nigdy jej nie czuli.

James taki nie był. Nie zamierzał grać, bo to nie była gra.

James czuł na sobie jej wzrok. Jego chłodne, zielone oczy spojrzały w jej oczy, zdziwione i niebieskie.

- Jakie masz plany na przyszłość? - zapytała Leslie, zakłopotana, nie pamiętając, o co chciała zapytać. - Gdzie się wybierasz na studia?

- Gdzie? - zapytał. Tonem dawał do zrozumienia, że właściwe pytanie powinno brzmieć: „Czy się wybierasz na studia?” - Zgłosiłem się na Uniwersytet Waszyngtona. Dostanę się, bo mam wysoką średnią. Pójdę tam, jeśli zdecyduję się studiować. Na pewno, jeśli nadal będziemy w Wietnamie. Nie chcę iść do wojska. Mój brat jest w Wietnamie.

- Och. Nie wiedziałam.

- To nie jest dobre miejsce.

- Nie. - Nie dla kogoś, kto poluje na jelenie w taki sam sposób, jak poluje się na pisanki, pomyślała Leslie. - A jeśli nie pójdziesz na studia?

- Pewnie wrócę tutaj, na wycinkę. Może awansuję na brygadzystę. Jestem bystry, dobrze zdaję egzaminy - powiedział chytrze.

- Chcesz przez resztę życia być brygadzystą w obozie drwali? - zapytała Leslie, próbując ukryć zdenerwowanie i stłumić kołaczącą jej się w głowie myśl: „Co za strata!” Leslie próbowała stłumić tę myśl, ponieważ tego właśnie nie lubił w nich wszystkich James. Tego, że mają tylko jedną miarę wartości i sukcesu.

- Są gorsze rzeczy niż sadzenie sosen - powiedział zdecydowanie James. - To będzie powrót do Roberta Frosta.

Leslie wytrzeszczyła oczy. Sadzenie sosen. Nie ścinanie. Nie zabijanie.



- Nie rób takiej zaskoczonyj miny. Czytaliśmy Frosta na angielskim, ostatniej wiosny.
  - Rozebraliśmy *Mending Wall*. Kamień po kamieniu.
  - Poczytałem sobie więcej. Lubię Frosta - powiedział James, jakby próbował się bronić. Potem szybko zmienił temat: - Dokąd ty wybierasz się na studia?
  - Do Radcliffe, jeśli się dostanę.
  - Dostaniesz się.
  - Nie wiem. Duża konkurencja.
  - To coś dla ciebie. Napisałaś już pracę do konkursu na nagrodę Rosemaiden?
  - Jeszcze nic nie napisałam. Dopiero wszystko obmyślam. Muszę się szybko zdecydować, bo termin przysyłania zgłoszeń upływa za kilka tygodni.
  - Napiszesz o swoich planach na przyszłość?
- Leslie wzruszyła ramionami.
- Co zamierzasz robić? Będiesz wykładowcą literatury angielskiej?
- Leslie przyglądała mu się przez moment. Nikomu o tym nie mówiła. Nawet matce. Pomysł narodził się niedawno, ale zawsze wolała zajęcia naukowe od angielskiego, historii czy plastyki. Przez dwa lata była wolontariuszką w miejscowym szpitalu i bardzo jej się to podobało.
- Lekarzem - powiedziała cicho.
  - Będiesz dobrym lekarzem - rzekł natychmiast James.
  - Dzięki! - powiedziała Leslie, z ulgą, szczęśliwa, że w głosie Jamesa nie usłyszała dezaprobaty ani groźby. Dodała cicho: - Mam taką nadzieję.

## Rozdział 16

**L**eslie spodziewała się, że po polowaniu na jelenie jej układ z Jamesem ulegnie zmianie - oczekiwała silniejszej więzi, nowej bliskości - ale z upływem tygodni jesiennego semestru uświadamiała sobie, że nie zmienia się nic. Nic zauważalnego. Jediną zmianę odczuwała w sobie. Codziennie wychodziła do szkoły, pragnąc go zobaczyć, mając nadzieję chociaż na krótką wymianę zdań i marząc, że pewnego dnia stanie się coś więcej.

Leslie nie mogła zapomnieć dotyku jego ciała. Za każdym razem, gdy go widziała, wspomnienie, które wciąż przy niej było - wrażenie

stłumionego, mglistego ciepła - stawało się żywe i nagłące. Niewygodne.

Leslie zastanawiała się, czy James wie. Zastanawiała się, czy powinna mu powiedzieć.

Zastanawiała się, czy zdoła się powstrzymać od poproszenia go o kolejną przejażdżkę na motocyklu. Chciała znów objąć go ramionami, przytulić się do niego i poczuć jego siłę.

Z zakłopotaniem myślała, że naprawdę mogłaby go o to poprosić. Co będzie, jeśli nie wytrzyma? Jeśli naprawdę zaprosi go na randkę? Nie do pomyślenia. Myślała o Jamesie cały czas.

Tej jesieni Leslie i James chodzili na te same zajęcia w czytelni. Miejsce Jamesa znajdowało się za jej plecami, pięć rzędów i trzy kolumny dalej. Ale Leslie udawało się potajemnie rzucić na Jamesa okiem. Zwykle wyglądał przez okno, zamiast się uczyć. Od czasu do czasu bez większego zainteresowania przeglądał książki.

Pewnego listopadowego dnia James przez całą godzinę siedział nad kartką papieru, leżącą przed nim na stoliku. Był bardzo skupiony. Nie podnosił wzroku, nie przerywał. Leslie patrzyła, jak pracuje, jak spogląda na papier, pisze coś szybko, marszczy brwi, ściera i znów pisze. Teraz rozumiała, jak mógł uzyskiwać tak dobre wyniki, pozornie się nie ucząc. On się uczył. Uczył się intensywnie, w krótkich przeblyskach energii, w całkowitym skupieniu.

W końcu, zawstydzona, że się gapi - czego nie zauważył James, ale kilka koleżanek znacząco unosiło brwi - i tym, że James pracuje tak pilnie, Leslie zajęła się referatem na lekcję francuskiego.

Gdy dzwonek oznajmił koniec zajęć w czytelni, James i Leslie wciąż pracowali. Reszta klasy, czego można było się spodziewać, odstawiła książki na półki i włożyła kartki do segregatorów trzy minuty przed dzwonkiem. Nikt nie chciał stracić ani chwili z pięciominutowej przerwy na coś tak przyziemnego jak układanie szkolnych przyborów.

Leslie składała kartki z prawie skończonym referatem, gdy do jej stolika podszedł James.

- Proszę - powiedział. - To dla ciebie.

Podał jej papierową teczkę i wyszedł z czytelni.

Zanim Leslie otrząsnęła się z zaskoczenia, już go nie było. Tak czy inaczej nie wiedziałyby, co powiedzieć, zanim nie zobaczyłyby zawartości teczki.

Otworzyła ją drżącymi dłońmi.

James nie napisał eseju na temat znaczenia moralnej dzikości w *Szkarlatnej literze* Hawthorne'a. Ani nie rozwiązywał równania na zajęcia z matematyki dla zaawansowanych. James narysował obrazek. Dla niej.

Rysunek przedstawiał, naprawdę doskonale, łąkę, którą pokazał jej James. Każdy szczegół był dokładnie taki, jak zapamiętała: wysokie sosny, długa, pokryta rosą trawa, zwalony pień i jelenie, w dalekim krańcu łąki, wyglądające na oszołomione i zaciekawione zarazem, królewskie. James narysował wszystko ołówkiem. Dopracował szczegóły, świetnie uchwycił proporcje oraz cienie. Nawet w ołówkowej szarości udało mu się barwnie i wymownie oddać ciepło jesiennego słońca, niewyobrażalnie piękno jeleni i majestatyczne sosny.

James był artystą! Nawet swoimi niewykształconymi, zachwyconymi oczami Leslie dostrzegła jego talent.

Był uzdolnionym artystą którego dzieło doskonale oddawało cudowne wspomnienie spędzonych wspólnie chwil. James utrwalił to wspomnienie dla niej.

James chciał, żeby pamiętała.

Dłonie Leslie drżały jeszcze bardziej, gdy ostrożnie włożyła obrazek do teczki i wsunęła teczkę do segregatora. Potem pobiegła na ostatnią lekcję tego dnia.

Leslie nie usłyszała ani słowa z wykładu nauczyciela historii na temat Williama Jenningsa Bryana, chociaż udawała, że bardzo uważa. Walczyła z ogromnym pragnieniem otwarcia segregatora i spojrzenia na obrazek.

Wyglądała spokojnie i poważnie, ale w głowie kłębiły się jej myśli. Dlaczego dał jej obrazek? Czy ktoś jeszcze wie, jak on rysuje? Jak mu podziękować? Kiedy mu podziękować? Po szkole miała trening drużyny pływackiej. Nie będzie mogła nawet próbować szukać Jamesa, bo Alan, jak zawsze, przyjdzie po nią po lekcjach i odprowadzi ją na basen. Gdyby przypadkiem spotkała najpierw Jamesa, mogłaby go poprosić o podwiezienie na trening na motocyklu.

Leslie nie miała czasu spojrzeć na obrazek aż do wieczora, gdy wróciła do domu, po treningu pływackim i po tym, jak zgodziła się iść z Alanem na Bal Półroczny, ostatni bal w tym semestrze. Gdy wreszcie wyjęła rysunek Jamesa, sama w swoim pokoju, wydał się jej jeszcze piękniejszy i doskonalszy.

Leslie postanowiła pokazać go matce, swojej najlepszej przyjaciółce. Chociaż nie rozmawiała o Jamesie z Susan - bo niby o czym? - od dnia polowania na jelenie, czuła, że matka wszystko rozumie. Zresztą właściwie nie było czego rozumieć. James po prostu był. Jego obecność wydawała się nieokreślona, ale bardzo ważna dla Leslie. Susan chyba o tym wiedziała.

Susan przygotowywała właśnie masło czosnkowe.

- Mamo, popatrz - powiedziała Leslie, ostrożnie podnosząc obrazek tak, żeby matka mogła go zobaczyć, ale żeby nie poplamiał się maśłem.

Susan nic nie powiedziała, tylko szybko umyła ręce w gorącej wodzie, wytarła je i wzięła cenny rysunek, żeby mu się lepiej przyjrzeć.

- To jest świetne, Leslie. Piękna scena. Chociaż biało-czarna, czuje się w niej kolor i życie. Kto to narysował? - zapytała Susan. Wiedziała, że nie zrobiła tego Leslie, ale zastanawiała się, kto z jej przyjaciół mógł mieć tak zaskakujący talent.

- James - powiedziała cicho Leslie. - Tam właśnie byliśmy tego dnia, gdy pojechaliśmy obserwować jelenie. Widzieliśmy te trzy jelenie, które narysował.

Susan lekko zmarszczyła brwi. Pamiętała, jak szczęśliwa była Leslie po tej myśliwskiej wyprawie i jak przez następne tygodnie szczęście i ekscytacja błądły. Susan wiedziała, że James nie zadzwonił, że nie zaprosił Leslie na randkę. Rozczarowanie Leslie było boleśnie oczywiste. Oczywiste, mimo że Leslie nie rozmawiała z nią o Jamesie, chociaż dotąd mówiła o wszystkich innych chłopcach, z którymi się umawiała albo chciała się umawiać.

Teraz twarz jej córki znów promieniała.

- Dał ci rysunek przed chwilą?

- Dziś. Narysował go, albo przynajmniej kończył rysowanie w czytelnicy. Dobry, prawda? - zapytała Leslie. Zresztą nie miało to znaczenia.

- Naprawdę bardzo dobry.

- Pomyślałam, że powinno się go oprawić. Zabezpieczyć.

- Półtora kilometra od kampusu w Alei Uniwersyteckiej jest dobry ramiarz. Zawieziemy obrazek do niego. Myślę, że kremowe passe-partout i zielona ramka będą idealnie pasować - stwierdziła Susan, w przeciwieństwie do córki mająca doskonałe wyczucie koloru.

- Świetnie. Pojedziemy tam wieczorem? Jest czwartek. Może być otwarte.

- Nie możemy jeszcze oprawić rysunku. Czegoś w nim brakuje - rzekła Susan, potrząsając głową.

- Czego?

- Jego podpisu.

- Och - powiedziała cicho Leslie. - Myślisz, że podpisze?

- Oczywiście - rzekła zdecydowanie Susan. Niech podpisze, pomyślała. Niech nie igra z sercem mojej córki. Jedno spojrzenie na Jamesa sprawiło, że Susan zrozumiała Leslie. James był inny. Skomplikowany. Zmysłowy.

Susan rozumiała, ale z niepokojem myślała o swojej nieskomplikowanej i naiwnej córce.

- Oczywiście, że podpisze - powtórzyła mocnym głosem.

Następnego dnia Leslie odszukała Jamesa w czasie przerwy na lunch. Oparty o ścianę, czytał szkolną gazetkę, „Potomak”. Podczas prawie nieprzespanej nocy Leslie obmyśliła ze sto sposobów, aby podziękować mu i poprosić o podpisanie obrazka. Ale i tak zawsze mógł odmówić.

- James?

- Cześć, Leslie - rzekł, składając gazetę.

- Rysunek jest piękny! - wykrzyknęła, całkowicie zapominając o starannie dobranych słowach i wyrafinowanych podziękowaniach. Powtórzyła niezręcznie: - Piękny. Dziękuję.

- Proszę - powiedział poważnie. Zielone oczy wyglądały na zadowolone.

- Nie miałam pojęcia, że umiesz rysować - ciągnęła, gorączkowo szukając w myślach wątków, próbując odnaleźć miejsce w przeciwnym scenariuszu. Bezskutecznie.

- To moje hobby.

- Jesteś świetny.

- Leslie, nie jesteś krytykiem sztuki.

- Wiem - przyznała. Potem, ponieważ jeszcze nie myślała jasno, dodała: - Ale moja mama się zna. Pracuje z wieloma artystami reklamowymi, którzy współpracują z nią przy reportażach i...

- Pokazałaś to matce?

- Tak! - powiedziała odrobinę niepewnie Leslie. - Uważa, że rysunek jest bardzo dobry.

Oczy Leslie przez chwilę patrzyły lodowato. James to dostrzegł, uśmiechnął się i wzruszył ramionami. Lód natychmiast stopił się i zmienił w roziskrzony, niebieski blask.

- Moja matka powiedziała coś jeszcze - zaczęła, obserwując reakcję Jamesa. Wyglądał na zaciekawionego. - Powiedziała, że nie możemy oprawić rysunku, a trzeba to zrobić, dopóki go nie podpiszesz.

- Chcesz, żebym podpisał?

- Tak. Proszę - powiedziała cicho Leslie.

- Dobrze. Jasne.

Leslie wyjęła z segregatora obrazek w teczce i podała go Jamesowi. Weszli do klasy. James usiadł przy stoliku. W dolnym prawym rogu rysunku napisał: *James 1971*.

- Dziękuję - szepnęła, gdy jej go oddał.

- Nie ma za co.

Wrócili na korytarz. Przerwa na lunch dobiegała końca. Na korytarzu robiło się tłoczno.

- Idziesz na bal? - zapytał od niechcienia James.

Serce Leslie przestało bić. Bal Półroczny był najważniejszą imprezą w połowie roku szkolnego. To nie była potańcówka w sali gimnastycznej, gdzie dziewczęta i chłopcy przychodzili grupkami. To był prawdziwy bal dla par, z rezerwacjami. Oficjalny bal. Czy James ją zapraszał? A może tylko sprawdzał, czy idzie?

Leslie powoli kiwnęła głową.

- Z Alanem?

- Tak - szepnęła.

James pokiwał głową, jakby to potwierdzało jego przypuszczenia.

- Czas na lekcje. Na razie, Leslie - powiedział.

W Alanie nie podoba mi się tylko to, pomyślała Leslie, że nie jest on Jamesem. Skoro jednak James nie odzywał się do niej od kilku tygodni, odkąd dał jej obrazek, Alan musiał wystarczyć. Leslie była zła na siebie i na Jamesa, bo co wieczór czekała na jego telefon. Była zła, że czeka, oraz dlatego, że James nie dzwoni.

Lepiej było się czymś zająć.

Alan przeniósł się do liceum Waszyngtona z Lake Forest, ekskluzywnej szkoły dla chłopców w Seattle, podczas wiosennego semestru pierwszej klasy. Zrobił to, bo drużyna pływacka Waszyngtona była najlepsza w całym stanie. Chciał, żeby zauważyli go łowcy głów, liczył na stypendium sportowe w dobrej uczelni. Z powodu swoich ocen i dokonań Alan doskonale pasował do grupy Leslie. Był rekordzistą Pacific Northwest na dwieście metrów stylem dowolnym.

Podobnie jak James, Alan był dla grupy jak zastrzyk świeżej krwi. Ale, w przeciwieństwie do Jamesa, od razu stał się obiektem westchnień wszystkich dziewcząt. Alan umówił się po kilka razy prawie ze wszystkimi. Jesienią drugiego roku nauki wszyscy wiedzieli, że Alan interesuje się głównie Leslie.

To było nieuniknione. Oprócz zwykłego dopasowania środowiskowego - ojciec Alana wykładał antropologię na uniwersytecie - Leslie i Alana łączyło nawet fizyczne podobieństwo. Oboje mieli kasztanowe loki i duże niebieskie oczy. Oboje często się uśmiechali i łatwo było ich rozśmieszyć. Oboje wiedli łatwe, szczęśliwe życie. Oboje robili to, czego się po nich spodziewano. Osiągali, dokonywali i robili to z radością, bo czuli, że postępują słusznie.

Alan i James byli kolegami, o ile Jamesa można było nazwać cymkolwiek kolegą. Alan nie miał pojęcia o uczuciu Leslie do Jamesa. Nie przyszłoby mu to do głowy.

Leslie nie zakochała się w Alanie, ale lubiła jego towarzystwo. Cieszyło ją, że tak bardzo mu na niej zależy. Alan powiedział Leslie, że ją kocha. Leslie odparła, że są za młodzi, żeby nawet wiedzieć, co to oznacza, ale dodała, iż bardzo go lubi.

Leslie naprawdę bardzo lubiła Alana. Podobało jej się w nim wszystko: wygląd, wypowiedzi, poglądy, sposób całowania. Wreszcie, po niezręcznych, niezdatnych i nieszczerych pocałunkach wymienianych podczas poprzednich związków, Leslie naprawdę chciała być przytulana i dotykana.

Czasami, gdy Alan ją całował, wyobrażała sobie, że całuje się z Jamesem.

W piątkowe popołudnie w połowie lutego James podszedł do Leslie po jej zajęciach z literatury angielskiej.

- Musimy wyjechać tuż po szkole, jeśli chcemy zdążyć na prom przed zachodem słońca.

- Tak? - zapytała.

- Uhm.

- Dlaczego? - zapytała słabym głosem, grając na zwłokę, podejmując decyzję, myśląc o konsekwencjach.

- Dlaczego co?

- Dlaczego jedziemy? - Zdecydowała. Pojedzie, wszystko jedno dokąd. Z Jamesem.

- Bo jest połowa lutego, niebo jest niebieskie, góry wyglądają jak rożki lodów i nie można zmarnować takiego dnia. Nie w Seattle.

Dzień był rzeczywiście piękny. Jak słoneczna oaza w szarości i wilgoci zimy.

- Kiedy wyjeżdżamy?

- O trzeciej dziesięć. Kółka mam na parkingu przy sali gimnastycznej.

- Kółka?

- Motocykl.

- O trzeciej dziesięć - powiedziała Leslie, odchodząc, żeby stawić czoło konsekwencjom. Kręciło jej się w głowie.

Jak zwykle po lekcjach Alan czekał na Leslie przy jej szafce.

- Nie idę dziś na trening - powiedziała Leslie i zajrzała do szafki, unikając wzroku Alana.

- Co? Leslie, dlaczego?

- Ja... - Leslie przerwała, szukając wymówki, która byłaby zgodna z prawdą. - Nie mam ochoty.

- Jesteś chora?

- Nie.

- Okres? - zapytał swobodnie.

- Alan! - To było zbyt osobiste.

- Leslie, próbuję zrozumieć. Jutro jest mityng, przecież wiesz.

- Oczywiście, że wiem. Przyjdę. Nie popłynę gorzej, jeśli opuszczę jeden trening. Pewnie nawet wyjdzie mi to na dobre.

- Dobrze. Zadzwoń wieczorem, żeby zapytać, jak się czujesz.

- Nie, nie dzwoń. Wszystko w porządku, naprawdę - powiedziała z poczuciem winy, nie mogąc na niego spojrzeć.

- To do jutra - powiedział. Pocałował ją szybko w policzek.

Leslie uśmiechnęła się słabo. Gdy tylko Alan odszedł, złapała książki i pobiegła na parking obok sali gimnastycznej.

James już czekał.

- Zapomniałem, że zawsze nosisz spódnicę - powiedział, patrząc na kraciatą plisowaną spódniczkę Leslie. - Chyba możesz tak jechać, ale zmarzną ci nogi.

- W porządku - powiedziała Leslie. Przytulę się do ciebie, żeby się rozgrzać.

- Co to jest? - zapytał, wskazując jej książki.

- Praca domowa!

- Nie możesz ich zostawić tutaj?

- Na cały weekend? James, w poniedziałek jest sprawdzian z literatury angielskiej. - Teraz dopiero zauważyła, że James nie ma żadnych książek.

- To mi je daj - powiedział. Wziął od niej stos książek i umieścił je przed sobą na motocyklu. Potem spojrzął na nią, podał jej swój kask i powiedział: - Wskakuj.

Leslie zebrała fałdy spódnicy i objęła ramionami Jamesa.

James nie kierował się w stronę portu promów w centrum Seattle. Pojechał bocznymi uliczkami, zatrzymując się w końcu przed niewielkim, rozwalającym się domem z zaniedbanym ogrodem i zapadającym się dachem. Wyłączył silnik.

- Dom - rzekł po prostu. - Zaraz wrócę.

James wziął książki Leslie i zniknął w domu. Czekając, Leslie rozglądała się po okolicy. Ulica była wąska, a chodniki i asfalt na jezdniach popękane. W szczelinach rosła trawa. Pośrodku ulicy stał stary samochód bez lewej przedniej opony. Domy były stare, smutne i zaniedbane. Leslie zastanawiała się, jak można by było upiększyć dom Jamesa -



wystarczyłoby trochę farby, weekend pracy w ogrodzie i odrobina środka chwastobójczego.

Po chwili wrócił James. Zostawił w domu jej książki, niósł kask dla siebie.

Bez słowa wsiedli na motocykl i ruszyli. Zbliżała się pora szczytu. James ominął drogę szybkiego ruchu, wybierając bardziej malowniczą trasę przez Most Uniwersytecki i wzdłuż wybrzeża jeziora Union, na Eastlake Avenue. Jechali Drogą Denny, obok Space Needle, do Elliot Bay i zatoki Puget.

Minęli oceanarium, rynek na placu Pike, sklepy na nabrzeżu i dotarli do portu promowego. Nad wodą stali wędkarze oraz liczni mieszkańcy Seattle, których w ten piękny letowy dzień przyciągnęły tu typowo letnie, turystyczne atrakcje. Nad niebieską wodą Elliot Bay unosiły się latawce, sprzedawano więcej mrożonej herbaty niż zupy z małży, a w powietrzu rozbrzmiewał śpiew dzieci i skrzeczenie mew.

Gdy James i Leslie przyjechali do portu, prom z centrum Seattle na wyspę Bainbridge właśnie przyplłynął. James wjechał na prawie pusty o tej porze parking dla dojeżdżających. Przykuł motocykl i kaski do metalowego słupka.

- Dwa w jedną stronę... hm... To znaczy... Wycieczkowe bilety na wyspę Bainbridge - powiedział sprzedawca biletów.

Gdy weszli na pokład i kontroler zabrał dwa z czterech pomarańczowych kartoników, James podał Leslie bilety powrotne.

- Proszę. Weź je sobie na pamiątkę. Kupiłem je dla ciebie.

- Nie są nam potrzebne?

- Nie, jeśli nie zsiądziemy z promu.

- Och. Czy tak wolno? Pływać promem w tę i z powrotem? To jest jak siedzenie w kinie przez kilka projekcji tego samego filmu. Zawsze się zastanawiałam, czy to dozwolone.

James spojrział na nią ze zdziwieniem i powoli potrząsnął głową.

- Dozwolone w kinie oznacza, że można przechytryć szesnastoletniego portiera, pilnującego, żeby wszyscy opuścili kino po projekcji. W moim przypadku jest to zwykle ktoś, kogo znam od przedszkola. Nie przypuszczam, żeby którykolwiek z twoich znajomych dorabiał kiedyś w kinie.

Leslie wzruszyła ramionami, zakłopotana. Znów okazała swoją naiwność.

- Z promu zwykle się schodzi. Większość ludzi pływa promem tylko po to, żeby dostać się na drugą stronę. Ale jest tu mnóstwo miejsc, gdzie można się schować na czas sprawdzania promu między kursami.

- Schować?

- Jeśli chcesz zejść na brzeg i podać dwa bilety kontrolerowi, proszę bardzo.

- Nie. Chcę się schować - powiedziała Leslie, myśląc: „Zapłaciliśmy za powrót. W razie czego ...” - Gdyby nie ja, kupiłbyś bilet w jedną stronę, tak?

- Uhm.

Miło, James. Miły James.

Stali na przednim pokładzie promu, płynącego przez Elliot Bay na wyspę Bainbridge. Był to modny punkt, zamieszkały przez ludzi pracujących w centrum Seattle. Dojeżdżali do pracy promem, a nie samochodem. Podróż była spokojna i przyjemna. Mogli przeczytać poranną gazetę, napić się kawy i cieszyć się ziemią, wodą, górami i niebem. Czasami prom się psuł albo wiatr był zbyt silny, a fale za wysokie, żeby można było płynąć. Wtedy szczęściarze zostawali na wyspie, żeby przeczekać sztorm w swoich domach.

Leslie patrzyła na Góry Kaskadowe na wschodzie, Góry Olimpijskie na zachodzie i Mount Rainier na południu. Białe czapy śniegu lśniły w zimowym słońcu. Poszarpane, zdradliwe szczyty spowijała różowawa mgła, zwiastująca koniec dnia. Zatoka lśniła głębokim błękitem, odbijało się w niej niebo. Zimą na ogół było brzydko i pochmurno, ale dzisiaj czystą, niebieską wodę zdobiły pióropusze piany na falach, wywołanych lekką, świeżą bryzą.

Narysuj mi to, James, pomyślała Leslie. Narysuj mi wodę, wyspy, górę i niebo. Albo pełną uroku Space Needle. Albo delikatne, białe łuki Centrum Naukowego. Albo ruch na wodzie w słoneczne dni. Albo majestatyczną górę Mount Rainier.

Nawet jeśli James nic nie narysuje, Leslie zapamięta ten dzień na zawsze. Wspomnienia wryły się głęboko w jej umysł. Wspomnienia tego wspaniałego dnia w ukochanym mieście. Dnia spędzonego z Jamesem. Leslie nigdy tego nie zapomni.

James stał obok niej, milcząc. Jego też zachwycił urok słonecznego dnia, błękitnej wody i otaczającego piękna.

Zbyt szybko dotarli na wyspę. Prom uderzył lekko w zaimpregnowane kreozotem drewno doku. James i Leslie patrzyli, jak załoga wciąga go w głąb doku na grubych linach. Gdy z promu zjechał pierwszy samochód, James powiedział:

- Chodźmy już.

Leslie spojrzała na pokład. Oprócz nich nie było nikogo. Wszyscy już wsiedli do samochodów, żeby wrócić do domów i cieszyć się rychłym zachodem słońca, który zapowiadał się bardzo okazale.

Leslie szła za nim w milczeniu. Przekradli się przez prom na schody przy rufie. Prowadziły na pokład samochodowy dwie kondygnacje niżej. Na pierwszym podejściu James wszedł pod schody, do przechowalni kapoków.

Było ciemno. Nieliczne promienie światła słonecznego przedostały się przez szczeliny w schodach, tworzących dach pomieszczenia. Przechowalnia była mała, z trudem zmieścili się przy stosie pomarańczowych kamizelek ratunkowych.

Leslie chciała coś powiedzieć, zaśmiać się, ale James dotknął palcem jej ust.

Wtedy usłyszała to, co on: kroki. Zdecydowane kroki osoby schodzącej po schodach. Wstrzymała oddech. Serce biło jej mocno. Kroki zwolniły, gdy ktoś zszedł na podest. Potem przyśpieszyły, gdy zaczął wchodzić wyżej.

- Kontroler - szepnął James, gdy odgłos kroków nieco ucichł.

- Szuka gapowiczów? - zapytała Leslie, podekscytowana tą zabawą, przygodą, flirtem z nieszkodliwym niebezpieczeństwem.

James kiwnął głową. Oczy Leslie przywykły już do ciemności. Widziała jego twarz blisko swojej. James przyglądał się jej bez uśmiechu.

- Co zrobimy, jeśli nas złapią? - zapytał poważnie. - Damy im bilety?

- Nie, Bondzie. A gdy będziemy myśleli, że zaraz nas dopadną... - Leslie przerwała. Po chwili dodała konspiracyjnie: - Połkniemy je.

Leslie zobaczyła, że usta Jamesa wyginają się w uśmiechu.

Zamilkli. Musieli być cicho i bardzo uważać. Po chwili usłyszeli odgłos ładowania samochodów na prom.

- Kiedy...? - zaczęła.

- Wyjdziemy, gdy tylko usłyszymy, jak zamykają się drzwi do komory samochodowej, niedaleko tych schodów.

Leslie kiwnęła głową.

Nasłuchiwali. W oddali, na dziobie promu, zamykały się już jakieś drzwi. Dźwięki rozlegały się coraz bliżej.

W końcu usłyszeli odgłos zamykanych drzwi, który był dla nich sygnałem. Jak doskonale wyszkoleni tajni agenci, wyszli z przechowalni kapoków na schody i na pokład.

Na pokładzie Leslie powiedziała, nie mogąc złapać tchu:

- To było świetne!

- Bo miałas w kieszeni bilety powrotne, chociaż nie chciałas ich wykorzystać - zauważył łagodnie James, sięgając po papierosa.

Leslie otworzyła usta, aby zaprotestować, ale zastanowiła się nad jego słowami. Prawdopodobnie tak właśnie było. Przecież przez cały czas trzymała bilety w dłoni.

- Prymuska do szpiku kości - powiedziała z westchnieniem, wskazując jego papierosa.

- To nic złego. Chcesz zapalić? Czy rzuciłaś?

- Wciąż próbuję - powiedziała. Oboje wiedzieli, że jedyne papierosy w życiu wypaliła przed wieloma miesiącami, wtedy, z nim, na łące. - Ale zrobiło się zimno. Papieros mnie rozgrzeje.

W ciągu kwadransa, który James i Leslie spędzili pod schodami, gdy załadowywano prom, znikły wszelkie oznaki wiosny. Zachodzące słońce zabierało ze sobą całe ciepło. Zapadał chłodny, zimowy wieczór. Niebo lśniło jeszcze czerwono, różowo, żółto i pomarańczowo. Widać było ciemny zarys miasta. Ogromne okna budynków odbijały promienie zachodzącego słońca.

- Chcesz wejść do środka? - zapytał James, podając jej swojego zapalonego papierosa.

Leslie gwałtownie potrząsnęła głową. Za nic w świecie. Było zbyt pięknie. Wzięła głęboki wdech. Jej płuca wypełniły się ciepłem, a potem podrażnił je dym. Zaśmiała się, kaszląc.

Po chwili poczuła cudowne oszołomienie i wesołość. A także lekkie zawroty głowy. Mocno chwyciła pomalowaną na zielono barierkę i zamknęła oczy, chroniąc je przed lodowatym wiatrem, który wzmógł się, gdy prom ruszył.

Zadrzała.

James bez wahania objął ją ramionami.

- Zmarzniesz - szepnął. Jego policzek dotknął jej policzka.

- Nie, jeśli będziesz mnie przytulał - szepnęła pod wiatr, zastanawiając się, czy James ją usłyszy.

- Będę cię przytulał - odszepnął. Puścił ją na chwilę, żeby rozpiąć kurtkę. Owinął kurtką ich oboje, wsunął jej ręce do środka i znów ją objął.

Leslie czuła silne bicie jego serca. Czuła, jak jego usta dotykają jej rozwianych włosów. Czuła, jak obejmuje ją mocniej, gdy się bardziej przytuliła. Trudno jej było oddychać, ale nie chciała, żeby rozluźnił ramiona.

Tył jej głowy opierał się o jego policzek. Było jej ciepło i czuła się bezpieczna. Czuła się tak dzięki niemu.

Ale teraz jemu zrobiło się zimno. Po kilku minutach Leslie poczuła, że dygocze. Szczękał zębami.

Leslie wysunęła się z jego objęć i odwróciła się. Położyła swoje ciepłe dłonie na jego drżących, lodowatych policzkach.

- James - szepnęła, dotykając jego zimnej skóry, patrząc na jego zbiegające usta i policzki. Patrząc mu w oczy.

James chciał ją wtedy pocałować, ale nie mógł. Miał zdrętwiałe usta. Nie mógł nawet mówić. Nie utrzymałby w ustach papierosa.

Zamiast tego przyciągnął ją do siebie, przytulił jej głowę do swojej piersi i objął ją mocno.

- Napijmy się gorącej czekolady - wymamrotał niewyraźnie do jej ucha.

- Co?

Objął ją ramieniem i poprowadził w kierunku zbyt jasnych świateł kawiarenki na promie. Gdy wreszcie przybili do brzegu w Seattle, rozgrzani i wzmocnieni kubkiem gorącej czekolady i wspólnie wypalonym papierosem, byli gotowi do jazdy na motocyklu.

Na podjeździe przed domem Jamesa stała zaparkowana stara furgonetka. James zatrzymał się na zakręcie, ale nie wyłączył silnika.

- Mam zsiąść? - zapytała Leslie.

Co on tu robi o tej porze?, zastanawiał się James. Jego ojciec zwykle zaczynał piątkowe picie w barze i nie wracał do domu przed północą, ale teraz tu był. To oznaczało kłopoty.

James się zawahał.

- Leslie, muszę tam wejść sam. Może przyniosę ci książki na imprezę u Larry'ego jutro wieczorem?

Jak ja to wyjaśnię Alanowi?, zastanawiała się Leslie. Dlaczego nie mogę wejść do domu Jamesa?

- Zaczekam tutaj. Nie jest mi zimno - powiedziała spokojnie. Nie chciała tu czekać. Okolica ją przerażała i było jej zimno, ale wolała wziąć książki od razu.

- Na pewno?

- Tak.

- Zaraz wrócę.

James poszedł. Leslie wydawało się, że w domu ktoś krzyczy. Potem usłyszała trzaśnięcie drzwi. James wyszedł, niosąc jej książki i dodatkową kurtkę.

- Wszystko w porządku?

- Jasne - odpowiedział, nie patrząc na nią. - Proszę, włóż to.

Do jej domu jechali dwadzieścia minut. Dwadzieścia minut z jednego świata do drugiego.

W ciągu ostatnich dwudziestu minut tego dziwnego, ekscytującego, cudownego popołudnia Leslie miała ostatnią szansę, żeby go dotknąć, żeby z nim porozmawiać, żeby być z nim sama... do kiedy? Miała dwadzieścia minut na zastanawianie się, czy James chciał ją pocałować, gdy dotknęła jego twarzy. Z jego oczu wyczytała, że chciał, ale tego nie zro-

bił. Dlaczego się rozmyślił? Czy Leslie może go jakoś nakłonić, żeby jednak ją pocałował? Czy powinna go zapytać, do kogo należy stara furgonetka i dlaczego ktoś krzyczał? Czy się na nią rozgniewał, bo kazała mu wejść do domu po swoje książki?

Czy zrobiłam coś złego, James? Kiedy znów cię zobaczę? Pocałuj mnie, James.

Gdy dotarli do jej domu, Leslie była wyczerpana. Wiedziała, że nie może go o nic pytać. Nie zależało jej nawet, żeby odpowiadał. Po prostu nie chciała, żeby odjeżdżał.

W milczeniu szli do drzwi. James niósł jej książki.

- Chcesz wejść? - zapytała w końcu. W przeciwieństwie do niego, mogła przyjmować gości. Miała nadzieję, że go nie uraziła.

James zmarszczył brwi, zamyślił się.

- Lepiej nie - powiedział.

- Mógłbyś zostać na kolacji - naciskała łagodnie Leslie, wyczuwając jego wahanie. Zastanawiał się.

- Nie...

- Przynajmniej wejdź i zobacz, jak oprawiłam twój rysunek.

To był błąd. James zeszywniał i cofnął się o krok.

- Nie mogę zostać.

- Dobrze - powiedziała lekko. Z bólem serca wzięła swoje książki i oddała mu kurtkę.

Leslie przycisnęła książki do piersi i spojrzała na klamkę. Wystarczy jej dotknąć, a James odejdzie. Nie mogła się ruszyć.

- Hej - powiedział James, dotykając palcem jej policzka. - Leslie.

- Tak? - Spojrzała mu w oczy.

- Dziękuję, że pojechałaś ze mną. Dobrze się bawiłem - powiedział.

Pocałował ją lekko obok ust.

I odszedł.

Nazajutrz Leslie pobiła rekord osobisty i rekord mitingu na sto metrów stylem zmiennym i na pięćdziesiąt metrów stylem dowolnym.

- Chyba czujesz się lepiej - powiedział Alan po zawodach.

- Co? Och. Dobrze się czuję.

- W porządku. Wpadnę po ciebie o wpół do ósmej.

Impreza u Larry'ego - oficjalnie przyjęcie walentynkowe - była typowym spotkaniem przyjaciół Leslie. To był sobotni wieczór dla każdego. Ci, którzy nie mieli z kim przyjść, gadali ze znajomymi, plotkowali o szkole, rozmawiali o studiach (uczelnie rozesłał zawiadomienia za dwa

miesiące), dyskutowali o fdmach i płytach, a także, w momentach filozoficznego nastroju, o samym życiu. Pary zwykle chowały się w najciemniejszych kątach, żeby tańczyć, całować się albo po prostu być razem.

Nowe związki powstawały, a stare rozpadały się tak szybko, że na każdym przyjęciu było inaczej. Od trzech miesięcy Alan i Leslie byli jedyną stałą parą. Zwykle spędzali tyle samo czasu z przyjaciółmi w jasno oświetlonych salonach, ile w zaciemnionych pokojach tanecznych, w towarzystwie nowych par.

Ale tego wieczora, zaniepokojony tajemniczym zachowaniem Leslie poprzedniego dnia, Alan odciągnął ją od przyjaciół dużo wcześniej niż zazwyczaj.

- Zatańczmy, Les.

James przyszedł o dziesiątej. To znaczy Leslie zobaczyła go o tej godzinie, opartego o ścianę w pokoju tanecznym, palącego papierosa i pijącego piwo z puszki. Patrzył na nią. Za każdym razem, gdy się zaciągał, papieros rzucał dziwny blask na jego twarz.

Leslie patrzyła na Jamesa, obejmując Alana i opierając twarz o jego ramię. Kołysali się spokojnie w rytm *Hey Jude* Beatlesów. Niebieskie oczy Leslie nie mrugały. Patrzyły na Jamesa, szeroko otwarte, z zaciekawieniem.

Pragniesz mnie, James?

James odwzajemnił spojrzenie, również nie mrugając. Jego twarz kryła się za dymem z papierosa.

Zatańcz ze mną, James.

W połowie tańca Alan uniósł policzek Leslie, zbliżając jej usta do swoich. Całowali się do końca piosenki, poruszając się powoli w takt muzyki.

Gdy przestali tańczyć, Jamesa już nie było.

## Rozdział 17

**P**iętnastego kwietnia wszystkie uczelnie zawiadamiwały kandydatów o ich przyjęciu lub odrzuceniu. Tego roku - ostatniego roku w liceum - piętnasty kwietnia przypadał w sobotę. W letnim domku rodziców Alana nad jeziorem Sparrow, 45 kilometrów na północ od Seattle zorganizowano tryumfalną imprezę. Spotkanie miało się zacząć, gdy do

Seattle przyjdzie poczta, i trwać do północy. Dziewczyny wrócą do domów na pierwszą. Chłopcy zanocują w domku.

Alan i James przyjechali na miejsce w sobotę o dziesiątej rano, żeby wszystko przygotować. Włożyli do lodówki jedzenie i piwo, nalali benzyny do baku motorówki, żeby można było jeździć na nartach wodnych, przygotowali drewno do kominka i węgiel drzewny do grilla. Alan i James nie musieli czekać na pocztą. Wszystko już wiedzieli. James został przyjęty na Uniwersytet Waszyngtona i postanowił tam studiować. Alanowi zaproponowano kilka stypendiów sportowych. Wybrał Uniwersytet Kalifornijski w Los Angeles, bo pływacy z tej uczelni niedawno pobili rekord w akademickich mistrzostwach pływackich.

Ale Alan czekał z niepokojem na wiadomości, które listonosz przyniesie Leslie. Leslie zgłosiła się do dwóch szkół w Kalifornii: do Pomony, w okolicy Los Angeles, i na Uniwersytet Stanforda, czterysta pięćdziesiąt kilometrów dalej. Stanford znajdował się bardzo daleko od Los Angeles, ale i tak dużo bliżej, niż wymarzone przez Leslie Radcliffe po drugiej stronie kontynentu. Alan był pewien, że zostanie przyjęta przez wszystkie trzy uczelnie. Bardzo pragnął, żeby wybrała jedną ze szkół kalifornijskich. Chciał być blisko niej.

Od kilku tygodni Leslie i Alan często dyskutowali o wyborze uczelni. Czasami ich dyskusje były spokojne i ostrożne. Jednak często przejawiały gorycz.

Leslie musiała zdecydować sama. Ale gdyby jakimś trafem nie przyjęto jej do Radcliffe...

Betty, Joannę i Robin przyszły do domu Leslie minutę przed przyjazdem pocztowej furgonetki. Betty otrzymała swój list rano i dowiedziała się, że jest w Smith, tak jak chciała. Wpadła po Joannę, która już wiedziała, że zostanie w Seattle na uniwersytecie, i po Robin, nieprzyjętej do Vassar, ale wciąż mogącej wybierać pomiędzy Bryn Mawr a Swarthmore.

Susan i Leslie czekały już na zakręcie, patrząc, jak pocztowa furgonetka powoli toczy się ulicą.

W końcu Leslie dostała listy. Wyciągnęła koperty z Uniwersytetu Stanforda, Pomony, Radcliffe, Antioch, Uniwersytetu Michigan i Uniwersytetu Cornella. Wybrała tę ze stemplem Cambridge, Massachusetts.

Koperta była cienka. Za cienka, pomyślała. Drżały jej ręce. Wzięła głęboki wdech i otworzyła ją. Susan, Robin, Betty i Joannę patrzyły w milczeniu.

„Witamy w Koledżu Radcliffe.

- Jestem - szepnęła. - Dostałam się do Radcliffe.



- Hura!
- Oczywiście. Czy ktoś wątpił?
- Gratuluję, kochanie.
- Leslie, jesteś gotowa?
- Teraz tak - powiedziała Leslie, podnosząc torbę z kostiumem kąpielowym, ręcznikiem i ubraniem na zmianę. Podała Susan sześć kopert, zaklejonych, z wyjątkiem tej z Radcliffe. - Proszę, mamó.
- Nie... - zaczęła Susan, myśląc o Alanie.
- Lepiej wezmę te dwie - powiedziała Leslie, wybierając koperty ze Stanforda i Pomony. - Otworzę je w drodze nad jezioro.

Leslie nie chciała jeszcze otwierać listów. Nie chciała myśleć o niczym poza tym, jak bardzo się cieszy, że przyjęto ją do Radcliffe. Ze będzie studiować w Radcliffe. Podjęła decyzję, gdy przeczytała pierwsze słowo listu. Witamy.

Listy ze Stanforda i Pomony nie miały znaczenia. Tylko że musiała powiedzieć Alanowi. Może, jeśli jej się poszczęści, listy z obu uczelni będą się zaczynać słowami: „Z przykrością informujemy...” albo „Niestety...”

Jak stwierdziła Leslie, otworzywszy listy pięć minut przed dotarciem do domku, przyjęto ją do obu szkół.

Leslie, Betty, Joannę i Robin przyjechały jedne z ostatnich. Wszyscy już się podzielili dobrymi i złymi wiadomościami. Przyzwyczajali się do nowej sytuacji. Dzielili radość i rozczarowanie z przyjaciółmi.

Wszyscy wiedzieli, jak bardzo Leslie chciała jechać do Radcliffe.

- I co, Leslie, zostaniesz Cliffie? - zapytał ktoś, gdy tylko weszła do domku.

- Tak - powiedziała zdecydowanie, patrząc na Alana, stojącego w przeciwległym końcu pokoju. - Tak.

Przez kilka minut Leslie wypytywała przyjaciół o to, czy ich przyjęto i gdzie. W końcu podeszła do Alana, który zaszył się w dalekim kącie domku i wyglądał przez okno na jezioro.

- Jadę do Radcliffe, Alan - powiedziała cicho.
- Słyszałem.
- Tego właśnie pragnę. Po to tak ciężko pracowałam.
- Wiem - rzekł z goryczą. Zanim mnie poznałaś, pomyślał. A ja nie zmieniłem twoich planów. Spojrzał na nią. - Dostałaś się do...
- Tak. Do obu. Alan, jesteś niesprawiedliwy. Ja nie próbowałam cię przekonać, żebyś nie szedł na Uniwersytet Kalifornijski, tylko żebyś szukał szkoły na Wschodnim Wybrzeżu.

- Wiem. I żałuję. Szkoda, że nie zależało ci tak bardzo, żeby próbować.

- Nie pozwolę ci tego zepsuć, Alan - powiedziała Leslie.

Wzięła torbę, przeszła przez pokój i udała się do szopy naprzeciwko domku, która podczas imprez była wykorzystywana jako przebieralnia dla dziewcząt. Zamknęła drzwi i wyjęła z torby swój stary, niebieski kostium kąpielowy. Nie nosiła go od lat, ale uznała, że będzie się nadawał pod piankę, gdyby chciała jeździć na nartach wodnych. Woda w kwietniu była zbyt zimna, żeby pływać bez pianki.

Miała zamiar popływać mimo zimna. Wciągnęła na siebie kostium, który kupiła w ósmej klasie. Wciąż doskonale pasował w biodrach i w tali, ale był zbyt ciasny w biuście.

To nie miało znaczenia. Nikt jej nie zobaczy, a ona musi popływać. Musi pływać, najszybciej jak potrafi, aż do wyczerpania. Musi spalić trochę energii, która rozpięra ją z powodu przyjęcia do Radcliffe. A trochę z powodu gniewu na Alana. Potem, gdy się uspokoi, wróci do przyjaciół.

Zarzuciła ręcznik na ramiona, otworzyła drzwi szopy, przebiegła boso przez trawnik i zeszła po czterech cementowych schodkach na piaszczystą plażę. Zostawiła ręcznik nad wodą i bez wahania weszła do jeziora.

Gdy tylko znalazła się w dość głębokiej wodzie, położyła się na brzuchu i zaczęła płynąć. Płynęła stylem wymagającym najwięcej energii i koncentracji: delfinem. Woda była bardzo zimna.

Po dwudziestu minutach szybkiego pływania w lodowatej wodzie, skupiania się na stylu, prędkości i rytmie, poczuła się wyczerpana. Skierowała się do brzegu. Gdy woda sięgała jej do pasa stanęła i ruszyła ze spuszczoną głową ku plaży. Pomyślała o tym, dlaczego pływała - bo dostała się do Radcliffe - i uśmiechnęła się do siebie. Wciąż bardzo ją to cieszyło.

- Trochę zimno, prawda?

Leslie podniosła wzrok, oszołomiona. Na zwalonej kłodzie siedział James, paląc papierosa i gapiąc się na nią. Oglądał ją od stóp do głów.

Jej ciało było wilgotne, drżące i pokryte gęsią skórą. Pośpiesznie odgarnęła z twarzy mokre, kasztanowe włosy. James patrzył na jej szafirowe oczy i pełne usta, które na jego widok przestały się uśmiechać. Nie mógł oderwać wzroku od wąskich bioder i smukłych nóg oraz od krągłych, twardych piersi, które wybrzuszały się pod cienkim materiałem przyciasnego, niebieskiego kostiumu kąpielowego.

Leslie czuła się naga. Była naga, nie licząc kostiumu, który stał się niemal przezroczysty na jej mokrym, zeszywniałym z zimna ciele.

James podał jej ręcznik, wciąż gapiąc się na nią z uśmiechem.

- James - szepnęła, nie mogąc się ruszyć.

Wstał i podszedł do niej. Owinął ją rącznikiem jak peleryną. Leslie z wdzięcznością złączyła krańce rącznika. Znow była ubrana. Skromna. Ukryta przed jego przenikliwym wzrokiem.

- Odreagowałaś? - zapytał.

- Co?

- Klótnię z Alanem.

- Nie klóćliśmy się.

- Och.

- Jest rozdrażniony, bo idę do Radcliffe, zamiast gdzieś bliżej niego.

- Zraniłaś go.

- Zraniłam?

- Wolisz jechać do miasta, gdzie nikogo nie znasz, i poznawać nowych ludzi, zamiast być z nim. To mówi samo za siebie. Alan musi się czuć zraniony.

- Sądzisz, że powinnam jechać za nim do Los Angeles?

- Sądzę, że powinnaś robić to, co chcesz.

- Wydaje mi się, że jestem trochę za młoda, żeby poświęcić życie i marzenia dla drugiego człowieka. Nie uważasz?

James wzruszył ramionami. Patrzył na wodę, unikając jej wzroku.

- Gdyby Alan był dla ciebie odpowiednią osobą, mogłabyś to zrobić - powiedział dziwnym głosem.

Mogłabym zostać na Uniwersytecie Waszyngtona, James, gdybyś tylko zechciał. Zostałabym, myślała, dziwiąc się sama sobie. Albo gdybyś postanowił spędzić resztę życia na wyrębie.... Byłabym kucharką. Dla właściwej osoby mogłabym się poświęcić.

- Leslie! James! Idziemy na narty wodne. Leslie, byłaś już w wodzie?

Do Leslie i Jamesa na plaży dołączyli pozostali. Alan wciąż trzymał się w pewnej odległości od Leslie, mimo że próbowała do niego podejść.

Pływali na nartach wodnych, grali w siatkówkę, smażyli hamburgery na grillu i piekli pianki. Po zachodzie słońca zgasili światło i włączyli muzykę. Leslie patrzyła jak Alan tańczy z Betty, Joannę i Robin. Pokazywał, że może się dobrze bawić bez niej.

Nic z tego, Alan, pomyślała Leslie. Nie poczuje zazdrości ani żalu. Nie przeproszę i nie zmienię zdania.

Leslie rzuciła okiem na zegarek. Jedenasta. Musiały wyjechać o północy. Może ktoś będzie chciał jechać już teraz? Nic na to nie wskazywało. Ze swojego punktu obserwacyjnego w rogu sofy widziała, że nikt nie ma ochoty kończyć zabawy.

- Chodźmy - szepnął jej do ucha.

James. Nie widziała go od pewnego czasu. Myślała, że wyjechał.

Bez słowa poszła za nim. James wstał do kuchni po puszkę piwa i wyprowadził Leslie na zewnątrz, w kierunku lasów otaczających domek. Po pięciu minutach znalazł zwalone drzewo. Oparł się o pień i zapalił papierosa.

- Leslie? - zapytał, proponując jej papierosa.

- Nie, dziękuję. Rzuciłam.

- To dobrze. Straszny nałóg. Napijesz się piwa? - zapytał, podnosząc puszkę. Mogła się przecież napić z jego puszki.

- Nie, ja...

- Nie pijesz. Zgadza się. Jesteś za młoda. To niezgodne z prawem.

- Przecież tak jest - zaprotestowała słabo Leslie.

- Co ty zrobisz w przyszłym roku w Radcliffe? Wszyscy będą pić albo przynajmniej będą umieli pić. Może się nawet okazać, że w Massachusetts prawo zezwala na picie osobom w twoim wieku.

- Nic mi się nie stanie.

- A co z trawą?

Leslie spojrzała na niego tępo.

- Marihuana - powiedział James.

- Nie potrzebuję.

- Wolisz naturalne oszołomienie? - zapytał James z kpiarskim wyrazem oczu.

Dlaczego James się tak zachowuje? Czy on też ma jej za złe wyjazd do Radcliffe? Jeśli tak, to dlaczego nie powie jej tego wprost?

Leslie westchnęła i usiadła na kłodzie dwa metry od Jamesa.

- Sądzę, że przynajmniej powinnaś znać smak - powiedział cicho po kilku chwilach milczenia.

- Smak czego?

- Piwa.

- Och.

- Wiem, jak możesz spróbować piwa, nie pijąc go.

James pociągnął spory łyk piwa i podszedł do niej.

- Leslie - powiedział łagodnie, ostrożnie wsuwając swoje silne palce w jej delikatne, kasztanowe włosy. - Chodź do mnie.

Przyciągnął jej usta do swoich ust i pocałował. Głęboki, ciepły, namiętny pocałunek smakował z początku jak piwo. Potem, gdy stał się dłuższy i głębszy, smakował jak James.

W chwili, gdy miękkie, przekonujące usta Jamesa dotknęły jej ust, zrozumiała, co ją dręczyło, kłopotowało i ekscytowało przez prawie trzy

lata. Było to pożądanie. Potrzeba dotykania ust Jamesa swoimi. Potrzeba dotykania go i pozwalania, żeby on dotykał jej.

James, pomyślała, wplatając palce w jego czarne włosy i czując, że się do niego przytula. Naturalnie. Instynktownie. James.

Całując ją, trzymał jej twarz w dłoniach. Leslie zatraciła się w nim, w jego smaku, ciepłe, sile i dotyku. Usłyszała - poczuła - cichy, głęboki jęk. Był to jęk przyjemności, pożądania i pragnienia. Czy to James tak jęknął? Czy ona sama?

Całowali się długo, nie odrywając od siebie ust. Ich ciała przeżyły się pod warstwami koszul, swetrów i kurtek. Nagle James się odsunął zdyszany. Wciąż trzymał jej twarz w swoich szorstkich, lecz delikatnych dłoniach.

- Lubisz to - powiedział, patrząc na nią. W jego poważnych, przenikliwych oczach lśniło pożądanie. Pożądanie i ślad niepokoju.

Czy zdołam przerwać?, zastanawiał się. Muszę.

- Lubię... - zaczęła Leslie, zakłopotana jego słowami, mocą jego oczu i uczuciami, które pulsowały w jej ciele. Lubię ciebie, James, lubię, gdy mnie całujesz.

- Piwo - powiedział. Jego głos brzmiał chrapliwie. Nie przerwą. Nic nie zmieni tego nastroju. Nie chciało tego żadne z nich.

Leslie dotykała palcami jego ust i czuła, że jej ciało przesuwają się w kierunku Jamesa, jakby był potężnym, przyciągającym magnesem.

- Chcę być bliżej ciebie - szepnął. Rozpiął jej kurtkę, potem swoją. Całując ją znów, James zdjął jej drugą kurtkę i granatowy sweter. W końcu przed chłodem kwietniowej nocy chroniła ją tylko bawełniana bluzka, niebieskie dżinsy i ciepło ciała Jamesa. Mruczał w jej włosy, przyciągając ją do siebie:

- Za zimno?

- Nie - szepnęła, tuląc się do niego, czując, że jej ciało pasuje do jego ciała.

Całował ją w usta, we włosy i długą, jasną szyję. Jego dłonie dotykały jej miękkich, pełnych piersi pod lekką bawełnianą bluzką. Leslie przysunęła się bliżej, jej piersi cieszyły się jego dłońmi, pragnęły ich dotyku. Jej biodra przyciskały się rytmicznie do jego bioder. James rozpiął jej bluzkę, pod którą znalazł aksamitne ciepło piersi i silne bicie młodego serca sportsmenki.

Prawie nie myśląc, bez żadnego ponaglenia ze strony Jamesa - ponieważ wydawało się to właściwe i ponieważ tego pragnęła - Leslie przysunęła dłoń z chłodnej, spoconej skóry jego pleców na pasek u spodni. Pewnym ruchem rozpięła pasek i odpięła górny guzik jego dżinsów.

- Leslie? Gdzie jesteś?

James i Leslie zamarli.

Minęła północ. Betty, Joannę i Robin były już gotowe do odjazdu. Zabawa się skończyła.

- Muszę iść - szepnęła Leslie, odsuwając się od niego i zapinając bluzkę.

- Odwiozę cię do domu - powiedział spokojnie James.

- Teraz?

- Za chwilę. Zawiozę cię na czas - powiedział, patrząc na nią. Nie odchodź, Leslie, jeszcze nie.

- Leslie! Chodź już! - Głosy się zbliżały.

Czar prysł. Wtargnięto w ich prywatność. Leslie nie mogła znieść spojrzenia Jamesa. Nie mogła mu spojrzeć w oczy i powiedzieć, że nie chce zostawać.

- Muszę jechać, James - powiedziała, schylając się po sweter i kurtkę.

James wzruszył ramionami. Nonszalancko zapiął spodnie i pasek. Przerzucił sobie kurtkę przez ramię i pociągnął łyk piwa.

- Dobrze, Leslie, chodźmy - powiedział i ruszył w stronę domku.

- Tu jesteście! - powiedziała Joannę, widząc Jamesa i Leslie wyłaniających się z cieni lasu.

- Czas wracać? - zapytała Leslie. Co ona robi? Najbardziej chciała wrócić do lasu z Jamesem. Gniewał się na nią? Zachowywał się tak, jakby nic się nie stało, ale poprosił ją przecież, żeby została.

Zauważyła Alana z ponurą miną opierającego się o drzwi domku. Przyglądała mu się przez chwilę. Nie jestem ci winna przeprosin, Alan. Za nic. Jej niebieskie oczy błyszczały zuchwale.

Wiedziała, że wszyscy na nią patrzą i zastanawiają się, co robiła z Jamesem w lesie oraz co się stało z Alanem.

Zostawcie mnie, chciała krzyknąć. Zostawcie mnie samą z Jamesem.

Odwróciła się, spodziewając się zobaczyć obok siebie Jamesa, ale on się odsunął. Oparty o motocykl, powoli palił papierosa i patrzył na nią.

Leslie bez słowa wsiadła na tylne siedzenie furgonetki Betty.

Dwa tygodnie później James zadzwonił do Leslie. Odebrała Susan.

- Doktor Adams, mówi James. Czy zastałem Leslie?

Susan znalazła córkę.

- Leslie, dzwoni James. Mówiłaś mu, że mam już doktorat?

- James! Co? Nie. Przecież to było dopiero tydzień temu. Mogłam mu mówić, że obronisz się tej wiosny - powiedziała Leslie, omijając Susan i biegnąc do telefonu.

- James?

- Cześć, Leslie.

Nigdy nie rozmawiała z nim przez telefon. Usiadła, potem wstała, wreszcie zaczęła zwijać sznur w dłoniach.

- Cześć.

- Chcesz ze mną iść na bal pożegnalny?

- Tak - powiedziała prawie bez tchu. Tak! Tak! Potem dodała cicho: - Ale nie mogę.

- Och. Och?

- Alan już mnie zaprosił.

- Alan - rzekł bezbarwnie James. Potem zapytał: - Jedziesz do Radcliffe?

- Tak. Oczywiście - odpowiedziała z roztargnieniem Leslie, próbując zdecydować, czy powinna odmówić Alanowi i pójść z Jamesem. Wiedziała, że nie może. To by było ordynarne. Wyjaśniła więc: - Alan rozumie, że nie mamy przed sobą przyszłości, ale uznał, że powinniśmy iść razem na bal. Na pamiątkę dawnych czasów.

- Świetnie.

- Już się zgodziłam - powiedziała szybko Leslie, zła na Alana, że zaprosił ją tak wcześniej, i zła na Jamesa, że nie zaprosił jej przed nim.

- Cóż, baw się dobrze - powiedział James.

- James... - zaczęła Leslie.

- Co?

- Dziękuję, że mnie zaprosiłeś. - Poproś mnie o coś innego. O cokolwiek innego, pomyślała.

- Nie ma za co - powiedział. Potem, zanim odłożył słuchawkę, dodał: - Do zobaczenia, Leslie.

James długo widywał Leslie tylko z daleka. Po sześciu tygodniach skończyli liceum imienia Jerzego Waszyngtona. Leslie uzyskała pierwszą lokatę w klasie. Po raz trzeci otrzymała nagrodę Rosemaiden, oraz specjalną nagrodę za zaangażowanie w prace społeczne i stypendium od miasta. Leslie wybrano też dziewczyną „która najprawdopodobniej odniesie sukces”.

James skończył szkołę z przeciętną lokatą. Mimo swoich zdolności osiągał różne wyniki. Nie otrzymał żadnych nagród. Nominowano go w kategoriach: „uczeń, który najprawdopodobniej zostanie aresztowany”,

„uczeń, który najprawdopodobniej zrobi jakiejś dziewczynie dziecko” i „uczeń, który najprawdopodobniej umrze na raka płuc”. Leslie uznała, że nominacje te były dziełem niektórych jej koleżanek. Ponieważ była w samorządzie klasowym, mogła przechwytywać - i wyrzucać - nominacje dla Jamesa, zanim włożono je do urny.

W sierpniu, dwa miesiące po skończeniu szkoły, Leslie zobaczyła Jamesa po raz ostatni.

Leslie, Joannę, Robin i Berty poszły do centrum handlowego Seattle. Był piękny, pachnący letni wieczór, idealny na wizytę w centrum i oglądanie bajecznego pokazu świateł przy fontannie. Już niewiele dni zostało do wyjazdu na studia, była to ostatnia szansa na cieszenie się przyjaźnią wspomnianie liceum i rozmowy o nieznanym, ekscytującej przyszłości.

Poważne konwersacje Leslie i jej przyjaciółek zwykle przeradzały się w nieopanowany chichot. Albo w śpiewanie. Albo w taniec. Dziewczyny były szczęśliwe: dobrze im się żyło, miały szerokie perspektywy.

Zwykle ich szalonego zachowania nie widział nikt poza nimi samymi. Zwykle wygłupiały się na prywatkach lub w odległym zakątku plaży, ale tej sierpniowej nocy były zbyt szczęśliwe, zbyt rozradowane. Śpiewały i tańczyły wokół kolorowo oświetlonej fontanny.

Leslie zrobiła piruet, nie zwracając uwagi na to, gdzie jest. Zatrzymała się, omal nie wpadając na Jamesa.

James. James obejmował jakąś dziewczynę, nie, kobietę. Była ładna i dobrze ubrana. Tuliła się do niego, patrząc na Leslie i pozostałe dziewczęta z zaciekawieniem i rozbawieniem, ale bez niepokoju.

- James - szepnęła Leslie, nie mogąc złapać tchu.

- Leslie - powiedział, odrobinę odsuwając się od kobiety. Żeby przynajmniej wziąć głęboki wdech.

- Leslie, to jest Cheryl. Cheryl, to Leslie. I Joannę. Betty. Robin.

Przyjaciółki Leslie spojrzały na Jamesa z zainteresowaniem. Miał na sobie sportowe spodnie i kurtkę. Wyglądał prawie znośnie. A Cheryl, starsza i wyrafinowana, najwyraźniej była nim zaintrygowana.

Leslie nie mogła wydobyć słowa. Twarz, już zarumieniona od tańca i śmiechu, teraz zaczęła ją palić. Zaczerwieniła się jak burak z zakłopotania i przerażenia.

I nie tylko. Leslie przeszywało nieznanne uczucie. Nowe i silne.

- Nie ścinasz drzew tego lata? - wykrztusiła Leslie. Dlaczego o to zapytałam?, zastanawiała się. Bo chcę, żeby ona wiedziała, że znam Jamesa. Że wiem o Jamesie. Że jest mój... Nowe uczucie zaczęło się nasilać, powoli i boleśnie.



- Ścinam. Przyjechałem do miasta na weekend.

Żeby spędzić weekend z Cheryl.

- Och, cóż. Cieszę się, że cię spotkałam. Miło mi, Cheryl - powiedziała zdecydowanie Leslie. Nagle poczuła, że koniecznie musi wyjść.

- Do widzenia, Leslie.

Uczucie - nowa, nieokreślona emocja - towarzyszyło Leslie przez dwa dni. Było dręczące i nieprzyjemne. Gdy Leslie zrozumiała wreszcie, co to jest, wiedziała, że może się uspokoić, tylko wyznając wszystko jemu. Napisała list:

*Drogi Jamesie,*

*Uświadomiłam sobie, że uczucie, z którym walczę, odkąd zobaczyłam cię z Cheryl, to zazdrość. Jestem bardzo zazdrosna, że ona jest z Tobą! Że ma Ciebie. Że jest Twoją dziewczyną.*

*Ja zawsze chciałam być Twoją dziewczyną. Nawet myślałam, że nią będę, gdy i jeśli zdecydujesz się mieć dziewczynę. Głupie, co? Cóż, przeżyję, ale wolę to przyznać. Chociaż może będziesz się śmiał.*

*Skoro zaszłam już tak daleko, skoro prawdopodobnie już nigdy Cię nie zobaczę, mogę chyba napisać wszystko. Uważam, że jesteś cudowny (wiem, że to wiesz). Taki wrażliwy i utalentowany. Bardzo mnie cieszyło bycie z Tobą (i tak bardzo zazdroszczę Cheryl!).*

*Chciałabym... Chciałabym wielu rzeczy... Tyle jest „co by było, gdyby”...*

*Ale, przede wszystkim, życzę Ci szczęścia.*

*Twoja na zawsze,  
Leslie*

Leslie wysłała list do Jamesa do kompanii leśnej w Snoqualmie w stanie Waszyngton. Nie przeczytała go. Gdyby to zrobiła, prawdopodobnie by go nie wysłała.

Chciała, żeby James wiedział, że jej uczucie do niego było prawdziwe. Że nie był to głupi kaprys. Musiała mu to powiedzieć.

Uznała, że nie ma żadnego znaczenia, czy James potwierdzi odbiór listu. Nie potrzebowała odpowiedzi. Ale przez dwa tygodnie po wysłaniu listu, zanim weszła na pokład samolotu do Bostonu, czekała. Serce biło jej silniej, gdy zadzwonił telefon albo gdy przywożono pocztę, albo gdy ktoś zapukał do drzwi.

Ale nie dostała żadnych wiadomości od Jamesa.

Ani wtedy, ani przez następnych dziewięć lat.

Aż do tego sierpniowego dnia, gdy sekretarka Wydziału Medycyny przekazała jej, że ma zatelefonować do pana Jamesa Stevensona.

## Rozdział 18

**R**oss MacMillan obserwował Janet kątem oka, chcąc zobaczyć jej reakcję na Manhattan o poranku powszedniego dnia. Ich limuzyna jechała bezszelestnie wąskimi, zatłoczonymi bocznymi ulicami, płynnie omijając samochody i przechodniów.

Musi uważać, że to bajeczne, pomyślał Ross. Sam czuł, że serce bije mu szybciej. Dodawał mu energii wszechobecny ruch, szybki rytm ulic Manhattanu. Ross uwielbiał Nowy Jork. Nawet w połowie sierpnia, podczas fali upałów, jaka nie zdarzyła się od lat, uwielbiał to miasto.

Zwykle Ross w sierpniu robił sobie wolne. Była to jedyna naturalna przerwa między sezonami teatralnymi. Zwykle spędzał sierpień w Carmel, wiodąc powolne życie, nie robiąc nic. Zwykle ten miesiąc wymuszonego wypoczynku był konieczną przerwą.

Ale to nie był zwykły rok. To był rok *Joanny*. W tym roku mieli bardzo dużo pracy. Nie było czasu na przerwę.

Zaledwie tydzień temu skończyli wystawiać *Joannę* w San Francisco. Przedstawienie było na afiszu przez ponad dwanaście tygodni. Na każdy spektakl sprzedawano wszystkie bilety. Na Zachodnim Wybrzeżu wciąż pozostało wielu teatromanów, którzy chcieliby zobaczyć *Joannę*, ale trzeba było zakończyć występy. Przenosili sztukę na Broadway.

Ross i Janet przyjechali do Nowego Jorku poprzedniego wieczoru. *Joanna* miała wejść na broadwayowskie afisze w listopadzie. Ross był koproducentem nowojorskiego przedstawienia, wspólnie z Arthurem Wattsem. Zamierzał się maksymalnie zaangażować w fazach przedprodukcyjnych, w ciągu najbliższych trzech tygodni, ponieważ w połowie września musiał wrócić do San Francisco, żeby całkowicie skoncentrować się na sezonie jesiennym w swoim teatrze.

Z dwoma wyjątkami wszyscy członkowie zespołu z San Francisco zgodzili się przenieść do Nowego Jorku. Nie trzeba było nikogo zmuszać. To była życiowa szansa - zagrać na Broadwayu w już wychwalanym przez krytyków i przynoszącym ogromne dochody musicalu. Dwoje członków zespołu, którzy nie mogli wyjechać z San Francisco „na zawsze”, tygodniami zwlekało z decyzją.

Wyjazd całego zespołu do Nowego Jorku ułatwiał zadanie Arthurovi i Rossowi. Tylko dlatego można było przerwać przedstawienia w San Francisco i tak szybko zacząć na Broadwayu. Przed rozpoczęciem występów trzeba będzie się skupić wyłącznie na logistyce, a nie na kwestiach artystycznych.

Zarówno Ross, jak i Arthur wiedzieli, że najważniejszym członkiem zespołu, dzięki któremu uda się bez kłopotów przenieść sztukę do innego miasta, jest Janet. To było jej przedstawienie. To jej talent, energia i niezachwiany profesjonalizm natchnęły zespół i sprawiły, że wszyscy grali tak wspaniale. Janet była nienarzucającym się, wspaniałym przywódcą. Po cichu wyznaczała poziom, do którego równali pozostali aktorzy, czy to z zachwytu i szacunku, czy tylko dlatego, że musieli się dostosować.

Janet była krytycznie nastawiona do pomysłu przeprowadzki i jeszcze nie podpisała kontraktu. Jeszcze nie wyraziła zgody na bycie gwiazdą w broadwayowskiej wersji swojego przedstawienia. Powiedziała Rossowi, że nigdy nie była w Nowym Jorku i że jest szczęśliwa w San Francisco. Zanim podejmie decyzję, musi zobaczyć Nowy Jork.

Zatem Janet i Ross polecili do Nowego Jorku w połowie sierpnia. Żeby zobaczyć Nowy Jork.

Ross patrzył na jej duże, szare oczy spokojnie przyglądające się Manhattanowi przez barwioną szybę limuzyny.

Chociaż Ross pracował z Janet od ośmiu miesięcy, nie był w stanie stwierdzić, jakie myśli kryją się w jej głowie. On był reżyserem, a ona gwiazdą razem stworzyli mistrzowskie dzieło. Ich zawodowy związek był intensywny, bliski i twórczy, ale Ross nie wiedział nic - z wyjątkiem drobiazgów, które Kathleen opowiedziała mu przy okazji, mówiąc o Marcu - o jej życiu osobistym. O jej osobowości.

A jasnoszare oczy nie dawały mu żadnej wskazówki.

Do wczoraj, gdy lecieli z San Francisco do Nowego Jorku, Ross nigdy nie był sam z Janet poza teatrem. Cieszył się na pięć godzin lotu, siadając obok niej w kabinie pierwszej klasy. Będzie miał okazję z nią porozmawiać, poznać ją. Ale gdy tylko samolot oderwał się od płyty Międzynarodowego Lotniska w San Francisco, Janet pogrzyżyła się w lekturze.

Ross patrzył, jak czyta. Książka pochłaniała ją całkowicie.

- Dobrze? - zapytał w końcu, wskazując na książkę, *Iglę* Kena Folleta.

- Bardzo - powiedziała.

- Nie przypuszczałbym, że czytujesz powieści szpiegowskie.

- To coś więcej niż powieść szpiegowska. Opisuje relacje między mężczyznami i kobietami. Żądze, potrzeby... - Janet przerwała nagle i spojrzała na książkę.

- Cieszysz się, że zobaczysz Nowy Jork? - naciskał Ross, wykorzystując chwilową przewagę.

- Głównie się denerwuję. - Janet była trochę stropiona.

- Denerwujesz? - zapytał ze zdziwieniem. Nie spodziewał się, że ona ma nerwy. Dotąd widział w niej osobę spokojną chłodną jak stal i niezwykle energiczną.

- Oczywiście.

- Dlaczego?

- Boję się, że mi się nie spodoba. Że nie będę mogła tam występować. A ty i Arthur rozgniewacie się na mnie.

Ross spojrział na nią. Uświadomił sobie, że Janet mówi szczerze i po raz pierwszy zrozumiał, że jej wahanie co do wyjazdu nie jest tylko kaprysem. Nie była upartą gwiazdą. Zachowanie primadonny nie było w jej stylu. Nie pasowało do niej. Ross nie potrafił zrozumieć jej niechęci do przeniesienia się z zespołem do Nowego Jorku. Z tego, co wiedział, nie miała nikogo w San Francisco. Jej dochodzący do siebie były mąż zakończył się w Kathleen.

Ross uświadomił sobie, że opór Janet wobec przeprowadzki w nieznaną to poważna kwestia. Przeniesie się do Nowego Jorku, jeśli będzie mogła. Jeśli zdoła to znieść. Ale dlaczego miałyby nie zdołać?

Teraz, patrząc, jak Janet ogląda Manhattan, zastanawiał się, co myśli. Czy tu jej się podoba? Jak mogłoby się jej nie podobać?

W drodze do teatru, w którym miano wystawić *Joannę*, nie powiedziała ani słowa, a wyraz jej twarzy nie zmienił się ani trochę.

W teatrze powitali ich Arthur, reżyser, choreograf, inspicjent i projektant kostiumów.

Arthur ucałował Janet.

- Witaj, kochanie - powiedział, muskając jej policzek swoimi ustami. - Cudownie wyglądasz.

- Witaj, Arthurze. Dziękuję - odrzekła z uśmiechem.

Lubi Arthura, zauważył Ross. Może to coś da. Ross nie był przekonany, czy Janet lubi jego, ale oczywiście nie mógł tego stwierdzić. Nie miał żadnych wskazówek.

Janet obeszła teatr i powoli weszła na scenę.

- Jest głębsza niż scena w San Francisco - powiedziała. - I węższa. Trzeba będzie zmienić co najmniej dwa numery.

- Drobiazg.

Kiwnęła głową.

- Janet, muszę sprawdzić akustykę - powiedział Ross. - Arthur twierdzi, że jest najlepsza w Nowym Jorku.

- Dobrze. Chcesz...

- Zaśpiewaj *Marzenia*, dobrze? A ja się przejdę.

Janet nie odpowiedziała, tylko zaczęła śpiewać. Piosenka *Marzenia* rozślawiła ją w San Francisco. Była to urzekająca pieśń o miłości. Ross słyszał ją w wykonaniu Janet setki razy, ale wciąż, nawet teraz, nawet chodząc z jednego końca teatru w drugi, czuł się wzruszony.

- Mój Boże, jest dobra - szepnął Arthur do Rossa.

- Najlepsza.

- Przyjedzie?

- Nie mam pojęcia.

- W jaki sposób możemy ją przekonać?

- Prawdopodobnie nie zdołamy na nią wpłynąć. Ona po prostu zdecydowała. Ale co zaplanowałaś? - zapytał Ross, słuchając jednym uchem śpiewu Janet, wiedząc już, że odmówi, i zastanawiając się, dlaczego.

- Po eleganckim lunchu moglibyśmy rozejrzeć się za mieszkaniem. Teatr ma możliwość wynajęcia kilku apartamentów właśnie dla takich talentów jak Janet. Są wspaniałe. Najlepsze w Nowym Jorku. Nie będzie mogła się oprzeć.

Ross wzruszył ramionami. Słyszał plotki, że Janet mieszka w domku na wsi. Może więc powinni pojechać do Connecticut.

- Potem pokręcimy się po Piątej Alei. Jest tam oszałamiająco.

Ross nie wiedział, co może oszołomić Janet. Na pewno nie jej własna sława. Popularność chyba sprawiała jej przyjemność, ale raczej nie miała dla niej znaczenia. Janet nie nosiła drogich strojów ani biżuterii, chociaż, dzięki *Joannie*, mogłaby sobie z łatwością na nie pozwolić. A gaża, jaką zaproponowano za występ w nowojorskim spektaklu, mogłaby uczynić z niej stałą bywalczynią każdego butik na świecie.

Obejrzeni apartamenty, zrobili zakupy na Piątej Alei, wjechali na górę World Trade Center i obejrzeni Statuę Wolności. Janet nie była oszołomiona, ale rozglądała się szeroko otwartymi oczami, uśmiechając się uprzejmie.

- Wspaniała - mruknęła z uznaniem na widok Statui Wolności.

Zjedli obiad w najmodniejszej restauracji na Manhattanie. Natychmiast dostali stół, ponieważ Arthura wszyscy rozpoznawali i ponieważ był bardzo wpływową postacią. W tej restauracji o tym, czy klient dostanie stół, decydował *maitre d'hotel*. Rezerwacje, nawet te, których dokonano z kilkumiesięcznym wyprzedzeniem, miały niewielkie

znaczenie. Arthur zwykle przychodził bez rezerwacji i zawsze szybko dostawał stolik.

Dołączyło do nich troje przedstawicieli zarządu teatru - dwie kobiety i mężczyzna - którzy mieli nakłonić opierającą się Janet do przyjazdu do Nowego Jorku. Jeśli spodziewali się gwiazdy, potrzebującej po prostu dodatkowej dawki pochlebstw, musieli być zaskoczeni. Janet nie przypominała typowej primadonny. Nie prowadziła żadnej gry. Właściwie nie wiedzieli, kim jest. W spokojnej, młodej kobiecie studiującej menu, zręcznie skrywającej swoje przerażenie cenami, nie rozpoznaliby romantycznej, urokliwej Joanny.

Nie rozmawiano o decyzji Janet, lecz o przedstawieniu, tak jakby miała wziąć w nim udział. Ross uważnie obserwował jej szare oczy. Nie mógł z nich nic wyczytać.

Na początku wieczora Janet wyglądała na zaintrygowaną obserwowaniem otaczających ją ludzi, najbogatszych mieszkańców Nowego Jorku, w strojach od najlepszych projektantów, doskonale uczesanych, obwieszonych biżuterią, bardzo eleganckich w ten środowowy, sierpniowy wieczór. Nie rozpoznała zbyt wielu twarzy, ale natychmiast dostrzegła oznaki bogactwa i wpływów. Rozpoznałaby nazwy firm, które należały do tych osób, oraz ludzi, którzy im podlegali.

Później, przy doskonałym winie i wykwintaym jedzeniu, gdy rozmowa się ożywiła, zamknęła się w sobie. Przy ich stoliku zatrzymało się piętnaście osób, żeby porozmawiać z Arthurem i poznać Janet. Uśmiechała się z wdziękiem, miło kiwała głową, słysząc ich komplementy - wielu z nich poleciało do San Francisco specjalnie po to, żeby zobaczyć ją w *Johannie* - ale z odejściem każdego kolejnego wielbiciela robiła się cichsza.

Gdy podano zupę-krem ze szparagów, uwagę Rossa od Janet odciągnęła Stacy, jedna z dwóch kobiet, które jadły z nimi obiad. Stacy już dawno uznała, że nie będzie miała wpływu na decyzję Janet - oczywiście Janet i tak postanowi się przeprowadzić - więc całe zainteresowanie skupiła na Rossie.

Gdy porcelanowe talerze, puste, z wyjątkiem talerza Janet, zostały zręcznie i dyskretnie usunięte ze stołu, dłoń Stacy z równym znanstwem masowała wewnętrzną stronę uda Rossa.

Dopiero gdy Arthur zaproponował, żeby poszli do jego klubu na deser i tańce, Ross przeniósł uwagę ze Stacy na Janet. Pójdzie do klubu Arthura, jeśli ona zechce.

Ross spojrzął przez stół, spodziewając się zobaczyć spokojny uśmiech Janet, i osłupiał. Janet się nie uśmiechała, chociaż chyba próbowała. Jej pełne usta drżały, a zawsze pogodne oczy były zachmurzone. Burzliwe. Gniewne.

Ross szybko wstał, odsuwając dłoń Stacy, i przeszedł naokoło stołu do krzesła Janet. Swobodnie położył jej dłoń na ramieniu.

- Janet i ja darujemy sobie chyba resztą wieczornych atrakcji. To był ciężki dzień. Oboje jesteśmy trochę zmęczeni po podróży - powiedział, łagodnie pomagając Janet wstać. Poszła za nim chętnie.

Ross poprowadził ją szybko do szatni, a potem do czekającej już taksówki, która zawiozła ich prosto do hotelu Plaża.

Dobiegała północ. Ulice Manhattanu wciąż były zatłoczone, ruchliwe, pełne życia i energii, które Ross uwielbiał, a które, nie wiadomo dlaczego, przerażały Janet. Jeśli problem tkwił w tym. Ross czekał, aż Janet coś powie, patrząc, jak siedzi skulona i drżąca w drugim końcu taksówki, z pochyloną głową, wpatrując się we własne dłonie.

Nie odezwała się słowem.

W milczeniu pojechali windą hotelową. Zajmowali sąsiadujące apartamenty. Janet drżącą dłonią próbowała włożyć klucz do dziurki. Ross wziął go od niej i otworzył drzwi. Potem wszedł za nią do środka.

- Więc? - zapytał w końcu.

- Nie mogę, Ross. Przepraszam - powiedziała. Z jej zamglonych, szarych oczu popłynęły łzy, jak krople deszczu z burzowej chmury. Jej oczy były ciemne, złowieszcze.

- Dlaczego? - zapytał bezradnie, nie spodziewając się odpowiedzi.

- Nie mogę tu mieszkać. Jestem nie na miejscu.

- Nie jesteś nie na miejscu. Jesteś wyjątkowa.

- Nie mogę tu oddychać. Nie mogę odpocząć ani się zrelaksować. Wszystko i wszyscy poruszają się tak szybko. Tak wiele oczekują.

Wiem, pomyślał Ross, to właśnie uwielbiam w Nowym Jorku. Lubię czuć to ożywienie, ten rytm, lubię za nim nadążyć.

- W San Francisco też wiele się oczekuje.

- To co innego - powiedziała. - I ty to wiesz.

- Wiem. Uwielbiam tę różnicę.

- A ja nie. Uduszę się tu, Ross. Będę się bała wyjść z mojego cudownego apartamentu, a jeśli nie wyjdę, to poczuję się jak ptak w klatce. Nie zdołam wezwać taksówki ani zamówić obiadu w restauracji.

- Dostaniesz wszystko, Janet. Nie będziesz musiała niczego robić - powiedział, patrząc na jej przerażoną twarz. Nigdy dotąd nie widział w niej strachu. Tylko spokój, pewność siebie i pogodę.

Nie chcę, żebyś się bała, Janet, pomyślał.

- To nie jest życie, Ross. Nienawidziłabym tego. Nie chcę być delikatnym stworzeniem przenoszonym z jednej złoczonej klatki do drugiej. Oczywiście dałoby się to zrobić, ale ja bym bardzo cierpiała. Uduśliłabym się tu.

- Janet, jesteś silną kobietą sukcesu - powiedział Ross, wypróbując nową taktykę. Nie chciał, żeby się bała, ale bardzo chciał, żeby przyjechała grać w Nowym Jorku.

- Nie mogę tu mieszkać - powtórzyła zdecydowanie Janet.

- Z powodu Marka? - zapytał Ross, wiedząc, że nie ma prawa.

- Marka? Nie - odparła spokojnie. - Mówiłam ci. Nie można przenieść wiejskiej dziewczyny z Nebraski do Nowego Jorku. Przynajmniej nie tej.

- Jeśli zagrasz w tym przedstawieniu na Broadwayu, zdobędziesz nagrodę Tony. Nie chcesz?

Wzruszyła ramionami.

- Nie chcesz, żeby wszyscy wiedzieli, że jesteś najlepsza? - zapytał.

- Najlepsza... - powtórzyła w zamyśleniu. - Nie. Bycie najlepszą nigdy nie miało dla mnie znaczenia. Śpiewam, bo kocham śpiew. Chcę, żebyście z Arthurem zdobyli Tony'ego, ale możecie tego dokonać beze mnie.

- Nie rozumiem cię. Zarzynasz się na każdym przedstawieniu. Pracujesz jak maniaczka. Jesteś perfekcjonistką, nawet jeśli nie chcesz tego przyznać. A teraz mówisz, że nie zależy ci na byciu najlepszą. Po tylu miesiącach ciężkiej pracy odrzucasz zawodową szansę, dla której większość kobiet byłaby skłonna zabić?

Ross mówił podniesionym głosem. Czuł się sfrustrowany. Nie rozumiał jej, ale bardzo chciał. Potrzebował tego. Podejmowała tak ważną decyzję - niewłaściwą decyzję - a on nie wiedział, dlaczego.

Janet usiadła w niebieskim, obitym jedwabiem fotelu ustawionym w rogu apartamentu. Nie powiedziała ani słowa, ale znów zaczęła płakać. Na jej twarz wróciło przerażenie.

Ross patrzył na nią bezradnie, uświadamiając sobie, jak mało wie o Janet. Znał ją lepiej jako Joannę. Silną piękną nieustraszoną Joannę. Ross był oczarowany Joanną tym, jak Janet grała Joannę. Trochę kochał się w Joannie.

Ale Joanna nie istniała. Tylko Janet. Kobieta, której nie znał. Miała najpiękniejszy głos na świecie i cudowne oczy, które nic mu nie mówiły. Jej zmysłowe usta chętnie się uśmiechały. Mogłaby mieć Nowy Jork u stóp, ale nie chciała nawet spróbować.

Janet, kobieta, która była raz zakochana. Ross widział to w jej oczach, gdy zobaczyła Marka po premierze. Ross widział w jej oczach miłość i smutek. To samo dostrzegł w oczach Marka. Nie powiedział tego Kathleen. Nie miało to sensu. W ich oczach Ross zobaczył coś jeszcze: ich związek się skończył, ale pozostały wspomnienia.



Kim jesteś?, zastanawiał się Ross. Joanną. Janet. Byłą miłością Marka. Niczyją kochanką.

- Przyglądasz mi się - szepnęła w końcu.
- Próbuję cię rozgryźć. Dowiedzieć się, co cię porusza.
- Muzyka - odpowiedziała szybko Janet, wołąc rozmowę od badawczego spojrzenia Rossa.
- A jednak to za mało, żebyś tu została.
- Gdyby Nowy Jork był jedynym miejscem na świecie, gdzie mogłabym śpiewać, zostałabym - powiedziała powoli.
- A gdybyśmy z Arthurem puścili płotkę? Oczernili cię przed światem.

Janet na chwilę zmarszczyła brwi, ale zaraz się uśmiechnęła.

- Nie zrobiłbyś tego - powiedziała po prostu.
  - Nie? - zapytał.
  - Nie. Jesteś uczciwym człowiekiem.
- Skąd wiesz?, zastanawiał się, zadowolony. Oczywiście, że nie zaszkodziłby jej w żaden sposób, niezależnie od tego, kim była.

- Co zrobisz?
- Mogę się rozejrzeć po społecznych teatrach w rejonie zatoki. Przez jakiś czas mogę nawet pracować za darmo. Dałeś mi tyle pieniędzy... - powiedziała cicho.

Ma rację, dałem, pomyślał Ross. Nie chciała zatrudnić agenta, negocjować. Powiedziała, żeby zapłacił jej tyle, ile uważa za stosowne. Zapłacił jej dużo. To było stosowne.

- Nie przypuszczam, żebyś ty chciał mnie zaangażować? - zapytała ostrożnie.

- Do czego?
- Do jakiegokolwiek przedstawienia w tym sezonie. Co wystawiacie? - zapytała. Była tak zajęta *Joanną* i tak bardzo martwiła się przeprowadzką do Nowego Jorku, że nawet się tym nie zainteresowała.

- *Piotrusia Pana*. Świat jest gotów na nową wersję tej sztuki.
- Z kobietą w roli głównej?
- Nie. Mógłbym zastanowić się nad tobą, ale już mam Petera. - Ross wybrał mężczyznę do głównej roli przed wyjazdem do Nowego Jorku. Przesłuchania do pozostałych partii miały się odbyć podczas jego nieobecności. We wrześniu, po powrocie, wybierze kogoś spośród wstępnie przesłuchanych finalistów. - Jest trochę starszy niż tradycyjny Piotruś. Zagra Piotrusia jako młodego dorosłego. Piękny tenor.

Janet kiwnęła głową.

- Masz już cały zespół?

- Janet. Jesteś wielką gwiazdą. W *Piotrusiu* nie ma wiodących ról kobiecych. Nie wyobrażam sobie ciebie grającej w zespole, a ty?

- Tak. Ross, ja nie muszę być gwiazdą.

- Napijesz się czegoś? - zapytał, podchodząc do doskonale zaopatrzonego barku, pragnąc zyskać na czasie. Jego twórczy, innowacyjny umysł zaczął pracować na pełnych obrotach. Jak można wykorzystać Janet w *Piotrusiu Panie*? Powinno to być całkiem nowe przedstawienie. Prawdopodobnie uwspółcześnione. Już wybrał trochę starszego Piotrusia. Może więc prawdziwa historia miłosna? Romans?

- Nie, dziękuję. Ross, czy masz już...

- Wendy - powiedział Ross. Janet mogłaby zagrać Wendy. Wendy i Piotruś mogliby się naprawdę zakochać. Można by było napisać kilka nowych piosenek dla Wendy. I miłosnych duetów dla Wendy i Piotrusia. To mogłoby się udać. Ryzykowne, ale wykonalne. Podjął ryzyko przy *Joannie* i to się opłaciło.

Głównie z powodu Janet. A przecież to z nią wiązało się największe ryzyko.

Janet mogłaby zagrać Wendy. Mogłaby stworzyć cudowną, romantyczną Wendy.

- Ross?

- Nie, Janet, nie mam jeszcze Wendy.

- Mogłabym się zgłosić na przesłuchanie?

Ross gapił się na nią.

- Przesłuchanie? - zapytał tępo. Już obmyślał zarys przedstawienia.

- Do roli Wendy. Mogę przyjść na przesłuchanie?

- Chcesz Wendy? Nawet taką nowoczesną, która zakochuje się w Piotrusiu?

- Tak!

- Dobrze.

- Dobrze? Mogę się zgłosić na przesłuchanie?

- Dobrze. Jesteś Wendy. Zaraz zadzwonię do Jacka do San Francisco. Spotkamy się tam za tydzień - odparł Ross machinalnie. Już miał w głowie dwie wielkie produkcje w dwóch miastach. Z powodu Janet ta nowojorska właśnie się skomplikowała, ale ta z San Francisco stała się bardziej ekscytująca. - Muszę tu zostać i zacząć szukać nowej Joanny. Janet, zjedzmy jutro razem lunch. Pogadamy o Wendy.

- Och... dobrze - powiedziała z wahaniem.

- Coś nie tak?

- Nie. Nie. Ja... Ja tylko...

- Co?

- Chciałam rano pojechać w odwiedziny do rodziny w Lincoln.

- Nie chcesz zostać w Nowym Jorku i pozwiedzać, skoro już nie masz się czym denerwować?
- Nie.
- Zjesz ze mną śniadanie? Przed wyjazdem? Do rana wszystko obmyślę. Dobrze? Ósma? Możesz polecieć w południe.
- Tak, zgoda - powiedziała Janet, wstając, bo zauważyła, że Ross idzie w stronę drzwi. - Do zobaczenia. I...
- Tak?
- Dziękuję ci - powiedziała łagodnie.
- Nie ma za co - odrzekł, wychodząc. Musiał zatelefonować do kilku osób. Musiał przekazać Arthurowi złą nowinę i poinformować Jacka o tym, co mogło być najlepszą wiadomością całego sezonu.

## Rozdział 19

**L**eslie skontaktowała się z Jamesem dopiero dzień po jego telefonie. Pierwszego wieczoru zadzwoniła za późno. Zostawiła wiadomość na sekretarce. Ale następnego wieczoru, gdy zatelefonowała, był jeszcze w pracy. Odebrał.

- Halo.
- James?
- Leslie.
- Bałam się, że znów trafię na automatyczną sekretarkę.
- Czekam na kilka telefonów. Nie włączyłem jej.
- Co to jest O'Keefe, Tucker i Stevenson?
- Firma architektoniczna.
- Jesteś architektem?
- Uhm. A ty lekarzem. I... hm... gwiazdą telewizji.
- Och, to...
- Tak się dowiedziałem, gdzie jesteś.
- Och - powiedziała Leslie i zamilkła. Gdy usłyszała głos Jamesa, załazy ją wspomnienia. Dlaczego zadzwonił do niej po tylu latach?
- Jak on się czuje? - zapytał James.
- Kto?
- Ten drugi lekarz. Ranny.
- Dobrze. Wszystko w porządku - odpowiedziała. Po chwili ciszy zapytała: - Jak się miewasz?

- Dobrze. A ty?
- Dobrze.
- Leslie, chciałbym cię zobaczyć. Wyjaśnić sprawę listu...
- Listu?
- Tego, który napisałaś do mnie milion lat temu. Nie przeczytałem go od razu. Nawet nie wiedziałem, że przyszedł, znalazłem go dopiero po dziesięciu miesiącach. Trochę późno na podziękowania, ale...
- Nie ma za co.
- Zjesz ze mną lunch? Albo kolację? Albo...?
- Z lunchem będzie kłopot. Nie mogę się wyrwać. Kolacja byłaby miła - powiedziała Leslie. Miła? Miła kolacja z Jamesem? Kolacja z miłym Jamesem? Leslie zakręciło się w głowie.
- Kiedy?
- Najbezpieczniej umówić się na wrzesień, kiedy przestanę pracować w Szpitalu Ogólnym i wrócę do Szpitala Uniwersyteckiego. Tutaj wszystko może się zdarzyć. Czasami wychodzę z pracy bardzo późno. W Szpitalu Uniwersyteckim trochę łatwiej wszystko przewidzieć.
- Masz swój rozkład zajęć?
- Tak - powiedziała Leslie, patrząc w kieszonkowy kalendarzyk-reklamówkę firmy farmaceutycznej. Zakreśliła na czerwono noce dyżurów.
- Najlepiej będzie po święcie pracy - powiedział James.
- Leslie odniosła wrażenie, że James też zagląda do kalendarza.
- Dobrze. Zastanówmy się. Dziesiątego mam dyżur, więc to odpada. Jedenastego będę odpoczywać. Może dwunastego? - zapytała z roztargnieniem Leslie, zastanawiając się, dlaczego przy dwunastym napisała liczbę dwadzieścia siedem.
- To twoje urodziny - powiedział cicho, zastanawiając się, co robi. Leslie nie miała planów na urodziny. Czyli pewnie jest samotna. Ale on nie.
- Racja - powiedziała ze śmiechem. To oznaczała liczba dwadzieścia siedem.
- Więc jesteś wolna?
- Tak - odpowiedziała. Coś w jego głosie kazało jej zapytać: - A ty?
- Tego wieczoru, tak - odparł z wahaniem. - Moja żona pracuje. Jest stewardessą.
- Cheryl? - zapytała szybko Leslie.
- Kto? Nie - powiedział, przypominając sobie. - Nie. Nie znasz jej. Ty nie wyszłaś za męża?
- Nie.
- Wpadnę po ciebie o siódmej - powiedział szybko James, żeby nie zmienić zdania.

Leslie podała mu adres i numer telefonu.

- Wiesz, te twoje zdjęcia z mokrymi włosami i w tym niebieskim fartuchu...

- Nie widziałam ich.

- Wyglądałaś tak samo, jak nad jeziorem tamtego dnia. Gdy pływałaś w lodowatej wodzie. Pamiętasz?

- Pamiętam - powiedziała Leslie. Jak mogłabym zapomnieć ten dzień? Albo tę noc?

- Uważam, że nie powinniśmy tam iść - powiedziała Kathleen, delikatnie dotykając jego kredowobiałych skroni swoimi lekko opalonymi palcami.

Zwykle o tej porze latem jej skóra była złotobrązowa, ale nie tego roku. Przez ostatnie trzy miesiące spędzała każdą minutę w szpitalu, przy łóżku Marka. Teraz Mark wreszcie był w domu. Jego wskaźnik hematokrytowy wynosił dwadzieścia siedem, nieco ponad połowę normalnej wartości, więc Mark był blady i słaby, ale wrócił do domu. Mogła się nim opiekować dzień i noc.

Wziął jej dłoń i podniósł do swoich ust.

- Jesteś honorową druhną - powiedział, całując ją w rękę i uśmiechając się do niej. - A ja chcę iść.

Markowi nie zależało na pójściu na ślub Betsey i Jeffa. Właściwie martwił się, czy to wytrzyma. Był bardzo słaby. Chodząc po małym mieszkaniu - o wiele większym niż szpitalny pokój - nie mógł złapać tchu, pocił się i chwiało.

Nie zależało mu na ślubie, ale chciał być z Kathleen.

- Ty... Oboje w każdej chwili możemy zmienić zdanie - powiedziała zdecydowanie. Betsey może spokojnie wyjść za mąż bez niej. Kathleen nie zostawi Marka samego w domu.

- W każdej chwili w ciągu następnych kilku godzin? - drażnił się.

- To już tylko cztery godziny, prawda? - wykrzyknęła Kathleen, spoglądając na zegarek. - Ciekawe, jak tam Betsey.

- Pewnie się zamartwia, że nie przyjdiesz. Zadzwoń więc do niej i powiedz, że będziemy.

- Na pewno?

- Tak - powiedział silnym głosem Mark. Dobrze mu zrobi wyjście na dwór. Może wytrzyma. Poza tym śluby to szczęśliwe, radosne wydarzenia. ...

- Kochani...

Goście siedzieli podczas przysięgi. Mark poczuł ulgę. Nie musi się martwić swoją słabością. Skupi się na ceremonii, będzie patrzył na Kathleen i słuchał słów przysięgi.

- Czy ty, Jeffie, bierzesz Betsey...

Czy ty, Marku, bierzesz Janet...

Janet. Zalała go fala emocji, gdy przypomniał sobie jej szare oczy, lśniące miłością, radością i szczęściem w dniu ich ślubu. Ona - oni - była taka pewna, taka zdecydowana, gdy ślubowali sobie dożywotnią miłość.

- Na dobre i na złe...

Na złe. On i Janet tego nie przetrwali i była to jego wina. Nie pozwolił, żeby mu pomogła. Nie dzielił z nią najgorszego, chociaż obiecał. Nie wiedział. Ona wiedziała. Widziała jego ból. Próbowwała mu powiedzieć, pomóc mu, kochać go. Ale on jej nie wierzył.

To on złamał ślubowanie. A teraz - w jakiś cudowny sposób - to jemu dano drugą szansę.

Kathleen. Stała dwa metry od Betsey i Jeffa, uśmiechając się, zamyślona, słuchając, jak jej przyjaciele składają przysięgę małżeńską. Mark patrzył na jej śliczny profil. W głowie kłębiły mu się myśli. Czy potrafi uniknąć błędów, które popełnił z Janet? Czy potrafi, czy zdoła dzielić się z nią wszystkim? Czy mogą żyć i kochać się na dobre i na złe?

Gdy Mark na nią patrzył, rozmyślając, zastanawiając się, mając nadzieję, wspominając, Kathleen odwróciła głowę, żeby na niego spojrzeć. Jej lśniąca, fiołkowa oczy pełne emocji, miłości popatrzyły w jego oczy. Jej usta ułożyły się w piękny uśmiech, tylko dla niego.

Jak gdyby mu odpowiadała.

Tak. Damy sobie radę. Na dobre i na złe.

- Dopóki was śmierć nie rozłączy...

Tak.

Tak.

Janet zadzwoniła do Leslie trzy dni przed jej urodzinami.

- Masz plany na urodziny, Leslie?

- Jem kolację z, hm, kolegą z liceum.

- Och.

- Jak tam *Piotruś Pan*? - zapytała Leslie, szybko zmieniając temat.

Nie chciała rozmawiać o swoim spotkaniu z Jamesem. W ciągu ostatnich kilku tygodni wielokrotnie podnosiła słuchawkę, żeby odwołać spotkanie, ale nie była w stanie wykręcić numeru.

- Fantastycznie. Człowiek, który gra Piotrusia i który, przy okazji, ma tak samo na imię, jest wspaniały. Nowa Wendy to dla mnie doskonała rola. Wciąż trwa burza mózgów. Ross co chwila wpada na lepszy, innowacyjny pomysł. Jest bardzo utalentowany.

- Lubisz go - zauważyła Leslie. Od powrotu z Nowego Jorku i Lincoln Janet często mówiła o Rossie. Jej głos brzmiał wtedy nieco łagodniej.

- Szanuję go, Leslie. Jest bardzo zdolny. Zachował się tak wspaniało-myślnie, gdy postanowiłam, że nie przeniosę się do Nowego Jorku - powiedziała powoli. - Zrobiłam tam z siebie idiotkę, i to na jego oczach.

- Ale on bez zastanowienia dał ci rolę Wendy - zauważyła Leslie.

- Przynoszę dochody, Les. Oprócz tego, że Ross ma wielki talent, jest również bardzo wrednym biznesmenem. Łączą nas tylko sprawy zawodowe - powiedziała dobitnie Janet. Ponieważ była to prawda.

- Jak chcesz! - drażniła się z nią Leslie.

- Słodka jesteś. Może uczcimy twoje urodziny w przyszłym tygodniu? Pójdziemy gdzieś na kolację?

- Jasne.

James przyszedł punktualnie o siódmej.

- Cześć - szepnęła Leslie, oddychając z trudem.

James wyglądał inaczej. Był starszy. Jeszcze przystojniejszy. Jego zielone oczy wydawały się mądrzejsze, a wśród czarnych włosów widać było siwe pasma. Starszy. Mądrzejszy. Jeszcze wspanialszy niż w jej wspomnieniach.

- Leslie. Nie zmieniłaś się - powiedział. Piękna, zmysłowa, naiwna Leslie.

Leslie uśmiechnęła się miękko, pewnym siebie uśmiechem.

A jednak się zmieniła, pomyślał James. Wewnętrznie. Stała się kobietą, z kobiecymi pragnieniami, wiedzą i pewnością siebie.

Leslie też była starsza i mądrzejsza.

- Dobrze wyglądasz, James - powiedziała Leslie. Bardzo, bardzo dobrze.

- Ty też.

James zabrał ją do popularnej włoskiej restauracji na North Beach, słynącej ze wspaniałego jedzenia i powolnej obsługi. Oboje zamówili mrożoną herbatę zamiast koktajli.

- Wszystkiego najlepszego - powiedział James, podnosząc szklankę z mrożoną herbatą.

- To miły sposób na spędzenie urodzin. Miło cię znów widzieć - powiedziała Leslie. Miło. Tylko że jesteś żonaty. Musiała to usłyszeć. Musiała raz na zawsze zakończyć swoje fantazje. - Opowiedz mi wszystko. Od tej straszliwej, przynajmniej dla mnie, nocy w Centrum Handlowym Seattle do firmy architektonicznej O'Keefe, Tucker i Stevenson.

- A może ty mi coś opowiesz? Od rozbrykanej nastolatki do lekarza i bohatera. Ty pierwsza.

- Dobrze. To krótkie i łatwe. Zrobiłam to, czego wszyscy się po mnie spodzielali: cztery lata w Radcliffe; powrót do Seattle, na medycynę na Uniwersytecie Waszyngtona, też cztery lata; potem wyjazd do San Francisco i praca stażystki, a teraz lekarza. - Leslie przerwała. Po chwili uśmiechnęła się i powiedziała: - Twoja kolej.

- Nie wyszłaś za mąż?

- Raz byłam bardzo blisko. Ale na szczęście w porę się zorientowaliśmy, jaki błąd zamierzamy popełnić. Studiowaliśmy razem. Byliśmy kolegami z grupy. Myśleliśmy, że się kochamy, aż przyszedł czas zgłaszania się na staż. On wymarzył sobie chirurgię na Harvardzie, a ja chciałam przyjechać tutaj. Żadnemu z nas nie zależało na tyle, żeby się nagiąć. Straszne, co?

- Historia się powtarza - powiedział James. Już kiedyś przedłożyła to, co chciała robić, nad drugą osobę. - Wtedy mówiłaś, że jesteś za młoda.

- A ty powiedziałeś, że dla odpowiedniej osoby zrobiłabym to niezależnie od wieku.

- Ja to powiedziałem?

- Takie mądre zdanie. I... - Leslie przerwała. Dlaczego miałyby mu tego nie wyznać? - Gdy to powiedziałeś, czułam, że mogłabym to zrobić dla ciebie. Mogłabym zrezygnować z Radcliffe. Dla ciebie.

James spojrział na swoją mrożoną herbatę i zmarszczył brwi. Przeniósł wzrok na Leslie.

- Naprawdę?

Kiwnęła głową.

- To by się nie udało - stwierdził bezbarwnym tonem.

Leslie uśmiechnęła się i wzruszyła ramionami.

- Tylko mówię, co czułam. Wtedy.

James sięgnął do kieszeni po papierosa i zapalił go. Leslie patrzyła, jak oczy przesłania mu dym, a papieros zwisa nonszalancko z ust.

Czasami, gdy była szczególnie zmęczona lub rozdrażniona, patrzyła lodowatym wzrokiem na palacza, wysyłając mu jasną informację o oburzeniu i potępieniu.



Teraz jednak patrzyła na Jamesa i myślała: „Jest taki przystojny i seksowny, gdy pali”.

Z uśmiechem potrząsnęła głową. James zauważył.

- Co?

- Och, to tylko wewnętrzny paradoks, który próbuję rozwiązać.

- Co do mojego palenia?

- Tak.

- Już nie będę - powiedział, zaczynając gasić papierosa.

- Nie. W porządku. Oto paradoks. Spędzam dużą część życia, opiekując się ludźmi, którzy nieodwracalnie zniszczyli swoje zdrowie papierosami. Nie mówiąc o tych, którzy z tego powodu umarli. Od czasu do czasu nawet się na to wściekam. Widziałam sekcje zwłok, płuca palaczy, zaawansowanego raka...

- Odkładam papierosa - rzekł potulnie James, gasząc go w popielnicze.

- Ale tu jest haczyk. Do twarzy ci z papierosem. Większości ludzi nie, ale tobie tak. Zawsze ładnie wyglądałeś z papierosem. Lubię patrzeć, jak palisz.

- Chcesz, żebym zapalił?

- Nie - powiedziała łagodnie, poważnie. - Nie powinnam być taka pobłażliwa, ponieważ chodzi o twoje płuca. I o twoje życie. Nieegoistyczna część mnie, której zależy na twoim zdrowiu, a nie na tym, żebyś ładnie wyglądał z papierosem, chce, żebyś przestał palić.

James przyglądał się jej przez dłuższą chwilę. W końcu jego spojrzenie stało się zbyt przenikliwe. Leslie odwróciła wzrok.

- Opowiedz, co się z tobą działo. Zaczynając od Cheryl.

- Cheryl. - James się zamyślił. - Cheryl była żoną najlepszego przyjaciela mojego brata. Obaj byli w Wietnamie, a Cheryl czuła się samotna. To był związek bez znaczenia, Leslie.

- Ale za to intensywny?

- Zajął mnie tego lata. Jej mąż i mój brat wrócili z Wietnamu we wrześnie. Fizycznie cali i zdrowi, ale rozbici psychicznie - powiedział z goryczą James. - Tak czy inaczej, Cheryl wróciła do męża. Tak, jak miało być.

- Wyglądało na to, że ją lubisz - powiedziała Leslie, przypominając sobie ten wonny, sierpniowy wieczór.

- Oczywiście, że ją lubiłem, ale ten związek dla żadnego z nas nic nie znaczył. To była tylko obrona przed samotnością.

Leslie potrząsnęła głową.

- Leslie, mój związek z Cheryl nie różnił się od twojego związku z Alanem. Oboje wiedzieliście, że to nie prawdziwa miłość, ale było wam przyjemnie.

- Ale żadne z nas nie było po ślubie - powiedziała Leslie. I dodała powoli: -1 nigdy ze sobą nie spaliśmy.

- Nie wiedziałem. Po prostu założyłem, że tak jest - powiedział James, marszcząc brwi, przypominając sobie. Chciał się kochać z Leslie tej nocy nad jeziorem. I przy stu innych okazjach. Nie miał pojęcia, że byłyby to jej pierwszy raz. Nic dziwnego, że uciekła.

- W liceum byłem bardzo naiwna, James. Wiedziałeś o tym. Dorosłam dopiero w Radcliffe.

James kiwnął głową. Zastanawiał się, jakie jeszcze błędne założenia poczynił co do Leslie.

- Dlatego napisałam do ciebie ten głupi list - powiedziała Leslie.

- Nie głupi. Ten list uratował mi życie.

- Co takiego?

- Musiał przyjść do obozu z listami od Cheryl. Dostawaliśmy pocztę tylko dwa razy w tygodniu, a Cheryl pisała codziennie. Pewnie więc przyszedł z innymi listami, aleja go nie zauważyłem. Zwykle tylko rzucałem okiem na listy od Cheryl, bo wszystkie były do siebie podobne. Ale zatrzymałem wszystkie listy, łącznie z tym nieotwartym, od ciebie. Tamtej jesieni zacząłem studia na Uniwersytecie Waszyngtona, tak jak zamierzałem. Sprawa poboru wciąż była nierozwiązana, a ja postanowiłem skorzystać z szansy, którą dawały studia. Mój entuzjazm naukowy trwał około dwóch tygodni - powiedział James. Westchnął ciężko i dodał: - Zastąpił go entuzjazm narkotykowy.

- Narkotykowy?

- Tak. Szukałem jakiejś formy ucieczki - powiedział chrapliwie James, przywołując gorzkie wspomnienia. - Oczywiście od lat piłem alkohol. I troszkę się narkotyzowałem... Marihuaną. Ale nagle zyskałem dostęp do kwasu, amfetaminy i meskaliny. Do wszystkiego.

- Dlaczego brałeś? - zapytała Leslie.

- Najpierw z ciekawości. O narkotyki było bardzo łatwo. Pewnie tak samo było w Bostonie. Chyba przynajmniej spróbowałaś marihuany?

- Nie - powiedziała Leslie, przypominając sobie swoją pogardę dla studentów, którzy brali narkotyki, którzy potrzebowali narkotyków. Ciekawość Leslie zaspokajały inne rzeczy: ludzie, których poznawała, zajęcia przygotowawcze na medycynę, działalność w kampusie, lektury. Eksperymentowała jedynie seksualnie, i to dopiero na drugim roku, z mężczyzną, którego - jak jej się zdawało - kochała.

- Nie? Dla mnie były doskonałą ucieczką; na prochach udawało mi się przeżyć dzień. Widziałem nieistniejące światła i kolory, za to nie dostrzegałem rzeczy prawdziwych, o których wolałbym zapomnieć. Wreszcie czułem się zadowolony z siebie.

- Ucieczka? Zapominanie? Zadowolenie z siebie? Nie rozumiem.

- W liceum - wyjaśniał powoli James - zawsze myślałaś, że panuje nad sobą, że wiem, czego chcę, że potrafię dokonywać wyborów. Tak?

- Tak. Wydawałeś się taki spokojny. I opanowany. I jako jedyny uczeń w dziejach szkoły byłeś członkiem naszej grupy i swojego gangu jednocześnie. Przychodziło ci to bez trudu. Wydawało się, że nic ci nie przeszkadza - powiedziała Leslie.

- To była iluzja. Byłem przerażonym chłopcem, szukającym sobie miejsca. Nie wierzyłem, że mogę je znaleźć. Albo że ktoś mnie zaakceptuje.

- Ale przecież byłeś taki utalentowany, taki zdolny!

- Miałem złe mniemanie o sobie. Nie wierzyłem w siebie. Wierzyłem tylko w to, że i tak przegram.

- Dlaczego? - zdumiała się Leslie.

- Bo to mi mówił - rzekł ponuro James. - Powtarzał mi to bez przerwy mój ojciec alkoholik.

- Och! - wykrzyknęła Leslie. Potem dodała łagodnie: - Dziecko alkoholika.

- Alkoholików - poprawił James. - Uczono cię o tym na medycynie?

Leslie kiwnęła głową, przypominając sobie.

- Rodzic alkoholik nie ma szacunku dla samego siebie i przenosi nienawiść do siebie na dzieci. Dzieci często zachowują się wzorowo i świetnie się uczą, bo zabiegają o rodzicielską miłość i aprobatę; ale rodzic nie jest w stanie im tego dać, więc dziecko, choć pozornie odnosi sukcesy, zawsze czuje się przegrane. Skazane na niepowodzenie, niezależnie od okoliczności - powiedziała Leslie, streszczając to, czego nauczyła się o niedawno odkrytym syndromie.

- Wszystko się zgadza. Oczywiście jako dziecko nie rozumiałem, że problem tkwił w nim, a nie we mnie. Wiedziałem tylko, że wciąż go zawodzę. W końcu stało się to moim problemem. Zacząłem czuć, że zawodzę samego siebie. Ludzie, którzy mają do siebie szacunek, nie romansują z żoną najlepszego przyjaciela swojego brata ani nie biorą codziennie narkotyków. Ludzie, którzy się szanują, nie próbują się zniszczyć.

- Dzieci rodziców alkoholików też stają się alkoholikami - powiedziała Leslie. Dostrzegła ból w oczach Jamesa. Wiedziała, że on jakoś

przetrwiał, ale zastanawiała się nad chaosem, który musiał znieść, i nad spustoszeniami, które mogły się dokonać w jego osobowości.

- Byłem na dobrej drodze. Piłem, żeby uciec. Potem sięgnąłem po narkotyki. Byłem naćpany dosłownie bez przerwy przez pierwsze trzy semestry. Przez dziewięć miesięcy stale miałem we krwi jakiś narkotyk, często więcej niż jeden.

- Jak cię było na nie stać?

James uśmiechnął się słabo.

- Leslie, ty przecież studiowałaś i mieszkałaś w kampusie na początku lat siedemdziesiątych! Jak mogło ci to umknąć? To była era wolnej miłości, darmowych narkotyków, braterstwa, ucieczki. Włączyć się. Dostroić się. Odpać. Pamiętasz?

- Mniej więcej - powiedziała nieco zakłopotana Leslie.

- Tak czy inaczej, drogie narkotyki, jak kokaina, nie były wtedy popularne. Większość kwasu, LSD, robiło się po lekcjach w laboratoriach chemicznych w kampusie. Dostawałem narkotyki od przyjaciół. Miałem wiele kochanek. Spałem w pięćdziesięciu różnych łóżkach, mieszkałem dzień lub tydzień w jednym miejscu, potem ruszałem dalej. Przez dziewięć miesięcy moje życie było snem, mgłą, która nigdy się nie podnosiła. I wcale nie było to nieprzyjemne.

- Nie?

- Nie, Leslie. Pod wieloma względami było mi bardzo przyjemnie. Nie mogłem przegrać, bo nie starałem się o sukces. Zapomniałem o paskudnych kłótniach z ojcem. Chroniła mnie ciepła mgła narkotyków, seksu i muzyki. Na ogół czułem się bardzo dobrze.

Leslie wiedziała, że przemawia przez niego alkoholik - potencjalny alkoholik. Część jego osobowości, ukształtowana środowiskowo lub genetycznie, pragnęła uciec od bolesnej rzeczywistości. James został straszliwie skrzywdzony w dzieciństwie. Czasami ten ból był wciąż jeszcze nie do zniesienia.

- Chodziłeś na zajęcia? - zapytała Leslie. Nie chciała więcej słuchać o dekadencjach, narkotykowym życiu, które prowadził James. I które go cieszyło.

- Nie. - Uśmiechnął się. - Ale zdawałem egzaminy. Uczyłem się tylko tyle, żeby zaliczyć. Tylko tyle, żeby zostać na uczelni i nie iść do wojska.

- Mogłeś się uczyć, biorąc narkotyki?

- Jasne - powiedział.

Tak jak odnoszący sukcesy alkoholicy, pomyślała Leslie. Lekarze, prawnicy i inni fachowcy, którzy mimo uzależnienia od alkoholu wciąż wykonują swój zawód. I to wyśmienie.

- Co się stało? - szepnęła Leslie. Wiedziała, że coś się stało. Wiedziała - po tym, jak James bez wahania zamówił mrożoną herbatę - że już nie pije. Wiedziała, patrząc w jego czyste, zielone, uśmiechające się do niej oczy, że jakoś udało mu się uciec od cierpienia, które nękało go przez całe życie. W jakiś sposób James znalazł swoje miejsce.

- Pewnej nocy, pod koniec pierwszego roku studiów, pojechałem do domu rodziców. Wciąż miałem tam swój pokój. Zdarzało mi się tam nawet nocować w czasie roku akademickiego. Tej nocy ojciec znów dostał szału, wyzywał mnie, krzychał, że jestem bezużytecznym ćpunem. - James przerwał i uśmiechnął się szelmowsko. - To była prawda. Chociaż raz mój ojciec miał rację. Godzinę przed wyjazdem do domu wziąłem drugą porcję LSD. Potrzebowałem dodatkowego wzmocnienia.

Leslie skuliła się, słysząc jego słowa. Och, James, jak musiało ci być trudno. Trudno było nawet o tym słuchać, trudno było na niego patrzeć, gdy opowiadał. Byłam pod kloszem, pomyślała Leslie. Może wciąż jestem.

- Tak czy inaczej kazał mi się wynosić. Dał mi czas do rana, żebym zabrał swoje rzeczy, potem miał je powyrzucać. On pijany, ja odurzony. Było okropnie. Zamknąłem się w pokoju i zacząłem przeglądać swoje rzeczy. Znalazłem pudło na buty z listami od Cheryl i rzuciłem je wściekle przez cały pokój.

James przerwał. Jego oczy przybrały łagodniejszy wyraz. Uśmiechnął się do niej czule. Przypominał sobie naiwną, niewinną, osiemnastoletnią Leslie.

- Nie wiesz tego, ale gdy człowiek jest zaćpany, kolory mogą się wydawać żywsze. Papeteria Cheryl była kremowa. Ty napisałaś swój list na bladej żółty papierze. Gdy rozrzuciłem koperty, twoja przykuła moją uwagę. Nie wyglądała na bladej żółtą. Wyglądała na intensywnie żółtą i lśniła.

- James - powiedziała Leslie.

- Narkotyki i mistycyzm, Leslie, idą w parze. To doświadczenie było mistyczne. Coś kazało mi zauważyć ten list.

Leslie potrząsnęła głową.

- Przeczytałem go i przez całą noc myślałem o tobie i o tym, jak we mnie wierzyłaś. Ty jedna. Bo wierzyłaś, prawda? - zapytał łagodnie James. Bolesne wspomnienia znikły, zastąpiły je te szczęśliwe. Wspomnienia związane z Leslie.

- Uważałam, że jesteś cudowny - powiedziała cicho. - Nic o tobie nie wiedziałam. Nie musiałam. I tak nie miałyby to znaczenia. Wiedziałam tylko, jak się czuję w twoim towarzystwie.

- Ja tylko przy tobie byłem spokojny.  
- Więc dlaczego... - zaczęła Leslie.  
- Nie byliśmy razem? Już ci mówiłem. Musiałem się najpierw odnaleźć. Dowiedzieć się, kim i czym mógłbym być. Ojciec naprawdę trzymał mnie za gardło. Byłem przekonany, że nigdy niczego nie dokonam. Z wyjątkiem chwil, gdy byłem z tobą.

- Wtedy nie mogłeś usiedzieć w jednym miejscu. Czułam to, ale nie wiedziałam, dlaczego tak jest. Teraz tak nie wyglądasz.

- Miałem szczęście. Mój los odmienił się za sprawą twojego listu. Tej nocy, chociaż byłem naćpany, przyrzekłem sobie, że zostanę Jamesem, w którego wierzyłaś. Że przerwę samozniszczenie. Że przynajmniej spróbuję. Następnego ranka spakowałem swoje ubrania i list od ciebie i na zawsze opuściłem dom rodziców, który kiedyś był moim domem. Spędziłem lato na wyrębie. Oczyszczałem się, utwierdzałem w swoim postanowieniu i pragnąłem się z tobą zobaczyć. Były to trzy najtrudniejsze miesiące mojego życia. Narkotyki nie chciały mnie puścić. Większa część mojej osobowości nie chciała stanąć twarzą w twarz z okrutną rzeczywistością.

- Ale ci się udało.

- Tak. Wróciłem do Seattle nazajutrz po tym, jak wyjechałaś do Bostonu na drugi rok studiów. Zadzwoiłem do ciebie. Nie sądzę, żeby twój ojciec poznał mnie po głosie. Nie zostawiłem wiadomości.

- Dlaczego nie napisałaś?

- Było jeszcze za wcześnie. Załedwie przetrwałem lato. Prawdziwy sprawdzian był jeszcze przede mną: musiałem wrócić na studia, podejmować decyzje, dokonywać wyborów. Przed przerwą świąteczną byłem gotów cię zobaczyć, ale usłyszałem od Robin, że na ferie przyjedziesz do domu z chłopakiem z Harvardu.

Leslie potrząsnęła głową i skrzywiła się.

- Przypomnienie sobie jego imienia zajęłoby mi sporo czasu.

Och, James, wszystko mogło się nam inaczej ułożyć!

- Tak czy inaczej uznałem, że masz swoje życie. I że dzięki tobie ja zaczynam mieć swoje. Chciałem cię tylko zawiadomić. Zawsze miałem nadzieję, że pewnego dnia to zrobię.

To jest ten dzień. Moje dwudzieste siódme urodziny, pomyślała Leslie. Wszystkiego najlepszego, Leslie.

- Zostałaś architektem.

- Skończyłem studia w Seattle. Potem przez jakiś czas pracowałem w Nowym Jorku. Podjąłem pracę w San Francisco załedwie półtora roku temu.

- I już jesteś współnikiem.
- Szczęście mi sprzyjało.

To nie szczęście, James. To twoja zasługa, myślała Leslie. Twojego talentu, ciężkiej pracy i zdecydowania. Nie szczęścia. Leslie uświadomiła sobie, że James wciąż wątpi we własną wartość. Wciąż dostrzegała w nim ślady - głębokie blizny - tego, co zrobił mu ojciec.

- I lubisz to?
- Uwielbiam - powiedział entuzjastycznie James.
- Projektujesz domy?
- Od pół roku współpracuję z międzynarodową firmą deweloperską. Firma buduje zarówno domy mieszkalne, jak i obiekty przemysłowe, więc projektuję domy. I inne budowle. Centra handlowe. Obiekty turystyczne. Co tylko chcesz.
- To musi być ekscytująca, twórcza praca.
- Taka jest. Lepszej nie mógłbym sobie wymarzyć.

Leslie spojrzała na swój talerz z prawie nietkniętą cieleciną z parmezanem. Gdy rozmawiali, kelnerzy - w starannie odmierzonych odstępach czasowych - podali i wynieśli antipasto z chlebem, potem sałatkę, makaron, przystawkę. Leslie nie zwracała uwagi na jedzenie. Skubała bezwiednie, całkowicie koncentrując się na Jamesie. Spojrzała na talerz Jamesa z prawie nietkniętym daniem i uśmiechnęła się.

- To podobno jedna z najlepszych restauracji w San Francisco. Chyba nie interesujemy się należycie jedzeniem - powiedziała.
- A wolałabyś?
- Nie - odrzekła. Potem, przesuwając kawałki jedzenia po talerzu, zmusiła się do powiedzenia tego, czego bardzo się bała. - Opowiedz mi o swojej żonie.

- Lynne - rzekł szybko James. - Poznaliśmy się dwa lata temu. Leciałem z Nowego Jorku do San Francisco na rozmowę u O'Keefe'a i Tucera. Była, jest, stewardessą. Zauważyła, że coś rysuję i podeszła zobaczyć. Rysowanie mnie odpręża. Rysunek przypominał trochę ten obrazek z łąki, który ci dałem. W każdym razie Lynne zapytała, czy narysowałbym jej pstrokatą kotkę o imieniu Monika. Myślałem, że żartuje, ale ona dokładnie opisała osobowość Moniki. Resztę lotu spędziłem na rysowaniu kota. Wsiadając z samolotu, podałem jej rysunek. Wybiegła za mną i zapytała, czy nie zechciałbym ilustrować jej książki. - James przerwał, przypominając sobie, jak podekscytowana była Lynne, gdy zobaczyła jego rysunek.

- Czy książka naprawdę istniała? - zapytała Leslie po kilku chwilach.

- O, tak. Lynne w wolnym czasie pisze książki dla dzieci. Wtedy właśnie skończyła pierwszą *Gdzie jest Monika?* i szukała ilustratora. Nie męża.
- A dostała jedno i drugie.
- Uhm. Po *Gdzie jest Monika?* zrobiliśmy jeszcze dwie części. Również występuje w nich kotka Monika i muszę powiedzieć, że bardzo dobrze się sprzedają.
- Jak długo jesteście małżeństwem?
- Pobraliśmy się w dniu, gdy się tu przeprowadziłem. Półtora roku temu.
- Opowiedz mi o Lynne.
- Lynne. Cóż - głos mu złagodniał. James zastanawiał się, jak opisać kobietę będącą tak ważną częścią jego życia i szczęścia, które znalazł. - Lynne wiele przeszła. To silna i niezależna osoba. Jest trzy lata starsza ode mnie. Wciąż pracuje jako stewardessa, bo to lubi, ale w końcu rzucił latanie i poświęcił się wyłącznie pisaniu. Jest... Ja właściwie nie **O** niej nie mówię, prawda?
- To trudne - powiedziała Leslie. Słowa się nie liczą, pomyślała. Z tonu twojego głosu wiem, jak bardzo ją kochasz.
- Tak.
- Macie dzieci?
- Nie - powiedział powoli James. - 1 nie będziemy mieli. Lynne nie może.
- Och.
- Nie szkodzi. Ona nie może, a ja nie powinienem. Żadne z nas nie powinno. Oboje mieliśmy trudne dzieciństwo, nienawidziliśmy własnych ojców i ledwo przeżyliśmy początek lat siedemdziesiątych. Lynne studiowała w Berkeley w szczytowej fazie ery „dzieci-kwiatów”. Też dostała swoją porcję narkotyków i seksu. Lekarze powiedzieli, że z powodu zmian w jajowodach, spowodowanych przewlekłą infekcją, prawie na pewno nie zajdzie w ciążę. Poza tym, kiedy ja trulem swój mózg narkotykami, pewnie zniszczyłem sobie chromosomy - dodał poważnie James.
- Jest tyle normalnego potomstwa hispisów i „dzieci-kwiatów”, że teorię o uszkodzeniu chromosomów można uznać za niebyłą. Nie będziecie nawet próbować? - zapytała Leslie. Mężczyzna tak wrażliwy jak James i autorka książek dla dzieci byłiby cudownymi rodzicami, pomyślała.
- Lynne nigdy nie stosowała żadnych środków antykoncepcyjnych, ale nie zaszła w ciążę. Sądzę, że lekarze mają rację. Tak czy inaczej jesteśmy szczęśliwi z Moniką i moimi budynkami. To nasze zastępcze dzieci.



- Widzę, że jesteś szczęśliwy, James. Cieszę się - powiedziała szczerze Leslie. Ale też żałowała, że życie nie ułożyło się inaczej. Że ona nie miała szansy go uszczęśliwić.

- Wiele z tego szczęścia zawdzięczam tobie - powiedział poważnie James.

- Nie.

- Tak. Wierz mi. Twoja przyjaźń miała dla mnie ogromne znaczenie.

- Cała przyjemność po mojej stronie - uśmiechnęła się Leslie, rumieniąc się. Dla mnie też wiele to znaczyło. Do tej pory nie znalazłam nikogo na twoje miejsce.

James odprowadził ją do drzwi mieszkania. Była prawie północ.

- Dziękuję, James - powiedziała Leslie.

- Cudownie było znów cię zobaczyć.

- I ciebie - szepnęła i szybko weszła w drzwi. - Do widzenia, James. Gdy usłyszała odgłos odjeżdżającego samochodu, rozplakała się.

Dlaczego płakała? Bo James walczył ze wszystkimi przeciwnościami i wygrał? Bo James był szczęśliwy? Cieszyła się z jego szczęścia, ale przecież mógł być szczęśliwy z nią. To się mogło zdarzyć. To powinno było się zdarzyć.

Oczekiwałam tego, przyznała w końcu sama przed sobą Leslie.

Przez te wszystkie lata snuła fantazje o tym, jak zobaczy się z Jamesem. Fantazje te wcale jej nie spalały. Przez długie okresy wcale o nim nie myślała. Potem jednak spoglądała na jego rysunek - który wisiał najpierw w jej sypialni w Radcliffe, potem w jej pokoju w Seattle, wreszcie w jej mieszkaniu w San Francisco - i znów zaczynała o nim myśleć.

Wiedziała, że kiedyś znów go zobaczy. I zobaczyła.

Leslie pomyślała o ich spotkaniu. Gdyby ktoś napisał taki scenariusz do hollywoodzkiego filmu, odrzucono by go natychmiast.

Daj spokój, Joe. Nikt tego nie kupi. On widzi ją w telewizji, z twarzą ociekającą krwią, bo właśnie uratowała faceta, którego też kocha, ale który o tym nie wie, wsadzając mu palec w pierś i zatykając tętnicę? On widzi ją i przypomina sobie list, który odmienił jego życie, bo gdzieś się zapodział, ale znalazł się pewnej nocy, gdy facet miał halucynacje po kwasie? Potem opowiada jej, jak pokonał alkoholizm i narkomanię, żeby zostać wziętym architektem? I ilustratorem książek dla dzieci? Nie ma mowy. Publiczność musi dostać trochę rzeczywistości. A to jest czysta fantazja.

Poza tym, pomyślała Leslie, nie ma happy endu. Bohaterowie, Leslie i James, nie są razem. Nie padają sobie w ramiona.

Leslie westchnęła. Jak często zastanawiała się, gdzie on jest i co robi? Teraz wiedziała. Był bardzo blisko. Z Lynne. Szczęśliwy. I fantazja przysła.

W drodze do domu James sięgnął do kieszeni po papierosa. Wyciągnął go ustami z paczki i sięgnął po zapalniczkę.

Nagle zmarł. Jego dłoń przez dłuższą chwilę spoczywała na pudełku zapalek w kieszeni. W końcu wyjął z ust niezapalony papierosa i włożył go z powrotem do paczki. Zgniótł dłonią całą paczkę i wyrzucił ją przez okno samochodu.

## Rozdział 20

**P**ójdziemy jutro na kolację? - zapytał Ross Janet pod koniec września. Wychodzili z teatru po wyczerpującym dniu poprawiania scenariusza *Piotrusia Pana*. - Pojutrze wyjeżdżam do Nowego Jorku.

- Och? Jasne - odpowiedziała z roztargnieniem Janet. Założyła, że Ross przed wyjazdem chce z nią porozmawiać o *Piotrusiu Panie* lub *Joannie*.

- O której godzinie?

- Może skoczmy gdzieś niedaleko, po pracy - zaproponowała.

Ross kiwnął głową. Janet nie zauważyła wyrazu zaskoczenia na jego twarzy.

O wpół do siódmej następnego wieczora poszli do francuskiej restauracji na ulicy Stuart, dwie przecznice od teatru.

- O czym chciałeś porozmawiać? - zapytała Janet, gdy zamówili kolację i podano im drinki.

- O niczym.

- O niczym?

- Chciałem tylko zjeść z tobą kolację.

- To nie jest sprawa służbowa? - zapytała słabym głosem Janet.

- Nie. To jest randka.

- Myślałam, że chcesz porozmawiać o przedstawieniach. Gdybym wiedziała, że to randka... - Janet przerwała nagle.

Przebrałaś się, pomyślał Ross. A może wzięłaś dzień wolny, żeby się przygotować?

- Co byś zrobiła? - zapytał, zaciekawiony.

- Odmówiłabym - odparła po prostu.

Ross zmrużył oczy.

- Co takiego?

- Nie chodzę na randki - powiedziała ostrożnie. Ross patrzył na nią gniewnie.

Wypił łyk szkockiej.

- Mam nadzieję, że nie czekasz, aż wróci do ciebie były mąż, Janet - powiedział kwaśno. - Bo tak się składa, że wiem, jak bardzo się zakochał w kim innym.

Janet spojrzała na niego. Jej szare oczy były zamglone.

- Wiem o tym - powiedziała cicho.

W milczeniu skończyli drinki i zmusili się do wymiany zdawkowych żartów z wesołym kelnerem, który podał elegancko przygotowaną sałatkę z krewetek, sałaty i cieniutko posiekanych białek.

- Nie miałem prawa tego powiedzieć - rzekł Ross. - Przepraszam.

Janet wzruszyła ramionami, mrugając, żeby powstrzymać łzy.

- Dlaczego nie rzuciłaś we mnie drinkiem? Albo nie wyszłaś? Dlaczego zostałaś? - zapytał.

Ross zaprosił Janet na kolację, bo chciał ją poznać. Poznać Janet Wells. Kimkolwiek była. Janet oczarowała go jako Joanna. Pełna życia, odważna, energiczna i piękna. Teraz Joanna odeszła, ale zastąpiła ją Wendy i oczarowanie zaczęło się od nowa. Wendy - Wendy Janet - była zrównoważoną, naiwną i uroczą uwodzicielką. Uwodziła Rossa.

Ale kim jest Janet? Czy ma w sobie cechy Joanny i Wendy? Czy też Janet Wells jest jeszcze inna? Ross znał tylko fasadę. Znał spokojną profesjonalistkę o niezwyklej energii i wyjątkowym talencie.

- Zostałam, bo razem pracujemy. Gdybym wyszła wściekła, musielibyśmy porozmawiać o tym później. A ty jutro wyjeżdżasz. Mogłoby to oznaczać całe tygodnie napięcia.

- Czyli czysty pragmatyzm? W interesie przedstawienia?

- Ross, ja wiem, że Mark kocha inną kobietę. Nie owijajmy w bawełnę, kocha Kathleen. Mój związek z Markiem skończył się dawno temu, ale nauczyłam się czegoś z naszego nieudanego małżeństwa. Dowiedziałam się, że chowanie urazy, nierozmawianie o złych rzeczach w momencie, gdy się dzieją, jest ogromnie szkodliwe dla związku.

- Dlatego więc siedziałaś cicho, znosząc przykre słowa i milczenie, czekając, aż cię przeproszę?

- Nie. Czekałam, żeby sprawdzić, czy możemy o tym pomówić. Zastanawiałam się, czy to nie ja powinnam cię przeprosić. Zaprosiłeś mnie na kolację. Zgodziłam się, myśląc, że to kolacja służbowa. Gdy się dowiedziałam, że tak nie jest... Ja też cię uraziłam.

- Jesteś niesamowita - powiedział Ross, nie rozumiejąc jej, ale pragnąc zrozumieć. Lubił ją. Uśmiechał się do niej. - Dlaczego nie chodzisz na randki?

- Ze swojego nieudanego małżeństwa wyciągnęłam jeszcze jeden wniosek - powiedziała spokojnie Janet, lekko przekrzywiając głowę. - Porzuciłam karierę. Teraz odkrywam, ile znaczy dla mnie teatr. Praca mnie cieszy. Pochłania. Teraz jest całym moim życiem.

- Nie masz czasu dla drugiej osoby?

- Energii. I odwagi. Jest jeszcze za wcześnie. Nawet na zwykłą kolację. To zakłóca równowagę.

- Bardzo chwiejną równowagę? - zapytał łagodnie. Janet wytwarzała wokół siebie aurę pewności i siły. I wielkiego spokoju. Ale Ross pamiętał jej przerażone oczy w Nowym Jorku. Musiał jej wierzyć. Widział jej strach.

- Tak. Ale wszystko się stabilizuje - powiedziała.

- Bardzo cię przepraszam za to, co powiedziałem o Marku. Byłem wściekły.

- W porządku.

Wcale nie w porządku, pomyślał. To do mnie niepodobne. Nie mogę uwierzyć, że powiedziałem jej coś takiego.

- Jak tam produkcja w Nowym Jorku? - zapytała Janet.

Ross się uśmiechnął. Mogą przecież zachowywać się tak, jak na służbowej kolacji. Obojgu im będzie wygodniej.

- Nie wiem. Arthur mówi dziwne rzeczy. Dlatego jutro tam wracam.

- Jak długo cię nie będzie?

- To zależy od sytuacji. Nie chcę stąd wyjeżdżać. Bardzo mnie ekscytuje tutejsze przedstawienie, ale...

- Zadzwonimy do ciebie, jeśli wprowadzimy jakieś duże zmiany - powiedziała Janet.

- Proszę.

- Zatrzymasz się w hotelu Plaża?

- O nie. Zamieszkać u Stacy. Poznałaś ją tamtego wieczoru...

- To ta z ręką na twoim udzie - mruknęła Janet.

Ross uniósł brew. Janet wzruszyła ramionami.

- Ojciec Stacy jest głównym sponsorem nowojorskiego spektaklu - powiedział Ross, zastanawiając się, dlaczego jej to wyjaśnia. - Stacy jest modelką.

- Z okładek, prawda? Przynajmniej wydaje mi się, że kilka tygodni temu widziałam jej zdjęcie na okładce „Vogue”.

- Jesteś bardzo spostrzegawcza - powiedział Ross. Zauważyłaś dłón na udzie. - Podałem Jackowi numer. Żeby nie było niespodzianek, dobrze?

- Żadnych niespodzianek.

Trzydziestego września James zatelefonował na Wydział Medycyny i poprosił sekretarkę o przekazanie Leslie, żeby się z nim skontaktowała.

Leslie była na oddziale radiologicznym, czekając na angiogram swojego pacjenta. Miało to potrwać przynajmniej kwadrans. Oddzwoniła do Jamesa z sekretariatu radiologii.

- Doktor Adams, do pana Stevensona.

- Tak, pani doktor. Pan Stevenson czeka.

- Leslie?

- Cześć - szepnęła z bijącym sercem. Przez ostatnie dwa tygodnie, od chwili, gdy wyszedł z jej mieszkania, myślała o nim stale. Wiedziała, że to już koniec. Historia - ich historia - skończyła się. Wiedziała to, racjonalnie, ale czuła zupełnie co innego.

Nie mogła usiedzieć w miejscu.

- Możemy się zobaczyć? - zapytał cicho.

- Tak - odrzekła.

- Dziś? Pójdziemy na spacer?

- Tak. Zobaczymy się o wpół do ósmej - powiedziała, tłumiąc w swoim umyśle, w sumieniu, głos, który krzyczał: Nie, nie, nie.

Tak. Spotkamy się. Będę z tobą.

Leslie ubrała się starannie. Na spacer, powiedział James. Leslie pamiętała swój ostatni spacer z Jamesem. Było to tej kwietniowej nocy nad jeziorem Sparrow, dziewięć i pół roku temu. Wtedy miała na sobie niebieskie dzinsy, jasną bawełnianą bluzkę i niebieski sweter w serek.

Tak samo zamierzała się ubrać dziś. Bluzka i sweter były nowe. Jej ulubione dzinsy, teraz spłowiałe i poprzecierane, pojechały z nią z liceum na studia i staż.

Wygodni, starzy przyjaciele, pomyślała, naciągając je na biodra, zauważając, że są luźniejsze niż w czasach szkoły średniej. Leslie wcisnęła w spodnie jasnożółtą, bawełnianą bluzkę i wciągnęła sweter przez głowę, burząc świeżo umyte włosy.

Co ja wyprawiam?, zastanawiała się, przeglądając się w lustrze. Próbuje cofnąć czas o dziewięć i pół roku?

Głupotą byłoby myślenie, że mogą znów spotkać się w punkcie, w którym się rozstali. Życie Jamesa za bardzo się zmieniło. James miał zobowiązania, ciążyła na nim odpowiedzialność.

Ale James zadzwonił. Już jechał do jej mieszkania.

Leslie otworzyła drzwi i cofnęła się, żeby go przepuścić. Nie mogła spojrzeć mu w oczy.

James, podobnie jak ona, ubrał się na pamiątkę tamtej nocy nad jeziorem. Miał dzinsy, oksfordzką koszulę z rękawami podwiniętymi non-szalanko do połowy przedramion i wiatrówkę w kolorze khaki.

James zamknął za sobą drzwi.

- Cześć - szepnął, przykrywając jej usta swoimi, zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć.

Leslie odpowiedziała ustami, ramionami i całym ciałem. Minione lata zniknęły. Wrócili nad jezioro, opanowani namiętnością i gotowi całkowicie się zatracić.

- James - szepnęła Leslie, odsuwając się na chwilę, żeby zaczerpnąć powietrza. I żeby wyszeptać jego imię.

- Leslie.

James całował ją tak, jak tamtej nocy nad jeziorem. Składał delikatne pocałunki na jej twarzy, ustach i szyi. Zaczął ją rozbierać, nie tak, jak dojrzały, doświadczony mężczyzna rozbiera kobietę, lecz jak młodzik, odkrywający cudowne, zakazane sekrety nastolatki.

James sięgnął pod jej sweter i rozpiął bluzkę. Dotykał jej miękkich, pełnych piersi. Leslie wsunęła mu dłonie pod koszulę, poczuła siłę jego pleców, napiętych i chłodnych. Sięgnęła do jego paska, tak samo, jak przed laty. Prawie spodziewała się usłyszeć głosy przyjaciółek, wołających, że już czas wracać.

Ale dziś tak nie będzie. Dziś nie ma godziny policyjnej, przerywania, niepewności.

Kochali się na szorstkim dywanie, częściowo ubrani, jak para nastolatków pragnących być razem, ale obawiających się przyłapania. Kradziona chwila młodzieńczej namiętności. Mogło się to stać w samochodzie,

w salonie domu jej rodziców albo na łożu z sosnowych igieł w lesie nad jeziorem.

Kochali się gorąco, pełni ciekawości, zachwytu i namiętności. Potem leżeli na podłodze, wyczerpani, zaplątani w ubrania, przytuleni.

Leslie zamknęła oczy i mocno przytuliła się do jego silnego, ciepłego ciała, które tak bardzo jej pragnęło. Mogłaby tak leżeć wiecznie. Z Jamesem.

W głowie kołatały się jej myśli. Co ty zrobiłaś? Wróciłaś do liceum? Nie, odezwała się w niej odpowiedzialna, dorosła osoba. Udawałaś, że wracasz do liceum, żeby usprawiedliwić miłość z mężem innej kobiety.

Ale ona nie kochała się z Jamesem, mężem Lynne. Ani z Jamesem, utalentowanym, odnoszącym sukcesy architektem. Leslie kochała się z Jamesem nastolatkiem, samotnym, polującym na jelenie. Z wrażliwym chłopcem, którego kochała i pragnęła. Z jedynym Jamesem, którego znała. Z Jamesem-nastolatkiem.

Leslie poczuła twarz Jamesa przy swojej i siłę jego wzroku, który kazał jej otworzyć oczy. Kim będzie, gdy na niego spojrzy? Leslie-lekarzem? Leslie-kobietą? Czy Leslie-dziewczyną, która właśnie została przyjęta do Radcliffe? Nie wiedziała.

- Leslie - szepnął chrapliwym głosem. Męskim głosem.

Leslie otworzyła oczy. Bała się na niego patrzeć, ale też nie mogła się oprzeć. W oczach Jamesa dostrzegła namiętność, męską żądzę. James pragnął Leslie-kobietę.

- Jesteś taka piękna - powiedział, i zaczął ją rozbierać. Tym razem nie robił tego niezręczny, choć zapalczywy nastolatek. Tym razem robił to doświadczony mężczyzna.

Zdjął z Leslie wszystko, a potem sam się rozebrał, nie przestając jej całować. Gdy oboje byli już nadzy, pomógł jej wstać i zaprowadził ją do sypialni.

Kochali się ponownie, powoli, ostrożnie badając się wzajemnie i dowiadując, co sprawia im przyjemność, ucząc się rytmu i pożądania. Oboje mieli już przedtem partnerów. Byli doświadczeni, znali się na rzeczy...

Ale wciąż nie panowali nad sobą. Gdy James ją całował, gdy dotykał jej swymi delikatnymi dłońmi, ciepłym językiem i miękkimi ustami, ciało Leslie reagowało, jak nigdy przedtem, pragnęło się poruszać, dotykać go, stać się jego częścią. Gdy James dotykał aksamitnej skóry Leslie, jej krągłych piersi, gdy czuł rytm jej ciała i narastającą namiętność, przestał panować nad sobą. Pragnął tylko ją posiadać. Całą. Pragnienie było naglące, ogromne. Ich ciała musiały się stopić w jedność.

Leslie. Jego Leslie. Wreszcie.

Potem James tulił ją do siebie, aż jej serce nieco się uspokoiło, a dłonie rozluźniły się i spoczęły miękko na jego plecach, gładząc go delikatnie.

- O czym myślisz? - zapytał w końcu, gładząc wilgotne kosmyki jej kasztanowatych włosów.

Że wcześniej kochałam się z Jamesem-chłopcem, pomyślała. Z moim Jamesem. I że teraz kochałam się z Jamesem-mężczyzną. Z czym Jamesem? Moim? Nie. Z Jamesem Lynne.

Leslie wzruszyła ramionami. Nie chciała o tym mówić. Ani nawet o tym myśleć. Jak odpędzić te myśli?

- Leslie - naciskał, zaniepokojony, delikatny, troskliwy.

- Było cudownie, James - powiedziała szczerze. - Na oba sposoby było cudownie.

- Ty jesteś cudowna.

- Żałuję...

- Żałujesz?

- Że nie zrobiliśmy tego dawno temu, tej nocy nad jeziorem. Wiedzielibyśmy, jak to jest.

- Wtedy by się to nie udało - powiedział, całując ją w czoło.

Teraz też się nie uda, pomyślała Leslie. W liceum było za wcześnie. Teraz jest za późno. Pamiętała, z jaką miłością James mówił o Lynne. Nigdy tego nie zapomni.

Ale teraz był tu, z nią. Nie mówił o Lynne - mówił o niej, tulił ją, kochał ją. Leslie nie będzie myśleć o Lynne. Nie będzie myśleć o jutrze. Nie będzie myśleć o żadnym jutrze bez Jamesa. Nie, dopóki nie będzie musiała.

Dotknęła jego skroni końcami palców, potem przysunęła usta do jego ust, nakłaniając jego ciało, by wróciło do jej ciała. Pragnęła go znowu, natychmiast. Potrzebowała miłości Jamesa, a z jego reakcji na jej dotyk wyczuwała, że on pragnie jej tak samo silnie. Jego namiętność była tak samo nienasycona.

- Leslie! - zaśmiał się cicho, zaskoczony, oszołomiony jej namiętymi, nagłącymi pocałunkami.

- Coś się stało? - zapytała, nagle onieśmielona.

- Nie, moja kochana Leslie. Jest cudownie.

Leżeli objęci ramionami, wyczerpani, nie chcąc się od siebie odsunąć.



- Jest w pół do jedenastej - powiedział James, zerkając na budzik przy łóżku.

Leslie zeszytywniała, czekając, aż powie: „Już późno. Muszę wracać do domu. Do widzenia, Leslie”.

- Nie poszliśmy na spacer - ciągnął, całując ją w ucho, uspokajając ją.

- Jesteś rozczarowany?

- Nie. A ty?

- Nie. Ale zawsze lubiłam nasze spacerunki: łąki otoczone drzewami, pokłady promów, lasy nad jeziorem. To było bardzo romantyczne.

James uśmiechnął się i mruknął wesoło:

- W przeciwieństwie do tego?

Leslie uśmiechnęła się, odwracając się, żeby spojrzeć mu w oczy.

- Nie w przeciwieństwie do tego.

- Pójdziemy na spacer następnym razem.

Następnym razem. Gdy usłyszała te słowa, serce zabiło jej jak oszalałe. Następnym razem. Za dziewięć lat? W przyszłym życiu? Kiedy?

- Następnym razem - powtórzyła cicho.

- Zobaczysz się ze mną jeszcze? - zapytał poważnym tonem, który mówił: „Ja podjąłem decyzję. Będę się z tobą spotykać i zdradzać żonę. Ale ty też musisz zdecydować”.

Leslie, Rosemaiden, najbardziej obiecująca uczennica, laureatka nagrody w kategorii „dziewczyna, która najprawdopodobniej odniesie sukces”, zaprzeczyłaby, oburzona. Ale ta Leslie już nie istniała. Przez te lata stopniowo zmieniła się w Leslie, która rozumiała, że życie nie jest takie proste i że nie na wszystkie pytania można udzielić jasnych odpowiedzi. Granica między dobrem a złem była czasami zamglona, zatarta przez miłość, emocje i namiętność. Okoliczności łagodzące.

Leslie-Rosemaiden, dziewczyna, która zmieniła się w kobietę, leżącą w łóżku z Jamesem. Podjęła już decyzję. Wszystko, co było złe - świadomość, że James ma żonę i całkowita pewność, że ją kocha, obawa, że w końcu oboje będą cierpieć - bladło, bo Leslie wiedziała, że postępują dobrze. Kochała Jamesa. Zawsze go kochała.

Czuła, że leżenie w jego ramionach, kochanie się z nim i szeptanie do niego jest słuszne. A ona zawsze robiła to, co czuła, że jest słuszne. Zrobi to i teraz. Nieważne, jak długo to potrwa. Bez względu na konsekwencje.

- Tak, James, spotkam się z tobą znowu - powiedziała równie poważnym tonem. Oboje rozumieli, co robią.

- Kiedy? - zapytał. Przytulił ją mocniej, w milczeniu potwierdzając jej słowa. Albo znaczenie ich związku.

- W tym miesiącu mam dyżur co trzecią noc. Będę w szpitalu jutro, pierwszego. Czyli pierwszego, czwartego, siódmego...

- Więc - powiedziała powoli James, najwyraźniej wyobrażając sobie inny rozkład zajęć, rozkład zajęć Lynne. - Może w tę sobotę, trzeciego? Jesteś wolna?

Wolna, pomyślała Leslie. Tak, James, jestem wolna. To ty nie jesteś wolny.

- Spotkamy się wieczorem? - zapytała, próbując ustalić, jakie są zasady.

- W każdą część dnia i nocy, którą możesz spędzić ze mną.

- Rano muszę być na obchodzie. Jeśli z pacjentami będzie wszystko w porządku, powinnam wrócić do domu w południe. Jeśli nie...

- Będę w pracy. Po prostu zadzwoń.

- Dobrze - powiedziała Leslie, siadając. Sądziła, że James chce wyjść. Umówili się na następne spotkanie. To zwykle oznaczało koniec randki.

- Chcesz, żebym poszedł?

- Och! Myślałam... - Przerwała, zakłopotana.

- Jeśli nie chcesz, żebym został na noc...

- Chcę - powiedziała. I dodała lekko: - Ale skoro już wstałam, mogę ci coś przynieść? Papierosa?

- Już nie palę.

- Naprawdę? - szepnęła Leslie.

- Naprawdę. Rzuciłem palenie, gdy tylko uświadomiłem sobie, że muszę cię znów zobaczyć.

- Kiedy to było?

- Gdy wyszedłem od ciebie tamtego wieczora. W twoje urodziny - powiedział, wciągając ją z powrotem do łóżka.

Wiedział już wtedy, ale zwlekał dwa tygodnie, zanim do niej zadzwonił. Przez ten czas rozmyślał. Musiał być pewien swojej decyzji, wiedzieć, że jest bardziej słuszna, niż zła. W końcu, przemyślawszy wszystko logicznie, uświadomił sobie, że i tak nie ma wyboru.

Musiał być z nią.

Janet patrzyła, jak czerwonopomarańczowe jesienne słońce powoli opuszcza się nad łagodnymi zielonymi wzgórzami do lśniącego niebieskiego oceanu. Podczas popołudniowego spaceru zawędrowała, jak się często zdarzało, za winnicę, minęła eukaliptusowy zagajnik i weszła na łagodne, porośnięte trawą wzgórze. Stamtąd miała cudowny widok na Pacyfik.

Jej prywatne wzgórze, prywatny widok, prywatny ocean!

Ależ mam szczęście, że znalazłam to miejsce, pomyślała, siadając po turecku na trawie i patrząc na przepiękny zachód słońca.

To był szczęśliwy traf. Albo przeznaczenie. Tak jakby musiała się tutaj znaleźć.

Zdarzyło się to ostatniej zimy, podczas jednej z jej długich przejażdżek samochodowych. Mark odszedł, a z ich małżeństwa zostały tylko prawne dokumenty. Janet musiała uciec z okropnego teraz domu, który kiedyś należał do niej i do Marka. Kupiła tani, używany samochód i jeździła, aż znalazła samotną plażę, las lub łąkę, gdzie mogła śpiewać.

Jeździła na południe do Carmel i Big Sur, na północ do krainy winnic, do dolin Napa i Sonoma. Pewnego popołudnia pod koniec stycznia, gdy wracała do San Francisco z północnej części rejonu winnic, pod wpływem impulsu zamiast kierować się w głąb łądu, postanowiła pojechać autostradą numer jeden, Pacific Coast Highway.

W pobliżu Sonoma Coast Beach dostrzegła domek, prawie niewidoczny z drogi. Skręciła na żwirowy podjazd, zastanawiając się, jak wytłumaczy mieszkańcom swoją wizytę. Okazało się jednak, że domek był niezamieszany. Weszła na palcach po schodach z czerwonej cegły na drewniany ganek z białą barierką. Drzwi były zamknięte na kłódkę. Janet zajrzała przez okno.

Zobaczyła pięknie wykończone drewniane podłogi, ceglany kominek i ładną świeżo pomalowaną na żółto i białą kuchnię z koronkowymi firankami w oknie. Wewnątrz nie było mebli.

Piękny, niezamieszany domek.

Następny dom, który zobaczyła, znajdował się półtora kilometra na południe. Otaczał go dobrze utrzymany trawnik z gęstym żywopłotem z bukszpanu. Dom był zbudowany z czerwonej cegły, miał cedrowy dach i białe okiennice. Na okrągłym, ceglany podjeździe stał zaparkowany samochód.

Janet pojechała bliżej i szybko podeszła do frontowych drzwi. Bez zastanowienia nacisnęła dzwonek.

Drzwi otworzył miły, siwowłosy pan w wieku jej dziadka. Przedstawiła się szybko i odważnie zaczęła pytać.

Tak, to był jego domek.

- Czy zechciałby pan go wynająć? - zapytała Janet z bijącym sercem. Zaschło jej w ustach.

- Wynająć? - zapytał.

- Kto to, kochanie? - W drzwiach ukazała się jego żona.

- Ta młoda dama chciałaby wynająć domek - wyjaśnił.

- Będę o niego dbać - powiedziała pośpiesznie Janet.

Uśmiechnęły się do niej. Wyglądała na uroczą osobę, ale oni przecież codziennie czytali albo słyszeli o strasznych rzeczach, które robili sympatycznie wyglądający ludzie, i o obcych wykorzystujących starszków.

- Cóż... - zaczął mężczyzna.

Janet wyczuła opór i zrozumiała jego powód.

- Zostawię państwu moje nazwisko i numer telefonu do pracy. Jeśli zdecydują się państwo wynająć mi domek, proszę mnie sprawdzić i telefonicznie zawiadomić o decyzji.

Zadzwonili po trzech dniach. Dwa tygodnie później Janet wprowadziła się do domku, w którym mieszkali kiedyś gospodarze, potem ogrodnicy, wnuki, a ostatnio rozwiedziona córka, która teraz jednak ponownie wyszła za mąż.

Brownowie mieszkali tu od pięćdziesięciu lat, wychowując dzieci i pracując na roli. W ciągu ostatnich dziesięciu lat wydzierżawili sporą część ogromnego majątku. Gleba i wzgórza o łagodnych stokach idealnie nadawały się do uprawy winorośli. Dwie z największych winnic okolicy bardzo zwiększyły swoją roczną produkcję, dzierżawiąc teren od Brownów.

Dochód z dzierżawy był więcej niż wystarczający. Sam grunt miał ogromną wartość. Brownowie zawsze żyli skromnie i uwielbiali swój dom na wsi; wkrótce jednak zamierzali przenieść się bliżej dorosłych dzieci i dorastających wnuków. Sprzedając majątek, staną się bardzo bogaci.

Gdy Janet się wprowadziła, Brownowie pokazali jej plan posiadłości. Teren rozciągał się kilka kilometrów na północ i na południe. I na zachód, aż do oceanu.

- Oczywiście, moja droga, możesz się przechadzać po posiadłości. Wszędzie.

Westchnęła, patrząc na zegarek. Zapadł już zmrok. Powinna ruszyć z powrotem, zanim będzie za ciemno. Zauważyła datę na cyferblacie zegarka.

Drugi października. Minął prawie rok od dnia, gdy powiedziała Markowi, że powinni się rozstać. Na jakiś czas. Na zawsze.

Wracając do domku, myślała o smutkach i szczęściu, jakie przeżyła w zeszłym roku. Czy wielki smutek po stracie Marka i małżeństwa mogła zrównoważyć radość śpiewania i występowania? Tryumf *Joanny*? I wielkie wyzwanie, jakim była awangardowa wersja *Piotrusia Pana*?

Jej nowe życie było satysfakcjonujące i spokojne. Chaos ostatniego roku jej małżeństwa stał się mglistym, niemiłym wspomnieniem. Janet

obroniła swój nowo znaleziony spokój i prywatność - oddalając groźbę przeprowadzki do Nowego Jorku i przerywając randkę z Rossem - szczerze i bezpośrednio. Zaczęła sobie uświadamiać, że panuje nad swoim życiem. I nad własnym szczęściem.

Szczęściem? To słowo ją dręczyło. Czy była szczęśliwa? Nie. Nie w porównaniu z jedynym szczęściem, jakiego zaznała, ze szczęściem płynącym z miłości do Marka. Szczęście było słowem zarezerwowanym dla odległych wspomnień. Dla życia sprzed lat.

Ale była zadowolona. Spokojna. Sama, ale nie samotna.

Czuła się o wiele lepiej niż przed rokiem, a nawet przed sześcioma miesiącami. Z każdym dniem stawała się silniejsza.

Wchodząc po ceglanych schodach, usłyszała dzwonek telefonu. Wbiegła przez otwarte drzwi frontowe do ciemnego pokoju, instynktownie omijając sprzęty, dotarła do telefonu i podniosła słuchawkę.

- Halo? - powiedziała zdyszana, jednocześnie włączając lampę.

- Janet, tu Ross.

- Cześć. Jesteś w Nowym Jorku? - Połączenie było bardzo dobre. Jakby Ross był w pobliżu.

- Tak. Nadal.

- Tutaj wszystko w porządku. Nie dzwoniłam, bo nie było żadnych kłopotów - wyjaśniła Janet.

- Wiem - powiedział. Nie wspomniał, że co najmniej raz dziennie rozmawiał z Jackiem. - Nie chodzi mi o *Piotrusia Pana*. Chodzi o *Joannę*.

- Och - odparła niepewnie.

- Potrzebuję twojej pomocy, Janet.

- Nie mogę się przeprowadzić do Nowego Jorku - rzekła szybko.

- Nie martw się. Nie o to proszę. W tym sezonie jesteś Wendy, nie Joanną.

- Dobrze.

- Zatem - powiedział ostrożnie - rozumiesz, nie da się tu mieszkać, ale można pozwiedzać...

Janet nie odpowiedziała. Chciałaby zaufać Rossowi. Nie wiedziała jednak, czy może. Zbyt wiele od niej wymagał. Oczekiwał, że będzie silniejsza niż w rzeczywistości.

- Janet, mamy kłopoty z przedstawieniem. Od kilku dni próbuję dociec, co jest nie tak, ale nie potrafię.

- To przecież ten sam zespół, z wyjątkiem mnie - stwierdziła kwaśno. Próbuje mnie w to wciągnąć, niezależnie od tego, co mówię.

- Nie chcę, żebyś grała Joannę. Proszę tylko, żebyś przyjechała tu na dzień lub dwa jako krytyk. Masz świetne oko. Może znajdziesz słabe

punkty. Chciałbym... Potrzebuję twojej opinii - powiedział ostro Ross. Dlaczego mi nie ufa? Czemu jest taka chłodna?

- Dzień lub dwa? - zapytała Janet z powątpiewaniem.
- To wszystko.
- Kiedy?
- Gdybyś mogła przyjechać w niedzielę wieczorem... Tym samym samolotem, którym lecieliśmy w sierpniu...
- Dobrze.
- Świetnie. Bilety będą czekać na lotnisku. Chcesz się zatrzymać w hotelu Plaża?
- Dobrze. Ross, nie jestem nawet pewna, czy mam ochotę zwiedzać - powiedziała Janet, podkreślając, że nie zabawi długo w Nowym Jorku.
- Rozumiem - odparł chłodno.

## Rozdział 21

**J**anet wykręciła numer Leslie, gdy tylko Ross odłożył słuchawkę.

- Cześć, Les. Pójdziemy jutro na kolację?
- Chciałabym, ale nie mogę. - Spotykam się z Jamesem, pomyślała Leslie, a serce zabiło jej szybciej. Już nie mogła się doczekać.
- W porządku.

Janet nie drażyła. To nie było w jej stylu. Przywiązywała dużą wagę do prywatności. Swojej i innych. Nie oznaczało to jednak braku zainteresowania czy troski.

Chociaż Janet była jej najlepszą przyjaciółką, Leslie nie mogła jej powiedzieć o Jamesie, ale nie było w tym nic dziwnego. Nigdy nie potrafiła opowiadać przyjaciółkom o Jamesie. Jej przyjaciółki z liceum nie rozumiały.

Leslie nie była pewna, czy Janet by zrozumiała. Nie, gdyby dowiedziała się wszystkiego.

- Lecę w niedzielę do Nowego Jorku.
- Naprawdę? Po co?
- Ross chce, żebym obejrzała przedstawienie i powiedziała, co jest nie tak.
- Myślisz, że to fortel, żeby cię tam sprowadzić?
- Mam nadzieję, że nie. - Mam nadzieję, że Ross by tego nie zrobił.
- Nie musisz niczego robić wbrew własnej woli.

- Wiem. Przy okazji ... - rzekła poważnie Janet. - Widziałaś Marka? Wrócił do pracy?

- Tak. Ma konsultacje. Widziałam go na obchodzie w zeszłym tygodniu. Dobrze wygląda - powiedziała Leslie. Dobrze, ale jeszcze nie całkiem. Wciąż jest trochę słaby i blady.

- Nie wiesz, czy wyjeżdża w lipcu? Dostał się na specjalizację do Bostonu?

- Mówił, że dowie się dopiero w połowie października. Jestem pewna, że się dostanie. I chyba pojedzie - powiedziała Leslie, na chwilę gubiąc się we własnych myślach. Jeszcze przed miesiącem, chociaż już wiedziała, co czuje Mark do Kathleen, zasmuciłaby się z powodu jego wyjazdu. Teraz jednak, gdy jej serce, ciało i umysł pragnęły tylko Jamesa, myśl o wyjeździe Marka nie wywierała na niej żadnego wrażenia. A to - kapryśna zmienność i siła własnych emocji - bardzo ją niepokoiło.

Tylko że jej związek z Jamesem nie był kaprysem.

- Och - rzekła Janet.

- Czy to ma znaczenie? - zapytała ostrożnie Leslie.

- Nie. A raczej tak. Byłoby lepiej, gdyby Mark wyjechał - powiedziała zdecydowanie. Dopóki Mark i Kathleen są razem, dopóki Kathleen jest zaangażowana w pracę w Teatrze Union Square, dopóki Ross, Kathleen i Mark widują się towarzysko, sytuacja będzie niezręczna. Bo Janet może przypadkiem spotkać Marka.

Byłoby więc najlepiej, gdyby Mark - razem z Kathleen - przeniósł się do Bostonu.

- Prawdopodobnie masz rację - powiedziała Leslie, myśląc o nich wszystkich.

Leslie wykręciła numer do biura Jamesa w sobotę o wpół do trzeciej, gdy tylko wróciła do domu.

Telefon zadzwonił dziesięć razy. Potem dwadzieścia.

A jeśli zmienił zdanie? Jeśli zdecydował, tak jak ona sto razy w ciągu ostatnich dwóch dni, że powinni przestać się widywać, bo to, co robią, jest złe? Leslie podjęła tę decyzję sto razy i zmieniała sto jeden.

Leslie odłożyła słuchawkę i ponownie wykręciła numer. Może Lynne jest w domu. Może odwołano lot. Ale James zadzwoniłby do niej do szpitala. Tylko że zawsze dzwonił do sekretariatu, który w soboty był zamknięty.

A jeśli miał wypadek samochodowy?

A jeśli...

- Halo?
- James?
- Cześć - powiedział łagodnie, ciesząc się, że słyszy jej głos.
- Telefon dzwonił tyle razy... - Odetchnęła z ulgą porzucając straszliwe domysły. W jego głosie słyszała radość.
- Nie wiedziałem, że dzwonek został wyłączony. Kątem oka zobaczyłem migające światełko. Od dawna próbujesz się dodzwonić? - zapytał w nadziei, że Leslie nie czeka w domu od kilku godzin i że stracili tyle cennego czasu.
- Nie, od kilku minut.
- Kiedy wrócisz do domu?
- Jestem w domu.
- Och - powiedział. Kolejne cenne chwile. Mógł już tam być, gdy przyszła. Dodał łagodnie: - Potrzebny mi będzie klucz.
- Masz klucz - szepnęła Leslie. Poprzedniego popołudnia, gdy zamawiała dla niego klucz, skarciła się w myślach. To głupota. Zarozumiałstwo. Ale James poprosił o klucz. A więc nie była aż taka głupia.
- Dziękuję. Ty masz kalendarz.
- Kalendarz?
- Tylko na październik. Nie wiedziałem, czy twój rozkład zajęć nie zmieni się w listopadzie.
- Zmieni się. Będę dyżurować co czwartą noc. - Leslie zakreśliło się w głowie. James chciał wiedzieć, czy będzie wolna w listopadzie. - W listopadzie będę pracować w Szpitalu Weteranów. Opowiedz mi o kalendarzu.
- Zaznaczyłem wszystkie dni, kiedy możemy - moglibyśmy - być razem. Na czerwono. Wykres możliwości.
- Ładnie, James.
- Pójdziemy dziś na spacer? - zapytała Leslie.
- Jasne.
- Dokąd?
- Na plażę. Na nabrzeże. Do parku Golden Gate.
- A potem?
- Kolacja. Gdzie zechcesz.
- A potem?
- Potem wiesz.
- Dobrze.
- Dłaczego rozmawiamy przez telefon, zamiast osobiście?
- Bo musisz odłożyć słuchawkę, żeby tu przyjść - zaczęła Leslie i przerwała. Głupia. Nie chciała stracić z nim kontaktu nawet na tych



kilka minut, które zajmie mu dojazd do niej. Sama możliwość słuchania jego głosu i rozmawiania z nim była dla niej wielkim luksusem.

Jak mu to wytłumaczyć?

- Powinienem mieć telefon w samochodzie, prawda? - zapytał. Doskonale rozumiał. On też nie chciał odkładać słuchawki.

- Tak - szepnęła.

- Kupię. Ale teraz przede wszystkim chcę cię zobaczyć. Leslie?

- James?

- Zależy ci na plaży?

- Nie.

- Na nabrzeżu albo parku?

- Ani trochę.

- Na kolacji?

- Mam w domu jedzenie. Na wypadek, gdybyśmy zgłodnieli.

- Janet!

Janet zatrzymała się zakłopotana. Czyżby usłyszała swoje imię w zgiewku podróżnych, kręcących się w niedzielny wieczór po lotnisku La Guardia?

- Janet - powtórzył Ross, podbiegając do niej, dotykając jej ramienia.

- Ross!

- Jesteś zaskoczona.

- Nie wiedziałam, że po mnie wyjdiesz - powiedziała Janet. Żałowała, że nie wiedziała. Przez ostatnie dwie godziny lotu martwiła się, jak odebrać bagaż i znaleźć taksówkę. Zastanawiała się też, jaki dać napiwek i co zrobić, jeśli kierowca zażąda za dużo albo pojedzie okrężną drogą, widząc, że ma do czynienia z łatwowierną pasażerką.

- A czego się spodziewałaś? - zapytał Ross najłagodniej, jak potrafił. Czy naprawdę myślała, że pozwoli jej samej jechać do hotelu?

- Nie wiem. Zamierzałam wziąć taksówkę - powiedziała pewnie Janet, teraz, kiedy już nie musiała.

Powinienem być na to pozwolić, pomyślał Ross, przecież w tym i innych miastach miliony kobiet interesów codziennie jeżdżą taksówkami. Janet chciała, żeby zostawiono ją samą sobie. Wymagała tego. Dlaczego więc zadał sobie trud wyjścia po nią? Czyżby z czystej uprzejmości?

Nie, pomyślał Ross, przypominając sobie strach, jaki ukazał się na jej twarzy, gdy była w Nowym Jorku. Wyszedłem po nią bo pod tą chłodną fasadą niezależności kryje się delikatna, słaba kobieta.

Janet tak dobrze ukryła wdzięczność w swych spokojnych, szarych oczach, że Rossa prawie kusilo, żeby wysłać ją do tej cholernej taksówki.

Dobrze by jej to zrobiło.

Nie rozmawiali podczas dwudziestopięciominutowej jazdy limuzyną z La Guardia do hotelu Plaża. Ross zamierzał zaproponować kolację. Mógłby wymyślić dość służbowych spraw do omówienia, żeby nie wyglądało to na randkę. Właściwie nawet powiedział Stacy, żeby się z nimi nie spotykała, bo będą rozmawiać o pracy.

Ale porzucił tę myśl. Nie muszą rozmawiać o przedstawieniu, zanim Janet je obejrzy. Może nawet nie powinni. Nie chciał wywierać na nią żadnego wpływu. Liczył na jej szczerą zawodową opinię.

- Jutro w południe przyjedzie po ciebie limuzyna, która zawiezie cię do teatru.

- Dobrze.

- Och, Janet. Nie powiedziałem nikomu z zespołu, że przyjeżdżasz. Nie chcę, żeby ktoś wiedział, że będziesz na próbie.

Janet kiwnęła głową. Żeby zobaczyć przedstawienie, które widział Ross i które tak bardzo go martwiło, musiała ukryć swą obecność przed aktorami.

- Nie będę do nikogo dzwonić - powiedziała, zanim wyszedł. Nawet nie wpadło jej do głowy, żeby telefonować do członków zespołu.

Powinam była o tym pomyśleć, powiedziała sobie później, podczas kąpieli. To moi przyjaciele, koledzy z pracy. Powinam chcieć z nimi porozmawiać.

Dlaczego więc nie chciała? Bo niektórzy mieli jej za złe, że nie przeniosła się do Nowego Jorku? Nie. Wszyscy rozumieli jej powody. Bo tak naprawdę ich nie lubiła? Nie. Lubiła ich bardzo. Łączyła ją z nimi silna, szczerza więź.

Bo łatwiej jest się nie angażować, przyznała sama przed sobą Janet, owijając się dużym, bladoróżowym ręcznikiem kąpielowym i zawiązując go nad biustem. Łatwiej. Bezpieczniej. W samotności jest spokojniej. Zainteresowanie jest zbyt bolesne. Troszczenie się o kogokolwiek innego sprawia zbyt duży ból. Dostatecznie bolesne jest troszczenie się o siebie.

Następnego ranka Janet obudziła się wcześniej. O ósmej była już po śniadaniu złożonym z rogalików i kawy, zjedzonym w pokoju, i po lekturze „New York Timesa”. Pijąc ostatnią filiżankę kawy, odwróciła wzrok od bezpiecznego, eleganckiego apartamentu i wyrzała przez wielkie okno

z różowymi, jedwabnymi zasłonami. Spojrzała na świat zewnętrzny. Na Nowy Jork.

Nowy Jork. Miasto, które widziała raz, krótko, i które znienawidziła.

Ale tego ranka miasto nie wyglądało tak groźnie. Lekki wiatr delikatnie poruszał czerwonymi, pomarańczowymi i żółtymi liśćmi klonów w Central Parku. Alejkami powoli jechały bryczki zaprzężone w konie. Biegacze w kolorowych strojach - zielonych, turkusowych, bordo i karmazynowych - truchtali w chłodnym, jesiennym powietrzu.

Janet uświadamiała to sobie powoli, nie wiedząc, co czuje, dopóki nie skończyła zapinać płaszcza. Chcę tam być. Wychodzę tam. Sama. Na spacer po Nowym Jorku.

Zamiast przejść przez ulicę z hotelu Plaża do Central Parku, Janet skręciła w prawo i dała się ponieść tłumom zmierzającym w kierunku handlowych i biurowych części Manhattanu. Znalazła się w morzu pełnych energii mężczyzn i kobiet. W morzu tweedowych marynarek, płaszczy burberry, trzyczęściowych garniturów i skórzanych aktówek. W morzu celowości, kierunku i magnetycznej energii.

Nie tonę, uświadomiła sobie Janet i poczuła zaskakującą radość. Płynę, nadążam za rytmem, cieszę się rytmem i witalnością Manhattanu w poniedziałkowy poranek.

Miała ochotę się śmiać. Albo śpiewać. Zamiast tego tylko uśmiechnęła się i szła dalej, czując się częścią miasta.

Po chwili, gdy zyskała więcej pewności, zrozumiała, że może iść we własnym tempie. Może iść wolniej. Może stanąć na rogu i patrzeć, jak mija ją gwarny tłum. Może stać nieruchomo, a i tak nie utonie. Może oglądać wystawy Tiffany'ego, Gucciego, Diora i Chanel.

Gdy otwarto sklepy, a Janet przeszła przez wiele ulic, czując rytm miasta i zachwycając się nim, zapragnęła coś sobie kupić. Dwa razy zatrzymała się przed butikiem znanego projektanta na Piątej Alei, zaintrygowana wiszącą na wystawie jedwabną sukienką w kolorach różowo-fioletowym, jasnoszarym i kremowym. Sukienka była kobieca, lecz nie frywolna. Elegancka, ale delikatna. Dla prawdziwej kobiety.

Janet nigdy nie miała takiej sukienki. Nosiła ładne, niedrogie stroje. Do niedawna nie miała pieniędzy na ubrania, a nawet gdy miała, wybierała konserwatywne, proste, tradycyjne fasony. Nic wymyślnego. Nic, co określa właścicielkę. Nic, co wybrałaby specjalnie, żeby przyciągnąć czyjąś uwagę do swoich zadziwiających szarych oczu i smukłej sylwetki.

Janet widziała siebie wyglądającą oszałamiająco, uwodzicielsko i pięknie jako Joanna, ale to była gra. Nosiła kostiumy. Joanna była kimś innym - kimś, kto nie istniał.

Fioletowo-szaro-kremowa jedwabna sukienka nie była kostiumem, a sprzedawczyni nie udawała, mówiąc, że Janet pięknie wygląda i że suknia jest jakby uszyta dla niej.

Janet wiedziała, jak wygląda i czuje się w tej sukience: miała w sobie energię i witalność. Była taka, jak otaczające ją miasto.

Kupiła sukienkę, miękki, kremowy płaszcz z moheru, jasnoszare skórzane pantofle i odpowiednią do nich torebkę.

Zanim wróciła do swojego apartamentu, żeby przygotować się do wyjścia do teatru, zatrzymała się przed hotelowym sklepem z pamiątkami. Kupiła kubek do kawy, naklejkę na zderzak i breloczek. Na wszystkich widniało logo: „Kocham (czerwone serduszko) Nowy Jork”.

Dlaczego to robię? - zastanawiała się, starannie nakładając tusz, cień do powiek i blad różową szminkę. Odrobinę więcej niż zwykle. Odrobinę silniejsze określenie samej siebie. Dla kogo? Dlaczego?

Dla Nowego Jorku. Dla witalności. Dla stylu. Dla dobrego samopoczucia.

Odgarnęła z twarzy jasne włosy do ramion, pociągając je lekko, żeby nadać im kształt. Jako Joanna nosiła je miętko szesane z twarzy, przypięte złotymi spinkami. Joanna miała to coś. Taka fryzura pasowała do Joanny, może będzie też pasować do Janet.

Ross czekał w holu. Uśmiechnął się z uznaniem na widok uderzającej blondynki w szarych pantoflach i moherowym płaszczu, z roziskrzonymi, szarymi oczami. Zauważył ją z daleka, spojrzał raz jeszcze, bo wyglądała pięknie. I dlatego, że było w niej coś znajomego...

- Janet - szepnął, gdy do niego podeszła. Joanna.

- Dzień dobry - powiedziała łagodnie, takim samym tonem, jak on.

- Wyglądasz... - Ross przerwał, szukając słowa, które nie wyda się zbyt osobiste. Słowa, które jej nie urazi. Odrzucił „cudownie”, „wspaniale”, „pięknie” i „wystrzałowo”. W końcu wybrał odpowiednie słowo, przymiotnik, którym nigdy przedtem by jej nie opisał. Powiedział: - Wyglądasz na szczęśliwą.

- Szczęśliwą - powtórzyła cicho Janet. Może jestem szczęśliwa. Przynajmniej coś czuję. Czuję coś miłego. - Może i tak. Spędziłam miły poranek.

- W Nowym Jorku? - drażnił się z nią Ross.

- Wzięło mnie. Rzeczywiście, można pozwiedzać.

Ross i Janet weszli do teatru niezauważeni. Zespół już się zebrał, za chwilę miała się rozpocząć próba. Spotkali się z Arthurem w biurze dyrektora.

- Cudownie wyglądasz, Janet - powiedział Arthur bez wahania, pomagając jej zdjąć płaszcz. - Co za suknia!

- Dziękuję, Arthurze - odpowiedziała lekko, wyraźnie zadowolona.

Ross był zaskoczony swobodną wymianą zdań Janet i Arthura. Gdyby on użył tych samych słów, Janet mogłaby się nastroszyć albo stałaby się lodowata. Arthur prawie nie znał Janet. Może właśnie dlatego zachowywał się przy niej tak swobodnie. A ona przy nim. Traktował ją tak, jak każdą inną atrakcyjną kobietę.

Może ona po prostu taka była. Może to Ross próbował wyczytać między wierszami coś, czego tam nie było, znaleźć pod spokojną powierzchnią nieistniejącą głębię. Janet była wobec niego chłodna tylko dlatego, że go nie lubiła. Przynajmniej prywatnie.

Współpraca zawodowa Rossa z Janet układała się bardziej harmonijnie niż z jakąkolwiek inną aktorką, nie mówiąc o gwiazdach. Ross szanował jej zawsze przemyślane opinie i wyjątkowy talent. Słuchał jej, a ona słuchała jego. Gdy się nie zgadzali - w kwestiach artystycznych - rozmawiali o tym. Poważne, szare oczy Janet przybierały wyraz zamyślenia, gdy zastanawiała się nad jakimś problemem, rozbłyskiwały, gdy go rozwiązali.

Dlaczego więc nie mógł jej powiedzieć, że cudownie wygląda?

Bo ona by mu na to nie pozwoliła.

- Wejdźmy na widownię. Zaraz zacznę - rzekł Ross.

- Janet, potrzebna ci kartka? Coś do pisania? - zapytał Arthur.

Ross wiedział, jak odpowie Janet. Nigdy niczego nie notowała. Wszystko miała w głowie. Każde słowo, każdą scenę, każde niedociągnięcie. Zauważała wszystko i o niczym nie zapominała.

Janet uśmiechnęła się i potrząsnęła głową.

Ross doskonale ją znał zawodowo.

Dyskretnie usiedli na balkonie. Patrzyli. Nie rozmawiali. Od czasu do czasu Arthur rzucał okiem na Rossa i krzywił się albo Ross lekko poprawiał się na krześle, gdy nie podobało mu się coś, co zobaczył na scenie. Janet wpatrywała się w aktorów intensywnie, bez ruchu, nie zwracając uwagi ani na Rossa, ani na Arthura.

Podczas przerwy przeszli do gabinetu Arthura.

- I? - zapytał Arthur, zamknąwszy drzwi, czekając na odpowiedź Janet.

Zaśmiała się.

- Ico?

- Co jest nie tak z przedstawieniem?

Janet nie odpowiedziała, ale spojrzała badawczo na Rossa.

- Wiesz, prawda? Sprawdzasz tylko, czy dojdziemy do tego samego wniosku. - To było takie oczywiste. Ross nie mógł tego nie zauważyć.
- Nie wiem, Janet. Naprawdę nie wiem. Powiedz nam.
- Zaczekajmy do końca. Żebym miała pewność.
- Dobrze - powiedział Arthur. - Ale, Janet, daj nam jakąś wskazówkę. Czy to wyraźnie widać?
- Bardzo.
- Będziesz chciała porozmawiać z zespołem?
- A chcesz, żebym to zrobiła?
- To zależy od problemu, prawda? - zapytał Ross, trochę rozdrażniony, że Janet nie mówi, o co chodzi. Wiedział jednak, że ma rację, chcąc obejrzeć przedstawienie do końca.
- Sądzę - powiedziała powoli Janet, rozważając wszystkie za i przeciw - że rozmowa z aktorami mogłaby pomóc.
- Dziś?
- Jasne - powiedziała Janet. Spojrzała na zegarek. - Arthurze, czy mogę od ciebie zadzwonić? Chcę złapać Petera w San Francisco, zanim wyjdzie do teatru.
- Proszę bardzo. Pójdę za kulisy powiedzieć zespołowi, że po próbie zrobimy godzinną przerwę na obiad, a potem będzie... hm... długa krytyka, scena po scenie. Może być? Nie chcę przesadzać.
- To twoje przedstawienie, prawda, Arthurze? - odpowiedziała lekko Janet. - Może być.
- Dł<sup>acz</sup>g<sup>o</sup> dzwonicz do Petera? - zapytał łagodnie Ross. - A może to sprawa osobista? Mam wyjść?
- Nie! Muszę go tylko zawiadomić, że tu jestem. Przed wyjazdem nie mogłam złapać ani Petera ani Jacka. Ten telefon Arthura wygląda na bardzo nowoczesny - dodała Janet, szukając słuchawki.
- Ma głośnik - powiedział Ross. - Nie trzeba męczyć rąk. Aparat na biurku to odbiornik i wzmacniacz.
- Och.
- Oboje usłyszeli sygnał w telefonie, znajomy, charakterystyczny dla San Francisco. Odebrał Peter.
- Cześć - powiedziała Janet, nie przedstawiając się.
- Wendy, ukochana moja. Jak się masz? Spędziłem cały weekend w Carmel, rozmyślając o naszej scenie miłosnej w drugim akcie. Chyba znalazłem rozwiązanie. Jest dość nieprzyzwoite.
- Świetnie. Jest ze mną Ross. Na pewno będzie zadowolony.
- Ross wrócił? Cudownie.
- Nie, Peter. Nie wrócił. Ja przyleciałam do Nowego Jorku.

- Wspaniale. Może wystawimy *Piotrusia Pana* w Wielkim Jabłku, skoro jest tam już cały zespół. - W głosie Petera wyraźnie słysząc było rozdrażnienie. Nie wiedział, że Ross go słyszy.

- Peter - powiedziała szybko Janet. - Wrócę jutro. Najpóźniej w środę. Zadzwoń od razu. Nie mogę się doczekać, kiedy mi powiesz, co wymyśliłeś na temat drugiego aktu. Mnie też przyszedł dziś do głowy pewien pomysł. Sądzę, że Ross niedługo wróci...

Spojrzała na Rossa. Krzywił się.

- Mam nadzieję. Dobrze, kochana. Na razie - powiedział Peter i odłożył słuchawkę.

- Niewiele zdziałaliśmy w czasie twojej nieobecności - wyjaśniła, wzruszając ramionami. - Wciąż nie możemy sobie poradzić ze sceną z drugiego aktu.

Zanim Ross zdążył coś powiedzieć, wrócił Arthur.

- Chodźcie dzieci. Czas na przedstawienie.

W czasie przerwy obiadowej Ross, Arthur i Janet zjedli chińskie danie w gabinecie Arthura. Nie rozmawiali o przemyśleniach Janet na temat problemów z *Joanną*. Arthur oświadczył, że z radością usłyszy wszystko na świeżo, gdy Janet opowie to zespołowi.

Janet, Ross i Arthur przyszli do aktorów na scenie. Pojawienie się Janet powitały gwałtowne oddechy i okrzyki zaciekawienia. Co ona tu robi? Czyżby jednak postanowiła dołączyć do zespołu w Nowym Jorku?

Tylko Beth, nowa Joanna, drżała.

- Janet! Wspaniale wyglądasz.

- Co tu robisz?

- Wspaniała sukienka!

- Jak długo zostaniesz?

Wszyscy otoczyli Janet. Jej szare oczy na chwilę zwilgotniały. To byli jej przyjaciele. A ona nawet nie chciała się z nimi skontaktować.

- Janet przyjechała - powiedział w końcu Arthur - ponieważ, jak wszyscy wiecie, przedstawienie nie jest całkiem w porządku. Ross i ja poprosiliśmy ją o opinię.

Na scenie zapadła cisza. Czy Janet dopiero przyszła, czy była tu cały dzień? Czy widziała próbę? Co sobie pomyślała?

Beth zamknęła oczy i usiadła, wyczerpana, pokonana.

- Witam wszystkich - zaczęła Janet, próbując zmniejszyć napięcie. Oni nie wiedzieli, że ma dla nich dobrą wiadomość, że przedstawienie można poprawić.

Janet podeszła do Beth i podała jej rękę. Beth wstała i uściśniła ją swoją zimną, spoconą dłonią. Beth wiedziała, że podała rękę wrogowi, kobiecie, której - czego oczekiwał cały zespół - powinna dorównać, kobiecie, którą nie mogła się stać, niezależnie od tego, jak bardzo by się starała. Wyczuwała niezadowolenie zespołu. Wszystko szło źle tylko dlatego, że ona nie była Janet.

- Jesteś wspaniałą - powiedziała Janet do Beth. Potem odwróciła się do zgromadzonych aktorów i powtórzyła to, co powiedziała. - Beth jest wspaniałą Joanną.

Janet zobaczyła na ich twarzach powątpiewanie, potem zakłopotanie. Wierzyli Janet. Janet nigdy nikogo nie wybielała. Nie mówiła rzeczy, w które nie wierzyła.

- Beth jest wspaniałą Joanną. Jest inną Joanną niż ja. Daje Joannie inną osobowość, ale to doskonale uzasadniona interpretacja. To dobry, bardzo twórczy sposób grania Joanny. Nie widziałas mnie w tym przedstawieniu, prawda, Beth? - zapytała Janet.

- Nie - odpowiedziała aktorka, niemal przepaszająco.

- To dobrze. Problem w tym, że wszyscy tu obecni... - rzekła Janet i po raz pierwszy spojrzała na Rossa. Uśmiechał się, kiwał głową. Może przedtem nie wiedział, ale teraz zrozumiał. Zgadzał się. Wiedział, że Janet ma rację. Uśmiechnęła się do niego i ciągnęła: - Wszyscy tu obecni widzieli, jak gram Joannę. Cały zespół gra tak, jakbym to ja występowała w roli Joanny. Ale Joanna Beth jest inna. Wszyscy muszą zmienić swoją grę. Musicie się dostosować do Beth, tak jak dostosowaliście się do mnie.

- Jak? - zapytał ktoś. Pytanie „Dlaczego”, kołaczące się w wielu głowach, nie zostało zadane.

- Najpierw musicie przyjąć do wiadomości, że to, co robi Beth, jest dobre. Widząc ją w pierwszej scenie, grającą zupełnie inaczej niż ja, pomyślałam: „Co ona wyprawia? Jak śmie?” Ale zmusiłam się do oglądania przedstawienia tak, jak oglądałaby je widownia. Chciałam się przekonać, czy jej Joanna jest żywa i przekonująca. I Joanna Beth taka jest, mimo... - Janet przerwała. Zespół ją znał. Aktorzy wiedzieli, że potrafi być twarda i bezpośrednia. Tego się po niej spodziewali. Ciągnęła więc surowo: - Mimo braku pomocy ze strony reszty zespołu.

Nikt nie powiedział ani słowa. Beth otarła łzy, mając nadzieję, że nikt nie widzi.

Masz całkowitą rację, Janet, pomyślał Ross. Ale jak naprawisz taki rozdźwięk?



- Ja nie wracam. Mogę już nigdy nie wystąpić w roli Joanny. Jeśli wy wszyscy zagracie tak, jak potraficie, to złotym standardem stanie się Joanna Beth, nie moja.

- Jak to możliwe, Janet? - zapytał ktoś.

- Jeśli wszyscy chcą, zacznijmy od razu. Najpierw Beth musi nam opowiedzieć o swojej Joannie. Jestem pewna, że już to robiliście, ale nikt nie słuchał, bo wszyscy przecież znają Joannę. Tak?

Kilka opornych skinięć głowami. Janet oczywiście miała rację. Nie żeby celowo starali się zepsuć przedstawienie...

- Beth opowie nam więc o Joannie. Potem chciałabym wam pokazać, scena po scenie, gdzie dostrzegłam słabe punkty, gdzie nie wspierałyście jej interpretacji i jak moim zdaniem możecie zmienić swoją grę. Zmiany są małe, subtelne, ale konieczne. Jeśli ich nie wprowadzicie, przedstawienie się załamie. Ale jeśli je przyjmiecie, możecie przeprowadzić się tu na stałe.

Nerwowy śmiech ulgi.

Janet spojrzała na reżysera. On też był nowy w zespole. Do tej pory nie miał pojęcia, na czym polega prawdziwy problem. Prawdopodobnie mówił do nich te same słowa, daremnie próbując przekonać ich do pomagania Beth. Janet weszła na jego terytorium, ale nie wyglądał na zagniewanego. Raczej czuł ulgę. Po raz pierwszy pomyślał, że mogą wszyscy spróbować.

Powtarzając raz po raz niezręczne sceny, słuchając Janet i Beth, rozmawiając, zamiast się kłócić, zaczęli sobie uświadamiać, że to jest możliwe. A nawet ekscytujące. Nie kopiowali spektaklu z San Francisco; tworzyli nowe przedstawienie, z nowym charakterem i siłą. Wszystko było możliwe.

Pracowali do drugiej nad ranem. Nikt nie zauważył upływu czasu. Nikt nie chciał wyjść. Tylko Stacy - która przyszła o siódmej i przez cztery godziny siedziała w pierwszym rzędzie obok Rossa - wyszła, z nim skończyli.

Ross i Janet pojechali razem taksówką do hotelu Plaża. Ross zapłacił kierowcy i wszedł z Janet do hotelu.

- Przecież ty tu nie mieszkasz - powiedziała Janet, gdy jechali windą. - Zapomniałam.

- Nie mieszkam. Ale chciałem dopilnować, żebyś bezpiecznie dotarła do pokoju. Jest późno.

- Dziękuję.

Janet zawahała się przy drzwiach swojego apartamentu. Ross był taki milczący. Nawet nie powiedział jej, co myśli.

- Uważasz, że wszystko dziś dobrze poszło? - zapytała. Trzymała już w dłoni klucz, ale odwróciła się do Rossa, stając plecami do drzwi.

- Dobrze? Janet, jesteś geniuszem. Wszyscy zachowali twarz. Wszyscy byli bardzo zadowoleni. To będzie świetny, złoty spektakl. Tak, wszystko poszło dobrze - powiedział. Czyżby nie wiedziała?

- Czasami trudno mi odgadnąć, co myślisz. Milczałeś.

- Nie chciałem się wtrącać. To twoje przedstawienie - powiedział. Nie była to do końca prawda. Milczał, bo myślał o niej. - To zawsze będzie twoje przedstawienie. Zgadzam się, że Beth stworzyła dobrą Joannę, ale ja wolę twoją interpretację.

- Ja też - powiedziała Janet, lekko marszcząc brwi.

- Dlaczego się skrzywiłaś? - zapytał Ross, jakby Janet była taka, jak wszyscy inni. Nie pozwalał marszczyć brwi bez komentarza.

- To nie ja, tylko moje ego - powiedziała Janet, potrząsając głową. - Chciałabym, trochę, żeby moja Joanna nie została zapomniana.

- Trochę?

- Trochę. To było malutkie zmarszczenie brwi. Ale to nie powinno mieć żadnego znaczenia. Takie rzeczy zwykle się dla mnie nie liczą. - Tej nocy jednak się liczyły. Z powodu całego dnia. Z powodu tego, że poczułam się ożywiona, piękna i dumna. I szczęśliwa?

- Ja nigdy nie zapomnę, jak zagrałaś Joannę.

Janet podniosła na niego wzrok. Jej szare oczy uśmiechnęły się z wdzięcznością.

Ross pocałowałby każdą inną kobietę na świecie, która spojrzałaby na niego w ten sposób. Zwłaszcza tę, którą pragnął pocałować przez cały wieczór.

Ale nie zrobił tego i cudowna chwila minęła.

- Pójdę już - powiedziała Janet, odwracając się, żeby włożyć klucz do zamka.

- Wyjeżdżasz jutro?

- Tak.

- O której? Wyślę limuzynę.

- Nie wiem, o której wyjadę. Ale nie martw się o mnie. Potrafię sama dojechać na lotnisko - powiedziała pewnie.

- Dobrze. Do zobaczenia w piątek w San Francisco. A może w czwartek. Jeszcze raz dziękuję za to, co dziś zrobiłaś.

- Ja też na tym skorzystałam - powiedziała cicho, gdy odchodził.

## Rozdział 22

Kathleen spojrzała na swój zegarek od Cartiera i zmarszczyła brwi. - Patrzyłaś na zegarek dokładnie pięć minut temu, prawda? - zapytała Betsey.

- Tak. Ale w Bostonie jest już wpół do czwartej. Do tej pory powinni byli już go zawiadomić - powiedziała Kathleen, bez apetytu skubiąc listek sałaty; srebrny widelec odłożyła na talerz.

- Mark wie, że jesteśmy w Klubie. Zadzwoni. Nie rozumiem, dlaczego się tak denerwujesz.

- Bo to może oznaczać, że za osiem miesięcy Mark przeprowadzi się do Bostonu.

- Że oboje przeprowadzicie się do Bostonu.

- Nie jestem tego pewna, Betsey. Nie wiem, czy Mark będzie chciał, żebym z nim pojechała.

- Kathleen, on cię bardzo kocha. To takie oczywiste. Wszyscy trochę wam zazdrościmy - powiedziała Betsey, patrząc na obrączkę, którą nosiła od dwóch miesięcy.

- A ja zazdrozczę tobie. Ty i Jeff doskonale się znacie. Wiecie, jak bardzo się kochacie. I że słusznie spędzicie ze sobą resztę życia.

- Nie wiesz tego o Marku?

- Wiem. Chyba wiem. Tylko że nasz związek jest taki świeży...

- Taki ekscytujący i cudownie romantyczny... - dodała marzycielsko Betsey.

- Ale nieprawdziwy. Zastanów się, Betsey. Poznałam go, gdy rozpadało się jego małżeństwo. Rozstaliśmy się na cztery miesiące, żeby doszedł do siebie. W tym czasie ogromnie zapragnęliśmy być razem. Niedługo potem, gdy dopiero zaczynaliśmy się przekonywać, jak wygląda codziennie, wspólne życie, Mark został postrzelony... - Głos Kathleen się załamał. Wspomnienie wciąż było zbyt przerażające.

- Ale te kryzysy bardzo was zbliżyły - powiedziała Betsey.

- Życie nie jest serią kryzysów. Składa się z kolejnych dni. Swoją miłość trzeba odnawiać od wewnątrz, a nie dlatego, że przypomina o niej jakiś kryzys. Nawet teraz ta sprawa z Bostonem do czegoś nas zmusza.

- Czyli nie jesteś pewna?

- Ja tak, ale nie wiem, co myśli Mark. A jest taki ostrożny.

- Czego pragniesz? - zapytała Betsey.

- Sześciu miesięcy. Dobrze, może to chciwość. Pragnę jednego miesiąca - rzekła Kathleen, już widząc przed swymi fiołkowymi oczami

szczęśliwy obraz. - Jednego miesiąca, w którym największy kryzys będzie polegał na tym, że w domu kończy się mleko.

- Właśnie spędziłam taki miesiąc - rzekła Betsey. - Było raczej nudno!

Kathleen zaśmiała się, lekko potrząsając głową. Przerwała nagle, gdy zobaczyła kelnera, podchodzącego do ich stolika z telefonem.

- Telefon do pani, pani Jenkins - powiedział, podłączając aparat do gniazdka obok stolika.

- Mark?

- Cześć!

- Dostałeś się na specjalizację! - Kathleen słyszała to w jego głosie, w sposobie, w jaki wypowiedział jednosylabowe słowo.

- Tak - rzekł, podekscytowany.

- Gratuluję. W szpitalu Peter Bent Brigham nawet nie wiedzą, jakie mają szczęście.

- Może... - zaczął Mark.

- Zgodziłeś się, prawda?

- Powiedziałem, że udzielę odpowiedzi jutro.

- Dlaczego?

- Bo chcę to omówić z tobą.

- Och - powiedziała cicho. Och.

Mark czekał, spodziewając się, że Kathleen jeszcze coś powie. Nie powiedziała.

- Zatem, moja pani, pójdziemy dziś na kolację? Do Gerarda?

Była to ulubiona restauracja Kathleen. Ulubiona, bo taka romantyczna.

- Dobrze - odpowiedziała powoli, zastanawiając się, co to znaczy i o czym mają rozmawiać. - Mam zarezerwować stolik?

- Już zarezerwowałam. Na ósmą. Powinienem wrócić do domu o wpół do siódmej.

- Zatem do zobaczenia - powiedziała łagodnie Kathleen i odłożyła słuchawkę.

Chciał to omówić - coś, co wiązało się z jego wyjazdem do Bostonu - z nią. A może tylko chciał jej powiedzieć, co i dlaczego zdecydował. Może tylko chciał wyjaśnić, dlaczego będzie najlepiej, jeśli wyjedzie sam.

Wybrał jej ulubioną restaurację, ale to było miejsce publiczne. Czy to dobrze, czy źle? Wiedział, że nie zrobi tam sceny. Powinien wiedzieć, że nie zrobiłaby sceny i w domu. Zgodziłaby się na wszystko, bo wiedziałaby, że dobrze to przemyślał.

W jego głosie dźwięczał zapach, ekscytacja i miłość, przypominała sobie Kathleen przez długie popołudnie. Przypominała to sobie, ale wciąż miała ściśnięty żołądek i przesywały ją fale strachu.

Mark zarezerwował u Gerarda ich stolik. Stał w najbardziej romantycznym, odległym kącie restauracji. Kathleen zastanawiała się, kiedy Mark go zarezerwował. Nie dostaliby tego stolika, gdyby zadzwonił dzisiaj.

Kathleen patrzyła na płomyk świecy przez złote bąbelki szampana. Nie mogła spojrzeć na Marka, chociaż czuła na sobie jego wzrok.

- Zatem... - zaczął cicho.

- Zatem - powtórzyła z bijącym sercem, wciąż wpatrując się w lśniąca bąbelki. Proszę, nie mów, że to było wspaniałych kilka miesięcy, ale... Albo że chcesz najpierw pomieszkać w Bostonie sam... Powiedz mi tylko, że jest za wcześnie, żeby mieć pewność, więc może zaczekajmy do wiosny...

- Zatem, wyjdiesz za mnie, Kathleen?

- Wyjść za ciebie? - zapytała słabym głosem, podnosząc wzrok, wiedząc, że musi spojrzeć mu w oczy.

- Wyglądasz na zaskoczoną.

- Bo jestem - odpowiedziała łagodnie. W jej fiołkowych oczach załśniły łzy radości. - Jesteś pewien?

- Tak. Ale ty nie - odrzekł, zatroskany.

- Jestem pewna. Tak, Mark, wyjdę za ciebie - powiedziała, patrząc mu w oczy, szukając wątpliwości i wahania, ale nie znajdując. Piwne oczy Marka były spokojne, pełne szczęścia i miłości. - Oczywiście, że za ciebie wyjdę.

- Kiedy?

- Kiedykolwiek. Kiedy zechcesz - powiedziała Kathleen, nie posiadając się z niedowierzania i radości. - Może w połowie czerwca? Tuż przed naszym wyjazdem do Bostonu.

- Kathleen, nie musimy jechać do Bostonu. Masz tu rodzinę...

- Chcę jechać. Uwielbiam Boston. Jest taki uroczy i tradycyjny, tak bardzo zakorzeniony w historii. Poza tym - powiedziała Kathleen, mrugając okiem - nie mogę się doczekać, żeby wszystkim powiedzieć, że mój mąż - mój mąż - Cornhusker odbędzie specjalizację z kardiologii u Garbatego Petera!

- Kto ci powiedział...?

- Hal, oczywiście. Słodki stażysta Leslie. Pewnego dnia, gdy byłeś jeszcze na oddziale intensywnej terapii, Hal oświecił mnie co do, jak to określił, bostońskich przydomków akademickich. Szpital Ogólny Massachusetts to Generał. Szpital Beth Israel nazywa się Dom Boży. A Peter Bent Brigham to Garbaty Peter. Już lubię medyczną społeczność Bostonu.

- Jesteś cudowna.

- Ty też. Chcesz jechać do Bostonu, prawda?

Mark skinął głową. Potem powiedział poważnie:

- Najbardziej chcę się z tobą ożenić. Jeśli przeprowadzimy się do Bostonu, to będzie już pełnia szczęścia.

- Och, Mark. Kocham cię.

- Kocham cię, Kathleen.

Podali sobie ręce przez stół, splekli palce, patrzyli na siebie z miłością i pewnością. Po kilku chwilach Kathleen lekko zmarszczyła brwi.

- Co się stało? - zapytał Mark natychmiast.

- Muszę ci opowiedzieć o swojej sytuacji finansowej - powiedziała. Musi to wiedzieć, zanim ją poślubi.

- Dobrze. Dlaczego, wżeniam się w długi?

- Nie. Nie w długi, lecz w zobowiązania. I to duże.

- Jestem zaintrygowany. Mów - rzekł lekko Mark, niczym się nie przejmując. Wiedział, czym się zajmuje ojciec Kathleen. Wiedział, że Kathleen jest przyzwyczajona do dużej swobody w podróżowaniu i zakupach. Ale Mark wierzył, że dla Kathleen wydawanie pieniędzy nie jest najważniejsze.

Byli szczęśliwi w jego małym mieszkaniu, które Kathleen sama pomalowała. Pewnego dnia Mark będzie zarabiał tyle, żeby pozwolić jej na lepszy styl życia. Kathleen chyba wiedziała, że to musi potrwać, więc nie naciskała. Właściwie do tej pory ani razu nie rozmawiała z nim o pieniądzach.

Tak, jakby nie miały dla niej znaczenia.

W spokojnym kąciку, przy stole nakrytym białoróżowym obrusem, ozdobionym białymi różami, Kathleen opowiedziała Markowi o swoich pieniądzach. O funduszach powierniczych i dochodach. O swoim wręcz nieograniczonym bogactwie.

- Z funduszy dostajesz więcej odsetek, niż ja zarobię kiedykolwiek. Rocznie dużo więcej, niż ja zarobiłbym w ciągu dziesięciu lat - powiedział cicho Mark.

Kathleen kiwnęła głową, mrużąc fiołkowe oczy. Próbowwała odczytać myśli kryjące się w jego głowie.

- Naprawdę nie wiedziałem - powiedział.  
- Wiem. My, moja rodzina, nie afiszujemy się z tym. Na tym polega zobowiązanie. Moje pieniądze mogłyby narazić nas i nasze dzieci na niebezpieczeństwo porwania. Ale nie oznacza to, że nie powinniśmy się cieszyć fortuną. Samych odsetek nie bylibyśmy w stanie wydać w ciągu roku, nawet gdybyśmy się bardzo starali, a ty oczywiście nigdy w życiu nie musiałbyś brać do ręki stetoskopu - powiedziała lekko Kathleen i przerwała, zdziwiona miną Marka. Na jego twarzy malowała się ulga. Spokój. Ale dlaczego? Przecież Mark kocha medycynę. Nigdy jej nie rzuci, prawda?

Wyraz twarzy Marka szybko się zmienił. Kathleen poczuła się nieco zagubiona.

- Sądzę, że twoja rodzina i jej adwokaci będą nalegać, żebyśmy spisali intercyzę - powiedział spokojnie Mark.

- Nie! Nie bądź głupi - powiedziała Kathleen, wiedząc, że będą jej to doradzać. Ale to był jej wybór. Jej pieniądze. Jej małżeństwo.

- Mogę podpisać intercyzę. Nie żenię się z tobą dla pieniędzy. Zresztą zamierzam być twoim mężem na zawsze - powiedział Mark, sięgając nad stolikiem, żeby dotknąć jej twarzy. Dodał poważnie: - Gdyby coś się stało, nie chciałbym twoich pieniędzy. Niech to będzie moja ustna intercyza.

- Nie chcę jej, bo nic się nie stanie. Obiecuję za to, że będziesz korzystał z tych pieniędzy. Żeby kupić dom, jeśli będziemy chcieli. Żeby robić sobie cudowne wycieczki. Żebyś w pracy miał swoje własne laboratorium. Nie musimy odmawiać sobie wszystkiego tylko dlatego, że nie chcemy dotykać moich pieniędzy.

- Tylko dlatego...?

- Możemy sobie wszystkiego odmawiać, jeśli będziemy chcieli, jeśli mamy się przez to poczuć jak prawdziwi nowożeńcy, ale nie z powodu żadnych uprzedzeń i założeń co do tego, kto zarabia na chleb. Dobrze?

Mark się zaśmiał.

- Kathleen, ja naprawdę nie widzę zagrożenia w twoich pieniądzach - powiedział szczerze. - Tylko jestem zaskoczony.

- I kusi cię, żeby je wydawać?

- Jasne. Na nas. Na dom, który ci się spodoba. Na wycieczkę, na którą będziemy chcieli wyjechać. Na rzeczy, które cię uszczęśliwią.

- Ty mnie uszczęśliwiasz.

- Ty uszczęśliwiasz mnie.

- James, tu Eryk. Chyba udało nam się pomyślnie zakończyć negocjacje w sprawie dodatkowego gruntu. - W głosie Eryka Lansdale brzmiało zadowolenie.

- Świetnie.

- Charlie wciąż dopracowuje szczegóły, ale jest już dobrze.

- Charlie?

- Charlie Winter. Jest prawnikiem korporacji. Na pewno z nią rozmawiałeś.

- Z panią Charlotte D. Winter? Oczywiście. Rozmawialiśmy przez telefon wiele godzin, dyskutując o drogach i dostępie do budynków. Ale nie poznałem jej osobiście. Zdrobnienie „Charlie” do niej nie pasuje.

- Przekonasz się, że pasuje, gdy ją poznasz. Co może nastąpić wkrótce. Jeśli uda nam się wszystko załatwić, w przyszłym tygodniu powinniśmy polecieć we trójkę na Maui. Możesz się wyrwać?

- Jasne.

- Dobrze. Będziesz w domu w ten weekend? Mogę cię potrzebować, gdyby były jakieś problemy. Narzekają na podział gruntu, nie chcą nam sprzedać wszystkiego. Chciałbym, żebyś się wypowiedział na temat działek, które koniecznie musimy kupić. Masz plany, prawda?

- Tak. Znasz mój numer domowy?

- Tak. Sprawdźmy, czy jest dobry.

James słuchał jednym uchem, gdy Eryk czytał numer. Musi mu podać numer Leslie. Nie ma wyboru. Przecież będzie u niej.

- Zgadza się. Ale podam ci jeszcze jeden.

Eryk zapisał numer na świstku i włożył go do teczki.

Uśmiechnął się. Nie znał dobrze Jamesa Stevensona, ale już go lubił. James okazał się wspaniałym nabytkiem dla firmy Eryka, InterLand. Był najbardziej twórczym architektem, jakiego znał. Twórczym i nie wpadającym w szal. I miłym. James był miłym człowiekiem - pracowitym, profesjonalnym i utalentowanym - chyba nieżonatym, ale zaangażowanym. To dobrze, że James kogoś ma.

- James - powiedział Eryk, myśląc o życiu osobistym Jamesa. - Jeśli chcesz, weź ze sobą kogoś na Maui. Nie będziemy się przez cały czas zajmowali sprawami służbowymi. Polecimy odrzutowcem firmy. Jest mnóstwo miejsca.

- Och. Dziękuję.

- Jeśli nie zadzwonię w ten weekend, porozmawiamy w poniedziałek - powiedział Eryk zdecydowanie. Charlie właśnie weszła do jego gabinetu.

- Dobrze. Miłego weekendu, Eryk.



Charlie odezwała się, gdy tylko Eryk odłożył słuchawkę.

- Ci faceci byli twardzi - westchnęła, opadając na kremową sofę w jego gabinecie.

- Byli?

- Tak sądzę. Mam nadzieję. Mogą złożyć inną ofertę, żeby ratować twarz. Mogą chcieć zatrzymać trochę gruntu, ale sądzę, że ich mamy.

- Dobrzy prawnicy?

- Dobrzy - powiedziała z uśmiechem Charlie. - Ale nie świetni.

- Ty nie jesteś prawnikiem, Charlie. Jesteś rekinem. Pani Charlotte D. Winter - powiedział Eryk, a jego jasnoniebieskie oczy śmiały się do niej z uznaniem.

Charlie wyglądała groźnie, ubrana i uczesana jak prawniczka. Miała na sobie doskonale skrojony tweedowy kostium z jedwabną bluzką i delikatny, bardzo drogi zegarek Longines. Jej długie złote włosy zostały szczesane z twarzy i spięte w kok. Łagodne, uwodzicielskie piwne oczy przybrały wystudiowany, oficjalny wyraz.

- Pani? Kto to powiedział? Dlaczego się śmiesz?

- Powiedział to James. Całkowicie go sterroryzowałaś. Charlie, on jest po naszej stronie. To dobry facet. A śmieję się, bo naprawdę potrafisz wyglądać złowieszczo.

- Profesjonalnie.

- Profesjonalnie i efektywnie - zgodził się, wyciągając do niej ramię, ponagłając, by do niego podeszła.

- James jest taki poważny. Ostrożnie odpowiada na pytania - powiedziała Charlie, potrząsając głową, nie chcąc podejść do Eryka, dopóki nie przestanie z niej kpić.

- Moim zdaniem to miło, jeśli ktoś, kto dla mnie pracuje, podchodzi poważnie do wydawania milionów moich dolarów. Cieszy mnie jego ostrożność - powiedział Eryk nieco karcącym tonem. W negocjacjach takich jak dzisiejsze dawał Charlie prawie wolną rękę. Charlie była sprytna i nie bała się wydawać pieniędzy. To, co wydawała, zawsze zwracało się po wielokroć. Charlie miała nieomylny instykt. Dodał: - Ty i James musicie się poznać. Osobiście. Na plaży.

- Wyobrażam go sobie jako nudnego, nieatrakcyjnego jajogłowego.

- Sądzę, że on tak samo wyobraża sobie ciebie.

- Próbujesz nas wyswatać?

- Nie! Nie jest w twoim typie. Oczywiście nie wiem, jaki jest twój typ. Zresztą James kogoś ma.

- Sądziłam, że ty jesteś w moim typie - rzekła łagodnie Charlie. Było to zdanie pełne znaczenia, które obejmowało prawie dwadzieścia

lat znajomości, gamę emocji, namiętności i bólu. Zdanie, które, jak wiedzieli oboje, nie było do końca prawdą. Ale nie było też do końca fałszem.

- Częściowo - rzekł Eryk, ruszając w jej stronę.

Charlie wstała. Dwoma szybkimi ruchami wyjęła spinki z ciasno zwiniętych włosów. Jedwabiste, jasne pasma opadły jej na plecy i na twarz. Piwne oczy popatrzyły łagodniej, zachęcająco.

- Wiem - szepnęła, gdy jej usta dotknęły jego ust. - Te części podobają mi się najbardziej.

- Pani Charlotte D. Winter - mruknął Eryk, całując jej długą cudowną szyję.

# Część 3

## Rozdział 23

*Filadelfia, w stanie Pensylwania  
Listopad 1945 roku*

Charlotte D. Winter - powtórzyła zdecydowanie Mary pielęgniarce tego śnieżnego ranka w Filadelfii, jedenastego listopada 1945 roku. Jej córka urodziła się przed pięcioma godzinami.

- Imię po pani?
- Tak.
- Od czego skrótem jest D., proszę pani?
- Od niczego.

Pielęgniarka wygięła brew, ale zapisała nazwisko matki i dziecka, Charlotte D. Winter.

- Nazwisko ojca? - zapytała.
- Max D. Winter - rzekła łagodnie Mary, mając nadzieję, że pielęgniarka nie rozpozna nazwiska i nie oskarży jej, zresztą słusznie, o podawanie zmyślonych danych.

Pielęgniarka nawet nie mrugnęła. Teraz liczyło się dla niej tylko to, że straszliwa wojna, w której zginęło tak wielu ludzi - tak wielu ojców, którzy nie zobaczą swoich córeczek - była prawie zakończona. Nic innego nie miało znaczenia. Coś jednak zadzwoniło jej w głowie. Może była to tylko nadzieja, że Max D. Winter wróci z Europy czy skądkolwiek indziej i zobaczy swoją córkę Charlotte.

Mary wiedziała, że ojciec jej dziecka nigdy nie zobaczy swojej córeczki. Nigdy nawet nie dowie się o jej istnieniu. Nie było żadnego Maksa

D. Wintera. Tylko John, szeregowiec, którego spotkała w Walentynki dziewięć miesięcy wcześniej. Nie знаła jego nazwiska.

W środę czternastego lutego 1945 roku John odwiedził bibliotekę Północnej Filadelfii, bibliotekę Mary, jedną z niewielu w mieście, które pozostały otwarte w czasie wojny. Biblioteka była otwarta dzięki niej, bo nie chciała zamknąć swoich książek i zgadzała się na pracę prawie bez wynagrodzenia. Najlepsi przyjaciele Mary, jej jedyni przyjaciele, byli postaciami z powieści. Doskonale ich znała. Żyła ich życiem i ich miłością. Nie była zaborcza. Chciała się dzielić swoimi przyjaciółmi z innymi ludźmi.

Zatem pomimo wojny i dzięki Mary biblioteka pozostała otwarta. Stanowiła schronienie dla niej i ludzi jej podobnych, była drogą ucieczki do innych światów i szczęśliwszych czasów.

Siedziała za biurkiem, gdy wszedł John. Miał na sobie mundur wojsk lądowych z jednym szewronem na rękawie kurtki. Mary uśmiechnęła się do niego. Jej duże, piwne oczy przesłały komunikat o sympatii i chęci pomocy. Żołnierz był młody, oszołomiony i sprawiał wrażenie osaczonego, jak oni wszyscy, pogrążeni w niewytłumaczalnym horrorze nienawiści i mordów.

John przyszedł do biblioteki, żeby uciec choć na chwilę, żeby znaleźć odrobinę spokoju.

- Czym mogę służyć? - zapytała Mary.

John wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Mam kilka godzin. Jutro płynę do Europy. Kręciłem się po okolicy i zobaczyłem bibliotekę. Kiedyś dużo czytałem.

- Co lubisz czytać?

- Wszystko - powiedział. Potem dodał z wahaniem: - Z wyjątkiem historii wojennych.

- Jaka jest twoja ulubiona książka?

- Nie wiem. W dzieciństwie bardzo lubiłem *Czarnoksiężnika z krainy Oz*. Czytałem go kilka razy - powiedział rozmarzonym głosem, jakby przypominał sobie te szczęśliwe, beztrudne dni. A może po prostu myślał o krainie na drugim końcu tęczy?

- Czytałeś inne książki z tej serii? *Stracha na wróble z krainy Oz*? *Powrót do krainy Oz*?

- Nie, proszę pani.

Mary znalazła mu *Stracha na wróble z krainy Oz*. John usadowił się w fotelu w dalekim kącie czytelnicy. Nie ruszał się z miejsca, tylko przez całe cztery godziny przewracał strony. Zapadł wieczór, a Mary już przed godziną powinna była zamknąć bibliotekę.

- John - odezwała się łagodnie, wywołując go ze Szmaragdowego Miasta i sprowadzając z powrotem do Filadelfii, chłodnej, ciemnej biblioteki i wojny.

- Tak? - zapytał, skupiając się powoli, z ociąganiem.

- Muszę zamknąć bibliotekę.

- Och. Dobrze - powiedział, podając jej ceną książkę.

- Mogę ci ją pożyczyć, jeśli chcesz - powiedziała tak, jak mówiła do wielu młodych żołnierzy przez ostatnie cztery lata, wiedząc, że już nigdy nie zobaczy swoich książek. Większość rozdanych tomów pochodziła z jej własnych zbiorów. To byli jej najbliżsi przyjaciele. Ale Mary chciała się dzielić z innymi.

- Naprawdę? Zwrócę ją. Przrzekam - powiedział John, tak samo, jak oni wszyscy.

Mary się uśmiechnęła. Nie kazała im niczego obiecywać. Nie chciała ich obarczać poczuciem winy. Chciała, żeby każda stronica przynosiła im szczęście. Wiedziała, że niektórzy z tych młodych żołnierzy nigdy nie wrócą do domów. W porównaniu z tym nie miało znaczenia, czy zwrócą jej książki czy nie.

John zaprosił ją na kolację. Zjedli w niewielkiej restauracji w pobliżu biblioteki. Potem John odprowadził Mary do jej domu na ulicy Wiązów.

- Napijesz się kawy? - zapytała, gdy stali na ganku.

- Kawy? Tak jest!

Mary podała kawę i ciasto z owocami.

- Jaka jest pani... to jest... twoja ulubiona książka?

- *Rebeka* - odpowiedziała bez wahania.

- Nigdy o niej nie słyszałem.

- Została wydana tuż przed wojną w Europie. Autorką jest Daphne du Maurier.

- To historia miłosna, prawda? - zapytał John, a łagodność w jego głosie zaskoczyła ich oboje.

- Historia miłosna. Bardzo tajemnicza.

- Masz tu egzemplarz?

- Nie. Zaniósłam go do biblioteki. Ktoś go wypożyczył i jeszcze nie zwrócił - rzekła Mary, przypominając sobie, że przed ponad rokiem dała tę książkę młodej kobiecie, której mąż zginął na Południowym Pacyfiku. Mary dała ją jej, bo *Rebeka* była książką o nadziei. Mary nie spodziewała się jej odzyskać. To nie miało znaczenia. Znała *Rebekę*, podobnie jak wszystkie swoje książki, na pamięć. Nie musiała czytać słów. Znała słowa, postacie i sceny. - Nie zdobyłam jeszcze drugiego egzemplarza. Po wojnie...

- Opowiedz mi - rzekł John.

Mary opowiedziała mu o Rebecce, o Maksie de Winterze i o kobiecie, którą poślubił po śmierci Rebeki, o nieśmiałej, łagodnej kobiecie zdolnej do wielkiej miłości i głębokiej namiętności. O kobiecie bez imienia, o drugiej pani de Winter, która była osobą taką jak Mary. Mary nadała jej imię: Charlotte. Charlotte de Winter. Imię wybrała na cześć Charlotte Bronte.

Gdy Mary mówiła, jej oczy zamglily się miłością. Stała się Charlotte de Winter, a John Maksem, jej skrytym, silnym mężem. Maksem, cudownym, romantycznym kochankiem.

Tej śnieżnej walentynkowej nocy Max kochał się ze swoją ukochaną żoną Charlotte. John - Max - trzymał Mary w swoich silnych ramionach aż do świtu. Potem wyszedł. Nigdy się nie dowiedział, że była dziewczyną. Ani że poczęli dziecko. Ani że Mary miała czterdzieści dwa lata, dokładnie dwa razy tyle, co on.

John wiedział tylko, że Mary jest cudowną kobietą. Nigdy jej nie zapomniał i zwrócił jej książkę.

Osiem miesięcy później, miesiąc przed narodzinami Charlotte, do biblioteki Mary przysłała paczka. Wysłano ją z Londynu dwa miesiące wcześniej. Zawierała *Stracha na wróble z krainy Oz* i piękny, oprawiony w skórę egzemplarz *Rebeki* z dedykacją: „Dla Charlotte, z całą moją miłością Max”.

Po dwóch tygodniach Mary otrzymała list wysłany miesiąc wcześniej z Londynu.

*Droga Mary,*

*Mam nadzieję, że książki doszły. Znalazłem Reбекę w księgarni w Londynie, która była zamknięta w czasie wojny, ale otwarto ją ponownie miesiąc po Dniu Zwycięstwa. Przeczytałem ją przed wysłaniem. Sądzę, że Charlotte to doskonałe imię dla drugiej pani de Winter. Jesteś do niej bardzo podobna, a to cudowna postać.*

*Poznałem tu dziewczynę - w Londynie - i pobierzemy się na wiosnę. Podoba mi się w Anglii i chcę, żeby tu był mój nowy dom. Może kiedyś znajdę Manderley.*

*Twój  
John*

Gdy Charlotte miała miesiąc, Mary uświadomiła sobie, że nigdy nie zdobędzie się na odwagę, żeby powiedzieć córce prawdę. Mary nie знаła nawet nazwiska Johna. Ani na liście, ani na paczce nie było adresu

zwrotnego. Wojna się skończyła. Szybko wracało poczucie moralności. Wiele dzieci nie miało ojców, ale ich rodzice byli kiedyś małżeństwami. Te dzieci mogły trzymać głowę wysoko.

Charlotte nie mogła. Nie, gdyby wszyscy znali prawdę.

Nikt nie zauważył ciąży Mary, bo nikt nie zauważał samej Mary. Nie miała żadnych przyjaciół, przynajmniej takich z krwi i kości. Kryła ciążę pod fartuchami i przekonała władze miasta do zatrudnienia pomocy bibliotecznej, która zastąpiła ją podczas ośmiotygodniowej, tajemniczej nieobecności.

Wróciwszy do pracy z niemowlęciem, Mary powiedziała nielicznym, którzy pytali, że dziewczynka jest jej siostrzenicą, osieroconą, gdy siostra i szwagier Mary zginęli w wypadku samochodowym dwa tygodnie po narodzinach dziecka.

Gdy Charlotte podrosła na tyle, by potrzebować wyjaśnienia, dlaczego ma „ciocię Mary” zamiast mamusi i tatusia, Mary zmodyfikowała historię tak, żeby bardziej przypominała *Rebekę*.

Rodzice, powiedziała, zginęli w wypadku łodzi, gdy Charlotte miała roczek. Wkrótce potem ich piękny dom spłonął w tajemniczych okolicznościach, tak jak Manderley. Dlatego Mary nie miała zdjęć rodziców Charlotte. Miała tylko oprawioną w skórę książkę *Rebeka*, którą Max подарował Charlotte wkrótce po narodzeniu ich córki.

Mary wiedziała, że tej książki Charlotte nie powinna nigdy przeczytać.

Charlotte przyjęła historię bez emocji i poczucia straty. Nie знаła rodziców. Jej zainteresowanie wynikało z czystej ciekawości, nie z tęsknoty. Bardzo kochała swoją ciocię.

Mary całkowicie się oddała swojej cudownej, złotowłosej córce. Z za pałem i miłością przedstawiała jej swoich przyjaciół, wspaniałe książki, które były jej światem. Charlotte to uwielbiała, bo uwielbiała siedzieć na kolanach Mary i patrzeć w jej ogromne, piwne oczy - oczy Charlotte - które mrugały, patrzyły łagodniej, i lśniły, gdy czytała.

Dorastając, Charlotte zaczęła potrzebować prawdziwych przyjaciół, niewymyślonych. Zaprzyjaźniła się z wieloma osobami w szkole. Wolała spędzać czas z nimi, niż biec do domu i słuchać o Jane Eyre, o Amy, Beth i Jo, albo o Scarlett O'Harze. Charlotte trochę drażnił wymyślony świat Mary i jej wyimaginowani przyjaciele.

Ale nie drażniła jej sama Mary. Charlotte ją kochała. Martwiła się o swoją samotną, delikatną ciotkę, starzejącą się kobietę, która z biegiem lat zdawała się coraz bardziej pogrążyć w świecie wyobraźni.

Trzy dni po szesnastych urodzinach Charlotte Mary zapukała do drzwi jej sypialni.



- Charlotte?
- Tak, ciociu? Wejdz.

Mary usiadła na łóżku córki, zaciskając dłonie.

- Charlotte, kochanie. Nie czuję się dobrze. Mam pięćdziesiąt dziewięć lat. Nie będę żyła wiecznie - powiedziała powoli, z wahaniem, nie wyjawiając Charlotte całej prawdy: Umrę. Już wkrótce.

- Ciociu! Pięćdziesiąt dziewięć lat to niewiele! Może nie powinnaś tak ciężko pracować - powiedziała Charlotte, przytulając się do niej, obejmując kościste ramiona Mary swoimi, silnymi i zdrowymi rękami.

- Jednak musimy postanowić, co się z tobą stanie, jeśli umrę, zanim skończysz osiemnaście lat. Jeśli będziesz jeszcze nieletnia.

- Ale nie umrzesz!

- Obie nie mamy krewnych - ciągnęła Mary. - Twój rodzice byli jedynakami. Nie mam przyjaciół, których opiece mogłabym cię powierzyć.

Ja mam przyjaciół, pomyślała Charlotte. Rodzice moich koleżanek ze szkoły mogliby się mną zająć.

- Nie zniosę myśli, że mogłabyś iść do domu dziecka. Zatem - powiedziała zdecydowanie Mary, patrząc w dal, jakby widziała jakiegoś zmyślnego przyjaciela - stworzyłam dla ciebie ciotkę. Powiedziałam adwokatowi, że istnieje, że jest moją siostrą i że z nami mieszka. Będzie się tobą zajmować, jeśli cokolwiek mi się stanie. Jest miłą uroczą kobietą.

- Ciociu... - zaczęła Charlotte i przerwała. Ciotka traciła kontakt z rzeczywistością. Charlotte o tym wiedziała. Dowiadywała się tego stopniowo, latami. Jediną rzeczywistością dla Mary była miłość do Charlotte. Nawet teraz wymyśliła nową ciotkę, żeby uratować Charlotte przed tym, co mogłoby się przydarzyć osieroconemu dziecku.

Wyobraziła sobie miłą uroczą kobietę, żeby ze mną mieszkała, pomyślała Charlotte, patrząc w kochające oczy Mary. Ale przecież nie ma żadnej uroczej kobiety, żadnej miłej cioci. Nie ma nikogo. Gdyby coś się stało cioci, ja naprawdę zostałabym sama. Ona jednak tego nie wie, pomyślała smutno, a ja nie mogę jej powiedzieć. Nie zrozumieć.

- Jak ona się nazywa, ciociu Mary? - zapytała łagodnie.

- To twoja ciocia Louise. Louise M. Alcott - oświadczyła z dumą Mary.

Tak bardzo oderwana od świata, pomyślała Charlotte. Do oczu napłynęły jej łzy.

Dwa miesiące później Mary zmarła we śnie. Charlotte znalazła ją rano i długo tuliła w ramionach jej kruche, zimne ciało, zanim zawiadomiła policję.

- Tak, mieszka ze mną ciocia Louise - zapewniła po tygodniu stosowne władze. To miła, urocza kobieta, taka, jak ciocia Mary. Z radością się z państwem spotka. Oczywiście adwokat cioci Mary doskonale ją zna.

Wszyscy przyjęli do wiadomości fakt istnienia Louise Alcott. Wszyscy zakładali, że ktoś ją zna. Z pewnością ktoś musiał być obecny przy złożeniu podpisów na dokumencie, czyniącym z Louise Alcott prawowitą opiekunkę Charlotte, dopóki ta nie ukończy osiemnastu lat. Ktoś musiał widzieć, jak podpisywała dokumenty - ale oczywiście nikt nie widział. Wszystkie papiery podpisała sama Charlotte, charakterem pisma bardzo różniącym się od swojego własnego, zdecydowanego i bez ozdób, a Mary przekazała je adwokatom.

Charlotte podpisała dokumenty i godziła się na rozmowy o cioci Louise tylko po to, żeby sprawić przyjemność Mary, która od lat włączała Charlotte w różne iluzje, znajdując w niej mądrą, chętną kochającą partnerkę. Wszystkie jednak mijały, nie wyrządzając im szkody. Iluzja śmierci była ponura, ale, jak uznała Charlotte, równie nierealna, chociaż ciocia uczyła się jej silniej niż wszystkich poprzednich...

Mary skrupulatnie, cierpliwie opowiadała Charlotte o swoim koncie bankowym i nauczyła ją wypisywać czeki, wciąż przypominając o charakterze pisma Louise Alcott. Pokazała jej również pudełka po butach pełne pieniędzy - nie ufała bankom, ale miała konto, bo ułatwiało płacenie rachunków - schowane pod pościelą w bieliźniarce. Pieniądze w pudełkach po butach były dorobkiem życia Mary, wynikiem wielu lat ciężkiej pracy i oszczędzania. Charlotte była zdziwiona, że Mary aż tyle uzbierała - przynajmniej na to wyglądało - bo nigdy nie wahała się wydawać pieniędzy na nią.

Potem Mary umarła i nie była to tylko ponura iluzja. Naprawdę odeszła, a Charlotte została sama, przerażona i zagubiona.

Dlaczego umarła? - krzyczała w myślach Charlotte. Czasami, w cichym, pustym domu, wołała głośno: Dlaczego? Dlaczego, ciociu Mary? Dlaczego?

- Twoja ciocia była bardzo chora - powiedział lekarz. Charlotte nie pomyślała, żeby zapytać: „Na co?”

Mimo przerażenia i żalu była w stanie zachowywać spokój podczas spotkań z adwokatami, władzami i lekarzem. Musiała. Nie chciała, żeby ktokolwiek dowiedział się, że jest sama. Gdyby tak się stało, zabrano by ją z domu. A dom był wszystkim, co jej zostało.

Zorganizowała pogrzeb. To był realny szczegół, który Mary całkowicie zlekceważyła. Na pogrzeb przyszło zaskakująco wiele osób. Przyszli

koledzy z klasy Charlotte z rodzicami oraz współpracownicy Mary z biblioteki. Przybyło również wiele osób, których Charlotte nie знаła. Mary nie miała przyjaciół. Kim byli ci ludzie?

Ludzie ci odwiedzali bibliotekę Mary i znajdowali tam pocieszenie. Większość z nich przychodziła w czasie wojny: pogrążone w żalu wdowy, samotni żołnierze, udręczone żony i przyjaciółki. Wszyscy pamiętali szczodrość Mary i jej łagodną, serdeczną troskliwość. Pomagała każdemu znaleźć odpowiednią książkę, dobierając je tak, żeby przyniosła pociechę konkretnej osobie. Ludzie ci pamiętali Mary, choć wielu z nich nie widziało jej od lat, choć żaden z nich nie był jej przyjacielem. Dlatego przyszli na jej pogrzeb.

Przez trzy tygodnie Charlotte cierpiała po cichu, walcząc z gniewem, poczuciem samotności, zdrady i straty.

Dwudziestego pierwszego dnia po śmierci Mary Charlotte uświadomiła sobie, że czeka na ciocię Louise, która przyjdzie i ją pocieszy.

- Nie ma żadnej cioci Louise! - wrzasnęła Charlotte do cichych ścian salonu domu cioci Mary, jej domu. - Nie ma cioci Louise. Nie ma cioci Mary. Nie ma nikogo!

Wtedy wreszcie przyszły łzy. Płakała i szlochała. Ból, żal i gniew spływały gorącymi kroplami po jej młodej twarzy. Po kilku godzinach, wyczerpana, ale i oczyszczona z emocji, uspokoiła się.

Jestem sama, pomyślała. Mam przed sobą własne życie. Ciocia Mary dała mi tyle miłości. Nawet po śmierci, wiedząc, że nie chciałabym mieszkać gdzie indziej, pozwoliła mi tu zostać, w jej domu, w domu, który kocham.

Następnego dnia wróciła do szkoły, do przyjaciół i prawdziwego życia. Na pytania odpowiadała grzecznie, nie wdając się w szczegóły. Mówiła, że ona i jej ciocia Louise radzą sobie „tak dobrze, jak można było się spodziewać”.

Trzy tygodnie później skontaktował się z nią adwokat. Mary zostawiła list, każąc go doręczyć Charlotte sześć tygodni po swojej śmierci.

List zaczynał się słowami: „Moja ukochana córko...”

Mary napisała w nim o Walentynkach 1945 roku, o Johnie (Maksie) i o swojej obawie, że ludzie nie zrozumieją i będą potępiać Charlotte. Tematem listu, w którym pobrzmiwało poczucie winy, była miłość. Głęboka, nieodparta miłość, którą Mary czuła do córki.

- Och, mamó - szepnęła Charlotte, a łzy płynęły jej po twarzy, gdy trzymała list w drżących dłoniach. - Kocham cię.

## Rozdział 24

James przyszedł do mieszkania Leslie dwie godziny po rozmowie z Erykiem.

- Cześć - powiedziała Leslie, otwierając drzwi, zanim włożył klucz do zamka. Widziała go przez okno. - Co przyniosłeś?

- Pracę - odpowiedział, podnosząc rękę, w której trzymał dużą, czarną teczkę.

W drugiej dłoni miał aktówkę i torbę z ubraniami na zmianę. Przyszedł do niej na cały weekend. Leslie dyżurowała w Szpitalu Weteranów co czwartą noc. Oznaczało to, że raz w miesiącu miała cały weekend bez dyżuru, chociaż codziennie rano szła do szpitala na obchód.

- Pracę? - zapytała ze śmiechem.

- Tak, ja też pracuję. Nawet w weekendy, tak jak ty. Pomyślałem, że będę pracować, gdy ty pójdziesz na poranny obchód. Albo na całodzienny - dodał z uśmiechem, wiedząc, że obchody czasem się przeciągały. - Jak się miewa twoja grupa?

Leslie odwzajemniła uśmiech. James bardzo szybko nauczył się medycznego żargonu. Interesował się jej pracą. Leslie opowiadała mu o pacjentach. O szczęśliwych zakończeniach i o tych smutnych. Czasami, opowiadając, płakała, a on ją tulił i gładził jej miękkie, kasztanowe loki.

- Moja grupa - odpowiedziała, mając na myśli swoich pacjentów w szpitalu - ma się nie najlepiej. Wczoraj w nocy przyjęliśmy czterech ciężko chorych.

- Czyli może będę dużo pracować?

- Uhm.

- Właściwie to dobrze. Tuż przed wyjściem odebrałem telefon dotyczący bieżącego projektu. Obszar do zagospodarowania powiększył się dwukrotnie, więc mam dużo pracy.

- Co to będzie?

- Centrum rekreacyjne. Na Maui.

- Naprawdę? Mogę zobaczyć?

- Oczywiście - powiedział James, podchodząc do kuchennego stołu. Nigdy dotąd nie rozmawiali szczegółowo o jego pracy. Do tej pory nie przynosił ze sobą żadnych projektów. - Do dziś myśleliśmy, że zbudujemy tylko hotel, który będzie wyglądał tak.

Leslie uważnie patrzyła na podany szkic. To nie był tylko hotel; było to niewątpliwie dzieło sztuki, które wtapiało się elegancko, z wdziękiem,

naturalnie, w piękną, tropikalną okolicę. Leslie nigdy w życiu nie widziała czegoś podobnego.

- James! To piękne. Twoje?

- To mój projekt. Mogę rozwinąć skrzydła, bo prezes firmy, która go zamówiła, stawia przede wszystkim na jakość. Nie ogranicza mnie kosztami, jak pozostali zleceniodawcy.

- To jest cudowne - mówiła Leslie, wciąż patrząc na szkic. - Nigdy nie byłam na Hawajach.

- Ani ja, do zeszłego lata. Zrobiłem wtedy pierwsze szkice. Muszę tam wrócić w tym tygodniu, bo powiększył się teren.

- Postawisz ten hotel, prawda?

- Jasne. Budowa zacznie się już w przyszłym miesiącu. Ale teraz mamy miejsce na całe centrum wypoczynkowe - powiedział z zapałem James. Praca sprawiała mu ogromną radość. - Postawimy bloki mieszkalne. A nawet domy. W ten weekend zrobię szkice poszczególnych jednostek, ale nie zdziałam wiele więcej, dopóki nie zobaczę dodatkowego terenu.

- Kiedy lecisz? - zapytała Leslie swobodnie, chociaż wiedziała, że może to oznaczać, że nie spotkają się tak, jak ustalili.

- Nie wiem. W przyszłym tygodniu. Umowa nie została jeszcze podpisana, zatwierdzona i dostarczona. Możliwe, że będą mnie potrzebowali w weekend. Podałem twój numer. Mam nadzieję, że się nie gniewasz.

- Oczywiście, że nie - powiedziała Leslie, odkładając rysunek i odwracając się do Jamesa. Tak jak on czuła, że czegoś brakuje.

Gdy jego usta dotknęły jej ust i zaczęły je całować, Leslie uświadomiła sobie, czego jej brakowało: pocałunku, dotyku. Ich umysły się przywitały, ale ciała nie.

- Cześć - szepnął, całując ją w szyję, obejmując ramionami, tuląc do siebie. - Stęskniłem się za tobą.

- A ja za tobą - odszepnęła Leslie. Poprowadziła go do sypialni.

Leslie zamknęła oczy. Gdy James jej dotykał, w głowie wirowały jej obrazy, a jej ciało drżało. Obrazy były cudowne: górską łąką, czerwono-pomarańczowy zachód słońca, roziskrzona niebieska woda, łódzie z kolorowymi spinakerami, piaszczyste plaże, pokryte śniegiem górskie szczyty, przyćmione, jesienne słońce. Obrazy - ciepłe, kolorowe i zmysłowe - tworzyły kolaż wszystkich cudownych chwil spędzonych z Jamesem. Pewnego dnia kolaż będzie zawierał i tę chwilę: obraz cudownego Jamesa w jej łóżku, kochającego się z nią.

Gdy James jej dotykał, gdy ciepło i rytm ich poruszających się razem ciał zaczęły ich całkowicie pochłaniać, obrazy rozmazały się w złotozłoty blask.

- James - szepnęła głosem płynącym z głębi duszy.
- Leslie.

W sobotę Leslie skończyła obchód o trzeciej po południu. Jadąc Wielką Autostradą nad Pacyfikiem, zielonoszarym pod listopadowymi chmurami, myślała o Jamesie. O Jamesie i Leslie. O Jamesie i Lynne.

Nie były to nowe myśli. Dopadały ją, gdy tylko miała chwilę na zastanowienie, gdy tylko nie była w szpitalu i nie była z Jamesem. Nie mogła myśleć, racjonalnie lub analitycznie, gdy była z nim. Jego obecność działała na nią zbyt mocno, była zbyt cudowna, żeby psuć ją myślami, które dręczyły Leslie w samotności.

Minęło sześć tygodni. Przez tych sześć tygodni widywali się, gdy tylko było to możliwe.

To nie powinno się w ogóle zacząć. To było oczywiste. Gdy jednak się zaczęło, gdy uświadomili sobie, że muszą w końcu okazać sobie niewypowiedziane uczucia z czasów liceum, powinno było się skończyć bardzo szybko.

Powinni byli kochać się raz, jak nastolatki, kończąc scenę, którą tak wiele lat temu przerwano nad jeziorem.

To byłoby odpowiednie zakończenie. Prawie zrozumiałe. Prawie wybaczone.

Ale oni kochali się ponownie. Jako dorośli. Jako mężczyzna i kobieta pełni namiętności i żądz.

Powinni byli to skończyć po odegraniu każdej wspólnej chwili z liceum, po tym, jak zapytali się wzajemnie, co wtedy czuli, ryle lat temu.

- Dlaczego wyszedłeś z przyjęcia tej nocy, gdy Alan mnie całował?
- A jak myślisz? Nie mogłem tego znieść. Tak bardzo cię pragnąłem.

- Dlaczego mi nie powiedziałeś?
- Wiesz, dlaczego.
- Dlaczego nie pocałowałaś mnie na promie?
- Chciałem. Ale miałem usta zdrętwiałe z zimna.

Och. Nie. A gdyby to zrobił?

- Dlaczego tańczyłeś ze mną tylko jeden taniec? Albo mówiłeś mi coś w korytarzu i odchodziłeś? Albo stałeś obok mnie przez całą część meczu futbolowego?

- Bo kiedy ze mną rozmawiałaś, gdy cię dotykałem albo nawet stałem obok ciebie, przypominałem sobie, że niezależnie od tego, jak złe jest moje życie, ty istniejesz. Byłaś prawdziwa i chyba mnie lubiałaś.

- Chyba? To musiało być oczywiste. Przy tobie traciłam cały spryt i elokwencję. Ale dlaczego tylko jeden taniec? Jedno krótkie zdanie?

- Te krótkie chwile sprawiały, że czułem się cudownie, ale uczucie to było prawie za silne, za dobre. Przypominało mi, kim jestem i że nie mam prawa być z tobą. Pamiętaj, że nie szanowałem samego siebie. Oczywiście nie wiedziałem, dlaczego. Przeżyłem te lata, bo prowadził mnie instynkt przetrwania i uczucie do ciebie.

Powinni byli to skończyć, gdy przeżyli dni ze szkoły średniej, gdy opowiedzieli sobie wszystko o dawnych uczuciach i wspomnieniach.

Nie zrobili tego jednak. Zaczęli się dzielić resztą życia. W połowie listopada Leslie i James żyli już terazniejszością jako kochankowie, przyjaciele, jako kobieta i mężczyzna, którzy się poznali, dowiedzieli się czegoś o sobie i postanowili być razem.

Leslie to wiedziała, ale czuła, że James nie rozumie. James uzasadnił przed sobą związek z Leslie tak, żeby nie zagrażał jego małżeństwu. Dla niego związek z Leslie był wciąż związkiem w przeszłości. Z przeszłości. Tak naprawdę nie działał się w terazniejszości.

James stworzył swój własny, prywatny wehikuł czasu. Powinien był związać się z Leslie przed laty. Mogłoby się tak stać, gdyby nie zagubiony list. Działo się to teraz, bo miało tak być.

Leslie wiedziała, że gdy tylko James uświadomi sobie bezsens swojego rozumowania, wszystko się skończy. Była dziewczyną którą kochał w przeszłości i kobietą którą mógłby pokochać teraz ale James już postanowił spędzić życie z inną osobą. Jego terazniejszością i przyszłością była Lynne.

Nigdy nie rozmawiali o Lynne, ale Leslie widziała jego oczy tamtego wieczora, podczas urodzinowej kolacji, gdy opowiadał jej o żonie. Życie Jamesa było związane z Lynne. Resztą jego życia.

Nie miało sensu nawet myśleć o tym, jak by było, gdyby nie miał żony. Czy ten cudowny, namiętny związek trwałby wiecznie? Czy też zawsze pozostawałaby świadomość, że to ulotny, nostalgiczny moment rozpalony przez niespełnione pragnienia młodości?

Nie ma sensu o tym myśleć, pomyślała Leslie, parkując przed swoim domem, wjeżdżając na miejsce przed samochodem Jamesa. Nie ma sensu myśleć o niczym, uznała, czując szybsze bicie serca.

James rozmawiał przez telefon.

- W poniedziałek rano?

- Wiem, że to niewiele czasu, ale skoro dostaliśmy każdy centymetr kwadratowy tego terenu, pomyślałem, że im szybciej to zobaczymy, tym lepiej.

- Może być w poniedziałek.  
- Polecimy odrzutowcem firmy. Planowany start - ósma trzydzieści. Do hotelu dotrzemy wczesnym popołudniem. W poniedziałek się rozgościmy. We wtorek i w środę obejrzymy teren i spotkamy się z miejscowymi budowniczymi, a wrócimy w czwartek rano. Weźmiesz kogoś?

James zajrzał w kieszonkowy kalendarzyk. Zapisał w nim rozkład zajęć Lynne, a dni, w których mógł się zobaczyć z Leslie, oznaczył niebieskimi kropeczkami. Lynne miała wrócić w poniedziałek późnym popołudniem. I znów wylecieć w czwartek. Jeśli nie będzie mogła towarzyszyć mu na Maui, co było raczej nieprawdopodobne, zobaczą się dopiero za tydzień. Nie przypadnie mu żadne spotkanie z Leslie. Spotkają się w czwartek wieczorem, tak, jak ustalili.

- Chyba nikogo nie zabiorę.  
- Pamiętaj, że możesz. Nie musisz mnie nawet zawiadomiać.

Przed odłożeniem słuchawki Eryk powiedział Jamesowi, jak się dostać na prywatny terminal odrzutowców na międzynarodowym lotnisku w San Francisco.

- Wyjeżdżasz w poniedziałek? - zapytała Leslie, gdy James się rozłączył.

James kiwnął głową, lekko marszcząc brwi.

- James?

- Przepraszam. Ja... muszę zawiadomić Lynne. Jest już pewnie - ciągnął, spoglądając na zegarek - w hotelu w Nowym Jorku.

- Wezmę prysznic. Zostawię cię samego - powiedziała Leslie, wychodząc z pokoju.

Gdy go mijała, chwycił ją za rękę.

- Hej - powiedział łagodnie, przytrzymując ją. - Przepraszam.

- James - powiedziała ostrożnie Leslie. Może dziś się rozstaną. - To ja jestem intruzem. Nie Lynne.

Po wyjściu Leslie James wykręcił nowojorski numer, zapisany na komputerowym wydruku, który trzymał w teczce. Na wydruku znajdowały się wszystkie szczegóły podróży Lynne, w tym godziny odlotów, hotele i numery telefonów. James nosił ze sobą ten szczegółowy wykaz, ale rzadko z niego korzystał. Już dawno postanowili do siebie nie dzwonić, gdy Lynne podróżowała. Podjęli tę decyzję, bo James dopiero zaczął pracę, musieli spłacić hipotekę i nie mogli sobie pozwolić na takie wydatki. Teraz byłoby ich stać na telefonowanie, ale przyzwyczaili się do ustalonej zasady.

Lynne odebrała po drugim dzwonku.

- Lynne?



- James! Czy coś...? Czy mama...? - Albo, pomyślała Lynne, przypominając sobie papierową teczkę, którą dała mu przed wyjazdem, czytałeś? Czekala z bijącym sercem.

- Nie, Lynne. Nic się nie stało. Naprawdę nic. W poniedziałek lecę na Maui. Eryk kupił przyległy teren, więc musimy się rozejrzeć.

- Och.

- Chcesz się wybrać z nami?

- Wrócę dopiero w poniedziałek po południu.

- Wiem, że taki masz rozkład. Ale może udałoby się coś zmienić. Polecimy odrzutowcem firmy. Wrócimy w czwartek.

- Nie, nie mogę nic zmienić - powiedziała beznamiętnie Lynne, zastanawiając się, czy wybrał ją jako pierwszą, czy jako drugą, zastanawiając się, skąd telefonuje i nienawidząc samej siebie za to, że całą noc wydzwaniała do ich pustego domu. Dlaczego wciąż musiała to sobie udowadniać? Przecież wiedziała. Nawet gdyby nie zadzwoniła, gdyby nie sprawdzała, czy wyszedł z domu na całą noc, wiedziałaby. Wiedziała od samego początku, od chwili, gdy zobaczyła go trzydziestego września.

Wiedziała. Dlatego napisała rozdział *Moniki* i dała mu do przeczytania. Musiała zrobić coś, żeby zmusić go do rozmowy.

- Czytałeś rozdział? - zapytała cicho, znając odpowiedź. Wczoraj w nocy by go nie przeczytał. Nie było go w domu. Był z kimś, kto go od niej odciągał.

- Nie, jeszcze nie. Przeczytam przed wyjazdem.

- Nie - powiedziała szybko Lynne, nagle zbyt zmęczona, żeby o tym myśleć. Wyczerpana. Czowała się tak od czterech tygodni: była zmęczona, osłabiona, miała mdłości. Była zbyt znużona, żeby się kłócić, żeby chociaż próbować pogodzić się z faktem, że straciła męża.

Zmęczona. Pokonana.

- Na pewno?

- Tak. Nie jest najlepszy. Muszę go jeszcze przemyśleć.

- Dobrze. Czujesz się lepiej?

- Nie. Co wieczór mam nadzieję, że się obudzę, czując się normalnie. Ale... to tylko grypa. Każdy to przechodził. Moja po prostu trwa odrobinę dłużej - powiedziała. Bo nie mogąc spać, leżę w nocy, nienawidząc mojego męża za niewierność. Nie mam siły nic z tym zrobić. Muszę go opuścić, ale nie mam energii.

- W tym tygodniu powinnaś iść do lekarza. Będziesz w domu we wtorek i w środę. Zrób to.

- Wiem, co mi jest. To paskudny wirus, a poza tym dużo się dzieje - dodała lodowatym tonem.

- Co? - Co ona ma na myśli?

- Tak czy inaczej w przyszłym tygodniu chcę wyjechać. Spędzę Święto Dziękczynienia w Denver, u mamy. Nie będzie mnie od wtorku do niedzieli.

James spojrział w kalendarzyk.

- To znaczy, że w ciągu następnych dwóch i pół tygodnia zobaczymy się tylko w poniedziałek przed Świętem Dziękczynienia.

- Chyba tak.

Przez kilka chwil żadne z nich nie odezwało się ani słowem.

- Może przyjadę do ciebie do Denver? Przynajmniej na kilka dni? - zapytał wreszcie James.

- Nie. Chcę być sama z mamą.

- Lynne, wszystko w porządku?

- Nie. Nie jest w porządku. Źle się czuję.

- To wszystko? Nic innego?

- Nie - powiedziała Lynne, wyczerpana, ale nieco podbudowana troską w jego głosie. Może się myliła. Może to już się skończyło. Może... - Nie, James, nic innego.

- Zostawię na lodówce nazwę i numer telefonu hotelu na Maui. I proszę, idź do lekarza.

Leslie skończyła się kąpać, nim James odłożył słuchawkę. Słyszała, jak wysłał Lynne do lekarza.

- Czy Lynne jest chora? - zapytała Leslie. Dlaczego to robię? Dlaczego mówię o Lynne? Czy próbuję to zakończyć?

- Och. Ma grypę od czterech tygodni.

Grypa, czymkolwiek jest, zwykle nie trwa cztery tygodnie, pomyślała Leslie.

- Jakie ma objawy? - zapytała Leslie.

- Leslie, nie chcę rozmawiać o Lynne.

- Może powinniśmy. O Lynne. Albo o nas. O tym, co jest nie tak.

- Lynne ma grypę, której nie wyleczyła, bo jak zwykle się przepracowuje - powiedział zdecydowanie James. Potem dodał łagodnie: - A z nami jest wszystko w porządku.

- Tak? - zapytała Leslie, słabnąc pod jego wzrokiem. Wpatrywała się w intensywnie zielone oczy, które tak wiele mówiły i kazały jej wierzyć, że to szaleństwo będzie możliwe zawsze.

- Tak.

- Och.

- Jedno jest złe. Jednego nie zrobiliśmy.

- Czego? - wyszeptała Leslie.

- Powinniśmy byli się kochać na promie. Pamiętasz? Pod schodami.
- Pamiętam.
- Znajdźmy więc prom i kochajmy się. Jeśli nie znajdziemy, wrócimy tutaj i będziemy się kochać. I tak to zrobimy. Ale chcę wyjść, niech przewieje mnie wiatr. Dobrze?
- Chcesz, żebym poszła z tobą?
- To z tobą chcę się kochać.

W poniedziałek rano Lynne czuła się niezwykle zmęczona i chora, gdy wsiadała na pokład samolotu, wylatującego o wpół do dziesiątej z La Guardii do O'Hare. Przez ostatnie dwie noce bardzo źle spała. W sobotę, po rozmowie z Jamesem, przewracała się z boku na bok, zastanawiając się, czy może się mylić, mając nadzieję, że tak jest.

W końcu, o szóstej rano - o trzeciej nad ranem w San Francisco - wykręciła ich numer domowy. Czekala. Dwadzieścia dzwonek. Trzydzieści. Każdy dzwonek brutalnie przypominał jej, że miała rację.

Lynne myślała o rozdziale *Moniki*, który zostawiła Jamesowi do czytania. To było takie głupie. W ten łagodny sposób chciała mu powiedzieć, że wie, że cierpi i że muszą o tym porozmawiać. Rozdział zaczynał się od słów: *Wielkie łzy popłynęły z modrych oczu Moniki, spadając na jej miękkie futerko. Monika czuła się samotna. Straciła najlepszego przyjaciela, Thomasa...*

Thomas był najlepszym przyjacielem Moniki i jej chłopakiem. Thomas występował w każdej z książek o Monice. Ten rozdział, napisany tylko dla Jamesa, opisywał podejrzenia Moniki, która bała się, że Thomas znalazł sobie kogoś innego, i jej oszołomienie, gdy zrozumiała, że tak jest. Przecież była pewna ich przyjaźni i miłości.

Lynne cieszyła się, że James nie przeczytał rozdziału. Przedstawiła w nim siebie jako żałośnie skrzywdzoną. Słuchając dzwonek telefonu, którego nikt nie odbierał, bo jej mąż spał w łóżku innej kobiety, Lynne zrozumiała, co czuje naprawdę. Gniew.

Jej nieunikniona konfrontacja z Jamesem nie odbędzie się za pośrednictwem wymyślonego pstrokatego kota. Będzie bezpośrednia. Lynne odejdzie, gdy tylko odzyska siły.

W niedzielę pracowała. Leciała z Nowego Jorku do Atlanty i Orlando, a potem z powrotem do Nowego Jorku. Tej nocy również nie spała dobrze, ale tym razem nie dzwoniła, żeby sprawdzić Jamesa. Wiedziała.

Lot z nowojorskiego lotniska La Guardia do O'Hare Field w Chicago był krótki, ale odbywał się w porze śniadaniowej, więc zaplanowano

posiłek. Oznaczało to, że stewardessy muszą działać szybko i skutecznie.

Jako starsza stewardessa, Lynne pracowała w kabinie pierwszej klasy. Mimo że lot był krótki, podawano dwie przekąski: belgijskie wafle z kielbaskami albo omlet z serem i owoce. Lynne zebrała zamówienia na dania i napoje jeszcze przed startem. Zanim kazano pasażerom zapiąć pasy, była już w kuchni, przygotowując posiłek.

Sięgając po dzbanek z gorącą kawą, Lynne poczuła się dziwnie. Kuchnia zawirowała, zakręciło jej się w głowie, wirował cały świat. Miała niejasne wrażenie, że się przewraca, ale nie mogła temu zapobiec. Coś bardzo gorącego dotknęło jej uda, zrobiło jej się ciemno przed oczami, miała zawroty głowy i mdłości. Huczało jej w głowie.

Pasażer z pierwszego rzędu zobaczył, co się dzieje, ale nie zdążył odpiąć pasa, żeby złapać Lynne. Znalazł się przy niej po kilku sekundach i zawołał o pomoc.

W małej kuchni tłoczyli się pasażerowie pierwszej klasy, stewardessa i drugi pilot. Patrzyli, jak Lynne stara się oprzytomnieć. Jej twarz była białozielona, jasne włosy nad prawą skronią zbryzgane krwią, bo podczas upadku uderzyła się w głowę.

Przybiegł pasażer, który był lekarzem. Instynktownie zbadał jej puls i poprosił o wilgotny kompres na czoło.

Lynne słyszała jego głos. Rozumiała, że mówi do niej, ale nie mogła odpowiedzieć od razu. Mdłości i zawroty głowy powracały w przytłaczających, niespodziewanych falach. Próbowwała się skoncentrować, ale twarze przed nią wciąż były zamazane.

- Mam coś gorącego na nodze - powiedziała w końcu.

Przewracając się, rozlała gorącą kawę. Lekarz obejrzał jej nogi, tak dokładnie, jak mógł w obecności tylu ludzi. Zobaczył dosyć, żeby stwierdzić, że w większości są to oparzenia pierwszego stopnia, bolesne, ale niegroźne. Na szczęście kawa nie była wrząca.

- Proszę przynieść ręczniki zamoczone w zimnej wodzie, położę kompres na nogi. Trzeba ją podnieść, zdjąć jej spódnicę i pończochy i zawinąć ją w koc - powiedział do drugiej stewardessy. - Jak ma na imię?

Na identyfikatorze Lynne widniał napis „Pani L. Stevenson”.

- Lynne.

- Lynne? Słyszysz mnie?

Lekko kiwnęła głową. Chłodna szmatka na czole i zimne ręczniki na nogach trochę pomagały. Tak samo jak leżenie na podłodze.

- Jak się czujesz?

- Niedobrze. Kręci mi się w głowie - szepnęła. - Ale lepiej.

- Jest chora od kilku tygodni, panie doktorze. Ma grypą. Ale cały czas pracuje.

- Lynne, otwórz oczy. Dobrze. Patrz na mój palec.

Oczy Lynne spojrzwały w bok.

- Czy od tego czujesz się gorzej?

- Nie.

Nie ma oczopląsu, pomyślał. Powiedział głośno:

- Myślałem, że to zapalenie ucha środkowego, błędnika, które występuje czasami w wyniku infekcji wirusowej, ale nic na to nie wskazuje. Czy to zdarzało się przedtem?

- Nie.

- Czy pamięta pani silne bicie lub migotanie serca, zanim pani upadła? - Jej puls był stały, ale trochę słaby, wyczuł to.

- Nie.

- Czy jadła pani coś, co wydawało się nieświeże?

- Jedzenie w samolocie? - odpowiedziała Lynne, czując, że wracają jej siły. I ulga. I nawet poczucie humoru. - Nie, nic takiego.

- Jest pani w ciąży?

- Nie, nie ja - powiedziała z żalem Lynne.

- Wrzody? Bóle żołądka? Krwawienia?

- Nie.

- Czy odżywia się pani normalnie?

- Nie. Przez tę grypę nie mogę. Schudłam.

- Może to być tylko odwodnienie po wirusie, ale, młoda damo, ktoś musi panią zbadać. Widzę już odrobinę różowości na policzkach, które jeszcze przed chwilą były zielone. Spróbuje pani usiąść?

Jedna ze stewardess, Carol, pomogła jej przejść do łazienki, zdjąć poplamiony kawą mundur i przebrać się w sukienkę, którą Lynne zapakowała do torby.

- Jak się czujesz? - zawołała Carol przez drzwi.

- Dobrze. Ale jestem roztrzęsiona. Chyba muszę się znowu położyć.

W kabinie pierwszej klasy były wolne miejsca. Lynne położyła się na dwóch siedzeniach, skulona. Usiadła dopiero przed lądowaniem. Gdy o dziesiątej rano czasu chicagowskiego samolot dotknął płyty lotniska, czuła się już odrobinę lepiej.

- Chodźmy do pomieszczeń dla załogi. Zadzwonimy do Jamesa i załatwimy wszystko tak, żebyś natychmiast wróciła do San Francisco - powiedziała Carol, gdy tylko pasażerowie wysiedli. - Ktoś przyprowadzi ci fotel na kółkach. Albo może idź do szpitala tutaj.

- Nie, wołałabym wrócić do domu. Już czuję się lepiej. Wszystko będzie dobrze, jeśli tylko będę mogła się położyć. Och, zapomniałam. James jedzie dziś na Maui. Pewnie właśnie wylatuje. Nie wiem, jak się z nim skontaktować. Zresztą i tak musi tam być. Carol, sprawdź, czy jest jakiś lot do Denver.

Mogę naprawdę wrócić do domu, pomyślała Lynne. Do mamy.

## Rozdział 25

James przyjechał na prywatny terminal na międzynarodowym lotnisku w San Francisco o siódmej czterdzieści pięć. Przed wpuszczeniem go do poczekalni starannie go wylegitymowano. Tak, jego nazwisko znajduje się na liście, ale czy zechciałby okazać dowód tożsamości?

Gdy tylko wszedł do prywatnej poczekalni, zrozumiał, skąd ta ostrożność. Ludzie, którzy latali własnymi odrzutowcami, byli specyficzni. Oczekiwali doskonałej obsługi. Oraz bezpieczeństwa. Byli celami dla porywaczy i terrorystów. Oczekiwali więc ochrony.

W prywatnej poczekalni mogli się zachowywać, jak wszyscy inni, pić kawę, czytać „San Francisco Chronicle” i „Wall Street Journal” oraz oglądać poranne programy telewizyjne. Ale chociaż zachowywali się jak wszyscy inni, wcale tak nie wyglądali. Emanowała z nich potęga.

Przypominają mi, uświadomił sobie James, Eryka Lansdale'a. Eryk był miłym, silnym i wyjątkowo wymagającym człowiekiem. Oczekiwał doskonałości, podobnie jak wszyscy ludzie zgromadzeni w tej ekskluzywnej poczekalni.

James rozglądał się za Erykiem, ale go nie widział. Dostrzegł tylko mężczyzn przypominających Eryka. Wielu mężczyzn. I tylko jedną kobietę.

Stała przy dużym oknie poczekalni, patrząc na nieoznaczone odrzutowce. Samoloty nie były oznaczone z tego samego powodu, dla którego ludzie w poczekalni nie ujawniali swojej tożsamości. Na odrzutowcach widniały jedynie numery. Żadnych nazw, emblematów, reklam.

Kobieta miała na sobie bawełnianą żółto-białą drukowaną sukienkę. Jej bujne, złote włosy opadały do pasa. Odwróciła się do Jamesa, czując, że do poczekalni ktoś wszedł. Chyba na gośa czekała.

W jej ogromnych, piwnych oczach widać było zaskoczenie. Nie na niego czekała, ale był interesujący. Przystojny. Uśmiechnęła się krótko, z uznaniem, zanim znów wyjrzała przez okno na płytę lotniska.

Minutę później do poczekalni wszedł Eryk. Towarzyszył mu mężczyzna tak uderzająco podobny, że James był pewien, iż to jego starszy brat. Gdy mężczyźni podeszli do Jamesa, piękna blondynka uśmiechnęła się i ruszyła w ich stronę.

- Witaj, James - rzekł Eryk. - To mój ojciec, Robert. Właśnie przyjechał nocnym lotem z Filadelfii.

- James, bardzo mi miło cię poznać. Eryk oczywiście wysłał mi rysunki. Są naprawdę doskonałe.

- Dziękuję panu.

Podeszła do nich blondynka.

- Dzień dobry, Robercie - powiedziała ciepło. - Wyglądasz na wypoczętego, chociaż musisz być wyczerpany. - Charlie chciała powiedzieć, że wyglądał cudownie. Był dobrze zbudowany, młody. Zbyt młody na ojca Eryka.

- Witam - powiedział Robert równie ciepłym tonem, całując ją w policzek. Potem dodał z westchnieniem: - Jestem zmęczony. Nie śpię w samolotach. Przynajmniej w samolotach należących do innych ludzi. Zamierzam przepaść całą drogę na Maui, jeśli nie uznacie mnie za społecznego.

- Ależ skąd. Eryk, kto to jest? Chyba nie kwaśny James? - zapytała Charlie, domyślając się, że ten przystojny, seksowny mężczyzna o zielonych oczach, czarnych włosach i uwodzicielskim uśmiechu, musi być Jamesem.

- Chyba nie jest pani... - zaczął James, tak zdziwiony nią jak ona nim.

- To pani Charlotte D. Winter - powiedział Eryk.

- Jestem Charlie - powiedziała, z wdziękiem wyciągając do Jamesa swoją długą smukłą dłoń.

- James.

Wnętrze samolotu przypominało dom, pięknie urządzone i doskonale utrzymane. Składało się z dużego, wygodnego salonu, oficjalnego pokoju konferencyjnego, kuchni i jadalni, dwóch dużych łazienek z prysznicami oraz czterech sypialni. Gdy tylko kapitan ogłosił, że można odpiąć pasy, Robert poszedł do jednej z nich.

- Do zobaczenia na Maui. Eryk, zamierzam wypocząć, żebyśmy późnym popołudniem mogli zagrać w tenisa.

- Dobrze.

Podczas pięciogodzinnego lotu James, Charlie i Eryk studiowali ostatnie szkice Jamesa, rozmawiali, czytali, pili kawę i jedli rogaliki oraz owoce, które wniesiono na pokład tuż przed startem.

- Nie zamówiłem lunchu. Będziemy w hotelu na Maui o drugiej. Zatem... - zaczął Eryk.

- Wiesz, James, Eryk nie zamówił lunchu, bo sam go nigdy nie jada - wtrąciła Charlie, patrząc zmrużonymi oczami na Eryka, drażniąc się z nim.

- A kto jada? - zapytał James.

- Chyba tylko ja - powiedziała, sięgając po następny rogalik.

- Charlie może jeść bez przerwy, nie tyjąc ani o kilogram. Zawsze taka była - zauważył Eryk.

Zawsze, pomyślał James. Ciekawe, jak długo się znają. Długo, uznał. Wszyscy troje sprawiali wrażenie rodziny. Ale wydawało się, że Eryka i Charlie łączy coś więcej niż zwykłe pokrewieństwo.

Lynne też może jeść bez przerwy, pomyślał James, a nie ma grama tłuszczu. Jest tak energiczna - przynajmniej była do niedawna - że potrzebuje kalorii na pokrycie wydatków energii.

- Moja żona... - zaczął James i przerwał. Charlie i Eryk rozmawiali na inny temat. Nie słyszeli, co mówił.

W eleganckim apartamencie z panoramicznym oknem na ocean James uciał sobie drzemkę. Wstał z łóżka Leslie o piątej. Wrócił do domu, żeby się spakować i zostawić na lodówce nazwę hotelu dla Lynne. Zauważył tekturową teczkę z rozdziałem *Moniki*. Miał czas go przeczytać, ale Lynne powiedziała, żeby tego nie robił. Nie lubiła, gdy czytał coś, z czego była niezadowolona. James zostawił więc nietkniętą teczkę na kuchennym blacie.

Wypoczęty i odświeżony po drzemce postanowił posiedzieć przy basenie i poczytać w gasnących promieniach popołudniowego słońca. Ustalili, że spotkają się o szóstej w apartamencie Eryka. Miał czas.

- Mam nadzieję, że posmarowałaś się kremem z filtrem.

James podniósł wzrok, słysząc za sobą głos. Stała przed nim, zasłaniając słońce. Jej twarz była pogrążona w cieniu, ale włosy lśniły jak złoto, przeświecone promieniami.

- Numer sześć.

- Chyba wystarczy, zwłaszcza że zaraz będzie zachód. Wyglądasz, jakbyś całe życie spędził pod szkłem - zauważyła bez cienia krytyki.

Skóra Jamesa była blada, ale kremowa i gładka. Wygląda jak marmurowy posąg greckiego boga, pomyślała Charlie. Nawet gdy wypoczywał



na leżaku, na jego ciele wyraźnie rysowały się mięśnie, ozdobione delikatnymi, niebiesko-purpurowymi żyłkami. Wspaniała, pomyślała.

- Nie całe życie. Kiedyś spędzałem wszystkie letnie wakacje, pracując na wyrębie, pocąc się z chłopakami w gorącym słońcu - powiedział James.

- Mogę się przysiąc? - zapytała, wciąż stojąc przed nim.

- Oczywiście.

Patrzył, jak jej opalone ciało z wdziękiem opada na sąsiedni leżak. Miała na sobie brązowy, jednoczęściowy kostium kąpielowy. Skromny, ale zarazem sporo odsłaniający.

- Eryk i Robert grają w tenisa.

- To jest lepsze.

- Też tak sądzę - powiedziała, przeciągając się i uśmiechając z zadowoleniem. Odrzuciła złote włosy na plecy.

- Eryk mówi, że masz dziewczynę - rzekła od niechcenia Charlie, patrząc na niego.

Zobaczyła błysk niepokoju w jego oczach.

- Chłopaka? - zapytała.

- Co? Nie. Jestem żonaty.

- Och. Cóż, mówił, że jego zdaniem masz kogoś. Założyłam, że dziewczynę. Ale w małżeństwie też się chyba kogoś ma.

- Chyba tak - powiedział, siadając i patrząc na nią. - Dlaczego?

- Dlaczego pytam o twoje życie osobiste? - Charlie przerwała, zastanawiając się nad własnym pytaniem. Powiedziała: - Dlaczego nie?

James się zaśmiał.

- Słusznie. A ty? Chłopak? Dziewczyna? Mąż?

- Prawnicy wolą zadawać pytania niż na nie odpowiadać - odrzekła przyjacielsko Charlie. - Ale gramy fair. Nic z powyższych. Nikogo nie mam.

- Nigdy nie byłaś mężatką?

- Nie - odparła natychmiast. Potem powiedziała, śmiejąc się cicho: - Tak, raz. Zapomniałam.

- Nie - powiedział wstrząśnięty James.

- Takiego związku się nie zapamiętuje. I było to dawno temu.

- Dlaczego wysłałaś za mąż?

- Ze złości - powiedziała powoli Charlie, z zamkniętymi oczami. Jej ciało wygięło się elegancko w kierunku tropikalnego słońca.

- Ze złości?

- Na kogoś innego. Nie na biednego narzeczonego. Wysłałam za niego, żeby się zemścił na kimś innym.

- Na kimś, kogo kochałaś?

Charlie powoli kiwnęła głową. Potem odwróciła się, spojrzała na Jamesa i powiedziała zdecydowanie:

- Pomówmy o tobie.
- Ty jesteś ciekawsza.
- Tego nie wiemy.
- Ja wiem.

- Jesteś szczęśliwym, żonatym facetem bez problemów? - zapytała tonem, który sugerował, że uważa inaczej. Zobaczyła to w jego oczach, gdy zapytała o dziewczynę.

- Nudnym - powiedział ostrożnie James.

Przez kilka chwil siedzieli w milczeniu.

- Opowiedz mi o swojej dziewczynie, James - powiedziała Charlie.

James westchnął. Miło by było z kimś o tym porozmawiać. Może. Przynajmniej byłoby dobrze trochę o tym pomyśleć. Zrobi to podczas tej wycieczki. Mógłby myśleć teraz, gdyby Charlie nie siedziała obok niego i nie zadawała mu pytań.

Coś w Charlie - jej zaciekawienie, które nie było ani zdawkowe, ani złośliwe - sprawiło, że postanowił jej powiedzieć. Może dlatego, że przypominała mu Lynne: była blondynką, silną, niezależną i energiczną, ale zarazem delikatną, bardzo wrażliwą. Mógł ją sobie wyobrazić wychodzącą za męża na złość innej osobie.

- Dziewczyna to nie najlepszy termin - zaczął ostrożnie.
- Kochanka? - zaproponowała Charlie.
- Nazywajmy ją po prostu Leslie.

James opowiedział jej o Leslie i o związku, który nigdy naprawdę się nie zaczął - ani nie skończył - z czasów liceum. Nie mówił jej o swoim ojcu i pominął ponure szczegóły pierwszego roku studiów, ale powiedział jej, że Leslie wysłała list, który odmienił jego życie, i że po dziewięciu latach, w sierpniu, zobaczył ją w telewizji.

- Ja też ją widziałam! Chyba wszyscy to oglądali. Całe miasto - powiedziała Charlie. Dobrze pamiętała zbryzganą krwią twarz i piękne, niebieskie oczy, lśniące troską, zdziwieniem i gniewem. - Wyglądała tak, że miałam ochotę ją poznać.

- Ja miałem ochotę znów ją zobaczyć - powiedział James. - Chciałem, żeby się w końcu dowiedziała, co do niej czułem. Ja, my, musieliśmy skończyć to, co zaczęliśmy w liceum.

- Skończyć? Czy to skończone?
- Nie.
- A twoja żona?
- To nie ma z nią nic wspólnego.

- Co takiego?

- Wszystko zaczęło się, zanim poznałem Lynne. Leslie była już w moim życiu. To nie była kontynuacja. Przecież chyba postarałbym się odnaleźć ją wcześniej, prawda? I nie zakochałbym się w Lynne - powiedział poważnie James. - Leslie jest moją przeszłością. Lynne jest terazniejszością i przyszłością.

- To całkowity nonsens! - wykrzyknęła Charlie. - Leslie jest w terazniejszości. Kiedy ostatni raz się z nią kochałeś?

James spojrział na nią dziwnie, ale odpowiedział.

- Wczorajszej nocy.

- A z Lynne?

James zmrużył oczy i próbował sobie przypomnieć. Kiedy? Zanim Lynne się rozchorowała. Ile czasu przed jej chorobą? Przed Leslie?

- Lynne jest chora.

- Robi się coraz gorzej.

- Nie aż tak. To tylko paskudny wirus. Ale nie miała ochoty na miłość.

- Fatalnie. Chyba że przyczyną choroby jesteś ty i Leslie.

- Ona nie wie - powiedział James, szybko i pewnie.

- A gdyby wiedziała?

- Nigdy bym sobie nie wybaczył - powiedział szczerze James. To by ją zniszczyło. Nie mogłaby zrozumieć. Zrozumieć czego? Dlaczego romans z Leslie był dla niego w jakiś sposób dopuszczalny? Dlaczego właściwie nie łamał żadnych zasad? Nie naruszał zaufania?

- Ona wie, James. Musi wiedzieć.

- Nie.

- Z kim zamierzasz spędzić życie?

- Z Lynne. Mówiłem ci to. Ja spędzam z nią życie.

- Czy Leslie o tym wie?

- Tak.

- Więc jest doskonale, prawda? - zapytała Charlie z czymś więcej niż nutką sarkazmu w głosie. - Tylko że twoja żona jest chora, a ty nie pamiętasz, kiedy ostatni raz się z nią kochałeś.

James milczał. Lynne nie może wiedzieć, pomyślał. Przecież bym się zorientował. Powiedziałyby mi. Rozgniewałyby się. Lynne zrobiłaby to samo, co w takiej sytuacji zrobiłaby Charlie.

- Co byś zrobiła, gdybyś była Lynne i o wszystkim się dowiedziała? - zapytał James.

- Czy jest do mnie podobna?

- Tak sądzę. - Prawdopodobnie dlatego dobrze mi się z tobą rozmawia, pomyślał.

- Powiedziałabym, co myślę o tobie i twoich głupich uzasadnieniach. Potem odeszłabym od ciebie. W młodości mogłabym wyjść za kogoś innego, najszybciej, jak to możliwe. - Charlie patrzyła na Jamesa, który zmarszczył brwi, miał troskę w oczach. - Wierzę, że kochasz je obie. Ale życie i marzenia obiecałeś Lynne. Sądzę, że gdybyś ją stracił, całkowicie byś się rozsypał. Igrasz z niebezpiecznym ogniem.

James spojrział w spokojne, piwne oczy Charlie.

- Jest pani mądrą kobietą, Charlotte D. Winter - powiedział.

- Nie, James. Jestem doświadczona, a niektóre z moich ważnych doświadczeń były bardzo bolesne.

- Jak myślisz, wyjdiesz ponownie za mąż? - zapytał James. Był gotów do zmiany tematu. Usłyszał, co miała do powiedzenia. Były to słowa, które powinien był powiedzieć sam sobie. Wszystko, co mówiła, było prawdziwe. Ale Lynne nie wiedziała. Nigdy nie będzie cierpieć, bo się nie dowie.

On i Leslie wiedzieli - chociaż o tym nie rozmawiali - że nie mogą i nie będą razem dużo dłużej.

Ich związek był zły. Ale gdy był z nią, czuł, że postępują dobrze i słusznie, bo była dobra i nikogo by nie skrzywdziła. Ona też nie chciała krzywdzić Lynne.

- Może. Prawdopodobnie. Ale czy kiedykolwiek jeszcze się zakocham? Nie wiem. Mogę być za stara.

- Doprawdy! Ile masz lat, Charlie?

- Jestem o rok młodsza od Eryka. Co do dnia. Oboje zostaliśmy po-  
częci w dzień świętego Walentego, byliśmy owocami walentynkowej  
miłości naszych matek i ich żołnierzy-kochanków. Eryk urodził się je-  
denastego listopada 1944 roku. Ja dokładnie rok później.

- Czy Robert jest naprawdę ojcem Eryka?

- Tak. W ten Dzień Świętego Walentego w czterdziestym czwartym  
roku Robert miał zaledwie osiemnaście lat. Matka Eryka była atrakcyjną  
i bardzo bogatą dwudziestotrzyletnią aktorką-debiutantką. Robert nie znał  
jej bardzo dobrze, ale tamtą noc spędzili razem. Następnego ranka wyje-  
chał na wojnę do Europy. Dwa miesiące później, gdy rodziny, obie bo-  
gate i z błękitną krwią, odkryły, że dziewczyna jest w ciąży, postarały się  
o wsteczne zalegalizowanie związku. Żeby Eryk nie był bękartem. Ale,  
oczywiście - powiedziała Charlie z uśmiechem, choć w jej głosie za-  
brzmiała ostra nutka - Eryk jest bękartem. Tak jak ja.

- Nie powiedziałbym - powiedział szybko James. - Czy Robert był  
zaskoczony, gdy wrócił?

- Chyba dowiedział się drogą pocztową. Z wojny wrócił po dwóch latach. Lubił żonę na tyle, żeby mieć z nią drugie dziecko. Pozostali małżeństwem przez prawie trzydzieści lat - powiedziała rzeczowo Charlie. Potem jej głos złagodniał: - 1, oczywiście, uwielbiał swojego synka o jasnokasztanowatych włosach i jasnoniebieskich oczach, odziedziczonych po nim.

- Wyglądają jak bracia. Wydają się sobie bardzo bliscy - powiedział James, po raz pierwszy od lat myśląc o swoim ojcu. Próbował sobie przypomnieć czasy, gdy byli sobie bliscy. Nie mógł. Pamiętał tylko nienawiść i rozczarowanie.

- Tak bliscy, jak tylko można. Są najlepszymi przyjaciółmi. Bardzo się o siebie troszczą.

- A matka Eryka?

- Ona i Robert rozwiedli się sześć czy siedem lat temu.

- Szkoda.

- Przeciwnie. Robert jest o wiele szczęśliwszy. Wygląda młodziej i czuje się wolny.

- Znasz ich od dawna, prawda?

- Od dawna - powtórzyła Charlie. Tyle wspomnień. - Poznałam Eryka, gdy miałam szesnaście lat.

Pół roku po śmierci mojej matki, pomyślała, ale tego nie powiedziała.

## Rozdział 26

Charlotte udało się jakoś przeżyć miesiące po śmierci matki. Płaciła rachunki - starannie wypisując czeki ozdobnym charakterem pisma Louise Alcott - i kupowała sobie jedzenie za pieniądze z pudełek po butach. Zawsze miała czyste, wyprasowane ubrania, chodziła do szkoły, świetnie się uczyła i udawała przed przyjaciółmi i nauczycielami, że ona i jej ciocia Louise doskonale sobie radzą.

Przeżyła bez niczyjej pomocy, bo wciąż odmawiała dopuszczenia do siebie bólu. Ból samotności, poczucia straty i żalu, a nawet zdrady, zastąpiło odrętwienie, brak uczuć. Charlotte nie czuła ani bólu, ani radości. Po prostu egzystowała z dnia na dzień, nie myśląc, nie zastanawiając się nad niczym.

Przez tydzień po otrzymaniu listu od Mary pozwalała sobie na cudowną fantazję. Znajdzie ojca. Będzie przystojny, kochający i bardzo

szczęśliwy, że zobaczy córkę. Może Charlotte ma nawet przyrodniego brata lub siostrę. Przeprowadzi się do Anglii. Będzie miała rodzinę.

Zamieści ogłoszenie w londyńskich gazetach. Szukam Johna (Maksa), który kochał się z Mary (Charlotte) w dniu Świętego Walentego 1945 roku w Filadelfii. Masz córkę.

Rzeczywistość przytłoczyła Charlotte, zanim zamieściła ogłoszenie. On prawdopodobnie wcale nie ma na imię John. Pewnie nie mieszka już w Londynie, a nawet w Anglii. Dlaczego miałby czytać ogłoszenia w dziale osób zaginionych? Mógłby nie chcieć poznać nieślubnej córki. Mógłby być strasliwym człowiekiem. Gwałcicielem. Mordercą. Mary uważała, że był cudowny, ale żyła w świecie marzeń, w świecie fantazji.

To jest fantazja, uświadomiła sobie pewnego dnia Charlotte z przerażeniem. Fantazjuję na temat ojca. Zaczynam w to wszystko wierzyć, wierzyć w świat, który nie istnieje.

Nie rób tego, krzyczał jej umysł. Nie stań się taka, jak matka. Nie trać kontaktu z rzeczywistością.

Charlotte zmusiła się, by zapomnieć o Johnie tak, jak nakazała sobie nie czuć bólu.

Tego lata dostała pracę ratowniczką w Oak Brook. Znajdujący się w najelegantszej części Filadelfii klub wyznawał zasadę wyłącznego członkostwa. Wszyscy pomocnicy, w tym ratownicy, byli ludźmi z zewnątrz. Chociaż nastoletnie dzieci członków klubu na pewno entuzjastycznie rywalizowałyby o pracę ratownika, tego się po prostu nie robiło. Dzieci członków klubu nie pracowały. Przynajmniej nie w klubie.

Charlotte Winter wyglądała na zdrową i rozsądną uznał kierownik personalny. Wyraźnie nie arystokratka - nie będzie rywalizować z córkami członków - ale do zaakceptowania. Zatrudnił ją. Od dziesięciu lat w każde wakacje zatrudniał pięciu ratowników. Po raz pierwszy wybrał dziewczynę.

Klub Oak Brook znajdował się prawie osiem kilometrów od domu Charlotte na ulicy Wiązów. Jeździła do pracy na rowerze, pedałując szybko w chłodne, letnie poranki, i wolniej w wilgotne, upalne wieczory.

Było ich czterech. Przyszli razem podczas trzeciego tygodnia pracy Charlotte w klubie. Zobaczyła ich od razu, natychmiast uderzył ją ich nonszalancki, radosny sposób chodzenia. Ich swobodne, zdecydowane ruchy wyraźnie świadczyły o pewności siebie i opanowaniu. Czemu nie?

Świat należał do nich - był jak dobrze wyposażony bufet doświadczeń i przyjemności. Oni musieli tylko wybierać.

Gdy podeszli do basenu, nastolatki, które przez ostatnie tygodnie były odprężone i rozchichotane, teraz stały się czujne.

To na nich czekały, pomyślała Charlotte. Patrzyła na czterech młodych mężczyzn - czterech zdrowych przystojniaków w lekkich, bawełnianych spodniach i koszulkach polo od znanych projektantów - obserwujących swoje terytorium, śmiejących się do dziewcząt. Dziewczęta odpowiadały zaczepnymi słówkami, wystudiuowanymi uśmiechami i doskonałymi pozami. To rytuał, uświadomiła sobie Charlotte. Tak się zaczyna lato w klubie Oak Brook.

Jeden z młodych mężczyzn chwycił którąś dziewczynę i piszczącą z radości wrzucił do basenu.

Charlotte odruchowo wstała i dmuchnęła w gwizdek. Z początku nikt tego nie usłyszał, wśród śmiechów, chichotu, pisku i chlapania, bo wszystkie dziewczęta z własnej woli lądowały w lazurowej wodzie.

Charlotte gwizdała i gwizdała.

W końcu nad basenem zrobiło się cicho. Spojrzały na nią wszystkie oczy. Oslupiałe, trochę ubawione. Jedna para jasnoniebieskich oczu podeszła do niej.

- Czy coś się stało, pani ratownik? - zapytał chłopak z uśmiechem.

- Wpychanie i wrzucanie ludzi do wody. To niedozwolone - powiedziała Charlotte, patrząc na niego z góry, ze swojej wieży.

- Od kiedy? - zapytał łagodnie.

- Od zawsze.

- Nigdy tego nie przestrzegano. Nie tutaj.

- Tego lata to się zmieni. Takie zabawy są zbyt niebezpieczne - powiedziała Charlotte zdecydowanie, choć serce biło jej szybciej, a na twarzy nagle poczuła gorąco.

- W jaki sposób?

- Wolno mi zabronić przychodzenia na basen osobom łamiącym przepisy. Wszystko to określa regulamin klubu - powiedziała Charlotte, czując, że poca jej się dłonie, a przez ciało przepływa lodowata fala strachu.

Wyczuł jej strach. I ustąpił.

- Dobrze. Ty tu rządzisz. Wygląda na to, że w tym roku na wieży będziemy mieli twardzielkę - powiedział do wciąż oniemiałej grupy. Potem spojrzał na Charlotte: - Chyba będziemy musieli się bawić gdzie indziej.

Wszyscy się roześmiali. Był to śmiech zakłopotania, który po chwili zmienił się w śmiech radości. Może zabawa będzie jeszcze lepsza. Może będą musieli się obejmować w bardziej odosobnionych miejscach. Może seksualne napięcie przy basenie znajdzie bardziej intymne ujęcie.

Jasnoniebieskie oczy spojrzały znów na Charlotte, próbując się czegoś o niej dowiedzieć. Złote włosy miała spięte i całkowicie schowane pod zbyt dużym kapeluszem safari, a jej ogromne, piwne oczy kryły się w cieniu ronda. Chłopak widział tylko pełne usta i idealne ciało w klubowym, szmaragdowozielonym kostiumie kąpielowym.

- Jak ci na imię? - zapytał.

- Charlotte. A tobie?

- Eryk. A to... - Eryk przedstawił zebraną grupę. Charlotte pracowała tu od trzech tygodni. Do tej pory przedstawiały jej się tylko matki z małymi dziećmi. Pytały, czy będzie udzielać lekcji pływania ich pociechom, i prosiły, żeby zwracała szczególną uwagę na brodziki. Nikt w wieku Charlotte nie próbował nawet z nią rozmawiać.

Ale Eryk, nawet po tej niezręcznej wymianie zdań, przedstawił jej swoich kolegów. Bo, uświadomiła sobie z wdzięcznością jeit tak rasowy. To instynktowna grzeczność. Mógłby ją traktować jak służącą jak wszyscy w klubie, ale tego nie robił.

Po zakończeniu prezentacji nad basen wróciły gwar i śmiech. Gdy Eryk odezwał się do niej znowu, nikt inny go nie słyszał.

- Charlotte, tak? - zapytał, zerkając na nią pod kapeluszem, bezskutecznie próbując zobaczyć jej twarz.

- Charlotte - powtórzyła niepewnie.

- Chyba będę musiał nazywać cię Charlie - powiedział w końcu. Nie czekając na odpowiedź, odszedł w stronę męskiej szatni, żeby przebrać się w kąpielówki.

Przez następny tydzień Charlie i Eryk nie rozmawiali ani razu, ale on machał do niej z leżaka przy basenie. Czasami, uśmiechając się szeroko, udawał, że chce wrzucić kogoś do wody. Ale nigdy tego nie robił.

Charlie trochę się o nim dowiedziała. Eryk i jego trzech koledzy skończyli właśnie szkołę w New Hampshire, jesienią wybierał się na Harvard. Uznała, że nie ma stałej dziewczyny, że jest niesłuchanie uroczy i że jego życia nie zakłóciła ani chwila smutku czy niepewności. Eryk miał wszystko i chyba nawet był miły.

Wpadła na niego na parkingu pewnego wieczora, gdy wyjeżdżała z klubu.

- Cześć, Eryk - przywitała go z uśmiechem.



- Cześć - odpowiedział grzecznie, trochę zakłopotany, widząc piękną dziewczynę z rozwianymi jasnymi włosami, ogromnymi piwnymi oczami i chyba znajomym głosem i ustami. - Charlie?

- Charlie. Bez kapelusza safari.

- No, no - powiedział swobodnie. Na tym między innymi polegał jego urok. Eryk sprawiał, że ludzie czuli się cudownie.

- Cóż - powiedziała Charlie, wzruszając ramionami, nagle czując zażenowanie. - Na razie.

- Czekaj, Charlie. Chcesz się napić coli albo czegoś takiego? - zapytał, wskazując ręką klub.

- Och. Dzięki. Robi się ciemno, a zepsuł mi się reflektor w rowerze. Powinam już jechać - powiedziała szczerze. Po pracy była jeszcze na spotkaniu ratowników. Zapadał już zmrok.

- Rower? Daleko mieszkasz?

- Jakieś osiem kilometrów stąd - odpowiedziała spięta, słysząc ton jego głosu. Pewnie nie znał nikogo, kto nie miał samochodu. Mary nigdy nie miała samochodu. Nawet nie umiała prowadzić.

- Nawet jeśli wyruszysz zaraz, zanim dojedziesz, będzie już całkiem ciemno.

- Wiem. Dlatego już pojadę.

- Czekaj. Może włożymy rower do mojego samochodu? Odwiozę cię do domu. Możemy wpaść na kolację, jeśli nie jadłaś.

Eryk włożył rower Charlie do bagażnika swojego kremowego mercedesa z niebieską skórzaną tapicerką.

Gdy jedli pizzę, popijając colą Eryk bawił Charlie opowieściami o szkole, o poprzednich ratownikach w klubie i o swoich przyjaciółach. Charlie słuchała, a jej wielkie, piwne oczy były skupione, uważne, uśmiechnięte. Śmiech płynął z głębi jej serca. Wywołała go radość, jakiej nie czuła od miesięcy. Jeśli w ogóle. Przy Eryku znów była żywa, a nie odrętwiała czy pusta.

Gdy zapytał o jej życie i rodzinę, tylko zachęciła go, żeby mówił więcej o sobie.

Eryk nigdy nie znał nikogo takiego, jak Charlie. Była naturalna i bezpretensjonalna. Nie wiedziała nawet, że uwodzi go każdym gestem, spojrzeniem i uśmiechem. Że każe mu się w sobie zakochać.

Nigdy dotąd nie zdarzyło mu się coś takiego.

Nie zdarzyło się to żadnemu z nich.

O wpół do dwunastej uświadomił sobie nagle, że pizzeria jest prawie pusta.

- Charlie, jest wół do dwunastej. Mam nadzieję, że przeze mnie nie będziesz miała kłopotów.
- Nie. Żadnych kłopotów.

O północy Eryk zaparkował przed małym, bladezielonym domem na ulicy Wiązów. Natychmiast zauważył, że w oknach nie pali się światło.

- Chyba się na ciebie rozgniewali - powiedział. - Nie zostawili światła.

- Nikogo nie ma - powiedziała z ociąganiem.

- Nikogo nie ma w domu? Zostawiają cię samą? - zapytał z niedowierzaniem, gdy szli w stronę ciemnego ganku.

Nagle Charlie zamarła. Nie była w stanie podejść ani o krok bliżej do ciemnego, pustego domu. Żeby tam wejść, musiała być odrętwiała, ale tej nocy, z Erykiem, już się tak nie czuła. Czuła się żywa i szczęśliwa.

Teraz zobaczyła dom, gdy nie chroniła jej zbroja odrętwienia. Emocje, których nie dopuszczała do siebie od śmierci Mary, zawirowały w niej, przepajając ją strachem, bólem i poczuciem osamotnienia. Zostawiają cię samą? Słowa Eryka huczały jej w głowie.

- Charlie? - Eryk odwrócił się do niej, zastanawiając się, dlaczego stanęła.

Emocje zmusiły ją do płaczu. Nie mogła opanować łkania ani drżenia. Zakryła twarz dłońmi i potrząsnęła głową, nie mogąc się ruszyć, nie mogąc przestać płakać, nie mogąc nawet zrozumieć, co się stało.

- Charlie! - Eryk objął ją ramionami. - Co się stało?

- Nie ma nikogo - wyszlochała cicho w jego pierś. - Mieszkam tu sama.

- Nikogo? Nie rozumiem. Charlie, powiedz mi - ponaglał, tuląc ją mocniej, próbując ją poprowadzić w stronę domu.

- Boję się tam wejść - szepnęła prawie szalona ze strachu.

- Dobrze. Usiądźmy w samochodzie. Musisz mi powiedzieć, co się dzieje.

Powiedziała mu. Przez godzinę, powoli, z bólem, opowiadała mu o wszystkim.

- Może pojedziesz ze mną do domu? Mamy mnóstwo miejsca - powiedział w końcu Eryk, tuląc ją do siebie, nie chcąc jej puścić.

- Nie. Czuję się już lepiej. Opowiadanie o tym przyniosło mi ulgę. Dotąd nie mówiłam o tym nikomu. Przepraszam. Nie powinnam była tego robić.

- Dobrze, że mi powiedziałaś. Dzięki temu jestem bliżej ciebie, a chcę być tak blisko, jak tylko mogę - szepnął Eryk, przyciskając usta do jej jedwabistych, złotych włosów.

- Powinam tam wejść - powiedziała odważnie Charlie.

- Pójdę z tobą - powiedział Eryk, trochę się bojąc wnętrza domu.

Ale gdy zapaliło się światło, dom okazał się radosny, nieprzytłaczający. Kiedyś był szczęśliwym miejscem, wypełnionym miłością Mary do córki.

- Powinieneś już wracać - powiedziała Charlie.

- Mogę zostać trochę dłużej. Ale muszę zadzwonić do rodziców.

Masz telefon? - zapytał.

Charlie kiwnęła głową. Nie potrzebowała telefonu. Koleżanki ze szkoły nie dzwoniły często. Nie używała go, ale był linią łączącą z rzeczywistością. Bała się ją zerwać.

Robert odebrał po drugim dzwonku. Była pierwsza w nocy. Pracował w swoim gabinecie, przeglądając zestawienie faktów sprawy sądowej.

- Ojczy, wiem, że jest późno.

- Nic ci się nie stało? - Robert martwił się o niego.

- Nic. Wszystko w porządku. Jestem z koleżanką która mnie potrzebuje. Jeszcze nie wrócę do domu.

- Czy mogę jakoś pomóc?

- Nie. Nie teraz. Ale moja koleżanka może potrzebować twojej pomocy. Będziesz w domu na obiedzie?

• - Jasne.

- Świetnie. Uprzedzisz mamę, że zaproszę na obiad koleżankę?

- Tak. Eryk, czy twoja koleżanka ma jakieś imię?

- Charlie.

Gdy Eryk odłożył słuchawkę, Charlie spojrzała na niego z powątpiewaniem.

- Nie chcę, żeby twój ojciec wiedział.

- Ja mu nie powiem. Ale zastanów się, czy nie powinnaś powiedzieć mu o tym sama. Jest prawnikiem i cudownym człowiekiem - powiedział Eryk z dumą. - Charlie, boję się, że to wszystko wybuchnie pod względem prawnym. Chcę być pewien, że nie masz kłopotów.

- A jeśli nie powiem?

- Wtedy nie będzie wiedział nikt poza tobą i mną.

Przez kilka chwil patrzyła na niego w milczeniu, oczami pełnymi żalu. Chciałaby cofnąć czas do kolacji i cudownego uczucia radości.

Eryk podszedł do niej, zaniepokojony smutkiem, który malował się na jej twarzy.

- O czym myślisz?
- Nie chcę, żebyś się nade mną litował - powiedziała.
- Nie lituję się. Przykro mi z powodu tego, co ci się stało.
- Ale obiad w twoim domu...
- Postanowiłem cię zaprosić, zanim zaczęliśmy rozmawiać. Postanowiłem, gdy jedliśmy pizzę.
- Naprawdę? - zapytała Charlie, rozjaśniając się trochę.
- Naprawdę - powiedział Eryk, obejmując ją ramionami.

- Kim jest Charlie? - pytała June przy śniadaniu następnego ranka. Była o trzy lata młodsza od Eryka. Zmarszczyła piegowaty nos. - To pewnie jakaś nadęta koleżanka.

- Nie wiem - powiedział Robert.
- Nie słyszałam, żeby mówił o jakiejś Charlie - powiedziała z lekkiem powątpiewaniem Florence, matka Eryka. - O której wrócił do domu?
- Późno - powiedział Robert. - Ale zadzwonił.

Wątpliwości Florence Lansdale wzrosły w chwili, gdy zobaczyła Charlie. Charlie nie wyglądała jak jedna z nich. Podejrzenia Florence potwierdziły się natychmiast, gdy June z radością rozpoznała w Charlie Charlotte, ratowniczkę z klubu. Charlotte uczyła June i jej koleżanki baletu wodnego.

Robert Lansdale po cichu podziwiał gust syna, zastanawiał się, jaki problem może mieć Charlie i obiecał sobie pomóc jej, jeśli tylko będzie mógł.

Charlie od razu uznała, że może zaufać Robertowi. Był nieco starszą - czy miał dość lat, by być ojcem? - wersją Eryka. Miał takie same, miłe, jasnoniebieskie oczy. W przeciwieństwie do oczu syna, oczy Roberta oglądały smutek i ból - widziały wojnę - ale nie było w nich strachu, tylko życie i nadzieja. I coś jeszcze. Coś, czego Charlie nie rozpoznała, bo nigdy dotąd tego nie widziała. W jasnoniebieskich oczach Roberta Lansdale^ lśnił spokój i pewność siebie człowieka, który ma władzę.

Kiedyś Eryk będzie wyglądał tak samo jak Robert. Jego młodzięcza uroda dojrzeje, przeistoczy się w emanujący siłą urok ojca. Charlie zdrzała, trochę jak zeszłej nocy, gdy Eryk ją całował.

Ku niezadowoleniu June i Florence, po obiedzie Robert, Eryk i Charlie poszli do gabinetu Roberta. Słuchał historii Charlie, nie okazując żadnych emocji.

Ale jego żołądek kurczył się z gniewu. Jak kochająca matka mogła to zrobić? Jak ktokolwiek mógł zrobić coś takiego temu uroczemu, niewinnemu, wrażliwemu dziecku? Charlie była taka słaba, a ten wariacki plan tylko narażał ją na niebezpieczeństwo.

- Co o tym sądzisz, ojczu? - zapytał Eryk, gdy Charlie skończyła.

- Charlie, muszę zobaczyć wszystkie dokumenty. Testament twojej... hm... matki, umowę funduszu powierniczego, dokumenty opieki prawnej. Wszystko. Możesz je zdobyć?

- Tak.

- Przynies mi je. I wszystkie inne dokumenty, które masz. Muszę je przeczytać, zanim zdecyduję, jak postępować - powiedział Robert zdecydowanie, kryjąc swój niepokój. Złamano wiele przepisów. Adwokaci Mary byli prawdopodobnie niewinnymi ofiarami, podobnie jak Charlie, ale wciąż byli ofiarami. Sprawę należało załatwić ostrożnie i dyskretnie, żeby wyrządzić jak najmniej szkód.

Na szczęście Robert Lansdale był jednym z najlepszych prawników w Filadelfii. I jednym z najbardziej poważanych obywateli miasta.

Przez następnych kilka tygodni, gdy studiował dokumenty, dzwonił, przekonywał różnych urzędników, żeby znaleźli niezwykle rozwiązania niezwykłego dylematu, Charlie i Eryk zakochali się w sobie.

Pod koniec lata, gdy Eryk miał wyjechać na pierwszy rok studiów w Harvardzie, podjęto kilka natychmiastowych decyzji. Robert postanowił, mimo protestów Florence, że będzie prawnym opiekunem Charlie.

- To przybędą, Robercie. Jej matka cóż, wiele o niej mówiono, gdy miała otwartą bibliotekę w czasie wojny - syknęła.

Gdyby ją przyciśnięto, musiałaby przyznać, że o Mary nie mówiono źle. Mary była znana jako osoba dziwna, lecz dobra i wielkoduszna. Ale Robert nie naciskał, bo w ciągu ostatnich dwóch miesięcy dowiedział się o Mary rzeczy, które głęboko go zaniepokoiły. Charlie o tym nie wiedziała i nie powinna się dowiedzieć.

Florence nie wygrała sporu o opiekę prawną nad Charlie, ale udało jej się wyznaczyć granicę: nie pozwoliła, żeby dziewczyna wprowadziła się do jej domu. Robert ustąpił tylko dlatego, że sama Charlie chciała zostać na ulicy Wiązów.

- Wygodnie mi tam, panie Lansdale. To bezpieczna okolica. Mam niedaleko do szkoły. Wolalabym tam zostać - powiedziała przekonująco, wyczuwając, co myśli o niej Florence.

- Musimy utrzymywać bliskie kontakty - powiedział Robert.

- Oczywiście, ojczu - powiedział Eryk. - Będę przyjeżdżał do domu co weekend, żeby zobaczyć się z Charlie.

- Nie co weekend - zaprotestował łagodnie Robert. Cotygodniowe dojazdy przeszkadzałyby w studiach Eryka.

- Może nie. W te weekendy, gdy mnie nie będzie, możecie się spotykać na lunchu w mieście. Oficjalnie.

Postanowiono jeszcze jedno: Eryk będzie się widywał z Charlie tak często, jak zdoła, a ona postara się dostać do Radcliffe, żeby być blisko niego w przyszłym roku, gdy tylko skończy szkołę średnią.

Charlie podjęła ważną decyzję. Postanowiła zostać prawnikiem, jak Robert. Tego lata, gdy uważnie studiowała wszystkie dokumenty, słuchała jego objaśnień i dowiadywała się, jak można stosować i interpretować prawo, czuła się szczęśliwa. Prawo było rzeczywiste, namacalne. Wymagało rozsądnego myślenia. Pozwalało na interpretację, ale nie na fantazję. Była to intelektualna gra, stymulująca i niemogąca wpędzić Charlie w kłopoty. Jako prawniczka raczej nie wpadnie w świat halucynacji.

Charlie bardzo się bała, że stanie się taka, jak Mary.

O swojej decyzji powiedziała Robertowi następnej wiosny, przy sobotnim lunchu. Eryk był na Harvardzie, ucząc się do egzaminów. Charlie właśnie otrzymała list, informujący o przyjęciu jej do Radcliffe.

- Postanowiłam, co będę robić w przyszłości, panie Lansdale.

- Co?

- Będę prawnikiem. Jak pan.

- Myślisz, że to ci się spodoba? - zapytał Robert, wyraźnie zadowolony.

- Tak sądzę.

- Będiesz wspaniałym prawnikiem, Charlie. Masz odpowiedni umysł - powiedział Robert.

- Dziękuję, panie Lansdale.

- Nie możesz nazywać mnie Robertem?

- Nie - powiedziała Charlie, uśmiechając się nieśmiało. - Nie mogę.

- Może kiedyś? Gdy będziemy razem pracować nad jakąś sprawą? - zapytał.

- Może wtedy.

Pierwszy wspólny rok Eryka i Charlie w Bostonie był cudowny. W drugim roku zaczęli się kłócić. Kłótnie były wyczerpujące i pełne goryczy. Nie zgadzali się tylko co do dwóch kwestii, ale były to sprawy ogromnej wagi. Pierwszą był seks. Drugą - kariera zawodowa Charlie.

Charlie nie chciała się z nim kochać. Przynęła sobie, że zostanie dziewicą aż do nocy poślubnej. Zrobiła to w dniu, gdy przeczytała list od Mary, nieślubnej matki, która za życia wstydziła się wyznać prawdę córce. Charlie nie chciała popełnić błędów matki. Nie chciała żyć w wymyślonym świecie.

I nie chciała się kochać przed małżeństwem.

- Charlie - mówił Eryk, czasami łagodnie, czasami gniewnie, sfrustrowany. - Chcę się z tobą ożenić. Zamierzam się z tobą ożenić. Możemy się pobrać od razu.

- Mam za jednym zamachem poświęcić cnotę i karierę?

- Jesteśmy sobie bliżsi niż większość par małżeńskich.

Miał rację. Charlie była seksualnie nieskrępowana, zapalczywa, ciekawa, kochająca. Ich erotyczny związek był doskonały, tylko że nie robili tego.

- Czy to nie może na razie wystarczyć? - zapytała Charlie.

- Ale to takie głupie. Chronisz tę swoją ostateczną bliskość, mimo że tyle nas łączy i tyle razem przeszliśmy.

- Ja tak to czuję, Eryk. Przecież wiesz. Nie rozumiem, dlaczego nie możesz tego uszanować.

- Szanuję to, Charlie. Ale jest mi cholernie trudno.

Na początku ostatniego roku studiów Eryka - Charlie była na drugim roku - sprawa jej kariery zawodowej stała się źródłem konfliktu. Eryk oświadczył, że po ukończeniu studiów na Harvardzie zamierza wrócić do Filadelfii i zdobyć tam MBA. Dzięki temu mógłby spędzać wolny czas w InterLandzie, firmie Roberta, jednocześnie studiując. Robert postanowił, że syn od razu po skończeniu studiów zostanie prezesem InterLandu. A on będzie mógł poświęcić więcej czasu swojej prawdziwej miłości, praktyce prawnej.

- Może pobierzemy się w czerwcu, od razu, gdy skończę Harvard? Wyjedziemy na całe lato do Europy, a potem wrócimy do Filadelfii i znajdziemy sobie mieszkanie przed rozpoczęciem szkoły.

- A co ze mną?

- Jak to?

- Chcę studiować prawo.

- Dobrze, Charlie.

- Chcę skończyć Radcliffe i studiować prawo na Harvardzie. Prosisz, nie, każesz, żebym przeniosła się z Radcliffe pod koniec drugiego roku na jakąś uczelnię w Filadelfii i tam studiowała prawo.

- Co złego jest w studiowaniu w Filadelfii? Ja będę tam robić MBA, pamiętasz? Poza tym InterLand, firma, którą będę posiadał i prowadził, ma siedzibę w Filadelfii. Tam będziemy mieszkać. Tam będziesz prawnikiem. Oczywiście jeśli zamierzasz mnie poślubić.

Charlie zamierzała go poślubić. Kochała go głęboko i namiętnie, a on kochał ją. Ale te dwie kwestie bardzo ich poróżniły.

- InterLand mógłby mieć siedzibę w Bostonie - powiedziała ponuro Charlie.

Eryk łypnął na nią złowrogo. Oczywiście miała rację.

- Tego chcesz? Dobrze. Poproszę ojca, żeby przeniósł firmę do Bostonu. Mogę tu zrobić MBA. Ale co będzie, jeśli nie dostaniesz się na prawo na Harvardzie?

- Dostanę się.

- Mam powiedzieć ojcu, że moja pierwsza decyzja jako prezesa będzie dotyczyła przeniesienia firmy?

- Tak! - wrzasnęła. Potem powiedziała spokojniej: - Nie. Nie wiem. Denerwuję się dlatego, że ani razu nie zapytałeś, czego chcę. Nie zapytałeś mnie o zdanie.

- Myślałem, że chcesz za mnie wyjść. Spędzić ze mną życie.

- A ja myślałam, że ty chcesz ożenić się ze mną i spędzić ze mną życie.

W połowie jesiennego semestru ostatniego roku studiów Eryka klócili się prawie bez przerwy. Chociaż Charlie zgodziła się na ślub w czerwcu i przeprowadzkę do Filadelfii, wciąż ją to dręczyło. Coś ją dręczyło.

Awanturowali się ojej karierę zawodową. Potem padali sobie w ramiona, spragnieni miłości i pocieszenia. Ale ponieważ Charlie nadal nie chciała się kochać, natychmiast wybuchała kolejna kłótnia.

W listopadzie sprzeczali się jeszcze częściej.

- Zabrnęliśmy w ślepą uliczkę, Charlie - powiedział pewnej nocy Eryk, wyczerpany, pokonany. - Nie wiem, co jest złe, ale wiem, że jest złe.

- Zgadzam się - odpowiedziała natychmiast Charlie.

- Rozstańmy się na trochę. Na kilka tygodni, żeby ochłonać.

- Dobrze - powiedziała, wychodząc z jego pokoju i trzaskając drzwiami. Z oczu trysnęły jej łzy.

Ja też nie wiem, co jest nie tak, myślała, idąc w ciemności przez Harvard Square. Wiem tylko, że to tkwi we mnie, nie w nim.



## Rozdział 27

**E**ryk znał Victoria Hancock od lat, z basenu w klubie Oak Brook, z potańcówek, z obiadów aranżowanych przez ich matki. Victoria była kimś w rodzaju dziewczyny Eryka, zanim poznał Charlie.

W listopadzie, gdy wrócił do Filadelfii na długi weekend, żeby uciec z Harvardu i od Charlie, zadzwonił do Victorii. Potrzebował kogoś, żeby porozmawiać i pośmiać się, kogoś, kto znał go na tyle dobrze, żeby nie trzeba było się wysilać, kogoś, kto przypomniałby mu te beztrudne letnie dni nad basenem - takie, jak dni, gdy poznał Charlie.

Dzwoniąc do Victorii, nie miał zamiaru iść z nią do łóżka. Ale to się stało. Stało się to w ten weekend. Potem w Święto Dziękczynienia. Potem w Boże Narodzenie.

Eryk próbował się pogodzić z Charlie na początku grudnia. Udało się na dwa tygodnie. Była urocza i kochająca. Rozmawiali o ślubie i podróży poślubnej. Nie próbował się z nią kochać.

- Dlaczego nie nakłaniasz mnie do miłości? - zapytała żartobliwie pewnej nocy.

- Myślałem, że zwlekamy z ostateczną bliskością do czerwca - odpowiedział szybko. Za szybko.

- Ja tak robię - powiedziała cicho Charlie. - Ale czy ty też?

Eryk nie odpowiedział. Milczenie było dość wymowne.

- Kochałeś się z kimś innym?

- Tak, Charlie. Gdy nie byliśmy razem.

- Przez te tygodnie zamartwiałam się, zastanawiałam się, co zrobiłam źle i jak powinnam się zmienić, żeby poprawić nasz związek, a ty spałeś z inną dziewczyną?

- Charlie, to nie miało znaczenia. Poza tym to ty miałaś zastrzeżenia do naszego związku. Ja zdręczałem się, mając nadzieję, że dojdiesz do tego, co jest nie tak.

- Wcale się nie zdręczałeś. Bawiłeś się. Uprawiałeś seks z inną osobą!

- To nic nie znaczyło. Tęskniłem za tobą.

- Znalazłeś kogoś w zastępstwie? Czy będzie tak po każdej naszej kłótni przez następnych pięćdziesiąt lat?

- Chryste, Charlie. Nie bądź nieracjonalna.

- Nienawidzę cię - wrzasnęła. Nieracjonalna. Mary była nieracjonalna. - Wynoś się!

Eryk spędził święta Bożego Narodzenia w Filadelfii ze swoją rodziną. Charlie nie chciała z nim rozmawiać. Raz tylko wyznała gniewnie, że wybiera się na święta w góry. Eryk stwierdził, że nie zdoła jej nakłonić do spędzenia ferii w Filadelfii, z nim, ale martwiła go myśl, że będzie sama. Cokolwiek jest złe - cokolwiek napawa ją takim strachem przed małżeństwem - nie rozwiąże problemu, spędzając samotnie święta w górach, nienawidząc go.

Victoria zadzwoniła do Eryka dwudziestego siódmego grudnia, wymawiając mu delikatnie, że się do niej nie odezwał. Słyszała od kogoś, że jest sam w domu. Przekonała go, żeby następnego dnia wybrał się z nią na narty.

Charlie nie wyjechała na święta w góry. Była w Filadelfii, w małym, zielonym domu na ulicy Wiązów. Postanowiła go sprzedać. Spędziła mroźne świąteczne dni, pakując do pudeł słodko-gorzkie pamiątki z dzieciństwa. Większość pudeł - większość pamiątek - zostanie wyrzucona. Zatrzymała wszystkie książki, w tym oprawioną w skórę *Rebekę* i album ze swoimi zdjęciami z dzieciństwa, który starannie prowadziła Mary. Charlie zatrzymała album, bo zawierał kilka rzadkich zdjęć jej matki.

Spotkała się z agentem nieruchomości i wystawiła dom na sprzedaż za cenę niższą niż rynkowa. Zależało jej na czasie. Mogła potrzebować pieniędzy na studia prawnicze na Harvardzie.

Dwudziestego siódmego grudnia Charlie spotkała się z lekarzem Mary. Miała nadzieję uzyskać odpowiedzi na dręczące ją pytania.

- Panie doktorze, po jej śmierci powiedział mi pan, że była bardzo chora. Co jej dolegało?

- Nie potrafię nazwać tej choroby. Miała poważne zaburzenia. Żyła w wymyślonym świecie. Miała halucynacje, czasami objawy paranoiczne. Przechodziła okresy głębokiej depresji. Lekarstwa nie pomagały. Nie mogłem postawić dokładnej, psychiatrycznej diagnozy. Cudownie się tobą opiekowała. Była dysfunkcyjna pod wieloma względami, ale troszczyła się o ciebie. I o swoją bibliotekę - powiedział lekarz łagodnym głosem, przypominając sobie biedną kochającą przerażoną Mary.

- Ale dlaczego umarła, panie doktorze? Co ją zabiło?

- Nic jej nie zabiło - powiedział ostrożnie, patrząc na Charlie. Zabiło ją wszystko, pomyślał. Zabiło ją życie. - Sama się zabiła.

- Och nie.

Gdy Charlie wieczorem myślała o matce, przepelniło ją dziwne poczucie spokoju. W końcu znalazła odpowiedź. W końcu zrozumiała, co jest nie tak, dlaczego wzbrania się wyjść za Eryka, nie chce się kochać,

walczy ze wszystkim, co mogłoby spowodować, że miałyby dzieci albo rodzinę.

Musiała powiedzieć Erykowi. Musiała zwrócić mu wolność, powiedzieć mu wszystko, czego się dowiedziała.

Zadzwoiła następnego dnia, wczesnym rankiem.

Florence i Robert jedli śniadanie. Eryk i Victoria już wyjechali na narty.

- Nie, Charlie, Eryka nie będzie cały dzień - powiedziała Florence. Słyszac imię Charlie, Robert szybko stanął obok żony. Widział, jak bardzo Eryk martwi się o Charlie. Sam też się o nią martwił.

- Porozmawiam z nią - powiedział Robert, wyciągając rękę. Florence podała mu słuchawkę. - Tu Robert. Gdzie jesteś?

- W domu - powiedziała. Jej głos brzmiał bezbarwnie, apatycznie. Ten ton bardzo go zaniepokoił.

- Charlie, musimy się spotkać.

- Dlaczego?

- Interesy. Drobiazgi związane z funduszem powierniczym.

- Och. Dobrze. Skoro Eryka nie ma, powiem panu to, co miałam mu powiedzieć.

- Wyjeżdżasz?

- Tak. Wieczorem.

- Zaraz u ciebie będę - rzekł zdecydowanie Robert i odłożył słuchawkę.

- Co się stało? - zapytała Florence.

- Nie wiem. Ma dziwny głos - powiedział Robert, mijając żonę i wybiegając z domu. Może Charlie się dowiedziała, pomyślał, mocniej wciśkając pedał gazu.

Robert zorientował się od razu, gdy ją zobaczył. Jej brązowe oczy były zamglone, dostrzegł w nich rezygnację i poczucie beznadziei.

- Witam, panie Lansdale - powiedziała szybko.

Robercie, pomyślał.

- Witaj, Charlie. Wyglądasz, jakbyś dostała jakąś złą wiadomość.

- Złą i dobrą. Dobrą dla Eryka i dla pana. I dla pańskiej żony.

- O co chodzi? - zapytał łagodnie Robert, wiedząc już wszystko.

- Na pewno pan wie, że wzbraniałam się przed małżeństwem. Stwarzałam sztuczne przeszkody z mojej kariery zawodowej, a nawet seksu. Oboje nie mogliśmy tego zrozumieć, ale to nie miało nic wspólnego z Erykiem. Wszystko tkwiło we mnie. Teraz wiem, co to było.

- Co wiesz?

- Podświadomie czułam, że nie powinnam za niego wychodzić.

- Dlaczego? - zapytał ostrożnie.  
- Bo moja matka była szalona. Zabiła się - powiedziała po prostu Charlie, bez emocji. Potem westchnęła i dodała: - A ja jestem córką swojej matki.

- Nie! - wykrzyknął Robert z taką energią, że Charlie aż podskoczyła. - Nie, Charlie. Nie jesteś szalona. Nie odziedziczyłaś choroby matki!

- Skąd pan wie, na co chorowała moja matka?

- Wiem, kochanie. Może powinienem był ci powiedzieć. Powiedziałbym, gdybym wiedział, jak bardzo cię to dręczyło. Rozmawiałem z jej lekarzami. Oraz z nauczycielami, pedagogami szkolnymi i lekarzami, którzy znają ciebie. Wszyscy zgodnie mówią, że z tobą jest wszystko w porządku. Jesteś zdrowa. Normalna. Nie jesteś taka, jak ona. Nigdy nie będziesz.

To, co powiedział Robert, było w większości prawdą. Wszyscy mówili, że Charlie jest wyjątkowo dobrze adaptującym się do otoczenia, zdrowym psychicznie dzieckiem. Ale nikt nie mógł zagwarantować, że choroba Mary nie jest dziedziczna. Bo niby jak? Nie wiedzieli nawet, co jej dolegało.

Ale wszyscy byli przekonani, że Charlie jest - i zawsze będzie - zdrowa.

- Wie pan, że popełniła samobójstwo? - zapytała Charlie, zaskoczona. - Czy Eryk też wie?

- Nie.

- Czasami czuję się szalona - powiedziała gwałtownie. Chciała uwierzyć w to, co powiedział jej Robert. Ale... - Czuję się szalona od kilku miesięcy.

- Możesz doprowadzić się do takiego stanu, że czujesz się szalona. Każdy może. Każdemu się to zdarza. Ale nie jesteś szalona - powiedział dobitnie Robert. Ciągnął łagodnie: - Dręczyły cię kłopotliwe pytania, to rozumiały. Teraz, gdy poznałaś odpowiedzi, powinnaś poczuć ulgę.

- I poczułam, ale z innego powodu. Mogę zwrócić wolność Erykowi.

- Ani się waż. Słusznie się rozgniewałaś, gdy Eryk kazał ci porzucić marzenia o studiach prawniczych na Harvardzie. To nie było szaleństwo. Mojemu synowi czasami trzeba wytykać egocentryzm. Rozmawiał już ze mną o przeniesieniu InterLandu do Bostonu. Możemy to zrobić, Charlie. Zrobimy to.

- Naprawdę pan sądzi, że nie jestem szalona? - zapytała, wciąż pragnąc zapewnienia, pragnąc mu uwierzyć, prawie nie słysząc wszystkiego innego, co powiedział.

- Ja wiem, że nie jesteś szalona.
- I chce pan mieć taką synową?
- Bardzo. I partnerkę-prawnika. Nawet jeśli to oznacza, że muszę się ubiegać o przyjęcie do adwokatury Massachusetts - powiedział ze śmiechem ulgi Robert, widząc, że w jej oczach znów zaczynają się pojawiać iskierki.

- Mogę przeprowadzić się tutaj. Perm wydała kilku bardzo dobrych prawników - powiedziała żartobliwie, czyniąc aluzję do jego Alma Mater.

- Naprawdę dziś wyjedziesz? - zapytał Robert, dopiero teraz zauważając, że dom jest prawie pusty. Do tej pory całą uwagę skupiał na niej.

- Nie. Chyba powinnam się zobaczyć z Erykiem. Kiedy wraca?

- Wieczorem. Wyjechał na cały dzień na narty. Może spędzisz popołudnie ze mną? Żeby zobaczyć, na czym naprawdę polega bycie prawnikiem? - zaproponował Robert.

Nie chciał, żeby została sama. Nie w tym domu, nie po tym, co przeszła. Świetny był z niego opiekun. Powinien był wysłać ją do psychologa, do kogoś, kto pomógłby jej po śmierci matki. Powinien był przewidzieć jej troski. Może powinien był po prostu powiedzieć, czego dowiedział się o Mary.

Zamierzał to zrobić, gdy będzie starsza. Ale ona przecież była delikatną, wrażliwą dziewczyną która musiała poznać prawdę i cierpieła, bo jej nie znała.

Robert czekał, aż skończy się pakować. Miał nadzieję, że jej cierpienia wreszcie minęły i że ona i Eryk będą mogli żyć szczęśliwym życiem, na co zasłużyli. Miał też nadzieję, że jego syn wieczorem nie wróci do domu z Victoria.

Eryk wrócił o dziewiątej, wyczerpany po całym dniu spędzonym w łóżku w domku narciarskim rodziców Victorii. Był sam. Charlie powitała go w drzwiach takim uśmiechem, że pożałował, iż w ogóle spotkał się z Victoria. Powiedziała mu, co się stało, czego się dowiedziała i jak pomógł jej Robert. Wierzyła - zastanawiając się nad tym wnikliwie, pod delikatnym i cierpliwym kierunkiem Roberta - że naprawdę nic jej nie jest. Tylko tak bardzo się bała. Omal nie stała się ofiarą samosprawdzającej się przepowiedni.

- Odziedziczyłam po matce bujną wyobraźnię - powiedziała smutno. - Ale miejmy nadzieję, że nic więcej.

Chciałabym też odziedziczyć jej bezgraniczną zdolność do miłości, dawania i rozumienia, pomyślała, gdy Eryk ją tulił. Wiedziała, że spędził dzień z tą dziewczyną. Muszę spróbować to zrozumieć, pomyślała.

W pewnej mierze jej się to udało. Dostatecznie. W oczach Eryka widziała żal i poczucie winy.

- Bardzo cię kocham, Charlie - szepnął.
- Kocham cię, Eryk. Kochaj się ze mną.
- Nie.
- Tak. Dziś. Jutro. Co noc.
- Nie. W noc poślubną. Przedtem tak desperacko pragnąłem się z tobą kochać, bo próbowałem się do ciebie jeszcze bardziej zbliżyć. Dowiedzieć się, co naprawdę jest nie tak. Teraz wiemy. Teraz mogę czekać. Ty też chcesz czekać, prawda?
- Tak.

W połowie lutego Victoria zadzwoniła do pokoju Eryka w Cambridge. Charlie siedziała tam z Erykiem. Zobaczyła przerażenie na jego twarzy i usłyszała jego słowa.

- Jak mogłaś do tego dopuścić? ... Myślałem, że się zabezpieczyłaś... Dlaczego mi nie powiedziałaś?... Na pewno to... Co mam zrobić?

Victoria powiedziała mu, że jest w ciąży. Prawie trzy miesiące. To musiało się stać w Święto Dziękczynienia. Dziecko było na pewno jego.

Przez następne dwa tygodnie Eryk i Charlie rozmawiali o tym, płakali i próbowali znaleźć słuszne rozwiązanie.

Był tylko jeden sposób.

- Dziecko musi mieć ojca - powiedziała Charlie z głębokim przekonaniem. Ona nie miała ojca. Dzieci potrzebują ojców.

- Wiem tylko, że radość patrzenia na to, jak rośnie dziecko, to największa radość w życiu - powiedział Robert. Cierpiał z powodu Eryka i Charlie, ale pamiętał, jak się cieszył, gdy po raz pierwszy zobaczył swojego malutkiego synka. Nawet teraz, gdy życie jego ukochanego pierworodnego zmieniło się - tak samo, jak jego własne - przez bezmyślną chwilę żądzy, Robert wierzył, że cierpienie ustąpi, gdy urodzi się dziecko.

Eryk będzie szczęśliwy. Victoria będzie szczęśliwa. Dziecko będzie szczęśliwe.

Florence już była zachwycona. Eryk i Victoria mieli być razem. Charlie nie była odpowiednią kobietą dla Eryka.

W końcu wszyscy będą szczęśliwi.

Z wyjątkiem Charlie. Ona będzie cierpieć, tak jak przedtem, zostanie niewinną, nieszczęśliwą ofiarą. Może już nigdy nie dojsć do siebie. Robert nie sypiał nocami, martwiąc się o Charlie. Będę do niej często

dzwonić, postanowił. Będę się z nią spotykał, gdy tylko zdołam. Spróbuj jej pomóc otrząsnąć się po tej stracie. Po tej drugiej stracie.

W połowie marca, gdy Eryk i Victoria składali sobie przysięgę małżeńską w obecności rodzin, Charlie doświadczała ostatecznej bliskości ze studentem pierwszego roku prawa, którego poznała trzy dni wcześniej.

Dwa dni później siedziała w gabinecie dziekana w Instytucie Prawa na Harvardzie. Dziekan otrzymał jej list i wezwał ją na rozmowę.

- Chce pani zacząć studia jesienią? Po zaledwie trzech latach kole-dżu?

- Tak.

- Dlatego zeszłej jesieni zdała pani testy kwalifikacyjne na prawo?

- Tak.

- Dlaczego czekała pani ze zgłoszeniem do teraz? Termin minął kilka miesięcy temu.

- Myślałam, że przeprowadzę się do Filadelfii. Zamierzałam wyjść za mąż. Ale to już nieaktualne.

- I sytuacja się nie zmieni.

- Nie. Ożenił się z inną. - Charlie zwlekała do ślubu. Do końca miała nadzieję, że jednak do niego nie dojdzie. Chociaż wiedziała, że to nieuniknione.

- Cóż, ma pani doskonale stopnie. Testy kwalifikacyjne zdała pani celująco. I ma pani wspomniały list polecający.

- Jaki list? - zapytała z niepokojem.

- Od Roberta Lansdale'a.

- Nie prosiłam go o napisanie listu. Chciałam to osiągnąć samodzielnie - powiedziała słabym głosem Charlie.

- I tak się stało. Podjąłem decyzję dużo wcześniej, zanim poprosiłem panią o przyjęcie. List przyszedł dziś. Pan Lansdale proponuje, że zapłaci za całe pani studia.

- Nie będzie to konieczne.

- To sprawa między panią i panem Lansdale. Tak czy inaczej, Charlotte, z radością proponuję pani miejsce na pierwszym roku studiów w Instytucie Prawa Uniwersytetu Harvarda.

Wracając do pokoju, Charlie spotkała Eryka. To nie był przypadek. Czekał na nią. Natychmiast zauważyła na jego palcu lśniąca złotą obrączkę.

- Nie mogę na ciebie patrzeć - powiedziała, desperacko próbując go ominąć, odsunąć się od niego. Eryk stał nieruchomo jak skała, zagrazdając jej drogę, zmuszając ją, żeby na niego spojrziała. - Wiem, że będziesz tu studiował do końca semestru, ale próbujmy się unikać. Proszę.

- Charlie, chciałem ci tylko powiedzieć...
- Co? - zapytała bezradnie. Daj mi spokój.
- Że cię kocham.
- To nie kochaj. Nie mów tego, nie myśl ani nie czuj. Teraz inna kobieta potrzebuje twojej miłości. Daj ją jej - powiedziała Charlie. Łzy płynęły jej po twarzy, gdy uciekała od mężczyzny, którego kochała.

Po kilku miesiącach Charlie wyszła za studenta pierwszego roku. Małżeństwo trwało pół roku.

Podczas trzech lat studiów prawniczych Charlie rozmawiała z Robertem co kilka miesięcy. Jeśli on nie zadzwonił, dzwoniła ona.

- Proszę posłuchać o tym wykroczeniu, panie Lansdale - powiedziała przez telefon pewnego dnia radosnym głosem, w którym było wyraźnie słychać, jak bardzo kocha swe studia.

- Mów do mnie po imieniu.
- Może po skończeniu studiów.

Rozmawiali o Eryku tylko raz, dwa lata po urodzeniu się jego syna.

- Jak się ma Eryk? - zapytała spokojnie Charlie. Nie czuła do niego nienawiści. Była szczęśliwa na studiach. Nie znalazła miłości, ale była szczęśliwa. Tęskniła tylko wtedy, gdy pozwalała sobie o nim myśleć, ale rzadko to robiła. Żadnych fantazji.

- Dobrze, Charlie. Jest o wiele lepszym prezesem InterLandu niż ja.  
- Pan przecież zawsze chciał się poświęcić praktyce prawnej - powiedziała.

- Tak. Ale Eryk ma żyłkę do interesów. Uwielbia kupować ziemię i stawiać piękne budynki. A przecież o to chodzi w InterLandzie. Otwiera biura w Dallas, Chicago i San Francisco. Przejął już kilka mniejszych firm w tych rejonach - stwierdził z dumą Robert. InterLand kwitł pod mądrym zarządem Eryka.

- Jak dziecko?

- Bobby? Jest cudowny. Eryk bardzo go kocha. Bobby jest całym jego życiem. Eryk dużo pracuje, ale całym jego życiem jest syn - powtórzył łagodnie Robert, myśląc o synu i wnuku, swoim imienniku. Związek Eryka z Bobbym był taki, jak Roberta z Erykiem. Tego właśnie Robert życzył swojemu synowi.

I Eryk kochał Victorię, tak jak on, Robert, kochał Florence, jako przyjaciółkę, towarzyszkę i matkę dziecka.

Robert przyszedł na uroczystość zakończenia studiów Charlie. Odwiedził ją raz w biurze, w jednej z najznakomitszych firm Bostonu.



Kontaktowali się teraz rzadziej. Robert wiedział, że dobrze jej się wiesz. Słyszał to w jej głosie. I chociaż bardzo lubił z nią rozmawiać, marzył się, że jego głos tylko przypomina jej Eryka. I całe to nieszczęście.

Robert zadzwonił do Charlie po prawie sześciu miesiącach milczenia. Był późny, jesienny wieczór, pięć i pół roku po ślubie Eryka z Victoria.

- Charlie, tu Robert.

- Robert! - wykrzyknęła Charlie, po raz pierwszy, nieświadomie, zwracając się do niego po imieniu. W jego głosie było coś bardzo osobistego.

- Eryk cię potrzebuje, Charlie. Proszę, przyjedź do niego - powiedział Robert.

## Rozdział 28

James zadzwonił i odczekał dwadzieścia dzwonek. Potem odłożył słuchawkę i ponownie wykręcił numer. Po dwudziestu kolejnych dzwonekach zatelefonował do linii lotniczych. Samolot Lynne przyleciał zgodnie z planem, przed sześcioma godzinami. James zadzwonił zatem do sąsiadki. Nie, nie widziała samochodu Lynne. Światło pali się tylko w salonie. Sam je zostawił, wychodząc.

James spojrzął na zegarek. Siedemnasta pięćdziesiąt. Za dziesięć minut musiał iść do apartamentu Eryka.

Gdzie ona jest?

James wykręcił numer do matki Lynne w Denver. Nie chciał jej niepokoić, ale sam bardzo się denerwował, a ona mogła coś wiedzieć.

Telefon odebrała Lynne. Aparat stał obok jej łóżka.

- Lynne!

- James? Skąd wiedziałeś, że tu jestem?

- Nie wiedziałem. Nie było cię w domu. Myślałem, że twoja matka może wiedzieć, co się z tobą dzieje. Co tam robisz?

Lynne powiedziała mu, co się stało rano podczas lotu z La Guardii do O'Hare.

- Byłaś u lekarza?

- Jestem umówiona na jutro, o dziewiątej rano. Czuję się już lepiej, odpoczywam cały dzień.

- Ale idź do lekarza - powiedział z naciskiem James.
- Myślisz, że moja matka pozwoliłaby mi nie iść? - zapytała lekko, zapominając na moment, że rozmawia z nowym Jamesem, z Jamesem, którego nienawidzi, z Jamesem, którego musi opuścić. Ale on mówił jak dawny James, jak jej troskliwy, kochający James. - Dlaczego zadzwoniłaś do domu?
- Bo chciałem sprawdzić, jak się czujesz. I dlatego, że chciałem z tobą porozmawiać o Święcie Dziękczynienia. - I dlatego, że spędził popołudnie z kobietą, która przypominała mu Lynne, przy której przypomniał sobie, jak bardzo kocha Lynne. Rozmowa z Charlie bardzo go przeraziła.
- Plany na Święto Dziękczynienia i tak trzeba zmienić. Chyba wezmę urlop na ten tydzień. A w tygodniu świątecznym będę pracować.
- Jeśli będziesz się dobrze czuła.
- Będę. Jak... - Lynne przerwała. Zaczęła pytać o Maui. Taką rozmowę prowadziłyby z dawnym Jamesem.
- Co?
- Nic.
- Zadzwonię do ciebie jutro, żeby się dowiedzieć, co powiedział lekarz. O tej porze albo później. Cały dzień będziemy na budowie.

Internista, do którego poszła Lynne następnego ranka, prawie natychmiast postawił diagnozę. Potwierdziły ją badania krwi, których wyniki przyszły po godzinie. Lekarz odesłał Lynne do specjalistki w Denver. Lynne poszła do niej tego popołudnia. Lekarka potwierdziła diagnozę, przeprowadziła kilka dodatkowych badań i podała Lynne nazwisko specjalisty w San Francisco.

Gdy James zadzwonił wieczorem, Lynne powiedziała mu, zgodnie z prawdą że zdaniem lekarza nie dolega jej nic poważnego. Wszystko będzie dobrze.

Nie powiedziała, że za miesiąc przejdzie kolejne badania. I że jeśli diagnoza okaże się słuszna, będzie musiała go szybko opuścić, żeby nie zdążył się dowiedzieć. Miała tylko nadzieję, że do tego czasu odzyska siły.

Lekarze powiedzieli, że tak będzie. Ale Lynne musi jeść. I wypoczywać.

Premiera *Piotrusia Pana* odbyła się w Święto Dziękczynienia. James i Leslie siedzieli cztery rzędy od Kathleen i Marka, którzy z kolei zajęli miejsca obok Rossa i Stacy. Eryk i Charlie siedzieli w najlepszej łóżce, po lewej stronie.

Gdy opadła kurtyna, publiczność milczała, oszołomiona, jakby pragnąc, żeby przedstawienie się nie skończyło. Nigdy. Nikt nie chciał wychodzić. Wszyscy chcieli jeszcze raz usłyszeć miłosne duety. Chcieli, żeby wszystko zaczęło się od nowa.

Chcieli zostać w Nibylandii z Piotrusiem i Wendy.

W końcu ktoś zaczął klaskać, przerywając ciszę. Potem rozległ się szmer, wszyscy widzowie prawie jednocześnie wstali. Rozległa się burza oklasków i okrzyków „Brawo!”. Czar prysł. Musiał. W przeciwieństwie do Piotrusia, widzowie musieli dorosnąć. Zmagać się z prawdziwym światem.

Po ostatnim wywołaniu aktorów przed kurtynę widzowie zaczęli wychodzić, dziwnie milczący, zamyśleni. Zdali sobie sprawę, że byli świadkami niezwykłego wydarzenia teatralnego. Gdy trwało, stanowili jego część, a teraz ono stało się częścią nich.

- Czyż to nie cudowne być tak młodym i utalentowanym? - zapytała Charlie Eryka, gdy jechali do jego apartamentu na Pacific Heights. - Nie mogę uwierzyć, że to ta sama osoba, która grała Joannę. Dwie niezapomniane role. Ciekawe, jaka ona jest.

- Pójdę na chwilę za kulisy, Stacy - rzekł Ross. Żałował, że przedstawienie już się skończyło. Widział je podczas prób sto razy, ale dziś poruszyło go tak, jak nigdy dotąd. Poruszyła go Wendy. Chciał się z nią zobaczyć.

Ross zapomniał na chwilę, że spotka się z Janet, nie z Wendy.

- Żeby pogratulować Lodowatej Dziewicy? - zapytała nieco rozdrażniona Stacy.

Ross zmarszczył brwi, ale przypomniało mu to, że za sceną będzie Janet.

- Czy jej widok cię porusza, Mark? - zapytała Kathleen. Ją poruszał. Wygląd Janet-Wendy, jej zmysłowość i urok, były nie do odparcia. Nawet Kathleen to czuła.

- Nie, Kathleen - odparł zdecydowanie Mark.

Leslie nie widziała Jamesa od dziesięciu dni, odkąd wyjechał na Maui. Lynne leżała w domu, dochodząc do siebie. Czuje się już lepiej, powiedział James. Znowu lata.

James trzymał Leslie za rękę, gdy wychodzili z teatru i jechali samochodem do domu. Nie rozmawiali. Oboje byli głęboko zamyśleni. Z powodu *Piotrusia Pana*.

Żyjąc w Nibylandii, pomyślał James, ściskając dłoń Leslie, nie chcąc jej puszczać, wiedząc, że jak Piotruś będzie musiał. Kiedyś. Niedługo.

Och, James, pomyślała Leslie. Żegnamy się, prawda?

Za każdym razem, gdy Leslie i James się kochali - tej nocy i w trzy następne noce w ciągu trzech tygodni, zanim wszystko się skończyło - było tak, jakby byli ze sobą po raz ostatni. Wydawało się, że oboje próbują zapamiętać każdą chwilę, świadomi, że wkrótce zostaną im tylko wspomnienia. Przez te tygodnie Leslie i James obdarzali się miłością, ale ich związek musiał zostać przerwany, choć tak naprawdę nigdy się nie skończy.

Leslie przyszła do domu piętnastego grudnia, James na nią czekał. Wstał na jej widok, ale nie podszedł do niej. Zobaczyła na kuchennym stole klucz, który dała mu dziesięć tygodni wcześniej.

Leslie wiedziała, że ten dzień się zbliża. Była przygotowana. Mimo to po jej policzkach popłynęły gorące łzy. Na ten widok Jamesowi również zaszkliły się oczy. Złamał złożone sobie przyrzeczenie.

Objął ją ramionami, przytulił i kołysał.

- Leslie. Nie płacz. Proszę.
- Przepraszam, James. Będę za tobą bardzo tęsknić.
- Leslie - wyszeptał, nie mogąc powiedzieć nic więcej.

Oboje przygotowywali się do tej chwili. Oboje ćwiczyli dojrzałe, rozsądne zdania, które zamierzali dzielnie wypowiedzieć. Oboje wierzyli, że musi tak być. Tak będzie najlepiej. Mieli szczęście, że udało im się spędzić razem trochę czasu. Obojgu zawsze będzie zależało...

Ale żadne z nich nie mogło nic powiedzieć. Emocje były zbyt silne.

Po prostu tulili się do siebie. W końcu, w tym samym momencie, odsunęli się od siebie.

- Żegnaj, kochana Leslie - szepnął chrapliwie.
- Żegnaj, James - odszepnęła przez łzy.

James wrócił do pustego domu. Lynne była w Chicago. Miała wrócić rano.

Lynne. Odzyskała energię, ale wydawała się inna. Zaprzątnięta czymś. Miał wrażenie, że na siłę wynajduje sobie zajęcia. Co wieczór, gdy on już się położył, pisała godzinami. Wyzaczyła sobie termin - wkrótce - ukończenia następnej książki o Monice, ale nie poprosiła Jamesa, żeby zajął ją ilustrować.

Lynne była miła, zapracowana i energiczna. Bezosobowa.

Wciąż się nie kochali.

James uznał, że Lynne po prostu dochodzi do siebie po chorobie. Teraz, odzyskawszy energię, nadrabiała stracony czas.

Zachowywała się inaczej, ale nie tak, jak gdyby wiedziała o Leslie. Powiedziała mu o tym.

Ale musieli porozmawiać. Teraz, gdy ona dobrze się czuła, a on pożegnał się z Leslie.

James uświadomił sobie, jak mało oboje z Lynne rozmawiali ze sobą w ciągu ostatnich trzech miesięcy. Chciał znów być blisko niej. Chciał się w niej znów zakochać i odnowić przyrzeczenie - przyrzeczenie miłości, przyjaźni i zaufania - które sobie złożyli.

Lynne powtórzyła badania czternastego grudnia. Potwierdziły diagnozę. Oznaczało to, że od razu po powrocie z Chicago musi porozmawiać z Jamesem. Zadzwoiła do niego do pracy szesnastego, gdy tylko wróciła.

- Lynne? Wszystko w porządku? - zapytał James. Nigdy nie telefonowała do biura.

- Tak. Wszystko dobrze. Dopiero przyjechałam. James, musimy porozmawiać - rzekła niepewnie. Jak ja mu to powiem? Wiem, że się nie myślę, ale nie chcę o tym słuchać. Nie chcę oglądać jego twarzy. Impulsywnie zdecydowała, że powie mu przez telefon. - James, wiem, że masz romans. Wiem, że zaczął się dwunastego września. Nie miałam siły nic robić w tej sprawie do teraz. Ale teraz mam. Chcę rozwodu, James. Nie mogę już z tobą żyć. Nie mogę.

Lynne przerwała nagle, nie mogąc złapać tchu, z bijącym sercem, ze ściśniętym żołądkiem.

- To już minęło, Lynne - powiedział cicho James, wstrząśnięty.

- Czy to ma znaczenie? - zapytała ostro, gdy powrócił gniew. Przyznał się. To była prawda. Lynne wciąż kurczowo trzymała się nadziei, że istnieje jakieś inne wyjaśnienie.

- Kocham cię.

- Nie - odparła. - Nie, jeśli mi to zrobisz. Nam.

- Lynne, mamy mnóstwo czasu na skończenie naszego małżeństwa. Pozwól mi ze sobą porozmawiać. Proszę.

- To nie ma sensu. I jest bolesne. Chcę się z tego wyrwać, James. Proszę, nie utrudniaj mi tego. To niesprawiedliwe. I tak było mi dość trudno.

Czuł ten ból - ból miesięcy cierpienia - w jej głosie. Wiedziała od dawna. Cały czas.

- Jadę do domu. Zaczekaj na mnie. Proszę.

Gdy James jechał do domu, myśli wirowały mu w głowie. Próbował sobie przypomnieć, jak to się stało, jak mógł do tego dopuścić. Jak mógł sądzić, że ona się nie dowie? Jak mógł to zrobić Lynne? Właśnie Lynne...

W ten sposób ojciec Lynne krzywdził jej matkę. Bezustannie. Byli razem z powodu córki, ale dla Lynne mniej bolesne byłoby życie bez ojca niż z ojcem, który ją krzywdził. Widziała, jak matka cierpi z powodu każdego jego romansu. Nauczyła się nienawidzić własnego ojca.

I nauczyła się nie ufać mężczyznom. Gdy dorosła, igrała z nimi, bawiła się ich uczuciami, raniła ich tak, jak ojciec ranił jej matkę. I ją.

Lynne nienawidziła mężczyzn, nie wierzyła żadnemu. Aż poznała Jamesa.

Powoli, ostrożnie, nauczyli się wzajemnego zaufania.

Jak mogłem jej to zrobić? - krzyczał w myślach James, jadąc do domu. Z łatwością sobie wszystko wytłumaczył, bo zrobił jedno założenie: Lynne nigdy się nie dowie.

Lynne siedziała w salonie, skulona w rogu sofy. Gdy zobaczyła Jamesa, wtuliła się w poduszki.

- Lynne, tak bardzo mi przykro - powiedział, idąc w jej kierunku. Ale jej wzrok go powstrzymał. James stanął przy drugim krańcu sofy.

- Wiesz, co w tym śmiesznego? - zapytała z goryczą. - Naprawdę myślałam, że to jest coś. Że rzuciliśmy wyzwanie prawdopodobieństwu. Nawet nie wiedziałam, że mamy kłopoty. A potem w ciągu jednej nocy wszystko się zmieniło. Jak mogłeś zakochać się w innej osobie w ciągu jednej nocy?

- Nie zakochałem się, Lynne. Znałem ją zanim poznałem ciebie. Nie widziałem jej dziewięć lat. Zobaczyłem ją znów przez przypadek. Czulem, przekonywałem siebie samego, że robię coś, co powinienem był zrobić dziewięć lat temu. Zdołałem sobie nawet wmówić, że ten romans dzieje się w przeszłości.

James wrzucił ramionami, uświadamiając sobie, jak puste są jego słowa i jak idiotycznie brzmią.

Bezradnie patrzył, jak Lynne płacze. Jej cierpienie sprawiało mu ból. Ból i żal.

- Porozmawiaj ze mną Lynne.

- Dlaczego? Chcesz usłyszeć, jak bardzo cię nienawidzę? Jak bardzo cierpię?

- Powiedz mi, jak możemy przez to przejść - powiedział zdecydowanym, spokojnym głosem James.

- Nie możemy.

- Nie chcesz nawet spróbować?

- Nie. Dlaczego?

- Bo cię kocham.

- James. Słyszałam te słowa. Ojciec wciąż powtarzał to matce. Przez wiele lat mu wierzyła.

- Twój ojciec nigdy kochał twojej matki. Dobrze wiesz.

- Wiem? Wygląda na to, że jesteś taki sam.

James westchnął. Dlaczego miałyby mu uwierzyć? Nie dał jej żadnego powodu.

- Przestałem się z nią widywać, bo nie chciałem ryzykować, że się dowiesz. Nie chciałem cię stracić.

- Dlatego to zakończyłeś - powiedziała powoli Lynne. - Ale dlaczego zacząłeś?

- Wydawało mi się, że to był inny wymiar, Lynne. Było to dla mnie bardzo ważne. Musiałem zrozumieć to, co stało się w liceum. To nie miało nic wspólnego z tobą i ze mną. Naprawdę. Nie wiem, jak ci to wytłumaczyć. To nie miało nic wspólnego z nami. Nie szukałem jej dlatego, że byłem nieszczęśliwy w naszym małżeństwie. Nie byłem. Nie jestem. Chcę spędzić z tobą całe życie. Nie szukałem jej wcale. To się po prostu zdarzyło. Nigdy nie zdarzyłoby się z nikim innym. Nie zdarzyłoby się nigdy więcej.

Lynne przestała płakać, słuchała. Jej piwne oczy patrzyły na niego z zaciekawieniem. Dobrze знаła Jamesa. Wiedziała, że James - James, którego kochała i któremu ufała - nie kłamał.

- Prawie ci wierzę, James - powiedziała łagodnie. - W jakiś sposób naprawdę myślałeś, że nie łamiesz zasad, lecz jesteś ponad nimi.

James czekał z zapartym tchem. Lynne mówiła do niego niejako dziewczynka skrzywdzona przez zniechęconego ojca, lecz jako kobieta, którą kochał, z którą stworzył związek oparty na miłości i zaufaniu.

Ale nie powiedziała już ani słowa. Patrzyła na niego, kochając go, nienawidząc go i pragnąc go. Żałując, że wszystko nie jest inaczej.

- Dasz nam szansę, Lynne?

- Nie wiem. - Tak.

- Nie możemy stracić więcej, niż stracimy, jeśli teraz odejdziesz.

- Och, tak, możemy - powiedziała bez zastanowienia.

- Co?

- Możemy przegrać jeszcze raz - wyjaśniła Lynne, odrobinę zakłopotana. - Możemy wrócić do siebie i znów przegrać. Przecież to się już zdarzyło.

- Ale się nie powtórzy, Lynne. Nie. Nie może.

Lynne westchnęła. To było wielkie ryzyko. Może zbyt wielkie. Miała tylko miesiąc. James nie może się dowiedzieć. Nie, dopóki ona nie będzie pewna jego i jego miłości. Ale skąd ma wziąć tę pewność?

Będzie wiedziała. Ale wiedziała to już wcześniej. Wiedziała, była pewna, że on ją kocha. Do dnia, gdy to się zmieniło.

Teraz wrócił.

- James, bardzo się boję - szepnęła.

Podszedł do niej, delikatnie biorąc jej dłonie, dotykając jej mokrych od łez policzków.

- Ja też się boję, Lynne. Boję się ciebie stracić.

Shreve and Company, jeden z najstarszych sklepów jubilerskich San Francisco, znajdujący się dwie przecznice od Union Square, obok Gumpsa, Abercrombiego i Fitcha, przeżywał oblężenie. Była Wigilia. Kupujący musieli decydować. Złoty naszyjnik dla dziewczyny, brylantowe lub szafirowe kolczyki dla kochanki, pierścionek dla żony, złote spinki do mankietów - później da sieje do grawera - dla męża lub przyjaciela.

Mark poszedł odebrać pierścionek zaręczynowy Kathleen. Kierownik sklepu obiecał, że mimo świątecznego zamieszania dwuipółkaratowy brylant czystej wody w oprawie w stylu Tiffany'ego będzie gotowy w wigilię. Brylant nie był klejnotem rodzinnym. Ojciec Kathleen kupił go wiele lat temu jako lokatę.

Kamień poczwórnice zwiększył swą wartość i był teraz wart przynajmniej ćwierć miliona dolarów. Ale gdy William Jenkins, wręczając go, zobaczył wzrok Kathleen - jeśli Mark się nie sprzeciwi - brylant stał się bezcenny. I bezwartościowy. Bo nigdy nie zostanie sprzedany.

Mark się nie sprzeciwiał. Naprawdę nie przejmował się bogactwem Kathleen.

Janet przysłała w wigilię do Shreve and Company, żeby kupić parę kolczyków z perłami. Postanowiła zrobić sobie prezent urodzinowy - gwiazdkowy. Od październikowych zakupów w Nowym Jorku Janet zwracała większą uwagę na swój wygląd i na rzeczy, które sprawiały jej przyjemność. O kupieniu ładnych kolczyków myślała od dwóch tygodni.

Po kilku minutach spędzonych w sklepie pełnym zdenerwowanych, niezdecydowanych klientów postanowiła zrezygnować. Lekko potrząsnęła głową i odwróciła się, żeby wyjść. W drzwiach spotkała Marka. Purpurowe, aksamitne pudełeczko z pierścionkiem Kathleen bezpiecznie tkwiło w wewnętrznej kieszeni marynarki.

- Janet!

- Witaj, Mark - powiedziała, ale w tej samej chwili tłum wypchnął ją przez drzwi.



Mark był tuż za nią, ale zatrzymał się, żeby przepuścić kilka wchodzących kobiet.

Janet stała na zewnątrz, nie wiedząc, czy odejść i zniknąć w tłumie, czy nie. Dlaczego miałyby na niego czekać? Dlaczego nie?

Mark uśmiechnął się na jej widok, najwyraźniej zadowolony, że zaczęła.

- Cześć. Tłoczno tu, prawda?

- Bardzo - powiedziała, nagle chcąc uciec przed tłumem. I przed nim? Nie. Jego widok nie sprawiał jej przykrości. Jeszcze nie.

- Napijemy się kawy? Albo gorącego rumu?

W Omaha w święta piliby gorący rum, siedząc przy kominku. W Omaha w święta padał śnieg. W San Francisco w święta było dziesięć stopni i świeciło słońce.

- Jasne - odparła Janet, zerkając na zegarek. Miała jeszcze czas do wieczornego przedstawienia. - Chętnie napiję się kawy.

W sklepach, przy kasach i na chodnikach kłębił się wigilijny tłum, ale restauracje świeciły pustkami. Za chwilę miało się to zmienić. Rozgorączkowani klienci nie mogli przecież nie jeść. Nie będą dłużej zwlekać.

Janet i Mark znaleźli pustawą cukiernię, z niewielką salą z kutymi, żeliwnymi krzesłami i stolikami nakrytymi zielonymi i purpurowymi obrusami. Jak w domu. Staromodnie.

- Miło - powiedziała Janet, mówiąc o cukierni. Może miała też na myśli spotkanie z Markiem.

- Miło cię widzieć - powiedział Mark, nie kłamiąc, czując lekkie ukłucie w sercu. - Jak tam *Piotruś Pani*

- W tym tygodniu dodaliśmy pięć porannych przedstawień!

- To nadzwyczajny spektakl. Ty jesteś nadzwyczajna.

- Och, widziałeś?

- Byłem na premierze.

- Co powiedziała Kathleen? - zapytała Janet, zdziwiona, że tak łatwo przyszło jej wypowiedzenie tego imienia. - Ross mówił, że ona i niektórzy członkowie komisji byli przeciwni zmianom, które wprowadziliśmy. Twierdzili, że są obrazoburcze.

- Kathleen wychowała się na *Piotrusiu Panie* w całej jego niewinności.

- Jak my wszyscy.

- Tak czy inaczej, wszystkie jej wątpliwości się rozwiały, gdy zobaczyła spektakl. Właściwie to była na nim chyba pięć razy. Chodzi na *Piotrusia*, gdy mam dyżur.

- A ty poszedłeś jeszcze raz?

- Nie - powiedział Mark, wpatrując się w swoją kawę, aby uniknąć spojrzenia dużych, szarych oczu Janet. Mógł obejrzeć spektakl jeden raz, zobaczyć ją raz, potem byłoby to zbyt bolesne.

- Leslie wspomniała, że przeprowadzasz się do Bostonu.

- Tak. Na specjalizację z kardiologii. I... - Mark przerwał. Leslie prawdopodobnie powiedziała jej całą resztę.

- Żenisz się - rzekła Janet.

Spojrzał na nią pytająco. Rozmawiał z Janet o swoim małżeństwie z Kathleen. To było dziwne. Niewłaściwe.

- Mark - rzekła Janet, uśmiechając się nagle. Dawno nie czuła się tak dobrze. - Cieszę się. Naprawdę. Mieliliśmy naszą szansę. Nie udało się. To nie znaczy, że nie możemy próbować.

Janet przerwała, zaskoczona własnymi słowami i nadzieją, którą w nich wyraziła. Nadzieją na jego szczęście. I na swoje własne.

- Masz kogoś? - zapytał ostrożnie Mark.

- Nie - odparła, potrząsając blond włosami, nieco zakłopotana. Po-tem dodała poważnie, szczerze: - Jeszcze nie.

Ale kiedyś. Może.

Pożegnała się z Markiem, pocałowała go lekko w policzek i życzyła mu szczęścia. Potem udała się do teatru. Była uradowana. Spotkanie z nim nie sprawiło jej bólu. Widok Marka przypomniał jej o miłości, o nadziei na miłość. Nie z nim. Ale może kiedyś z kimś innym.

Janet czuła się wolna, szczęśliwa, prawie całkiem pozbierana, gdy wchodząc w drzwi teatru Union Square, wpadła na Rossa.

- Och! Przepraszam! - Janet zachichotała.

- Nie ma za co - powiedział zaskoczony, zaintrygowany. Co się dzieje? Gdzie ta słynna rezerwa spoza sceny? - Wyglądasz na podekscytowaną.

Janet wzruszyła ramionami. Blask w jej oczach nie zgasł.

- Bo chyba tak jest - stwierdziła, ruszając energicznie przez foyer do swojej garderoby.

Po kilku krokach zatrzymała się i odwróciła.

- Ross?

- Tak?

Wróciła do niego, z bijącym sercem.

- Może wpadłbyś na kolację?

- Oczywiście - rzekł spokojnie, ostrożnie. - Kiedy?

- Mmm... - Janet nie zastanowiła się nad tym. W ogóle się nad tym nie zastanawiała. Zaprosiła go pod wpływem impulsu. - Któregoś wieczora, kiedy nie mamy przedstawienia.

- Czyli prawie nigdy. Przynajmniej w najbliższej przyszłości.

Mieli grać co wieczór - z wyjątkiem Bożego Narodzenia - przez całe ferie. Może nawet dłużej. Zapotrzebowanie było ogromne, a zespół na razie miał chęci.

- Jutro wieczorem - zaproponowała nieoczekiwanie.

Boże Narodzenie. To był jedyny wieczór bez przedstawienia.

- Są święta Bożego Narodzenia! - wykrzyknął Ross, zanim dotarło do niego znaczenie jej propozycji. Janet nie miała planów na święta.

Ross zamierzał odebrać z lotniska Stacy, która miała przylecieć z Nowego Jorku o siódmej wieczorem, i zabrać ją na gwiazdkowe przyjęcie Dzieci Klubu Carlton. Plany można zmienić, pomyślał, patrząc na Janet. Ale nie odwołać w tak późnym terminie.

- Wiem - powiedziała Janet, wruszając ramionami, nagle czując się głupio. Odrobinę się zachmurzyła. - Wymieniłam tylko wieczór bez przedstawienia.

- Mam plany na wieczór, ale w ciągu dnia jestem wolny. Może zjemy razem śniadanie, lunch albo obiad?

- Obiad. W moim domku. To kawałek drogi.

- Nie szkodzi. - I słysząc śmiech Janet, zapytał: - Co się stało?

- Nie mam nic do jedzenia! Jutro rano sklepy będą zamknięte, prawda? Przed przedstawieniem nie zdążę zrobić zakupów - powiedziała, uśmiechając się i potrząsając głową.

- Wspaniałe zaproszenie - dokuczał jej żartobliwie Ross.

- Wydało mi się to dobrym pomysłem. Może spotkamy się kiedy indziej?

- Nie - odparł Ross swobodnie, lecz zdecydowanie. - Chodźmy do biura. Zrobisz listę zakupów i narysujesz, jak dojechać. Pójdę do sklepu, kiedy ty będziesz się charakteryzować. Po przedstawieniu włożymy zakupy do twojego samochodu.

Janet poszła za nim do biura teatru. Czowała zadowolenie. Było jej przyjemnie.

- Zastanówmy się. Jajka. Mleko. Ser. Masło.

- Jak dotąd prawie bez cholesterolu.

- Och! Na co masz ochotę?

- Nie, żartuję. W porządku.

- Dobrze. Ciasteczka czekoladowe. I mieszanka karmelkowa...

- No, no...

- To moje urodziny.

- W Boże Narodzenie?

Janet kiwnęła głową.

- W takim razie - powiedział Ross - dopiszmy do listy szampana.

O jedenastej w pierwszy dzień świąt Bożego Narodzenia, na długo przed przyjazdem Rossa, Janet żałowała tego zaproszenia.

Nie znam go. Nie mam mu nic do powiedzenia. Nic osobistego. Możemy rozmawiać o przedstawieniu. A potem co? Żałuję, że... co? Że spotkałam Marka? Że czułam się tak dobrze?

Janet nie wiedziała, dlaczego jej dobre samopoczucie zmącił niepokój.

Okazało się jednak, że niepotrzebnie obawiała się rozmowy. Ross miał dużo do powiedzenia i zadawał jej wiele pytań, kręcąc się po przytulnym domku, gdy smażyła omlety.

- Czyj to domek?

- Właściciele tego dużego domu przy drodze. Wyjechali na ferie.

- Jak go znalazłaś?

- Podczas przejażdżki.

- Aż tutaj?

- Po rozstaniu z Markiem dużo jeździłam - powiedziała i zarumieniła się.

- Czy oprócz tych pagórków coś cię oddziela od oceanu? - zapytał Ross, szybko zmieniając temat. Nie chciał, żeby zamknęła się w sobie.

- Nie. - Uśmiechnęła się z ulgą ciesząc się, że nie pytał o Marka. Chociaż czuła się lepiej - właściwie dobrze - nie chciała rozmawiać o Marku. - Tylko bardzo ładny teren, po którym wolno mi spacerować. Po obiedzie możemy się przejść, jeśli będziesz miał czas. Jest pięknie.

Ross oglądał jej zdjęcia z *South Pacific* i z przedstawień, w których grała na uniwersytecie Nebraski i w społecznym teatrze w Omaha.

- Naprawdę nigdzie więcej nie występowałaś przed przyjściem na przesłuchanie w zeszłym roku?

- To chyba wystarczy. W amatorskich zespołach bardzo wiele się nauczyłam. Nie było tam primadonny. Nie było żadnej gwiazdy. Zwłaszcza w teatrze w Omaha. Byliśmy rodziną.

- Wiele primadonn zaczynało w takich teatrach. Ty po prostu nie masz charakteru primadonny.

Zapytał ją o dzieciństwo. Opowiedziała mu, krótko i miło. Potem zapytała o dom i rodzinę. Ross mówił dużo, ponieważ rozbawiała ją jego anegdoty. Mówił bez przerwy, bo gdy słuchała, w jej poważnych, szarych oczach malował się wyraz sympatycznego zainteresowania. I dlatego, że jej oczy błyszczały, gdy się śmiała.

Poszli aż nad ocean. Janet pokazała mu swoje ulubione miejsca. Poprowadziła go ulubioną ścieżką pod eukaliptusami.

- Tutaj ćwiczę - powiedziała, wyciągając ręce w kierunku łagodnych, zielonych wzgórz i niebieskiego oceanu. - Słyszą mnie tylko mewy, króliki i jelenie.

- Zaśpiewaj mi coś - powiedział Ross.

Janet zmarszczyła brwi i przymknęła powieki. Bolesne wspomnienia dopadły ją niespodziewanie.

- Nie mogę - powiedziała w końcu, otwierając oczy. Śpiewała całym dniami dla Rossa w teatrze, ale tym razem było inaczej. Prywatnie. Intymnie. Byłoby tak, jakby śpiewała dla Marka. Nie mogła tego powtórzyć. Jeszcze nie.

Ross uśmiechnął się. Było mu przykro, że widać powiedział coś, co sprawiło jej ból, ale cieszył się, że tak szybko się uspokoiła.

Szli plażą. Chłodny wiatr rozwiewał im włosy. Zaróżowiły im się policzki. Idąc pod wiatr, nie próbowali nawet rozmawiać. Ross uświadomił sobie, że Janet nie musi mówić. Dobrze jej w ciszy. Po prostu idzie obok niego i cieszy się pięknem krajobrazu. Bez słów.

Janet była spokojna. Przebywanie z nią napawało go spokojem.

O piątej odprowadziła go do samochodu. Zasiadł się. Będzie musiał jechać bezpośrednio na lotnisko.

- Dziękuję - powiedział. - Wszystkiego najlepszego.

Janet uśmiechnęła się do niego, przysuwając się prawie niezauważalnie bliżej.

Jego usta dotknęły jej ust, miękkich, ciepłych i spragnionych. Objął ją ramionami i poczuł, jak się do niego przytula. Zmysłowo i namiętnie. Całowali się przez długi, miły, ciepły moment.

- Nie chcę od ciebie odjeżdżać - szepnął jej do ucha.

Podniosła na niego wzrok. Oczy jej lśniły, policzki były zaróżowione. Dotknęła palcem jego ust.

Ona też nie chciała, żeby jechał.

Ale musiał.

- Zobaczmy się jutro - szepnął chrapliwie, wsiadając do samochodu. I pojutrze. I następnego dnia, pomyślał, zapominając na chwilę, że Stacy przyjeżdża na cały tydzień.

Stacy. Wszystko się zmieniło. W końcu plany można zmieniać.

## Rozdział 29

**P**owoli, troszcząc się o każdy drobiazg, James i Lynne znów się w sobie zakochali. Przez większość dni czuli, że jest coraz lepiej, bo bardzo się starali i ogromnie tego pragnęli; czasami jednak wydawało

im się, że tracą wszystko, co już zyskali, i że nie ma już przed nimi nadziei.

Wieczory spędzali razem, rozmawiając spokojnie, trzymając się za ręce. James dzwonił do niej z pracy, gdy była w domu. Gdy jej nie było, codziennie dzwonił do hoteli, w których się zatrzymywała. Odbywali wielogodzinne rozmowy międzymiastowe.

W święta Bożego Narodzenia zadzwonił do jej hotelowego pokoju w Dallas.

- Co się stało, Lynne?

Jej głos brzmiał bezbarwnie i smutno.

- Wiesz, o czym myślałam cały dzień? - zapytała słabo.

- Nie. Powiedz - naciskał James, wiedząc, że musiało to być bolesne i dotyczyć Leslie. Ale wiedział też, że muszą o tym rozmawiać.

- Rzuciłeś palenie dla niej, prawda?

- Lynne - zaczął James. Lynne próbowała go do tego delikatnie nakłonić, bez skutku. A on rzucił palenie dla Leslie. Ale zrobił to również dla Lynne. Na resztę ich wspólnego życia.

- Wiem, że tak było. Cały dzień o tym myślałam, nienawidząc was obojga, szalejąc z gniewu. Nie mogę się pozbyć tego uczucia. Po ostatnich dziewięciu dniach wydawało mi się, że jest lepiej, ale dziś wróciłam do punktu wyjścia - stwierdziła. Chcę odejść, pomyślała. Muszę się od ciebie uwolnić.

- Mnie też rozdziera gniew, Lynne. Ale ja wiem, że to już nigdy się nie stanie. Wiem, co to dla mnie znaczyło. Wiem, co do ciebie czuję. Ja wiem, że możesz mi ufać, ale mogę ci to tylko powiedzieć. Nie mogę sprawić, byś to poczuła albo byś w to uwierzyła.

- Chcę uwierzyć. - Niedługo będę musiała zdecydować, pomyślała. Najpóźniej do połowy stycznia. Tak wiele od tego zależy: moje życie, życie Jamesa i jeszcze jedno życie, niewinne, któremu może stać się krzywda, jeśli podejmę niewłaściwą decyzję. Lynne westchnęła ciężko. Brzemie decyzji było ogromne. - James, porozmawiajmy o czymś, co się z nami nie wiąże. Bo czuję się, jakbym ugrzęzła w bagnie i nie mogła się z niego wydostać.

Rozmawiali godzinami o aktualnościach, książkach, polityce i pogodzie. Mówili o wszystkim, byle tylko mówić. Dzięki temu oboje starali się jeszcze bardziej, ale nie mogli niczego przyspieszyć. To musiało się stać samo. Oni tylko musieli dać sobie szansę.

Pod koniec trzeciego tygodnia zaczęli razem pracować nad nową książką o Monice. Wieczorami rozmawiali o ilustracjach, jakie wyobrażała sobie Lynne. Czasami czuli się prawie normalnie. Prawie dobrze.

Pewnego popołudnia James zadzwonił do domu. Miał pomysł na ilustrację. Lynne odebrała z roztargnieniem. Oderwał ją od pisania.

- Cześć, przeszkadzam? - zapytał, gdy tylko usłyszał jej głos.

- Nie - odrzekła. - Tak, James. Romansuję właśnie z facetem, którego znam od przedszkola.

Na chwilę oboje zamilkli, wstrząśnięci jej słowami. Potem ona się zaśmiała. On też. Powiedział, że jedzie do domu, żeby to skończyć.

Tego popołudnia i tej nocy kochali się po raz pierwszy od jedenastego września, w przeddzień urodzinowej kolacji Leslie. Następnego dnia Lynne znów go nienawidziła, przypominając sobie, co zrobił, ale jej gniew trwał tylko godzinę. Zniknął, zanim zdążyła mu o tym powiedzieć.

Tydzień później Lynne wróciła do domu o siódmej wieczorem, po dwóch dniach nieobecności. Zastała Jamesa siedzącego w salonie. Okno było zasłonięte, nie widzieli South Bay, a nikt z zewnątrz nie widział tego, co dzieje się w środku. Zwykle nie potrzebowali aż takiej prywatności.

Serce Lynne zabiło szybciej. Jej ciało przeszło dreszcz oczekiwania. Wiedziała, gdy tylko spojrzała mu w oczy.

- Rozbierz się, Lynne - powiedział łagodnie, uwodzicielsko, nie ruszając się z miejsca.

Zamknęła na chwilę oczy. James.

To była jej fantazja. Seksualna fantazja, którą mu wyjawiała, bo mu zaufała. Opowiedziała mu wszystkie swoje fantazje. Były do siebie podobnie. W fantazjach James nad nią panował, chociaż nigdy dotąd nie pozwoliła zapanować nad sobą żadnemu mężczyźnie. Podniecała ją jego seksualna siła i żądza.

W jej wyobraźni James przerywał to, co robiła, w milczeniu zabierając jej pióro, gdy pisała, zdecydowanie wyłączając kuchenkę, gdy przygotowywała kolację... Nie miało znaczenia, co robiła. Na tym polegała fantazja: gdy James jej pragnął, nie liczyło się nic innego. Nigdy nie odmawiała.

James kazał jej się rozbierać i patrzył na nią z uznaniem, namiętnością i pożądaniem. Stawała przed nim naga, dumna ze swojego doskonałego ciała, czując, że on jej pragnie i że jej ciało reaguje na jego spojrzenie.

Czasami rozkosz osiągała tylko ona. James całował ją, ciepło i delikatnie, aż padała, wyczerpana i zadowolona, a on wciąż był ubrany. Czasami też się rozbierał i kochał się z nią powoli, każąc jej czekać, nie pozwalając jej się niecierpliwić. Czasami kochali się szybko i gwałtownie, bo wystarczyło, że spojrzeli na siebie przez cały pokój, a już byli gotowi do miłości, natychmiast musieli być razem.

Robili to, czego pragnął James. Taka była fantazja - jej fantazja. James nad nią panował. Bo mu ufała. Nigdy nie odmawiała.

- Rozbierz się - powtórzył.

- James, nie - odparła słabym głosem. Nie była na to jeszcze gotowa. Kazał jej udowodnić, że znów mu ufa i pozwoli mu nad sobą zapanować. Nie, krzyczał jej umysł. Ale jej ciało drżało. Tak, pragnę tego. Pragnę go. Chcę, żeby i on znów mnie tak pragnął. Właśnie on.

Ale co z...? - krzyczał jej umysł.

Nie zauważy. Prawie nie widać, mówiło jej ciało, pulsujące z ekscytacji.

- Tak, Lynne - powiedział James. Rozkazał.

Lynne patrzyła na niego, zdejmując mundur: dopasowany żakiet, kraciastą bluzkę i wąską spódnicę. Ich oczy patrzyły na siebie z przeciwległych końców pokoju, wymownie przekazując uczucia i żądze. Podeszła bliżej i zatrzymała się tuż przed nim. Wtedy zdjęła resztę ubrania.

Gdy była już naga, odwrócił wzrok od jej oczu, jak zwykle, żeby patrzeć na całe jej ciało. Żeby pieścić ją spojrzeniem. Czuli jego wzrok na swojej szyi, piersiach, brzuchu i między udami. Drżała, przeszywana falami pożądania.

Nagle zmarszczył brwi i spojrzał na nią uważniej.

- Lynne? - powiedział chrapliwym głosem. Nastrój prysł, nagle i niewytłumaczalnie.

- Co? - Co się stało? Nie rób mi tego! Próbuję znów ci zaufać.

- Podejdz do mnie - powiedział niepewnie.

- Co, James? - Nie, nie widzi. Przecież ja sama tego nie widzę.

Ostrożnie położył dłoń na jej podbrzuszu. Wypukłość była prawie niewyczuwalna, ale była.

- Lynne? - zapytał łagodnie, patrząc jej w twarz.

Z jej smutnych, piwnych oczu trysnęły łzy. Płakała w milczeniu.

- Jesteś w ciąży?

Lynne powoli, ponuro pokiwała głową. Było za wcześnie. Wciąż nie miała pewności. A jednocześnie było za późno. James wiedział.

James posadził ją sobie na kolanach, łagodnie obejmując ramionami jej drżące, nagie ciało.

- Naprawdę? - zapytał cicho. Skinęła głową, patrząc na niego. Nigdy nie widziała w jego oczach takiego szczęścia.

- Naprawdę - powiedziała, ocierając łzy.

- Kiedy?

- Jak to kiedy? Ostatnim razem, gdy się kochaliśmy. Jedenastoego września. Dziecko ma tylko cztery miesiące.



- I wszystko jest w porządku? - zapytał. Dopiero zaczynało to do niego docierać, przeszywały go fale radości.

- Jak dotąd tak. Jest tam, gdzie powinno. W macicy. Rośnie normalnie, mimo poblżnionej tkanki.

- Dlatego źle się czułaś?

- Tak. Nie byłoby tak źle, nie byłabym aż tak sfrustrowana, gdybym się domyślała. Internista, do którego poszłam w Denver, od razu postawił diagnozę, chociaż mu powiedziałam, że to niemożliwe. Chyba nawet omdlenia, takie, jakie zdarzyło mi się w samolocie, są normalne.

James ujął jej twarz w dłonie, spojrzał jej w oczy, kazał jej na siebie patrzeć.

- Zamierzałaś mi powiedzieć?

- Nie, gdybyśmy się rozwiedli. Nie.

- Miałem prawo wiedzieć - rzekł ostro James.

- Zrezygnowałaś z tego prawa w noc po poczęciu dziecka - odpowiedziała Lynne równie ostro.

Powiedziawszy to, Lynne ujrzała w jego oczach ból. W oczach, które kilka chwil przedtem były takie szczęśliwe. Czy kiedykolwiek przestanę go karać? Albo siebie samą?

Lynne objęła go ramionami i pocałowała w czoło.

- Przepraszam, James. Odkąd wiem o dziecku, myślę tylko o tym, żeby stworzyć mu jak najlepszą szansę. Bardzo pragnę tego dziecka. Chcę się czuć bezpieczna i szczęśliwa. Nie chcę, żeby małeństwo miało takie dzieciństwo, jak ja.

- Albo ja - mruknął James.

- Nie jesteśmy kandydatami na rodziców roku, prawda?

- Może jesteśmy, Lynne. Przynajmniej wiemy, jak nie należy postępować. I oboje bardzo pragniemy dziecka.

- Ty też? Nie wiedziałam.

- Ja też nie wiedziałem. Chyba wszystko sobie ułożyliśmy, myśląc, że nie możemy mieć dzieci. Ale gdy mi powiedziałaś, poczułem się tak, jak nigdy dotąd. Chcę naszego dziecka, Lynne. Tak jak matki naszego dziecka.

James całował ją, aż zaczęła drżeć, a jej ciało zaczęło się poruszać w rytmie miłości i pożądania.

- Czy można się kochać? - zapytał, kładąc ją na sofie.

- Tak, James. Przyszłe matki też mają swoje fantazje - powiedziała, wsuwając palce w jego czarne włosy, bez tchu czekając na moment, aż ich nagie ciała zetkną się.

- Bardzo cię kocham, Lynne - szepnął James. Gdy się kochali, powtarzał: - Bardzo. Bardzo.

Następnego dnia James zadzwonił do niej z pracy.

- Chcę, żebyś przestała latać. Nie brakuje nam pieniędzy. Możesz pisać książki i być ze mną w domu. Chcę cię mieć w domu. Was oboje.
- Dobrze, James - powiedziała ze śmiechem Lynne. - Rzucę pracę.
- Naprawdę?
- Tak, po prostu.

W następnym tygodniu przyszedł do domu z czarną teczką pełną szkiców.

- Maui? - zapytała Lynne zaciekawiona. James bardzo ciężko pracował nad projektem centrum rekreacyjnego. Spędzał nad nim dni, noce i weekendy. Kochał się z nią otulał ją kołdrą i wracał do stołu kuchennego, żeby pracować do późnej nocy.

- Nie, widziałaś wszystkie szkice Maui.
- Wszystkie sensacyjne szkice Maui.
- Dziękuję. - Eryk i Charlie przy każdym spotkaniu chwalili jego projekt, ale miło mu było usłyszeć to z ust Lynne. - Nie, to nie Maui. To Zamek Moniki.

- Co takiego?

- Nowa dobudówka. Pokój dla Moniki. Gabinet dla ciebie. Gabinet dla mnie. Dobudówka jest przeznaczona głównie dla Moniki, ale dorzuciłem kilka pomieszczeń dla nas.

- James, nawet nie wiemy, czy to dziecko jest Moniką. Przecież może być Jamesem juniorem.

- To dziecko nigdy nie będzie Jamesem juniorem. Oboje myślimy, że to dziewczynka, prawda?

- Tak sądzimy. Ale właściwie wszystko nam jedno, prawda?
- Prawda. Wszystko jedno.

James zadzwonił do Lynne piątkowego popołudnia, dwa dni przed Walentynkami. Wiedział, że cały ranek nadzorowała robotników w pierwszym dniu budowy.

- Cześć. Jak się czujesz?

- Dobrze. Naprawdę myślisz, że ci faceci będą zwracać uwagę na te wszystkie zawile linie, które wyrysowałeś?

- Oby. Jak tam Monika? I Monika?

- Kotka Monika zaplątała się w prawie nierozwiązywalny dylemat. Piję herbatę, mając nadzieję, że zaraz jej się poprawi. A - jej głos zmiękł, brzmiały w nim emocje. - Dziecko Monika poruszyło się.

- Naprawdę? Dlaczego nie zadzwoniłaś?

- Zadzwoiłam do lekarza. To było dziwne uczucie. Chciałam się upewnić, że wszystko jest w porządku. Ale tak ma być i zaczęło się w odpowiednim momencie, w piątym miesiącu. Nie dzwoniłam, bo nie chciałam ci przeszkadzać. - Omal nie zadzwoniła. Była taka podekscytowana.

- Dzwon do mnie.
- Dobrze.
- Co chcesz dostać na Walentynki?
- Przecież wiesz.

- Hm... - powiedział Mark, podchodząc do Leslie w pokoju pielęgniarek na dziesiątym piętrze. - Fatalny sposób na spędzenie wieczoru dla dwojga lekarzy niemających dyżuru.

- Mark! Przed wyjściem chciałam tylko przejrzeć kilka kart.

- Kart stabilnych pacjentów? - dokucał jej Mark. - W piątek o ósmej wieczorem?

Leslie uśmiechnęła się do Marka, jak zawsze zauważając, że jest bardzo przystojny. Ale serce nie zabiło jej mocniej. Nie drżała.

Wyrosłam z tego, co do niego czułam, pomyślała z zadowoleniem. Miłość? Kochałam go? Teraz jest dobrym przyjacielem. Drogim, dobrym przyjacielem.

- Ja rozumiem, co robi w szpitalu niezamężna, z nikim niezwiązana kobieta, taka jak ja - powiedziała Leslie. - Ale nie wyobrażam sobie, co trzyma tu ciebie.

- Kathleen jest na Hawajach, planuje ślub. Ona i jej przyjaciółka Betsey pojechały tam przed rokiem, obmyślać wesele Betsey. Zostałam sam na cały tydzień. Może napijemy się czegoś w Cliff House?

- Dobrze.

Przyszli o doskonałej porze. Tłumek gości, pijących koktajle przed kolacją właśnie wychodził, a tłumek przychodzący po kolacji jeszcze się nie zjawiał. Dostali stół przy oknie. Bładożółty księżyc rzucał długą drżącą smugę na Pacyfik. Fale lśniły w ciemności, spiętrzając się i rozbijając na skałach i plaży.

- Dostałaś zaproszenie na nasze przyjęcie zaręczynowe?

- Wytlaczane zaproszenie? Tak. Dziękuję. Zamierzam przyjść - powiedziała Leslie. Uznała, że powinna iść na to przyjęcie. Będzie to ciekawe. Ceremonia miała się odbyć za trzy tygodnie. Leslie wiedziała już, że nie będzie miała dyżuru.

- Oczywiście możesz z kimś przyjść.

- Zrobiłabym to, gdybym miała z kim - powiedziała swobodnie.

- A mężczyzna, z którym byłaś na *Piotrusiu Panie*?  
- Och. Zauważyłeś.  
- Naturalnie - powiedział Mark. Właściwie to Kathleen zauważyła ich pierwsza. Z początku jej uwagę zwrócił James, dopiero potem uświadomiła sobie, że przyszedł do teatru z Leslie.

Leslie spojrzała na Marka. Nikomu o tym nie mówiła.

- Był żonaty. Jest żonaty. To długa, skomplikowana historia, ale mniej więcej o to chodzi.

- Myślałaś, że zostawi ją dla ciebie?

- Nie, nigdy. Nawet tego nie chciałam - wyznała szczerze Leslie. W ciągu kilku miesięcy od odejścia Jamesa dobrze to rozumiała. Chociaż tęskniła za nim cały czas, dzień i noc, nie chciałaby, żeby opuścił Lynne z jej powodu. - Ale było to miłe, gdy trwało.

- Jestem ciekawy, jaki mężczyzna będzie dla ciebie odpowiedni - powiedział Mark, zastanawiając się nad własnymi słowami. - Jesteś taką wspaniałą kobietą. Mądrą, silną, niezależną...

- Okropna charakterystyka.

- Nie, Leslie. Jesteś wspaniała.

Leslie potrząsnęła głową i gestem ręki poprosiła, by przestał.

- Mówię poważnie, Les - ciągnął Mark, ignorując jej protest. - Jesteś piękna i pełna wdzięku. Dobrze wiesz, czego chcesz i to właśnie robisz. Nie masz żadnych oczywistych potrzeb. Musisz znaleźć mężczyznę równie zdolnego i niezależnego, jak ty.

- Kiedyś myślałam, że to ty jesteś właściwy - wtrąciła Leslie, wzmocniona szkocką, którą wypiła trochę za szybko, słuchając Marka. Poczowała ciepło i przyływ odwagi.

- Ja? - zapytał, szczerze zaskoczony. Pochlebila mu.

- Tak. Kochałam się w tobie. Ale nie tak, jak myślałeś. Nie tak, jak stażystka w lekarzu.

- Dlaczego o tym nie wiedziałem? - W jej poważnych, niebieskich oczach wyczytał, że mówiła prawdę. Że to - czyli on - było dla niej bardzo ważne.

- Bo nie byłeś zainteresowany. Ale to bardzo uprzejme, że udajesz, iż mogłeś być.

- To nie grzeczność - powiedział poważnie Mark, lekko marszcząc brwi. Dlaczego nie wiedział? Bo to była jego specjalność: nie wiedzieć o ważnych rzeczach, które dotyczyły jego samego i osób, na których mu zależało.

- Tak czy inaczej, kochałam się w tobie, gdy ty głęboko i nieodwołalnie zakochałeś się w Kathleen - dodała lekko Leslie.

- Jestem w niej głęboko i nieodwołalnie zakochany - powiedział łagodnie Mark. Na samą myśl o niej zaczął mówić czulszym głosem. Ale...

- Kiedy ślub? - zapytała nagle Leslie, skupiając się na rzeczywistości, a nie na fantazjach.

- Jedenastego czerwca. Zaproszenia są chyba jeszcze w drukarni. Mam nadzieję, że będziesz mogła przyjść. Ceremonia odbędzie się w Klubie Carlton. Powinno być miło.

- W czerwcu będę pracować na izbie przyjęć Szpitala Uniwersyteckiego. Jeśli mi się poszczęści, jedenastego nie będę miała dyżuru - odparła uprzejmie, nie wiedząc, czy naprawdę chce iść na ślub.

Siedzieli chwilę w milczeniu, patrząc na lśniące fale i zimowy księżyc.

- Kilka miesięcy temu widziałem Janet - powiedział w końcu Mark.

- Wiem. Mówiła mi. Spotkanie z tobą dobrze jej zrobiło.

- Naprawdę?

- Tak. Jest odprężona. Lepiej się czuje.

- Powinna się z kimś związać.

- Sądzę, że kogoś znajdzie - powiedziała Leslie. Chyba już znalazła, pomyślała. Ale nie miało sensu mówić Markowi o Rossie. O Rossie, przyjacielu Kathleen.

Ich świat i tak był już za mały.

- Nie mogę iść na przyjęcie zaręczynowe Marka i Kathleen.

- Możesz. To niedziela wieczór. Jest tylko popołudniowe przedstawienie.

- Nie chcę iść.

- Myślałem, że już ci przeszło.

- Przeszło.

- Więc?

- To nie znaczy, że chcę iść na jego przyjęcie zaręczynowe.

- Dlaczego?

Janet westchnęła. Dlaczego naciskał? Dlaczego nie mógł po prostu jej objąć i powiedzieć, że rozumie?

- Dlaczego? - powtórzył.

- Ross, Mark i ja sprawiliśmy sobie wiele smutku i bólu. Poczyniliśmy obietnice, których nie mogliśmy dotrzymać. Zmieniliśmy nadzieję w gniew i gorycz. Gniewu i goryczy już nie ma, ale to, co się stało, wciąż napawa nas smutkiem. Sądzę, że Marka zasmuci mój widok. Ja będę się czuła tak samo. Nie ma sensu iść.

- Myślisz, że Marka obchodzi to, czy przyjdiesz na jego przyjęcie? - zapytał z niedowierzaniem Ross. Widział Kathleen i Marka razem. Nikt nie mógł ani odrobinę zakłócić ich oczywistej radości.

- Tak. Chyba tak. - Janet spojrzała na niego. Jej szare oczy były pełne żalu. Nie chciała się z nim kłócić.

Zrobił groźną minę. Nie chciał z nią walczyć. Chciał ją tylko przytulić, iść obok niej plażę słyszeć jej śmiech, cieszyć się jej śpiewem i szeptać jej czułe słowa.

Chciał się z nią kochać, ale czekał na jej znak. Czekał, aż Janet wykona następny ruch. Zastanawiał się, czy to zrobi. Była taka namiętna. Ale i taka nieśmiała.

Patrzył na nią gniewnie, pragnąc jej, złościąc się, że wymyśliła taką śmieszna przeszkodę.

Wstał, żeby wyjść.

- Ranisz moje uczucia, Janet. Mnie zależy na tobie, ale ty nie chcesz iść ze mną na przyjęcie, bo mogłoby to trochę zasmucić twojego byłego męża. Które miejsce zajmuję na liście osób, na których ci zależy?

- Przepraszam - szepnęła Janet, gdy wychodził, zatraskując za sobą drzwi.

- Katie?

- Ross! Cześć.

- Sądzisz, że Mark zdenerwowałby się, gdyby Janet przysłała na przyjęcie zaręczynowe?

- Z tobą? - zapytała Kathleen. Potem dodała przebiegle: - Ross, spotykasz się z Janet?

- Czy Mark by się zdenerwował, gdyby Janet przysłała z kimkolwiek? - powtórzył obojętnym tonem, omijając pytanie Kathleen.

- Oczywiście, że nie.

- Zapytasz go?

- Dlaczego?

- Żeby mi sprawić przyjemność.

- Jasne. A ty przyjdiesz?

- Nie wiem. Chciałbym. Najpierw powiedz mi, co myśli Mark. Dobrze?

- W porządku. Zadzwoń za kilka dni.

Kathleen odezwała się do Rossa dopiero w przeddzień przyjęcia.

- Powiedział: „Oczywiście, że może przyjść...”

- Aha - rzekł Ross. Właściwie nie miało to znaczenia. Już podjął decyzję.

- Nie, czekaj, to nie wszystko. Powiedział: „Oczywiście, że może przyjść, ale to może nas oboje trochę zasmucić”.

- Och - mruknął Ross. - A czy ciebie to martwi?

- Nie. Po prostu jest szczerzy. Mnie byłoby smutno, gdybym próbowała ułożyć sobie życie z kimś takim jak Mark lub Janet i gdyby to się nie udało. Podczas ślubu składa się wiele obietnic - rzekła Kathleen.

Janet nie wiedziała, czy Ross przyszedł na którekolwiek z przedstawień w ciągu pięciu wieczorów po kłótni o przyjęcie zaręczynowe. Nie dostrzegła go również na popołudniowym przedstawieniu w niedzielę. Nie widziała go i nie rozmawiała z nim.

Kiedy wróciła do swojego domku w niedzielę wieczorem, było już prawie zupełnie ciemno. Przebrała się w dzinsy, wzięła latarkę i poszła nad ocean.

Ross przyjechał godzinę później i zastał domek pusty. Wziął latarkę z samochodu i skierował się w stronę ścieżki pod eukaliptusami, którą już dobrze znał.

Z początku Ross myślał, że głos, który słyszy, to wiatr lub mewy - ale była noc. Gdy podszedł bliżej, rozpoznał czarowne, uwodzicielskie nuty *Marzeń*, piosenki miłosnej z *Joanny*.

Ross się zatrzymał. Wkroczył na jej prywatne terytorium. Raz poprosił Janet, żeby zaśpiewała tutaj, w jej cudownym, naturalnym teatrze, a ona odmówiła.

Zaczekał, aż skończy śpiewać. Dopiero wtedy, wśród ciszy i ciemności bezksiężycowej, wiosennej nocy, zawołał ją.

- Ross? - odpowiedziała. Była o wiele dalej, niż przypuszczał. A może po prostu mówiła cicho.

Zobaczył w oddali światło.

- Cześć! - zawołał, machając latarką.

- Cześć. - Jej głosu prawie nie było słychać.

- Mogę do ciebie podejść?

- Idę do ciebie.

Szli ku sobie znaną drogą, świecąc latarkami.

Ross wyciągnął do Janet ramiona, a ona wpadła w nie z wdzięcznością.

- Dprowadzasz mnie do szaleństwa - rzekł.

- Nie poszedłeś na przyjęcie.

- Zrozumiałem - powiedział, całując czubek jej głowy - że chciałem iść na to przyjęcie tylko po to, żeby być z tobą. A ty jesteś tutaj. Więc ja też.

Janet wysunęła się z jego objęć, położyła dłonie na jego zimnych policzkach i dotknęła swoimi ustami jego ust. Całowali się długo, aż czuli tylko ciepło swoich ust i ciał, zapominając o zimnym wietrze od oceanu.

- Janet, Janet - szepnął do niej.

- Co?

- Co ja z tobą zrobię? - zapytał łagodnie. - Doprowadzasz mnie do szaleństwa.

- Kochaj się ze mną Ross - powiedziała tak cicho, że nie był pewien, czy dobrze usłyszał.

Ale gdy położyli się na zroszonej trawie, gdy kochała ją w jej prywatnym teatrze, gdy czuł, jak jej ciało instynktownie reaguje na jego dotyk, wiedział, że to właśnie usłyszał. Wiedział, że go pragnęła.

## Rozdział 30

**P**romienie czerwcowego świtu przeświecały przez bladoniebieskie zasłony sypialni Janet. Jasnożółte, ciepłe światło obudziło ją łagodnie. Janet wstała z łóżka, uważając, żeby nie obudzić Rossa.

Najciszej, jak mogła, włączyła ekspres do kawy w kuchni i na palcach poszła na ganek na tyłach domku. Skuliła się w malowanym, cedrowym fotelu, zamknęła oczy i westchnęła z zadowolenia. Czowała ciepło porannego słońca na twarzy i delikatną oceaniczną bryzę, gładzącą jej ciało okryte skromną, bawełnianą koszulą nocną. Słyszała cichy szepł liści eukaliptusów i poranną pieśń mew.

Dzień był piękny. Odzwierciedlał jej nastrój. Był świeży, czysty, pełen nadziei i obietnic na przyszłość.

Janet westchnęła. Miała szczęście.

- Dzień dobry - powiedział Ross, niosąc dwa kubki gorącej kawy. Miał na sobie tylko spodnie khaki. Uśmiechnął się, podając jej kubek, i usiadł naprzeciwko, opierając się o balustradę ganku.

- Dzień dobry. Dziękuję. Nie chciałam cię obudzić.

- Dzień jest zbyt piękny, żebym go marnował w łóżku. Oczywiście sam. Co będziemy robić w tak cudowny poranek? - zapytał Ross, patrząc



na szmaragdowozielone wzgórza i szafirowy ocean. Nie patrzył jej w oczy, gdy zadawał to pytanie.

Była sobota, jedenastego czerwca. Oboje wiedzieli, że to szczególna data. Piękny dzień na wesele.

Janet nie odpowiedziała.

- Może zrobimy sobie piknik na plaży i pójdziemy na długi spacer? - zapytał Ross.

- Może zjemy wczesny lunch na plaży, żebyś zdążył do Atherton na ślub? - zapytała swobodnie Janet.

- Nie idę na ślub - odrzekł Ross. Powiedział jej to sześć tygodni temu. Od tej pory o tym nie rozmawiali.

- Kathleen jest jedną z twoich najbliższych przyjaciółek.

Ross odwrócił się i spojrzał na nią, a potem czule odgarnął jej z oczu złote pasmo. Chciał je widzieć.

- Ty jesteś jedną z moich najbliższych przyjaciółek.

- Ross, nie będzie mi przykro, jeśli pójdiesz. Uważam, że powinieneś. Ja nie mogę.

- Wiem. Ale nie wiem, dlaczego o tym rozmawiamy. Mogę zmienić temat?

- Jasne.

- Wczoraj dzwonił do mnie Arthur.

- Och? Jak się miewa? Wciąż w siódmym niebie z powodu Tony'ego za *Joannę!*

- Z powodu ośmiu statuetek. Wszystkie powinny należeć do ciebie za to, że uratowałaś przedstawienie.

- Ross... - zaczęła, lekko potrząsając głową.

Nie wiedział, dlaczego tak bardzo peszą ją komplementy, mówienie, jaka jest dobra, utalentowana i piękna. Będzie musiała się przyzwyczaić. On nie zamierza przestać jej mówić prawdy.

- Tak czy inaczej, zgadnij, kogo chce Arthur poprosić, o przeniesienie jakiego przedstawienia, dokąd?

- Ciebie, o przeniesienie *Piotrusia Pana* na Broadway. Kiedy?

- Tak, żeby zacząć grać pod koniec września. Tylko że nie chce mnie. Chce ciebie. Chociaż udaje, że zależy mu na nas obojgu.

- Arthur ma na miejscu cudowny talent. W końcu Beth też dostała Tony'ego za *Joannę*.

- Ten Tony również powinien być twój. Zatem - powiedział powoli Ross - co ty na to? Wynajmiemy piękny apartament z widokiem na Central Park i skoczmy na cztery miesiące do Nowego Jorku?

- Nie - odparła po prostu, wciskając się głębiej w fotel, jakby chciała powiedzieć: „Nie wyjadę stąd, nigdy”. - Nie do Nowego Jorku.

- Janet, pijesz kawę z kubka z napisem „Kocham Nowy Jork”.

- Ty mi go przyniosłeś.

- To twój ulubiony kubek!

- To prawda - odrzekła Janet, kiwając głową i śmiejąc się. - Przyznaję, że to mój ulubiony kubek, ale nie chcę się przeprowadzać do Nowego Jorku.

- Dobrze - zgodził się szybko Ross.

- Dobrze? - zapytała Janet zaskoczona. Czyżby nie miał zamiaru naciskać?

- Tak. Powiedziałem Arthurowi, że nie będziesz chciała, ale obiecałem, że zapytam. Poza tym mam dla ciebie lepszy pomysł na jesień.

- Jaki? - zapytała niepewnym głosem.

- Harper i Peterson, autorzy *Joanny*, napisali nowy musical. Dostałem go w tym tygodniu. Nosi tytuł *San Francisco*. Sądzę, że napisali go specjalnie dla ciebie, żebyś występowała tutaj. Chciałbym, żebyś przejrzała scenariusz. Jeśli ci się spodoba, zaczniemy tej jesieni. Jeśli nie, znajdziemy coś innego.

- *San Francisco!* To o gorączce złota albo o trzęsieniu ziemi, albo... - zapytała żarliwie Janet. I tak nie miało to znaczenia.

- Współczesny musical. „Dzieci-kwiaty” i małe koleжки linowe.

- Gdzie scenariusz? - zapytała Janet prawie bez tchu, nie mogąc ukryć ekscytacji.

- Niedaleko.

- Drażnisz się ze mną! - Janet wstała. - Gdzie?

- W bagażniku mojego samochodu. Usiądź. Weźmiemy go na piknik na plaży. Spędzimy cały dzień na czytaniu scenariusza i patrzeniu na fale. Co ty na to?

- Cudownie. Chodźmy.

- Janet. - Ross powiedział to poważnie. Janet usiadła w fotelu i spojrzała na niego.

- Co?

- Co z tą drugą częścią? Powiedziałaś, że nie zgadzasz się na Nowy Jork, ale... - przerwał. Dużo o tym myślał. Chciał tego. Nie wiedział, jak zareaguje Janet. - Może byśmy wynajęli mieszkanie?

Przez miesiące po tym bezkسیężycowym, marcowym wieczorze, gdy kochali się po raz pierwszy na wzgórzach za domkiem, spędzali prawie każdy weekend razem tutaj, u Janet. Ale w tygodniu byli oddzielnie.

Ross codziennie rano pracował w teatrze. *Piotruś Pan* był tylko jedną z jego produkcji.

Janet co wieczór pracowała do późna. Z teatru wychodziła zwykle o północy. Gdy jechała prosto do domu, docierała na miejsce prawie o drugiej. A nie zawsze jechała prosto do domu. Czasami Ross widywał ją wychodzącą z Peterem.

Pewnej środowej nocy Ross zabrał Janet do swojego bajecznego mieszkania, dziesięć minut drogi od teatru. Patrzyli na migocące światła miasta, pili szampana, kochali się i zasnęli objęci, ale rano Janet od razu chciała wyjść, nerwowo chodziła po pokoju jak zwierzę w klatce, nie wiedząc, kim jest i co robi w jego domu o siódmej rano.

Nigdy o tym nie rozmawiali, ale ustalili się pewien porządek. Spędzali dwie noce razem i pięć nocy oddzielnie. Rossowi to nie wystarczało, ale nie wiedział, co czuje Janet. Musiał wiedzieć.

Teraz, w odpowiedzi na jego pytanie, Janet milczała. Patrzyła tylko na niego, odrobinę zakłopotana, trochę zaskoczona, niespokojna i poruszona.

- Myślisz, że ludzie nie powinni mieszkać razem? - zapytał. Moglibyśmy wziąć ślub, pomyślał. Ale na to było jeszcze o wiele za wcześnie.

- Nie. Sądzę, że to dobry pomysł - rzekła szczerze.

- Ogólnie czy dla nas?

- Ogólnie - powiedziała, ale po chwili uśmiechnęła się chytrze i dodała: - Może dla nas.

- Moglibyśmy spędzać noce w tygodniu w mieście, u mnie. Gdybyś przeniosła trochę swoich rzeczy i zadomowiła się, byłoby ci tam dobrze. A weekendy spędzalibyśmy tutaj. Między produkcjami mielibyśmy więcej czasu. Moglibyśmy tu zostać na cały sierpień.

- Brownowie zamierzają sprzedać całą posiadłość - powiedziała nagle, przypominając sobie niepokojącą nowinę, o której dowiedziała się poprzedniego dnia. Westchnęła. - Może i tak będę musiała szukać nowego domu. Jestem pewna, że sprzedadzą majątek bardzo szybko, nawet jeśli cena wywoławcza będzie ogromna, bo to świetne miejsce na budowę osiedla. Nie będę chciała się stąd wyprowadzać.

- Znajdziemy ci nowy dom. Duży i na rozległym terenie. Będziemy mogli pracować nad scenariuszem, siedząc nad morzem. W domu zmieści się fortepian, twoje sukienki, moje ubrania, twoje książki, moje książki, twoje płyty i moje płyty. Ten domek jest przytulny, ale potwornie mały.

Ross celowo mówił o wielkości domu. Dawał jej czas do namysłu. Po jej poważnych, szarych oczach widział, że zastanawia się nad jego pytaniem, rozważa je ostrożnie, uważnie.

W końcu sięgnęła ręką do jego twarzy, delikatnie rozczesywała jego potargane, jasnoblond włosy, dotykała kącików jego oczu i ust.

- Czasami - powiedziała - gniewasz się na mnie, irytujesz. Nie zawsze wiem, dlaczego.

- Bo czasami zamykasz się w sobie, robisz się cicha - powiedział poważnie. To go martwiło. Z każdym dniem mniej, ale jednak...

- Ja nie robię się cicha, Ross. Ja jestem cicha.

- Wiem - powiedział, całując jej rękę. - Uczę się tego. Ale czasami otaczasz się murem. Twoje szare oczy stają się zachmurzone, a ty się ukrywasz.

- Może czasami.

Przyciągnął jej głowę do swojej ciepłej, nagiej piersi i tulił ją przez chwilę, delikatnie rozplątując jej nieuczesane, jedwabiste włosy.

- Więc jak myślisz? - szepnął, przytulając ją mocno.

- Myślę, że moglibyśmy spróbować - powiedziała powoli. Ale nagle się odsunęła. Jej oczy rozbliły się. - A Stacy?

- Stacy? Nie widziałem jej od Bożego Narodzenia.

- Och. Dobrze.

- A Peter?

- Peter?

- Przecież wiesz. Twój partner. Facet, z którym wychodzisz z teatru, gdy nie wychodzisz ze mną. Facet, który mówi do ciebie czule słówka na scenie i poza nią. O niego mi chodzi.

- Jesteś zazdrosny? - zapytała ze śmiechem.

- Może.

- Peter to mój przyjaciel. Czasami idziemy na kolację po przedstawieniu, bo umieramy z głodu i chcemy omówić występ. Naprawdę jesteś zazdrosny?

- To nie jest śmieszne.

- Ross - powiedziała, całując go żartobliwie w usta. Potem dodała: - Peter jest gejem.

- Och - powiedział, całując ją całkiem poważnie. - Och.

- Ja, Mark, biorę ciebie, Kathleen...

Stali pod łukiem uplecionym z białych lilii i bladoróżowych róż, patrząc sobie w oczy, trzymając się za ręce i składając sobie przysięgę małżeńską w cudownym, wonnym ogrodzie Klubu Carlton.

Jej lśniące, fiołkowe oczy mówiły mu o wiele więcej, niż mogłaby wyrazić słowami. Jego piwne, kochające oczy odpowiedziały równie wymownie.

Kocham cię, Mark, z całego serca.

- Na dobre i na złe...

Przyrzekam, Kathleen. Tak bardzo cię pragnę.

- ...dopóki nas śmierć nie rozłączy.

Później, gdy witali licznych gości, Mark poczuł, że dłoń Kathleen ściska jego ramię i usłyszał dziwne napięcie w jej pełnym wdzięku, śpiewnym głosie. Położył dłoń na jej dłoni, a ona natychmiast, prawie rozpaczliwie, splotła palce z jego palcami.

Gdy ostatni gość złożył im życzenia, Virginia Jenkins kazała im podejść do pięknego, wielopiętrowego tortu.

- Muszę porozmawiać z żoną na osobności, Virginio - powiedział Mark, żartobliwie, lecz zdecydowanie. - Tylko chwilę.

Mark poprowadził Kathleen przez doskonale utrzymany, szmaragdowozielony trawnik do altanki skrytej za różowofioletowawym żywopłotem kwitnących rododendronów.

- Kochanie? - zapytał, gdy byli już sami, z dala od ludzi.

Z fiołkowych oczu popłynęły łzy. Kathleen nie mogła ich powstrzymać, nie była w stanie dobyć słowa.

- Zaczynasz żałować? - zapytał swobodnie Mark. Wiedział, że nie o to chodzi, ale chciał ją uspokoić.

- Och, nie, Mark, nie - odparła szybko, drżącymi dłońmi dotykając jego twarzy. Spojrzała mu w oczy. - Ja tylko... Ja tylko chcę, żeby twoje życie, nasze życie, było doskonałe. Zawsze. Pragnę tego tak bardzo, że aż mnie to przeraża.

Ja też się boję, pomyślał Mark, obejmując ją i tuląc mocno, ale mój strach jest prawdziwy. Ja już popełniałem błędy. A jeśli...

- Dzięki tobie moje życie już jest doskonałe - szepnęła, całując jej czarne, jedwabiste włosy. - Nie musisz się starać.

- Byłaś na ślubie, Leslie? - zapytała przełożona pielęgniarek w Szpitalu Uniwersyteckim w izbie przyjęć, gdy tylko Leslie przyszła do pracy.

- Nie. Ceremonia miała się zacząć o czwartej. Nie zdążyłabym tutaj na czas - powiedziała, patrząc na swój duży służbowy zegarek i stwierdzając, że jest za kwadrans szósta.

Dyżur Leslie zaczynał się o osiemnastej i trwał do ósmej rano następnego dnia. Lekarze mówili, że to dyżur Lindbergha: długi, samotny, nocny lot.

- Szkoda, że nie mogłaś iść. Tak bardzo przyjaźnisz się z Markiem.

- Miałam pecha - odparła Leslie beznamiętnym tonem. Cieszyła się, że pracuje. Nie miała ochoty iść na to wesele. - Gdzie Dave? Mogę zacząć od razu, a on pójdzie do domu odrobinę wcześniej.

Eryk odebrał telefon po piątym dzwonku.

- Cześć - powiedziała Charlie. - Przeszkadzam?

- Nie. Skaleczyłem się w rękę. Próbuję założyć kolejny bandaż.

Charlie aż się wzdrygnęła, słysząc w jego głosie gniew i frustrację.

- Kolejny? Kiedy się skaleczyłeś?

- Która godzina? Siódma? Skaleczyłem się około pierwszej. Myłem te kryształowe, wysokie kieliszki Saint Louis, z których piliśmy wczoraj wieczorem.

- Sześć godzin temu? I nadal krwawi?

Eryk nie odpowiedział. Patrzył na duże rozcięcie na wewnętrznej stronie dłoni i na krew, płynącą z otwartej rany. Położył świeży opatrunek gazowy, co robił od sześciu godzin, i zacisnął pięść. Krwawienie malało, ale nie ustawało.

- Eryk?

- Jestem tu.

- Chyba musisz iść do szpitala.

- Przystanie.

- Wiem, że nie chcesz - powiedziała Charlie. Zrobiło jej się smutno na myśl, że będzie musiał wejść do szpitala. - Ale może będziesz musiał. Przyjadę do ciebie. Jeśli krwawienie nie ustanie, pojedziemy. Wejdę tam z tobą.

- To nie jest konieczne.

- Chcę z tobą być.

Przyszli do izby przyjęć Szpitala Uniwersyteckiego o ósmej. Pielęgniarka obejrzała dłoń Eryka i natychmiast zaprowadziła go do jednego z gabinetów zabiegowych. Charlie usiadła w poczekalni. Spojrzała na plakaty rozwieszane na szaro-żółtych ścianach. Jeden z nich, wydany przez Amerykański Czerwony Krzyż, był apelem o krew, drugi, z Amerykańskiego Towarzystwa Kardiologicznego, przedstawiał ABC reanimacji, a trzeci, podpisany przez Amerykańskie Towarzystwo Onkologiczne, dotyczył szkodliwości palenia papierosów.

Jakaś dobra dusza, pewnie wbrew szpitalnym zasadom, powiesiła plakat przedstawiający dwa szczeniaki i puszystego kotka, skulone w wiklinowym koszyku.

Charlie przez chwilę oglądała plakaty. Potem przejrzała leżące na stolikach magazyny dla kobiet i pisma sportowe, przewracając stronę po stronie, ale niczego się nie dowiadując. W końcu odłożyła czasopisma, zamknęła oczy i poddała się wspomnieniom.

Musiała pamiętać, bo wiedziała, że Eryk pamięta. To były jego straszliwe, bolesne wspomnienia, ale ona była wtedy przy nim, żeby mu pomóc.

Była przy nim i teraz. Wspomnienia kazały jej znów myśleć o tym niekończącym się, bezsensownym koszmarze. Zaczynały się przed dziesięcioma laty, od wieczornego telefonu Roberta.

- Charlie, tu Robert.
- Robert!
- Eryk cię potrzebuje, Charlie. Proszę, przyjdź do niego.
- Robercie, co się stało?
- Bobby - zaczął mówić przez ściśnięte gardło. Po kilku chwilach dokończył, nienawidząc własnych słów, prawie nie mogąc ich wypowiedzieć. - Bobby nie żyje.
- Nie, Robercie. Nie.
- Proszę, przyjedź, Charlie.

Wszystko zaczęło się od wietrznej ospy o lekkim przebiegu. Bobby nie czuł się bardzo źle. Popularny, dziecięcy wirus tylko odrobinę przyćmił jego zwykłą wesołość i pogodę. Leżał w łóżku, kolorował obrazki, bawił się z Victorią i Erykiem, oglądał telewizję, pił Seven-Up i brał aspirynę dla dzieci, którą Victorią podawała mu na obniżenie temperatury.

Wyglądało to na zwykły przypadek wietrznej ospy. Ale po jakimś czasie Bobby zaczął mieć torsje, był trochę oszołomiony, a czasami rozdrażniony. Szybko, prawie na ich oczach, zapadł w śpiączkę.

- Choroba nazywa się zespół Reye'a - powiedział pediatra. Jego poważny głos był dla nich pierwszą wskazówką na temat rokowań Bobby'ego.

Stali przed pediatrycznym oddziałem intensywnej terapii. Wewnątrz zespół specjalistów czuwał nad ich ukochanym pięcioletkiem. Lekarze dowiedzieli się już z badań laboratoryjnych, że Bobby ma zaburzenia funkcjonowania wątroby, niski poziom cukru i obrzęk mózgu. Od rodziców wiedzieli, że miał wietrzną ospę i podawano mu aspirynę.

- Zespół Reye'a? - zapytał Eryk.
- To nowo odkryty zespół. Zwykle występuje po grypie lub wietrznej ospie. Nie wiemy, co go wywołuje. Choroba atakuje wątrobę i mózg.
- Co z aspiryną? Dlaczego pytaście o aspirynę? - przerwała Victorią. Lekarz miał im powiedzieć, jakie są prognozy. Nie chciała tego słuchać. Wiedziała. Oboje wiedzieli.
- Stwierdzono związek pomiędzy aspiryną wietrzną ospą i zespołem Reye'a. Na razie to tylko obserwacje, niepotwierdzone naukowo - powiedział.

Ale gdy Eryk i Victoria próbowali się jakoś pogodzić z bezsensowną, lecz nieuniknioną śmiercią swojego dziecka, musieli znaleźć winnego. Winą obciążali aspirynę. A Eryk oskarżał Victorie, która ją podawała, o zabicie ich syna.

- Dlaczego dawałaś mu aspirynę, Victorio? - pytał Eryk z gniewem.  
- Zawsze podawałam mu aspirynę, gdy był chory - mówiła błagalnie.

- Gdybyś mu jej nie dała... Nie był aż tak chory.

- Eryk, nie pamiętasz? Nie pamiętasz tego wieczora, gdy mu czytałeś? - pytała rozpaczliwie. - Dotknąłeś jego czoła i kazałeś mi dać mu aspirynę.

- Dałaś mu ją wcześniej. Poprzedniego dnia.

Ich małżeństwo skończyło się, gdy pochowali Bobby'ego. Eryk i Victoria wrócili z pogrzebu oddzielnymi samochodami, każde ze swoimi rodzicami. Nie mogli oplakiwać syna razem. Mieli w sobie zbyt wiele gniewu, zbyt dużo mówili o winie. Brakowało im miłości, żeby pomóc sobie nawzajem. Kochali tylko dziecko. Tylko dzięki Bobby'emu byli razem.

Bez Bobby'ego nie mieli nic. Tylko ból, gniew i nienawiść.

Charlie przyjechała do rodzinnego domu Eryka trzy godziny po pogrzebie. Nie widziała go od pięciu i pół roku, od dnia, gdy przyjęto ją na prawo, dwa dni po jego ślubie z Victorią. Prawie nie rozpoznała chudego, smutnego mężczyzny z podkrążonymi bladoniebieskimi oczami bez życia, niestrzyżonymi od miesiąca włosami i z twarzą, na której malowała się głęboka rozpacz. Bobby żył jeszcze pięć tygodni. Eryk spędził z nim każdą chwilę.

Charlie bez słowa ominęła Roberta, Florence i June. Objęła Eryka i tuliła go, gdy płakał.

Nikt inny nie mógł go dotknąć, próbować go pocieszać. Nawet Robert.

Przez te wszystkie tygodnie Eryk nie uronił ani jednej łzy. Zaczął płakać, gdy przytuliła go Charlie.

Wzięła urlop. Przez następne tygodnie słuchała opowieści Eryka o jego synku. Nauczyła się kochać chłopca, którego nie znała. Oplakiwała go za Eryka i z Erykiem.

Chodzili na długie spacery. Przytulali się. Spędzali razem całe dnie, nic nie mówiąc, a czasami rozmawiali do rana. Mieszkali w domu Roberta i Florence, w oddzielnych sypialniach. Robert i Florence zostawili ich samych.

Po dwóch miesiącach Eryk powiedział:



- Charlie, masz własne życie.  
- Ty też - zauważyła łagodnie. Potem zapytała, zastanawiając się, czy usłyszysz odpowiedź: - Co zamierzasz?

- Przenieść InterLand do San Francisco - odpowiedział Eryk. Właśnie podjął decyzję. - Mamy tam biuro. Zrobię z niego siedzibę firmy. Chcesz tam pracować?

- Nie, dziękuję - odparła po chwili wahania. I dodała zdecydowanie: - Mam pracę w Bostonie.

- Wciąż? - zapytał. Wziął ją za rękę i spojrzał jej w oczy. - Nie przeszedłbym tego bez ciebie. Jeszcze nie przeszedłem. Ale jest coraz lepiej. Dam radę.

- Wiem, Eryk. - Mam nadzieję.

Dwa lata później, pod naciskiem Eryka i dlatego, że była gotowa na zmianę pracy i otoczenia, Charlie przeprowadziła się do San Francisco. Została głównym radcą prawnym InterLandu, była niezbędna dla firmy i jej prezesa.

Charlie i Eryk kochali się po raz pierwszy sześć miesięcy po jej przyjeździe do San Francisco. Charlie wreszcie doświadczyła ostatecznej bliskości z mężczyzną którego przed laty tak bardzo kochała. Ich miłość była wrażliwa i intensywna, leniwa i burzliwa, ostrożna i pełna troski.

Ale nie była to gorąca, nieograniczona namiętność mężczyzny i kobiety, zakochanych i pełnych nadziei na miłość. Eryk i Charlie już nie byli w sobie zakochani. Zbyt wiele się stało.

Nie byli zakochani, ale się kochali. Głęboko. Ich miłość stawała się coraz silniejsza z biegiem lat, gdy Charlie pracowała obok niego, gdy się śmiali, rozmawiali, drażnili i kłócili. Kochali się często i podróżowali razem, kiedy tylko mogli. Doskonale się znali. Bardzo im na sobie zależało.

Czasami jakiś uśmiech, dotknięcie czy pocałunek przywoływał magię ich dawnej miłości, która pojawiała się nagle, jak ciepły, zaskakujący, oszałamiający wybuch. Przypominali sobie na chwilę o cudzie tej miłości i o ogromnej radości, którą kiedyś dzielili...

Charlie westchnęła, otwierając oczy i mrużąc je w jasnym świetle poczekalni izby przyjęć.

Miała nadzieję, że nie będzie mu zbyt trudno. Jej najlepszemu przyjacielowi. Jej cudownemu kochankowi. Jej najdroższemu Erykowi.

Ale wiedziała, że będzie cierpiał.

## Rozdział 31

Leslie, facet w jedynce ma paskudnie skaleczoną rękę - stwierdziła pielęgniarka, wychodząc z sali po zbadaniu parametrów życiowych Eryka. - Założyłam mu opaskę uciskową na przedramię. Ma krwotok tętniczy.

- Myślisz, że to sprawa ortopedyczna?
- Trzeba zatamować krwawienie. Mówi, że ma czucie w palcach.
- Dobrze. Obejrzę go. Zlecisz prześwietlenie i wezwiesz ortopedę?

Zanim oddzwoni, będę wiedziała, czy go potrzebuję. Pewnie tak. Jak się nazywa pacjent?

- Chyba Lansdale. Jeszcze przygotowują jego kartę. Przyprowadziłam go tu od razu.

Leslie weszła do sali numer jeden i spojrzała na mężczyznę na leżance. Początkowo nie zauważył jej obecności. Leżał nieruchomo, z zamkniętymi oczami.

Boli go?, zastanawiała się Leslie. Jest w szoku? Nie, parametry życiowe są w porządku. Mimo opalenizny widziała, że policzki ma różowe, nie białe.

- Pan Lansdale?

Oczy się otworzyły. Jasnoniebieskie, oszołomione oczy.

- Przepraszam, że pana przestraszyłam. Jestem Leslie Adams, lekarz dyżurny. Co się stało?

- Wysoki kryształowy kieliszek. Myłem go.

- Och. Niech spojrzę - powiedziała Leslie, siadając na taborecie obok niego. Ostrożnie zdjęła sterylny gazik nasączony roztworem soli fizjologicznej, który pielęgniarka położyła na ranie.

Rana była długa, prosta i głęboka. Wyglądała prawie jak cięcie chirurgiczne. Szkło mogło to zrobić. Mężczyzna prawdopodobnie chwycił już stłuczony kieliszek i wbił sobie ostrą jak brzytwa krawędź w dłoń.

Rana nie krwawiła. Opaska uciskowa na przedramieniu zatrzymała dopływ krwi. Patrząc na ranę, Leslie sięgnęła do opaski i powoli ją zwolniła. Błada dłoń się zaróżowiła. Zaczęła się sączyć krew. W jednym końcu rany Leslie zauważyła rytmiczny ruch pod warstwą krwi, powodujący zaburzenie na powierzchni, jak woda, która zaraz się zagotuje. To był niewielki krwotok tętniczy. Trzeba będzie zacisnąć naczynie krwionośne, ale wcześniej znieczulić dłoń i oczyścić ranę.

Leslie zacisnęła opaskę. Krwawienie ustało.

- Jak dawno się pan skaleczył?

- O pierwszej.

- Siedem i pół godziny temu? - Badając ranę, obserwowała też pacjenta. Mimo rezerwy, wydawał się panować nad sobą. Rządził, chociaż jego dłoń krwawiła, a on nie mógł tego opanować. Był doskonale ubrany, uprzejmy, przystojny.

Nie wyglądał na kogoś, kto pozwoliłby, by jego ręka krwawiła przez siedem i pół godziny. Nie wyglądał na odurzonego narkotykami. Był tylko zaprzątnięty własnymi myślami.

- Czy od siedmiu i pół godziny krwawi tak samo? - powtórzyła pytanie Leslie.

- Fałami.

- Trzeba zbadać krew. Mógł pan jej dużo stracić.

- Czy to konieczne?

- Tak - rzekła stanowczo. Musiała panować nad sytuacją. - Najpierw sprawdzę czucie w dłoni i w palcach. Jeśli wszystko będzie w porządku, założę blokadę w nadgarstku, żeby znieczulić dłoń. Wtedy oczyścimy ranę - trzeba to zrobić bardzo dokładnie, bo była otwarta przez wiele godzin - i zaszycemy.

- Żadnego znieczulenia - przerwał Eryk. Nie myślał: „Ślikt nie znieczulał Bobby'ego przed wbijaniem igieł i rurek w jego małe, chore ciało”. Wcale nie myślał. Tylko czuł. Bolesne, puste uczucie z głębi duszy kazało mu powtórzyć, silniejszym głosem: - Żadnego znieczulenia.

- Och! Jest pan uczulony?

- Nie.

Leslie spojrzała mu w oczy i postanowiła nie nalegać. Pacjenci z niewielkimi obrażeniami, chwalcący się, że są odporni na ból, albo tacy, którzy pogrążali się w autohipnozie, czasami odmawiali znieczulenia.

Ale ta rana wcale nie była mała. Musiała mu sprawić ogromny ból. Konieczne czyszczenie będzie bolesne. Utrudni jej to zadanie, bo nawet jeśli pacjent nie będzie się skarżył, ona będzie wiedziała, że cierpi przez nią.

Leslie się nie upierała. Wyczytała w jego oczach, że nie wygra.

Do pokoju weszła kobieta w stroju chirurgicznym i białym fartuchu.

- Co masz, Les? - zapytała krótko, miło kiwając głową do Eryka.

- Cześć, Sue. Nie wiedziałam, że przyjdzie sama szefowa. Panie Lansdale, to doktor Susan Miller, ordynator ortopedii. Chcę, żeby obejrzała rozcięcie, bo jest bardzo głębokie.

Eryk w milczeniu kiwnął głową. Specjalistka. Poznał wielu specjalistów. Żaden z nich nie zdołał pomóc jego synowi.

- Pan skaleczył się kryształowym kieliszkiem. Siedem i pół godziny temu. Czucie i funkcje motoryczne w porządku. Krwotok z tętnicy,

którą trzeba podwiązać, i lekkie uszkodzenie ścięgna. Nie jest przecięte, ale może trzeba będzie szyć.

Susan i Leslie razem oczyściły i obejrzały skaleczenie. Susan nie wiedziała, że dłoń Eryka nie została znieczulona. Sięgała głęboko w ranę, szukając odłamków szkła i innych obcych ciał, badając, jak bardzo uszkodzone jest ścięgno. Było to konieczne. Eryk nawet nie drgnął.

Susan podwiązała przeciętą tętnicę i założyła dwa szwy na ścięgno. Potem wyszła, żeby dołączyć do reszty zespołu w sali operacyjnej, gdzie przeprowadzano zabieg włożenia stalowej śruby w biodro pacjenta ze skomplikowanym złamaniem kości biodrowej.

- Profilaktycznie podałabym antybiotyk, Les. Oczywiście nic się nie dzieje, ale rana jest głęboka i stara - powiedziała przed wyjściem, zdejmując maskę i zakrwawione rękawiczki.

- Zgadzam się. Cefalosporynę?

- Może być. Życzę zdrowia, panie Lansdale. Pa, Leslie.

- Dziękuję, Sue - powiedziała Leslie, siadając na taborecie, z którego wstała Susan. Leslie włożyła nową parę sterylnych rękawiczek, żeby zaszyć ranę. Złożenie brzegów rany, szew po szwie, trochę potrwa. Wybierając odpowiednie nici chirurgiczne, pęsetę do trzymania igły i kleszyczki, powiedziała do Eryka:

- Jest wyśmienitym chirurgiem-ortopedą.

Eryk kiwnął głową.

- Zrobić znieczulenie miejscowe przed zamknięciem rany?

- Nie - odrzekł szybko Eryk. Potem dodał, patrząc w zatroskane, niebieskie oczy patrzące na niego znad niebieskiej maski chirurgicznej:

- Dziękuję.

Zamknięcie rany zajęło Leslie pół godziny. Skóra dobrze się schodziła. Jeśli wszystko wyleczy się bez infekcji, blizna będzie, po jakimś czasie, cienką białą linią.

Przez trzydzieści minut żadne z nich nie odezwało się ani słowem. Leslie skoncentrowała się na szyciu, a on również był skupiony, co zauważała, gdy odwracała wzrok od rany, żeby wziąć nici albo sięgnąć po sterylny gazik do oczyszczenia pola. Nie skupiał się na niej, nie na ranie, nie na bólu, lecz na czymś zupełnie innym. Był myślami gdzieś daleko.

Zwykle pacjenci dużo mówili, gdy szyto ich rany. Strach, z którym wchodzili na izbę przyjęć, ustępował, gdy zaczynało działać znieczulenie. Z ulgi stawali się euforyczni, radośni, rozmowni.

Lekka rozmowa, która zwykle towarzyszyła szyciu, uprzyjemniała zabieg Leslie i pacjentom. Rozluźniała napięcie i odwracała uwagę od intymności tego, co się działo. Intymności dotyku. Inwazyjnej intymności wbijania igły i przeciągania nici przez ciało.

Ale z panem Lansdale nie można było prowadzić lekkiej rozmowy. Leslie wiedziała, że pacjent czuje każdy dotyk. Wiedziała, że czuje jej ciepłe dłonie, ostrość igły, przepychanej przez skórę, i ciągnięcie nici, spinającej poszarpane krańce rany.

Przepraszam, myślała Leslie za każdym razem, gdy wbijała igłę. Przepraszam, że sprawiam ci ból.

Wreszcie skończyła. Z ulgą odłożyła narzędzia, zdjęła rękawiczki i maskę.

- Gotowe - powiedziała, zaskakując go.

- Świetnie - rzekł obojętnie, nawet nie patrząc na ranę. Nie pytał, jak większość pacjentów, którzy chcieli się pochwalić przyjacielom, ile założyła szwów. Nie mówił żartobliwie, jak większość pacjentów, że jest świetną szwaczką.

Powinien popatrzeć, pomyślała Leslie. To jedno z moich najlepszych szwów.

- Zaraz przyjdzie pielęgniarka i zabandażuje panu dłoń, a ja zapiszę, co robić, i przyniosę antybiotyki - powiedziała, wychodząc z pomieszczenia.

Gdy wróciła po pięciu minutach, Eryk siedział na krześle, z zabandażowaną ręką spoczywającą spokojnie na kolanie. Gdy weszła, uśmiechnął się do niej uprzejmie.

Zawsze ją dziwiło, jak bardzo zmieniają się ludzie, gdy wstaną z noszy. Patrząc na jego profil, gdy leżał, Leslie uznała, że jest przystojny. Teraz zobaczyła go w całej okazałości: jasnoniebieskie oczy w arystokratycznej twarzy i ciało, z którego emanowała siła i potęga.

- Napisałam panu, jak postępować - powiedziała z nagłym zakłopotaniem, przypominając sobie, że dotykała tego człowieka, wbijała mu igłę w skórę, pytała go, dlaczego tak późno przyszedł do szpitala. Ciągnęła z wysiłkiem: - Ktoś powinien obejrzeć ranę za cztery dni, w razie problemów wcześniej, żeby sprawdzić, czy dobrze się goi. Może to zrobić pański lekarz domowy.

- Nie mam takiego.

- Zapraszam więc tutaj. Proszę wpaść, kiedy będzie panu odpowiadało. Może pana zbadać każdy lekarz.

- Czy nie byłoby lepiej, gdybym przyszedł podczas pani dyżuru?

Oczywiście, że byłoby lepiej. Leslie zawsze próbowała umawiać pacjentów na kontrolę podczas swojego dyżuru. Było to lepsze, bo znała wszystkie szczegóły. Dlaczego jego traktowała inaczej? Dlaczego zachęcała go, żeby przyszedł do innego lekarza?

- Tak - szepnęła.

- O której więc będzie tu pani za cztery dni?
- Tak jak dziś. Od osiemnastej do ósmej rano.
- O której najlepiej przyjść?
- Trudno przewidzieć. Jeśli będziemy zajęci... Jeśli przywiozą kogoś w stanie krytycznym... Może trzeba będzie poczekać - powiedziała, patrząc na niego i myśląc, że nie jest człowiekiem przyzwyczajonym do czekania.

Nie wyglądał na niezadowolonego z perspektywy czekania, ale Leslie wiedziała już co nieco o jego manierach i opanowaniu.

- Czy środa o siedemnastej czterdzieści pięć będzie panu odpowiadać? - zapytała.

- Oczywiście. Ale pani jeszcze nie będzie - powiedział Eryk.

- Będę. Zawsze przychodzę wcześniej. Zbadam pana tuż przed rozpoczęciem dyżuru. - Żebyś nie musiał czekać. Żebym nie musiała się martwić, że każę ci czekać.

- To miło z pani strony.

- Nie ma o czym mówić.

Leslie nie patrzyła, jak szedł korytarzem w stronę poczekalni. Nie widziała pięknej kobiety o długich, jasnych włosach i zatroskanych, piwnych oczach, delikatnie dotykającej jego twarzy. Nie wiedziała, jak się do siebie przytulili na chwilę, zanim wyszli z izby przyjęć.

Leslie nie widziała tego wszystkiego, bo była już w innym pomieszczeniu i rozmawiała z młodą kobietą z zapaleniem dróg moczowych.

Cztery godziny później, w niedzielę o wpół do drugiej nad ranem, w izbie przyjęć wreszcie ucichło. Leslie zbadała wszystkich pacjentów. Wszyscy wrócili do domów - z wypędlowanymi gardłami, nastawionymi złamaniami, z receptami na środki przeciwzapalne, z opatrzonymi otarciami naskórka i z zamkniętymi ranami - albo zostali przyjęci do szpitala.

Siedziała w recepcji przy wejściu do izby przyjęć za stołem kart, w których miała opisać dzisiejsze wizyty.

Siedziała przy biurku tuż przy wejściu, więc natychmiast dowiedziałyby się o przybyciu nowych pacjentów.

Zadzwonił telefon alarmowy. Była to linia bezpośrednia, z której korzystały tylko ambulanse i jednostki medyczne. Odebrała pielęgniarka i słuchała przez chwilę, gdy Leslie patrzyła na nią z zaciekawieniem. Potrząsnęła głową i na kartce papieru napisała: OP.

Oddział położniczy. To nie była pacjentka do izby przyjęć. Tutaj odbierano telefony ze wszystkich ambulansów, przyjeżdżających do szpitala,

nawet jeśli pacjent miał iść od razu na oddział. Karetki podjeżdżały zawsze pod wejście do izby przyjęć, niezależnie od tego, dokąd miał się udać pacjent.

Zawiadomiwszy oddział położniczy, pielęgniarka powiedziała:

- Zaraz urodzi się bliźniętko.
- Bliźnięta? To dobrze, czy źle? - zapytała z roztargnieniem Leslie.
- Ani tak, ani tak. To po prostu świadczy o charakterze. Może mieć znaczenie, gdy dziecko zacznie wchodzić w relacje ze społeczeństwem.
- Naprawdę w to wierzysz? - zapytała Leslie z lekkim zaciekawieniem.
- Nie do przesady, ale sądzę, że to ciekawe. Przecież mówi się o chemii między ludźmi. To równie mistyczne, jak astrologia!

Leslie się zaśmiała.

- Jestem spod Panny, co to oznacza?
- Że jesteś silną perfekcjonistką. Krytyczną wobec innych, ale głównie wymagającą wiele od siebie.
- To brzmi potwornie - rzekła poważnie Leslie. To brzmi tak porządnie. To samo Mark powiedział tego wieczora w Cliff House. - Do kogo pasuję? Jeśli do kogokolwiek?
- Do kogoś jeszcze silniejszego. Na przykład do Skorpiona. Są bardzo silne. Potężne - powiedziała. - Potrzebujesz kogoś takiego.

Mark też to mówił, pomyślała Leslie, wracając do stosu niewypełnionych kart.

Karetka przyjechała pięć minut później. Kierowcy pomachali Leslie i pielęgniarce, wioząc w kierunku windy kobietę w ciąży, leżącą na noszach.

Dziesięć minut później automatyczne, rozsuwane drzwi do izby przyjęć otworzyły się znowu. Słyszac hałas, Leslie podniosła wzrok.

- James! - wykrzyknęła.
- Leslie - wydyszał.
- Co...
- Lynne zaraz urodzi. Powinni byli ją przed chwilą przywieźć.
- Przywieźli. Pewnie jest już na oddziale. Pokażę ci drogę - powiedziała Leslie, patrząc na niego. Serce biło jej jak oszalałe, a umysł lekarza zastanawiał się, co Lynne robi w Szpitalu Uniwersyteckim. Był to najlepszy szpital, specjalizujący się w leczeniu powikłań ciąży.

Jej niepokój wzrósł, gdy przyjrzała się uważniej Jamesowi. W jego dotąd nieustraszonych, zielonych oczach dostrzegła lęk.

- Co się stało, James? - zapytała, gdy szli w stronę wind.
- Nie wiadomo. Do dziś czuła się dobrze. Nagle poczuła okropny, rozdzierający ból i zaczęło się krwawienie. Lekarze przypuszczają, że

odkleiła się część łożyska. Przenoszą ją tutaj, żeby monitorować dziecko. Sądzą że będą musieli zrobić cesarskie cięcie.

Leslie kiwnęła głową. Lynne miała prawdopodobnie odklejenie łożyska. Mogło się to wiązać z bliznami na macicy, przez które, jak mówił James, nie mogła zająć w ciążę.

James. Lynne. Lynne nosząca w sobie dziecko Jamesa. James niemal oszalał z przerażenia.

Leslie poszła z nim do windy, którą miał pojechać na oddział położniczy.

- Będę tu całą noc, James - powiedziała. - Gdybyś mnie potrzebował.

Gdy po dwóch godzinach James wrócił na izbę przyjęć, Leslie skończyła żmudne uzupełnianie kart pacjentów. Kiedyś, osiem miesięcy temu, mogłaby mu pokazać rysunek dłoni E.R. Lansdale'a, a James śmiałby się ze szkicu, z grubych paluchów i fatalnych proporcji.

Ale dziś jest inaczej, pomyślała Leslie, patrząc na jego wyczerpaną, zatroskaną twarz. Przynajmniej jego oczy były teraz mniej przestraszone.

- Jak ona się czuje?

- Śpi. Podali jej środki nasenne i lekarstwa, mające opóźnić poród. Lekarze obserwują małą. Mówią że wszystko jest w porządku.

- Mała?

- Albo mały. Myślmy, że to córka - powiedział James. Mimo zmęczenia i niepokoju w jego głosie pobrzmiwały wzruszenie i duma.

- Jakie sąplany? - zapytała ostrożnie Leslie. Wiedziała, że jeśli Lynne ma częściowe odklejenie łożyska, to odklejanie kolejnych fragmentów jest tylko kwestią czasu. A jeśli lekarze nie zdążą dość szybko interweniować, dziecko może umrzeć z powodu braku natlenionej krwi. Lynne może się wykrwawić. Na co oni czekają?

- Utrzymają ją w stanie stabilnym przez noc i rano zrobią cesarskie cięcie. Jeśli będzie jakiś problem, zrobią to wcześniej.

Jest stabilna, pomyślała Leslie. Po co czekać, aż sprawa zrobi się pilna? Znała ginekologów w Szpitalu Uniwersyteckim. Nie czekali z koniecznymi zabiegami na luksus taki jak światło dzienne czy wypoczęty zespół. Operowali, gdy było to konieczne. Gdy czuli zmęczenie, pomagała im adrenalina i umiejętności.

Czegoś tu brakowało. James o tym nie wiedział.

- Powinieneś trochę odpocząć - powiedziała Leslie, omal nie sięgając do jego twarzy, żeby odsunąć pasmo czarnych włosów opadających na oczy.



- Odpocznę. Chciałem tylko ci powiedzieć, co się dzieje. Na górze jest poczekalnia pełna przyszyłych ojców.

- Pięć minut drogi stąd jest puste mieszkanie - powiedziała Leslie, zdejmując z kółka klucz do swojego mieszkania. - Lynne śpi, nabiera sił. Powinieneś zrobić to samo. Podaj mój numer telefonu pielęgniarkom z porodówki - nie rozpoznają go.

- Kiedy wrócisz do domu? - zapytał, biorąc klucz. Zastanawiał się, co zrobiła z jego kluczem.

- O ósmej piętnaście. Będziesz musiał mnie wpuścić.

- Dobrze - powiedział, uśmiechając się słabo, opierając się potrzebie dotknięcia jej zarumienionego policzka. - Dziękuję.

Po wyjściu Jamesa Leslie zadzwoniła na oddział położniczy.

- Cześć, tu Leslie Adams. Który lekarz zajmuje się Lynne Stevenson? - zapytała. Nie powinnam tego robić, myślała, czekając.

- Michael Leary.

Leslie się zawahała. Michael Leary. Jeden z najlepszych ginekologów w szpitalu. I przystojny. Był pierwszym mężczyzną, z którym umawiała się po odejściu Jamesa, w innym czasie mógłby dla niej bardzo wiele znaczyć. Ale wtedy, w grudniu i w styczniu, Leslie wiedziała tylko, że Michael Leary nie jest Jamesem. Jej związek z Michałem skończył się niezręcznie. Leslie nie wyjaśniła mu do końca, o co chodziło.

- Jest gdzieś w pobliżu? - zapytała w końcu.

- Obok mnie. Michael, Leslie Adams na drugiej linii.

- Leslie - powiedział Michael.

- Cześć.

- Cześć.

- Michael, nie chcę cię prosić o żadne informacje, bo nie mam zgody pacjentki, ale... - Leslie się zawahała. Nie miała prawa pytać o stan Lynne. James mógł jej wszystko mówić, ale Michael nie, bo Leslie nie była medycznie zaangażowana w przypadek.

- Co, Leslie?

- Mąż Lynne Stevenson to mój stary znajomy. Jest bardzo zdenerwowany, a ja nie wiem, czy naprawdę rozumie, jak poważna jest sytuacja. Może wcale nie dzieje się nic groźnego. Ja tylko zgaduję, z tego, co mi powiedział. W każdym razie gdyby coś jej się stało, gdyby James potrzebował pomocy, zadzwonisz do mnie?

- Jasne, Leslie. Dziękuję za wiadomość - rzekł Michael. Zawahał się na chwilę, wziął głęboki wdech i zaczął: - Leslie, skoro dzwonisz, chciałbym ci opowiedzieć o jednej z pacjentek. Chcę, żebyś wiedziała, na wypadek, gdyby coś się stało. Mogę potrzebować twojej pomocy.

- Dobrze - powiedziała Leslie.

Gdy Michael mówił, Leslie zorientowała się, że opowiada jej o Lynne, angażując ją medycznie, żeby wiedziała, jak poważna jest sprawa. Żeby mogła pomóc Jamesowi. Albo Lynne.

- To bomba zegarowa, Leslie, ale nie mogę jej operować, dopóki nie będę miał krwi. Już ma anemię. W banku krwi nie mogą dobrać grupy. Tak czy inaczej brakuje tam krwi. Nie nadrobili zapasów po długim weekendzie po Dniu Pamięci. Nikt nie oddaje krwi z powodu AIDS.

- Nie oddaje? To nie ma sensu.

- Wiem. Ale ludzie boją się zarażenia AIDS przez oddawanie krwi tak samo, jak przez przyjmowanie. Nie robię transfuzji nikomu, kto naprawdę jej nie potrzebuje. Nie wiem, czy pacjentka, o której mówię, będzie potrzebowała transfuzji, ale nie mogę zacząć operacji, nie mając krwi, bo jeśli zacznie się krwotok, możemy go nie zatamować. W dodatku ma lekkie zaburzenia krzepliwości. Hematolodzy próbują dociec, co to jest.

Leslie wiedziała już wszystko. Czekali, bo musieli. Czekali na krew, na wypadek gdyby jej potrzebowali, i starali się wymyślić sposób na powstrzymanie krwawienia, gdyby się znów zaczęło.

- Co z dzieckiem?

- Na razie wszystko w porządku. Ale to też może się szybko zmienić.

- Zawiadom mnie, gdybyś potrzebował pomocy.

- Dziękuję, Leslie. Zrobię tak.

Kwadrans po ósmej, gdy Leslie przyszła do swojego mieszkania, James był już wykąpany i ubrany. Leslie widziała, że nie spał dużo.

- Dzwonili właśnie ze szpitala - powiedział. - Będą operować o wpół do dziesiątej. Chyba czekali na krew i przeprowadzali jakieś skomplikowane badania krzepliwości.

Dobrze, pomyślała Leslie, Michael mówi mu więcej. To dobrze. James da sobie radę. Musi być przygotowany.

- Powiedzieli, że mogę z nią być od dziewiątej do dziewiątej trzydzieści. Ale - powiedział James zmartwionym głosem - nie pozwolą mi wejść do sali operacyjnej. Planowaliśmy, że będę obecny podczas porodu. Myślałem, że wpuszczają ojców na salę, nawet, jeśli to cesarskie cięcie.

Prawdopodobnie, James, pomyślała ponuro Leslie. Ale nie w tym przypadku. Nie, gdy może być jatka. Nie chcę, żebyś patrzył na śmierć swojej żony i dziecka. Och, James!

- Powiedzieli, że może będą musieli zrobić histerektomię - ciągnął. - Powiedzieli, że tkanka może krwawić tak bardzo, że będą musieli usunąć macicę.

- To chyba nie ma znaczenia, prawda? - zapytała Leslie łagodnie. Jeśli jedyną ofiarą operacji okaże się macica Lynne, będą mieli szczęście.

- Nie. Chyba nie. Sam nie wiem. Chcę, żeby się to skończyło. Żeby Lynne i dziecko byli bezpieczni - powiedział ze wzruszeniem James.

On wie, pomyślała Leslie, pragnąc go przytulić. Wie.

- Pójdę już - powiedział James.

- Czy... - zaczęła Leslie i przerwała. Omal nie zapytała „Chcesz, żebym poszła z tobą?” - Zadzwońisz do mnie? Zawiadomisz mnie?

- Tak.

Po wyjściu Jamesa Leslie wzięła prysznic i położyła się. Do łóżka, w którym spał James. Do łóżka, w którym spała z Jamesem. Usnęła, myśląc o nim, modląc się o niego, Lynne i ich dziecko.

We śnie słyszała wycie syreny ambulansu wiozącego umierającą matkę i jej dziecko do szpitala. Ale z koszmaru wyrwał Leslie inny dźwięk. Ciągłe, rytmiczne dzwonienie.

To nie była syrena. Dzwonił telefon.

Leslie spojrzała na zegarek przy łóżku. Dwunasta trzydzieści. Było jasno. Pół godziny po południu. Spała trzy godziny. Za pięć i pół godziny musi wrócić do pracy. Kto może dzwonić? Dlaczego nie wyłączyła telefonu, jak zwykle?

Mgła jej głębokiego, złego snu nagle się rozviała. Leslie wszystko sobie przypomniała.

James.

- Halo?

- Leslie? - Dzwonił James. Jego głos był słaby, pełny emocji.

Och nie, James.

- Tak - powiedziała łagodnie.

Długa cisza.

- Wszystko dobrze - powiedział wreszcie. Rozpierająca go emocja była radością, nie bólem, ale i tak nie mógł mówić.

- Wszystko w porządku? - zapytała Leslie. Jej głos też był słaby z emocji.

- Tak - powtórzył nieco głośniej. - Oboje czują się dobrze.

- Och, James. Dzięki Bogu - szepnęła Leslie. Do oczu napłynęły jej łzy. - Lynne dobrze się czuje?

- Tak. Usunęli jej macicę, żeby powstrzymać krwawienie. Ale nie podali jej krwi - powiedział James z namysłem. Wiedział trochę o AIDS. Leslie opowiadała mu o tym, że Mark odmówił przyjęcia transfuzji. James cieszył się, że nie trzeba było przetaczać krwi Lynne. - Przez jakiś czas będzie miała anemię, ale... Przed chwilą ją widziałem. Dobrze wygląda.

- A dziecko?

- To chłopiec - powiedział James z dumą jeszcze nie całkiem wierząc.

- Chłopiec? James, masz syna - powiedziała cicho Leslie, kuląc się pod kołdrą. - Jak ma na imię?

- Nie wiem. Nie rozmawialiśmy o imieniu dla chłopca - rzekł po woli James. Słowa Leslie wciąż rozbrzmiewały mu echem w głowie. Masz syna. Syna. Myślał o swoim ojcu. Syn Jamesa będzie miał innego ojca. - Chcesz go zobaczyć, Leslie?

- Tak - powiedziała. Nie. Nie wiem. Nie należała do ich życia. Do życia Jamesa, Lynne i ich synka. - Jeśli chcesz.

Leslie spotkała się z Jamesem przed oddziałem noworodków o piątej. Patrzyli przez szybę na chłopczyka, syna Jamesa, kręcącego się energicznie w łóżeczku. Lynne spała. Leslie i tak nie miała jej poznać, ale oznaczało to, że przed dyżurem może iść z Jamesem na kawę do kawiarenki.

- Jest piękny, James - powiedziała.

- Och, mamy już imię. Michael.

- Po Michaelu Leary?

- Uhm.

- To miło. To miły człowiek. To miłe imię. - Miły James.

Pili kawę w milczeniu.

- Prawdopodobnie zaszła w ciążę dzień przed twoimi urodzinami - powiedział.

- Och. - Dlatego źle się czuła.

- Wiedziała o nas od samego początku.

- Och, nie - powiedziała, patrząc w nieszczęśliwe oczy Jamesa.

- Zamierzała mnie porzucić, nie mówić mi o dziecku.

- Jak się dowiedziałeś? Kiedy się dowiedziałeś? Czy to dlatego przestaliśmy się widywać?

James się zawahał. Nie mógł powiedzieć Leslie, że dowiedział się, gdy on i Lynne odgrywali jedną z seksualnych fantazji Lynne.

- Po prostu się dowiedziałem.
- A teraz?
- Teraz - powiedział powoli James - mamy wspianego synka. To była trudna walka, Leslie, ze wszystkich sił staraliśmy się posklejać nasze małżeństwo. Ale się udało. Mamy szczęście.
- Po prostu ogromnie się kochacie - powiedziała Leslie cicho, patrząc na Jamesa, wiedząc, że się nie myli.
- Patrzyli na siebie przez długą chwilę.
- W końcu Leslie zorientowała się, która jest godzina.
- Muszę iść. Chcesz się dziś zatrzymać w moim mieszkaniu?
- Nie. Dziękuję. Pojadę do domu - powiedział łagodnie.
- Do domu. Tam było jego miejsce.

## Rozdział 32

**E**ryk Lansdale czekał już w izbie przyjęć, gdy w środę o wpół do szóstej po południu pojawiła się tam Leslie.

- Witam, panie Lansdale. Przyszedł pan wcześniej.
- Tak jak pani.
- Jak zwykle - powiedziała lekko Leslie. Przyszła wcześniej, żeby pożegnać się z Jamesem. Lynne i Michael mieli zostać wypisani rano. Było to krótkie pożegnanie. Pożegnali się kiedyś. Nie było wiele do powiedzenia. - Jak dłoń?

Leslie usiadła przed nim na taborecie i ostrożnie odwinęła bandaż. Nic nie mówiąc, ścisnęła końce jego palców, badając ich siłę i ciepło, przesunęła palcem po szwie i obejrzała przedramię, szukając objawów infekcji.

- Ból? - zapytała, zastanawiając się, czy by jej odpowiedział.
- Nie. Ani bólu, ani gorączki, ani wycieku z rany. Myślę, że dobrze się goi.
- Ja też - powiedziała, wciąż trzymając jego dużą dłoń w swoich dłoniach, naturalnie, jak trzymałaby dłoń każdego pacjenta. Nagle spojrzała na niego i puściła jego rękę, zakłopotana. To było intymne. Zbyt intymne.
- Dobrze - rzekł, uśmiechając się lekko. - Kiedy trzeba będzie zdjąć szwy?
- Za sześć dni.

- Będzie pani tutaj?

Leslie spojrziała w kieszonkowy kalendarzyk.

- Tak. Będę w dzień. Od ósmej rano do szóstej po południu.

- Przyjdę za piętnaście szosta. Jeśli to pani odpowiada.

- Może być.

Po jego wyjściu jedna z pielęgniarek powiedziała do Leslie:

- Kto to był?

- Pan E.R. Lansdale - odpowiedziała szybko i konkretnie Leslie, wciąż zakłopotana tym, że denerwowała się, badając jego rękę.

- Jest wspaniały! Ciekawe, co robi w życiu. Wygląda na bogatego.

Wygląda na kogoś, pomyślała Leslie, biorąc kartę następnego pacjenta, studenta trzeciego roku medycyny, skarżącego się na ból gardła.

Leslie w ciągu niecałych pięciu minut zdjęła dwadzieścia siedem szwów, które tak starannie założyła na dłoni Eryka Lansdale'a. Rana zagoiła się pięknie.

- Gotowe - powiedziała, gdy skończyła. - Jest pan wolnym człowiekiem.

- A pani jest wolna? - zapytał od niechcenia.

- Co takiego?

- Ma pani wolny wieczór? Dziś, na kolację?

Patrząc na nią, wiedział, że ma czas, że opiera się i ma chęć jednocześnie.

- Zarezerwowałem stolik w Niebieskim Lisie, jednej z moich ulubionych restauracji, na ósmą - ciągnął Eryk, nalegając spokojnie, bo czuł, że Leslie się zastanawia. - Ja jestem już przygotowany. Może pójdę z panią do domu? Zrobię sobie drinka, a pani się przebierze. Dobrze?

Leslie nie pamiętała, żeby wyraziła zgodę, ale dziesięć minut później byli w drodze do jej mieszkania.

- Znalazłaś sobie dobre miejsce - powiedział, parkując zielonego jaguara przed jej domem, dwie minuty po wyjeździe z parkingu przed izbą przyjęć.

- Krótki spacer do Szpitala Uniwersyteckiego. Ale pracuję też w Szpitalu Ogólnym San Francisco i w Szpitalu Weteranów. Założę się, że na tej ulicy nigdy nie parkował jaguar - dodała, chichocząc.

- Co w tym śmiesznego? - zapytał. W jego oczach też pojawiły się wesołe iskierki.

- Nic. Wszystko. To takie dziwne. Nawet cię nie znam - powiedziała. Ale czuję się, jakbym znała cię od zawsze, i mogę się śmiać albo

milczeć, bo przy tobie czuję się cudownie, ale i się boję. Nigdy nie znalazłam tego uczucia, zarazem wesołego i niespokojnego. To takie proste i takie trudne.

- Nie boisz się mnie, prawda?

- Nie! - powiedziała lekko Leslie. Tak. Trochę. Bardzo. Strachem napawa mnie to, jak się przy tobie czuję.

Gdy Leslie brała prysznic i przebierała się, Eryk nalał sobie burbona z lodem. Spojrzał na ładny, oprawiony szkic łąki podpisany James 1971 i usiadł na sofie w niewielkim salonie. Popatrzył na leżący na stole stos pism medycznych, ale nie sięgnął po żadne z nich. Po chwili zauważył grubą książkę, leżącą na stoliku obok niego.

Gdy Leslie wróciła do pokoju, Eryk czytał *Moby Dicka*. Miała na sobie białoróżową suknię koktajlową i sznur pereł. Na jej widok Eryk wstał.

- A ja myślałem, że wyglądasz cudownie w białym fartuchu ze stetoskopem, szpatułkami do gardła i długopisami - powiedział, podziwiając jej zaskakującą urodę.

Leslie się zarumieniała.

- Nieczęsto mam okazję chodzić w cywilnych ubraniach - powiedziała, wzruszając ramionami.

- Szkoda - powiedział Eryk. - Zrobić ci drinka? Mamy jeszcze pół godziny.

- Ja... - zaczęła Leslie i urwała. Chciała powiedzieć, że zwykle nie pije. Była to prawda. Nawet przed zeszłą jesienią nawet przed Jamesem, piła bardzo niewiele. Po alkoholu robiła się senna, a od rozpoczęcia stażu zawsze brakowało jej trochę snu. Ale miała w domu alkohol, żeby proponować drinki rzadko odwiedzającym ją gościom. - Jasne, dziękuję. To, co ty.

- Bourbon z lodem - powiedział, nalewając drinka i podając go jej.

- Dzięki. Czytałeś *Moby Dicka*!

- Przeglądałem tylko, zastanawiając się, czy kiedykolwiek czytałem go naprawdę.

- Ja wiem, że nie. Nie naprawdę. To taka wielka, pięknie napisana książka. Jak poezja. - powiedziała Leslie.

Zeszłego lata, widząc, jak Mark się cieszy - mimo bolesnej rany od kuli, mimo połamanych żeber, mimo słabości spowodowanej anemią - czytając klasykę, Leslie poczuła wyrzuty sumienia. Czytała te wszystkie książki w liceum i na studiach, ale robiła to szybko, z obowiązku, bez radości czy uznania.

Obserwując Marka, zastanawiała się, co straciła. W długie, samotne noce po odejściu Jamesa, gdy zrozumiała, że przez jakiś czas nie ma sensu się z nikim spotykać, odkryła, dlaczego Mark i jej rodzice tak zazdrośnie strzegli godzin spędzanych na czytaniu ukochanych książek.

- Czasami czytam sobie głośno. Proza Melville'a jest bardzo rytmiczna. Jak przyływy i odpływy morza - powiedziała Leslie, czując w sobie ciepło po zbyt dużym łyku burbona.

- *Nazywam się Ismael* - zaczął Eryk, czytając pierwsze zdanie oprawnej w skórę książki.

- Ismaelu - szepnęła cicho Leslie.

- Eryk - przedstawił się, uświadamiając sobie, że do tej pory nazywała go tylko „panem Lansdale”.

- Eryk. Stąd skrót E.

- Nie znałaś mojego imienia?

- Nie. W karcie było napisane tylko E.R. Lansdale.

- Pewnie powiedziała tak koleżanka, która mnie tu przywiozła - powiedział Eryk. Charlie chroniła jego anonimowość. I własną. Leslie nigdy nie słyszała o Eryku Robercie Lansdale'u. Eryk wątpił, żeby miała czas lub chęć, pomiędzy dziennikami medycznymi *aMoby Dickiem*, na lekturę stron towarzyskich lub finansowych „San Francisco Chronicle”.

Przeczytał głośno pierwszy akapit książki. Potem drugi. Leslie skuliła się w swoim ulubionym fotelu naprzeciwko niego, słuchając jego głosu, patrząc na jego oczy i usta, czując ciepło i bezpieczeństwo. Oraz niepokój. Chciała, żeby ta chwila nigdy się nie skończyła.

- To jest cudowne - powiedział Eryk, przeczytawszy jej dwie strony. Spojrzał na nią i przyrzekł sobie: „Przeczytam ci całą tę książkę. Tę i sto innych”.

Nawet cię nie znam, pomyślał. Ale tego jestem pewien.

Tego wieczora dowiedzieli się trochę o swoim życiu. Odkryli, że Eryk skończył Uniwersytet Harvarda sześć lat przed przyjęciem Leslie do Radcliffe. Leslie powiedziała Erykowi, że bardzo ją cieszy to, że jest lekarzem. Eryk powiedział Leslie, że uwielbia budować piękne domy.

Dowiedzieli się trochę o sobie. Ale najwięcej dowiedzieli się o tym, jak to jest, gdy ktoś się w kimś zakochuje.

Tego wieczora dotknęli się tylko raz. Eryk zauważył bliznę na jej dłoni i sięgnął po jej rękę.



- Co się stało? - zapytał, dotykając krawędzi dużej, nieregularnej blizny po ranie od poszarpanych końców żeber Marka.

Leslie opowiedziała mu szybko, zastanawiając się, czy pamięta ją z wiadomości. Gdyby ją widział, pamiętałby. Nie widział.

- Nie jestem przyzwyczajony do takich szwów - powiedział, patrząc na swoją cienką, równą bliznę.

Leslie się uśmiechnęła.

- Nawet nie próbowali zamknąć rany - powiedziała. - Zostałaby zainfekowana. - Gdybyś przyszedł później, twojej też nie moglibyśmy zamknąć, pomyślała. Dlaczego zwlekałeś tak długo, zastanawiała się, ale nie zapytała. Może kiedyś zapyta. Może kiedyś Eryk powie jej, o czym myślał tej nocy, dlaczego odmówił znieczulenia...

Była północ, gdy odprowadził ją pod drzwi mieszkania.

- Kiedy mogę cię znów zobaczyć? - zapytał.

- Kiedy chcesz - odrzekła swobodnie Leslie.

- Jutro mam oficjalną kolację. Może w czwartek?

- Może być.

- To dobrze - powiedział. Potem wziął głęboki wdech i zmarszczył brwi.

- Co się stało?

- Zapomniałem, że pod koniec tygodnia wyjeżdżam. W piątek rano lecę do Tokio i Hongkongu - odparł ponuro.

- To cudownie! - stwierdziła entuzjastycznie Leslie, ale zastanawiała się z niepokojem, jak długo go nie będzie. - Czy to znaczy, że czwartkowy wieczór jest niedobry?

- Nie. To znaczy, że koniecznie muszę się z tobą zobaczyć w czwartkowy wieczór. Naprawdę uważasz, że to cudowne?

- Tak. Nie cieszysz się na ten wyjazd?

- To podróż służbowa. Jeżdżę do tych miast przynajmniej dwa razy do roku - poinformował Eryk. Jak bardzo jestem wypalony?, zastanawiał się. Czy cieszę się czymkolwiek? Przyjemności jego życia - udane transakcje, ciekawy, nowy budynek, miłość z Charlie - wydawały się teraz nieznaczące w porównaniu z tym, jak ważne było spotkanie z Leslie. Cieszył się na czwartkowy wieczór i na swój powrót z wyjazdu. Chyba że... - Mogłabyś polecieć ze mną?

- Do Tokio i Hongkongu? - zapytała z niedowierzaniem Leslie.

- Tak. Na dziesięć dni. Byłoby cudownie.

- Nie mogę. Nawet gdyby zostało mi trochę urlopu, a nie zostało, nie mogłabym wyjechać bez uprzedzenia.

- Bo cię potrzebują? - Ja cię potrzebuję.

- Bo potrzebują nas na wszystkich oddziałach.
  - Będę tu o siódmej w czwartek - powiedział. - Dobranoc, Leslie.
- Nie całowali się. Pocałują się następnym razem. Albo jeszcze następnym. Będą się całować przez całe życie.
- Dobranoc, Eryk.

O dziesiątej następnego ranka ordynator zawiadomił Leslie, że ponieważ innemu lekarzowi właśnie zdiagnozowano zapalenie wątroby, będzie musiała przejść na oddział internistyczny W Szpitalu Ogólnym San Francisco.

- Kto mnie zastąpi tutaj? - zapytała.
- Konsultanci będą się zmieniać.
- Dziś zaczynają nowi stażyści! - wykrzyknęła Leslie, bo dotarło do niej, jak trudne zadanie ją czeka: najciężej chorzy pacjenci i nowi stażyści. - Czy dostanę za to specjalną rekompensatę?
- Nie wystarczy, że cię wybrano, bo jesteś najlepsza?
- To działało w zeszłym roku. Czy nie mogę po prostu zostać R-3, jak wszyscy inni?
- To tylko dziewięć dni.

Dziewięć dni. Zajmie się czymś, gdy nie będzie Eryka. Czas minie szybko.

- Dobrze.
- Dobrze?
- Czyżbym miała wybór? - zapytała ze śmiechem. - Naprawdę wszystko w porządku.

Było w porządku, dopóki nie odkryła, że jej pierwszy dyżur przypada w czwartek. Nie będzie mogła się spotkać z Erykiem przed jego wyjazdem.

Leslie nie znalazła w książce telefonicznej Eryka Lansdale'a ani E. Lansdale'a, ale znalazła InterLand. Eryk wspomniał o firmie InterLand.

Leslie rozmawiała z trzema sekretarkami, zanim w końcu połączono ją z osobistą sekretarką Eryka.

- Tu biuro pana Lansdale'a, czym mogę służyć?
- Leslie Adams do pana Lansdale'a. Czy mogę z nim rozmawiać?
- Przykro mi, pani Adams, jest na spotkaniu. Czy mogę coś przekazać?
- Zastanówmy się. Proszę przekazać, że zostałam przeniesiona do Szpitala Ogólnego San Francisco i w czwartek wieczorem mam dyżur.
- Dobrze. Wiadomość od pani Adams.

- Doktor Adams, ale to nie ma znaczenia. Będzie wiedział.
- Przepraszam, pani doktor.
- Nie ma za co, naprawdę.
- Dziękuję. Czy mam coś jeszcze przekazać?
- Nie. Tak. Proszę powiedzieć: *Sayonara*.

Eryk otrzymał wiadomość od Leslie o trzeciej po południu. Pomogła mu podjąć decyzję, o której myślał cały dzień. Pięć po trzeciej zadzwonił do Roberta do Filadelfii, a o czwartej piętnaście szedł prywatnym korytarzem, łączącym jego gabinet z biurem Charlie.

W wewnętrznej części budynku, w której znajdowały się biura kierownictwa, było miejsce dla trzeciej osoby. Eryk szukał kogoś, z kim on i Charlie mogliby pracować twórczo, wydajnie i bezkonfliktowo. Eryk wreszcie go znalazł. Był to James Stevenson. W połowie lipca ten korytarz połączy biura Eryka, Charlotte i Jamesa. Po miesiącu spędzonym z żoną i synem James nie wróci do swojego gabinetu w firmie O'Keefe, Tucker i Stevenson na ulicy California. Wprowadzi się do biura na czterdziestym piętze budynku InterLand, do gabinetu z widokiem na zatokę San Francisco.

Drzwi do gabinetu Charlie były otwarte. Nie słyszała kroków Eryka, które tłumił gruby, wełniany dywan, ani nie wyczuła natychmiast jego obecności. Była pochłonięta pracą schylona nad dokumentami, leżącymi przed nią na rzeźbionym, dębowym biurku.

Eryk spojrział na nią z uśmiechem. W pracy Charlie była taka poważna! Zawsze tak było, pomyślał, przypominając sobie silną ratowniczkę ze złotymi włosami skrytymi pod za dużym kapeluszem safari. Patrzył teraz na jej złote włosy, spięte w poważny kok. Prawniczka. Bardzo podobnie wyglądała ratowniczka z klubu Oak Brook. Równie poważnie.

- Cześć - odezwał się w końcu.

- Eryk! Cześć - powiedziała, odsuwając od siebie dokumenty. - Cieszę się, że zostawię to na dziesięć dni. To będzie miła odmiana, prawda?

Eryk milczał, zbierając siły, by oprzeć się jej piwnym oczom, teraz ciepłym, promiennym i wyczekującym podróży na Wschód. Podczas wspólnych wyjazdów Eryk i Charlie byli sobie najbliżsi. Wtedy najlepiej udawało im się przywołać magię - ich magię - bycia młodym i zakochanym.

- Mamy cesarski apartament w hotelu Książę Akasaka w Tokio. Trzy sypialnie. Pewnie jedna na każdą noc. A w Hongkongu zatrzymamy się w...

- Nie jadę - rzekł bezbarwnym tonem Eryk.

- Wyjazd odwołany?  
- Nie. Ja nie jadę. Wyjazd jest aktualny. Umówione spotkania są konieczne, zwłaszcza negocjacje w Tokio.  
- Wiem. Dlatego musisz tam być.  
- Ty jesteś moim negocjatorem.  
- Pracujemy razem. Poza tym to jest Wschód. Nikt nie będzie negocjował z kobietą bez eskorty. Tego się nie robi.

- Racja, nawet jeśli wszystko załatwiasz sama, musisz mieć przy sobie mężczyznę. Zatem poprosiłem o pomoc najlepszego mężczyznę w InterLandzie. Nie wspomnę, że jest doskonałym negocjatorem i prawnikiem. Na wypadek, gdybyś potrzebowała pomocy.

- Robert? - zapytała słabym głosem Charlie.

- Tak. Właśnie z nim rozmawiałem. Przyleci jutro, więc możecie wyjechać zgodnie z planem, w piątek. Robert wydawał się bardzo podniekcytowany. Od dawna nie negocjował na pierwszej linii. Nie może się doczekać.

- Robert - powtórzyła Charlie prawie do siebie. Nie może z nim podróżować, być z nim cały czas przez dziesięć dni. Co mu powie? Czym wypełnią godziny, które ona i Eryk wypełniliby cichymi rozmowami, trzymaniem się za ręce i miłością? Co będzie robić z Robertem w przerwach między spotkaniami służbowymi? O czym będą rozmawiać przy śniadaniu, lunchu i kolacji? Dodała słabo: - Ja nie znam Roberta.

- Oczywiście, że znasz.

- Będzie mi niezręcznie z nim podróżować - powiedziała. - Musimy zmienić wszystkie rezerwacje w hotelach.

- Nie trzeba. W apartamencie z trzema sypialniami oboje będziecie mieli wystarczającą prywatność. Charlie, dlaczego się denerwujesz? Przecież wciąż podróżujesz z innymi prawnikami. Po całym świecie. I znasz ojca od dwudziestu lat.

- Nie wiem - odpowiedziała szczerze. To dziwne, pomyślała. Spojrzała na Eryka i zadała pytanie, na które czekał i którego się obawiał. - Dlaczego ty nie jedziesz?

- Bo - odrzekł powoli, patrząc jej w oczy - poznałem kogoś. Bardzo niedawno. Nie chcę teraz wyjeżdżać.

Charlie wciągnęła powietrze. Przez te wszystkie lata Eryk poznał wiele kobiet. Był z nimi, tak jak Charlie była z innymi mężczyznami. Ale Eryk nie poznał dotąd nikogo, kto mógłby go skłonić do zrezygnowania z podróży służbowej, a już z pewnością nie z tak ważnej.

Przez te wszystkie lata Eryk nigdy nie poznał kobiety, dla której zmieniłby plany wyjazdu z Charlie. Niezależnie od tego, jak i z kim układało

się ich życie, zawsze podróżowali razem, odkrywając się wzajemnie i odnajdując fragmenty magii, która wciąż była w nich.

Teraz, trzydzieści sześć godzin przed rozpoczęciem podróży, którą planowali od miesiący, Eryk powiedział, że nie może jechać, bo właśnie kogoś poznał.

- Kto to jest? - szepnęła Charlie.

- Ktoś. Nie znasz - powiedział ostrożnie. Widział ból w jej oczach. I miłość. Rozmawiali o tym. Mówili, że kiedyś, jeśli im się poszczęści, mogą zakochać się w innych osobach. Życzyli tego sobie wzajemnie: miłości bez bólu i cierpienia; miłości, którą można chronić jak skarb; miłości takiej, jaka kiedyś była ich miłość. Kiedyś, przed całym cierpieniem.

Charlie wątpiła, żeby to się wydarzyło. Z pewnością nie jej. I prawdopodobnie nie Erykowi. Ale teraz to się stało.

- Opowiedz mi o niej - poprosiła Charlie. Zaskoczenie ustępowało zaciekawieniu. I ekscytacji. Jeśli mnie to rani, to tylko moja wina, powiedziała sobie surowo.

- Nie ma nic do opowiadania - odrzekł, nieco uspokojony jej zaczepnym tonem. Kiedyś będzie się cieszyła z jego szczęścia. - Ledwie jąznam.

Ale chcę z nią być, pomyślał. Chcę tego bardziej niż czegokolwiek innego. I nie chcę o niej rozmawiać, dzielić się nią z nikim innym. Nawet z ludźmi, których kocham. Jeszcze nie.

- Powiedziałaś Robertowi? - zapytała Charlie.

- Tak! Ale nie wie o niej więcej, niż ty - droczył się Eryk. Pamiętał, że Robert z początku wahał się, czy jechać, ale gdy usłyszał powód, nagle bardzo zapalił się do podróży.

- Przynajmniej będę miała o czym z nim rozmawiać - powiedziała powoli Charlie. Ale w jej głosie wciąż brzmiała niepewność.

W przerwach między spotkaniami służbowymi Eryk dzwonił do mieszkania Leslie co godzinę. Numer kierunkowy wydawał mu się znajomy, ale nigdy nie umawiał się z kobietą, która mieszkałaby w pobliżu Parnassus Avenue. W mieszkaniu Leslie nikt nie odbierał telefonu przez cały wieczór. O jedenastej, po powrocie do swojego mieszkania na Pacific Heights, Eryk spróbował ponownie.

- Halo? - powiedziała zdyszana.

- Leslie, tu Eryk. Obudziłem cię?

- Nie. Dopiero weszłam. Słyszałam dzwonek, szukając kluczy. Myślałam, że to może być któryś z moich stażystów - powiedziała. Cieszę się, że tak nie jest. Cieszę się, że to ty.

- Spodziewasz się, że będą dzwonić?  
- Raczej nie. Zostawiłam ich przed kwadransem. Ale to pierwszy dzień ich stażu. Całkowity chaos - roześmiała się, opadając na fotel. - Co za dzień!

- Opowiedz mi - powiedział ostrożnie Eryk. Tylko nie mów o chorych chłopcach.

- Dobrze. W ogólnym zarysie. Zastanówmy się. Jedna stażystka postanowiła odejść, bo jakiś lekarz na nią krzyknął. Nie jest przyzwyczajona do krzyku, tylko do pochwał - powiedziała Leslie, trochę współczująco, ale i z irytacją.

- Zrobiła coś aż tak złego?

- Nie. Ja sama z trudem toleruję lekarza, który na nią krzyknął - jak wszystkich lekarzy, krzyczących na kolegów - więc otarłam jej łzy i przekonałam ją że między innymi na tym polega to wspaniałe doświadczenie, czyli staż.

- Kupiła to?

- Sądzę, że tak. Dowiem się jutro o ósmej. Mój drugi stażysta postanowił odejść, bo jeden pacjent z zapaleniem wsierdza zagroził mu skalpelem.

- Co takiego? - zapytał Eryk, nagle zatroskany.

- Pacjent jest narkomanem, przyjmuje głównie heroinę, dlatego ma zapalenie wsierdza. Mój stażysta musiał pobrać mu krew do badania na toksyczność, ze względu na antybiotyki, które podajemy. Pacjent nie chciał, żeby stażysta, cytuję, „wchrzaniał mu się w żyły”, koniec cytatu. Miał schowany pod poduszką skalpel, bardzo ostry. Pokazał stażystcie, że nie da się dotknąć, wymachując mu skalpelem przed nosem.

- Zatem kazaliście go aresztować - rzekł zaskoczony Eryk

- Nie! - odparła lekko Leslie, śmiejąc się z niepokoju Eryka. Zrobiło jej się ciepło. Sprawilo to brzmienie jego głosu. I to, że go pragnęła. - Porozmawiałam z pacjentem.

- Ty rozmawiałaś z tym pacjentem?

- Jest również moim pacjentem. Przyjmowałam go kilkakrotnie. W każdym razie powiedziałam mu, żeby pozwolił stażystcie pobrać krew tylko raz i obiecałam, że jeśli się nie uda, zrobię to sama. Albo może się wypisać wbrew wskazaniom lekarza, co prawdopodobnie go zabije. Powiedziałam mu też, że rozważam zawiadomienie policji o skalpeli. To był bluff.

- I co się stało?

- Oddał mi skalpel, oczywiście może zdobyć inny, i pozwolił stażystcie spróbować. Jakimś cudem stażysta trafił od razu i pobrał krew. Mam nadzieję, że on też będzie w szpitalu o ósmej rano.

- Moim zdaniem nie powinnaś tam pracować - rzekł zdecydowanie Eryk. - Nie podoba mi się to.

- Jest bezpiecznie, naprawdę - zapewniła go, zachwycona jego głosem i dźwięczącą w nim nutką niepokoju. Bezpiecznie, pomyślała, przypominając sobie Marka i innego lekarza, któremu ktoś groził nożem trzy miesiące wcześniej. Dodała więc trochę mniej pewnie: - Trzeba tylko być ostrożnym, wyczulonym.

- Pewnie jesteś zmęczona - powiedział.

- Trochę - powiedziała. Wyczerpana. Fizycznie i emocjonalnie. Oczywiście gdyby chciał się z nią zobaczyć... Nie, musiała się wyspać. Za dziewięć godzin zaczyna dyżur. Dodała z ociąganiem: - Bardzo. Dostałeś moją wiadomość?

- I tak nie wyjeżdżam.

- Naprawdę? - Naprawdę?

- Może więc w piątek zjemy razem kolację?

- Wątpię, żebyś wyszła ze szpitala na czas - powiedziała. I będę po nieprzespanej czwartkowej nocy, pomyślała, sfrustrowana, że zgodziła się na to zastępstwo w Szpitalu Ogólnym San Francisco.

- Zadzwońisz do mnie, kiedy skończysz?

- Może być późno.

- Nie ma znaczenia.

Eryk podał jej zastrzeżony numer telefonu do swojego mieszkania i numer prywatnej linii do biura. Powiedział jej, żeby zadzwoniła, gdy tylko będzie mogła. Na pewno nie będzie mu przeszkadzać.

Leslie zadzwoniła do niego dopiero w piątek o dziesiątej wieczorem. Telefonowała z oddziału intensywnej terapii.

- Eryk, tu Leslie. Przepraszam, dopiero teraz mogę zadzwonić.

- Jak tam twoi stażysci? - zapytał, ciesząc się, że słyszy jej głos. Myślał o skalpelach ukrytych pod poduszkami.

- Dzieci? W porządku. Wiele się nauczyły w ciągu ostatnich trzech dni.

- Nie są jeszcze niezależni?

- Aaaa... Nie - powiedziała z żalem. Dlatego właśnie zostawała do późna: sprawdzała ich zalecenia, omawiała z nimi każdy aspekt leczenia pacjenta. Po to tam była.

- Jedziesz do domu? - zapytał.

- Chyba za pięć minut.

- Musisz jutro być w pracy? - Sobota. Eryk znał odpowiedź.

- Och, tak. Tylko na obchód. Ale to może potrwać cały dzień - powiedziała. Chcę cię zobaczyć.
- Niedziela?
- Mam dyżur.
- Czy jesteś dziś bardzo zmęczona? Mógłbym przyjść, przeczytać ci kilka stron *Moby Dicka*, popatrzeć, jak zasypiasz...
- Byłoby cudownie.

Co ja wyprawiam?, myślała Leslie, wycierając ręcznikiem swoje kasztanowe włosy. Przejrzała się w łazienkowym lustrze. Miała na sobie długą skromną koszulę nocną i jasnoniebieski szlafrok frotte. Wyglądała bardzo **skromnie**. Bardzo przyzwoicie. Szykowała się do snu, a mężczyzna, którego prawie nie знаła, czekał w jej salonie.

Uczesała wilgotne włosy, które opadły jej na ramiona. Spojrzała na ciemne kręgi pod swoimi niebieskimi oczami i westchnęła. Wyglądam na zmęczoną. Jestem zmęczona. Zbyt zmęczona, żeby mówić, myśleć albo analizować to, co robię.

- Wyglądasz jak wypucowana dziewczynka, gotowa słuchać bajki na dobranoc - powiedział łagodnie Eryk, gdy zakłopotana weszła do salonu. - Dziewczynka, która dawno już powinna spać.

- Jestem zmęczona - powiedziała Leslie, rozleniwiona po gorącej kąpieli, zbyt wyczerpana, by wymyślić coś innego do powiedzenia.

- Chodź, mała - powiedział Eryk, biorąc ją za rękę, prowadząc ją do sypialni i odkrywając kołdrę. - Właż.

Leslie zdjęła szlafrok i wsunęła się pod kołdrę. Uśmiechnęła się sennie do Eryka.

- Mogę się przyłączyć? - zapytał.

Kiwnęła głową zamykając oczy, ciesząc się chłodną miękkością pościeli i ciepłem jego głosu.

Gdy Eryk zamknął drzwi, zgasił światło, rozebrał się i wszedł do łóżka, Leslie prawie spała. Skuliła się przy nim. Jej lekko wilgotne, czyste włosy opadły mu na pierś. Objął ją ramionami i przyciągnął do siebie jej ciało, okryte skromną koszulą nocną.

- Jesteś ciepłym, przytulnym kotkiem - szepnęła, muskając ustami jej włosy.

- Mmm... - mruknęła.

- Mmm... - odpowiedział, przytulając ją mocniej.

Po chwili poczuł, że jej oddech się zmienił. Brała powolne, głębokie wdechy. Spała spokojnie w jego ramionach.

- Mój drogi kotek - szepnęła.



Wewnętrzny zegar obudził Leslie dwadzieścia pięć po szóstej, pięć minut przed budzikiem. Ramiona Eryka wciąż ją obejmowały, łagodne, ale mocne. Leslie ostrożnie wysunęła się z łóżka, patrząc z zachwytem na cudownego, przystojnego nieznanego, który w nim leżał. Którego chciała w swoim łóżku. Który należał do jej łóżka.

Po cichu, żeby go nie obudzić, Leslie zaparzyła kawę, wzięła prysznic i ubrała się.

Nie będę go budzić, postanowiła. Zostawię mu kartkę.

Nie było łatwo napisać liścik. Co powinna napisać? Co mogłaby napisać?

*Drogi Eryku, przepraszam za wczoraj. Może dziś? Nie.*

*Eryku, w ekspresie jest kawa...* Oczywiście, że jest. Nie trzeba mu mówić.

*Eryku, oto klucz do mieszkania...* Zbyt nachalne.

*Drogi Eryku, serdecznie zapraszam cię dziś na kolację...* Zakładając, że zdąży przyjąć na czas do domu.

- Dzień dobry - powiedział. Był ubrany, ale nieogolony. Przeczesał włosy ręką. - Co robisz?

Leslie spojrzała na pogniecione kartki papieru na stole. I na lśniący klucz. Klucz Jamesa.

- Dzień dobry. Pisałam do ciebie liścik. Próbowalam - powiedziała, uśmiechając się do niego, ciesząc się, że go widzi i że on tak na nią patrzy.

- Tak trudno do mnie napisać? - zapytał, podchodząc do niej i kładąc jej rękę na ramieniu.

- Tak. Właściwie cię nie znam - powiedziała.

- Ale wiesz, że chcę się z tobą dziś zobaczyć.

Leslie wzięła go za rękę. Ich palce instynktownie się splotły.

- Może podwiozę cię do pracy? I tak muszę jechać do siebie, żeby doprowadzić się do porządku.

- Musiałbyś też mnie odebrać - powiedziała z bijącym sercem. Byłoby miło, gdyby odwiózł ją do pracy. Dzięki temu będą razem choć trochę dłużej.

- Przez cały dzień nie będę miał nic innego do roboty. Chyba że przygotuję moje słynne *cacciatore* z kurczaka - powiedział, zdziwiony własnymi słowami. Nie przypominał sobie już weekendu, podczas którego pracowałyby intensywnie. Przynajmniej odkąd Bobby... Nie gotował od miesiący... lat. Ale dziś chciał tylko krzątać się po jej mieszkaniu, gotować dla niej, czekać, aż zadzwoni.

Uśmiechnął się. Nie mógł się doczekać dalszej części dnia. Czuł, że budzi się w nim nadzieja.

Leslie dała mu drugi klucz do swojego mieszkania. Śmiała się, gdy wsiadali do jego jaguara. Trzymała go za rękę, gdy jechali do szpitala.

- Podjedź tutaj - powiedziała, wskazując wejście do izby przyjęć. Było to najbezpieczniejsze wejście. Strzegli go policjanci.

- Wrócę do twojego mieszkania za trzy godziny - powiedział Eryk.  
- Ja będę tu przez przynajmniej pięć.

Eryk uśmiechnął się, pochylił się do niej i pocałował ją w usta. Jego usta były miękkie, gładkie i ciepłe, otaczał je szorstki, poranny zarost. Miał to być krótki pocałunek na pożegnanie. Ale był to ich pierwszy pocałunek. Przeciągał się, aż nagle Leslie przypomniała sobie, gdzie są.

Odsunęła się łagodnie, z ociąganiem. Spojrzała mu w oczy i zadrżała, widząc w nich pożądanie. Szepnęła cicho:

- pójde już.

- Miłego dnia - powiedział jak mąż do żony. Było to miłe pożegnanie, jak w długim związku, w związku, który miał już historię i miał trwać wiecznie.

Było to cudowne.

- Czy to twoje słynne *cacciatore* z kurczaka? - zapytała Leslie, wciągając nosem smakowity zapach, gdy wchodzili do jej mieszkania o szóstej tego popołudnia.

- Musi się jeszcze trochę pogotować. Chcesz drinka?

Leslie się uśmiechnęła. W jej mieszkaniu czuł się jak u siebie w domu.

- Jasne. Dzięki. Tylko zdejmę strój roboczy.

Leslie wróciła po dziesięciu minutach.

- Pościeliłeś łóżko! - wykrzyknęła.

- Spędziłem cudowny, domowy dzień - powiedział Eryk, podając jej drinka. Nigdy dotąd nie przydarzył mi się taki dzień. A teraz jest jeszcze lepiej. Doskonale. Bo ty tu jesteś. - Bardzo dobrze znam twoje mieszkanie.

- Nie jest zbyt natchnione, prawda? - zapytała, wiedząc, że nie miało to dla niego znaczenia, bo rozumiał, jaka jest zajęta. Wiedział, że większość życia spędza w szpitalu, a nie w małym, bezbarwnym mieszkaniu.

- Kim jest James? - zapytał Eryk.

- James? - powtórzyła. Serce na chwilę przestało jej bić.

- *James 1971*. Rysunek.

- Och! - Poczula ogromną ulgę. Eryk po prostu zauważył jedyny „natchniony” przedmiot w jej mieszkaniu: rysunek Jamesa, przedstawiający jelenie na łące. - Ktoś, kogo znałam w liceum.

- Bardzo dobre.
  - Tak - zgodziła się Leslie. Potem dodała stanowczo, chcąc zamknąć temat Jamesa w przeszłości: - Był utalentowanym chłopakiem.
  - Mój dom nie jest natchniony - powiedział Eryk, uświadamiając sobie po raz pierwszy, że chociaż jego mieszkanie jest stylowe i kosztownie urządzone, brakuje mu osobowości. Był to sterylny lokal na pokaz, ale nie dom.
  - Niemożliwe... - zaczęła Leslie. Trudno było to sobie wyobrazić.
  - Naprawdę. Zobaczysz. Wielki rozmach. Ostatnie piętro ogromnego budynku na Pacific Heights. Najnowocześniejsza architektura. Ale - rzekł powoli - to tylko miejsce do spania.
  - To też jest tylko miejsce do spania - powiedziała Leslie. Chyba że tu jesteś. Wtedy się zmienia
  - Nie. To jest miejsce do przygotowywania *cacciatore* z kurczaka, czytania *Moby Dicka*, śmiechu i... - Eryk przerwał, rozproszony jej jasnoniebieskimi oczami, zastanawiając się, ile może powiedzieć.
  - I? - zapytała niewinnie. Nie miała pojęcia, co zamierzał dodać, ale chciała to usłyszeć. Chciała poznać wszystkie jego myśli. Chciała wiedzieć o nim wszystko.
  - I - ciągnął Eryk szczerze, patrząc na nią - zakochiwania się.
  - Och! - powiedziała, oszołomiona, przez chwilę nie mogąc wytrzymać jego spojrzenia. Potem popatrzyła na niego i mruknęła znacząco, spokojnie: - Och.
  - Och? - zapytał łagodnie.
- Wtedy, w małej kuchni w mieszkanku Leslie, zaczął się pocałunek. Był długi, ciepły, sprawił, że wirowało jej w głowie, a całe ciało drżało. Pocałunek trwał podczas kolacji, w leniwych, zmysłowych momentach, nabrał smaku wina, gdy pili Robert Mondavi Chablis. Po kolacji stał się intensywniejszy i bardziej nagły, gdy myli naczynia, szepcząc, śmiejąc się cicho, obejmując się.
- Pójdziemy do łóżka? - zapytała w końcu Leslie, wzdychając cicho.
  - Nie chcę naciskać, Leslie.
  - Nie naciskasz - powiedziała poważnie do jego jasnoniebieskich oczu, pełnych troski i namiętności.
  - Nie pytając, po prostu... - zaczął Eryk.
  - Poczujesz się jak w domu? To dobrze. Cudownie. Tu jest twoje miejsce - szepnęła Leslie, wiedząc, że to prawda. Kimkolwiek jesteś.
  - Gdzie byłaś przez całe moje życie, kochana Leslie?

Kochali się powoli, poznając się wzajemnie, zatrzymując się przy każdym nowym odkryciu. Ich miłość była niespieszna, leniwa i oznaczała początek wieczności, ich wieczności. Nie musieli się śpieszyć - do chwili, gdy odczucia stały się zbyt nagłe, zbyt intensywne, zbyt niezaprzeczalne - mogli się cieszyć pierwszą z nieskończonej wielu chwil przyjemności. Czekali ich całe życie przyjemności i miłości.

Wiedzieli to oboje. Ich usta, oczy, dłonie i ciała potwierdzały to po cichu, namiętnie.

Bezustannie.

## Rozdział 33

Oczym myślisz? - zapytał Robert.

Charlie odrobinę zeszywniała, słysząc jego głos, ale nie przestała spoglądać przez okno na Pacyfik, rozciągający się kilka kilometrów pod nimi. Za godzinę wylądują w San Francisco. Jutro Robert poleci do Filadelfii, a ona wróci do pracy i opowie Erykowi o ogromnym sukcesie, jaki odnieśli podczas wyjazdu.

Ostatnich dziesięć dni stanie się wspomnieniem, snem, który wydawał się tak prawdziwy, gdy trwał, ale szybko zbladł w świetle dziennym. Za godzinę Charlie obudzi się i wróci do jasnych, natarczywych światel rzeczywistości. Wszystko się skończy.

Gdy Robert zadał jej pytanie, myślała o tym, jak łatwo było z nim przebywać. Świetnie się bawili, zwiedzając pałace, świątynie i muzea, spacerując godzinami po cudownych ogrodach, jedząc w najlepszych restauracjach, śmiejąc się, rozmawiając i poznając wschodnią kulturę. Poznając siebie nawzajem. Myślała, jak cudowny był podczas negocjacji. Sama zajmowała się wszystkim, ale on wciąż był przy niej, uważny, wspierający, komunikujący się z nią wzrokiem.

Gdy zadał pytanie, Charlie myślała, jak bardzo będzie za nim tęsknić.

- Słucham, Robercie? - zapytała, odwracając się do niego.

- Od godziny wyglądasz przez okno, myśląc, jak sądzę, bo twój mózg nigdy nie przestaje pracować na pełnych obrotach. Zastanawiałem się, o czym myślisz.

- O wszystkim - odrzekła Charlie.

- Tak właśnie sądziłem - rzekł żartobliwie. Ale zaraz dodał poważnie: - Myślałaś o tajemniczej damie?

Charlie się uśmiechnęła. Nie myślała ani o Eryku, ani o kobiecie, dla której zrezygnował z wyjazdu. Od kilku dni nie myślała o żadnym z nich.

- Nie. Ale wkrótce dowiemy się czegoś więcej, prawda?

- Może. Chociaż spodziewam się, że Eryk będzie bardzo ostrożny. Tym razem - dodał powoli Robert.

- Tym razem? W odniesieniu do...

- Pierwszego razu, gdy się zakochał. W tobie.

- Nie był wtedy ostrożny? - zapytała Charlie, znając odpowiedź. Żadne z nich nie było wówczas ostrożne.

- Nie. Nie wiedział, co to jest. Żadne z was tego nie wiedziało. Byliście tacy młodzi, tak wiele stało się w waszym życiu, dręczyło was tyle nierozwiązanych kwestii. Ty opłakiwałaś matkę, próbując samodzielnie zrozumieć jej niewytłumaczalną śmierć. I jej niewytłumaczalne życie. Nikt z nas się nie domyślał, jak ogromnym ciosem emocjonalnym było to dla ciebie. Świetnie to ukrywałaś. Nikt z nas nigdy dotąd nie doświadczył tragedii... - Głos Roberta się załamał.

Do śmierci Bobby'ego, pomyślała Charlie.

- Czyli nie byłam dostatecznie wyposażona emocjonalnie, gdy się zakochałam? - zapytała po chwili. Chciała wiedzieć, co miał na myśli Robert.

- Wyposażona, oczywiście. Prawdopodobnie lepiej niż większość szesnastolatków. Wiele dowiedziałaś się o miłości od matki. Ale nie byłaś przygotowana. Nie byłaś gotowa. Nie, dopóki nie poznałaś prawdy, której potrzebowałaś.

- Co stało się w końcu po czterech latach, w święta Bożego Narodzenia. Czy sądzisz - zapytała powoli Charlie - że Erykowi i mnie mogłoby się wtedy udać?

Gdyby Victoria nie była w ciąży.

- Tak sądzę. Ty nie? - zapytał, patrząc uważnie w jej zamyślane, piwne oczy.

- Też tak uważam. Było inaczej, ja czułam się inaczej, przez te dwa miesiące po świętach. - Aż zadzwoniła Victoria i wszystko się zmieniło. Charlie wyglądała przez okno, widząc coś, czego tam nie było. Coś, co istniało kiedyś. - Ale teraz, chociaż jesteśmy sobie bliscy, chociaż bardzo nam na sobie zależy...

- Tak wiele się stało. Zbyt wiele.

- Nie robiliśmy sobie krzywdy celowo.

- A jednak oboje zostaliście skrzywdzeni. Oboje - powiedział Robert. Spojrzał na Charlie i zadał pytanie, z którym zwlekał od dziesięciu dni. - Czy jeśli Eryk się zakocha, będzie cię to dręczyć?

- Sądzę, że już się zakochał. A ja chyba dobrze się trzymam, prawda? - odparła lekko, choć niechętnie. Przez ostatnich dziesięć dni wszystko było w porządku, pomyślała. Jak będzie jutro? Jak będę się czuła, gdy ten sen się skończy?

- Przetrawasz, Charlie. Zawsze miałaś taką naturę.

- A Florence? - zapytała Charlie szybko, chcąc zmienić temat.

- Florence? - powtórzył z zaskoczeniem Robert.

Victoria i Eryk nie byli jedynym małżeństwem Lansdale'ow, które rozpadło się po śmierci Bobby'ego. Związek Roberta i Florence, który przeżył już swoje dobre chwile i w dużej mierze utrzymywała go miłość do wnuka, rozpadł się bardzo szybko.

- Zdenerwujesz się, jeśli zakocha się w kimś innym?

- Nie! Ucieszyłbym się, bo zdjęłoby to ze mnie trochę poczucia winy.

- Winy?

- Nigdy nie kochałem Florence. Pobraliśmy się z powodu Eryka. Byliśmy razem dla Eryka i June. Nie było to nieprzyjemne. Florence była... jest kochającą, opiekuńczą matką.

- Niedźwiedzia mama, chroniąca swoje młode! - wtrąciła Charlie.

- Nie była dla ciebie zbyt dobra - zaczął Robert, marszcząc brwi. Zastanawiał się, czy Florence też zrobiła krzywdę tej zagubionej, nie-szczęśliwej, szesnastoletniej sierocie.

- Robercie, Florence nigdy nie była dla mnie niemiła - powiedziała Charlie dobitnie. - Odrobinę obojętna, ale nigdy niemiła. Wiem, że ją irytowałam.

- To prawda. Irytował ją twój wpływ na Eryka.

- Wiesz, w jakiej sytuacji najwyraźniej zapamiętałam Florence? - zapytała Charlie, kiwając głową stewardessie, która sprawdzała, czy wszyscy pasażerowie zapięli pasy przed lądowaniem w San Francisco.

- Nie, w jakiej?

- Wyrzucała pieniądze - powiedziała poważnie Charlie, wciąż oszłamiona tym wspomnieniem. - Widziałam kiedyś, jak sprzątała szufladę w kuchni. Wyrzuciła do kosza na śmieci drobne pieniądze. Takie marnotrawstwo. Takie okropne marnotrawstwo.

- Kiedyś bałam się Oriona - powiedziała Janet, patrząc na gwiazdy lśniące nad domkiem. Była pachnąca, sierpniowa noc. Na czarnym,

bezkسیężycowym niebie migotały gwiazdy, jasne i bardzo liczne, z ich blaskiem nie konkurowały światła żadnego miasta.

- Bałaś się Oriona? - zapytał Ross.

- Nie wiedziałam, że to konstelacja. Wiedziałam tylko, że Orion jest w niebie i że to ogromny, złowieszczy łowca. Bałam się, że będzie mnie ścigał. Chowałam się pod kołdrą, kiedy wiedziałam, że jest na niebie - rzekła powoli. To było głupie wspomnienie, ale przywodziło jej na myśl ogromny strach czteroletniego dziecka.

- Wciąż zapominam, jaka jesteś nieśmiała - powiedział łagodnie, całując ją w rękę.

- Nieśmiała? - zastanawiała się.

- Osobiście nieśmiała, zawodowo dzielna. To oszałamiająca kombinacja.

- Oszłomiłam cię? - zapytała, podnosząc jego dłoń do swoich ust.

- Przecież wiesz, że tak.

- Nieśmiała wieśniaczka z Nebraski i wyrafinowany miejski playboy...

- Playboy?

- Tak mówią.

- Ale oni już nie mówią, prawda?

Ross i Janet mieszkali razem od dwóch miesięcy. Oni to wiedzieli.

- Nie.

- Czyli playboye dorastają. Przynajmniej - powiedział, ciągnąc ją lekko, prowadząc z ganku w stronę sypialni - ten dojrzał. Chodź ze mną. Obronię cię przed Orionem.

Zaczęli się kochać tak, jak kochali się od pierwszej nocy w marcu. W jedyny sposób, jaki знаła Janet: tradycyjny, ekscytujący, skromny.

Tej nocy jednak Ross zrobił coś innego. Całował ją po całym ciele, całował piersi, brzuch pod zębami, pępek, podbrzusze i...

Ciała Janet zeszytywniało. Zaciśnęła palce w jasnych włosach Rossa, powstrzymując go.

- Ross, proszę.

Ross usiadł powoli, ciężko. Trafił na kolejną przeszkodę. Na kolejny sekret, którego nie chciała mu wyjawic. Znow coś ich dzieliło, a on już czuł się jej tak bliski.

Miało to coś wspólnego z Markiem - z intymnością Marka i Janet - i nie chciała mu o tym powiedzieć.

- Co, Janet?

- Ja nie... - Nie wiem, co robisz, pomyślała. Nie wiem, co ja mam zrobić. Widziała gniew w jego oczach. Dlaczego się gniewa?

- Nie chcesz, żebym cię kochał? - zapytał z goryczą.
- Tak! Tylko...
- Niektóre rzeczy są niedozwolone? Zarezerwowane dla kogoś innego? Jak twoje uczucia?
- Ross, nie. Co mówisz?
- Mówię - rzekł ze skrywaną wściekłością, ubierając się - że nie możesz dawać tylko kawałeczków siebie. Za daleko zabrnęliśmy. Ja zabrnąłem za daleko. Ciebie może wcale nie ma w tym związku.
- Ross, dokąd idziesz? - Przerazenie w jej głosie omal go nie zatrzymało. Może chodziło jednak o coś innego. Może nie chodziło o Marka, o wspomnienie Marka.
- Wychodzę. Jadę do swojego mieszkania w mieście - powiedział, podkreślając, że chodzi o jego mieszkanie. W ciągu ostatnich miesięcy nazywał je naszym mieszkaniem, ale dziś się niczym nie dzielili. Dziś byli osobno. Znów.
- Ross - szepnęła, gdy wychodził. Łzy napłynęły jej do oczu. - Przepraszam.

- Te dyżury co szóstą noc prawie da się znieść - stwierdził Eryk.

Leslie skuliła się przy nim na sofie. Przez ostatnich sześć tygodni, gdy wróciła ze Szpitala Ogólnego San Francisco i zyskała status R-3, było im cudownie. Spędzali razem pięć z każdych sześciu nocy. Nawet gdy wracała do domu późno, po dyżurze, otulał ją kołdrą spał przy niej i kochał się z nią gdy budziła się w nocy lub rano.

Nawet wtedy, gdy Leslie była wypoczęta, zostawali na wieczór w domu. Woleli razem przygotowywać kolację, sami, niż dzielić się sobą ze światem. Czytali *Moby Dicka* na głos, rozmawiali i wcześniej chodzili do łóżka.

- Mmm. Może być. Ale to nie jest prawdziwy świat - powiedziała Leslie.

- Ach. Sprawa pracy - powiedział, całując jej włosy. Rozmawiali już o tym.

- Gdybyś między rozdziały historii o naszym wielkim, białym przyjacielu wplatał fragmenty ze stosu nieprzeczytanych egzemplarzy „Dziennika Nowej Anglii”, „Roczników Medycyny Wewnętrznej” i „Dziennika Amerykańskiego”, byłabym szczęśliwym, odczytanym lekarzem - powiedziała, marszcząc brwi i patrząc na rosnący stos czasopism fachowych, które powinna przejrzeć.



- Co będziesz robić, gdy będę czytał umowy, raporty finansowe, protokoły z oglądu terenu, projekty...

- Zdrzemnę się albo wezmę kąpiel. Albo będę na ciebie patrzeć.

- Bardzo mi pomożesz - rzekł przekornie. Potem dodał poważnie: - Myślisz, że możemy pracować pod jednym dachem? Czy będziemy musieli zarządzić przymusową rozłąkę?

Leslie wiedziała, że zanim się poznali, Eryk często pracował w weekendy i noce. Musiał. Taką miał pracę. I taką osobowość. Podobnie jak ona. Oboje nosili pracę w sobie, zabierali ją do domu, śnili o niej, budzili się przez nią w środku nocy. Zawsze tacy będą.

- Musimy pracować pod jednym dachem - odpowiedziała poważnie. Jeśli włączą pracę we wspólne życie, które sobie budują mogą zostać ze sobą na zawsze.

- Wiem, kochanie. I możemy. Pracoholicy potrafią pokonać wszelkie przeszkody, nawet namiętność. Zaczniemy w ten weekend.

- Dobrze. Omówmy zasady. Czy możemy się dotykać, czytając?

- Dotykać?

- Może chociaż stopami?

- Może.

- Dobrze - powiedziała, całując go. - Może zaczniemy w następnym weekend?

Telefon przerwał coś, co zaprowadziłoby ich do sypialni na resztę nocy.

- Kto to może być? - zapytała Leslie, odsuwając się.

- Każdy. Dla reszty świata jest dopiero wpół do ósmej. Chociaż my kładziemy się już spać.

- Halo? - odebrała ze śmiechem.

- Cześć, Les, tu Janet. Przeszkadzam?

- Janet, jesteś zdenerwowana - powiedziała szybko Leslie. Nie słyszała tego tonu głosu Janet od październikowej nocy, gdy odszedł Mark. - Co się stało?

- Ross i ja pokłóciliśmy się. Dwa dni temu. Wyszedł. Od tej pory z nim nie rozmawiałam.

- O co się pokłóciliście?

- Och, Leslie, sama nie wiem. Chyba konkretny powód doprowadził do kłótni na ważniejszy temat. Ale nie wiem.

- A o co konkretnie poszło?

- Och. Nie umiem o tym mówić - powiedziała Janet. Chciałabym. Chciałabym po prostu zapytać, Leslie.

- Janet, może przyjedziesz? Porozmawiamy - powiedziała, patrząc na Eryka, uśmiechając się do niego, czując w sobie ciepło i falę szczerości. Czując, że ma szczęście.

- Nie. Leslie, ja nawet nie wiem, dlaczego zadzwoniłam... Jeśli mam z kimś o tym rozmawiać, to tylko z Rossem.

- Już przedtem zdarzały się wam nieporozumienia. A po rozmowie okazywało się, że to wcale nie były konflikty. Zdarza się wam błędnie interpretować sygnały - powiedziała Leslie wesoło, próbując dodać otuchy Janet. Czuła jednak, że stąpa po niepewnym gruncie, bo nie zna sprawy. Ale nie myliła się co do tego, że Ross i Janet często błędnie interpretowali swoje zachowania i słowa. Musieli rozmawiać.

- Porozmawiam z nim. Tylko zbiorę siły. - Nieśmiała Janet.

- Może jednak wpadniesz?

- Nie. Zresztą, jak tu wpaść? Jestem o dwie godziny drogi od ciebie.

- Cały czas siedzę w domu.

- Dzięki. Jak się masz? I jak się ma Eryk, kimkolwiek jest?

- Ja dobrze, on też. Dzwon do mnie. Bądźmy w kontakcie.

Leslie odłożyła słuchawkę i westchnęła.

- To była Janet - wyjaśniła Leslie Erykowi.

- Tak, która się rozwiodła i jest - była? - z kimś, kto twoim zdaniem jest dla niej odpowiedni. - Eryk uśmiechnął się przekornie. Prawie nie rozmawiali o przyjaciółach. Eryk podsumował krótką charakterystykę Janet, którą Leslie podała mu przed miesiącem. - Tak? Jest lekarka?

- Janet? Nie - zaprzeczyła Leslie, uświadamiając sobie, że nawet nie powiedziała mu, jak nazywa się Janet. Wiedziałby, o kogo chodzi. Leslie była pewna, że Eryk oglądał *Joanną* i *Piotrusia Pana*. Będzie zaskoczony. Uśmiechnęła się. - Nie, Janet jest a...

Znów zadzwonił telefon.

- Chyba ją poznasz - powiedziała Leslie, przypuszczając, że Janet zmieniła zdanie i jednak przyjedzie. Odebrała po drugim dzwonku. - Cześć. Do zobaczenia za dwie godziny!

- Leslie? - głos brzmiał z oddali. Był znajomy, ale towarzyszyło mu dziwne echo.

- Mark?

- Pozdrowienia z Bostonu.

- Cześć! Czy Kathleen też jest na linii?

- Nie, poszła na wieczór paniński koleżanki z Vassar. Okazało się, że ma w Bostonie tylu znajomych, co w San Francisco. Przed przyjazdem nawet o tym nie wiedziała.

- To miło, bo ty pewnie jesteś zajęty.  
- Oboje jesteśmy zajęci. Kathleen wstąpiła już do głównych komitetów i komisji, w tym do teatru i towarzystwa historycznego!

Chwali się Kathleen, pomyślała Leslie, słysząc w jego głosie miłość i dumę. Dobrze mu z nią.

- Jak tam specjalizacja?

- Świetnie. Niczego lepszego nie mógłbym sobie wymarzyć. Program jest bardzo pracochłonny. Bardzo stymulujący. A jak ty się masz?

- Dobrze, Mark - odpowiedziała, patrząc na Eryka i lekko wrzuszając ramionami. - Och, przyjaciel czyta mi *Moby Dicka*. Na głos. To cudowne.

- Przyjaciel? Znam?

- Nie.

- Opowiedz mi o nim. A może tam jest?

- Jest tutaj. Patrzy na mnie. Zastanawia się, kim jesteś.

- To brzmi poważnie.

- Bo tak jest.

- W takim razie zapraszam was oboje na kolację do Klubu Carlton, w październiku. Przylatujemy na weekend z okazji rocznicy ślubu państwa Jenkins i Kathleen planuje przyjęcie w klubie.

- Klub Carlton. Może uda mi się go zobaczyć. Ale wiedz, że w październiku jestem na intensywnej terapii w Szpitalu Ogólnym San Francisco.

- Mam nadzieję, że będziesz mogła przyjść. Chciałbym się z tobą zobaczyć. Kathleen poda ci wszystkie szczegóły. *Moby Dick*? Nieźle - powiedział z lekkim żalem.

Czego dotyczy to „nieźle”, zastanawiała się Leslie. Lektury na głos? Czy tego, że mam czas na czytanie? Na coś innego niż medycyna?

Nie, pomyślała. Mark ma zadowolony głos.

- Mam nadzieję, że będziemy mogli przyjść, Mark. Pozdrowienia dla Kathleen - powiedziała Leslie i rozłączyła się. Odkładając powoli słuchawkę, zastanawiała się, dlaczego zadzwonił.

- Teraz - wyjaśniła Erykowi - zadzwonił były mąż Janet. Dziwne, że oboje zatelefonowali prawie w tym samym momencie.

- Należy do Klubu Carlton?

- Słyszałeś o Klubie Carlton?

- Jestem członkiem Klubu Carlton.

- Myślałam, że tam są tylko starzy, bogaci mieszkańcy Atherton i kilku odpowiednich ludzi z San Francisco.

- Bardzo odpowiednich. Tak. Podobnie jest w bardzo starym i bogatym Oak Brook w Filadelfii. Nie spędzam wiele czasu w Klubie Carlton, ale jeśli twój kolega jest członkiem, mogę go znać.

- W klubie jest jego nowa żona. Przed ślubem nazywała się Kathleen Jenkins.

- Znam Kathleen. Byliśmy przez dwa lata w komisji w teatrze Union Square.

- Jest piękna - powiedziała Leslie. Na chwilę stanęło jej serce. Czy Eryk był z Kathleen? Czy Kathleen miała i Marka, i Eryka?

- Tak. I inteligentna - rzucił od niechcienia, wyciągając ręce do Leslie, zastanawiając się, dlaczego się do niego nie przytula. - Leslie?

- Umawiałeś się z Kathleen?

- Co? Przytulisz się do mnie wreszcie? - Eryk zaczekał, aż znalazła się w jego ramionach. - Nigdy nie spotykałem się z Kathleen Jenkins. Nawet nie rozważałem takiej możliwości.

- Naprawdę?

- Naprawdę.

- Nie chcę poznawać żadnej osoby, z którą się umawiałeś - powiedziała powoli Leslie.

- Nie? - zapytał łagodnie, uświadamiając sobie, że czuje to samo.

- Nie.

Eryk zamilkł. Nie mógł jej tego obiecać. Kiedyś Leslie pozna Charlie.

- Och - ciągnęła Leslie. - Byłeś w komisji, gdy przesłuchiwali kandydatki do *Joanny*?

- To był mój ostatni rok. Miałem zbyt dużo zajęć, chociaż bardzo lubiłem pracę w teatrze. Chodzę na wszystkie nowe spektakle. W niektóre nawet inwestuję.

- Mam nadzieję, że inwestujesz w nowy musical, *San Francisco*.

- Tak, ale skąd o tym wiesz? Nie rozpowiadają nikomu, planując wielką niespodziankę.

- Janet to...

- Janet Wells - powiedział Eryk, szukając w pamięci. Słyszał jakieś plotki. Charlie opowiadała mu wszystko, chociaż niespecjalnie interesowało go życie i miłości ludzi, których prawie nie znał. Charlie, pomyślał, lekko marszcząc brwi. Po chwili rzekł: - Słyszałem nawet, że jest z Rossem MacMillanem.

- Była. Jest. Oto jest pytanie. Znasz go?

- Jasne... Sądzę, że bardzo mu zależy na Janet - dodał Eryk, z zaskoczeniem uświadamiając sobie, że to nie była informacja od Charlie.

To było jego własne spostrzeżenie. Przypomniał sobie, jak Ross mówił **O** Janet - jakim tonem - gdy rozmawiali o inwestycji Eryka w *San Francisco*.

- Mam nadzieję - powiedziała Leslie. Przytuliła się mocno do Eryka. - To miło. Znasz już moich przyjaciół. Albo przynajmniej przyjaciół moich przyjaciół.

- Czyli nie muszę ich poznawać? Dobrze. Jedna wycieczka do prawdziwego świata mniej.

- Myślisz, że zawsze będziemy tacy nietowarzyscy?

- Jesteśmy towarzyscy. Tylko ograniczamy tę towarzyskość do siebie nawzajem. Jeszcze będziemy szaleć, tak, jak zaczęliśmy pracować razem w domu. Poza tym nie znasz moich przyjaciół. A ich rozpięta ciekawość.

- Jest ich wielu?

- Tylko troje. Mój ojciec i dwie osoby, z którymi najbliższej współpracuję. - Charlie, pomyślał, którą kochałem i z którą prawie się ożeniłem. Z którą bym się ożenił. I James, który stał się moim przyjacielem.

- Kiedy ich poznam? - zapytała Leslie z zaciekawieniem, ale bez gorliwości w głosie. Spędzali razem tak mało czasu.

- W listopadzie, jeśli nie wcześniej. Planujemy wyjazd na Maui. Wtedy przypadają moje urodziny, ale nie one są powodem wycieczki. Jedziemy tak po prostu. Możesz się wyrwać?

- Chyba tak. Na początku listopada przyda mi się odpoczynek. Październik spędzę na intensywnej terapii w Szpitalu Ogólnym. Przez część miesiąca będę dyżurować co drugą noc.

- Co drugą noc?

- To nie będzie dla nas przyjemny miesiąc - powiedziała przepraszająco.

- Przetrywamy go. Będziemy myśleć o Maui.

- Może powinnam poznać twoich przyjaciół przed listopadem. Będą niezadowoleni?

- Jedna osoba. - Charlie. Ta, której nie chcesz poznać. - Ale ja nie zamierzam się tobą z nikim dzielić, dopóki nie będę musiał. A będę musiał dopiero w listopadzie.

- To twoi przyjaciele.

- Będą też twoimi - rzekł, wiedząc, że Robert i James od razu ją polubią i zrozumieją dlaczego chciał być z nią sam.

A Charlie? Jak ma poprosić Charlie, żeby ukrywała ich przeszłość i chroniła Leslie? Czy miał prawo ją o to prosić?

Będzie musiał się nad tym zastanowić. Przemyśleć wszystko, co powinien powiedzieć Leslie, co trzeba było jej powiedzieć.

Do listopada. To ostateczny termin.

Janet przyjechała pod strzeżony dom na ulicy Sacramento, gdzie mieszkał Ross, o jedenastej wieczorem. Otworzyła bramę garażu, używając swojej karty magnetycznej.

Powinam zaparkować na ulicy, pomyślała. Powinam wejść frontowym wejściem i poprosić portiera, żeby mnie zaanonsował.

Ale portier dowiedziałby się w ten sposób, że ona i Ross mają problemy. Mieszkała tu z Rossem przez cały lipiec. W lipcu tu był jej dom.

A teraz? Co będzie, jeśli poprosi portiera o zaanonsowanie, a Ross nie zaprosi jej na górę?

Janet zaparkowała na miejscu - swoim miejscu - obok samochodu Rossa. Przynajmniej był w domu. Wyjęła drugą kartę magnetyczną i włączyła windę.

Dłonie jej drżały.

Co ja tu robię?, zastanawiała się, targana niepokojem.

Trzy i pół godziny wcześniej wyjechała z domku, zamierzając jednak odwiedzić Leslie. Skierowała się do miasta autostradą przy wybrzeżu, przez most Złote Wrota. Ale zamiast udać się na Aleję Parnassus, do Leslie, Janet krążyła po ulicach bez celu. Bez wyraźnego celu dojechała do garażu Rossa. Czy od początku podświadomie miała taki zamiar?

- Witaj - powiedziała, gdy otworzył drzwi. Wyglądał na bardzo zmęczonego. Odwróciła jednak wzrok, bojąc się ujrzeć gniew w jego oczach.

- Witaj. Wejdz - odparł z powagą.

Po całym salonie były porozrzucone strony scenariusza i partytury *San Francisco*. Ross pracował nad jej przedstawieniem.

- Pracowałeś.

- Próbowałem.

- W sierpniu zwykle odpoczywasz.

- Nie miałem ochoty na zabawę - rzekł bezbarwnie, zastanawiając się, czy Janet z nim porozmawia, czy oboje będą potrafili ze sobą rozmawiać.

Czy będą na siebie patrzeć.

- Ross... Ja... - zaczęła Janet.

- Co?

- Przepraszam. Nie wiem, co się stało.

- A jak myślisz? - zapytał żarliwie.

- Myślę - powiedziała ostrożnie, wpatrując się we własne dłonie - że byłam, och, zakłopotana tym, co robię, i nagle stało się to ważną sprawą. Ważniejszą sprawą.

- Jaka jest ta ważniejsza sprawa? - podszedł do niej bliżej, chcąc, żeby na niego spojrzała.

Janet potrząsnęła głową i szepnęła:

- Nie wiem.

- Na pewno wiesz.

- Nie. - Jej oczy, jak szare, burzowe chmury, wreszcie spotkały jego wzrok. - Nie wiem.

- Dobrze - powiedział, z trudem opanowując gniew i frustrację. - Zastanów się nad tym. Mam dość bycia krok za Markiem. Mam dość przegrywania z Markiem, ze wspomnieniem Marka. Nie mogę. Mam już dość.

- Wspomnieniem Marka? Jak to?

- Pamiętasz przyjęcie zaręczynowe Marka i Kathleen? Pamiętasz ich ślub? Nie, oczywiście, że nie - rzekł z goryczą. - Nie poszłaś. Nie poszliśmy.

- Myślałam, że rozumiesz. Powiedziałeś wtedy, że nie masz mi tego za złe - błagała. Wtedy powiedziałeś, że chcesz być ze mną.

- Rozważyłem to ponownie w świetle obecnej sytuacji.

- To niesprawiedliwe.

- Wszystkie chwytaki dozwolone, prawda? - zapytał od niechcienia Ross, wiedząc, że jest niesprawiedliwy. Rozumiał, dlaczego nie mogła się widywać z Markiem i Kathleen. Gdy już zrozumiał, nie miał jej tego za złe, ale były przecież inne przykłady. - Nie chciałaś dla mnie śpiewać, pamiętasz? To było z powodu Marka, prawda?

- Częściowo chyba z powodu Marka, ale głównie dlatego, że nie znałam cię naprawdę. - Zamyśliła się, po czym dodała cicho: - Ale już dla ciebie śpiewam.

- I teraz to - powiedział szybko Ross. Janet rzeczywiście dla niego śpiewała. Gdy byli sami. Gdy tylko poprosił.

- To?

- Mogę się z tobą kochać tylko w jeden sposób. Część ciebie wciąż należy do Marka - rzekł z goryczą.

- Nie. - Z jej zamurzonych oczu popłynęły łzy. Janet czuła ulgę. Czyżby po prostu źle zinterpretował sytuację? Czyżby mogli rozwiązać ten problem? Może. Może.

- Nie? - zapytał, zdziwiony, ale i trochę uspokojony półuśmiechem, który mimo łez pojawił się na jej ustach.

- Nie, Ross. Mark nigdy mnie tam nie dotykał. Ani nikt inny - powiedziała zażenowana, prawie przepaszając. Zobaczyła wyraz jego oczu, gdy dotarło do niego znaczenie jej słów. Ross wyglądał na szczęśliwego. Szczęśliwego. I zdziwionego. I zatroskanego.

- Zatem dlaczego? Dlaczego mnie zatrzymałaś? - zapytał łagodnie.

- Nie wiedziałam, co robisz. Nie wiedziałam, co ja mam robić - szepnęła, lekko wzruszając ramionami.

Ross przytulił ją i scałowywał jej łzy, mrugając, żeby samemu się nie rozplakać. Omal jej nie stracił z powodu głupiego nieporozumienia, spowodowanego bezsensowną zazdrością o Marka. Ross nigdy w życiu nie był o nikogo zazdrosny. I może nie musiał być zazdrosny o Marka.

Tylko że tak bardzo jej pragnął.

- Och, Janet - szepnęła. Cudowna, nieśmiała, naiwna Janet.



# Część 4

## Rozdział 34

*San Francisco, Kalifornia  
Wrzesień 1982*

**J**ames rzucił okiem na skórzany terminarz, leżący na biurku. Nagle zamarł, patrząc na datę u góry strony: dwunasty wrzesnia.

Dwunasty wrzesnia. Urodziny Leslie. Rok temu zaprosił ją na kolację.

James się uśmiechnął. Znów mógł się uśmiechać, myśląc o Leslie. Miał nadzieję, że jest szczęśliwa, tak jak on. Miał nadzieję, że znajdzie sobie kogoś, kto będzie ją kochał tak bardzo, jak on Lynne. I że pewnego dnia będzie miała dziecko.

Dziecko. James myślał o Michaelu, swoim ukochanym synu. Czuł, że uśmiechnęło się do niego szczęście. Miał Michaela i Lynne. Jego życie było pełne - przepełnione radością.

Mógłby więc zadzwonić do Leslie, życzyć jej wszystkiego najlepszego i dużo szczęścia.

Pukanie do drzwi wyrwało Jamesa z zadumy.

- Tak?

- Mogę wejść? - To była Charlie, wyglądająca jak prawnik, ale uśmiechająca się miło i kobieco.

- Oczywiście. Co słyhać?

- Nic. Nieprawda. Wszystko. Ale nic, co dotyczyłoby ciebie. Chcę się schować w twoim gabinecie.

- Proszę bardzo - powiedział James, uśmiechając się i wskazując skórzaną kanapę w kolorze bordo, z której nie korzystał, ale która wyglądała na bardzo wygodną.

- Dzięki. - Zsunęła pantofle i położyła się na kanapie. - Cieszę się, że tu jesteś. Kiedyś uciekałam do gabinetu Eryka...

- Ale?

- Nie jest już zabawny. Tylko praca.

- Ty też jesteś obowiązkowa. Ponieważ jednak pracujesz wydajniej niż ja czy Eryk, więc możesz sobie pozwolić na krótkie przerwy.

- Eryk też lubił przerwy.

- Coś go zaprzęta. - James bronił Eryka. Nigdy nie miał takiego przyjaciela. Dotąd nie obdarzał żadnego mężczyzny taką sympatią, szacunkiem i zaufaniem.

- Tak - zgodziła się Charlie.

- Jest zakochany. Chce zrobić tu jak najwięcej, żeby mieć więcej czasu dla niej. Czy to takie złe? - zapytał James. Przecież robił to samo, żeby mieć jak najwięcej czasu dla Michaela i Lynne. Ale zwykle musiał pracować wieczorami, gdy położyli już Michaela do łóżka. Wiedział, że Eryk i Charlie pracowali w domu wieczorami i w weekendy. Wszyscy to robili. Wszyscy musieli.

- Nie - powiedziała z żalem Charlie. - To nic złego.

- Charlie, co cię naprawdę trapi? - zapytał nagle.

- Tęsknię za nim, James. Nie tylko za przerwami - powiedziała ostrożnie. - Brakuje mi wieczorów, nocy, weekendów i podróży.

- Och - powiedział powoli James. - Nie wiedziałem. Wiedziałem, że jesteście sobie bliscy...

A więc Eryk nie powiedział mu o nas, pomyślała Charlie. Ale czy mógł? Historia Eryka i Charlie była niepełna bez fragmentu o chłopcu, który umarł. Ani Eryk, ani Charlie nie powiedzieliby o Bobbym Jamesowi, którego życie stało się doskonale po urodzeniu się syna.

- Znamy się i troszczymy o siebie od bardzo dawna. - powiedziała powoli Charlie. Potem dodała coś, czego nigdy nie mówiła Erykowi. Coś, co przyznała przed samą sobą dopiero niedawno. - Myślałam, że może nawet kiedyś się pobierzemy, jeśli żadne z nas nie zakocha się w kimś innym. Z braku lepszego wyjścia.

- Z braku lepszego wyjścia? - wykrzyknął James. Nie mógł sobie wyobrazić ani Eryka, ani Charlie robiących cokolwiek z braku lepszego wyjścia. Oboje byli tak bardzo pewni siebie, kompetentni i opanowani. A także panujący nad sytuacją. Nie popełniali błędów. Ale Charlie mówiła poważnie.

- To długa historia - powiedziała, wzruszając ramionami i uśmiechając się lekko. - Tak czy inaczej, to już nie ma znaczenia. Myślę, że się naprawdę zakochał. Nie sądzisz?

- Tak - przyznał James, zastanawiając się, jak bardzo raniło ją to, że Eryk się zakochał. Nie mógł tego stwierdzić.

- Wiesz coś o niej?

- Nie znam nawet imienia. Powiedział, że przywiezie ją na otwarcie na Maui w listopadzie.

- Nie wiedziałam - szepnęła Charlie. Poczula skurcz w żołądku. Pozna ukochaną Eryka i prawdopodobnie ją polubi. Chciałaby już mieć to za sobą. Ale musi zaczekać dwa miesiące. - Czy Lynne i Michael przyjadą?

- Jasne.

- Bardzo chętnie poznam Lynne. I Michaela - powiedziała szczerze Charlie. - Chyba wszystko ułożyło się tak, jak mówiłeś.

- Ułożyło się, Charlie, ale inaczej, niż myślałem. Miałaś rację. Lynne wiedziała. Wiedziała od początku.

- Wiedziała o Leslie?

- Nie do wiary, że pamiętasz jej imię! - wykrzyknął James. - Wiedziała, że jest ktoś. Nie wiedziała, wciąż nie wie, kto to był, oprócz tego, że znałem ją z liceum. Tak czy inaczej, to też długa historia. Ale na szczęście przetrwaliśmy.

- Za mało powiedziane. Wyglądasz na szczęśliwego.

- Bo jestem. Posłuchaj, Charlie, chciałbym, żebyś poznała Lynne i Michaela przed listopadem. Może wpadniesz na kolację?

- James, jesteś bardzo miły. Dobrze się czuję, naprawdę.

- Wiem, że dobrze się czujesz, aleja naprawdę chcę, żebyś poznała moją rodzinę. Może w najbliższy piątek?

- Świetnie, James, dziękuję. Już nie mogę się doczekać - powiedziała. Włożyła pantofle i przygotowała się do wyjścia. Koniec przerwy. Zatrzymała się przy drzwiach. - Naprawdę nie mogę się doczekać, kiedy poznam twoją rodzinę.

Po wyjściu Charlie James sięgnął po słuchawkę, żeby zadzwonić do Lynne i zawiadomić ją że zaprosił Charlie na kolację. Wykręcając numer, znów pomyślał o telefonie do Leslie.

Nie zrobi tego. Teraz było bezpiecznie - jakby ich romans był bezpieczny - chyba że Lynne by się dowiedziała. Nie warto. James nie zrobiłby niczego, co mogłoby zagrozić jego życiu z Lynne i Michaeliem.

- To jest *déjà vu* - powiedział.

Leslie obróciła się. Stała w niewielkim laboratorium na oddziale intensywnej terapii w Szpitalu Ogólnym San Francisco, przeprowadzając

badanie gazometryczne krwi. Była trzecia po południu, sobota, szesnastego października.

- Mark!

- Cześć.

- Cześć. Zaczekaj z komentarzami na temat *déjà vu*, aż skończę badanie i stąd wyjdziemy - powiedziała Leslie, drżąc na wspomnienie ostatniego razu, gdy była tu z Markiem. W dniu, gdy go postrzelono. - Jak się masz? Dobrze wyglądasz.

Mark był jak zwykle przystojny. Szczególnego uroku dodawały mu kręgi pod oczami i napięcie na twarzy, ale wcale nie wyglądał dobrze.

Coś jest nie tak, pomyślała Leslie. Dlatego poświęcił część krótkiej wizyty w Atherton, z okazji rocznicy ślubu rodziców Kathleen, na odwiedzenie jej w szpitalu w sobotnie popołudnie.

- Wszystko w porządku. Przykro nam, że nie będziesz na dzisiejszym przyjęciu.

- Ale góra przyszła do Mahometa.

- Chciałem się z tobą zobaczyć - powiedział.

- To miło - odrzekła Leslie. Dlaczego? - zastanawiała się. Patrzyła w jego poważne, piwne oczy i wiedziała, że jej powie.

- Naprawdę to kochasz, prawda? - zapytał. Było to raczej stwierdzenie niż pytanie. Pełne żalu stwierdzenie niezrozumiałego faktu.

- A ty naprawdę nie - stwierdziła, przyglądając mu się uważnie. O tym chciał porozmawiać. Wreszcie.

- Lubię niektóre elementy - powiedział szybko.

Wciąż próbuje przekonać samego siebie, pomyślała Leslie, wciąż nie pozwala sobie odejść.

- Czego nie lubisz?

Mark się zawahał. Potem powiedział ostrożnie:

- Nie lubię smutku. Nie lubię patrzeć na chorych, umierających ludzi.

Kto lubi?, pomyślała Leslie. Nie jestem lekarzem dlatego, że lubię oglądać chorobę i śmierć. Jestem lekarzem, bo chcę pomagać. Ale nie chodzi o to, dlaczego ja wybrałam ten zawód. Mam pomóc Markowi zdecydować, żeby odszedł.

- Co dręczy cię najbardziej? - zaciekawiała się.

- Robi mi się smutno. Czuję się tak, jakbym sam umierał. To wpływa na całe moje życie - wyznał. Moje życie wydaje się beznadziejne.

- W takim razie odejdz, Mark. Odejdz - powtórzyła dobitnie Leslie. Odejdz, zanim to zniszczy ciebie i Kathleen. Zanim zniszczysz sam siebie. Już kiedyś zastanawiała się, w tym maleńkim laboratorium, czy

Mark chce umrzeć. Teraz obawiała się, że może on widzi jedyne wyjście w śmierci. Co będzie, jeśli pogodzi się ze śmiercią i smutkiem, który go spala? Jeśli się podda, zamiast walczyć, tak jak ona?

A jeśli...

- Martwię się o ciebie - rzekła z powagą.

- Nie martw się, Leslie. Wszystko w porządku - powiedział bez przekonania. - Czasem przez kilka tygodni jestem zachwycony specjalizacją...

- A potem?

- Potem przechodzę okresy wątpliwości. Ty nie? - zapytał z nadzieją w głosie.

Dlatego tu przyszedł, pomyślała Leslie. Chce usłyszeć, że takie uczucia są normalne. Mam go przekonać, żeby nie odchodził.

- Czuję smutek. Wiesz o tym. Czasami myślę, że emocjonalnie byłoby łatwiej robić coś innego. Ale - rzekła zdecydowanie - nie czuję, żeby spalał mnie smutek lub śmierć. Mark, co z twoim zainteresowaniem literaturą? Pisaniem?

- Dużo o tym myślę.

- Zajmij się tym - naciskała Leslie. - Co sądzi Kathleen?

- Nie rozmawiałem z nią na ten temat. Nie wiem, co by pomyślała.

- Wiesz, że wyszła za ciebie nie dlatego, że jesteś lekarzem. - Leslie, przypomniała sobie rozmowę z Kathleen w dniu, gdy Mark został ranny. Wyszła za niego mimo to.

- Ja to wiem? - zapytał Mark zaskoczony.

- Powinieneś wiedzieć. Jeśli ja to wiem, to ty też powinieneś. Mark, rozmawiaj o tym z Kathleen - powiedziała ostrożnie Leslie. Nie chciała go urazić. Czy z Kathleen popełniał te same błędy, co z Janet? Czy ją odsuwał? - Kathleen musi widzieć, że coś cię gnębi.

- Och, nie wiem. Nie sądzę. Chciałem tylko porozmawiać o tym z tobą, skoro jestem w mieście - powiedział lekko Mark. - Opowiedz mi o Eryku. Kathleen uważa, że jest wspaniały...

Palce Kathleen drżały, gdy wykręcała numer. To był desperacki pomysł, ale ona była zdesperowana.

Ross odebrał po czwartym dzwonku.

- Ross, tu Kathleen.

- Cześć, witaj w domu. Przykro mi, że nie zobaczę cię tym razem, ale...

- Wiem, rozumiem. Może wrócę na premierę *San Francisco* w przyszłym miesiącu. Właściwie mniej więcej w tej sprawie dzwonię. Czy jest Janet? - zapytała.

- Spaceruje po plaży. Dlaczego?

Kathleen milczała przez dłuższą chwilę. Gdy znów się odezwała, Ross usłyszał w jej głosie niepokój.

- Chcę z nią porozmawiać. - Kathleen była roztrzęsiona.

- Z Janet? Katie, słoneczko, co się stało?

- Nie wiem, co się stało. Coś złego dzieje się z Markiem.

- Co takiego?

- Ma złe nastroje. Czasami jest wszystko w porządku, a czasami zamyka się w sobie. Podejrzywałam, że to depresja. Przejrzałam jego książki medyczne. Nie ma klasycznych objawów depresji. Przed ślubem czasem też taki był, ale rzadko. Kładłam to na karb rozwodu. Sama już nie wiem, Ross. Czasami myślę, że Mark żałuje, iż się ze mną ożenił... - rozpląkała się Kathleen.

- Katie. Nikt nigdy nie żałowałby ślubu z tobą.

- Dziękuję - pociągnęła nosem. - Ale, Ross, Mark cierpi, a jest moim mężem. Takie są fakty.

- Dlaczego chcesz rozmawiać z Janet? - zapytał niechętnie.

- Chciałam tylko zapytać, czy dla niej też taki był. Może wiesz?

- Nie. Nie rozmawiamy o jej małżeństwie z Markiem - powiedział.

I ja tego nie chcę.

- Zapytasz, czy porozmawia o tym ze mną?

- Katie...

- Ross, błagam. Jeśli nie zechce, to nie.

- Skoro ci zależy, to ją zapytam - odrzekł z wahaniem. Kogo chronił? Janet? Ich związek? Od sierpnia układało się im doskonale. - Gdzie jest teraz Mark? Nie z tobą?

- W mieście, odwiedził Leslie w szpitalu.

Leslie, pomyślał Ross. Przyjaciółka Marka. Przyjaciółka Janet. Ukochana Eryka Lansdale'a.

- Porozmawiaj z Leslie. Może ona wie, co się dzieje z Markiem - zaproponował.

- Nie mogę o tym rozmawiać z Leslie. Naprawdę, Ross. Ona od początku uważała, że nie jestem właściwą osobą dla Marka.

- Co? - zapytał Ross, zdziwiony. - Jak możesz być nieodpowiednia dla Marka? Dla kogokolwiek?

- Nie wiem. Odniosłam wrażenie, że Leslie uważa mnie za poszukiwaczkę skarbów.

- Ty jesteś skarbem.

- Cóż, za emocjonalną poszukiwaczkę skarbów; chyba uznała, że jestem dla Marka zbyt trywialna, nie dość szczerą. Sama nie wiem. Wiem

tylko, że Leslie mnie nie aprobuje. Nie mogę z nią rozmawiać - stwierdziła Kathleen i nagle zamilkła. Co ja wyprawiam? - zastanawiała się. Po chwili dodała powoli. - I nie mogę też rozmawiać z Janet. To był głupi pomysł.

- Katie, zapytam ją, jeśli chcesz. Jeśli to może ci pomóc - powiedział Ross.

- Nie pomoże. Raczej nie. To mój kłopot. Chyba tylko chciałam się komuś zwierzyć. Tobie. - Kathleen starała się mówić pewnym głosem.

- Bardzo mi przykro, kochanie.

- Wiem, Ross. Dziękuję. Muszę kończyć - powiedziała nagle Kathleen, walcząc ze łzami.

- Dzwon do mnie, Katie.

Ross odłożył słuchawkę w momencie, gdy w drzwiach stanęła Janet, uśmiechnięta, zarumieniona od szybkiego spaceru i chłodnej, październikowej oceanicznej bryzy.

- Kto dzwonił? - zapytała z uśmiechem, całując go w usta.

- Kathleen.

- Och! Jak się ma?

- Chyba dobrze - powiedział Ross nieprzekonująco, najwyraźniej zmartwiony. Nie był pewien, czy chce o tym powiedzieć Janet, ale nie mógł zapomnieć bólu w głosie Kathleen.

- Co się stało?

- Mark ma złe nastroje i zamyka się w sobie - rzekł z westchnieniem.

- Och - powiedziała współczująco Janet. - Niedobrze. Wiem, jak się czuje Kathleen.

- Wiesz, dlaczego Mark się tak zachowuje? - zapytał Ross. Może Janet powie mu coś, co pomoże Kathleen. Coś, co on będzie mógł powiedzieć Kathleen.

- Mam teorię - powiedziała Janet powoli, wspominając. - Sądzę, że Mark tak naprawdę nie chce być lekarzem. I to go rozdziera.

- Jeśli nie chce być lekarzem, dlaczego nie rzuca medycyny? - zapytał Ross z lekkim zniecierpliwieniem. Nie robił rzeczy, których nie chciał robić. Chyba że miał bardzo ważny powód. Nie chciał mieszkać w za małym domku Janet, ale mieszkał, bo Janet była bardzo ważnym powodem.

- To nie takie proste.

- Przeciwnie - przerwał zdecydowanie.

Janet uśmiechnęła się do niego w zamyśleniu.

- Wszystko widzisz tak jasno - powiedziała, drocząc się z nim.



- Po prostu nie toleruję ludzi niezdecydowanych.  
- Wiem. Nie sądzę, żeby to była kwestia niezdecydowania bo Mark nie miał wyboru. Od urodzenia miał być najlepszy - powiedziała Janet, uśmiechając się smutno.

- Najlepszy - powtórzył cicho Ross, zastanawiając się, czy miało to jakikolwiek związek z tym, co zawsze mówiła Janet. Że bycie najlepszą nie ma dla niej znaczenia - chociaż naprawdę taka była.

- Mark był... jest, najlepszy we wszystkim, co robi. Został tak wychowany i taki się stał. Ma taki wewnętrzny przymus.

- Nie mam nic przeciwko ludziom, którzy chcą być najlepsi - zirytował się Ross. Ogarnęło go zniecierpliwienie. - Więc dlaczego nie rzuci medycyny i nie zostanie najlepszy w dziedzinie, którą lubi?

- Moim zdaniem Mark wierzy, że zawód lekarza jest najlepszy. Spędził całe życie - całe życie! - przygotowując się do tego, by stać się najlepszym lekarzem. Teraz nim jest i tego nienawidzi. To wielka klęska, a Mark nigdy nie zawodzi - rzekła Janet, marszcząc brwi.

Ciebie zawiódł, pomyślał Ross bez złośliwości. Widział Marka kilka razy. Polubił go, szanował. Bardzo mu zależało na obu kobietach, które zakochały się w Marku. Słuchając Janet, zaczął mu trochę współczuć.

Nieudane małżeństwo. Kariera zawodowa - jedyna możliwa - również nieudana. Składało się to na nieudane życie. Mark musiał zacząć dokonywać wyborów.

- Nie jest dobrym lekarzem? - zapytał Ross.

- Leslie mówi, że jest cudownym lekarzem. Najlepszym. Tylko że tego nienawidzi i to go dręczy.

- Musi się wyrwać - stwierdził dobitnie Ross, zdziwiony własną nagłą troską. Musi się wyrwać dla dobra Kathleen. I dla własnego dobra.

- Wiem. Nam łatwo to zrozumieć. To wydaje się takie oczywiste. My chyba nie mamy pojęcia, jak trudno będzie Markowi odejść. Może się to okazać niemożliwe. Trudno jest odstępować od czegoś, w co wierzyło się przez całe życie - powiedziała Janet ostrożnie, zamyślona. - Od czegoś, co jest twoim życiem, częścią tego, kim jesteś ty sam. To jak odejście od samego siebie.

Wiem, jak bardzo chciałam wierzyć, że moje małżeństwo można uratować, pomyślała. Chociaż od dawna wiedziałam, że się skończyło. Byłam gotowa na wielkie cierpienie, zanim wreszcie odeszłam od nas obojga. Odeszłam od Marka...

Ross i Janet przez kilka chwil siedzieli w milczeniu.

- Czy Leslie wie? - zapytał w końcu Ross.  
- Gdy odeszłam od Marka, on sam nie wiedział. To była tylko moja teoria. Ale sądzę, że Leslie wie. Teraz. - Janet westchnęła i wzięła Rossa za rękę. - Mamy szczęście.

Ross przyciągnął ją do siebie i głąskał po jedwabistych włosach.

- Wielkie szczęście - powtórzyła, tuląc się do niego. - Dopóki nowy właściciel nie wymówi nam domku!

- Prawdopodobnie nigdy go nam nie wymówi - rzekł Ross. - Ale domek i tak jest za mały.

- Tak sądzisz? - przekomarzała się, udając zdziwienie. Ross niemal codziennie skarżył się, że domek jest zbyt mały. Potrzebował więcej miejsca, żeby rozkładać scenariusze; musiał mieć fortepian i sprzęt stereo. - Może kiedyś kupimy większą posiadłość na wsi.

- Kupimy razem posiadłość? - zapytał.

- Tak - odpowiedziała cicho, uświadamiając sobie znaczenie tego słowa.

- Zrobiłabyś to z kimś, kto nie byłby twoim mężem?

- Nie - szepnęła. Policzki jej się zarumieniły, oczy błyszczały. Tego właśnie chciała. Nie przerażało jej to. Przeciwnie, uszczęśliwiało. Gdyby tylko on również tego chciał...

- Janet? - zapytał ostrożnie.

- Co? - odpowiedziała pytaniem, uśmiechnięta, rozpromieniona.

- Wyjdiesz za mnie?

- Tak - odparła prawie bez tchu. - Tak, oczywiście.

- Naprawdę?

- Naprawdę.

- Kocham cię.

- Kocham cię.

Wtedy Ross zaczął się śmiać.

- Ross! - krzyknęła i też się roześmiała. - Dlaczego się śmiejemy?

- Bo w twoich... naszych musicalach w tym momencie śpiewasz piękną piosenkę i idziesz z kimś do łóżka.

- To brzmi cudownie, o ile tym kimś będziesz ty.

- Ale mamy teraz coś o wiele ważniejszego do roboty - rzekł bardzo poważnie.

- Tak? Co?

- Musimy się przeprowadzić. Do większego domu z większą sypialnią. Teraz, zaraz. Chodź - powiedział, spychając ją ze swoich kolan.

- Gdzie? - zapytała. Czy to możliwe?

- Półtora kilometra stąd.

- Ross. Naprawdę? Ty kupiłeś... - Zaniemówiła. Do oczu napłynęły jej łzy.

- Tak. Sporo mnie to kosztowało. A skoro tyle płacę pewnej pięknej, utalentowanej...

- Żenisz się ze mną dla pieniędzy? - zapytała Janet, patrząc na niego niewinnymi, lśniąco szarymi oczami.

- Jasne. Dla połowy twojej hipoteki.

- „Dla połowy twojej hipoteki”. Wspaniały tytuł piosenki miłosnej - dodała marzycielsko, idąc za nim w stronę drzwi. - Czy dom jest umeblowany?

Ross zatrzymał się i potrząsnął głową, uśmiechając się bezradnie do Janet.

- Może więc odłożymy przeprowadzkę do jutra? - droczyła się czule.

- Zamieszkamy tam razem?

- Tak.

- Wróćmy więc do tradycyjnego konceptu pójścia z kimś do łóżka - powiedział, ciągnąc ją za sobą.

- Do najmniejszej sypialni świata? Z mężczyzną, którego kocham? - zapytała poważnie, gorąco całując go w usta.

- Kocham cię, Janet.

Dwie godziny po wyjściu Marka ze Szpitala Ogólnego San Francisco Leslie wezwano na pediatryczny oddział intensywnej terapii.

- Cześć, Leslie, tu Bruce Franklin. Przyjeliśmy właśnie siedmioletniego chłopca z głęboką hipoglikemią, w śpiączce. Prawdopodobnie okaże się, że to zespół Reye'a, ale jest kilka nietypowych objawów. Masz czas, żeby wpaść? Możesz pomóc.

- Jasne. Dawno już nie byłam na pediatrii...

- Wiem, ale może to być choroba wieku dorosłego. Twoja opinia może nam wiele dać.

- Już idę.

Chłopiec leżał nieruchomo w łóżku. Jakby spał. Miał zamknięte oczy, ale długie, ciemne rzęsy się nie poruszały. Nie spał. Był w śpiączce. Oddychanie wspomagano mechanicznie, a ciśnienie krwi utrzymywano lekarami, które wpływały starannie odmierzonymi kroplami do jego niebieskich żył.

- Mógłby to być zespół Reye'a, Les, ale podobno do dziś chłopiec bardzo dobrze się czuł. Nie przechodził żadnych chorób. Enzymy wątrobowe są w normie. Matka próbowała go obudzić z drzemki dziś

po południu, ale nie reagował. Poziom cukru wynosi dwanaście. Wyniki badania płynu mózgowo-rdzeniowego są w normie.

Leslie podeszła do chłopca i uważnie przyjrzała się jego twarzy. Potem uniosła kóldrę i obejrzała szczupłe ciało. Pediatrzy patrzyli w milczeniu, jak w jej niebieskich oczach w miejsce zawodowej troski pojawiło się przerażenie.

- On nie czuł się dobrze do wczoraj, Bruce - rzekła bezbarwnie. - Jest kachektyczny. Ma bardzo małą masę mięśniową. Jest poważnie niedożywiony, nie sądzicie? Musi cierpieć na przewlekłą chorobę.

- Zgadząmy się, Leslie - rzekł ostrożnie Bruce. - Nie wygląda na zdrowego chłopca, ale jego matka mówi, że wczoraj, jak zwykle, bawił się na dworze.

- Czy można jej wierzyć?

- Wygląda na bardzo zaniepokojoną. Coś jeszcze?

- Ma otarcia na nadgarstkach i kostkach - stwierdziła. Mówiąc to, podniosła ramiona chłopca, żeby obejrzyć otarcia na obu nadgarstkach. Nieświadomie skrzyżowała jego ramiona, kładąc jedno na drugim. Otarcia zetknęły się w punkcie, gdzie nakładały się na siebie kości przedramion. Leslie położyła ręce chłopca i spojrzała na kostki. Otarcia były takie same. Powstały od ucisku w punkcie, gdzie krzyżowały się kości.

- Och, mój Boże, Bruce - szepnęła.

Bruce kiwnął głową.

- Związano go, prawda? - zapytała z przerażeniem Leslie, uświadamiając sobie, że Bruce i pozostali też to podejrzewali. Ona była niezależnym obserwatorem, mającym wyrazić swoją opinię. - I głodzono...

- I zamordowano - powiedział jeden z lekarzy.

- Nie możecie go uratować? - zapytała Leslie.

- Staramy się, Leslie. Mimo podawanych leków ciśnienie wciąż jest niskie. Ma niewydolność nerek. Prawdopodobnie też niewydolność wątroby, chociaż poziomy enzymów są w normie. Prawie nie ma hepatocytów. Podajemy mu wszystko, co mamy - powiedział Bruce. Jego głos zdradzał ogromne napięcie.

- Myślisz, że to matka? - zapytała z niedowierzaniem Leslie. Pediatrzy nieraz widywali maltretowane dzieci. Interniści oglądali spustoszenia wywołane przez samych pacjentów - efekty narkotyków, tytoniu, alkoholu, otyłości - ale rzadko mieli do czynienia z niewinnymi ofiarami. Czy możliwe, że zrobiła to jego matka?

- To prawie pewne. Gdy przyjechali sanitariusze, chłopiec leżał w łóżku i wyglądał, jakby spał. To ona powtarzała, że wczoraj bawił się na dworze. Wiemy, że to nie może być prawda.

- Ojciec?
- Chyba sąrozwiedzeni. Ona opiekuje się dzieckiem. Ma przyjaciela, który również wygląda na bardzo zmartwionego.
- Co zrobicie?
- Spróbujemy go uratować. Zawiadomimy policję. Może ktoś będzie chciał z tobą porozmawiać, Leslie.
- Dobrze. Bruce, widziałeś już kiedyś coś takiego?
- Zdarza się to bardzo często, Leslie.

Jadąc do mieszkania Eryka na Pacific Heights o wpół do piątej następnego popołudnia, Leslie myślała o tym, co się stało. Przesłuchiwała ją policja. Leslie widziała matkę i jej przyjaciela, dobrze ubranych, zadbanych, z płaczem odpowiadających na pytania policjantów. Była przy śmierci chłopca, którego lekarze, mimo ogromnych wysiłków, nie zdołali uratować. Myślała o słowach Marka, o oglądaniu smutku, bólu i tragedii, które potrafią spalać.

Czuła, że spala ją to, co widziała ostatniej nocy. Długo próbowała zrozumieć, jak istota ludzka może zrobić coś takiego innej istocie ludzkiej, jak matka mogła zrobić coś takiego swojemu dziecku. To przerastało jej wyobrażenia, ale taka była prawda. Wiedziała, że to wspomnienie, powodujące skurcz w żołądku i sercu, nigdy jej nie opuści.

- Wyglądasz na wyczerpaną, kochanie - powiedział Eryk, wyciągając do niej ramiona, gdy weszła do jego mieszkania.

Zwykle, mimo zmęczenia, Leslie uśmiechała się do Eryka, a jego widok budził w niej ekscytację. Ale dziś bez radości wtuliła się w jego ramiona. Czuła ulgę, że z nim jest, że otacza ją jego ciepło i miłość, ale nie czuła radości.

Nie mogła przestać myśleć o maltretowanym chłopcu. Miała go ciągle w sercu.

Leslie zaczęła cichutko płakać, przyciskając głowę do piersi Eryka.

- Leslie? Co się stało?

Potrząsnęła głową.

- Powiedz mi, kochanie - rzekł ostrożnie, całując czubek jej głowy, muskając ustami jej kasztanowe włosy.

Leslie się wahała. Wiedziała, że Eryk nie lubi słuchać o jej pacjentach. Nigdy o tym nie rozmawiali, ale gdy opowiadała mu o szczegółach czyjejś choroby, pogrążał się w swoich myślach. Nie miało znaczenia, czy historia była smutna czy wesoła. Eryk zawsze był uprzejmy, ale nie zadawał pytań i nie okazywał zainteresowania. Szybko zmieniał temat.

Będą musieli o tym porozmawiać kiedyś, gdy będą oboje wypoczęci. Na Hawajach, postanowiła Leslie. Musiała wiedzieć, dlaczego Eryk nie chciał słuchać o jej pracy. To nie był drobiazg. Medycyna była częścią jej życia, częścią niej samej. A jeśli pewnego dnia stanie się coś tak straszego, że będzie musiała z nim porozmawiać? Będzie potrzebowała jego pomocy?

Teraz to się stało. Musiała mu powiedzieć - powiedzieć komuś, a jego przecież kochała. Była zbyt zmęczona i zdenerwowana, żeby najpierw porozmawiać o sprawie.

- Muszę ci coś powiedzieć, Eryku - powiedziała prawie przeproszając. Słyszała obawę w jego głosie. I miłość.

- Powiedz.

- Wczoraj w nocy na intensywnej terapii przyjęto chłopca. Z początku lekarze sądzili, że miał tak zwany zespół Reye'a... - Leslie przerwała. Eryk zeszywniał, odsunął usta od jej głowy. - Eryk?

- Słucham - powiedział chrapliwie, odsuwając się od niej. - Zrobiłem kawę, przynieść ci?

- Nie, muszę się przespać - powiedziała, idąc za nim do kuchni z widokiem na Presidio. - Tak czy inaczej, myśleli, że ma zespół Reye'a. Zwykle występuje po wietrznej ospie albo...

- Wiem, co to jest - rzekł sucho.

- Wiesz?

- Tak. Ale nie to mu dolegało, prawda? - zapytał szybko. - Maltretowano go. Czytałem w porannych gazetach.

- Media nie przepuszczają niczego - rzekła, przypominając sobie, że w szpitalu pojawili się reporterzy. Na szczęście tym razem nie polowali na nią.

- Nie. To musiało być okropne, Leslie - rzekł Eryk. Mówił z wahaniem, jakby był zakłopotany. - Może weźmiesz prysznic i się zdrzemniesz?

Dlaczego nie chcesz ze mną rozmawiać? Nie chcę relacjonować faktów. Chcę ci tylko powiedzieć, jak się czuję. Dlaczego mi nie pozwalasz?, zastanawiała się.

Rozgniewałyby się na niego, ale w jego oczach dojrzała ból, prawie strach.

On chce mi pomóc, ale nie może, pomyślała. Z jakiegoś powodu nie może.

Z jej niebieskich oczu popłynęły łzy. Eryk podszedł do niej szybko, objął ją i całował jej mokre oczy.

- Leslie, przepraszam. Nie bądź smutna. Tak bardzo cię kocham.

- Ja też cię kocham, Eryk. - Kocham cię. Ale musimy o tym porozmawiać. Kiedyś. Innym razem.

## Rozdział 35

**E**ryk spotkał się z nią o ósmej trzydziestej przy głównym wejściu do Szpitala Weteranów. Samolot, którym mieli polecieć bezpośrednio na Maui, startował o dziesiątej. Eryk zrezygnował z firmowego odrzutowca, ponieważ wszyscy lecieli o innych porach. Charlie i James byli już na miejscu. Leslie mogła wyruszyć dopiero teraz, pół godziny po skończeniu nocnego dyżuru.

- Dzień dobry - przywitała się uśmiechnięta, całując go lekko w usta.
- Wyglądasz zachwycająco - powiedział.

Wzięła prysznic i przebrała się w strój podróżny w szpitalu. Białe fartuch, spódnica i kolorowa bluzka były starannie złożone w torbie.

- Po prostu wyglądam inaczej za każdym razem, gdy przychodzisz po mnie do szpitala. Nie mam stetoskopu ani pogniecionego fartucha poplamionego jodyną. Zapewne wyglądam też na szczęśliwą. Przez całą noc myślałam tylko o tym, że na końcu tunelu czeka mnie pięć dni na Hawajach z Erykiem.

- Całą noc? - zapytał, gdy, wyjechawszy z okrągłego podjazdu, ruszyli w kierunku autostrady i Międzynarodowego Lotniska San Francisco.

- Niestety tak - powiedziała. Odkąd poznała Eryka, stopniowo porzucała zwyczaj całonocnego czuwania. W wolnych chwilach próbowała spać. - Byliśmy bardzo zajęci. Nie spałam całą noc, ale nie jestem ani trochę zmęczona. Nie zmarnuję na sen ani sekundy z następnych pięciu dni!

- Część tych pięciu dni musisz spędzić na odpoczywaniu. Wciąż jeszcze nie doszłaś do siebie po miesiącu na intensywnej terapii.

- Ty też potrzebujesz wypoczynku.
- Zamierzam być przy tobie przez cały czas.
- W takim razie będzie przyjemnie.

Jechali przez chwilę w milczeniu, trzymając się za ręce.

- Och, wczoraj dzwoniła Janet. Mam dopilnować, żebyś nie myślała, że ma nam za złe nieprzyjście na jej ślub. - Skrzywił się. - To chyba chciała mi przekazać.

- Na jej ślub i na premierę *San Francisco*. To będzie pięć z najbardziej obfitujących w wydarzenia dni jej życia - rzekła w zamyśleniu Leslie, przypominając sobie, z jaką ekscytacją Janet opowiadała przez telefon, że mają trzy tygodnie na zaplanowanie ślubu. Jej rodzice przyjeżdżali z Lincoln na premierę *San Francisco*. Janet chciała, żeby ślub odbył się podczas ich wizyty.

Lista gości była krótka, lecz figurowały na niej najważniejsze osoby: kochający przyjaciele i rodzina, rodzice Janet i rodzice Rossa oraz kilkoro przyjaciół takich, jak Leslie i Eryk. Po ceremonii wszyscy mieli udać się na obiad w Klubie Carlton. A następnego wieczora pójść na premierę *San Francisco*, w którym wystąpi Janet MacMillan.

Leslie pamiętała ekscytację Janet. Pamiętała też jej rozczarowanie, gdy powiedziała, że będzie z Erykiem na Maui.

- Denerwujesz się - rzekł Eryk.

- Nie. Ale bardzo żałuję. Chciałabym tam być. To moja droga przyjaciółka. Ale - uśmiechnęła się Leslie - Janet wie, jak bardzo się cieszymy ich szczęściem. Przepadła mi kolejna szansa zobaczenia Klubu Carlton.

- Czy to pałaca potrzeba?

- Nie. Tylko pałaca ciekawość. Moi przyjaciele wybierają to miejsce na swoje śluby.

- Może my... - zaczął, ale przerwał. Omal nie powiedział „Może powinniśmy się pobrać”. Tak łatwo byłoby to powiedzieć. To właśnie chciał powiedzieć. Ale najpierw muszą porozmawiać. Musi jej opowiedzieć o Bobbym. I o Charlie. Leslie musi zrozumieć, dlaczego było mu tak trudno słuchać o jej pacjentach, musi się dowiedzieć, że nie był pewien, czy może mieć jeszcze dziecko, czy może jeszcze raz ryzykować ból.

Na Maui muszą odpocząć. I porozmawiać.

- Może? - zapytała z zaciekawieniem, a w jej niebieskich oczach pojawiły się iskierki. Wiedziała, czego omal nie powiedział. I że zachował to pytanie na inny moment.

- Może powinniśmy tam kiedyś wpaść na kolację - rzekł z uśmiechem, nie patrząc na nią.

Wyszłaby za niego. A on ożeniłby się z nią. Chociaż nie rozmawiali o przeszkodach, które istniały, jak oboje wiedzieli, pobraliby się, bo wierzyli, że ich miłość może pokonać wszystko.

- Może powinniśmy! - odpowiedziała ze śmiechem. Nie śpiesz się, Eryku.

Gdy samolot osiągnął odpowiedni pułap, Leslie wypita kieliszek szampana z sokiem pomarańczowym i zasnęła skulona przy Eryku.



Obudziła się wypoczęta, dopiero gdy koła dotknęły pasa startowego lotniska Kahalui na Maui.

- Cóż za ciepły, cudowny zapach! - wykrzyknęła, gdy po wyjściu z samolotu szli po bagaże.

- Witaj w tropiku, kochanie - rzekł, przytulając ją. - To mieszanina zapachów plumerii, palm kokosowych i trzciny cukrowej.

- Bardzo mi się podoba.

Jechali przez całą wyspę autostradą Mokulele w kierunku Wailea. Mijali zielone pola trzciny cukrowej, poruszone ciepłym, tropikalnym wiatrem, kierując się w stronę jasnoniebieskiego Pacyfiku. W oddali widzieli na falach białą roziskrzoną w słońcu pianę.

- Kto jeszcze będzie? - zapytała Leslie. Nadszedł czas, żeby zapytać o przyjaciół Eryka. Nawet o nich nie rozmawiali.

- Moje dwie prawe ręce. Moja prawniczka, Charlie, i mój architekt, James.

Mój architekt, James. Słowa odbijały się echem w głowie Leslie.

James. Ilu architektów o tym imieniu pracuje w San Francisco? Setki. Setki. Jednak nie miała odwagi zapytać o nazwisko. To nie było możliwe.

- Pracują u ciebie, czy mają własne firmy? - zapytała ostrożnie, z bijącym sercem.

- Oboje pracują w InterLandzie. I nie pracują dla nikogo innego.

Dobrze. To wykluczało Jamesa Stevensona z firmy O'Keefe, Tucker i Stevenson. Serce Leslie odrobinę się uspokoiło. Ale James pracował nad projektem budowy na Hawajach. Na Maui.

- To nie jest wyjazd urodzinowy, chociaż są twoje urodziny... - zaczęła powoli Leslie, przypominając sobie, co Eryk mówił w sierpniu. Potrzebowała informacji. Chociaż wcale ich nie chciała.

- Moje i Charlie. Nie, świętujemy otwarcie centrum rekreacyjnego, które zbudowaliśmy. Właściwie zostało otwarte w zeszłym tygodniu. Postanowiliśmy sprawdzić, czy jest tu tak wspaniale, jak głoszą reklamy, nasze reklamy.

- To twoje centrum rekreacyjne? - zapytała Leslie, coraz bardziej zdenerwowana.

- Tak. - Moje. I twoje. - Jesteśmy prawie na miejscu.

Trzy minuty później wjechali na teren ośrodka. Na dużej tablicy było napisane: Ocean Palms - Centrum Rekreacyjne InterLand.

InterLand. Firma Eryka. James nigdy nie wymienił tej nazwy. Ani nazwiska Eryka. Czyli jednak nie. To przecież niemożliwe.

Ale gdy tylko Leslie zobaczyła hotel, okazałą realizację cudownych szkiców, które z dumą pokazywał jej James, zawirowało jej w głowie. Uświadomiła sobie, że Eryk na nią patrzy.

- I?

- Och, Eryku, tu jest wspaniale - powiedziała szczerze, z bijącym sercem.

Rzeczywiście było tam wspaniale. Jak w cudownym, tropikalnym raj. Elegancki hotel z białego marmuru doskonale i naturalnie harmonizował ze wspaniałym, tropikalnym otoczeniem. Ale na tym właśnie polegała wyjątkowość talentu Jamesa: potrafił zawrzeć swoją miłość do przyrody w pięknie budynków, które tworzył.

Leslie stała w przewspaniałym holu, czekając, aż Eryk ich zamelduje. Chciała już iść do pokoju. Zastanawiała się, w jaki sposób - jeśli w ogóle - może mu o tym powiedzieć. Hol był barwnym i wonnym ogrodem białych, żółtych i fioletoworóżowych plumerii, czerwonego i różowego anturium oraz jasnozielonych palm. Bezcenne wschodnie chodniki leżały na białych, marmurowych posadzkach. W kanale z turkusowoniebieską wodą pływały czerwone, złote i białe karpie koi. Za wysokimi, smukłymi, białymi filarami, podpierającymi ogromną choć wyglądającą na lekką konstrukcję rozpościerał się szafirowy ocean.

Leslie zauważyła tę kobietę, ponieważ nawet wśród splendoru dzieła Jamesa była uderzająca. Złote włosy opadały jej do pasa, falując rytmicznie, gdy szła ku nim. Miała na sobie białą suknię, chłodną elegancją ładnie kontrastującą ze złotą opalenizną. Gdy zobaczyła Eryka, jej ogromne, brązowe oczy spojrzały ciepło, ale nagle szeroko się otworzyły, gdy ten ruszył w stronę Leslie.

- Eryku - powiedziała gładko, wyciągając do niego wypielęgnowaną dłoń, uśmiechając się niezręcznie do Leslie. To nie może być ona, myślała Charlie. Ale te oczy. Te wielkie, niebieskie oczy. Charlie widziała już te oczy.

- Charlie. Cześć. Charlie, poznaj Leslie Adams. Leslie, to Charlie Winter.

Charlie i Leslie uśmiechnęły się do siebie, obie zakłopotane i próbujące ukryć niepokój.

- Cześć, Charlie. Muszę przyznać, że wyobrażałam sobie ciebie inaczej - powiedziała swobodnie Leslie. Zbyt wiele niespodzianek, pomyślała. Serce biło jej szybko.

Ty też nie jesteś osobą, której się spodziewałam, pomyślała Charlie. Od godziny przechadzała się po holu, przygotowując się do poznania kobiety, którą kochał Eryk. Wyobrażała ją sobie. Uznała, że to osoba

młoda, zależna i naiwna. Taka, uświadomiła sobie Charlie, jak ja kiedyś, zanim musiałam się stać twarda i niezależna.

Ale to nie była Leslie Adams. Charlie знаła Leslie Adams. Wiedziała o Leslie Adams. Wiedziała, że Leslie uratowała życie koledze i była oburzona, że media interesowały się jej bohaterstwem. Charlie wiedziała, że z powodu Leslie mężczyzna taki, jak James, mógł odepchnąć tradycyjną moralność. Bo nie mógł jej się oprzeć.

Charlie wiedziała, że nigdy nie polubi kobiety, którą pokochał Eryk; ale teraz okazało się, że tą kobietą jest Leslie Adams, a Charlie już lubiła Leslie Adams. Polubiła ją przed szesnastoma miesiącami, gdy zobaczyła w telewizji jej zakrwawioną twarz.

Charlie spojrzała na Leslie.

- Ja też inaczej sobie siebie wyobrażałam - powiedziała miło. Potem spojrzała na Eryka, zmarszczyła brwi i zapytała:

- Gdzie jest Robert?

- Nie przyjedzie. Decyzja zapadła w ostatniej chwili. Nie mógł się wyrwać.

- Och - powiedziała Charlie, zaskoczona własnym rozczarowaniem. Czekala na jego przyjazd. Nie widziała go od czerwcowego wyjazdu na Wschód. Z Robertem byłoby jej łatwiej. On zawsze pomagał. Wiedziałby, co zrobić z Leslie i Jamesem.

Ale Roberta nie było. Była zdana na siebie.

- Eryku, czy mogę wypożyczyć Leslie na jakieś dwadzieścia minut? - zapytała nagle Charlie.

- Teraz? Charlie, jeszcze nie byliśmy w pokoju... - odrzekł Eryk, zaskoczony, ale i zadowolony, że Charlie nie zamierza ignorować Leslie. Nie był pewien, jak zareaguje Charlie.

- Wiem. Właścicielka sklepu z perłami chce podarować każdej z nas, mnie, Leslie i Lynne... - Charlie przerwała, bo zobaczyła, jak Leslie spuszcza wzrok, słysząc to ostatnie imię. Ona wie, pomyślała Charlie, ale też dowiedziała się przed chwilą. Ciągnęła: - Wyjątkową czarną perłę. To trochę mistyczne. Musi porozmawiać z każdą z nas, żeby dobrać odpowiednią perłę. To naprawdę bardzo miłe. Perły są cudowne.

- Czy to pilne? - zapytał przyjaźnie Eryk.

- Bardzo pilne - powiedziała Charlie, uroczyście kiwając głową, ale też się uśmiechając. Muszę z nią porozmawiać, myślała. Bardzo pilne.

- Zgadzasz się, Leslie? - zapytał.

- Oczywiście! - Będę miała czas znaleźć Jamesa.

- Dobrze. Potem przyprowadzę ją do waszego apartamentu. Może to potrwać więcej niż dwadzieścia minut, jeśli nas poniesie.

- Dobrze. Jakie są plany na wieczór? - zapytał Eryk. I wyjaśnił Leslie: - Charlie na pewno coś wymyśliła.

- Koktajle i kolacja tutaj, u Jacquesa, o siódmej. Kolacja urodzinowa jutro u Jamesa i Lynne. Lynne upiecze tort czekoladowo-orzechowy - dodała Charlie bez radości. Poprzedniego dnia, gdy planowały to z Lynne, uważały, że to wspaniały pomysł. Wszyscy będą mogli poznać ukochaną Eryka. Nieformalna kolacja wśród przyjaciół.

O, mój Boże!, pomyślała Leslie.

- Zapowiada się bardzo przyjemnie - powiedział Eryk, nie mogąc zinterpretować wyrazu oczu Charlie. Ani wyrazu oczu Leslie. Może przez tych dwadzieścia minut coś się zmieni. Eryk ścisnął dłoń Leslie i powiedział: - Do zobaczenia wkrótce.

Charlie zaczekała, aż Eryk odejdzie.

- Pewnie chcesz porozmawiać z Jamesem - rzekła bezbarwnym tonem.

- Tak - szepnęła Leslie. Zastanawiała się, skąd Charlie wie. - Czy on wie o moim przyjeździe?

- Nie. James nie wie, że to ty. Eryk nie wie o tobie i Jamesie, prawda?

- Nie, oczywiście, że nie. - Ale skąd ty wiesz?

- Chodźmy do mojego apartamentu.

Leslie patrzyła na Charlie, wykręcającą numer Jamesa, mówiącą swobodnym tonem, że musi się z nim spotkać w sprawie służbowej. Czy mógłby wpaść do jej apartamentu? Tak. Teraz.

Gdy czekały, Leslie oglądała apartament, w milczeniu podziwiając elegancki, kosztowny wystrój: piękne wiklinowe meble z pastelowymi poduszkami, pluszowe dywaniki, fioletowe, niebieskie i kremowe, leżące na czarnej, marmurowej podłodze, jedwabne zasłony, obrazy francuskich impresjonistów i kryształowe wazony z wonnymi, tropikalnymi kwiatami. Wnętrze pasowało do hotelu. Była to widowiskowa celebrowanie naturalnego piękna Hawajów.

W salonie leżało mnóstwo porozrzucanych sukienek, pasków i sandałów. Tak, jakby Charlie chciała ubrać się wyjątkowo ładnie, ale nie mogła się zdecydować.

Dla kogo stroiła się Charlie?, zastanawiała się Leslie. Dla niej, żeby zrobić wrażenie na nowej przyjaciółce Eryka? Charlie nie musiała się wysilać. Jej naturalna, promienna uroda zawsze robiła wrażenie, była nie do ukrycia.

A może Charlie próbowała zachwycić Eryka? Albo Roberta? - rozmyślała Leslie, przypominając sobie błysk rozczarowania w oczach Charlie na wieść, że Robert nie przyjechał.

Charlie nie przeproszała za bałagan ani niczego nie wyjaśniała. Gdy czekały na Jamesa, w milczeniu zbierała sukienki i pantofle i układała je porządnie w obszernej szafie w sypialni.

- Sprawa służbowa? - zapytał James, śmiejąc się cicho, gdy Charlie otworzyła drzwi.

- Nie, James - powiedziała Charlie, odsuwając się na bok, żeby mógł zobaczyć Leslie. - Coś o wiele ważniejszego.

- Leslie!

- Witaj, James.

- Przyjechała z Erykiem - powiedziała Charlie.

- Och - rzekł cicho James, uśmiechając się do niej, chcąc wymazać zmartwienie z jej zakłopotanych, niebieskich oczu. Dobrze, Leslie, pomyślał. Dobrze dla ciebie i Eryka. - To bardzo miło, dla was obojga.

- Dziękuję - powiedziała z prawdziwą wdzięcznością Leslie.

- Wszyscy troje z pewnością uważamy, że to cudownie - rzekła niecierpliwie Charlie - ale...

- Lynne nie zna twojego nazwiska, nie wie też, że jesteś lekarzem. Wie tylko, że znaleźliśmy się w liceum.

- Eryk nie wie nawet o twoim istnieniu - wyjaśniła szybko. - Nie rozmawialiśmy o naszych poprzednich związkach.

James nie patrzył na Charlie. Musi być jej trudno. Tak jak nam wszystkim.

- W takim razie nie muszą się dowiadywać, tak? - zapytała Charlie. - Ani Lynne, ani Eryk. Możecie udawać, że dopiero się poznaliście.

Charlie zależy tylko na tym, żeby chronić Eryka, pomyślał James. Choć jest jej bardzo ciężko, nie chce go zranić.

Leslie powoli kiwnęła głową. Nie chciała, żeby Lynne się dowiedziała. To nie miało sensu. Nie była jednak pewna, czy powinna ukrywać prawdę przed Erykiem. Będzie musiała to przemyśleć. To jej decyzja. Tylko jej.

Trzy godziny później Leslie usłyszała, jak ktoś przedstawia ją Jamesowi. Czuła się tak, jakby stała obok.

- Miło mi cię poznać, James - usłyszała głos, swój głos.

- Witaj, Lynne.

Lynne. Leslie przyglądała się jej z zainteresowaniem. Lynne była delikatniejsza i ładniejsza, niż Leslie się spodziewała. Problemy życia

Lynne - jej bolesne dzieciństwo, twardość, którą musiała w sobie rozwinąć w samoobronie, spustoszenia lat spędzonych wśród „dzieci-kwiatów”, romans jej męża - były ukryte głęboko za ciepłym spojrzeniem piwnych oczu i miłym uśmiechem. Lynne była szczęśliwa. Tak jak szczęśliwy był James.

Lynne zachwycała się hotelem, Maui, tropikalnym klimatem, w którym, jak za sprawą magii, Michael przesypiał spokojnie całe noce, mimo że drzemał jeszcze w dzień.

- Jestem zachwycona. Wrócę tu - powiedziała Lynne, uśmiechając się do Jamesa.

- Już obmyśla przygodę Moniki na Maui - dodał James z dumą. - I upiera się, żeby pisać tutaj.

- Lynne pisze książki dla dzieci - wyjaśniła szybko Charlie, przypominając sobie, że Leslie nie powinna wiedzieć o książkach i Monice. - A James je ilustruje.

- Cudownie - powiedziała Leslie, zastanawiając się, jak zachowałyby się Lynne, gdyby wiedziała, kim ona naprawdę jest?

Podczas kolacji Leslie siedziała bardzo blisko Eryka. Dotykali się okazjonalnie i bardzo krótko: lekkie ściśnięcie dłoni, dotknięcie policzka palcem. Ale często na siebie patrzyli - wymieniając kochające, intymne spojrzenia - i uśmiechali się.

Rozmowa przy kolacji dotyczyła neutralnych tematów, które podsuwała Charlie. Mówili o hotelu, o cudownych potrawach, które właśnie jedli, o książkach, filmach i teatrze. Rozmawiali o *Piotrusiu Panie* w teatrze Union Square. Wszyscy byli na przedstawieniu, czyli James oglądał je dwa razy. Raz na premierze, z Leslie. I jeszcze raz ze swoją żoną w ciąży.

Przez prawie całą kolację rozmawiali o wszystkim z wyjątkiem Leslie, ale gdy podano deser, Lynne przyjrzała się jej uważnie i powiedziała:

- Jest w tobie coś znajomego, Leslie. Nazwisko i wygląd. Wiem, że już cię widziałam.

Leslie potrząsnęła głową. Nie, Lynne, nie znasz mnie. Ty tylko o mnie wiesz. To ja omal nie zniszczyłam twojego małżeństwa

- Byłaś kiedyś w telewizji, prawda, Leslie? - zapytała Charlie, jakby właśnie sobie to przypominała. - Uratowałaś życie innego lekarza.

Leslie uśmiechnęła się do niej z wdzięcznością.

- Zgadza się - powiedziała Lynne, kiwając głową. - Kiedy to było? Charlie posłała Leslie znaczące spojrzenie. Musisz odpowiedzieć.

Zanim zrobi to James.

- W sierpniu zeszłego roku - powiedziała spokojnie Leslie.

- Chyba oglądałam to później - zastanawiała się Lynne. - W jakimś filmie dokumentalnym o dziennikarzach. To były bardzo dramatyczne zdjęcia. Widziałeś, James?

- Tak - powiedział James, patrząc na Leslie. - Chyba tak. A ty, Eryku?

- Nie - rzekł stanowczo Eryk. Delikatnie dotknął dłoni Leslie, dłoni z paskudną blizną, czując, że rozmowa wprawia ją w zakłopotanie. Zapytał swobodnie, ratując ją: - Jak wam smakuje krem karmelowy?

Rozmowa przypomniała Leslie tę straszliwą sierpniową noc sprzed szesnastu miesięcy. Te chwile przerażenia i ich następstwa tak bardzo zmieniły jej życie!

Tamtej nocy sięgnęła ręką w krwawiącą pierś umierającego mężczyzny, którego, jak jej się wydawało, kochała. Drogi Mark.

Potem zdjęcia jej zakrwawionej twarzy połączyły ją z chłopcem, którego kochała, i stał się on mężczyzną którego pokochała tak samo, bardziej niż chłopca. Bardzo drogi James.

Teraz Leslie żałowała, że to wszystko się stało. Teraz ukrywała - bo nie miała czasu się zastanowić - znaczenie tej nocy przed mężczyzną który liczył się dla niej najbardziej. Najdroższy Eryk.

Nie miała czasu o tym myśleć.

Ale czuła, że nie jest dobrze.

Późnym wieczorem Lynne powiedziała do Jamesa:

- Eryk i Leslie wyglądają na bardzo zakochanych, prawda?

- My jesteśmy bardzo zakochani.

- Wiem. Oni też. Ale - rzekła Lynne, mrużąc oczy - coś było nie tak. Wszyscy byli odrobinę spięci. Gdy jestem najweselszą osobą na kolacji, wiem, że coś nie gra.

- Byłaś wspaniała.

- Wykrzesalam z siebie najlepsze zalety stewardessy, prawda? Było mi głupio, ale bałam się niezręcznej ciszy. Ciekawa jestem, dlaczego tak było.

- Mówiłem ci o Eryku i Charlie - podsunął szybko James.

- Może to jest powód. Może Leslie wie o Eryku i Charlie. To Leslie wydawała się najbardziej spięta. Jakby coś ukrywała.

Nic ci nie umknie, pomyślał James. Proszę, nie rozgryź tego, Lynne.

- Nastawię budzik - powiedział James.

- Jesteście zupełnie wyjątkowi. Czy naprawdę musicie oglądać teren o siódmej rano?

- Eryk obiecał, że podczas tej podróży nie będziemy się zajmować sprawami służbowymi - powiedział łagodnie James, myśląc o swoim przyjacielu. - Co oznacza, że sprawy służbowe będziemy załatwiać wcześniej rano, żeby reszta dnia była wolna.

Eryk pocałował ją gdy tylko wrócili do swojego apartamentu.

- Długo cię nie całowałem - powiedział.

- Taka jest cena życia towarzyskiego - odparła Leslie, gorąco odwzajemniając pocałunek, ciesząc się, że Eryk ją przytula. - A my chyba nie lubimy publicznie okazywać uczuć.

- Ja nigdy nie lubiłem.

- To prawda - potwierdziła Leslie, zastanawiając się. A może działo się tak przez Jamesa? Bo on też siedział obok niej? Nie, pomyślała. Dodała szczerze: - Ja też nie.

- Wszystko w porządku? Byłaś taka milcząca - rzekł Eryk, lekko marszcząc brwi na wspomnienie kolacji. Trochę go to martwiło.

- W porządku. Jestem przytłoczona. Zmęczona - wyjaśniła. I dodała, prawie jakby zastanawiała się po fakcie: - Polubiłam twoich przyjaciół.

- Naprawdę?

- Tak. Bardzo. - Jednego z nich lubiłam aż za bardzo.

Leslie leżała bezsenne jeszcze długo po tym, jak Eryk zasnął. Rozmyślała, zadrezczała się, rozważała, czy prawda jest warta przykrości, myśląc o ewentualnej reakcji Eryka, gdyby kiedykolwiek się dowiedział.

Muszę mu powiedzieć, zdecydowała w końcu. Nie mogę tego ukrywać. Nasz związek - i zaufanie - jest zbyt ważny. Powiem mu rano. Gdy tylko wróci.

- Wszystkiego najlepszego, kochanie - szepnęła Leslie do odwróconego plecami Eryka. Ubierał się po cichu, nie chcąc jej budzić. Było wpoł do siódmej.

- Dzień dobry - powiedział, siadając obok niej na łóżku, całując ją.

- Nie mogę uwierzyć, że to robisz.

- To mówi pani, która dyżuruje co drugą noc?

- Masz rację. To twoja praca - powiedziała, uśmiechając się sennie. - Chyba tak. Ale ty jesteś szefem.

- Jutro śpimy do południa.

- Ja mogę już dziś. Będę spać do południa albo przynajmniej do twojego powrotu.



- To nie potrwa długo. Musimy tylko zdecydować, czy chcemy kupić więcej gruntu pod dodatkowe domy mieszkalne.
  - Może więc wrócisz do łóżka?
  - Możesz na to liczyć.
- Co się dzieje, do cholery? - zapytał Eryk, gdy tylko Charlie i James wsiedli do samochodu.
- Jak to?
  - Od miesiący próbujecie wyrwać ze mnie informacje o Leslie, licząc dni do wielkiego odsłonięcia, a teraz nic. Nawet gdybyście jej nie lubili, udawalibyście. Mówilibyście, że jest bardzo sympatyczna. Ale żadne z was nie powiedziało ani słowa.
  - Bardzo nam się podoba, Eryku. Jest piękna i mądra. Jest cudowna - rzekła nieprzekonująco Charlie, patrząc z niepokojem na Jamesa. Nie mów mu.
  - Wczoraj przy kolacji - ciągnął Eryk gniewnie - nikt nie zadał jej żadnego ze zwykłych pytań. Skąd pochodzisz, Leslie? Czy lubisz swoją pracę, Leslie? Jak poznałaś Eryka, Leslie?
  - Muszę mu powiedzieć, Charlie - powiedział James z westchnieniem.
  - Co takiego?
- James wziął głęboki wdech.
- Leslie i ja znamy się od bardzo dawna. Od liceum.
  - *James 1971* - powiedział Eryk, nagle rozumiejąc. - Byliście kochankami w liceum?
  - Nie. O wiele później - powiedział James i przerwał. Eryk zmarszczył brwi i powiedział powoli:
  - To jej numer telefonu podałeś mi rok temu, prawda? - Dlatego kierunkowy wydawał mu się znajomy.
- James kiwnął głową.
- Kiedy to się skończyło? - zapytał Eryk.
  - W grudniu zeszłego roku.
  - Bo Lynne była w ciąży - rzekł bezbarwnie Eryk.
  - Nie wiedziałem, że Lynne jest w ciąży. Rozstaliśmy się, bo tak musiało być.
- James czekał. Charlie czekała.
- Chryste - szepnął w końcu Eryk.
- Jechali w milczeniu przez piętnaście minut. W końcu dotarli do terenu, o którego kupnie myślał Eryk. Zaparkował.

- Dobrze. Jeśli kupimy grunt, możemy tu stawiać domy mieszkalne. Ale, James, co byś zbudował tam? - zapytał Eryk, wskazując na zielone wzgórze w oddali.

Mówił spokojnym, naturalnym głosem, jakby wcale nie dowiedział się przed chwilą, że kobieta, którą kocha, miała romans z jego bliskim, zaufanym przyjacielem.

## Rozdział 36

**E**ryk wrócił do apartamentu o dziesiątej. Leslie wyciągnęła do niego ręce, zapraszając go do łóżka. Eryk stał po przeciwnej stronie sy-pialni. Nie podszedł do niej. Leslie opuściła ręce i usiadła prosto na łóżku.

- Eryk?

- Wiem o tobie i o Jamesie.

- Skończyło się to długo przedtem, zanim się poznaliśmy.

- Wiem. Ale... - Eryk przerwał. Ale co?, zastanawiał się. Potrzebo-wał czasu, żeby to przemyśleć. Musiał zrozumieć, dlaczego wprawia go to w tak wielkie zdenerwowanie. - Idę popływać.

Leslie patrzyła w milczeniu, bezradnie, jak przebiera się w kąpie-lówki i wychodzi z apartamentu.

Patrzyła na niego z balkonu. Nie przypuszczała, że jest takim do-brym pływakiem. Eryk wypłynął na ocean przeciwko falom, pod prąd. Płynął najszybciej, jak potrafił, najsilniej, jak potrafił.

Leslie też tak kiedyś zrobiła, przed laty, gdy dowiedziała się, że przy-jęto ją do Radcliffe. Pływała najszybciej, jak mogła, w lodowatej wo-dzie jeziora Sparrow, mając nadzieję, że to ją uspokoi. Tego dnia, gdy wyczerpana wróciła na brzeg, czekał na nią on, z oszołomieniem przy-głądając się jej swoimi zielonymi oczami kuguara.

James.

Eryk. Wróc do mnie, Eryku. Nie pozwól, żeby to nas zraniło. To nie ma nic wspólnego z nami.

Leslie patrzyła przez chwilę, jak pływa, próbując uwolnić się od se-kretu - jej sekretu - który tak bardzo go poruszył. W końcu patrzenie stało się zbyt bolesne. Leslie postanowiła wziąć prysznic i ubrać się. Włoży sukienkę, którą kupiła, bo wiedziała, że bardzo spodoba się Eryko-wi. Sukienka była biało-niebieska i bardzo kobieca. Pasowała kolorem do jej oczu.

Może będzie na niego czekać na plaży. Tak, jak James czekał na nią, wtedy.

Eryk pływał z otwartymi oczami, chociaż piekły go od słonej wody. Gdy zamykał oczy, widział obrazy: Leslie śmiejąca się z Jamesem, Leslie całująca Jamesa, Leslie w łóżku z Jamesem, Leslie kochająca Jamesa, Leslie pragnąca Jamesa.

Z otwartymi oczami mógł się zmusić do myślenia.

Byłeś z wieloma kobietami, Eryku, mówił sobie. Śmiałeś się z nimi, całowałeś je, kochałeś się z nimi i pragnąłeś ich. Wszystkie były w twoim życiu, zanim poznałeś Leslie, gdy jeszcze nie wiedziałeś, że czeka na ciebie twoja Leslie, że jeszcze może cię coś takiego spotkać.

Jak by się czuła, gdyby poznała którąś z nich?

Jak by się czuła, gdyby poznała tę, która liczyła się najbardziej? Jak by się czuła, gdyby wiedziała o Charlie?

Poczułaby się okropnie, pomyślał. Tak, jak on czuł się teraz, wiedząc o Jamesie. Chociaż James był jego przyjacielem. Zwłaszcza że James był jego przyjacielem. Eryk mógł sobie wyobrazić Leslie i Jamesa razem, znających się, troszczących się o siebie, kochających się.

Nigdy nie powiem jej o Charlie, postanowił. Nie zrobię jej tego. Znajdę sposób, żeby powiedzieć jej to, co trzeba - o Bobbym - bez wspomnienia o Charlie.

Eryk płynął długo, w końcu stał się zbyt zmęczony, żeby myśleć. Chciał tylko być z Leslie. Chciał, żeby obrazy Leslie z Jamesem odeszły.

Eryk spojrział w stronę brzegu, zdziwiony i nieco zaniepokojony odległością. Płynął prosto w morze, szybko i z całej siły. Teraz był wyczerpany. Było mu zimno. Tropikalne akweny traciły swoje ciepło na głębinie, gdy turkusowa woda, która gładziła biały piasek na plaży, stawała się niebiesko-czarna. Głęboka. Złowieszcza. Zimna. A on chciał tylko być z Leslie.

James zaciągnął ciężkie zasłony w sypialni. Lynne spojrzała na niego z zaskoczeniem.

- Pomyślałem, że możemy się zdrzemnąć, skoro Michael śpi - powiedział.

- Zdrzemnąć?

- Nie - powiedział, wsuwając rękę pod jej bluzkę, przyciągając ją do siebie.

- Nie - powtórzyła, sięgając do guzika jego spodni, szukając ustami jego ust.

- Opowiedz mi o fantazjach nowej mamy - szepnął, całując ją. Zdjął jej bluzkę, odsłaniając piersi, wciąż duże po ciąży i pełne, bo karmiła Michaela. James zaczął całować jej piersi, powoli zataczając językiem kółeczka wokół sutków.

Całował jej sutki. Potem łagodnie, ostrożnie, zaczął ssać.

- James - szepnęła, nie mogąc złapać tchu. Nie muszę ci opowiadać o moich fantazjach. Już je znasz.

- Leslie?

- Cześć - szepnęła, oszołomiona. Serce biło jej szybko. Brała prysznic. Czekała.

- Mogę się przyłączyć? Jestem zimny i słony - powiedział.

- Tak. Ja jestem ciepła i czysta.

Leslie otworzyła kabinę i wyciągnęła do niego ręce. Przez dłuższą chwilę mocno się do siebie tulili w ciepłe i parze prysznic. Potem się pocałowali. Był to głęboki, czuły, potrzebny pocałunek.

- Jesteś słony - szepnęła czule Leslie, gdy jej usta dotykały jego ust.

- A ty jesteś czysta jak kryształ.

- Wcale nie - powiedziała. Może bronić, przynajmniej przed sobą, związku z mężczyzną, na którym jej zależało. Trudniej było obronić, nawet przed sobą, romans z żonatym mężczyzną, nawet z Jamesem. Czekając na powrót Eryka, zastanawiała się, jak bardzo go to poruszyło. A jeśli przez to zaczął o niej myśleć inaczej?

- Och, Leslie - powiedział, tuląc ją. - Myślałem, że jestem rozsądny. Byłem taki, dopóki cię nie poznałem.

- To nie ma nic wspólnego z nami.

- Wiem, racjonalnie. Ale...

- Ale co?

- Gdy myślę o was razem, nie czuję się racjonalny. Tylko czuję.

- Z nikim nie było mi tak, jak z tobą. Nigdy nie czułam się tak, jak przy tobie. Ja też zadręczam się obrazami.

- Czego?

- Ciebie i wszystkich nieznanymi kobiet. Nie chciałabym poznać żadnej z nich.

Nie poznasz, pomyślał Eryk. Jeśli tylko zdołam temu zapobiec.

- Wiesz, co chcę dziś robić? - zapytał.

- Co? - zapytała. Wrócić do San Francisco? Może jednak pójdą na ślub Rossa i Janet.

- Zaciągniemy zasłony, zamówimy coś do jedzenia...

- I przeczekamy to w naszym pokoju?
- Najlepiej pod kołdrą.
- Cały dzień i całą noc? - zapytała entuzjastycznie Leslie.
- Nie. Musimy iść na kolację do Jamesa i Lynne, o szóstej.
- Zgadza się. Zapomniałam. Twoja urodzinowa kolacja - powiedziała powoli Leslie. Wszystkiego najlepszego, Eryku. Potem dodała radośnie, próbując rozweselić ich oboje. - I żeby zobaczyć Michaela.

Mówiąc to, Leslie obserwowała Eryka. Gdy wymówiła imię Michaela, jego oczy zachmurzyły się na chwilę. Dlaczego?, zastanawiała się. O tym też zamierzała z nim pomówić podczas tej pięciodniowej, beztroskiej podróży na Hawaje. Ale nie teraz. Nie podczas tej wycieczki.

- Zatem do szóstej będziemy tworzyć wspomnienia, które raz na zawsze wymażą wszystkie inne obrazy? - zapytała, łakomie całując jego usta.

- To właśnie zrobimy - powiedział Eryk, odwzajemniając namiętne pocałunek.

Charlie zasłoniła okna w sypialni swojego apartamentu, żeby do pokoju nie wdzierały się promienie południowego słońca Maui. Łatwiej będzie rozmawiać z nim w mroku. Poza tym tam, gdzie on jest, w Filadelfii, już dawno zapadł wieczór.

Czemu do niego dzwonię?, zastanawiała się, wykręcając numer zapisany w notesie, jego numer domowy, którego nigdy nie używała. Po prostu dzwonię, uznała. Bez powodu.

- Robert? Tu Charlie.
- Charlie! Wszystko w porządku?
- Wszyscy w porządku. Wszystko do niczego.
- Trudno ci patrzeć na nich razem?
- Dlaczego nie przyleciałeś? - zapytała, nie odpowiadając na jego pytanie.

Bo nie chcę już być twoim ojcem ani opiekunem. Musisz sama otrząsnąć się po moim synu. Wtedy...

- Chciałaś, żebym przyjechał?
- Oczywiście, Robercie - powiedziała Charlie. - Myślałam, że chcesz ją poznać.

- Leslie?
- Och! Już ją znasz?
- Nie. Ale jadę z Erykiem i Leslie na Boże Narodzenie do Seattle, gdzie mieszkają jej rodzice.

- Och - wyrwało się Charlie. Boże Narodzenie. Bez Eryka czy Roberta. Od dziesięciu lat spędzała wszystkie święta z Erykiem. Czasami z nimi dwoma. Czas dorosnąć, Charlotte D. Winter. Fantazja się skończyła. - Wiedziałeś, że ona jest lekarzem, Robercie? Eryk poznał ją w czerwcu, gdy skaleczył się w rękę.

- Nie wiedziałem tego - powiedział. W jego głosie słychać było troskę. - Powiedział jej?

- O Bobbym? Nie sądzę. Nie powiedział jej o mnie. I chyba nie powie.

Charlie opowiedziała Robertowi o Jamesie i Leslie i o tym, że reakcja Eryka - którą wyczuła mimo jego pozornego opanowania - każe jej się zastanawiać, czy Eryk powie Leslie o niej. Albo o Victorii. Albo o Bobbym.

- Musi jej powiedzieć o Bobbym - rzekł Robert. Potem dodał łagodnie: - I powinien jej powiedzieć o tobie.

- Nie sądzę, żeby kiedykolwiek jej to powiedział.

- Musi jej powiedzieć o Bobbym - powtórzył Robert.

Robert i Charlie rozmawiali trzy godziny. Po pierwszych niezręcznych chwilach ich rozmowa przybrała swobodny, nieformalny ton, tak jak przez dziesięć dni na Wschodzie.

- Co robisz w święta? - zapytał Robert na zakończenie.

- Nie mam jeszcze żadnych planów - odrzekła.

- Do Seattle jedziemy tylko na kilka dni. Leslie musi wrócić do pracy, hm, chyba do szpitala. Pomyślałem, że w drodze powrotnej zatrzymam się w San Francisco.

- Och - powiedziała Charlie. Czekala ze ściśniętym żołądkiem.

- Myślałem o spędzeniu tygodnia między świętami a Nowym Rokiem w Pebble Beach Lodge w Carmel. Chciałbym chodzić na szybkie spacerki po plaży, ogrzewać się przy kominku, pijąc cappuccino, czytać dobre książki.

- Wspaniale - powiedziała ostrożnie.

- Przyłączysz się więc do mnie? Zarezerwowałem apartament z dwiema sypialniami. Myślałem, że może Eryk i Leslie będą chcieli mi towarzyszyć, ale nie mogą. Poproszę kierownika, żeby zarezerwował dla ciebie pokój.

- Apartament może być, Robercie.

O zachodzie słońca wyruszyli z hotelu do domu Jamesa. Szli wzdłuż oceanu, wyłożoną białymi kamieniami ścieżką. Po jednej stronie mieli

barwne, pachnące żywopłoty z plumerii, hibiskusa i bugenwilli, a po drugiej biały piasek i lazurowe morze. Niebo lśniło różowością i złotem. Ogromne, białe, wełniste chmury stały się różowe, potem czerwone i wreszcie czarne, gdy tropikalne słońce skryło się za horyzontem. Ciepła bryza gładziła ich, gdy szli, trzymając się za ręce, splatając palce.

Znów byli jednością. Spędzili popołudnie zamknięci w pokoju, rozmawiając, rozumiejąc, Kochając się. Nic i nikt nie mógł ich rozdzielić. Nic nie mogło zagrozić bezpieczeństwu i pewności ich miłości.

Ale gdy zbliżali się do domu Jamesa, serce Leslie zabiło mocniej, niespokojnie. Niech ten wieczór nie sprawi przykrości Erykowi, pomyślała. To by nie miało sensu. Kocham Eryka z całego serca. Tylko jego. Bardziej niż kogokolwiek. Kiedykolwiek.

- Gdybyśmy mogli się tak trzymać za ręce... - zaczęła.

- Cały wieczór? - zapytał.

Leslie kiwnęła głową.

- Czy to zbyt śmiało publiczne okazywanie uczuć?

- Nie sądzę, a ty?

- Nie.

- Więc nie puszczę cię za nic. - Nigdy.

Ale puścił jej dłoń raz, na początku wieczoru.

- Chodźmy zobaczyć Michaela. Jest w kuchni z Lynne - powiedziała Leslie, lekko ciągnąc go za rękę, czując niespodziewany opór. Po chwili Eryk ją puścił.

- Idź. Chcę porozmawiać z... - zaczął niezręcznie Eryk.

Z kim, Eryku? Z Jamesem? Nie, oczywiście, że nie, pomyślała Leslie. On po prostu nie chce zobaczyć Michaela. A może chodzi o Lynne? Dlaczego, Eryku?

Michael był pięknym, uśmiechniętym, szczęśliwym dzieckiem o rumianych policzkach, jasnoblond włoskach i jasnozielonych oczach.

- Ma oczy Jamesa - powiedziała miękko Leslie.

Lynne spojrzała na nią z zaskoczeniem.

- Nie? James nie ma zielonych oczu? - dodała szybko Leslie, niewinnie, z bijącym sercem, zakłopotana, że oszukuje.

Ale to oszukiwanie - oszukiwanie Lynne - jest konieczne, powiedziała sobie zdecydowanie. Jeśli chcemy wszyscy pozostać przyjaciółmi przez resztę życia.

- Zaniesiesz go do tatusia, Leslie? - zapytała Lynne, uśmiechając się z miłością do swojego żywotnego synka. - Nie pomaga mi w kuchni.

- Bardzo chętnie. A potem wrócę, żeby ci pomóc.

- Och. Dziękuję, ale nie trzeba. Jeśli Michael nie będzie mnie rozpraszał, skończę za moment.

Leslie zaniósła Michaela do salonu. Jego gładkie jak aksamit, białe ramionka przytulały się do jej piersi, a zielone oczka lśniły ciekawością.

- Patrzcie, kogo mam - powiedziała Leslie, podchodząc do Eryka i Jamesa. Rozmawiali o mieszkaniu i o zmianach, które James chciał wprowadzić w nowych apartamentach.

Na widok Jamesa Michael zaczął się wiercić z radości. Leslie chciała go podać Erykowi, żeby podzielić się z nim przyjemnością trzymania na rękach szczęśliwego, cudownego dziecka, ale zobaczyła wyraz jego oczu. Jasnoniebieskie oczy Eryka stały się ciemne, zamglone i smutne.

On nie chce wziąć na ręce Michaela, uświadomiła sobie. Dlaczego?

Podając Michaela tatusiowi, Leslie zobaczyła bezbrzeżną radość i dumę w oczach Jamesa. I niewytłumaczalny ból w oczach Eryka.

Leslie wzięła Eryka za rękę. Już go nie puści.

## Rozdział 37

### **D**rzejdziemy się?

**JT** - W połowie meczu? - droczyła się Charlie.

- Charlie, moja droga - powiedział poważnie Robert. - Jest koniec czwartej kwarty. Nawet cud ich nie uratuje. Obawiam się, że mistrzostwa kraju zostały już rozstrzygnięte.

- I ci źli wygrali?

- Źli wygrali.

- W takim razie chodźmy na spacer.

Charlie uwielbiała ich spacerować wzdłuż poszarpanych wybrzeży pola golfowego Pebble Beach, stromymi ścieżkami - gdy prowadził ją za rękę - na białe, piaszczyste plaże, gdzie przewiewał ich chłodny, ożywczy, pachnący solą wiatr od morza.

Charlie uwielbiała długie spacerować po pięknej plaży, ale przecież uwielbiała wszystko, co robili z Robertem w ciągu ostatnich sześciu dni. W swoim apartamencie rozmawiali, śmiali się i pili cappuccino, gorącą czekoladę i szkocką przy kominku, w którym płonęły sosnowe polana. Wchodzili do staromodnych sklepików w Carmel i obserwowali wydry morskie, hasające przy Point Lobos. Zjedli obiad u Ramosa Fizza w Highlands Inn oraz ślimaki przy Cannery Row. Jechali Seventeen Mile Drive



i na południe, krętymi drogami wzdłuż poszarpanego wybrzeża, w kierunku Big Sur. Oglądali blade, zimowe słońce zachodzące w Nepenthe. I patrzyli, jak wschodzi znad Zatoki Monterey.

Sześć doskonałych dni.

Jutro wszystko się skończy.

- Jest dość wietrznie - zauważył Robert, otwierając drzwi.

- W takim razie zrobię coś z włosami - powiedziała Charlie. - W tym tygodniu ciągle miałam kłopot z rozczesywaniem. Zaplotę je. To potrwa tylko chwilę.

- Zapleciesz? - zapytał Robert. - Nie splatałem niczego od...

- Od czasów harcerstwa?

- Od wojny - stwierdził ze spokojem Robert. Tak spędzali długie godziny w obozie lub w bunkrach. Pletli warkoczyki ze źdźbeł trawy, sznurka albo pasków skóry. Tym zajmowali ręce. Było to konieczne dla wyciszenia niepokoju. Mogli się zająć czymś innym niż czekanie. Lub myślenie.

- Więc? - zapytała, odwracając się do niego plecami, pokazując opadające do pasa jedwabiste, złote włosy.

Silne dłonie Roberta nabrały delikatności, gdy ostrożnie podzielił włosy Charlie na trzy pasma. Jego palce muskały jej skronie i kark. Niewymuszone, zaskakujące emocje - przyjemnie i niepokojąco - pulsowały w jej ciele, gdy jej dotykał, gdy delikatnie plótł gruby warkocz.

- Czym zawiązać? - zapytał, trzymając koniec.

- Proszę - powiedziała słabym głosem. Podając mu spinkę, starała się ukryć drżenie rąk.

- Już. - Zapiął spinkę, wziął Charlie za ramiona i obrócił ją do siebie. Przyjrzał się nowej fryzurze i rzekł: - Ładnie.

Zawsze jest ładnie, pomyślał.

Dlaczego tak się czułam, gdy mnie dotknąłeś, Robercie? - zastanawiała się Charlie.

Tego wieczora siedzieli przed marmurowym kominkiem, wpatrując się w czerwonopomarańczowe płomienie.

- Jakie jest twoje noworoczne życzenie, Charlie? - zapytał Robert.

- Życzenie? Nie postanowienie?

- Postanowienia są tylko krokami prowadzącymi do spełniania życzeń. Postanawiasz sprawić, że będzie tak, jak sobie życzysz. Ja wolę czyste, niezakamuflowane życzenia.

Charlie się uśmiechnęła. To było w stylu Roberta, który wciąż wierzył, że wszystko jest możliwe. Sprawiał, że wszystko było możliwe.

Był najmądrzejszym, najpotężniejszym i najbardziej wyrafinowanym człowiekiem, jakiego znała Charlie.

Ale, mimo wszystko, wymyślał sobie życzenia noworoczne.

- Czego sobie życzysz, Charlie? - naciskał.

- Życzę sobie... - zaczęła powoli. Niczego sobie nie życzę, pomyślała. Życzenia są zbyt bliskie fantazji. Moja matka wierzyła w takie rzeczy. Ja nie wierzę.

- Życzysz sobie... - ponaglał Robert.

Charlie westchnęła. Gdybym pozwoliła sobie na życzenie, jakie by było? Milczała przez dłuższą chwilę. Gdy wreszcie się odezwała, powolne, ostrożne słowa płynęły wprost od serca.

- Życzę sobie - powiedziała po prostu - wiedzieć, gdzie jest moje miejsce.

- Co to oznacza? - zapytał łagodnie, rozumiejąc, co ma na myśli.

- Oznacza to - zaczęła powoli - że nie wiedziałam, do kogo należę. Do matki aż do jej śmierci. Nie wierzyłam, że należę do Eryka, aż było za późno. Potem należałam do Victorii. A teraz...

- Teraz należę do Leslie - rzekł zdecydowanie Robert, patrząc w jej piwne oczy.

- Tak, prawda? - zapytała Charlie, uświadamiając sobie, że nawet nie zapytała Roberta o święta w Seattle z Erykiem, Leslie i jej rodzicami.

- Tak - potwierdził Robert. - Tak jest. Czy to cię dręczy?

- Nie - wyznała szczerze Charlie. - Z początku było mi źle. Czulałam się jak bezpański pies. Znowu. Może nadal się tak czuję, zważywszy moje życzenie, ale trzymam się.

- Wiem. Jak zwykle - powiedział, patrząc w zamyśleniu na tę piękną kobietę, która musiała być silna, musiała sama się o siebie troszczyć. Nawet jako dziecko była sama, niezależna. Nikt nigdy się nią nie zajmował. Nawet ludzie, którzy ją kochali. Mary. Eryk. Ani...

Doceniali jej siłę, ale nie doceniali jej potrzeb.

- Chyba jestem tylko rozbitkiem - przyznała z lekkim żalem Charlie.

Tylko, pomyślał Robert. Twoje życie powinno być czymś więcej, niż tylko przetrwaniem.

Następnego dnia wyjechali z Carmel wczesnym rankiem. Samolot, którym Robert miał lecieć do Filadelfii, startował z Lotniska Międzynarodowego w San Francisco o dziesiątej.

- Wszystko w porządku? - zapytał Robert, przerywając ciszę, która trwała od Santa Cruz do Santa Clara.

- Tak - odpowiedziała natychmiast, zaskoczona. - Dlaczego?

- Jedziesz trzydzieści kilometrów na godzinę wolniej niż zezwalają przepisy.

- Tak? - zapytała Charlie, rzucając okiem na prędkościomierz. Robert miał rację. Wcisnęła pedał gazu, wzruszyła ramionami i dodała bezradnie: - To jest chyba samochodowy odpowiednik powłóczenia nogami.

- Dlaczego?

- Było tak miło.

- Było cudownie - powiedział Robert i przerwał, obserwując jej reakcję na swoje słowa. Nie mógł niczego stwierdzić. Potem zapytał: - Nie denerwujesz się powrotem do pracy, prawda?

- Nie. Raczej nie. Nie. - Ja tylko nie chcę, żebyś wyjeżdżał.

- Zabrzmiało to nieprzekonująco, pani mecenas. Myślałem, że lubisz swoją pracę. - Czy to z powodu Eryka? A może w niepewności Charlie kryło się coś więcej? Mów do mnie, Charlie.

- To dobra praca. - Ale to nie jest moje miejsce. Już nie. Gdzie jest moje miejsce?

Jechali w milczeniu przez pięć minut. Charlie musiała sobie ciągle przypominać o prędkości. Miała ochotę zwolnić. Musiała z tym walczyć.

- Zastanawiam się, czy przyjęto by cię do palestry w Pensylwanii - powiedział łagodnie Robert. Nie było to pytanie. Charlie nie musiała odpowiadać.

- Do palestry w Pensylwanii? Oczywiście, że tak! - wykrzyknęła pewnie. Dlaczego mnie o to pyta?

- Bo jeśli znudzi ci się ta praca, możesz przyłączyć się do mnie - powiedział Robert, starając się, by zabrzmiało to swobodnie. Swobodnie, ale szczerze. Dodał: - Kiedy tylko zechcesz.

Charlie nie odpowiedziała. Zagryzła dolną wargę. Dojeżdżali do lotniska.

W rejonie odlotów było pełno samochodów, autobusów i taksówek z podróżnymi, wracającymi po wakacjach do domów. Charlie zatrzymała się przed terminalem. Jej oczy nagle wypełniły się łzami.

- Charlie? - zapytał Robert, patrząc w jej smutne, zapłakane, piwne oczy, delikatnie dotykając palcem jej podbródka.

- Nie chcę, żebyś wyjeżdżał.

- Nie? - mruknął ciepło, przysuwając się do niej, całując jej wilgotne oczy, zarumienione policzki, i w końcu jej ciepłe, pełne usta.

To nie był pocałunek ojca. Ani opiekuna. Ani nawet drogiego przyjaciela.

Był to głęboki, namiętny pocałunek mężczyzny, który jej pragnął. Mężczyzny, który pragnął jej od bardzo dawna.

- Nie muszę wyjeżdżać teraz, Charlie. Nie w tej chwili. Może gdzieś pojedziemy? - szepnął Robert, nagle uświadamiając sobie, że otaczają ich samochody i ludzie. Nie byli sami, a bardzo tego potrzebowali.

Charlie z bijącym sercem włączyła bieg. Z trudem przejeżdżała przez korek, próbując się skupić na prowadzeniu, ale rozpraszała ją obecność Roberta i wspomnienie jego pocałunku. Dziwiła się własną reakcją tym, jak bardzo go pragnęła.

Jakimś cudem przedarła się przez tłum samochodów w rejonie odlotów. Wyjeżdżając z głównego terminala, zaczęła wewnątrz drzeć. Co ona robi? Co oni robią? Dokąd pojedą? Wiedziała, że nie może jechać przez całe miasto do swojego mieszkania. Było o wiele za daleko.

Nie podejmując świadomej decyzji, Charlie skręciła na podjazd motelu. Wciąż byli na terenie lotniska. Zaparkowała niedaleko wejścia.

Uśmiechnęła się słabo do Roberta. Pochyliła głowę, jej oczy zasłaniała teraz złota grzywa. Zaczeka w samochodzie, a on ich zamelduje.

Robert wrócił po pięciu minutach z kluczem do pokoju. Pomógł Charlie wysiąść z samochodu i poprowadził ją za rękę do pokoju. W środku od razu ją objął, czując, że drży w jego ramionach. Przytulił ją mocno.

Potem ją pocałował. Charlie gorąco, namiętnie odwzajemniła pocałunek.

Rozpaczliwie, pomyślał Robert. Czując jej napięcie, odsunął się i spojrzał jej w oczy: piękne, piwne oczy, dzikie oczy, namiętne, zmysłowe oczy, zmartwione oczy.

- Chcesz tego? - zapytał cicho. Nie chciał naciskać. To było zbyt ważne.

- Tak - szepnęła, szukając jego ust. Całując go, zaczęła rozpinąć bluzkę.

- Charlie - powiedział, kładąc swoje silne dłonie na jej drżących palcach, powstrzymując je. - Nie ma pośpiechu.

- Jest...

- Dlaczego?

- Bo się boję.

- Boisz się? - zapytał, ogarnięty nagłym niepokojem. Może było za wcześnie.

- Tak bardzo tego pragnę. Chcę, żeby było dobrze.  
- Ja też tego pragnę. Od bardzo dawna. Będzie dobrze. Nigdy bym cię nie skrzywdził. Nie wiesz?

- Robercie?

- Pozwól mi się kochać - powiedział, podnosząc do swoich ust jej miękkie dłonie i pocałował je.

- Kochaj mnie, Robercie.

Z początku Robert kontrolował rytm ich miłości - powolnej i zmysłowej - panując nad jej ciałem, odkrywając żądzę i uczucia, które były skrywane zbyt długo. Reagowała na jego dotyk instynktownie, bez myślenia czy wstydu. Zobaczył jej naturalną zmysłowość, uwolnioną przez jego ostrożne, czułe palce i ciepłe, miękkie usta. Gdy jej żądza rozkwitła, gdy potrzebowała go koniecznie, dołączył do niej, poruszając się w jej rytmie, dorównując jej w namiętności.

To jest ostateczna bliskość, pomyślała, gdy leżeli razem, gdy ich ciała stały się jednością. Zawsze wiedziałam - wierzyłam - że może tak być. To nie fantazja.

To tylko spełnione życzenie.

- Chciałeś tego od dawna? - zapytała przyr>minając sobie jego słowa.

- Od bardzo dawna. Pamiętam szesnastoletnią dziewczynę...

- Nie - szepnęła.

- Nie - powiedział, gładząc ją po złotych włosach. - Ale już wtedy mnie oczarowałaś.

- A ty oczarowałaś mnie - powiedziała, uświadamiając sobie, że to prawda, że to zawsze była prawda. Zawsze było coś wyjątkowego w byciu z Robertem, nawet na samym początku. - Chciałeś, żebym była z Erykiem, prawda?

- Oczywiście. Chciałem tego, bo wy oboje tego chcieliście. Bo oboje byliście tacy szczęśliwi. - Na początku.

- A potem? - zapytała Charlie, znając odpowiedź. A potem Eryk zakochał się w Leslie.

- A potem była nasza podróż na Wschód.

- Myślałeś o nas... O tym... W czerwcu?

- Nie uważasz - powiedział łagodnie, całując ją.

- Jak bym mogła? - szepnęła w jego usta, na chwilę zatracona w ich ciepło. Pragnęła tak zostać na zawsze, ale chyba jeszcze bardziej chciała usłyszeć to, co miał do powiedzenia. - Powiedz mi.

- Myślałem o nas długo przed czerwcem, ale ty i Eryk wciąż próbowaliście się odnaleźć.

- Czasami. Gdybym wiedziała...

- Ojciec nie rywalizuje z synem. W żaden sposób nie zagroziłbym szczęściu Eryka. A ty byś się na to nie zgodziła. Nie odeszłabyś od Eryka.

Może i nie, myślała Charlie, zastanawiając się, co tak bardzo wiązało ją z Erykiem przez te wszystkie lata. Oczywiście, że go kochała. Zawsze będzie go kochała. Ale już nigdy nie będą zakochani. Wydawało jej się, że przy Eryku jest jej miejsce. Albo przynajmniej było kiedyś. Ale może czuła tak tylko dlatego, że nigdy nie znalazła sobie innego miejsca.

- Dlaczego w listopadzie nie przyleciałeś na Maui? - zapytała nagle. Robert musiał podjąć tę decyzję z jakiegoś powodu. Musiało się to wiązać z nią. Z nimi.

- Musiałaś się pogodzić z tym, że Eryk jest z Leslie.

- A ty nie chciałeś mi pomóc? Być tam? - Nie chciałeś być moim ojcem ani opiekunem...

- Nie - rzekł po prostu Robert.

- Och - powiedziała, namiętnie całując go w usta, bo nie mogła się oprzeć, bo zrozumiała, co jej powiedział. Chciał być jej kochankiem. Nikim innym. Nikim mniej.

Robert odpowiedział na pocałunek Charlie. Tego pragnęła, tego domagało się jej ciało, tego potrzebowało jej serce. Oboje tego pragnęli i potrzebowali. Kochając się ponownie, mówili sobie o tej potrzebie, tej namiętności, tym spalającym pożądaniu...

Potem leżała z głową opartą na jego piersi. Po kilku chwilach milczenia Robert poczuł wilgoć.

- Charlie? - zapytał, podnosząc jej głowę, żeby spojrzeć na jej twarz. Ina jej łyzy.

- Ja nigdy nie płaczę - pociągnęła nosem.

- Było tak do dziś. To nie są chyba łyzy radości.

- Już za tobą tęsknię. Znów. Tęskniłam za tobą po naszym czerwcowym wyjeździe. Ostatnim razem, gdy się pożegnaliśmy, nie widzieliśmy się przez pół roku.

- Potrzebowałeś tego czasu - powiedział zdecydowanie Robert.

Żeby otrząsnąć się po Eryku, pomyślała Charlie. Żeby być gotową na to. Dla Roberta. Tak, potrzebowałam czasu. Ale już nie potrzebuję.

- Nie będzie następnych sześciu miesięcy. Myślę, że może tylko sześć dni.

- Sześć dni - powtórzyła z radością Charlie.

- Po południu nie ma dobrych lotów transkontynentalnych. Zatem, jeśli zamierzamy pracować w piątek, powinniśmy się spotkać gdzieś pośrodku: w Dallas, Kansas City, Chicago.

- Chicago - powiedziała Charlie. - Albo gdziekolwiek.
- W ten weekend niech będzie Chicago. Możemy się zatrzymać u Drake'a i patrzeć, jak śnieg pada na jezioro Michigan. A jeśli wyjdziemy z pokoju, możemy zobaczyć wystawę impresjonistów w Art Institute. Dobrze?
- Zapowiada się cudownie - zamruczała. Wszystko brzmiało cudownie, ale najbardziej podobały jej się dwa słowa, które odbijały się echem w jej głowie: „ten weekend”. To oznaczało, że będzie następny. I następny. I następny.
- Cztery godziny po tym, jak Charlie próbowała odwieźć Roberta na lotnisko, znów siedzieli w samochodzie przed terminalem.
- Zadzwoń do ciebie, gdy tylko znajdę się w Filadelfii - powiedział.
- Będzie druga nad ranem twojego czasu.
- Jedenasta to za późno, żeby dzwonić do ciebie?
- Nie. - Żadna pora nie jest za późna. Ani za wczesna.
- W takim razie zadzwonię. - Robert pochylił się, żeby ją pocałować raz jeszcze, zanim wysiądzie z samochodu.
- Nie popełnij błędu, jak ostatnim razem - szepnęła, odwzajemniając pocałunek. - Bo nigdy nie wrócisz do domu.
- Czy to był błąd?
- Wiesz, że nie. - To było najlepsze, co mi się kiedykolwiek przydarzyło.

Gdy Robert zniknął za automatycznymi drzwiami, Charlie pojechała do domu. Przepęłniało ją cudowne poczucie spokoju.

Może dlatego, że wreszcie wiem, gdzie jest moje miejsce, pomyślała, a ciepłe łzy popłynęły jej po policzkach trzeci raz tego dnia.

## Rozdział 38

Wśród, dziewiętnastego stycznia, Leslie obudził deszcz dzwoniący o szyby. Kończył się niezwykle ciepły tydzień w San Francisco. W okno uderzały duże krople i porywisty, zimowy wiatr. Leslie uśmiechnęła się, patrząc na szaroczarne chmury i potoki na ulicy.

Leslie przypomniało to Seattle. Było szaro i przytulnie.

Zresztą tego deszczowego ranka miała prawdziwie słoneczny nastrój. Eryk wracał z Nowego Jorku po trzydniowej - albo trzynocnej - podró-

ży służbowej. Było to ich najdłuższe rozstanie. Bardzo długie, mimo częstych rozmów telefonicznych. Nie pracowała tego dnia do późna, o siódmej wieczorem będzie więc mogła powitać Eryka w jego mieszkaniu.

Z powodu zimna i deszczu odwołano popołudniowe wizyty w przychodni internistycznej. Czy można przełożyć wizytę u doktor Adams na przyszły tydzień? - zastanawiali się pacjenci. Zrobiło się tak zimno, a drogi były takie śliskie...

Dzięki temu Leslie znalazła się w mieszkaniu Eryka o zmroku. Zrobiła sobie kubek gorącej czekolady i patrzyła, jak szara mgła dnia ustępuje czarnej pustce zimowej nocy. Przejście było ponure, ale spokojne. O siedemnastej trzydzieści wśród złowieszczej ciemności zalśniły jasne światła miasta, jak galaktyka żółto-białych gwiazdek.

Przytulnie.

Leslie dopiero po minucie rozpoznała hałas, który przerwał ciszę wieczoru. Budzik? Nie. Był to brzęczyk interkomu, który łączył mieszkanie z portiernią w holu. Leslie widziała, jak Eryk go używa, gdy Charlie wpadła kiedyś z jakimiś umowami.

Wcisnęła czarny guzik.

- Tak? - zapytała.

- Przyszła pani Lansdale. Mówi, że pan Lansdale jej oczekuje - zaanonsował portier.

- Och. Tak, oczywiście. Proszę ją wpuścić - powiedziała Leslie.

Matka Eryka miała przyjechać w przyszłym miesiącu. Czyżby to była wizyta-niespodzianka? Z tego, co Eryk opowiedział Leslie o Florence Lansdale, było mało prawdopodobne, żeby wpadła z niezapowiedzianą wizytą.

Lekko wzburzona, nagle wyrwana z zadumy Leslie szybko zapaliła światło w ciemnym salonie. Pomieszczenie było nieskazitelne jak zwykle. Leslie spojrzała na zegar od Tiffany'ego, stojący na kominku. Za dwadzieścia szóstą.

Chyba zdołam bawić rozmową matkę Eryka przez godzinę i dwadzieścia minut, pomyślała niechętnie. Chyba że już zdecydowała, że mnie nie polubi.

Leslie stanęła przy drzwiach i otworzyła je, gdy tylko zabrzmiał dzwonek.

- Witam - powiedziała młoda kobieta o ciemnorudych włosach i przenikliwych oczach, wyciągając do Leslie dłoń bez obrączki.

- Jestem Victoria Lansdale. Ty musisz być Leslie.

- Tak - odparła Leslie. Kim jest Victoria Lansdale? Skąd o mnie wie? - Wejdz, proszę.



- Eryk spodziewa się mnie dopiero jutro. Pewnie wiesz. W każdym razie kiedy rano rozpadło się w Palm Springs, postanowiłam przyjechać dzień wcześniej. Gdzie Eryk?

- W drodze powrotnej z Nowego Jorku. Powinien wrócić około siódmej.

- Och. Cóż, dzięki temu możemy się poznać - powiedziała radośnie Victoria. - Eryk mówił, że jutro wieczorem będziesz w pracy, to znaczy na dyżurze.

- Tak - powiedziała Leslie. Zgadza się. Kim jesteś? - Powieszę twój płaszcz. Napijesz się czegoś?

- Dziękuję. Jasne. Ty coś pijesz?

- Gorącą czekoladę - przyznała Leslie.

- Wspaniale. Doda mi siły. A muszę być twarda, gdy zobaczę Eryka. Leslie zmarszczyła brwi.

- Bo nie widziałam go od prawie jedenastu lat - wyjaśniła Victoria w odpowiedzi na zdziwioną minę Leslie.

- Och, rozumiem - powiedziała powoli Leslie, jakby wyjaśnienie Victorii coś jej dało. Ale oczywiście tak nie było. Nic się nie wyjaśniło.

- Nie - ciągnęła Victoria, a jej wesoły głos nagle posmutniał. - Nie, odkąd Bobby...

Victoria przerwała nagle i zakryła sobie usta dłonią. Jej oczy się rozszerzyły, potem zwężyły.

- Och, mój Boże - szepnęła. Jej głosu prawie nie było słyhać spod dłoni. - Nie masz pojęcia, kim jestem, prawda?

Leslie przepaszająco kiwnęła głową, podając Victorii kubek gorącej czekolady.

- Obawiam się, że nie.

Spokój Victorii nagle uleciał. Postawiła kubek na stole i zrobiła krok w stronę szafy, żeby wziąć płaszcz..

- Lepiej już pójdę.

- Victorio, zaczekaj! Nie rozumiem.

- Oczywiście, że nie. Eryk nic ci nie powiedział.

- Może ty mi powiesz? - spytała niechętnie Leslie. Było coś, o czym powinna wiedzieć. Jakieś skrywane wiadomości. Czy naprawdę chciała się tego dowiedzieć?

- Och, nie. Skoro Eryk jeszcze ci nie powiedział, to pewnie miał jakiś powód. Nie chcę go złościć. Wiesz, jaki jest porywczy.

Eryk porywczy? Nie, nie wiem, jaki Eryk jest porywczy, pomyślała Leslie. Ani nie znam ciebie. Ani Bobby'ego.

- Victorio. Proszę. Przecież tu jesteś. Wiedział, że przyjedziesz.

- Jutro. Gdy ty będziesz w pracy.
- Victorio - naciskała Leslie. - Kim jest Bobby?

Victoria patrzyła poprzez nią, na odległe wspomnienie. Jej oczy były smutne i zamyślane, gdy przypominała sobie ukochanego synka. Eryk nie mógł zatrzeć wspomnień po Bobbym. Nie mógł zaprzeczyć, że Bobby istniał.

- Masz prawo wiedzieć - powiedziała wreszcie Victoria, wewnętrznie drżąc. Eryk będzie wściekły, ale to była też jej historia. Miała prawo powiedzieć Leslie.

Victoria wróciła powoli do salonu. Usiadła na kremowej kanapie, objęła dłońmi ciepły kubek z czekoladą i westchnęła ciężko.

Potem, z ogromnym wysiłkiem, opowiedziała Leslie wszystko. Zaczynając od Charlie i Eryka. Victoria знаła szczegóły pochodzenia Charlie i jej czasami radosnego, czasami burzliwego związku z Erykiem. Victoria powiedziała Leslie, że podczas takiego trudnego okresu ona, Victoria, zaszła w ciążę z Erykiem. Ze łzami w oczach opowiadała Leslie o ich cudownym synku. I o tym, jak go stracili.

Słuchając, Leslie czuła fale emocji: oszołomienie, żal, gniew. Niektóre słowa Victorii kołatały się w jej głowie.

Charlie była narzeczoną Eryka. Charlie kochała Eryka. Eryk kochał Charlie. Czy wciąż się kochają?

Bobby miał zespół Reye'a. Teraz wiedziała, dlaczego Eryk zwlekał z przyjściem do szpitala, gdy skaleczył się w dłoń. Dlaczego odmówił znieczulenia. Dlaczego nie chciał słuchać o szczegółach jej pracy, a jego oczy wypełniły się bólem, gdy opowiedziała mu o maltretowanym chłopcu. Dlaczego nie mógł wziąć na ręce Michaela.

Charlie. Victoria. Bobby. Ukochane osoby Eryka. Część Eryka wówczas, część Eryka teraz. Część jego związku z Leslie. To bardzo wiele wyjaśniało.

A on to przed nią ukrył.

- Zawsze się zastanawiałam, czy Eryk i Charlie w końcu będą razem - powiedziała cicho Victoria - Ale...

- Victoria!

Na dźwięk jego głosu, Victoria przerwała nagle i podniosła wzrok. Stał w dalekim końcu pokoju.

- Eryk - szepnęła Victoria, cofając się lekko. Jak długo tam był? Z pewnością dość długo.

Leslie wstała i spojrzała na Eryka. Widziała wściekłość w jego oczach, patrzących na byłą żonę. To była porywczność, którą znała Victoria i której nigdy nie widziała Leslie.

Po chwili Eryk przeniósł wzrok z Victorii na Leslie. Jego twarz się zmieniła. Gniew ustąpił miejsca niepokojowi i trosce.

- Leslie - zaczął bezradnie. Lodowate spojrzenie jej oczu - coś, czego on nigdy nie widział - pogłębiło jego niepokój. Ile złego się stało?

- Muszę stąd wyjść - rzekła Leslie, nagle czując się osaczona. Muszę się stąd wydostać. Przemyśleć to, czego się dowiedziałam. Spróbować to zrozumieć.

- Leslie, pozwól mi wyjaśnić - Eryk wyszedł za nią na korytarz.

- Victoria już wyjaśniła. Jestem jej za to wdzięczna. Musiałam to wiedzieć, Eryku - powiedziała bezbarwnie Leslie. Jej głos był równie zimny i beznamiętny, jak jej oczy.

- Leslie, musimy o tym porozmawiać.

- Powinniśmy o tym porozmawiać dawno temu.

- Musimy porozmawiać teraz.

- Nie mogę - szepnęła Leslie łamiącym się głosem. Kocham cię. Nie nawidzę cię. Dlaczego to nam zrobiłeś? Dlaczego w nas nie wierzyłeś?

- Przyjdę do ciebie później - zaproponował z nadzieją Eryk.

- Nie, Eryku. Zostaw mnie samą na jakiś czas. Proszę.

Po wyjściu Leslie Eryk wrócił do salonu. Usiadł ciężko na kanapie i oparł głowę na dłoniach. Zagubił się we własnych myślach, w swoim wewnętrznym wirze. Zapomniał o Victorii. Po kilku minutach uświadomił sobie jej obecność. Stała po drugiej stronie pokoju, sztywna i wyprostowana. Przygotowywała się do odparcia jego furii.

Eryk spojrział na nią z zaskoczeniem. W jego oczach było widać porażkę, nie wściekłość.

- Nie wiń mnie za to, Eryk - ostrzegła Victoria. Siłę ostrzeżenia podkreślało drżenie głosu.

- Victorio - westchnął. Usiłował coś powiedzieć. Nie mógł teraz zdobyć się na uprzejmość. Ale nie chciał się kłócić.

- Wreszcie, po tych wszystkich latach, jestem przekonana, że to nie ja ponoszę winę za śmierć Bobby'ego. Obwiniałeś mnie za jego urodzenie. I za jego śmierć. Wierzyłam ci, gdy mówiłeś, że to moja wina. Zawsze wierzyłam w to, co mówiłeś - rzekła pewniejszym głosem. Wierzyłam ci, bo miałaś nade mną ogromną władzę, myślała. - Ale niesłusznie mnie obwiniałeś o śmierć syna - Victoria zamilkła. Jej serce biło mocniej z emocji. Postanowiła się zobaczyć z Erykiem po tych wszystkich latach dlatego, że chciała, by przyznał, że się mylił. A może tylko pragnęła, żeby jej wybaczył?

Gdy spojrzała w jego oczy, pełne zaskoczenia, bólu i wyrzutów wobec samej siebie, jej gniew ustąpił. Eryk też cierpiał. Wciąż cierpiał.

- Nigdy nie uważałem, że śmierć Bobby'ego nastąpiła z twojej winy... Nie naprawdę - dodał cicho Eryk, przypominając sobie gorzkie oskarżenia, jakie wykrzykiwał pod jej adresem, gdy szukał winnego. Naprawdę wcale tak nie myślał. Nie miał pojęcia, że Victoria cierpiała jeszcze bardziej z powodu tego, co powiedział jej w chwili emocji i żalu. Gdyby wiedział, przeprosiłby ją. - Nie wiedziałem. Bardzo cię przepraszam.

Victoria zmarszczyła brwi. Nie tego się spodziewała. Nie było bitwy. Eryk się zmienił. Kiedyś w ciągu ostatnich jedenastu lat gniew, spowodowany śmiercią syna, ustąpił. Victoria widziała w oczach Eryka smutek. I ból. I mądrość. I miłość. Kto pomógł mu się zmienić? Charlie? Leslie?

Leslie, pomyślała Victoria, widząc żal w jego jasnoniebieskich oczach.

- I nie winię cię za to, co stało się z Leslie - ciągnął Eryk z wysiłkiem. Westchnął ciężko. - Mogę winić tylko siebie.

Patrzył na do połowy opróżnione kubki gorącej czekolady. Cała Leslie! Oddałby wszystko, żeby siedzieć teraz z nią, pić gorącą czekoladę, opowiadać jej, jak bardzo za nią tęsknił, tulić ją. Kochać ją.

Mark nie usłyszał dzwonka telefonu. Zwykle go słyszał, nawet gdy siedział w swoim gabinecie za zamkniętymi drzwiami. Kathleen odczekała kilka chwil. Ponieważ nie wychodził z gabinetu, podeszła do drzwi i lekko zastukała. Cisza. W końcu, z bijącym sercem, nacisnęła klamkę i zajrzała do środka.

- Mark?

Mark odwrócił się na obrotowym krześle.

- Kathleen! Nie słyszałem cię - powiedział prawie bez tchu.

- Pochłonięty pracą jak zwykle - stwierdziła wesoło Kathleen. Ale zastanawiała się, dlaczego jest taki poruszony. Co to za papiery na jego biurku? Naprawdę nie chce, żebym je zobaczyła? - Nie usłyszałeś też telefonu. Dzwonią do ciebie ze szpitala.

- Och. Powiedz, że za chwilę podejdę. Odbiorę w sypialni - powiedział.

- Jasne - Kathleen poczuła ból w sercu. Mark najwyraźniej czekał, aż ona wyjdzie z pokoju. Dlaczego?

Dziesięć minut później Mark pojawił się w kuchni.

- To angioplastyka - powiedział. - Wrócę za cztery godziny.

Wiszący zegar w salonie bił dziewiątą, gdy Mark pocałował ją krótko w policzek.

- Jedź ostrożnie, Mark. Zaczyna padać.

Po wyjściu Marka Kathleen usiadła przy kuchennym oknie ich domu na Beacon Hill i patrzyła na płatki śniegu. Spadały cicho, z wdziękiem, oświetlane na chwilę przez stare latarnie, po czym nikły w ciemności. Ulotna chwila blasku. Potem ciemność. Śmierć.

Muszę coś zrobić, pomyślała. Myślała o tym codziennie. Bez przerwy. Ale co mogła zrobić? Nie wiedziała, co jest nie tak.

Mogła mieć nadzieję, że jakimś cudem wszystko znów będzie dobre. Tak, jak stało się po ich październikowym wyjeździe do Atherton. To było takie niespodziewane. Tak miłe. Przez tych kilka radosnych, szczęśliwych tygodni znów się w sobie zakochali.

Wtedy właśnie odezwał się do niej Ross, tydzień po jej październikowym, rozpaczliwym telefonie.

- Jak się masz, Katie? - W jego głosie brzmiała szczerza troska.

- Wszystko w porządku - rzekła radośnie Kathleen. - Przepraszam za zeszły tydzień. Byłam taką gęsią.

- Gęsią? Słodki, brytyjski frazeologizm. Ale Massachusetts nie jest już kolonią - przekomarzał się z ulgą, bo słyszał wesołość w jej głosie.

- Jestem tylko trochę nieprzytomna. To wszystko.

- Z Markiem lepiej?

- Cudownie. Zaczęło się pięć minut po rozmowie z tobą. - Gdy Mark wrócił od Leslie, pomyślała Kathleen i natychmiast odepchnęła tę myśl. Leslie. - To była chyba lekka histeria.

Ross nigdy nie widział Kathleen w stanie hysterii. Jej rozpacz była szczerza i uzasadniona. Cieszył się, że burza minęła, postanowił jednak przekazać Kathleen, co powiedziała Janet.

- Mark nie lubi medycyny? - W głosie Kathleen brzmiało niedowierzanie. Jak Janet mogła tak myśleć? - Nie, Ross, jestem pewna, że Janet się myli. Mark kocha medycynę. To jego życie.

- Jego ambiwalentne uczucia tłumaczyłyby złe nastroje, prawda? - upierał się Ross. Jego Janet przekonała.

- Możliwe. Ale on nie ma już złych nastrojów. I kocha medycynę! - wykrzyknęła Kathleen. Ale gdy to mówiła, cień wątpliwości przemknął jej przez głowę. Co to było? Odległe wspomnienie... wyraz spokoju w oczach Marka, gdy powiedziała mu o swoich pieniądzach i żartowała, że nigdy nie będzie musiał brać do ręki stetoskopu.

- Cóż. Pomyślałem, że ci to powiem. Janet sądzi, że Leslie jest tego samego zdania.

Leslie, pomyślała Kathleen. Leslie coś wie. Dzięki Leslie Mark poczuł się lepiej.

Po czterech tygodniach złe nastroje Marka powróciły. Co wieczór zamykał się w swoim gabinecie i przychodził do łóżka dopiero, gdy Kathleen zasnęła. Długo po tym, jak Kathleen zasypiała we łzach.

Zdarzały się krótkie zmiany nastroju. Mark niespodziewanie wynurzał się z zamyślenia i odkrywał ją ponownie, prawie zaskoczony obecnością i urokiem Kathleen. Jego namiętność wprawiała ją w zachwyt i zakłopotanie. Chciała mu powiedzieć, ale w chwilach, gdy mogli rozmawiać, gdy tulili się i kochali, słowa, które zamierzała wypowiedzieć, zabrzmiałyby głupio. Bo wtedy nic złego się nie działo.

Gdy przychodziły złe okresy, coraz częściej, gdy mijały kolejne tygodnie, nie mogła z nim rozmawiać, bo jej nie słyszał.

Muszę coś zrobić, pomyślała, patrząc, jak płatki śniegu przez chwilę w blasku latarni lśnią i znikają w mroku. Tej zimnej, śnieżnej styczniowej nocy Kathleen podjęła decyzję.

Była zła na siebie. Zamierzała wtargnąć w jego prywatność, ale musiała się dowiedzieć. Może tam znajdzie odpowiedź. Szybko, żeby nie popaść znów w wątpliwości, weszła do gabinetu Marka.

Z przerażeniem spojrzała na biurko. Przed wyjściem do szpitala Mark posprzątał. Blat rzeźbionego, dębowego biurka był pusty. Tajemnicze papiery zniknęły. Mark ukrył je starannie, żeby ich nie zobaczyła.

Muszę to zrobić, powiedziała do siebie, walcząc z poczuciem winy. Zamknąwszy oczy, próbowała sobie przypomnieć, co widziała przedtem na biurku.

Książkę. Dużą. W niebieskiej okładce. Przejrzała półki. Książka stała na dole. Podręcznik kardiologii. Palce Kathleen drżały, gdy przerzuciła stronicę naukowego tekstu z wydrukami elektrokardiogramów.

To musi tu być, pomyślała. To, co Mark przede mną ukrywa.

Z podręcznika wypadło na podłogę dwadzieścia stron papieru w linie, pokrytego starannym, całkiem nielekarskim pismem Marka. Na pierwszej stronie widniała lista spraw, jak głosił nagłówek: *Do załatwienia*. Kathleen szybko ją przeczytała. Pozycje wydawały się rutynowe. Niektóre wykreślił.

Jednak na widok ostatniego punktu, Kathleen wzięła głęboki wdech. Nic do zrobienia. Nie przedmiot. Imię.

Leslie.

Kathleen szybko zajrzała na następne strony. Było na nich opowiadanie.

Kathleen opadła na fotel w gabinecie Marka i zaczęła czytać.

Leslie nie wróciła prosto do domu. Bez Eryka jej mieszkanie nie było już domem, tylko miejscem do spania. A ona czuła się wyczerpana, lecz nie senna. Ruszyła więc na zachód, w kierunku oceanu, oślepiana deszczem i własnymi łzami. Tę trasę знаła na pamięć, prowadziła z mieszkania Eryka do Szpitala Weteranów w Lincoln Park. Jechała z Broadwayu przez Divisadero, California, Park Presidio, Geary Boulevard i Point Lobos Avenue. Krętą drogą dotarła w końcu do Wielkiej Autostrady i plaży.

Zaparkowała samochód i po wilgotnym piasku poszła nad wodę. Sztormowe fale rozbijały się gwałtownie u jej stóp, słone krople padały na jej twarz. Wiał lodowaty wiatr. Wśród chłodu i deszczu, Leslie poczuła nagle na zdrętwiałych policzkach ciepło. Łzy, uświadomiła sobie. Jej własne, gorące łzy.

Kiedyś, w innym klimacie, weszłaby do oceanu. Pływałaby tak długo, aż oczyściłaby się wewnętrznie, przedzierając się przez fale, wyrzucałaby ból z serca i umysłu.

Ale w tę noc nie chciała pływać. Było zbyt niebezpiecznie, zbyt zimno, zbyt ponuro. A tego problemu nie da się rozwiązać za pomocą wysiłku fizycznego. Bólu nie da się wyrzucić. Wkrótce i tak wróciłby do jej serca i umysłu.

Dlaczego mi nie powiedział? - huczało w jej głowie, jakby myśl chciała przebić ryk fal i wycie wiatru. Dlaczego nie przyjął mnie do swojego życia? Dlaczego ukrywał to przede mną? Dlaczego? Dlaczego? Dlaczego?

Nie znajdowała odpowiedzi. W jej myślach kłębiły się tylko pytania, zimne, bezwzględne i dokuczliwe jak zimowy sztorm. W końcu zaczęła drzeć, chłód zmusił ją do powrotu do samochodu. Droga do mieszkania była znajoma: Lincoln, Siódmą na Parnassus. Ale dziś obmywane deszczem ulice wydawały się wrogie, zdradliwe. Leslie jechała ostrożnie i powoli. Nie było pośpiechu. Nikt na nią nie czekał.

Dwie minuty po tym, jak Leslie weszła do swojego ciemnego mieszkania, zadzwonił telefon.

Eryk, pomyślała, podświadomie licząc dzwonki. Jeśli nie odbiorę, zadzwoni znowu.

Dziesięć dzwonek.

Jeśli nie odbiorę, przyjedzie.

Piętnaście.

Jeśli nie odbiorę, zmartwi się.

Dwadzieścia.

Nie chcę, żeby się martwił.

- Halo?

- Leslie! Tu Kathleen.

- Kathleen - Leslie przeniosła się szybko w świat innych niepokojów. Głos Kathleen zdradzał przerażenie. W Bostonie była północ. Mark. - Kathleen, co się stało?

- To...

- Czy coś stało się Markowi? - Nie, błagam, nie. Choć nie chciała, przypominała sobie noc, gdy powiedziała Kathleen o tym, że Mark został postrzelony.

- Nie. Nic mu nie jest - zaczęła Kathleen. Nie całkiem, pomyślała. Nie wiem.

Kathleen przez całą godzinę zastanawiała się, czy zadzwonić do Leslie. Dwa razy przeczytała opowiadanie Marka. Ponownie przestudowała listę *Do zalatwienia* z imieniem Leslie. Właściwie nie była to decyzja. Kathleen nie miała wyboru. Potrzebowała pomocy Leslie. Była zrozpaczona.

- Och. To dobrze - powiedziała Leslie, wcale nie czując dużej ulgi. Coś było nie tak. Dotyczyło to Marka.

Powoli, niespójnie, Kathleen mówiła Leslie o opowiadaniu i liście. Leslie wiedziała, że nawet jeśli Kathleen rozumie ich znaczenie, nie powie tego głośno. Jedną z możliwości była nie do wypowiedzenia.

Ze słów Kathleen Leslie wywnioskowała, że Mark postanowił rzucić medycynę. Ale co jeszcze postanowił rzucić? Wszystko? Swoje życie? Leslie nie była w stanie tego stwierdzić. Kathleen też nie.

Może nawet Mark tego nie wiedział.

- Kathleen - rzekła Leslie, przerywając długie milczenie. - Zadzwonię do ciebie za pięć lub dziesięć minut, dobrze?

- Dobrze. Mark wróci najwcześniej za pół godziny.

Leslie zatelefonowała w trzy miejsca - do kolegi-lekarza, do ordynatora i na lotnisko - i oddzwoniła do Kathleen.

- Kathleen, przyleć do Bostonu jutro wczesnym rankiem - powiedziała zdecydowanie Leslie.

- Dziękuję - szepnęła z wdzięcznością Kathleen. Nie spodziewała się tego, ale nie protestowała. Potrzebowała pomocy.

Nie wypowiedziały tego, ale obie czuły strach. Leslie zastanawiała się, czego się boi Kathleen. Czy był to po prostu lęk przed utratą Marka? Czy może ten sam przeszywający strach, który czuła Leslie? Strach, że Mark zamierza rzucić nie tylko medycynę.



Obawiała się, że Mark starannie i drobiazgowo planuje samobójstwo. Najlepsze zaplanowane samobójstwo. Które będzie wyglądało na wypadek.

- Co mam powiedzieć Markowi? - zapytała bezradnie Kathleen. Nie przychodził jej do głowy żaden prawdopodobny powód nagłej wizyty Leslie.

Leslie zastanawiała się przez chwilę. Potem westchnęła.

- Powiedz mu, że muszę na kilka dni wyrwać się z San Francisco, bo właśnie zerwałam z Erykiem - rzekła wreszcie powoli, z wielkim wysiłkiem. Własne słowa wywołały w sercu Leslie ogromny ból, ale taka była prawda.

## Rozdział 39

**D**ziękuję, że po mnie wysłaś - powiedziała Leslie do spiętej, wychudzonej Kathleen. Jej żywotność gdzieś znikła. Kathleen wyglądała na chorą i zmęczoną. Ta zmiana nie mogła nastąpić z dnia na dzień. Odzwierciedlała tygodnie niepokoju i bezsenności.

Mark musiał to zauważyć, pomyślała Leslie. Jeśli nie, to znaczy, że jest z nim bardzo źle.

- Dziękuję, że przyjechałaś, Leslie. Przykro mi z powodu Eryka.

- Mnie też - powiedziała Leslie zdecydowanie, zamykając temat. Nie chciała o tym rozmawiać. Potrzebowała czasu, prywatności niezakłóconej innymi kłopotami, żeby o tym pomyśleć. Od wczorajszego telefonu od Kathleen myślała i śniła zarówno o Eryku, jak i o Marku.

Musiała się skupić na jednym problemie, przecież przyjechała do Bostonu z powodu Marka.

- Taksówka czeka. W nocy napadało dużo śniegu. Boję się prowadzić - wyjaśniła przepraszająco Kathleen.

Naprawdę jest przybita, pomyślała Leslie. Do tej pory znała Kathleen, przedzierającą się przez labirynt rurek, kroplówek, kabli i zdziwionych pielęgniarek, żeby być z Markiem. Kathleen, którą Leslie znała dotąd, nie bała się niczego. Nie bałaby się jazdy po śniegu.

- Mogłam pojechać metrem - powiedziała Leslie. - Znam Boston. Studiowałam tu.

- W Radcliffe?

- Tak.

- Nie wiedziałam. Cóż. I tak chciałam po ciebie wyjść.

Kathleen omal nie wzięła ze sobą listy i opowiadania. Chciała, żeby Leslie przeczytała je jak najszybciej. Chciała zapewnienia, że nie dzieje się nic złego.

Po godzinie, patrząc na Leslie, czytającą listę i opowiadanie, Kathleen wiedziała, że Leslie nie doda jej pewności.

Najpierw Leslie spojrzała na listę „Do załatwienia”. Była to lista zadań, jaką ona i Mark, podobnie jak wszyscy lekarze, sporządzali codziennie. Zapisywali, co trzeba zrobić w ciągu dnia: jakie badania wykonać, z kim się skontaktować, kogo poprosić o konsultację, jakie prześwietlenia zamówić, jakie artykuły przeczytać. Pozycje listy skreślano po kolei. Po wykreśleniu wszystkich pozycji można było wracać do domu. Niczego nie zostawiało się na następny dzień, każdego dnia powstawała nowa, długa lista. Nie można było spiętrzać zadań do wykonania.

Leslie studiowała listę Marka. Była to lista prywatna.

„Prenumeraty czasopism” (wykreślone). Czy je odwołał, czy odnowił? Odwołał, pomyślała Leslie, czytając kolejne pozycje. „Zgłoszenie” (wykreślone). „Podręczniki - do biblioteki medycznej?” „Narzędzia”. „Opisy chorób pacjentów” (wykreślone). Chce, żeby zajęto się jego pacjentami, pomyślała smutno Leslie. Najlepszy.

Na końcu listy Leslie ujrzała swoje imię. Podkreślone, ale nie przekreślone. Chciał z nią porozmawiać, napisać do niej albo coś jej zostawić.

Co zrobi Mark, gdy wykreśli wszystkie pozycje ze swojej listy?, zastanawiała się ponuro Leslie. Czy pójdzie do domu?

Wtedy Leslie przeczytała opowiadanie.

Pięknie napisane, myślała podczas lektury. Jest bardzo utalentowany.

Po kilku stronach Leslie nie mogła już obiektywnie oceniać stylu. Skupiła się tylko na słowach płynących z duszy człowieka, na którym bardzo jej zależało.

Opowiadanie było napisane w trzeciej osobie, ale była to historia Marka. Historia o człowieku, któremu on sam i inni ludzie nakazują być kimś, kim nie chce być. O człowieku, który musi być najlepszy. Któremu nie wolno zawieść. O mężczyźnie głęboko kochającym kobietę.

Była to historia tryumfu. Pod koniec bohater podejmuje odważną, trudną decyzję porzucenia życia, którego nienawidzi, i znalezienia, stworzenia, czegoś lepszego. Ma całkowite wsparcie i miłość kobiety. Razem mogą znaleźć szczęście. Niezależnie od wszystkiego.

Ale opowiadanie na tym się nie kończyło. Był jeszcze krótki epilog. Mężczyzna i kobieta wybrali się na przejażdżkę łodzią.

Trzymał ją za rękę. To dodawało mu sił. Stali przy relingu, patrząc na siebie, zatraceni w miłości, niewidzący szalejącego morza. Nagle łódź podskoczyła. Wstrząs ich rozdzielił i wyrzucił go za burtę, w ciemną pustkę.

Gdzie wszystko zostanie wybaczone.

Leslie skończyła czytać opowiadanie i milczała przez długą chwilę. Nie miała pewności. Podjął decyzję o porzuceniu medycyny. Systematycznie odwoływał prenumeraty i nie zostawiał niedokończonych spraw. Skończył nawet zgłoszenie na badania naukowe, których nigdy nie przeprowadzi. Wszystko wydawało się logiczne i racjonalne. Typowy, obojętny Mark.

Opowiadanie było pełnym przemyśleń, wiele mówiącym spojrzeniem na siebie samego. Była to niemal celebrowanie trudnej decyzji, którą podjął.

Prawie.

- Nie rozumiem zakończenia - rzekła Leslie. Kathleen powiedziała jej wczoraj o opowiadaniu i jego wieloznacznym zakończeniu, którego nie potrafiła zinterpretować. Teraz, nawet po przeczytaniu opowiadania, Leslie nie mogła zrozumieć epilogu. - Reszta opowiadania wyraźnie dotyczy Marka.

- Zakończenie też dotyczy Marka - powiedziała Kathleen. - Lubi się przechadzać po nabrzeżu. Wspomnił, jak łatwo byłoby wypaść za burtę.

- Wtedy płynie się do brzegu - powiedziała po prostu Leslie. - Albo czeka się, aż ktoś rzuci koło ratunkowe.

- Leslie, Mark nie umie pływać - szepnęła przerażonym głosem Kathleen. - Boi się nawet wejść do wody.

- Och - szepnęła cicho Leslie. Uświadomiła sobie, że Kathleen wie. Tylko nie może tego powiedzieć.

Najlepiej zaplanowane samobójstwo.

Ale to było opowiadanie, nie plan. Oparte na faktach, ale fikcyjne. Fantazja. Jedno z wielu możliwych rozwiązań.

Mark naprawdę zamierzał rzucić medycynę. Dowodziła tego lista. Reszta była...

- On cię bardzo kocha - rzekła nagle Leslie.

- Myślisz, że chodzi o mnie? - zapytała słabym głosem Kathleen. Była to jedyna część, która dawała jej nadzieję.

- Oczywiście, że tak. Doskonale opisuje twoją energię, żywotność, urok - stwierdziła Leslie. Widziała nadzieję i wątpliwości w fiołkowych

oczach Kathleen, w oczach, w których kiedyś migotały iskierki radości. Nagle Leslie zrozumiała, czego dotyczą wątpliwości Kathleen. Uśmiechnęła się i powiedziała łagodnie, współczująco, szczerze:

- To ty, Kathleen. Nie Janet. I nie ja.

- Twoje imię jest na liście.

- On kocha ciebie. - Trzymał ją za rękę. To dodawało mu sił. Leslie pamiętała słowa z opowiadania Marka. I pamiętała, jak szybko wyzdrowiał Mark. Wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu. Z Kathleen u boku.

On żył dla Kathleen.

- Tak, przyjechała, Mark. Wszystko w porządku - powiedziała Kathleen, gdy Mark zadzwonił o wpół do szóstej wieczorem. - Za dziesięć minut idę z Sally na kolację i do kina. Wrócę około jedenastej. W domu jest jedzenie, gdyby nie chciało się wam wychodzić.

Tak ustaliły Kathleen i Leslie. Leslie porozmawia z Markiem sama. Spróbuje się dowiedzieć, co planuje, nie mówiąc mu, że czytały jego opowiadanie. Ale gdyby trzeba było wyznać, że naruszyły jego prywatność, powie mu to.

Kathleen i Leslie wiedziały, że Mark może wpaść w gniew.

Wygląda dobrze, stwierdziła Leslie, gdy pojawił się w drzwiach dwadzieścia minut po wyjściu Kathleen. Przystojny, skupiony, uśmiechnięty.

Ale też inny. Zmiana była subtelna. Co to było?

Wygląda spokojnie, uznała Leslie. Pogodzony. Pogodzony ze swoim planem. Cokolwiek to jest.

- Leslie, bardzo mi przykro - powiedział Mark, podchodząc do niej.

Przykro?, zastanawiała się Leslie. Nagle sobie przypomniała. Mark myślał, że przyjechała z powodu Eryka. Eryk. Cały dzień starała się o nim nie myśleć, ale w sercu czuła straszliwą pustkę. Z jego powodu. Wciąż podświadomie było jej smutno.

Teraz, gdy Mark podszedł do niej, a w jego piwnych oczach pojawiło się współczucie i troska, Leslie zaczęła płakać.

Mark objął ją ramionami, jak tamtej nocy, gdy zmarła Jean Watson. Przez chwilę Leslie poddała się pocieszającemu ciepłu i sile. Przytuliła twarz do jego piersi, a on głaskał ją po włosach. Czuła się bezpieczna. Ale to była iluzja.

Po chwili jednak Leslie się odsunęła.

- Powiedz mi, co się stało - powiedział łagodnie Mark.

- Nie przyjechałam tu z powodu Eryka - odrzekła Leslie. - Przyjechałam z twojego powodu.

- Mojego?
- Wczoraj zadzwoniła do mnie Kathleen. Bardzo się o ciebie martwi. Myśli, że coś planujesz.

Leslie uważnie obserwowała jego reakcję. Wyglądał na zaskoczonego i odrobinę zakłopotanego, że tak bardzo się nim martwiły. Ale nie gniewał się i nie przyjął postawy obronnej. Chyba nie miał niczego do ukrycia.

- Coś planuję - rzekł spokojnie. - Zamierzam rzucić medycynę.
- Kiedy?
- Jutro. O dziesiątej jestem umówiony z dyrektorem specjalizacji kardiologicznej. Zamierzałem dziś zadzwonić, żeby ci powiedzieć.
- Co z Kathleen? Kiedy zamierzałeś ją poinformować?

Mark na chwilę osłupiał, zupełnie jakby już jej powiedział. Powiedział jej to w opowiadaniu, ale nie w prawdziwym życiu.

- Jutro wieczorem. Gdy będzie po wszystkim. Nie miałem pojęcia, że tak się martwi - powiedział cicho, marszcząc brwi, zatroskany.

- Kiedy ostatni raz naprawdę na nią patrzyłeś, Mark? - zapytała dobitnie Leslie, przypominając sobie, jak wyglądała Kathleen przed wyjściem do kina. Przypominała sobie, jak Janet wyglądała przez wiele miesięcy, zanim skończyło się ich małżeństwo.

Mark znów zmarszczył brwi.

- Wiem, że ostatnie miesiące były dla niej bardzo trudne. Trudne dla nas obojga. Nie jestem taki nieprzytomny, jak sądzisz. Potrzebowałem czasu i prywatności. Musiałem załatwić to sam. Może to zbyt egoistyczne. Myślałem, że ją chronię.

- Wykluczałeś ją - powiedziała łagodnie Leslie, czując ulgę, że przynajmniej wiedział.

- Nie z moich planów - rzekł szybko Mark. Nie z mojego życia.

- Jakie są twoje plany, Mark? - zapytała Leslie. To było kluczowe pytanie. Do tej pory jego wyjaśnienia wydawały się szczere i logiczne. Niczego nie ukrywał.

- Studia literackie - odpowiedział. Wydawał się nieco zaskoczony, że zapytała. Przecież często o tym rozmawiali. - Co się dzieje, Leslie? Myślałem, że będziesz zadowolona.

- Cieszę się, Mark. Wiem, że postępujesz słusznie. Ale...

- Ale co?

- Kathleen tak bardzo się martwiła. Pomyśl, ile ją kosztowało, żeby do mnie zadzwonić - rzekła łagodnie Leslie.

- I oczywiście udzielił ci się jej niepokój. Dlatego przyjechałaś - powiedział bezradnie. - To bardzo miło z twojej strony, Leslie. Trochę mi głupio. Naprawdę nie ma się czym martwić.

Nie?, zastanawiała się Leslie. Co z zakończeniem opowiadania, Mark? W twoim opowiadaniu księżę i księżniczka nie żyją długo i szczęśliwie.

Leslie udała się do pokoju gościnnego na długo przed powrotem Kathleen. Była wyczerpana emocjonalnie i fizycznie, zbyt zmęczona, żeby myśleć. Nawet o Eryku. Ale ból był w niej i nie zasnął, mimo że ona zasnęła. Pojawił się w jej snach. Śniło jej się - były to potworne, realne sny - że widzi Eryka, Marka, Bobby'ego i Michaela. Śniła o chłopcach, którzy wypadli za burtę w czarną, zimną wodę. Próbowwała daremnie ich ratować. Eryk i Mark też próbowali ratować chłopców, ale nie zdołali. Ich również pochłonęło straszliwe, głębokie morze.

We wszystkich snach, choć starała się z całych sił, Leslie nie zdołała uratować żadnego z nich.

Mark stał w oknie, czekając na Kathleen. Gdy ją zobaczył, wyszedł na dwór, w śnieżną, zimną, styczniową noc, bez płaszcza i rękawiczek. Objął ją ramieniem i poprowadził po śliskim śniegu do domu.

Tulił ją przez chwilę w milczeniu. Potem spojrzął na nią, na ciemne kręgi pod przerażonymi oczami, na bladą twarz. Leslie miała rację. Nie patrzył na nią przez jakiś czas. Nie naprawdę. Był zbyt zaprzątnięty swoją decyzją, swoim planem. Plan dotyczył ich obojga, ale on ją odsunął.

- Och, Kathleen - szepnął, przyciągając ją bliżej. - Bardzo cię przepraszam. Nie chciałem, żebyś się martwiła.

- Marku - zaczęła, ale przerwała.

- Nie ma się czym martwić, kochanie. Podejmowałem bardzo trudną decyzję, co do której musiałem mieć całkowitą pewność. To wszystko.

- Dlaczego nie mogłam ci pomóc? - zapytała słabo.

- Chyba powinienem był cię o to poprosić - mruknął niechętnie Mark. Na dobre i na złe. Słowa, obietnice, odbijały się echem w jego głowie. Powinien był jej o tym powiedzieć. Ciągnął, nieco roztrzęsiony: - Wierzyłem, że będziesz wspierać moją decyzję...

- Oczywiście, że bym ją wspierała. Będę ją wspierać. Co zdecydowałeś?

- Rzucam medycynę, Kathleen - powiedział powoli, ostrożnie, obserwując jej reakcję.

- Dobrze - rzekła natychmiast.

- Dobrze? Nie jesteś zaskoczona, prawda? Leslie pewnie ci powiedziała.

Leslie. I Janet przez Rossa. I twoje osobiste zapiski...

Kathleen wzruszyła ramionami.

- To dobrze, bo tego chcesz i dlatego, że będziesz bezpieczny i szczęśliwy - powiedziała, delikatnie dotykając jego policzka. Bardzo cię kocham, Mark. Proszę, nie opuszczaj mnie. Proszę, bądź bezpieczny i szczęśliwy.

- Chcę ci coś powiedzieć - rzekł impulsywnie Mark. Poprowadził ją za rękę do swojego gabinetu. Wziął ciężki, niebieski podręcznik z półki, na którą starannie odłożyła go Kathleen, z kartkami w środku.

Mark wyjął pierwszą i ostatnią kartkę - listę „Do załatwienia” oraz epilog - i podał jej resztę.

- Chcę, żebyś to przeczytała - powiedział. Chcę się tym z tobą podzielić.

- Czytałam to, Mark - szepnęła ze strachem w fiołkowych oczach. Wskazała dwie kartki, które pozostały w jego dłoni, kartki, których jej nie dał. - Czytałam wszystko.

Musiała przeczytać to wczoraj, uświadomił sobie Mark. Gdy napisał epilog. Nic dziwnego, że się martwiła.

- Leslie też czytała? - zapytał. Teraz rozumiał stonowany entuzjazm Leslie co do jego decyzji.

Kathleen powoli kiwnęła głową, patrząc na niego.

- Mark, bardzo przepraszam - powiedziała. - Byłam zrozpaczona. Nie wiedziałam, co się dzieje. Wiedziałam, że postępuję źle.

- Nie. Wszystko w porządku - powiedział nieprzekonująco. Żałował, że Leslie przeczytała opowiadanie, ale to przez niego Kathleen popadła w rozpacz. Musiał ponieść konsekwencje swoich decyzji. Poczynając od jutrzejszego spotkania z dyrektorem, konsekwencji będzie wiele.

- Przepraszam, Mark - powiedziała, drżąc mimo woli.

- Nie szkodzi - powtórzył. Tym razem jego głos brzmiał pewnie.

Mark odłożył kartki i ujął obie jej dłonie.

- Co to znaczy, Mark? - zapytała.

- Co?

- Zakończenie. Epilog - powiedziała Kathleen. Łzy napłynęły do jej fiołkowych oczu. Część, której nie chciałeś mi dać do przeczytania.

- To oznacza - rzekł powoli, lekko łamiącym się głosem - że się boję.

- Tak bardzo cię kocham, Mark. - Nie bój się.

- Ja też cię kocham. - Nade wszystko.

Żadne z nich nie spało dobrze. Leslie budziła się często ze strachu przed potwornymi snami. Mark i Kathleen leżeli, tuląc się do siebie. Wiedzieli, że muszą wypocząć. Najtrudniejsze miało się dopiero zacząć. Ale nie mogli spać. Oboje niepokoił ich to, co ich czekało.

Przy śniadaniu wszyscy udawali wesołość, ale bezskutecznie. Napicie było bardzo wyraźne. Kathleen i Leslie wiedziały, jak trudny dzień czeka Marka. Podjął decyzję, przeniósł ją na papier, ale teraz musiał oznajmić to ludziom, którzy nie kochali go tak, jak Kathleen i Leslie. Ludziom, którzy nie rozumieją. Ludziom, którzy mogą chcieć w nim wywołać poczucie winy. Ludziom, którzy mogą mu powiedzieć - wykrzyzczyć - że zawiódł.

Dziś był dopiero początek.

- Może powinnam z tobą iść - powiedziała Leslie.

- Nie jestem dzieckiem, Leslie. To nie jest pierwszy dzień szkoły - warknął Mark.

Leslie drgnęła. To nie jest pierwszy dzień, tylko ostatni. Gdzie więc radość?

- Nie chciałam być z tobą. Chciałam zobaczyć szpital.

- Przepraszam - rzekł ostro. Potem zapytał łagodniej: - Dlaczego?

- Dowiedziałam się przypadkiem, że zwalnia się miejsce w programie specjalizacji kardiologicznej.

- Myślałem, że idziesz do Stanforda.

- Może powinnam jednak wyjechać znad zatoki - odparła po namyśle Leslie. Może powinnam uciec od Eryka i wspomnień.

- Mówisz poważnie, prawda? - zapytał Mark.

- Pomyślałam, że skoro tu jestem...

- Dobrze, doktor Adams. Wyjeżdżamy za dwadzieścia minut.

Leslie wyszła, żeby się przygotować.

- Kiedy wrócisz do domu? - zapytała Kathleen.

- W południe - rzekł zdecydowanie Mark. Nie zmuszą go do zostania, niezależnie od tego, co powiedzą. Ale czy na pewno?

- Czy mogę coś zrobić? - zapytała z nadzieją. Nie chciała chodzić w kółko po pokoju i zamartwiać się. Chciała mieć powód, jak Leslie, żeby iść z Markiem, ale nie miała. Z wyjątkiem tego, że go kochała.

- Bądź tu, gdy wrócę - powiedział, całując ją delikatnie w usta.

- Daj mi jakieś zajęcie. Cokolwiek.

- Dobrze. Możesz spakować moje medyczne książki do pudeł. W przyszłym tygodniu zawiozę je do biblioteki przy szpitalu.

- Może przydadzą się w bibliotece publicznej? - zastanawiała się. Nie chce, żebyś tam wracał w przyszłym tygodniu.



- Może. Byłoby dobrze.
- Nie chcesz żadnej z książek?
- Nie.

Dobrze, pomyślała, a jej fiołkowe oczy na chwilę rozblęły. Przynajmniej pozwalał jej pomóc.

Mark szybko oprowadził Leslie po szpitalu Peter Bent Brigham. Wycieczka zakończyła się w kardiologicznym laboratorium badawczym. Mark przedstawił ją dwóm lekarzom, którzy tam pracowali.

- Leslie zamierza się ubiegać o miejsce tutaj - wyjaśnił Mark.
- Świetnie - odpowiedzieli chórem, uśmiechając się ciepło do ładnej, niebieskookiej koleżanki Marka.
- Muszę iść do doktora Petersa - rzekł Mark, gdy zbliżała się godzina spotkania. - Zostawię tu Leslie.

- Zajmiemy się nią - zaproponował jeden z lekarzy.

Leslie pytała ich o program specjalizacji kardiologicznej, ale po chwili zaczęli rozmawiać o Marku.

- Był moim opiekunem podczas stażu - wyjaśniła nieco nostalgicznie Leslie.
- Na pewno był świetny.
- Tak.
- Jest jednym z najlepszych badaczy, jakiego znaleźliśmy - rzekł jeden z nich bez zazdrości w głosie. Wszyscy szanowali Marka. Zawsze i wszędzie.

Najlepszy. Oczywiście, pomyślała Leslie. Mark rozmawiał z dyrektorem od pół godziny. Co będzie, jeśli dyrektor przekona go, by pozostał? Albo powie mu, że popełnia największy błąd w życiu?

- Mark jest cudownym człowiekiem - powiedziała Leslie. Niezależnie od tego, czy jest lekarzem, czy nie.

Mark wrócił kwadrans później. Był napięty i blady, ale uśmiechał się do niej. Wyjął kilka kartek z kieszeni fartucha i podał je jednemu z lekarzy.

- Oto lista pacjentów, którymi zajmowałem się w klinice kardiologicznej albo na konsultacjach i których trzeba dalej leczyć.

Lekarze spojrzeli na listę. Była napisana wyraźnym charakterem pisma Marka. Wyszczególnił na niej dolegliwości pacjentów i podawane lekarstwa, a także podał długoterminowy plan leczenia.

- Wybierasz się gdzieś, Mark?
- Odchodzę - stwierdził stanowczo, spoglądając na Leslie.

Patrzyła na niego zachęcająco.

- Dokąd?

- Ja... hm... rzucam medycynę. Teraz jadę do domu. - Mark próbował żartować. Chociaż byli jego przyjaciółmi i kolegami po fachu, na pewno nie zrozumieją.

Szybko, serdecznie uściśnął im dłonie i wykorzystał ich oszołomienie, żeby uciec.

- Miło mi się z wami pracowało. Do widzenia - pożegnał się.

Mark i Leslie szli szybko, nic nie mówiąc, błyszczącymi korytarzami i betonowymi schodami, do głównego wejścia. Głównego wyjścia. Leslie lekko dotknęła jego ramienia.

- Co z twoim pagerem?

- Dałem go sekretarce dyrektora. Powiedziała, że zajmie się wszystkimi papierkami. - Mark nie zwołał kroku. Chciał wyjść. Uciec. Od wolności dzieliło go tylko kilka metrów.

Ale dwa kroki od frontowych drzwi zatrzymał się.

- Muszę zadzwonić do Kathleen - rzekł stanowczo.

Wszedł do drewnianej budki telefonicznej w holu szpitala. Wyłonił się po kilku minutach. W jego piwnych oczach znów lśniło życie.

- Nie możemy jeszcze jechać do domu - powiedział z uśmiechem.

- Nie?

- Nie - odpowiedział. Jego głos był ciepły, kochający. - Kathleen coś kombinuje. Poza tym podała nam listę zakupów, których zrobienie zajmie nam co najmniej godzinę. Zamierza przygotować wspaniałą kolację.

Dobrze, pomyślała Leslie, podziwiając Kathleen. Będzie walczyć, żeby Markowi wszystko się udało.

Między sklepem z alkoholem a targiem rybnym Leslie w końcu zapytała Marka o spotkanie z dyrektorem.

- Był bardzo łaskawy. Nie wiem, czy zrozumiał. Długo mówił o wspaniałej karierze, którą odrzuciłem. O zmarnowanych możliwościach...

- Spodziewałeś się tego - przerwała Leslie.

- Tak. Ale było mi przykro tego słuchać od kogoś, kogo tak bardzo szanuję - powiedział poważnie Mark. Westchnął. - W każdym razie uściśnął mi rękę i życzył szczęścia.

- To miło - rzekła Leslie. Ciekawe, czy twój ojciec będzie tak samo łaskawy.

## Rozdział 40

Kathleen powitała ich w drzwiach. Policzki miała zaróżowione z emocji, a jej fiołkowe oczy znów były roziskrzzone.

Jest taka odporna, pomyślała Leslie, znów podziwiając Kathleen. I taka odważna.

Mimo wielkich zmartwień i sporego zmęczenia wyglądała pięknie i świeżo. Obawa, świadomość, że to dopiero początek, że nie są jeszcze wolni, wciąż lśniły w jej oczach, ale prawie pokonała je siłą, determinacją i żywotnością, które, do niedawna, były znakiem firmowym Kathleen.

Musiało to wymagać wiele wysiłku, pomyślała Leslie, zastanawiając się, skąd Kathleen bierze energię i siłę. Z miłości do Marka, uświadomiła sobie, widząc, jak ona na niego patrzy. Bo tak bardzo go kocha.

- Co kombinujesz? - zapytał Mark żartobliwie, z miłością.

- Nic. Przemeblowałam tylko twój gabinet. Chodź zobaczyć - rzekła Kathleen, ciągnąc go za rękę.

- W samochodzie jest pełno jedzenia. Chyba nic się nie roztopi, ale coś może zamarznąć.

- Dobrze. Gabinet może poczekać.

Gdy nosili rzeczy z samochodu do kuchni, dla Leslie stało się oczywiste, że Mark i Kathleen powinni zostać sami.

Ona też potrzebowała samotności.

- Idę na spacer - powiedziała.

- Jest minus siedemnaście stopni.

- Gdybyście pożyczyci mi buty i kurtkę... Chcę się przejść po kampusie w Radcliffe i Harvardzie. - Podróż sentymentalna.

- Weźmiesz samochód?

- Nie. Pojadę metrem. Dziękuję.

Kathleen dała Leslie buty, puchową kurtkę, futrzane rękawiczki i ciepłą czapkę.

- Kiedy wrócisz? - zapytała Kathleen.

- Przed zmrokiem - rzekł zdecydowanie Mark.

- Chyba przed zmrokiem - zgodziła się z uśmiechem Leslie. Miło było, że się o nią troszczył.

- Doskonale. Chyba wszyscy musimy dziś wcześniej zacząć wieczór. Pomyślałam, że szampan popłynie o piątej - rzekła radośnie Kathleen.

- Wrócę przed piątą.

Po wyjściu Leslie Kathleen zaprowadziła Marka do gabinetu. Serce było jej mocno. Czy nie przesadziła? Nie chciała naciskać. Nie przejmowała się tym, co zrobił. Zależało jej tylko na jego szczęściu.

Książek medycznych nie było. Na drewnianych półkach stały ulubione książki Marka, dzieła Szekspira, Shawa, Joyce'a, Faulknera i Steinbecka... Do tego ranka większość z nich była jeszcze w pudłach.

Oprawione dokumenty, świadectwa błyskotliwej kariery medycznej Marka, zniknęły. Dyplom Towarzystwa Honorowego Alfa Omega Alfa, dyplom ukończenia studiów medycznych - z najwyższą nagrodą - z Uniwersytetu Nebraski, certyfikat stażu internistycznego z Uniwersytetu Kalifornii oraz licencje lekarskie z Kalifornii i Massachusetts znajdowały się teraz w pudle na strychu.

Kathleen zostawiła na ścianie dyplom ukończenia studiów - w dziedzinie literatury angielskiej - z Uniwersytetu Nebraski, a na miejscu dokumentów medycznych powiesiła zdjęcie Klubu Carlton.

- Jest cudownie.
- Schowałam dyplomy. Książki oddałam do biblioteki publicznej.
- Już?
- Może być? - zapytała szybko, zakłopotana.
- Tak. Oczywiście. Jak je tam przetransportowałaś?
- Taksówką - rzekła po prostu Kathleen.
- Jesteś zachwycająca. Kocham cię.
- Pokażesz, jak?
- Pewnie. - Zaczął ją całować. Potem szepnął czule: - Kitzy.

Leslie stała pośrodku dziedzińca uniwersyteckiego. Wokół niej lekko i cicho padały białe płatki. Studenci z trudem przedzierali się przez śnieg, zmierzając dokądś. Była jedyną turystką, jedyną, która nie miała celu.

Ale jednak miała. Wracała po własnych śladach. Przybyła tu przed laty jako naiwną osiemnastolatka z szeroko otwartymi oczami, pełna nadziei i energii. Kochała lata, które tu spędziła, i następne, gdy uczyła się zawodu lekarza. Przez ten cały czas jej kroki były pewne, radosne, ale mimo wszystko zesła z właściwej drogi.

Bo kroki jej życia doprowadziły ją do Eryka, do cudownej, nieograniczonej miłości, która - w ciągu jednej chwili - zmieniła się w gorycz i nienawiść.

Leslie minęła sypialnie, gdzie pierwszy raz z kimś się kochała i gdzie nauczyła się rozpoznawać zapach marihuany. Minęła bibliotekę, gdzie

studiowała z zapalem, niestrudzenie realizując marzenie o tym, aby zostać lekarzem. Przechadzała się po salach wykładowych i laboratoriach naukowych, wyszła na dziedziniec, gdzie uczestniczyła w spotkaniach i koncertach, gdzie uczyła się w cieniu drzew, śmiała się i całowała...

Myśląc o tamtych latach - wspominając szczęśliwą niewinną, dorastającą Leslie - poczuła obecność innych duchów, innych szczęśliwych chwil, innych młodych kochanków o szeroko otwartych oczach.

To było też miejsce Charlie i Eryka. Tutaj się kochali. Tutaj też się skrzywdzili. Tutaj chodzili, trzymając się za ręce, mówiąc o miłości i małżeństwie... Tutaj byli, gdy Victoria zadzwoniła, żeby powiedzieć Erykowi, że jest w ciąży.

Czy Charlie stała w tym miejscu dziedzińca - tam, gdzie stała teraz Leslie - czekając niecierpliwie, aż Eryk wyjdzie z zajęć? Oczyma duszy Leslie widziała Charlie z zarumienionymi policzkami, ze złotymi włosami targanymi wiatrem, z uśmiechem pełnym miłości, czekającą, pragnącą zarzucić Erykowi ramiona na szyję. Całować go i mówić, jak bardzo się za nim tęskniła.

Jak bardzo się za nim tęskniła, pomyślała Leslie. Jak bardzo za nim tęsknię. Ale ja nawet go nie znam. Eryk, za którym tęsknię, nigdy nie istniał, a ja nigdy nie byłam częścią życia prawdziwego Eryka Lansdale'a. Nigdy nie byłam tak ważna, jak Charlie. Albo jak Victoria. Albo Bobby.

Nigdy nie byłam naprawdę ważna.

Leslie zadrżała. Czy spowodował to mróz? Czy też zimna rzeczywistość jej związku z Erykiem?

O piątej Mark otworzył butelkę szampana, która chłodziła się od trzydziestu minut. Napełnił trzy kryształowe kieliszki.

- Wznieśmy toast - powiedziała Leslie, podnosząc swój kieliszek jasnożółtego płynu z bąbelkami.

- Za co? - zapytała Kathleen, z roześmianymi oczami, rozpromieniona. Ona i Mark odnaleźli siebie i swoją miłość. Może tym razem już na zawsze.

- Za szczęście - powiedziała Leslie. Za wasze szczęście.

Mark upił łyček i westchnął.

- Życz mi powodzenia - rzekł poważnie.

- Dlaczego? - zapytała Leslie.

- Zaraz będę dzwonił do ojca.

Leslie i Kathleen sączyły szampana, czekając z niepokojem na powrót Marka. Był na gorze. Nie słyszały jego głosu.

Mark wrócił po dwudziestu minutach. Był trupio blady. Drżała mu szczęka.

Fiołkowe oczy Kathleen zmrużyły się ze zmartwienia i gniewu. Czeakała, aż Mark coś powie.

- Paskudnie, co? - zapytała Leslie, przerywając ciszę.

- Paskudnie - potwierdził ciężko Mark. Wziął głęboki wdech. Musiał im powiedzieć. Musiał powiedzieć Kathleen. A Leslie też tu była. Musiał to natychmiast z siebie wyrzucić. Rzekł powoli, z goryczą: - Powiedział, że byłoby lepiej, gdybym umarł.

Leslie krzyknęła.

Oczy Kathleen pociemniały. Nagle zaczęła się śmiać.

- Kathleen!

- Mój Boże, Mark! To żalosna namiastka ojca. To jakiś żart! - wykrzyknęła. Żalсны, złośliwy, straszliwy żart. Zrobił Markowi już dość krzywdy.

Twarz Marka powoli odzyskała kolor, a szczęka przestała drżeć.

- Jest też draniem - powiedziała zapalczywie Kathleen.

- Teraz mówisz do rzeczy - rzekł Mark, uśmiechając się lekko.

- Napij się szampana, Mark - powiedziała Kathleen. I zapomnij o swoim ojcu. Proszę. Wiem, że ci ciężko, ale nie potrzebujemy ani jego, ani jego aprobaty. Mamy siebie.

Zadzwoił telefon.

Mark skrzywił się, ale nie wstał. Prawdopodobnie dzwonił ojciec, żeby wymierzyć ostateczne uderzenie. Ale jak mógł odwołać to, co powiedział, że wolałby, żeby jego syn umarł?

- Lepiej, żebym z nim nie rozmawiała - oświadczyła Kathleen.

Leslie wstała.

- Chyba moja kolej, żebym pogadać z „Tatą Doktorem” - powiedziała. - Przed chwilą wyszłście na cały wieczór, tak?

- Albo wyjechaliśmy na weekend - rzekła Kathleen. - Albo na zawsze.

Leslie odebrała w kuchni. Mark poszedł za nią.

- Leslie?

- Eryk.

Mark dotknął lekko jej ramienia i wyszedł, zamykając za sobą drzwi. Została sama.

- Dzwoniłem do ciebie wczoraj do szpitala. Lekarz dyżurny powiedział, że jesteś w Bostonie.

- Jestem. - Dobrze znasz Boston, Eryk, pomyślała ponuro. Ty i Charlie spędziliście tu razem trzy lata. Leslie dziwiła bezbarwność własnego głosu i ból serca, gdy słyszała jego łagodny, pełen troski głos.

Ale on się o nią nie troszczył. Nie naprawdę.

- Kiedy wrócisz do domu?

Do domu? Nigdy. Do San Francisco...

- Wrócę w ten weekend - odpowiedziała ogólnikowo. Zamierzała wyjechać rano. Kathleen i Mark muszą być sami, a ona powinna się wziąć za bary z własnym życiem.

- Kiedy mogę cię zobaczyć?

W jego głosie brzmiało tyle nadziei. Leslie mrugała, żeby powstrzymać łzy.

- Nigdy, Eryku. Ja... To... Koniec.

- Koniec?

- Powinam była wiedzieć o tej części twojego życia, Eryku. To było dla nas takie ważne. Dla mojej kariery zawodowej. Dla naszej przyszłości.

- Zamierzałem ci powiedzieć na Maui, ale dowiedziałem się o tobie i Jamesie.

- Nie rozumiem...

- To mną wstrząsnęło. Przecież wiesz. Nie mogłem ci wtedy powiedzieć o Charlie. Nie chciałem ci tego robić.

- A przez ostatnie dwa miesiące?

- Nie chciałem cię ranić.

- A co z Bobbym, Eryku? Z Bobbym. Z Victorią. Z twoim wstrętem do szpitali. - Ból Leslie przeistoczył się w gniew, każąc jej mówić coś, czego naprawdę nie myślała. A może? Nie знаła naprawdę Eryka Lansdale'a. Wszystko było możliwe. Ciągnęła lodowatym głosem: - Czy ty mnie nienawdziłeś? Bo jestem lekarzem? Chciałeś mnie karać przez cały czas?

- Leslie - przerwał Eryk, przerażony. - Leslie, ja cię kocham. Kocham cię najbardziej na świecie.

- Nie mogę uwierzyć, Eryku. Nie mogę uwierzyć w nic, co powiesz, bo wiem, że nie mówisz najważniejszych rzeczy.

- Leslie, pozwól mi się ze sobą zobaczyć. Proszę.

- Nie ma sensu.

- Może jest jeszcze za wcześnie.

- Nie. - Z każdą godziną Leslie wypychała z serca Eryka, którego kochała, zastępując go prawdziwym Erykiem, mężczyzną którego nigdy nie znała ani nie kochała. Tego Eryka będzie łatwiej zapomnieć.

- Powiedziałbym ci, Leslie.  
- Kiedy? W dniu, w którym oświadczyłabym, że chcę mieć dziecko?

- Mówisz z taką goryczą.

- Ufałam ci, Eryku - powiedziała ciężko Leslie. - Chciałeś, żebym przestała być lekarzem? Czy taka miała być nasza przyszłość? Czy w ogóle był jakiś plan na przyszłość?

- Byłaś, jesteś, moją przyszłością, Leslie. Nigdy nie prosiłbym cię, żebyś rzuciła pracę.

Mogłabym to zrobić dla ciebie, Eryku. Gdybyś mi powiedział. Gdybyś dał mi szansę zrozumieć. Byłeś dla mnie najważniejszy na świecie.

- Spędziłybyś życie, nasze życie, denerwując się za każdym razem, gdybym powiedziała ci coś o swojej pracy? Za każdym razem, gdybyśmy zobaczyli małego chłopca? Co by było z dziećmi, naszymi dziećmi?

- Zanim cię poznałem, nie sądziłem, że związę swoją przyszłość z kimkolwiek. Nigdy nie zastanawiałem się nad dziećmi... Nad kolejnym dzieckiem. Zamierzałem ci powiedzieć, Leslie. Odkładałem to, bo wiedziałem, że to będzie bardzo bolesne. Dla nas obojga.

Łzy popłynęły jej po policzkach. Tęsknię za tobą. Nienawidzę cię. Nie mogę do ciebie wrócić. Nie mogę bez ciebie żyć.

- Leslie? - powiedział łagodnie.

- Żegnaj, Eryku. - *Sayonara*.

- Leslie, zaczekaj! Kocham cię, najdroższa, nie chciałem cię skrzywdzić, ale stało się inaczej. Skrzywdziłem cię bardziej. To był błąd, Leslie. Bo tak bardzo cię kocham.

- Za bardzo mnie zraniłeś, Eryku. Ten błąd był za duży. - Jej głos brzmiał lodowato. Był jak jej serce: zimne i puste, tylko ból nie ustępował. - Żegnaj.

W poniedziałek o jedenastej rano Charlie bez pukania weszła do gabinetu Jamesa.

- Proszę - powiedział James, unosząc brew.

- Co się dzieje z Erykiem? - zapytała.

- Nic, z tego co wiem.

- Widziałeś go dziś?

- Rozmawialiśmy godzinę.

- Wszystko było w porządku?

- Służbowo. Jak zwykle. Dlaczego?



- Właśnie rozmawiałam z nim przez telefon. Idę do niego. Miał straszny głos - powiedziała.

- Gniewny?

- Nie. Zdenerwowany. - Bez nadziei. Jak po śmierci Bobby'ego.

- Zawiadom mnie. Czy mogę coś zrobić?

Charlie już nie było. Po kilku chwilach weszła, również bez pukania, do gabinetu Eryka. Zobaczyła to w jego oczach. Były jak smutne, samotne góry lodowe. Jego oczy odzwierciedlały głęboki ból.

- Powiedz mi - poprosiła łagodnie.

Eryk wszystko jej opowiedział, powoli, w jego głosie brzmiał żal i smutek.

- Victoria jest podła! - wykrzyknęła Charlie, gdy Eryk skończył.

- Nie. Nigdy nie była podła. To wszystko moja wina. Wina mojej głupoty.

- Zamierzałeś jej powiedzieć?

- Oczywiście. Kiedyś. Gdy będzie wypoczęta, gdy ja będę wypoczęty, gdy będziemy mieli trochę czasu dla siebie.

- Czyli nigdy.

- Zamierzałem jej powiedzieć - powtórzył Eryk stanowczo.

- Tak czy inaczej, teraz wie. Gniewa się? - Charlie wciąż nie dowiedziała się niczego, co mogłoby wyjaśnić jego wyraz twarzy i ton jego głosu.

- Jest zraniona i gniewa się. Nie chce mnie widzieć. Mówi, że to koniec.

- To nie ma sensu.

- To ma sens dla Leslie. A tylko ona się liczy.

- Dlaczego?

- Mówi, że nie może mi ufać. Mówi, że nie powiedziawszy jej czegoś tak ważnego, sprawiłem, że związek z nią wcale nie był ważny. Mówi, że mnie nie zna.

Charlie myślała o niebieskich oczach w zakrwawionej twarzy, o oczach, patrzących gniewnie w telewizyjne kamery. Dumne, pełne zdumienia i oburzenia spojrzenia. Leslie miała własne standardy, własne zasady.

- Co zrobisz? - zapytała ostrożnie Charlie.

- Nie mogę nic zrobić - powiedział Eryk zgnębiony. Jego głos był pusty. - Mogę tylko mieć nadzieję, że pewnego dnia zmieni zdanie.

Charlie zwlekała trzy tygodnie, aby powiedzieć o tym Robertowi. Czekala, czy Leslie wróci. Nie wróciła.

I nie wróci, pomyślała Charlie. Jak się z tym czuję?

Gdy już znała odpowiedź na to pytanie, zadzwoniła do jego domu w Filadelfii w środowy wieczór w lutym.

- Co robisz? - zapytała jak zwykle. Wielką przyjemność sprawiało jej, gdy mówił, że myśli o niej. Albo o nich. Razem.

- Zastanawiałem się nad wstąpieniem do kalifornijskiej palestry.

- Naprawdę?

- Naprawdę. Co robisz?

- Dzwonię, żeby ci powiedzieć, że za tobą tęsknię. I żeby powiedzieć o Eryku i Leslie.

Robert zorientował się z tonu jej głosu, że wiadomość o Eryku i Leslie nie będzie dobra. Słuchał, nie przerywając, aż skończyła.

- Kiedy Victoria opowiedziała wszystko Leslie?

- Miesiąc temu - rzekła Charlie. Potem dodała powoli: - Wiem o tym od trzech tygodni.

Charlie czekała, że zada pytanie: „Dlaczego mi nie powiedziałaś, Charlie?” Miała mnóstwo okazji w ciągu ostatnich trzech tygodni. Spędzili razem trzy weekendy i rozmawiali ze sobą prawie codziennie.

Milczenie przedłużało się, w końcu Charlie odpowiedziała na niezadane pytanie.

- Nie powiedziałam ci od razu, bo nie chciałam cię martwić. Myślałam, że może Leslie wróci.

- Nie martwiłbym się o Leslie i Eryka - rzekł Robert. Nie tak, jak martwiłbym się o ciebie i Eryka. Czy Charlie chce jeszcze raz spróbować z Erykiem?

Charlie wiedziała, co miał na myśli Robert. A także to, że nie mówiąc mu od razu, potwierdziła własną niepewność.

Charlie wiedziała, że musi być pewna, zanim powie Robertowi. Mówiła mu teraz.

- Wiesz, nad czym się zastanawiałam? - zapytała w końcu delikatnie po długiej chwili milczenia.

- Nie - odrzekł ostro.

- Zastanawiałam się, czy zostanę przyjęta do palestry w Pensylwanii.

- Musisz być bardzo pewna, Charlie - powiedział Robert. Nie będę rywalizował z własnym synem.

- Jestem bardzo pewna. Kocham cię, Robercie. Kocham ciebie.

## Rozdział 41

**G**dzie pani jest, pani MacMillan? - zapytał Ross uspokojony, słysząc głos Janet. Była ostatnia sobota marca, wpół do siódmej wieczorem. Ross spędził w teatrze cały dzień. Zadzwoniła piętnaście minut po tym, jak wrócił do ich mieszkania na ulicy Sacramento.

- W domu - powiedziała cicho Janet.

- W domu? - Dwie godziny drogi stąd. Dlaczego tam jest? - Czy jest z tobą Leslie?

Ross wiedział, że Janet zamierzała spędzić część dnia z Leslie.

- Nie. Widziałyśmy się tylko kilka godzin.

- Jak się czuje? - zapytał Ross. Jak ty się czujesz? Dlaczego jesteś tak daleko?

- Straszliwie - rzekła Janet z westchnieniem. - Ale się do tego nie przyzna. Gdy jest jej ciężko, robi się twarda jak stal. Nie mówi o tym. Powtarza tylko, że dobrze się czuje...

- Ale? - zapytał łagodnie Ross. Z Leslie nie jest dobrze. Ani z tobą. Dlaczego?

- Jest rozbita. I nie może usiedzieć w miejscu. Jest jak koliber trzepocący skrzydełkami. Musi się ruszać.

- Musi porozmawiać z Erykiem.

- Wiem - odparła Janet. I dodała: - Ale nie sądzę, żeby kiedykolwiek to zrobiła.

Ross czekał. Musiało być coś więcej. Coś musiało tłumaczyć, dlaczego Janet pojechała do domu sama. Dom, zielone wzgórza, niebieski ocean... Kryjówka Janet. Tam jechała, gdy chciała być sama.

- Janet?

- Wiesz o Marku? - zapytała bezbarwnie.

- O Marku? - Ross nie rozmawiał z Kathleen od października. - Nie. Co?

- Rzucił medycynę - rzekła Janet.

- Och - powiedział Ross. I zapytał ostro: - Nie sądzisz, że gdybym wiedział, to od razu bym ci powiedział?

- Nie byłam pewna.

- A powinnaś.

Wiem, że powinnam, pomyślała Janet, ale teraz nie jestem pewna niczego. Zbyt wiele zmian.

- Kiedy odszedł? - zapytał Ross, udając zainteresowanie. Nie obchodziło go to specjalnie. Zwłaszcza jeśli to oddziaływało go od żony.

- Ponad dwa miesiące temu. Leslie wiedziała, ale nie chciała mi mówić, aż...

- Aż co?

- Aż będzie miała pewność, że wszystko w porządku. Aż będzie pewna, że mu się uda - powiedziała Janet. Leslie była chyba pewna.

- Dlaczego miałoby się nie udać?

- Nie wiem. W każdym razie mówi, że wszystko jest dobrze. Mark jest szczęśliwy.

Nastąpiła długa cisza.

- Co się stało, Janet? - zapytał w końcu Ross.

Usłyszał jej westchnienie. Długie, ciężkie westchnienie.

- W tej chwili życie wydaje mi się takie niepewne. Zbyt poszarpane. Zbyt wiele zmian.

- Jak...

- Jak z Leslie i Erykiem. To bez sensu, że im się to zdarzyło - powiedziała. - I Mark. Chociaż wreszcie zrobił to, co go uszczęśliwi, na pewno jest to dla niego bolesne. Pomyśl o tylu zmarnowanych latach. O latach cierpienia ...

- Ale my jesteśmy szczęśliwi - wtrącił stanowczo Ross. W nas nie ma żadnej niepewności, prawda?

- Tak - powiedziała Janet. Jej głos był czuły, lecz odległy. - Ross?

- Tak? Powiedz mi, Janet.

- Myślisz, że będziemy mieli dzieci? - zapytała cicho.

- Nigdy o tym nie rozmawialiśmy, prawda? - rzekł łagodnie.

- Nie. Chcesz je mieć?

- **Ary?**

- Chyba tak.

- Nie ma pośpiechu, prawda? - zapytał ostrożnie Ross. Czuł, że to była impulsywna reakcja na niepewność, którą czuła Janet, potrzeba stworzenia czegoś stałego i trwałego, ale ona przecież miała już coś takiego. Miała jego miłość.

- Nie. Bez pośpiechu. Tak tylko myślałam - powiedziała łagodnie. Potem powtórzyła swoje pytanie: - Chcesz mieć dzieci, Ross?

- Chcę tylko ciebie - odpowiedział Ross. - Chcę cię teraz, a ty jesteś dwie godziny drogi stąd. Zatem wyjeżdżam...

- Nie, Ross. Wiem, że musisz popracować nad scenariuszem, a ja jestem bardzo zmęczona. Muszę się wyspać, zaraz się położę.

- Janet...

- Naprawdę. Zanocuję tu i przyjadę rano. Będę w domu, zanim się obudzisz.

- Dobrze się czujesz?
  - Tak. Jestem tylko trochę sentymentalna, płacziwa i teatralna - powiedziała, chcąc, żeby jej głos brzmiał tak, jakby dziwiła ją własna głupota. - Rano wszystko będzie w porządku.
  - Cóż...
  - Patrzysz na stos stron scenariusza, które przyniosłeś do domu, prawda? - zapytała lekko.
  - Tak dobrze mnie znasz.
  - Do zobaczenia rano - szepnęła. - Dobranoc, Ross.
  - Śpij dobrze, kochanie - powiedział Ross.
- Nie jest dobrze, pomyślał. Wcałe nie jest dobrze.

Janet zamknęła oczy i myślała o wydarzeniach tego dnia. Spotkanie z Leslie, widok jej cierpienia zasmucały ją. A wieść o Marku, chociaż cudowna, wprawiła ją w nostalgię. Ale Janet pojechała do domu na wsi z własnego powodu. Chciała pomyśleć.

O dziesiątej rano zadzwoniła do lekarza, żeby dowiedzieć się o wyniki badania krwi, przeprowadzonego poprzedniego popołudnia. Badania potwierdziły to, o czym wiedziała od trzech miesięcy. Była w ciąży.

Skąd wiedziała? Nie czuła się źle, nie opóźniła jej się miesiączka, nie zauważyła powiększenia piersi. Nie było żadnych zewnętrznych oznak. Ale wiedziała, prawie od razu. Prawie od chwili, gdy zostało w niej poczęte maleńkie życie. Czuła obecność nowej, cudownej części siebie.

Zastanawiała się, czy wszystkie kobiety czują to tak wcześnie, jak ona. Czy też działo się tak dlatego, że to dziecko było wyjątkowe.

Przyjechała do domu na wsi, żeby pomyśleć o nowym życiu, które w niej rosło. Jakie będzie to życie? Janet chciała, żeby jej dziecko było szczęśliwe, by nigdy nie zaznało bólu. Ale jak mogła mu to zagwarantować? Czy cała jej miłość potrafi obronić dziecko przed cierpieniem?

A jeśli jej dziecko będzie takie, jak Leslie? Piękna, szczęśliwa dziewczynka o szafirowych oczach i lśniących, ciemnych włosach, o kochającym sercu? Kochająca i ufna do dnia, gdy jej marzenia legną w gruzach i będzie musiała cierpieć. Bez potrzeby. Bez końca.

A jeśli jej dziecko będzie chłopcem, który, jak Mark, będzie wierzył, że musi być najlepszy? Chłopcem, którego ojciec stara się być najlepszy i którego matka jest najlepsza, mimo że o to nie dba. Jak dziecko może uniknąć presji? A jeśli jego życie omal nie zostanie zniszczone - jak życie Marka - przez tę presję?

Janet westchnęła. Och, maleństwo, pomyślała, zrobię wszystko, żebyś było szczęśliwe. Dam ci całą swoją miłość, ale przecież to wiesz, prawda? Już to czujesz. Tak, jak ja czuję ciebie.

Co z Rossem? Chcę tylko ciebie, powiedział. A jeśli Ross nie chce dziecka? Dlaczego mu nie powiedziała? Kiedy zamierzała mu powiedzieć?

Muszę mu powiedzieć, pomyślała. Muszę mu to powiedzieć teraz.

Ross przyjechał do domu na wsi o dziewiątej wieczorem. W domu było ciemno. Samochodu Janet nie było. Ross pojechał do domku, ale tam też jej nie zastał. Wrócił do domu, żeby zaczekać.

Gdzie ona jest?, zastanawiał się. Niepokój, który kazał mu kilka chwil po zakończeniu rozmowy złapać kluczyki do samochodu i jechać do ich domu, przekraczając dozwoloną szybkość, wzrósł, gdy Ross czekał w pustym domu. Gdzie ona jest?

Za piętnaście dziesiąta zadzwonił telefon, zaskakując go.

- Halo? - odebrał szybko.

- Ross - powiedziała. Jej głos był czuły, kochający, odległy.

- Gdzie jesteś? - zapytał z ulgą. Potem uświadomił sobie: „Może wiedzieć, że tu jestem, jeśli sama...” - Jesteś w mieszkaniu?

- Jak w musicalu, prawda? - zapytała. Słyszając jej głos, wiedział, że się uśmiecha.

- Sądzę, że robimy postępy - rzekł łagodnie. Wiedział, że nie powinni być oddzielnie, więc pojechał do niej. Ona też to wiedziała i pojechała do niego. Ich sygnały się nie minęły, lecz zazębiły. Tak powinno być.

- Wiem - powiedziała. - Tylko że ty jesteś tam, a ja tu.

- Bo się kochamy. Bo nawet gdy coś jest nie tak, musimy być razem - powiedział Ross. Był ogromnie szczęśliwy, że Janet postanowiła do niego pojechać.

- Kocham cię - powiedziała. Przyjedź do mnie, żebym mogła ci powiedzieć o naszym dziecku, pomyślała.

- Ja też cię kocham. Teraz nigdzie się nie ruszaj, będę u ciebie za dwie godziny - powiedział miło. Nie był zmęczony, tylko szczęśliwy. Dodał ostrożnie, zgadując: - Oboje się nie ruszajcie.

- Oboje? - zapytała słabo. - Ross, skąd...

- Mam rację?

- Tak - szepnęła. - Ross, czy to dobrze?

- Tak. Oczywiście. Kocham was oboje - powiedział czule. - Kocham was oboje.

- Na pewno nie jesteś niezadowolona? - zapytał Mark.

- Wiesz, że nie - odpowiedziała z miłością Kathleen.

Wiedział to, bo wiedział, jak bardzo go kocha. A Kathleen wiedziała, jak bardzo on kochają.

Była sobota siódmego maja. Piątkowa poczta przyniosła Markowi wiadomość o przyjęciu go na Uniwersytet Harvarda, na studia literackie. Przez ostatnie trzy miesiące chodził na seminaria z literatury angielskiej na Harvardzie. W tym czasie Kathleen patrzyła, jak jego niepewność związana z porzuceniem medycyny zmienia się w radość i entuzjizm dla nowego życia.

Teraz przyjęto go na Harvard i zastanawiał się, czy Kathleen będzie mu miała za złe, jeśli zostaną w Bostonie na trochę dłużej...

Oczywiście, że nie miała mu tego za złe. Mimo niepokoju - mimo niepokoju, jaki budził w niej epilog opowiadania Marka - ostatnie miesiące były najszczęśliwsze w życiu Kathleen. Ona i Mark zakochali się w sobie. Znów. Bardziej. Głębiej. Pewniej, bo życie Marka, jego marzenia, były teraz bezpieczne.

- Myślisz, że wytrzymasz jeszcze trzy lata w Bostonie? - zapytał, całując ją w szyję. Leżeli w łóżku. Była dziesiąta rano. Przez ostatnie miesiące Kathleen była zachwycona, że wciąż ma go przy sobie.

- Cudownie! - wykrzyknęła entuzjastycznie. - W tym roku nauczę się jeździć po śniegu.

Styl Kathleen - energia i witalność - rozkwitł ponownie, dzięki miłości Marka i jego szczęściu.

- Nauczę cię - powiedział.

- Czy mógłbyś zawiadomić Harvard, że przyjmiesz propozycję, jeśli twoje pierwsze zajęcia w ciągu dnia będą się zaczynać w południe?

- Co? - zapytał ze śmiechem Mark. - Nie sądzę, żeby można było negocjować. Dlaczego?

- Powiedz, że twoja żona rano potrzebuje cię w łóżku - oświadczyła Kathleen. - Że codziennie musisz się kochać z żoną, zanim chociażby zaczniesz myśleć o Szekspirze.

- Codziennie?

- Codziennie - rozmarzyła się Kathleen. Przyzwyczajają się - to już było uzależnienie - do długich, cudownych godzin w łóżku ze zmysłowym, romantycznym mężem.

- Powiem, że jesteś moim natchnieniem - rzekł poważnie Mark. Bo jesteś.

- Wiesz, co mógłbyś dla mnie zrobić? - zapytała Kathleen, odwracając się do niego, z wyrazem zamyślenia w fiołkowych oczach.

- Tak - droczył się. - Myślałem, że zrobiłem to piętnaście minut temu.

Kathleen milczała, zamyślona. Może nie powinna o tym mówić. Wszystko było tak doskonałe.

- Co, Kathleen? - zapytał, zaniepokojony nagłą powagą w jej oczach.

- Chciałabym, żebyś nauczył się pływać - powiedziała szybko, żeby nie stracić odwagi. Żebyś nigdy nie wypadł z łodzi i nie utonął. Przy padkiem albo...

- Och, Kathleen. Żałuję, że czytałaś ten cholerny epilog - powiedział. Nie był zły, tylko zmartwiony. - Napisałem go dla siebie. Musiałem. To była część procesu. Musiałem opisać wszystkie możliwości.

- Wiem - powiedziała. - Ale...

- Jestem teraz szczęśliwy. Nigdy dotąd nie byłem tak szczęśliwy. Nawet nie przypuszczałem, że mogę być tak szczęśliwy. Nie wiesz?

- Tak...

- Ale chcesz, żebym nauczył się pływać - powiedział, po przyjacielsku całując ją w nos.

Kathleen kiwnęła głową i uśmiechnęła się uwodzicielsko.

- Kiedy w przyszłym miesiącu pojedziemy na Martynikę, będziesz mógł się ze mną kochać w turkusowej wodzie.

- To jest powód? - przekomarzał się. Pójdzie na lekcje pływania, od poniedziałku, bo nie chce, żeby kiedykolwiek się niepokoiła.

Kathleen zaczęła potakiwać, ale powoli potrząsnęła głową. Oboje znali prawdziwy powód.

- Ale to cudowna uboczna korzyść, prawda?

Mark kiwnął głową. Po chwili zmarszczył brwi, zastanawiając się, czy powinien jej powiedzieć, o czym on myśli, o co się martwi.

Powinienem, uznał. Tak mają spędzić resztę życia. Razem. Włączając się w swoje marzenia, dzieląc się zmartwieniami. Na dobre i na złe.

- Co, Mark?

- Myślę, żeby napisać do ojca - wyznał.

Nie kontaktowali się od tej śnieżnej, styczniowej nocy sprzed czterech miesięcy, gdy ojciec Marka powiedział, że lepiej byłoby, gdyby umarł.

- Dlaczego? - zapytała Kathleen. Ale знаła odpowiedź. To - nierozwiązany związek Marka z ojcem - była bolesna, nierozstrzygnięta sprawa.

- Bo wciąż czuję się z tym źle. Jemu jest prawdopodobnie gorzej, niż mnie. Mnie się udało. Uciekłem i jestem szczęśliwy.

- Ty zbudowałeś własne szczęście - powiedziała Kathleen. Nie żywiła ciepłych uczuć do ojca Marka. Dodała: - Zbudowałeś je, mimo że on ci w tym przeszkadzał.



- On nie chciał, żebym był nieszczęśliwy, Kathleen - powiedział Mark łagodnym i smutnym głosem. - Po prostu chciał wszystkiego najlepszego dla swojego syna. Myślał, że to, czego on chce, uszczęśliwi mnie. To nie takie złe, prawda?

- Ale cię nakłaniał - powiedziała Kathleen. Czy ojciec Marka robił to dla syna? Czy dla siebie?

- Stał się ofiarą swoich nadziei i marzeń, tak jak ja - rzekł z żalem Mark. - Właściwie to mi go żal.

- Zatem... - zaczęła Kathleen i przerwała. Zatem Mark jest niezwykłym, dobrym, hojnym człowiekiem, pomyślała z miłością. Ale ja to wiem.

- Zatem napiszę do niego i wyjaśnię, jeśli zdołam.

- I?

- I mam nadzieję, że zrozumie, dziś lub kiedyś.

I wszystko zostanie wybaczone.

## Rozdział 42

W połowie maja Leslie uświadomiła sobie, że musi wynająć mieszkanie w Palo Alto. Przeprowadzi się pod koniec czerwca. Wygospodarowała kilka godzin w sobotę, żeby pojeździć po Palo Alto i trochę się rozejrzeć.

Chciała zamieszkać w pobliżu Szpitala Stanforda, na wypadek gdyby musiała pomóc przy nagłych katetyzacjach serca albo zająć się pacjentami z ostrymi zawałami i arytmia. W pobliżu szpitala znajdowały się głównie duże kompleksy mieszkaniowe, zamieszkane przez młodych, wolnych dorosłych.

Jesteś młoda, wolna dorosła, powiedziała sobie. Nawet jeśli nie chcesz mieć nic wspólnego z innymi młodymi, wolnymi dorosłymi osobami. Ani w ogóle z nikim.

Leslie bez radości podpisała półroczną umowę wynajmu narożnego mieszkania w pięknie położonym budynku, z kortem tenisowym i basenem. Będzie chodzić do szpitala piechotą. Dom był czysty, porządny i bezpieczny.

Powinna być zachwycona. Ale nie była.

Ból, który był w niej cały czas, odkąd odeszła od Eryka, odkąd stracili się na zawsze, wzrastał się, podczas gdy dni zmieniały się w rygo-

dnie i miesiące. Śniła o nim - były to straszne, burzliwe sny - i czasami budziła się ze łzami w oczach.

W pracy potrafiła o nim nie myśleć, chociaż bolesna pustka wciąż jej towarzyszyła. Leslie pracowała długo, spędzała dużo czasu z pacjentami i z młodszymi lekarzami, stażystami i studentami. Zaczęła się przygotowywać do egzaminu z chorób wewnętrznych i spędzała wiele godzin w bibliotece, czytając artykuły kardiologiczne, żeby dobrze się przygotować do specjalizacji w Stanfordzie.

Czas leczy rany, powtarzała sobie, ale nie miała na to dowodu. A jeśli rany są zbyt głębokie? Zbyt świeże? A jeśli zagoją się w bezkształtne blizny? A jeśli nigdy się nie zagoją?

Leslie sto razy sięgała po słuchawkę, żeby zadzwonić do Eryka, ale nie wykręciła numeru. Nie знаła człowieka po drugiej stronie linii. Jest... zawsze był obcym.

Leslie wróciła z uwieńczonego sukcesem poszukiwania mieszkania w Palo Alto wczesnym wieczorem. Jechała do San Francisco autostradą przy wybrzeżu. Był piękny, wiosenny dzień. Ciepła, łagodna bryza pachniała bzem i eukaliptusami. Nad oceanem było mnóstwo pływaków, surferów i plażowiczów, którzy się opalali, puszczała latawce i rzucali frisbee. To był dzień na muzykę Beach Boysów, hot dogi, śmiech i miłość. Leslie czuła się jak widz, niezwiązany z ludźmi, lecz oszołomiony niebieskim niebem, żółtym słońcem i lazurowym morzem.

Dziesięć minut po jej powrocie do mieszkania zadzwonił dzwonek u drzwi.

- James - westchnęła.
- Cześć. Mogę wejść? Byłem w okolicy...
- Budujesz hotel? Parnassus Palms? - zapytała sarkastycznie.
- Hej - odparł szybko. - Nie jestem twoim wrogiem.
- On cię przysłał?
- Leslie, przyszedłem, żeby się z tobą zobaczyć. Byłem tu już przedtem. Pierwszy raz cię zastałem.
- Spędzam tu jak najmniej czasu - przyznała. Jej głos złagodniał. Przyjemnie było widzieć Jamesa.
- Leslie - powiedział miło. Zbyt miło. Przypomniało jej to, jak to jest być kochaną.

Łzy wypełniły jej wielkie, niebieskie oczy.

- Och, Leslie - powiedział James, chcąc ją przytulić. Była taka nieszczęśliwa. Taka słaba. Taka samotna.

Schudła. Jej lśniące kasztanowe włosy opadały do połowy pleców. Ogromne niebieskie oczy były zmęczone i czujne, jakby wciąż obawiała się kogoś, kto znów mógłby ją skrzywdzić.

Była taka piękna.

- Przepraszam, James. Wciąż ponoszą mnie emocje - powiedziała, ocierając łzy, które nie chciały przestać płynąć.

Objął ją i mocno przytulił. Było tak dobrze. W jego ramionach. Potrzebowała czułości i miłości. James kiedyś ją kochał. Mogłoby się to stać ponownie, tak łatwo, z Jamesem.

Leslie zeszywniała.

- Jesteś taka napięta - szepnął, a jego usta muskały jej włosy.

Jesteś taka napięta, że gdybym cię dotknął, podskoczyłabyś. W głowie huczały jej słowa kolegi stażysty. Stażysta mówił o jej wewnętrznym napięciu. O jej sztywnych standardach. O jej perfekcjonizmie. Czy była zbyt sztywna? Czy zbyt wiele od wszystkich oczekiwała? Czy oczekiwała zbyt wiele od siebie?

- James - powiedziała w końcu. - To zbyt trudne, gdy mnie dotykasz.

- Dlaczego? - zapytał, puszczając ją, ale nie odsuwając się.

- Potrzebuję... czegoś.

- Potrzebujesz Eryka - powiedział bezbarwnie James.

- Nie.

- Leslie, spójrz na siebie. To cię rozdziera - rzekł James. I dodał łagodnie: - Tak jak rozdziera Eryka.

- Nie chcę o nim słuchać - powiedziała szybko Leslie.

- Właśnie usłyszałaś. Wygląda mniej więcej tak, jak ty. Pracuje równie ciężko, jak ty. Firma nigdy nie odnosiła takich sukcesów - powiedział poważnie.

- James, wiesz, co on zrobił!

- Wiem, czego nie zrobił. Nie powiedział ci o innej kobiecie, bo wiedział, że cię to zrani. Nie powiedział ci o swoim doświadczeniu ze szpitalami i medycyną, bo wiedział, że będziesz się zastanawiać nad swoim zawodem. I nie powiedział ci o chłopcu, który zmarł, bo wiedział, że cię to zasmuci - rzekł James lekko łamiącym się głosem.

- Wiedziałaś? - zapytała Leslie.

- Wiedziałem, że coś go łączyło z Charlie. Do niedawna nie znałem reszty. Powiedziała mi Charlie, nie Eryk. Eryk nigdy nie powiedziałby mi o Bobbym. - Z powodu Michaela.

- Ty nie musiałaś wiedzieć, James. Ja musiałam. To miało taki wielki wpływ na nasze wspólne życie.

- Może wcale tego nie chciał. Wiem, że nigdy by nie chciał, żebyś przez niego rzuciła medycynę.

- Zrobiłabym to - rzekła z namysłem Leslie. - Nie zrezygnowałabym z Radcliffe dla Alana ani ze stażu dla chłopaka z medycyny. Ale dla Eryka...

Przed laty zrezygnowałabym z Radcliffe, żeby być z tobą, James. A teraz oddałabym wszystko, żeby być z Erykiem.

- Nie sądzę, żeby chciał, abyś z czegokolwiek zrezygnowała. Nie z pracy. Nie z dzieci. Zapewne zastanawiał się, jak mógłby cię o tym przekonać, gdyby ci powiedział. Może dlatego zwlekał z wyznaniem prawdy.

- Bo sam nie był pewien?

- Zanim cię poznał, nie myślał o kolejnym dziecku.

- Powiedział ci to? - zapytała słabo Leslie. Eryk powiedział to jej, gdy zadzwonił do niej do Bostonu.

- Powiedział Charlie.

- Charlie, Charlie, Charlie. Może teraz Charlie i Eryk będą wreszcie razem. To wydaje się słuszne - powiedziała Leslie, przypominając sobie słowa Victorii.

Miłość taka nie jest, pomyślał James. Nie kocha się z braku lepszych możliwości. - Eryk cię kocha.

- Ja nawet nie znam Eryka - upierała się Leslie. Dlaczego James broni Eryka? Dlaczego nie pomaga jej? - Ukrywał przede mną najważniejszą część swojego życia...

- Leslie, gdy człowiek traci dziecko, to zostaje w nim na zawsze, do końca życia - rzekł James głosem pełnym emocji. - Czy Eryk ci to powiedział, czy nie, znałaś tę jego część. Nie mógł jej ukryć.

To prawda, uświadomiła sobie niechętnie Leslie. Bobby w nim był. W jego oczach, w delikatności, w tym, jak się z nią kochał.

Czy nie miałam racji? Czy byłam zbyt sztywna? Zbyt nieprzejednana? Nie wiem. Nie wiem

Leslie zamilkła.

- Leslie? - zapytał w końcu James, widząc, że w jej oczach znów pojawiają się łzy.

- To twoja wina - pociągnęła nosem.

- Moja wina? Przez Maui? Bo powiedziałby ci, gdyby...

- Nie. Bo półtora roku temu stałeś się złotym standardem - powiedziała ostrożnie. Złotym standardem miłości i zaufania.

- Chociaż to się skończyło? - zapytał łagodnie. Potem powiedział to, co wiedzieli oboje. - To się nie skończyło, prawda? Tylko przestaliśmy się widywać.

James patrzył na nią przez dłuższą chwilę. Zawsze będzie ją kochał. Dlatego teraz tu był. Bo ją kochał. Bo wiedział, że cierpi, a chciał, żeby była szczęśliwa.

- Potem... - zaczęła wreszcie Leslie niezręcznie, nie mogąc wytrzymać jego spojrzenia. - Gdy przestaliśmy się widywać, uznałam, że następne związki będą takie, jak kiedyś: przyjemne, wygodne, bezpieczne, niezagrażające mojej karierze zawodowej, nieprzeszkadzające mojemu życiu ani prywatności. Związki, które mnie nie spalą.

- Innymi słowy, związki bez miłości - powiedział James.

- Miałam wspomnienie miłości. - Wspomnienie ciebie. I nie było w nim goryczy ani smutku.

- Wtedy poznałaś Eryka. I uświadomiłaś sobie, że to, co łączyło nas... - James urwał. Łączyła nas i łączy miłość, ale nieporównywalna z tym, co znalazłaś przy Eryku.

- Wiedziałam, że mogę się jeszcze kiedyś zakochać. Nie zrobiłam tego świadomie; to się po prostu stało i teraz moje wspomnienie miłości nie jest już tak cudowne. Jest pełne bólu, gniewu i goryczy. Teraz, gdy miłość się skończyła.

- Nie skończyła się, Leslie. Niezależnie od tego, że twój bystry, racjonalny umysł próbuje to skończyć, twoje serce na to nie pozwoli. Może Eryk popełnił błąd. Może złamał kilka z twoich zasad.

- James - chciała, żeby przerwał. Czuła zakłopotanie. Mówił, że jest zbyt nieugięta. Że gdy się kogoś kocha, zasady się zmieniają.

James nie przerywał.

- Sama złamałaś pewne zasady - powiedział cicho.

Miałaś romans z żonatym mężczyzną. Bo miłość zmieniła zasady. Bo wydawało się to słuszne, pomimo zasad.

Wieczorem w pierwszy piątek czerwca, trzy tygodnie po wizycie Jamesa, Leslie wykręciła zastrzeżony numer telefonu do mieszkania Eryka. Do tej chwili nie myślała o zadzwonieniu do niego. Ale gdy jej drżące palce wykręcały tak dobrze znany numer, uświadomiła sobie, że od trzech tygodni nie myślała o niczym innym.

Telefon został odebrany po drugim dzwonku. Ale nie przez Eryka.

- Halo! Halo! - wykrzyknął radosny głos. - Jesteśmy prawie gotowi. Tylko Eryk udaje, że zgubił gdzieś obrączki.

Charlie. Leslie rozpoznała głos. Obrączki.

Patrzyła przez chwilę na słuchawkę, potem odłożyła ją na widełki. Serce bolało ją tak, że chciała krzyczeć.

- Kto to był, Charlie? - zapytał Eryk. Słyszał słowa Chanie i widział jej zdziwioną minę.

- Myślałam, że to Robert chce zapytać, co nas zatrzymuje. Ale to nie on. Ten ktoś się rozłączył.

- Zanim coś powiedziałaś?

- Nie. Kilka sekund po tym, jak przestałam mówić. Może to pomyłka - powiedziała Charlie. - Masz obrączki, prawda?

- Oczywiście - mruknął Eryk. Nigdy dotąd nie zdarzyła się tu żadna pomyłka. Numer był zastrzeżony, więc nie odbierał telefonów do innych Lansdale'ów. Możliwe, że ktoś się pomylił, ale do tej pory się to nie zdarzało.

A jeśli to była Leslie, po tych wszystkich miesiącach? Może usłyszała słowa Charlie, wahała się przez chwilę i odłożyła słuchawkę.

Ale Leslie by do niego nie zadzwoniła. Nigdy.

A jeśli zadzwoniła?

Eryk stał bez ruchu w salonie. Po głowie kołatały mu się różne „a gdyby?”, serce biło mu bardzo mocno.

- Eryk? - zapytała Charlie.

- Muszę zadzwonić - powiedział, zaskoczony własnymi słowami. Podjął decyzję. Nie może stracić więcej, niż stracił do tej pory.

- Teraz?

- Tak. Teraz - powiedział.

Zostawił oszołomioną Charlie w salonie. Poszedł do swojej sypialni i zamknął drzwi.

Nie mogę odebrać, pomyślała Leslie, zdenerwowana dzwonkiem telefonu. Był tak głośny i natrętny. Nie mogę z nikim teraz rozmawiać.

Piąty dzwonek.

Zostaw mnie, kimkolwiek jesteś.

Dziesiąty.

Proszę. Daj mi czas, żebym zrozumiała. Żebym doszła do siebie. Żebym znów mogła go znienawidzić. Tym razem będzie łatwo.

Piętnasty.

Odebrała po osiemnastym dzwonku. Żeby telefon przestał wreszcie dzwonić. Głośny, natrętny hałas sprawiał jej jeszcze większy ból.

- Halo? - Była zaskoczona, że potrafi mówić prawie normalnie.

- Leslie.

Eryk. Zamknęła oczy. Dzwoni, żeby wyjaśnić, co stało się z Charlie. Nie mogę tego słuchać.

- Leslie?

- Tak.

- Dzwoniłaś do mnie przed chwilą? - Eryk wstrzymał oddech.  
- Tak. - Muszę odłożyć słuchawkę.  
- Leslie, pozwól mi wytłumaczyć - powiedział szybko Eryk, wychuwając jej rezygnację.

- Nie ma co wyjaśniać. Rozumiem. - Doskonale rozumiem.

- Leslie. Charlie i ja wcale się nie pobieramy.

Co to znaczy?

Leslie czekała.

- Charlie wychodzi za mojego ojca.

- Za Roberta?

- Tak. Myślała, że to on dzwonił.

- Och. - Och.

Eryk czekał. Po drugiej stronie była tylko cisza.

- Dlaczego zadzwoniłaś, Leslie? - zapytał ostrożnie.

- Tęskniłam... Tęsknię... Za tobą. - Czy dlatego zadzwoniła? Żeby mu to powiedzieć? Nie wiedziała. Tylko że teraz, słysząc jego głos, wiedziała, że kierowało nią coś więcej.

- I ja za tobą tęsknię, kochanie - powiedział łagodnie. W każdej chwili mojego życia.

Jego głos nie był głosem obcego. Był głosem mężczyzny, którego kochała. Ojciec ukochanego chłopca, który zmarł. Mąż innej kobiety. Kochanek innej kobiety. Były to części czułego głosu, który do niej mówił. Zawsze w nim były.

- To wszystko - powiedziała słabo. - To była moja przygotowana mowa.

- Czy mogę cię o coś zapytać? - zapytał lekko, bo ciepło w jej głosie rozpałało w nim nadzieję. Przecież zadzwoniła wreszcie, po prawie pięciu miesiącach.

- Jasne - powiedziała. Zadawaj mi trudne pytania, Eryku. Myślę, że mogę na nie odpowiedzieć, myślała z bijącym sercem. Pustka i ból szybko ustępowały znajomej radości. Radości, którą poznała przez Eryka. Dzięki Erykowi.

- Mogę cię zobaczyć?

- Tak.

Mogę cię całować, tulić i kochać?

- Kiedy?

- Teraz. Kiedykolwiek. - Zawsze.

- Dziś odbędzie się uroczysta kolacja przed ślubem - powiedział Eryk. Mogę nie przyjść. Zrozumieją.

- Musisz tam być.

- Z tobą muszą być bardziej.
- Mogłabym...
- Mogłabyś? Iść ze mną?
- Tak.

To oznaczało, że wiedziała to, co on. Że są już razem. I że jest miłość. Silna. Pewna. Nie musieli jej szukać. Nie musieli izolować się na długie godziny i próbować odnaleźć to, co ich łączyło. Musieli rozmawiać, planować wspólne życie, ale nie musieli szukać miłości. Była w nich. Była zawsze.

- Kocham cię, Leslie - powiedział, a łzy szczęścia napłynęły mu do oczu.

- Kocham cię, Eryku - powiedziała, a ciepłe łzy popłynęły jej po policzkach.

- Przyjadę, jak tylko podrzucę Charlie do Fairmont.

- Tam jest kolacja?

- Nie. Tam jest ojciec. Kolacja będzie w cudownym miejscu, w najlepszym miejscu na ślub - powiedział łagodnie, głosem pełnym miłości i szczęścia. Cudownym miejscu na nasz ślub. - Tam, gdzie rosną białe bzy i różowe róże, gdzie w pokojach są łóżka z baldachimem.

- Gdzie? - wyszeptwała. Wiedziała. I wiedziała, że myśli o nich.

- Wiesz.

- W Klubie Carlton.